



# Migotania

Gazeta Literacka

Nr 3 (84) 2024 kwartalnik

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Mam zaledwie  
Osiemdziesiąt cztery lata,  
Zaczynam się  
Przyzwyczajając się do świata

Guillevic

**Polecamy:**

- Krystyna Śmiechowicz, Dama z ptakami – belle femme Srebrnego Wieku, ESEJ
- Wojśław Brydak, Pani Guru, Wspomnienie
- Maria J. Fraszewska, Tożsamość i tradycja, a na dodatek klika kultury, ESEJ
- Krzysztof Szymoniak, Meandrując po antologiach, Esej

- Mirosław G. Majewski, O istnieniu i jego pochodnych, rozmowa z prof. Piotrem Augustyniakiem
- Małgorzata Dorna (Wendrychowska), Czas i pamięć jako motywy powracające w wybranych pracach malarskich Macieja Świeszewskiego, SZTUKA
- Katarzyna Korczak, Z albumów, zapisków i opowieści rodzinnych, cz. 1.



Zbigniew Jankowski 1931-2024

## Urna i morze

**Więc jednak (choć tak bolało)  
wyszedłem z tego  
prosto w morze  
rozwianym prochem.**

**Witaj, żywiolo cierpliwości,  
odtąd jestem twoją do dna  
dopracowaną ciszą, niebieską  
uległością  
po sztormowych konwulsjach,  
odtąd jestem twoim i moim  
bezkresnym zrównaniem  
twoim i moim  
jak pośmiertny uśmiech  
rozwiązaniem niebios, otwartych  
nareszcie do syta.**

W numerze prezentujemy prace rysunkowe Macieja Świeszewskiego  
Plakat Macieja Świeszewskiego  
Plakat poetycki: Zbigniew Jankowski

Wit Romanowski

# TRAUMALAND, CZYLI W KRAJU KRÓLA UBU

Piszę, gdy właśnie rozlegają się dramatycznie brzmiące syreny obwieszczające godzinę „W” – kolejną, już 80. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego.

Psycholog społeczny, **Michał Bilewicz** (o którego znakomitości świadczy m.in. fakt, że PAD bardzo długo nie chciał podpisać jego belwederskiej nominacji profesorskiej) w książce *Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości* pisze: „(...) wszyscy żyjemy na grobach. Tu się uczymy, studiujemy, pracujemy. Rodzimy, wychowujemy dzieci, wyprowadzamy psy, latem się opalamy, jesienią zbieramy jabłka i grzyby. Zimą narzekamy na drogowców, którzy znów nie odśnieżyli porządnie ulic. Złorzeczmy na polityków i podatki, smog i piratów drogowych. Wszystko to dzieje się z traumatyczną historią w tle. A nawet nie w tle – tylko przez nią. Bez zrozumienia historycznej traumy nie sposób pojąć tego, jak wygląda dzisiejsza Polska, jak Polacy reagują na porażki i sukcesy, jak radzą sobie z kryzysami i konfliktami, dlaczego nie potrafią rozmawiać o historii i traktują innych jak wrogów.”

Dalej w książce profesor Bilewicz przytacza fragment z powieści-listu pt. „Mata zagłada” autorstwa Anny Janko – poetki i córki niedawno zmarłego poety Zbigniewa Jankowskiego, której matka, (też poetka, też już nieżyjąca) Teresa Ferenc, w czasie II wojny światowej ocalała z masakry wsi Sochy na Zamojszczyźnie. Anna Janko pisze: „Odchodzisz mamó. Zostaje pogoda. I ja zostaję. Zabrałam ci twoją historię, mamó, twoją apokalipsę. Karmiłaś mnie nią, gdy byłam matą, szczyptą, po trochu, żeby mnie tak całkiem nie otruć. Ale się uzbierało. Mam ją we krwi. Dziesiątki lat zaciemniała mi obraz świata. Dziś może więcej jej we mnie niż w tobie. Całe życie powstrzymywałam się od życia, bo czekałam na wojnę.”

Profesor Bilewicz w książce „Traumaland” dowodzi, że Polacy nieustannie żyją zatruci własną historią – historią klęsk, walk, wojen, dziejowych kataklizmów, historią strachu, że zaraz wszystko się zawali i ich pochłonie, a w najlepszym razie obędzie ze wszystkiego: z godności, tożsamości, z tego, czego z takim trudem (w przerwach między kolejnymi katastrofami) się dorobili. Tę traumę po rodzicach dziedziczą dzieci i wnuki, i ten tańcuch jest bardzo trudny do przerwania. Bo jako naród atmosferę traumy oddychamy praktycznie bez przerwy. Zdecydowanie wolimy świętować klęski niż sukcesy – np. 1. sierpnia, a nie 4. czerwca. Traumą, z uporem godnym lepszej sprawy, przekazujemy kolejnym pokoleniom w filmach, książkach, artykułach prasowanych. Ale – czego profesor nie pomija – prawdopodobnie także na poziomie epigenetycznym!, co – mówiąc w pewnym uproszczeniu – polega na przekazywaniu z generacji na

generację skłonności do aktywacji i wyłączenia odpowiednich genów, by sztafeta mentalności zatrutej nieszczęściem mogła trwać dalej.

Skutki tego są bardzo wymierne i dalekosiężne. Są nimi lęki, brak zaufania do instytucji i państwa, nadmierna – często wręcz histeryczna – reakcja na rozmaite zagrożenia. Także jakże częste poczucie bezsilności w obliczu tego, co się wokół nas dzieje, z czego wynika łatwość wiary w różnorodne teorie spiskowe (np. Smoleńsk) i nadmierna skłonność do wiary w populizm i uproszczoną wizję rzeczywistości (polityczna oferta PiS-u).

To – jak dowodzi profesor Bilewicz – tylko niektóre z negatywnych cech polskiego społeczeństwa, będące pokłosiem wciąż kulturowych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie traumatycznych doświadczeń wojennych. W książce opisuje m.in. dwie bardzo interesujące sytuacje, które w sposób bezpośredni nawiązuje do polskich doświadczeń ostatnich lat.

17 lipca 2014 lecący z Amsterdamu do Kuala Lumpur Boeing 777 przelatując nad terenami okupowanymi przez prorosyjskich separatystów Okręgu Donieckiego. Na pokładzie maszyny podróżowało 283 pasażerów, w tym 193 Holendrów. W samolot uderzyła rakieta Buk, która separatystom dostarczyła Rosja. Nikt nie przeżył katastrofy. Premier Holandii wyraził ubolewania, a minister spraw zagranicznych potępił atak na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ. W Holandii ogłoszono żałobę narodową. Kraj pograżył się w smutku, który nie trwał jednak zbyt długo. Holendrzy spokojnie czekali na rezultaty przedłużającego się śledztwa. Po 7 latach holenderski sąd ogłosił wyrok dożywocia dla prorosyjskich rebeliantów odpowiedzialnych za zestrzelenie samolotu. Nie wzbudziło to jednak żadnych reakcji holenderskiej opinii publicznej.

Druga sytuacja: 6 kwietnia 1994 samolot Falcon 50 lecący z Tanzanii do Burundi miał wylądować w stolicy Rwandy. Na jego pokładzie znajdowało się tylko 9 pasażerów. Wśród nich był wywodzący się z plemienia Hutu prezydent Rwandy Juvenal Habyarimana; inni dostojnicy w samolocie też byli Hutu. Gdy samolot znajdował się już blisko lotniska, uderzyły weń dwie rakiety ziemiopowietrze. Wszyscy pasażerowie zginęli. Stołeczne radio, bez śledztwa podało, że za zamachem stała nieprzyjaźnie nastawiona do prezydenta ludność Tutsi. Z dnia na dzień rozpoczęło się trwające przez niemal sto dni ludobójstwo Tutsich. Zginęło prawie milion osób zabijanych przez militarne bojówki i zwykłych ludzi uzbrojonych w maczety. Walki między Hutu i Tutsi rozlały się także na inne państwa regionu.

– Co sprawiło, że dwa narody na w gruncie rzeczy podobne wydarzenia za-

reagowały w tak odmienny sposób? – pyta profesor Bilewicz. Odpowiada: Decydujące, jak się wydaje, były całkiem odmienne doświadczenia Holandii i Rwandy. Z jednej strony kraju zamożnego i na wskroś uprządkowanego; z drugiej – państwa najpierw podbitego przez Niemców, a później przez Belgów, w którym przemoc i poczucie krzywdy były zakorzenione od stuleci. Dwa społeczeństwa o zupełnie odmiennej przeszłości, w sposób oczywisty wytworzyły zasadniczo odmiennie predyspozycje do reagowania na kryzys.

Rwanda i Holandia to oczywiście dwa ekstrema pewnego spektrum. Znakomicie jednak ilustrują, jak ważny jest zasób doświadczeń historycznych, które w sobie nosi, pielęgnuje i przez dziesięciolecia powiela każde ze społeczeństw. Jak pokazują nasze rodzime reakcje na katastrofę smoleńską, Polska, dysponując swym porównywalnym historycznym imaginariem, znajduje się gdzieś w połowie drogi między Rwandą i Holandią. Sam nie wiem – śmiać się, czy płakać?

Historycznie strauumatyzowane społeczeństwa (takie jak Polska) są stale rozedrgane, łatwo ulegają emocjom, lękom i nadzwyczaj łatwo dają posłuch uproszczonym, łatwo zrozumiałym wyjaśnieniom. Ma to miejsce szczególnie wtedy, gdy w grę wchodzi kwestie bezpieczeństwa. Zdaniem Bilewicza, prowadzi to często do czegoś, co można nazwać paniką moralną, przez co społeczeństwa takie postępują po prostu głupio, a w najlepszym razie lekomyślnie. I pogłębiają swój status państw peryferyjnych, pozostających na uboczu świata w pełni gospodarczo rozwiniętego. Co oczywiście populizmem zdecydowanie ułatwia kolejne wyborcze sukcesy.

Ma to reperkusje nie tylko praktyczne. Także czysto poznawcze. Do tej pory psychologowie społeczni byli przekonani, że w dobrze zaplanowanych eksperymentach odkrywają uniwersalne prawdy o zachowaniu każdego człowieka. „Jednak często – jak pisze Bilewicz – były to tylko prawdy o zachowaniu Amerykanina lub, szerzej, człowieka Zachodu. Dlatego (...) polskie doświadczenia wzięte pod lupę, są takie ożywcze” i ważne. Psychologowie społeczni znad Wisły uświadomili Amerykanom, wiodących dotąd prym w badaniach w dziedzinie psychologii społecznej, że nie wszystko, co odkrywają u siebie, ma status obiektywnej prawdy. Narody z wciąż pielęgnowaną traumatyczną historią – okupowane, podbijane i zniewalane, wykształciły całkiem odmiennie sposoby reagowania, co dotąd w nauce nie było brane pod uwagę.

A syrena ogłaszająca godzinę „W” nadal wyje.

WIT ROMANOWSKI

Wit Romanowski, Traumaland, czyli w Kraju Króla Ubu, FELIETON.....	str.2
Krystyna Śmiechowicz, Dama z ptakami – belle femme Srebrnego Wieku, ESEJ.....	str.3
Guillevic, poezja, w tłum. K. Brakonieckiego.....	str.10
Maria Jentys-Borełowska, Aniara znaczy rozpacz, ŻYCIE I KSIĄŻKI (9), ESEJ.....	str.12
Leszek Szaruga, wiersze.....	str.12
Wojstaw Brydak, Pani Guru, WSPOMNIENIE.....	str.15
Urszula Małgorzata Benka, Gwiazdy - wiersze.....	str.20
Urszula Małgorzata Benka, O cieniaświatości i kottletach z tyłka Tezeusza, ESEJ.....	str.21
Cezary Żarna, wiersze, 1 strona.....	str.24
Maria J. Fraszewska, Tożsamość i tradycja, a na dodatek kilka kultury, ESEJ.....	str.26
Cezary Sikorski, 6 wierszy.....	str.30
Dariusz Pawlicki, O drogach prawie zapomnianych, ESEJ.....	str.32
Dorota Czerwińska, wiersze.....	str.34
Christian Medard Manteuffel, Else Lasker-Schüler – spalona poetka miłości, ESEJ.....	str.35
Joanna Wyrzykowska, wiersze.....	str.40
Roman Warszawski, Trzynastka, PROZA.....	str.41
Krzysztof Szymoniak, Meandrując po antologiach, ESEJ.....	str.42
Marek Sołtyś, Z pragnienia do obrzydzenia, PROZA.....	str.48
Maciej Froński, wiersze.....	str.52
Ewa Nowostawska, Ze smakiem, PROZA.....	str.54
Michał Horáček, W pensjonacie w Lanckoronie.....	str.57
Mirostaw G. Majewski, O istnieniu i jego pochodnych, rozmowa z Piotrem Augustyniakiem.....	str.58
Roberto Bolaño (1953 - 2003), AMBERES (fragment powieści), PROZA.....	str.61
Grzegorz Bazylak, Robert Bolaño, ESEJ.....	str.66
Janusz Taranienko, wiersze.....	str.68
Michał Skrętek, Wersy jak z nut, czyli Sand, Chopin i natchnienia Mickiewicza, ESEJ.....	str.69
Łucja Dudzińska, wiersze.....	str.71
Jakub Ciećkiewicz, Książka roku, Ucieczka do Marakeszu. Powieść drogi, czyli 30 lat później.....	str.72
Małgorzata Bobak-Kończowa, wiersze.....	str.75
Hubert Czarnocki, Książka, PROZA.....	str.76
Grzegorz Borowiec, wiersze.....	str.77
<b>SZTUKA</b>	
Małgorzata Dorna (Wendrychowska), Czas i pamięć jako motywy powracające w wybranych pracach malarskich Macieja Świeszewskiego.....	str.78
<b>OMÓWIENIA</b>	
Anna Kokoł-Nowak, Wersy przeplatane Möbiusa wstęga...str.82	
Zbigniew Kresowaty, Człowiek jest żywotem nie do opanowania, PIÓREM MALARZA.....	str.85
Elżbieta Juszczak, Manifest feminizmu.....	str.87
<b>RECENZJE.....</b>	
str.89-102	
Mateusz Wabik, Za i przeciw wierszom Polkowskiego	
Jerzy Lengauer, „Dziurawy plecak, luminal i srebrna łyżeczka	
Jerzy Lengauer, Tyle razy, Krew o świcie	
Jerzy Lengauer, Szlomo	
Jerzy Lengauer, Mozaika	
Elżbieta Juszczak, Igor	
Elżbieta Paprocka, Historię zacząć od jutra	
Antoni Pawlak, Rzeczpospolita Obojga Chwinów	
Andrzej Walter, Jak ważna jest ta chwila	
Andrzej Wołosewicz, Eugeniusz Kurzawa mój czas	
Andrzej Walter, Poezja w wymiarze kojącym	
Andrzej Walter, Pragnienia w nieba błękitie	
NAGRODA MOTYLA.....	str.103
<b>MIGOTANIA JESZCZE WIECEJ</b>	
Katarzyna Korczak, Z albumów, zapisków i opowieści rodzinnych. Było nam dobrze dopóki mamusia żyła. Cz. I	

## Krystyna Śmiechowicz

DAMA Z PTAKAMI  
- BELLE FEMME  
SREBRNEGO WIEKU

Srebrny Wieku, przypuszczalnie najciekawszy okres w kulturze rosyjskiej nie-rozerwalnie związany z rosyjską stolicą, to wielki rozkwit działalności artystycznej obejmującej wszelkie dziedziny sztuki, to czas nieustającego karnawału, ale jednocześnie przecucie czegoś tragicznego. Trwał krótko, bo od końca lat 90. XIX wieku - do Rewolucji 1917 roku. Był także jednym z najdramatyczniejszych okresów w dziejach Rosji. To czas Rewolucji 1905 roku (tzw. nieudanej rewolucji), wojny rosyjsko-japońskiej, I wojny światowej, a na koniec upadku Imperium i Rewolucji 1917.

A jak zmieniało się w tym czasie miasto o trzech nazwach; Sankt Petersburg - Piotrogród - Leningrad. Koniec wieku - kultura przeżywa niezwykły rozkwit. W teatrach operowych Rosji - Petersburg miał aż trzy teatry operowe - tradycyjnie zaraz po wygaszeniu światła, gdy kurtyna szła w górę aktorzy, już w kostiumach, śpiewali - „Boże caria chrań!”. A po teatrze publiczność nie chcąc wracać do domów, zapętniała kawiarnie, kabarety i dopiero nad ranem ruszały dorożki, pierwsze tramwaje i pierwszy poranny pociąg do Carskiego Siola, którym do domu wracał poeta Nikołaj Gumilow z młodziutką żoną Anną Achmatową. Był to czas wyjątkowy dla pisarzy, muzyków, architektów, malarzy. W malarstwie królują: Benois, Somow, Bilbin, Sudiejkin, Roerich. Wyjątkowa moda panuje na malarstwo Somowa; wszędzie wiszą jego markizy, zefirki, amorki... Wydawanych jest mnóstwo czasopism, powstają salony literackie; słynna „Wieża” Wiaczesława Iwanowa - przyjmowano w środę, salon pisarza Fiodora Sołoguba - przyjmowano w niedzielę, salon Mereżkowskich (sarkastycznej Zinaidy Gippius i Dmitrija Mereżkowskiego, gdzie regularnie spotykał się cały kulturalny Petersburg) - dla nich zarezerwowana była niedziela przed południem, były także „niebieskie wtorki” u Nadieżdy Teffi. Stolica Rosji idealnie pasowała do takiego życia. Legendarne letnie „białe noce” lub rozjaśnione płatkami śniegu i błyszczącymi kopułami świątyni długie zimowe z siarczystym mrozem, stangretami oczekującymi pod teatrem i grzejącymi się przy rozpalonych na śniegu ogniskach. Bogate pałace, domy w pastelowych kolorach; przepych i elegancja. Newski Prospekt - na nim „Gostinyj Dwor”<sup>1</sup>, a w jego luksusowych sklepach; ostrygi, jaja Fabergé (dzieła sztuki złotniczej)

<sup>1</sup> Wymienione zostały te znaczące, w Petersburgu było ich znacznie więcej; chociażby salon Sofii Kuwshynnikowej (gdzie spotykali się A. Czechow i I. Lewitan), salon Rimskiego-Korsakowa.

<sup>2</sup> Jeden z pierwszych domów towarowych na świecie.

zawsze zgodne z porą roku; wielkanocne, bożonarodzeniowe. Produkty sprowadzane z Londynu, Paryża i Wiednia, bogate sklepy jubilerskie.

Pierwszym szokiem była przegrana z Japonią, największa klęska rosyjskiej floty, później I wojna światowa.

Lato 1914 roku, w okopach leje się krew. Po informacji o obozach w Grazu<sup>3</sup> Rosjanie, którzy do tej pory sympatyzowali z Niemcami w proteście zmieniają nazwę miasta z Sankt Petersburg na Piotrogród.

W atmosferze miasta też coś zaczęło się zmieniać, jakiś strach, przecucie czegoś, co sprawi, że cały ten dotychczasowy świat może zniknąć i nic już nie da się naprawić. Powracało wspomnienie „krwawej niedzieli” masakry nieuzbrojonych pokojowych demonstrantów i stosów trupów na ulicach. Nastroje w stolicy złe, więc jeszcze dojeść, dopić, doweselić się, jeszcze ostatni spektakl, ostatnia wystawa i ta ciągła potrzeba bycia razem, jak zaklinanie rzeczywistości wciąż jeszcze chęć zabawy. Powstawały nowe teatryki, nowe kabarety. Śpiewała w nich uwielbiana przez publiczność Iza Kremer, przychodził Aleksandr Wiertniski w kostiumie Pierrota, ale podobno nigdy nie wystąpił. W najstynniejszym kabarecie „Bezpański Pies” występowali ci najbardziej utalentowani; Kuzmin, Gumilow, Achmatowa, Mandelsztam, Glebowa-Sudiejkina, Majakowski, kompozytorzy; Ilja Sac, Arthur Lourie i Sergiusz Prokofiew, a z gości zagranicznych; F. Marinetti, Paul Fort, R. Strauss, Emile Verhaeren, Isadora Duncan. Śpiewała przy akompaniamencie fortepianu wdowa po Michaille Wrublu Nadieżda Zabela-Wrubel, śpiewał Szalopin (to z Petersburga odjedzie na wygnanie), tańczyła Karsawina. Już niedługo większość z nich znajdzie się w Berlinie, Pradze lub Paryżu. Anna Achmatowa tak pisała: „Wszefecznicze z nas i pijacy/ Niewesoło czas tu spędzamy./ A na ścianach kwiaty i ptaki/ Tęsknią za obłokami.” Te ptaki i kwiaty namalował na ścianach kabaretu Siergiej Sudiejkin. O trwającej wojnie starano się nie myśleć, wojna była daleko w okopach, no, ale gdyby... to zawsze jeszcze można próbować „coś” załatwić, wykupić się...

Wielkanoc 1916 roku. Nastroje jeszcze bardziej ponure, wszędzie szepczano o zdradzie i szpiegach. Wokół wyczuwano się narastający gniew, ulice stawały się niebezpieczne, ale w dalszym ciągu nadzieja była w wojsku i wiara, że duch w żołnierzach w dalszym ciągu bojowy. Tymczasem w swoich dziennikach Zinaida Gippius pisze: „...z polecenia cara Petersburg Wielkiego Piotra runął. Żle, źle się dzieje w Rosji”.

Wszystko się skończyło „straszonym rokiem” 1917 - (tak go nazwał Iwan Bunin). Palono

<sup>3</sup> Internowano tam rusofilów i osoby podejrzane o sympatyzowanie z Armią Carskiej Rosji.

→ i rabowano pałace, ludzie w panice uciekali z miasta, a w majątkach wiejskich nie było bezpieczniej. Korniej Czukowski - z „Dziennika” (1910-1921) - „Byłem u Mereżkowskich. Nie mogę zapomnieć ich głodnych - psich - spojrzeń. Luty, siarczyste mrozy, a Achmatowa chodzi w leśnym płaszczu.”

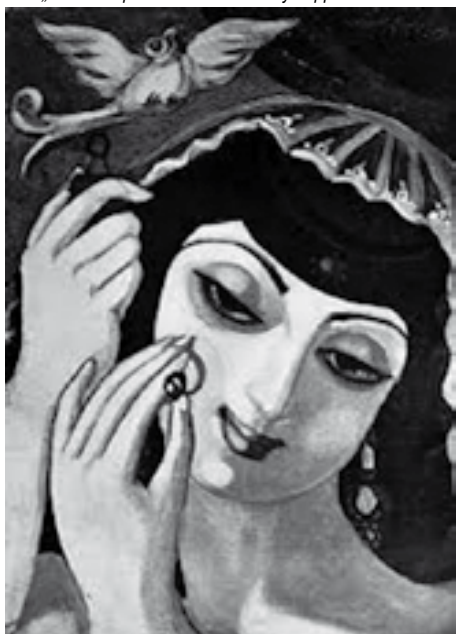
Zaczęła się Rosja Sowiecka... 1918 rok - głód, brak podstawowych produktów spożywczych, brakuje wszystkiego; jeszcze gdzieś ukradkiem wymiana ze wsią; za dwie szpulki nici jeden - dwa kilogramy mąki, za buty nawet dziesięć. Kwiecień 1918 rok - to znowu wspomnienia Iwana Bunina; „Nie poznałem Petersburga. (...) Newski zalany szarym tłumem, żołądkiem w narzuconych szynelach, nie pracującymi robotnikami, próżnującą służbą i wszelkimi mętami (...). Na chodnikach śmiecie, a na jezdniach kupy zmarłego nawozu.”<sup>4</sup> Maksim Gorki w dzienniku pisze o głodzie w mieście, o ludziach padających na ulicach z wycieńczenia, o zarobkach, które wystarczają na trzy-cztery dni, a najcenniejszym prezentem staje się kawałek chleba, mydła, albo wiązka drewna na opał. (Pisarz Maksim Gorki uratował od śmierci głodowej wielu twórców kultury rosyjskiej później często o tym zapominano, pamiętając tylko tę niestawną stronice biografii).

„Październik 1919, ...ludzie na ulicach przewracają się z głodu. (...) W owe długie godziny ciemności wciąż wydaje ci się, że oślepieś. Chodzisz z wyciągniętymi przed siebie rękami, obmacując lodowate ściany korytarza... Zrozumiałam, że zimno jest gorsze niż głód, ale ciemność jest gorsza od jednego i drugiego razem.”<sup>5</sup>

Po pierwszym zachyśnięciu się rewolucją część inteligencji jest świadoma przegranej... Przystają tworzyć nawet ci najwięksi, a w mieście zostali tylko, zdaniem Iwana Bunina, artyści i wariaci. To miasto w którym już niczego nie ma; płyty rozebrane na opał, lodowe życie bez prądu, niepewność jutra i to poniżające ciągłe myślenie o jedzeniu. Granice zamknięte, w kraju „absolutnej wolności” nie ma swobody przemieszczania się. Co odważniejsi uciekają przez Zatokę Fińską, zimą po lodzie, w strachu przed wojskowymi posterunkami - wielu jednak miało szczęście.

Z takiego kraju uciekała jedna z najpiękniejszych i najbardziej podziwianych kobiet Srebrnego Wieku Olga Glebowa-Sudiejkina

4 Z pamiętnika Iwana Bunina „Przekłete dni”.  
5 Z „Dzienniki petersburskie” Zinaidy Gippius.



Przyjaciółka i muza poetów Olga Afanasjewna chciała się powiedzieć „była niezwykła”, ale wokoło wszystko było niezwykłe. Petersburg, aż kipiał od talentów i pomysłów; Meyerhold, Strawieński, Achmatowa, Riepin, Riemizow, Błok, Mandelsztam, Altman, Annienkow, a do tego jeszcze ta wyjątkowa atmosfera grodu nad Newą - miasta Piotrowego. Poczucie wolności - prawie bezkarność, wolna miłość. Zinaida Sieriebriakowa<sup>6</sup> pisze, że miłość, która łączy tylko kobietę i mężczyznę, to zgroza! Jest moda na homoseksualizm i moda na samobójstwa.

O Oldze Sudiejkowej mówiono, że piękna, że utalentowana, że nieszczęśliwa. Dla niej pisano wiersze, darowano kwiaty, malowano jej portrety, ale do historii Srebrnego Wieku weszła, przede wszystkim nie z powodu swoich talentów, lecz jako przyjaciółka Anny Achmatowej i główna postać „Poematu bez bohatera”.

Przyszłaś oto znikąd do Rosji,

Cudo moje z jasnymi włosy,

Lat dziesiątych Kolombino miła!

Wzrok Twój bystry, lecz jak za woalką,

Petersburska aktorko, lalko,

Jednym z mych sobowtórow byłaś.

Do tytułów pięknej kobiety

Dodam jeszcze: kochanko poetów.

(PRZEKŁAD GINY GIEYSZTOR)

Olga Glebowa-Sudiejkina (1885 Sankt Petersburg - 1945 Paryż). Córka chłopca-pijaka, to zawsze podkreślano wspominając Olę Afanasjewną. De facto była córką Afanasija Glebowa podrzędnego, ubogiego urzędnika zatrudnionego w Instytucie Górniczym. To pradziadek Olgi był chłopem pańszczyźnianym z majątku Glebowa. Przeszłość wspominała niechętnie, kiedyś przyznała się Achmatowej, że dzieciństwo miała smutne i często czuła się nieszczęśliwa. Wiecznie pijanego ojca razem z matką szukały wieczorami po knajpach i podejrzanych spelunkach. A gdy odnalazły matę

6 Rosyjska i francuska malarka zmarła na emigracji w Paryżu.

Olga brata, potulnego już wtedy, za rękę i prowadziła do domu. Ojciec - patrząc na dziecko okutane w dużą matczyną chustę zalewał się pijackimi łzami. Teatr lubił zawsze i dziecięce oszczędności traciła na poranne spektakle dla dzieci. W młodości (1905 rok) przeżyła tragedię, gdy jej piętnastoletni brat, uczeń Morskiej Szkoły Handlowej, utonął w czasie szkoleniowego rejsu. Rodzice mieszkali niedaleko Instytutu Górniczego na Wyspie Wasilewskiej przy Drugiej Linii<sup>7</sup>, to tam spędziła dzieciństwo.

### Wyspa Wasilewska



Wyspa Wasilewska to kolumny rostralne uosabiające potęgę Imperium, to budynek Dwunastu Kolegów Piotrowych, w którym mieszczą się; Petersburski Uniwersytet, słynna Akademia Sztuk Pięknych, Akademia Nauk, Instytut Górniczy. Uczyła się w Instytucie Aleksandrowskim (nazywano go instytutem nieszlachetnie urodzonych) w szkole dla córek „niższych” urzędników i wojskowych wybudowanej na tyłach jednej z najpiękniejszych świątyń Petersburga Monasteru Smolnego.



Monaster Smolny Zmartwychwstania Pańskiego

Tuż obok był Instytut Smolny. (Instytut Szlachetnie Urodzonych Panien ze strzeżonym wejściem, pięknym kutym parkanem, otoczony mitem bogactwa, gdzie na pierwszy bal „wypustników” przychodził car, a carowa chętnie odwiedzała to miejsce typując przyszłe damy dworu.)



Instytut Smolny

Następnie w Imperatorskiej Szkole Teatralnej na kursach dramatycznych. W przedstawieniach dyplomowych (były cztery) grała, między innymi, Bronkę z dra-

7 Ulice, które tworzą w Petersburgu z zasypanych kanałów nazywano Liniami.

matu Przybyszewskiego „Śnieg”. W 1905 roku dostała engagement do Imperatorskiego Aleksandryjskiego Teatru (z całego rocznika przyjęto tylko dwie uczennice).



Teatr Aleksandryjski

Teatr Aleksandryjski był głównym teatrem dramatycznym cesarstwa. Miała niewątpliwy talent - świadczy o tym ilość ról, szerokie emploi; grała role komediowe, liryczne, dramatyczne, nie obawiała się grania kobiet brzydkich, starych, przygarbionych, nieatrakcyjnych, a dojrzałością dramatyczną wzbudzała szacunek tak znanych reżyserów, jak Meyerhold, czy Jewreinow. Teatr odgrywał w jej życiu rolę decydującą, grała bardzo dużo, prawie cały repertuar popularnego wówczas Jurija Bielajewa. Właściwie nie schodziła ze sceny, grała w sztukach Czechowa, Goldoniego, Gozzi, Przybyszewskiego, Scribe'a. Z Teatru Aleksandryjskiego po roku przeszła Teatru Wiery Komissarzewskiej, gdzie reżyserem był Meyerhold. W tym czasie teatr Komissarzewskiej miał sławę najbardziej prestiżowego. Glebowej przypadły role drugoplanowe, ale grała w najlepszym zespole teatralnym u najlepszych reżyserów. O takim teatrze inne absolwentki mogły jedynie marzyć. Tam poznała Sergieja Sudiejkina ulubieniec petersburskich pań, dandysa, malarsza, dekoratora, scenografa, współpracownika Sergieja Diagilewa. Salonowy lew zawsze elegancko ubrany, przyjmowany w najlepszych petersburskich domach, na spotkaniach towarzyskich z zasady lekko znudzony, coś pogardliwie mamrocący. Jednak wszystko mu wybaczano, bo miał niewątpliwy talent, był jednym z najwybitniejszych współpracowników czasopisma „Mir Iskusstwa”. Poznali się podczas pracy nad spektaklem „Siostra Beatrice” (reżyseria W. Meyerhold, scenografia i kostiumy S. Sudiejkin). Znany „pożeracz serc niewieścich” po prostu zakochał się w młodziutkiej czarującej aktorce i zaczął ją demonstracyjnie adorować. Olga nie pozostała obojętna. Pewnego razu ulegając prośbie Sudiejkina odprowadziła go na dworzec, zajęci rozmową nie zauważyli, że pociąg ruszył i tak Olga znalazła się w Moskwie zapominając o wieczornym spektaklu. Zastępstwo zorganizowano bez przygotowania, ale gdy wróciła po trzech dniach Wiera Komissarzewska, bardzo rygorystyczna, odmówiła jej powrotu na scenę. Przyjacielem i powiernikiem w tych trudnych chwilach był Fiodor Sofogub, on też ostrzegł Olę przed Sudiejkinem. Pracę znalazła w Petersburskim Małym Teatrze. Z Sergiejem pobrali się dwa lata później w 1907 roku i początkowo byli nierozłączni. Zmianę nazwiska przyjęła jak odcięcie się od dawnego życia. Z teatralnej kariery zrezygnowała w momencie, gdy zaczęła się ona urzeczywistniać realizując zamiast męża... bo dla Sergieja Sudiejkina Olga była jeszcze jednym dzieciem nad którym należało pracować i które należało dokończyć, by było idealne. Była jak wosk w doko ręki, to on podpowiadał stroje, fryzury, dbał o właściwe kontakty; był reżyserem spektaklu pod tytułem „Olga Sudiejkina”. Lubił popisywać się żoną, stroje, które sam projektował bardziej przypominały kostiumy teatralne, niż zwykłe ubrania. Słynny był długi płaszcz obszyty tabędzimą, lub suknią z biało różowego tiulu, z naszytymi dużymi granatowymi motylami, których czułki ozdobił perłami. W nich pojawiała się

w kabarecie. Była krucha jak motyl i w tych strojach zdawała się jeszcze delikatniejsza. Takie stroje trzeba było umieć nosić i wkrótce została pierwszą profesjonalną modelką. Sergiej Sudiejkin wprowadził ją w krąg swoich przyjaciół. Występowała w najpopularniejszym literacko-artystycznym kabarecie Petersburga „Bezpański Pies”<sup>8</sup>, Tańczyła tam „Kozłonogą” i taniec Salome do muzyki Ilji Saca;

Jak kopytka tupią trzewiki,  
Jak bębenki dźwięczą kołczyki  
I złe różki w blond lokach znikły  
Opętana desperackim tańcem  
Jakby nagle z greckiej amfory  
Zbiegła w lazur fali wieczoru  
Obnażona tak elegancko.<sup>9</sup>

W kabarecie wisały portrety Olgi w roli „Nimfy”, „Salome” i „Kozłonogiej”. Tańczyła także w arystokratycznych salonach tańcząc w duecie z Wacławem Niżyńskim fragmenty z najsztywniejszych baletów klasycznych. Bardzo szybko stała się jedną z najważniejszych postaci kabaretu występując w nim przez cały okres działalności. Od pierwszego wieczoru – aż do zamknięcia<sup>10</sup>. 24 grudnia 1913 roku w „Bezpańskim Psie” zostało wystawione Bożonarodzenie misterium (zagrano je tylko raz) Michaiła Kuzmina z muzyką Saca „Ucieczka do Egiptu”. Olga Glebowa-Sudiejkina grała Matkę Boską. Pozostał opis tego spektaklu; „Na tę jedną noc ta osobliwa piwnica została przekształcona dzięki wysiłkom reżysera i artyści w świątynię. Dekoracja Sudiejkina, zakrywała ściany piwnicy, stylizowanymi religijnymi malowidłami z postaciami aniołów i demonów, półkoliste sklepienie sufitu pokryto ciemnoniebieskim materiałem z ogromnymi gwiazdami. Stoły ustawiono w długich rzędach wzdłuż których zapalono sto trzydzieści cztery cieniutkie świece, co powodowało, że w półmroku piwnicy po ścianach przesuwały się przedziwne cienie. Widzowie siedzący po obu stronach stołów musieli poczuć się uczestnikami iście religijnej akcji, która rozgrywała się nie tylko na scenie, ale także tuż obok nich. W przejściach utworzonych pomiędzy stolami, „jak po drodze”, magowie prowadzeni przez Gwiazdę szli z darami na scenę, gdzie za zastawą w żłóbku odbył się sakrament narodzin Dzieciątka Chrystusowego. Później tymi samymi przejściami przebiegała droga Matki Bożej uciekającej przed Herodem do Egiptu. Dziewica Maryja jechała na osiołku, trzymając w ramionach swoje dziecko. Nowonarodzone Dzieciątko przedstawiała lalka uszyta rękami Oleńki Glebowej.” Tak opisał je świadek przedstawienia Sergiej Auslender<sup>11</sup>-teatralny krytyk, dramaturg i pisarz.

W 1915. po zamknięciu „Brodiaczej” powstaje o podobnym charakterze „Popas Komediantów.” Tam także wszyscy zachwycając się dekoracjami i malowidłami Sudiejkina, zwłaszcza ogromnym na wysokość sceny portretem Olgi Afanasjewnej. Na uroczyste otwarcie przygotowano pantomimę Schnitzlera „Szal Colombiny” (reżyser Meyerhold, kostiumy Sudiejkin, taniec Olga Glebowa-Sudiejkina). Wszyscy zwracali uwagę na niezwykły erotyzm jej tańca i zbyt skąpe ubranie. W obronie stanął Max Wołoszyn; „.... taniec i nagość są nierozłączne”.

Miała niesamowitą fantazję, jej mieszkanie

<sup>8</sup> „Bezpański Pies”- „Brodiacząca Sobaka” kabaret petersburskiej inteligencji.

<sup>9</sup> Fragment „Poematu bez bohatera” A. Achmatowej w przekładzie Giny Gieysztor.

<sup>10</sup> Kabaret istniał od 1911 do 1915 roku.

<sup>11</sup>

<sup>11</sup> Sergiej Auslender uznany przez NKWD za zdradcę ojczyzny (wojenny korespondent Białej Armii) rozstrzelany w 1937r.

z okresu małżeństwa z Sudiejkinem przypominał bardziej teatralną dekorację niż prawdziwy dom; pełne bibelotów, porcelanowych figurek, sztucznych ptaków, pawich piór, zasuszonych kwiatów. Rozczarowana małżeństwem powraca na scenę Małego Teatru Suworina. Pomiędzy małżonkami następuje wyraźne ochłodzenie. W 1915 roku Sergiej ostatecznie rozstaje się z Olgą, wiążąc z Wierą - a w 1920. z Tyflisu, z nową żoną, przedostaje się do Paryża. Wiera de Bosset-Schilling-Sudiejkina była piękna, niezwykle uzdolniona, inteligentna, przedsiębiorcza i wieść mogła każdego mężczyznę, a - jak twierdził Osip Mandelsztam - „w walce o męża była uparta i bezwzględna”. Dziwne, ale stosunki pomiędzy Olgą i Sergiejem znacznie się poprawiły po rozwodzie. W dziennikach<sup>12</sup> Wiery de Bosset-Sudiejkiniej, tertio voto - Strawińskiej<sup>13</sup>, z okresu petersburskiego, często pojawiają się wpisy; „Była Olga, przyszła pokazać nam, co kupiła na targu”. (Olga Sudiejkina chodziła na słynny targ staroci na Ryнку Aleksandrowskim szukając materiałów dla swoich lalek; jedwabiu, brokatu, „cudownych” skrawków koronek, które tylko tam jeszcze można było znaleźć.) „Przyszła Olga, oglądała nasze mieszkanie, piła herbatę”. „Była Olga, oglądała obrazy, ucieszyła się, że Sieriożę zaczynają doceniać”. Rok 1917.- „Przyszli Arthur i Olga. Sierioża zaczął swój wcześniej obmyślony szkie - intérieur - Sierioża przy sztalugach, ja oparta z czułością o jego ramię, przy fortepianie rozmawiają Arthur i Olga. Praca trwała do trzeciej nad ranem”. „Byliśmy po bilety, po drodze zaszliśmy do Olgi dać jej pieniądze”. „Olga przyniosła wafle, piiliśmy herbatę, potem wyszliśmy z Olgą na spacer...”. A faktyczny powód rozstania z Sudiejkinem - przypadkiem odkryta dziennik męża z którego dowiedziała się, że Michaił Kuzmin (nazywany rosyjskim Oscarem Wilde'em) to nie tylko przyjaciel domu, ale także kochanek męża. Kuzmin zmuszony był się wyprowadzić (wcześniej przez jakiś czas mieszkali razem), zachował jednak przyjacielskie stosunki i z mężem, i z żoną. (Wszystko to, jak w operze mydlanej i zgodne z duchem czasu). Olga także będzie utrzymywać dobre stosunki z Wierą „Weroniką” - Wierą Schilling-de Bosset-Sudiejkiną nazywaną Białką od dziecięcego „be”. To właśnie oficjalnie z „jej powodu” rozstali się małżonkowie. Rozstali się, ale często widywano ich razem, wspólnie pojawiali się w „Piwnicy”. W roku 1916 powstaje obraz Sergieja Sudiejkina „Moje życie”; artysta przedstawił siebie ze szkiecownikiem, Olę jako Colombinę, Wiera siedzi plecami do widza, ale twarz widoczna w lustrze, jest także postać Kuzmina, z tomikiem poezji. „W ten oto sposób - jak stwierdził Sergiej - mamy rodzinę w komplecie”. (Żona, kochanka i kochanek.)



„Moje życie”- S. Sudiejkin

Ich świat, to świat petersburskiej bohemy. Olga także żyje według takich reguł. Przywykła kokietować, uwodzić, więc pojawiali się nowi przyjaciele, nowi kochankowie. Przecież już wcześniej Kuzmin mieszkał razem z nimi, a wtedy był już także kochan-

<sup>12</sup> Wiera Sudiejkina „Dziennik”(Pietrograd, Krym, Tyflis)  
<sup>13</sup> Pierwszym mężem był student A. Lurie, ale o nim raczej się nie wspomina.

→ **E**kiem Wsiewołoda Kniaziewa<sup>14</sup>, młodego huzara zakochanego w Oldze. Dlaczego Kniaziew popełnia samobójstwo strzelając sobie z brzoźnika prosto w serce (marzec 1913.). Jedni mówią, że to z powodu Olgi, inni, że z powodu Kuzmina. Wsiewołod Kniaziew szlachcic, młody podchorąży z Rygi, w Petersburgu znalazł się w zupełnie innym nie znanym mu świecie, to był świat zabawy, kobiet-lalek, miłosnych rozterek, nic nieznanego romansów, a on był przyzwyczajony do prostego żołnierskiego życia i prostych uczuć. Jest taki opis u Anny Achmatowej, gdy w mroźną zimową noc, młodzieńcki „huzar-smarkacz” śledzi ukochaną i widzi ją całującą się z innym. A tamtego wieczoru, kiedy Kniaziew umierał w petersburskim szpitalu Sudejkinia tańczyła w kabarecie taniec „Kozłonogiej”. Być może to bezduszne zachowanie przyjaciółki sprawiło, że we wspomnieniach Achmatowa nazwie ją większą dziewczuchą. Tragedia, ta samobójcza śmierć, stała się kanwą dramatu „Poemat bez bohatera” Anny Achmatowej.

Wczesny, mglisty kwietniowy poranek. „... na cmentarzu Smoleńskim, przy otwartym grobie ...ktoś się modlił, ktoś płakał, ktoś ponuro milczał... Ktoś mamrotał zduszonym, groźnym szeptem; - o zmarłych albo dobrze, albo nie. Ktoś inny przeciwnie; - od zmarłego żądał, żeby ożenił się z jakąś dziewczyną z Rygi, ale nie chciał, a odmowa była hańbą, więc się zastrzelił. Bzdura szeptął ktoś inny, to nie było w Rydze, ale w Petersburgu i to w ogóle nie dziewczyna, ale przemasz, jakaś dziwka aktorka.”<sup>15</sup> Po zakończeniu ceremonii matka huzara patrząc w oczy jednej z dwóch kobiet stojących z boku, pod cmentarnym murem, powiedziała: - „Bóg ukarze tych, którzy kazali mu cierpieć”. Później siostra Kniaziewa prosiła Olę o wybaczenie tego, co mówiła zrozpaczona matka. Olę przerażała bezsensowna śmieć, a ostre komentarze, snułe domysły spowodowały, że na jakiś czas opuściła Petersburg i wyjechała do Florencji. Tak się złożyło, że ani Olga Afanasjewna, ani Kuzmin, tych dwoje najbliższych mu ludzi (kochanka i kochanek) nie bardzo cierpieli z powodu śmierci huzara. Do Włoch też nie pojechała sama, ale z Sawielijem Sorinem<sup>16</sup>. (Po wielu latach, w 1921 roku, Anna i Olga po pogrzebie Błoka - pierwotnie pochowany na cmentarzu Smoleńskim - szukają mogiły Kniaziewa. „Zapamiętałam taki obrazek - mówi Achmatowa - my z Olgą szukające po pogrzebie Błoka mogiły Wsiewołoda; - To było gdzieś pod murem - powiedziała Olga, ale znaleźć nie mogła. Z jakiegoś powodu zapamiętałam tę chwilę na zawsze...”. Długo szukały grobu ponuro rozmyślając, jak to - na koniec - ten niefortunny samobójca okazał się szczęśliwym głupcem, bo przecież zmarł z własnego wyboru, a nie z wyroku „jakiegoś” trybunatu, w odróżniającej, cuchnącej krwią piwnicy, przytulony do ściany. Strzelił sam, nie mierzył do niego pijany, prostacki żołnierz w skórzanej kurtce.

Po wojnie (I wojna światowa) pracuje w Teatrze Małym, jeździ z trupą teatralną po kraju i ciągle jeszcze tańczy. W początkach rewolucji gra na prowincji w wyjazdowych spektaklach Głagolina, gdzie każdego wieczoru opuszczano ją na scenę na piętnastometrowej linii, to „nurkowanie” było dla niej prawdziwym kosmosem. Zakochany w niej muzyk Arthur Lourié, babszar i podrywacz, specjalista od „puscia” damskiej reputacji,

14 Wsiewołod Kniaziew był jednym z trzynastu poetów-samobójców Srebrnego Wieku.

15 R.D. Timienchik „Zamietki o poe’mie”.

16 Sawielij Abramowicz Sorin, uczeń Riepina, portrecista, jego obrazy są wystawiane w najważniejszych muzeach, wpisany na listę Galerii Największych Artystów Ameryki zmarł w 1953 r. w Nowym Yorku. Od 33 lat przebywał na emigracji.

znany jako świetny awangardowy kompozytor, doskonały pianista, także krytyk muzyczny, tak ją wtedy opisywał; - „Wysoka, smukła, długie złote loki jak u Melisandy Debussy’ego, ogromne szarzielone oczy błyszczące jak opale... porcelanowe ramiona, przepiękne dłonie o długich palcach i piersi Diany, których prawie nie ukrywa dekolt, czarujący uśmiech, lekkie perlisty śmiech, ruchy tancerki... kim ona jest? Motylem? Colombią? Czy wróżką z królestwa lalek? Bo, gdy tylko, jak prawdziwa wróżka, czegoś dotkniesz natychmiast zaczynała się magia. Wszystko wokół staje się niezwykle, jakby rozświetlone przez jakiś wewnętrzny ogień”. Z Arturem poznali się u Nikołaja Kulbina<sup>17</sup>, Arthur przyniósł nuty do wierszy Safony, a Olga, która właśnie wróciła z Florencji opowiadała o muzeach, freskach, obrazach, o zakonniku-franciszkaninie z pobliskiego klasztoru, który przysyłał jej kosze pełne fig, a ona zanosiła mu bukiety kwiatów. Tego wieczoru bez końca mówiła o *commedia dell’arte*, o roli maski w teatrze, o teatrze C. Gozziego. Wszystko ją interesowało; malarstwo, rzeźba, muzyka, wszystko było inspiracją. Swobodnie poruszała się w różnych technikach malarskich; gwasz, akwarela, olej - malowała pejzaże, scenki rodzajowe, kwiaty, także kompozycje religijne - te tematy przeniesie później na obrazy wyszywane. Bogactwo kolorów i prostota formy - to cechy charakterystyczne jej prac. W tym czasie Arthur Lourié staje się bardzo popularny. Zamieszkali we troje, gdyż po rozwodzie z Szylejko Achmatowa nie miała gdzie mieszkać. Arthur długo nie mógł się zdecydować, którą kocha bardziej. Jednak na koniec wybiera Olę, tę bardziej uwodzieńską, typ, jaki uwielbiają mężczyźni; bezbronna, czarująca słaba kobieta, to przeciwieństwo Anny - silnej i zdecydowanej. Achmatowa bardzo to przeżywa, lecz nie ostabia kontaktów z przyjaciółką. Gdy Nina Olszewska, o której Anna Andriejewna mówiła, „ona wie o mnie wszystko”, chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Oldze, ich wspólnym życiu i tamtej atmosferze, Achmatowa kwitowała jednym zdaniem; „Obie kochałyśmy tego samego człowieka.” Ale imienia jego nie wymieniła. W życiu Olgi był to najspokojniejszy okres. Lourié chronił ją przed tym co działo się na ulicach Piotrogradu, dbał o nią, Dzięki pozycji Arthura, który pełnił wysoką funkcję pracując w Narkomprosie<sup>18</sup>, w domu były nie tylko racje żywnościowe, była nawet przez pewien czas kucharka. Cała trójka pracuje twórczo; Arthur pisze muzykę do wierszy Błoka, Anna pracuje nad librettami, Olga szyje lalki. Blizsza staje się współpraca pomiędzy Olgą i Arturem. Zdziwiony umiejętnościami Olgi; miała słuch prawie absolutny, doskonałą pamięć muzyczną potrafiła powtórzyć i zaśpiewać wszystko co usłyszała. Znała rosyjski folklor, tańce i ludowe pieśni. Zastępna jako wspaniała odtwórczyni polki i rosyjskich tańców ludowych. Arthur chętnie korzystał z tej wiedzy. Pozornie wspaniały trójkąt, idealna współpraca; Olga, Anna, Arthur. Jest rok 1921. Dalej mieszkają razem. Aby dostać się do mieszkania należy przejść bramę, dziedziniec wewnętrzny, znaleźć czwarte wejście i pójść „czarnymi schodami”<sup>19</sup> na górę. Mieszkali w ciemnych pokojach zawieszonych ikonami, które zbierał ojciec Sudejkin Grigorij Sudejkin (za panowania cara Aleksandra III inspektor tajnej policji nazywając „żandarmem o twarzy Chrystusa”) i obrazami Siergieja. Były mąż wyjeżdżając z Petersburga mieszkanie zostawił Oldze. Arthur Lourié nie miał łatwego charakteru i mało kto go lubił, nie przepadał

17 Nikołaj Kulbin, rosyjski malarz futurysta.

18 Ludowy Komisariat Oświaty. Arthur Lourié początkowo był zwolennikiem rewolucji, aktywnym bolszewikiem, tym większe było jego rozczarowanie.

19 Czarne schody były dla służby i dostawców.

za gośćmi nie lubił nawet tych nielicznych, którzy przychodzili: Mandelsztama, Pietrowa-Wodkina, Kuzmina, Tatlina. - „Przychodzą piją herbatę, jedzą i idą sobie...”. Po wyjeździe kompozytora dzięki staraniom M. Gorkiego<sup>20</sup> przez jakiś czas Olga i Anna otrzymały „akademicką” rację żywnościową (tzw. pajok). Rozwożone po Petersburgu wozem konnym paczki zawierały; porcję koniny, sól, płatki zbożowe, tytoń i tabliczkę czekolady - bo wszyscy ci ludzie - zdaniem Gorkiego - to trochę jak dzieci. Życie stawało się coraz trudniejsze, z zapisu Dobużyńskiego - z Noworocznego spotkania (1919 r.) - „Siedziałem obok Sudejkinie. Spojrzałem na nią - jakaś wewnętrzna pustka. Siedziata jak martwa”. Z Dziennika A. Błoka - „Występowali Kuzmin i Oleczka. Jak bardzo zmieniała się twarz tej ulubienicy petersburskich estetów. Uśmiechała się, ale uśmiech był strasznie smutny”.

A jak wtedy wyglądał Petersburg - z listu Olgi Frejdenberg do Borisa Pasternaka - „Petersburg to wyludniona prowincja. Petersburg w swoim porzuceniu jest piękny, miasto z ulicami porośniętymi trawą i polnymi kwiatami wzdłuż chodników, a na ulicach pustki”. Nadzieła Tefi pisała o zniszczonych, pełnych dziur z powyrywającą kostką brukową jezdniach<sup>21</sup>, o powszechnym brudzie, o widoku zwierząt padłych na ulicach, których nikt nie uprzątał. Petersburg był głodny, szary i smutny.

Latem 1922 roku Lourié wyjeżdża do Berlina. Wykorzystał swoje oficjalne stanowisko szefa Wydziału Muzycznego Ludowego Komisariatu Oświaty i pozorując podróż służbową wydestaję się z Petersburga. Wbrew zachwytom zachodnich intelektualistów (Rollanda, Gide’a, Wellesa, Aragona, Sartre’a, londyńskiej grupy „Bloomsbery”) wyrwa się z tego „eksperymentu”, jakim była Rosja Radziecka. Uciekali, kto tylko mógł, wciąż mając nadzieję, że to chwilowe, zatrzymując sowieckie paszporty i marząc o powrocie. W tym okresie w samym Berlinie było około pół miliona Rosjan (najznamienitsze nazwiska; Nabokov, Riemizow, Biety, Ałdanow, Erenburg (niektórzy z nich powrócą do kraju, by wiele lat spędzić w więzieniu, inni zapłacą za powrót najwyższą cenę). Oczywiście Olga znała plany Arthura, znała je także odprowadzająca go Achmatowa. Wyjeżdżając zapewnia, że „ściągnie” je do siebie. Anna obiecuje przy płynąć następnym statkiem, on namawia, ona obiecuje. Gdy Anna nie odpowiada na listy (było ich 17) wysłała do Achmatowej swoją matkę, ta spotkanie kwituje zdaniem; - „Ona nigdy nie miała zamiaru wyjechać”.<sup>22</sup> W Berlinie spotyka przyjaciółkę Olgi i Anny Tamarę Persitz i bardzo szybko wchodzi w nowy związek. Po jego wyjeździe Olga i Anna nadal mieszkają na Fontance. Olga wciąż pracuje w teatrze i w Piotrogradzkiej Fabryce Porcelany gdzie tworzy figurki baletnic, tancerek, nimf. Kilka z nich znajduje się w Muzeum Rosyjskim w Petersburgu.



20 Maksim Gorki zarzucając własną pracę literacką starał się pomóc kolegom po piórze, szukając dla nich pracy, interweniował w sprawie aresztowanych.

21 W Petersburgu kostki jezdni były drewniane.

22 Po latach kompozytor (podobno) wyznał, że po wyjeździe, już na emigracji, przez cały czas szukał „drugiej Achmatowej”, aż zrozumiał, że „dwie Achmatowe” nie mogły się zdarzyć.



Widok na Newę z mieszkania Olgi i Anny.

(We Francji Olga będzie kontynuować tę pracę w manufakturze w Sèvres. Figurki z Sèvres kilkakrotnie wystawiała w Muzeum Galiere w roku 1934 i 1935.)

Pracując w fabryce porcelany dostaje przydziałowe mieszkanie z widokiem na Newę, róg Fontanki i rzeki Newy. (Przyjaciółki kilkakrotnie się przeprowadzały, ale mieszkania zawsze były przy nabrzeżu Newy, lub w pobliżu kanału Fontanki.)

Nadzieżdza Mandelsztam, której nieobce były ironia i sarkazm tak opisuje ich mieszkanie: „W pierwszym pokoju, w którym byłam, stało dużo porcelanowych figurek, nie znoszę tego fajansu, dla mnie wydają się należeć do świata homoseksualistów. A potem figurki zniknęły. Olga Glebowa-Sudiejkina sprzedała je by mieć czym opłacić wyjazd. Te, które pozostały przez lata stały za szkłem w różnych mieszkaniach Achmatowej. Natomiast na ścianach wisiły ikony<sup>23</sup> ze zbiorów Grigorija Sudiejkina, ojca Siergieja. Oleńka była w ciągłym ruchu. Często spotykałam ją na ulicy biegnącą załatwiać jakieś formalności, sprzedającą rzeczy”. Jest rok 1924 Korniej Czukowski po wizycie (tuż przed wyjazdem Olgi) - „Sudiejkina i Achmatowa - bez pieniędzy, bez mężów, żal ich! Achmatowa siedzi na wprost pieca, w kominku pali się świeca, jest południe, na pytanie odpowiada: Nie mamy zapatek, a później trzeba napalić w piecu. Achmatowa wygląda jak straszny szkielet odziany w tachmany”.<sup>24</sup>

A co dalej... Dalej zaczęła się epoka nieopisanego zezwolenia i w takim świecie krucha, żyjąca sztuką istota nie mogłaby przetrwać. Już na pogrzebie Błoka przyjaciółka zwierza się Annie, że zamierza wyjechać z kraju. Poetka próbowała odwieść ją od tego pomysłu, jednak Olga podjęła już decyzję, urzeczywistnić ją udało się dopiero po trzech latach, Achmatowa była już wtedy żoną Punina. Pomógł wyjechać Oldze Anatolij Łunaczarski, a także Strawiński, którego prosili o wstawiennictwo i Wiera Sudiejkina i Lourié. Łunaczarski w tym czasie był jeszcze ludowym komisarzem oświaty, ale już nie czuł się pewnie, więc dla czego pomagał narażając się podobnie jak uciekający, za mniejsze przewinienia stawiano

<sup>23</sup> Później przejęła je Irina Punina córka trzeciego męża Achmatowej Nikolaja Punina.

<sup>24</sup> Korniej Czukowski „Dziennik”(1901-1929)

wtedy pod ścianę, a wystawiane przez niego zezwolenia na wyjazd w celach służbowych nie były w pełni wiarygodne. Tak z pewnością wyjechali; Chagall, Odojewcowa, Annienski i Iwanow, i także Olga. Mając taką delegację należało się spieszyć, by ktoś nie dopatrzył się nieprawidłowości. Wyjeżdżając w 1924 roku Olga powierza Achmatowej część lalek (pojedyncze znajdują się w muzeum „Dom na Fontance”), zeszyty z wierszami, listy Kniaziewa, malowane ręcznie porcelanowe figurki, talerzyki, filiżanki, karnawalowe ozdoby - wszystko to zostawia w dużym kufrze w nowym mieszkaniu Achmatowej na Fontance (pałac Szeremietiewa). W 1955 roku, będąc w Paryżu, całe to archiwum Achmatowa przekazała É. Moch-Bickert<sup>25</sup>, pierwszej biografce Olgi Afanasjewnej. Olga wyjechała z jedną walizką pełną porcelanowych figurek, pięknych lalek, to one były poświadczeniem (podobnie jak obrazy w przypadku Chagalla) dla mającej się w Berlinie odbyć wystawy, a tak na prawdę pomogły przekroczyć granicę. Była to droga wydeptana przez wielu poprzedników. Do mieszkania za granicą nie mogła się przyczepić. Berlin ją irytował, irytowała moda przesiadywania w kawiarniach; Styn-



Wnętrze Prager Diele

na kawiarnia „Prager Diele” na Prager Platz, w której spotykali się emigranci, gdzie (wymieniano się informacjami i organizowano pomoc, to był „kawalek ich ojczyzny”).

<sup>25</sup> W sumie pozostało około 50 prac Olgi, w tym; lalki, figurki, tłumaczenia, hafty, rysunki, pejzaże, wszystkie te prace rozszanie są po muzeach Francji, Belgii i Rosji. Éliane Moch-Bickert bardzo starannie zbierała wszelkie pamiątki po artystce, jeżdżąc po całej Europie.

<sup>26</sup> Cztery zeszyty z tłumaczeniami znajdują się w Muzeum Anny Achmatowej w Sankt Petersburgu. Tomik poezji Baudelaire'a w tłumaczeniu na język rosyjski wydano w Paryżu.

Berlin stał się kulturalną stolicą rosyjskiej emigracji. Masowo wydawano w języku rosyjskim czasopisma, powstawały rosyjskie wydawnictwa, księgarnie, związki twórcze, kawiarnie literackie i teatry. A Olga pisze wtedy do Fiodora Sotoguba; - „Tęsknię za Rosją, zdarza się, że płaczę z tęsknoty. Ja, grzesznik, tak naprawdę nie lubię Europy. Myślę, że nadal jesteśmy lepsi w domu”. Po 1925 roku „rosyjski Berlin” pustoszeje, a centrum emigracji przenosi się do Paryża. W Berlinie prawie rok mieszkała u przyjaciółki Nory Lidar, następnie приятели (znowu Igor Strawiński i Wiera Sudiejkina) pomogli wyrobić paszport francuski i Olga wyjeżdża do Paryża. Tak zaczęła życie „Damy z ptakami”.

### La dame aux oiseaux.<sup>26</sup>



Jurija Annienkova portret Olgi Sudiejkinie

Pierwszą osobą napotkaną w Paryżu był Arthur Lourié, i tutaj spotkał ją największy zawód, przecież z Rosji wyjeżdżała dla niego, ale u Arthura była już nowa dama (Tamara Persitz), którą wkrótce zamieni na jeszcze inną „bardziej perspektywną”, jak określali to złośliwcy. Olga zatrzymała się w tym samym, co Arthur i Tamara, maleńkim hoteliku Pretty na rue Amélie<sup>27</sup> z widokiem na wieżę Eiffla. Od samego początku w Paryżu źle jej się żyło.



Hotel Pretty już nie istnieje

Porcelanowe figurki sprzedała jeszcze w Berlinie, zostało jedynie kilka lalek. Z kobiecą naiwnością zakładała, że Arthur do niej wróci. Hotelik przy rue Amélie okazał się zbyt drogi. Długo szukała tańszego mieszkania, znalazła na siódmym piętrze w pobliżu bramy Saint-Cloud. W Paryżu, podobnie jak w Petersburgu zaraz pojawili się kochankowie

<sup>26</sup> Tak nazwała ją konserżka domu w którym mieszkała Olga Glebowa-Sudiejkina

<sup>27</sup> „Pretty” na rue Amélie, podobnie jak hotel „Istria” na rue Campagne-Première były najczęściej pierwszymi adresami rosyjskich uciekinierów.

→ wie, niekoniecznie po kolei. Można wylizczyć całkiem niezły zestaw znakomitości, wśród nich; Georgij Iwanow, Nikołaj Milioti, Sawielij Sorin - ten sam, z którym wyjechała do Włoch po głośnym skandalu na pogrzebie Kniaziewa, był Arthur Lourié, ale już bardziej z przyzwyczajenia. Znowu zaczęto utwierdzać ją w przekonaniu o niezwykłości, wspomagać drobnymi sumami. Ale wszyscy ci znajomi, znajome, spotykani w soborze św. Aleksandra Newskiego na rue Daru, maleńkiej cerkiewce na rue Laumiére, w La Rotonde", w kawiarniach Momtparnase'u, czy Mommartre'u w końcu mieli swoje własne sprawy. Spotykała się w małym kręgu znajomych (Na wzór literackich spotkań w Petersburgu.), który nazwała „Rosyjskim Klubem w Paryżu” i czytała tam wiersze. Podobno miała niezwykły dar interpretacji, malowania głosem. Pomagał Oldze także były mąż, nie bezinteresownie jednak. Olga odkryła, że Wiera przekroczyła granicę na jej paszporcie, bo Sudiejkin ożenił się z Wierą de Busset będąc jeszcze prawowitym mężem Olgi, żeby uniknąć skandalu i spotkania z francuską prefekturą, czym groziła mu Olga, pomagał byłej żonie finansowo, lecz nie można było tego przeciągać w nieskończoność. Olga musiała zgodzić się na rozwód tracąc źródło dochodu. Zarabiała na życie wyszywając lub robiąc lalki. Wielu artystów uznawało lalki (obok malarstwa i rysunku) za rodzaj wyrazu artystycznego. Najbardziej znane w Paryżu były lalki Stefanii Łazarskiej i Marii Wasiliewej. Olga szyła lalki już w Petersburgu i Arthur widząc efekty pracy nazywał ją; „Olga - złote palce”. Były to prawdziwe arcydzieła z określonymi rysami twarzy; Don Juan, Królowa Nocy, Hamlet, Desdemona, były też baleriny w baletkach i tutusach, tancerze w regionalnych strojach, markizy i paziowie, fruwające amorki, Colombina ze smutnym Pierro, Lilith, Madonna z dzieciątkiem, potrafiła igłą i nitką wyczarować rysy znanych postaci; Daper-tutto-Meyerhold, Jokanaan (Jan Chrzciciel z „Salome” Wilde'a) to - Władimir Szylejko, Faust-Wiaczesław Iwanow, a także młody huzar - Wsiewołod Kniaziew. W Paryżu tworzyła portrety celebrytów, artystów, ludzi znanych. Jednak utrzymać się z tego było trudno, gdyż i nici, i materiały nie były tanie, a zawsze używała złotych nici i drogich materiałów, poza tym wyszywanie było pracochłonne. Tłumaczyła wiersze z rosyjskiego na francuski i z francuskiego na rosyjski. Tłumaczyła Baudelaire'a „Kwiaty złota”, wiersze Verlaine'a, i Mallarmé'go. Wiersze zapisywała w zeszytach. Część zeszytów z tłumaczeniami odnaleziono dopiero w 1966 roku. Przypadek sprawił, że zamiast malować zaczęła pejzaże wyszywać... tworzyła obrazy igłą i nitką. Hafty te zdobione srebrnymi i złotymi nićmi potyskujące, mieniące się, przypominały mozaiki. Sawielij Sorin wtedy już bardzo znany i „rozchwytywany” portrecista namalował na zamówienie portret przyszłej królowej Anglii Elżbiety i zaproponował, by to samo wyszyła na poduszce - praca bardzo się spodobała, wykonała jeszcze kilka takich portretów-poduszek, lecz odmówiła, gdy Sorin zaproponował, by to samo robiła dla bogatych Amerykanek. Ale i tutaj (w Paryżu) zrobiło się niespokojnie. W 1932 roku rosyjski emigrant Paul Gorguloff (właśc. Pawieł Timofiejewicz Gorgulow) dokonał zamachu na prezydenta Francji Paula Doumera. Śmierć prezydenta spowodowała wśród emigracji popłoch. Rosjanie bali się wychodzić na ulice, a wielu z nich szukało nowego schronienia; najczęściej w Ameryce i Argentynie.



**Клетка с птицами. Рисунок О. Глебовой-Судейкиной. 1930-е. Собрание Э. Мок-Бикер. Париж**

Klatka z ptakami, rysunek Olgi Glebowej-Sudiejkinej

*Jak powstała legenda o „damie z ptakami” - la dame aux oiseaux.*

Tamara Persitz rozstała się z Arthurem, a właściwie to Lourié, zostawił Tamarę dla bogatej wnuczki wielkiego księcia Aleksieja Konstantynowicza i z nią wyjechał do USA. Tamara wylewać łzy pojechała na Lazurowe Wybrzeże, a Olę poprosiła o zaopiekowanie się jej ptakami. Olga klatkę wzięła do siebie i z czasem ptaki stały się dla niej bardzo ważne, były jej jedyną pociechą.

Persitz po powrocie widząc zaangażowanie Olgi nie miała sumienia ich zabrać, wystarczyło, że zabrała jej ukochanego. Ktoś ze znajomych także podarował ptaka, Olga stopniowo zaczęła kupować sama. Ptaki lubiła zawsze, jeszcze w Petersburgu, gdy razem z Sudiejkinem mieszkali niedaleko Letniego Ogrodu w domu była klatka z kanarkiem. Pewnego razu wracając od marszanda, któremu korzystnie sprzedała obraz zatrzymała się przed sklepem z pta-

kami i wyszła z klatką pełną kolorowych egzotycznych ptaków. Później nazbierało się ich prawie sto, od zwykłych wróbli, do wspaniałych, rzadko spotykanych. Wszystkim nadawała imiona. Małe mieszkanko zaroilo się od ptaków, które stały się sensem jej życia. To z ich powodu ciągle niedojadała, bo ziarno było drogie. Ludmiła Zamiatina (żona dramaturga Jewgienija Zamiatina) w czasie wojny widywała Olę zbierającą na ulicy okrucy chleba dla swoich podopiecznych. Balkon zamieniła w ogromną wolierę, by ptaki miały swobodę. Pozwalała im na wszystko, jedynie na noc wędrowały do klatek. Z powodu ptaków zaczęto jej unikać. Wszyscy w okolicy wiedzieli o ptakach, gdyż często musiała szukać uciekinierów na ulicy, bo wśród nich były gatunki, które nie potrafiły żyć poza klatką - to ich szukała, gdy uciekały z domu. Stąd określenie - „la Dame aux oiseaux” („dama z ptakami”). A sama Olga tłumaczyła to w ten sposób; - „Pominnam pomagać ludziom, ale jestem



zbyt biedna, więc zajmuję się ptakami". Bardzo nie lubiła zostawiać ptaków więc rzadko wychodziła z domu, ale zdarzało się, że w czasie lata korzystała z zaproszeń przyjaciół i wtedy przed podmiejskim, lub wiejskim domem zatrzymywała się taksówka wypełniona klatkami.

Lata mijały; już rzadziej pisano o niej wiersze, ale pewnego razu odwiedził ją poeta, Igor Siewierianin będący przejazdem w Paryżu. Olgę pamiętał jeszcze z Petersburga... „...najbardziej czarująca ze wszystkich bywalczyń „Bezpańskiego Psa”. Pod wpływem tamtego spotkania napisał; - „Już któryś rok mieszka na siódmym piętrze w maleńkim pokoiku przypominającym mogiłkę. W milionowym mieście jest zupełnie sama. Przydałaby się choć jedna bratnia dusza”.

Przed wyjazdem do Ameryki Lourié namawiał ją, by przeprowadziła się do jego mieszkania w 16. dzielnicy przy avenue Mozart, mieszkanie było znacznie wygodniejsze, ale nie mogła tam zabrać ze sobą swoich ulubieńców. „Na pożegnanie (rok 1941) podarowała mi miedziany krzyż i chleb. Oboje zalewaliśmy się łzami opłakując młodość i utraconą Europę. Olga Afanasjewna Glebova-Sudieikina, magiczna wróżka z Petersburga, wkroczyła w moje życie na rok przed I wojną światową. Żyła tylko sztuką, tworząc z niej kult... Olga Afanasjewna była jedną z najbardziej utalentowanych natur, jakie kiedykolwiek spotkałem...”.<sup>28</sup>

W czasie wojny nigdy nie schodziła do schronu... kiedyś wieczorem namówiona przez sąsiadkę zesza biorąc ze sobą tylko dwa gotębie i pudełko z niedokończonym haftem. Gdy wróciła w miejscu jej mieszkania była wyrwa, a ciała ptaków leżały na ulicy. Tych, które nie zginęły szukała, wołała, ale przerażone nie powróciły.

Wtedy zaczęła chorować. Odnowiła się dawna choroba (suchoty) na którą chorowała jeszcze w Petersburgu. W zbombardowanym domu nie dało się mieszkać. Początkowo przyczerpała ją rosyjska znajoma Jewgienija Ptawska. Następnie francuscy znajomi z rue Varenne oddali jej rue Varenne pokój z dużym piecem (przypominającym ten w rodzinnym domu) i meblami z surowego drewna... Sudiejkina pomalowała meble, urządziła przytulnie pokój, ale po tamtym bombardowaniu bardzo źle znosiła naloty. Sawielij Sorin opowiadał Sudiejkiniowi o biedzie w jakiej żyje Olga, pisał, że często głoduje, ale na jakąkolwiek pomoc było już chyba za późno. „Piołunem karmi ziemia cudza...” - to słowa Anny Achmatowej. Na kilka dni przed śmiercią znalazła się w szpitalu miejskim Boucicaud przy rue Lacordaire. Tam odwiedził ją Milioti, wiele lat temu był kierowcą na ślubie Olgi i Siergieja, później jej kochankiem, a teraz zaskoczony zmianą jaką nastąpiła pisał do Sudiejkina; „Olga siedzi na łóżku skurczona, pozawijana w chusty, skarżyła się na zimno w sali, na otwierane okna, siedzi przygarbiona z przerażeniem w oczach”. A jeszcze kilka dni później napisał (Sudiejkin mieszkał wtedy w USA, jak wielu, zmuszony do ponownej emigracji, jeszcze dalej, za ocean.); - „W nocy, z dwunastego na trzynasty stycznia, w czasie śnieżnej burzy umarła Olga”.

Jak to mogło być, że kochali ją do obłądzenia, do samobójstwa, uwielbiali, kochali „jak nikogo”, po czym porzucali... w odpowiedzi na list Nikołaja Miliotiego Siergiej Sudiejkin napisał; „ Nie pisz mi już



więcej o Oldze, to jest nie do zniesienia”. W przeddzień śmierci odwiedził Olgę Afanasjewną ojciec Serafin z cerkwi przy rue Laumière wtedy opowiedziała mu swój sen. W noc poprzedzającą wizytę ojca Serafina przysniły jej się wszystkie hodowlane przez nią ptaki, przeleciały przez salę, posiedziły obok niej i odleciały, został tylko jeden biały gotąb... i ten próbował odlecieć, ale rozbił się o szybę... - To chyba moja śmierć - powiedziała do ojca Serafina.

Dzień w którym chowano Olgę był słoneczny, prawie wiosenny (25 stycznia 1945 rok). Na pogrzebie, tak jak wiele lat wcześniej przewidywała i powiedziała o tym Annie Achmatowej - „...mam tylu przyjaciół, a na pogrzeb przyjdzie czternaście osób”. Jedni twierdzą, że „była nieliczna czternastoosobowa grupka”, inni, że było znacznie więcej. Pochowano ją na cmentarzu Saint Genevieve des Bois, który jest jednym z najładniejszych i jednocześnie

największą nekropolią rosyjskich wygnañców. Po śnieżnej nocy, w ten piękny słoneczny dzień z jakiegoś powodu, choć był to styczeń, na cmentarzu rozpiewały się ptaki.

Wśród uciekinierów, którzy szybko stali się wiecznymi emigrantami był Geоргий Iwanow - już na emigracji (w 1922r.) napisał...

Styczniowy dzień. Nad Nową śnieg zacina  
I tchnie ruiną wiatr. Ach, gdzie znajome?  
Gdzie jest, ach, gdzie Oleczka Sudiejkina,  
Achmatowa i Pallas, i Salome ?

W trzynastym roku wszystkie w blasku sławy,  
A dziś na lodzie petersburskim zjawy.

(PRZEŁOŻYL A. POMORSKI)

(FOT. K. ŚMIECHOWICZ)

28 A. Lourié „Ze wspomnień” (Princeton 1965r.)

## Guillevic

1992

Dla Octavia Paza

\*

Mam zaledwie  
Osiemdziesiąt cztery lata,

Zaczynam się  
Przyzwyczajając się do świata.

Kiedy będę stary,  
Bardzo stary,

Możliwe,  
Że stanę się nim

Na dobre.  
Jak koźlątko.

30.01.92

\*

Nic nie odkupi przeszłości,  
Śpiewał kos  
W koronie czereśni.

Moje cierpienie  
Jest stale obecne.

Przekształcam je  
W śpiew

Do mnie, dla mnie,  
O równinie  
I lasach, które są wokół.

A gniazdo znów zrobię.

12.02.92

\*

Czemu poranku  
Patrzysz na mnie,  
Jakbym był niczym ?

Mylisz się.  
I to jak!

Nie jestem korkiem,  
Którego fale rzucają  
Jak chcą.

Jestem odpowiedzialny –  
Nawet za widnokrąg,  
Nawet za wiatr,

Nawet za ciebie.

18.02.92

Przekład z j. francuskiego: Kazimierz Brakoniecki

Czereśnia w kwiatach.  
Chcą mi wmówić,

Że ty nie wiesz  
Nawet, że żyjesz.

Że sok w tobie płynie  
Bez twojej woli,

Że pączkujesz i dajesz owoce  
Nie ciesząc się sobą.

A ty,  
Co ty myślisz o tym?

14.04.92

\*

Jestem tylko jednym głosem  
W tym, co w całości  
Jest kosmosem –

Zupełnie małym głosem –

A jednak wydaje mi się,  
Że ktoś mnie słucha,  
Że z kimś rozmawiam.

30.07.92

\*

- Nikt, nigdy  
Nie pójdzie  
Na jego grób.  
- O kim mówisz ?  
- O czasie.

BELLEY, 21.08.92

\*

Wróblu,  
Przestań skakać,  
Podlatywać, dziobać.

Wystarczająco dużo nam pokazałeś,  
Co potrafisz.  
Coś kombinujesz.

Za często nam wmawiasz,  
Że my ludzie  
Jesteśmy matołami.

20.10.92

\*

Tak, mrówko,  
Mała istotko  
Z wyglądu.

Samej sobie  
Opowiadasz tajemnice  
Stworzenia.

28.11.92

1994

\*  
Szukam w sobie  
Mojego boga.  
  
Od czasu do czasu  
Go znajduję.  
  
To jest to,  
  
Co jest najbardziej tajemne,  
Najbardziej intymne,  
  
A może najbardziej wysokie?

Zdarza się  
Że się kochamy,  
  
Chyba że coś nam  
W tym spotkaniu przeszkodzi,  
  
Kiedy jesteśmy  
  
Środkiem światła  
Tego, co nas posiada.

21.03.94

\*  
Żeby być sobą  
Staję się drzewem.  
  
Nie dębem,  
Jest zbyt skoncentrowany na sobie.  
  
Raczej topolą  
Na poboczu drogi,  
  
Która daleko widzi  
I panuje nad ruchem,  
  
Nie boi się horyzontu,  
Godzi się na wszelkie wiatry.

29.03.94

\*  
Iryście,  
Wpadam w rozpacz z twojego powodu.  
  
Ale żyć będę  
Jak żyją inni ludzie,  
  
Którzy tak samo próbowali  
Zakwitnąć.

LAON,04.04.94

Ten las

\*

Zajmuje się  
Tylko sobą.To widać,  
To czuć.Od wewnątrz  
I zewnątrz.

19.06.94

\*

Dla Denise i Alexa

Reneto,  
Taka jesteś niewielkaW tym wszechświecie,  
Który nie ma granic –A jednak objawiasz więcej,  
Niż pokazuje twój kształt.Jesteś wcieleniem  
Mocy,Która ożywia nasz świat,  
Mieszka w naszej ziemi,Daje sok drzewu,  
które cię rodzi i żywi,

I przez ciebie do mnie mówię.

BEELLEY,21.07.94

Guillevic (1907–1997), największy poeta francuski pochodzenia bretońskiego XX stulecia. Debiutował tomem wierszy „Terraqué” w 1942 roku, który uznany został wraz z debiutanckim tomem wierszy Francisca Ponge’a za manifest poezji konkretnej, zwracającej się do rzeczy, do przedmiotu, do codzienności. Główne tomy: „Exécutoire”(1947); „Carnac” (1961); „Sphère” (1963); „Paroi” (1970); „Inclus” (1973); „Du domaine”(1977); „Autres” (1980); „Le Chant” (1990); „Maintenant” (1993); „Possible “futures. Poèmes 1982-1994” (1996); pośmiertnie „Présent” (2004); „Relier” (2007). Tłumaczony na wiele obcych języków i sam wybitny tłumacz poezji niemieckiej. Jeden z najoryginalniejszych poetów francuskich, odnowiciel poezji opisowo-refleksyjnej zwanej „pre-sokratejską”; czulej medytacji poetyckiej nad światem, w której łączył w panteistycznej iluminacji to, co skończone, zmysłowe, widzialne z tym, co refleksyjne, nieskończone, duchowe ( bez podziału na wewnątrz-zewnątrz, fizyczne-duchowe). Sam nazywał swoją zwięzłą, epifanijną poezję „podrealizmem”, którą lubił zakorzeniać w elementarnej, konkretnej i płynnej empirii życia: mistyk materialności, ekstazy poeta kontemplacji. Laureat wielu znaczących nagród, m.in. Prix Bretagne, Grand Prix de Poésie de l’Académie Française, Grand Prix National de Poésie.

Publikowane wiersze ukażą się pod koniec 2024 r. w nowym wyborze poezji Guillevica „Mieszkańcy światła” w wyd. FORMA w tłumaczeniach K. Brakonieckiego.

# ANIARA ZNACZY ROZPACZ

Epicki poemat *Aniara* Harry'ego Martinsona, wybitnego szwedzkiego poety, powieściopisarza, dramaturga i malarza, ukazał się w roku 1956 w Sztokholmie i wkrótce - głównie dzięki przeróbce na operę - stał się znany na całym świecie. Krytycy zaliczyli *Aniarę* do najważniejszych dzieł współczesnej literatury szwedzkiej i światowej ze względu na głębię i tragizm przedstawionej w nim wizji ludzkiego losu.

Nie sposób się z tą oceną nie zgodzić dziś, w trzeciej dekadzie XXI wieku - siedemdziesiąt lat później - kiedy dla ogółu mieszkańców Ziemi jest oczywiste, że owa tragiczna wizja *Zagłady Ludzkości* z profetycznego poematu właśnie zaczyna się urzeczywistniać. Każdy dzień dostarcza porażających na to dowodów, a one - co najsmutniejsze - wskazują na walny udział człowieka w owym szaleńczym dziele samozniszczenia i na nasze nikłe odruchy samoobrony, nierzadko zresztą - co niepojęte - kwestionowane i udaremniane.

Srogość kosmosu nie większa niż ludzka.

Twardość człowieka równa jest i większa.

Na ziemi pustka obozowej celi kamiennym niebem więzi ludzką duszę,  
słysząc, jak zimny kamień odpowiada:

tu władza człowieka. Tu jest *Aniara*.

(Z PIEŚNI 100, PRZEKŁAD ZYGMUNTA ŁANOWSKIEGO)<sup>1</sup>

A oto „ostatnie chwile epoki człowieka” w widzeniu poety-wizjonera:

Ku Liry gwiazdom mknął niepostrzeżenie  
goldoner przez lat piętnaście tysięcy -  
muzeum rzeczy i człowieczych kości  
i suchych ziół i roślin z lasu Doris.  
Zamknięci w naszym wielkim sarkofagu  
mknęliśmy dalej w to pustyńne morze,  
gdzie noc przestworzy od dnia oderwana  
grób nasz sklepiła metaliczną ciszą.

Przy grobie Mimy legliśmy tu kręgiem  
w wolny od winy proch już przemienieni  
i wyzwoleni od gwiazd gorzkich ukłuć.  
I już ogarnia nas fala Nirwany.

<sup>1</sup> Cytuję za: *W Sali zwierciadeł. Antologia poezji szwedzkiej (1928-1978)*. Wybrał i opracował Zygmunt Łanowski. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1980, s. 71-73.

(Z PIEŚNI 103,  
PRZEKŁAD ZYGMUNTA ŁANOWSKIEGO)<sup>2</sup>

Jak można się zorientować z przywołanych fragmentów, *Aniara* to fantastyczno-alegoryczna opowieść o wyprawie kosmicznej, która miała przynieść ocalenie ośmiu tysiącom mieszkańców Ziemi, spustoszonej wojnami i skażonej promieniowaniem atomowym, lecz przyniosła zgubę. Zdążający początkowo do Marsa statek o nazwie „*Aniara*”, w wyniku kolizji z kosmicznymi śmieciami, zbaczając z kursu i rozpoczynając nie mającą końca podróż do gwiazdozbioru Liry, czyli donikąd. Pasażerowie, zrazu nieświadomi, że ów „dziwny lot” oddzieli ich bezpowrotnie „od słońca i ziemi, Marsa i Wenus, i Doliny Doris”<sup>3</sup>, pełni zaufania do techniki, stopniowo ulegają panice, rozpaczają i poczuciu beznadziei. Głównym motywem poematu staje się strach, który poraża wszystkich i wywołuje pragnienie śmierci. Po piętnastu tysiącach lat lotu przez czarne pustyńne morze statek kosmiczny jest wielkim sarkofagiem, w którym ludzie trwają w proch przemienieni i wolni od wszelkich uczuć, przede wszystkim od cierpienia.

*Aniara* powstawała w okresie 1953-1956, podczas szczytowego natężenia wrogiej rywalizacji między Wschodem i Zachodem, kiedy wybuch trzeciej wojny światowej - wojny atomowej! - zdawał się nieuchronny. Martinson, który wiedział, jakim państwem jest naprawdę ZSRR, gościł bowiem w Moskwie w roku 1934, a na przełomie 1939/1940 brał udział po stronie Finów w wojnie fińsko-sowieckiej, traktował groźbę użycia bomby atomowej przez Sowietów jak najpoważniej. *Aniara* miała być więc ostrzeżeniem dla świata.

Ale nie tylko. Zdaniem interpretatorów poematu, znamieny dla twórczości Martinsona - „wędrowcy świata” - motyw wędrowki znalazł tu, w potęczeniu z konwencją *science fiction*, nowe zastosowanie jako sposób przedstawienia moralnej degradacji człowieka doby wojen światowych i atomu. Degradacji, której katastrofalnym skutkiem jest przemiana Ziemi - „klejnotu w naszym systemie słonecznym”, w „zniszczoną, zatrutą jadłem krainę”, z której Bóg i Szatan uciekli przed ludźmi, „co są królami popiołu”. (Popiołu z krematoriów - żeby postawić kropkę nad i). A sam autor nazwał *Aniarę* podróżą człowieka XX wieku przez własną wewnętrzną pustkę.

Tytułowe słowo *aniara* jest neologizmem, utworzonym przez Martinsona, niejednoznaczny i na różne sposoby interpretowanym. Na potrzeby niniejszego tekstu przyjmijmy za włoskim tłumaczem poematu, że jest to słowo greckiego pochodzenia, w wolnym przekładzie oznaczające rozpacz. Statek kosmiczny wszak, który miał być dla ośmiu tysięcy pasażerów biblijną Arką ocalenia, stał się wehikułem śmierci i nicości. Nazwa *Rozpacz* byłaby więc dla niego uzasadniona.

Kiedy Martinson ogłaszał w roku 1956 roku swój futurologiczny utwór antywojenny, nie wiedział, że za chwilę jego czarna

wizja przyszłości świata zacznie się konkretyzować. Tymczasem 4 października 1957, w ramach zimnowojennej rywalizacji między ZSRR a USA, na orbitę Ziemi został wyniesiony pierwszy sztuczny satelita - sowiecki Sputnik 1, miesiąc później, 3 listopada - Sputnik 2 z suczką Łajką na pokładzie (spłonął 14 kwietnia 1958), a 12 kwietnia 1961 Jurij Gagarin Wostokiem 1 okrążył Ziemię w przestrzeni kosmicznej. Sowietci triumfowali, Amerykanie ponosili haniebne porażki: 5 maja 1961 statek misji Mercury o nazwie własnej Freedom 7, z Alanem Shepardem w kapsule, po piętnastu minutach lotu wpadł do Atlantyku, 21 lipca tegoż roku Liberty Bell 7 z Virgilem Grissomem również krótko po starcie wodował w oceanie. Złą passę przerwał 20 lutego 1962 Johna Glenn, który na statku Friendship 7 wykonał z powodzeniem pierwszy amerykański lot orbitalny, a spektakularne lądowanie na Księżycu Neila Armstronga w dniu 20 lipca 1969, w ramach misji Apollo 11, zapewniło Stanom Zjednoczonym prowadzenie w tym zaciekle wyścigu - równoległym do wyścigu zbrojeń.

Przez lata trwania tego upiornego ringu gigantów koniec świata w wyniku eksplozji tysięcy bomb nuklearnych zdawał się bardziej niż prawdopodobny. Rozwój techniki postępował w niebywałym tempie, związane z nim ocieplenie klimatu zaczęło wysyłać sygnały ostrzegawcze, a to potęgowało i tak już powszechny niepokój.

Wrzecz z zakończeniem zimnej wojny (1991) - dziś wiemy, że złudnym, skłamanym - rywalizacja mocarstw nuklearnych ustata, przynajmniej oficjalnie, a eksploracją wszechświata zajęły się - pod egidą Międzynarodowej Stacji Kosmicznej - rządowe agencje co zamożniejszych państw i pracują zgodnie i konstruktywnie nad załogowymi misjami na Księżyc oraz, w odleglejszej perspektywie, na Marsa. Przyswieca im idea zapewnienia rodzajowi ludzkiemu możliwości RZETRWANIA, gdy już dojdzie do tego, że na macierzystej planecie nie da się żyć, gdy nasza piękna, szczodra i aż nadto cierpliwa Ziemia sponie w ogniu niegasnących pożarów, utonie we wzbierających wodach oceanów, zadławi się nieczystościami, zatruje toksycznymi odpadami, a my będziemy ginąc od głodu, ognia i wojny. Wojny jądrowej, ostatecznej.

Tu wypada wrócić do punktu wyjścia, do poematu Martinsona o misji statku międzyplanetarnego „*Aniara*”, który miał spełnić rolę biblijnej Arki Noego wobec garstki wybrańców, ale - zawiódł: stał się dla swych pasażerów straszliwą pułapką. Czy mogło być inaczej? Genialny wytwór ludzkiego umysłu, cud techniki w konfrontacji z BEZMIAREM okazał się marnym pyłkiem, bezużytecznym okruczem metalu.

Czy zatem jest możliwe zbudowanie pojazdu zdolnego przebyć NIESKONCZONE PUSTYNNNE MORZE i dotrzeć do jakiejś drugiej Ziemi, która być może istnieje gdzieś na krańcach Wszechświata oddalona o miliardy lat świetlnych i gościnnie przyjmie uchodźców wojennych z Układu Słonecznego? Astronomowie, astrofizycy, aironauci mówią: nie, niemożliwe, albo: bardzo mało prawdopodobne. Lecz am-

<sup>2</sup> Jak wyżej.

<sup>3</sup> Jak wyżej, z pieśni 2.

bitni młodzi marzyciele nie przestają śnić o niemożliwych podbojach i projektować cudownych maszyn - wbrew sceptykom i niedowiarkom. Na razie udało im się potaskać niedostępnego Marsa mackami sondy Pathfinders i małego, dzielnego łazika Perseverence.

Może więc możliwe jest zapobieżenie Zagładzie Ludzkości? Może rozwój techniki przyniesie kiedyś - miast degradacji - duchowy wzrost człowieka? (Pytanie: czy mamy dość czasu, aby na ten ewentualny cud czekać?)

Na koniec garść informacji o Harrym Edmundzie Martinsonie. Urodził się 6 maja 1904 roku w Jämshög (prowincja Blekinge), zmarł 11 lutego 1978 w Sztokholmie. Osierocony przez ojca w wieku lat sześciu i porzucony przez matkę (która wyjechała do USA, zostawiając liczne potomstwo na łasce lokalnej społeczności), dzieciństwo spędził w zakładzie wychowawczym, przytułku dla ubogich i w rodzinie zastępczej. W wieku szesnastu lat zaciągnął się na statek i przez siedem lat pływał po morzach, pracując jako marynarz pokładowy, palacz i węglarz. Zwiedził w tym czasie cały świat, pracując jako robotnik portowy w Chinach, Indiach i Ameryce Południowej. Upodobawszy sobie wędrowny tryb życia, przeszedł pieszo z Urugwaju do Brazylii. Z początkami gruźlicy wrócił w 1927 roku do Szwecji. Pierwszy zbiór wierszy wydał dwa lata później. Uznanie przyniósł mu tomik *Nomad* ('nomada', 1931), w którym po raz pierwszy pojawił się znamienny dla jego twórczości motyw „wędrowcy świata”. Piewca piękna natury i radości życia, w 1934 roku opublikował zbiór wierszy pt. *Natur*. Liczne powieści Martinsona to przeważnie jego zbeletryzowana autobiografia. Najstojniejsza z nich, *Droga do Klockrike*, ukazała się w roku 1948 (i jako jedyna jest osiągalna w przekładzie polskim). W roku 1949 pisarz został członkiem Akademii Szwedzkiej.

Międzynarodowy rozgłos przyniosła mu - powtórzmy - *Aniara* z roku 1956, która pod postacią opery dotarła do mieszkańców całej Europy i w efekcie doczekała się przekładów na dwanaście języków, a całkiem niedawno (w roku 2018) ekranizacji<sup>4</sup>. W Polsce jest znana jedynie z fragmentów, choć podobno istnieje i daremnie czeka na wydawcę przekład całości. Pieśni 2, 5, 73, 100 i 103 (ostatnią), we własnym przekładzie, opublikował Zygmunta Łanowski na kartach antologii poezji szwedzkiej *W Sali zwierciadeł*, którą sam ułożył i opracował. Pieśni 13, 53, 85 umieścił Janusz B. Roszkowski, ich tłumacz, w wyborze wierszy Harry'ego Martinsona z roku 1995<sup>5</sup>.

Zbiór wierszy Martinsona *Vagnen* ('wóz') z roku 1960 - w swoim czasie niedoceniony - dziś jest zaliczany do największych osiągnięć szwedzkiej liryki.

Wielki i sławny, pod koniec życia (1974) uhonorowany Nagrodą Nobla, lecz nierozumiany, nieakceptowany i brutalnie krytykowany, Harry Martinson popełnił seppuku. Zastępuje na przypomnienie i na baczną uwagę.

MARIA JENTYS-BORELOWSKA

<sup>4</sup> *Aniara*. Dramat filmowy science fiction. Scenariusz i reżyseria Pella Kagerman, Hugo Lilja, produkcja szwedzko-duńsko-amerykańska; 4 nagrody; premiera światowa 7 września 2018, premiera kinowa w Polsce 11 grudnia 2020 roku.

<sup>5</sup> *Harry Martinson: Poezje wybrane*. Wybór, przekład i opracowanie Leonard Neuger, Janusz B. Roszkowski. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1995.



Leszek Szaruga

## PRZEBUDZENIE

ostatnie słowa  
ze snu demencja  
białych ryb Ocean  
Lodowaty... i  
co z tym zrobić

## NIEWIERSZ

światło  
się załamuje  
wyschłe  
języki  
klekoczą  
po kątach

pruje się  
wiersz szwy  
puszczają  
szyte grubymi  
nićmi litery  
się osypują  
zostaje  
carte blanche

## WĘZE

te węże  
pełzające  
między wersetami  
ksiąg kuszą

wpełzają  
między zwoje  
mózgów ich  
rozwidłone języki  
obiecują

coś wiąże  
te węże

unosi się  
nad nami ścięta  
głowa Meduzy  
krwawi

ta krew  
jest życiodajna  
i śmiercionośna

## SŁOWO

świat nie jest światem  
po słowie dochodzę  
swego do siebie

wiersze  
posłowie nicości  
przynoszą posłańcy  
ze słów  
pramowy

## SERWIS PORANNY

wstajesz i wiersz ranek  
pełen snu pełen sexu  
sensex bez sensu dno  
dnia i tak kat  
tka akt a kto a kot  
słucha tok fm i wie  
rrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrr  
sza sza sza

## SPLOT

takie to ter  
miny mity słowo  
twórtstwo do  
nikąd

nic to ex  
plozja w splot  
słoneczny

naco cito  
testo tera  
bajtów

## KIEDYŚ

kiedyś czytanie książki było  
obrzędem cokolwiek w niej  
spisano słowo boga przepisy  
kulinarne porady zdrowotne czy  
nawet wiersze wszystko to  
było ważne a pismo budziło  
respekt gdy dziś litery  
rozpełzły się po świecie i  
budzą demony

## DROGA

może jestem cieniem  
swego cienia żyję  
w półmroku

śmierć życia oraz  
życie śmierci we mnie

zmieszane zamieszanie  
żar żartów i śmiechu  
warta wiara  
w cokolwiek

idę Nigdzie tam  
gdzie Nic naprawdę  
jest

Wojśław Brydak

# PANI GURU



WSPOMNIENIE

1.

Mieszkanie zmuszało do namysłu.

Wcale zadbane; w oczy nie rzucał się kurz, a żeby jakaś plama to nie daj Boże. Owszem, na pokrętkach kaloryferów odlano w mosiądzu słowa *Heiss* i *Kalt*, ozdobne wypukłe litery przywarły tam na dobre i za chińskiego boga nie dawały się wysiedlić chociażby do NRD, a tym bardziej nie do Nadrenii czy Bawarii, lecz napis nie kłut w oczy, bo kaloryfery i ich regulatory jednolicie pokrywała świeża farba. Tyle się dano zrobić. Kropka.

W łazience i ubikacji olejna lamperia powlekała część ścian, podobnie w kuchni, co – zamiast spodziewanego orzeźwienia – nadało pomieszczeniom akcent oziębły, mało życzliwy, jakoś tam dobry we wnętrzu publicznym, bo w szpitalu czy na policji czysta olejna lamperia świadczy o zadbaniu. Ale prywatnie?

Podobny uczuciowy chłodek wzbudzała lastrykowa posadzka w kuchni. Od prugu zachęcała przybysza, żeby poszedł w diabły, bo tylko nabrudzi. Natomiast dwupalnikowa kuchenka gazowa – przeciwnie – promieniowała życzliwością. Podpięta do nowiutkiego zaworu, była powojenna, ba, współczesna, w przeciwieństwie do otoczenia zapowietrzonego przeszłością. Owszem, w sąsiedztwie gazowych palników wciąż rozpiekał się stary kaflowy piec kuchenny w kolorze kawy zbożowej z mlekiem, obstawiony wiaderkami węgla. Wciąż obsługiwał kaloryfery i bojler, a nieużywane fajerki nad paleniskiem ostrzegają złośliwie, że ta nowa kuchenka obok może i ładnie wygląda, lecz zawór na ścianie, a zwłaszcza gumowy przewód nie budzą zaufania. Gaz to gaz. A węgiel to jest węgiel, każdy widzi.

Niby nie powinno tu zalaatywać schyłkiem, ale zalaatywało. Na etażerze trochę książek, Adolf Chybiński, Zofia Lissa, Mieczysław Tomaszewski i Stefan Kisielewski, ale też Doktor *Faustus* Manna, nawet *Jan Krzysztof* Rollanda, słowem rozmaicie, ale głównie o muzyce, plus wielki jak mszał *Pan Tadeusz* z ilustracjami Gronowskiego i tomy wierszy, Tuwim z Gałczyńskim, Pawlikowska i Leśmian. Reszta bordowego linoleum z czasów wolnego miasta wspomagała podłogowe deski pociągniętą bordową farbą, do tego proste meble gromadzone od potrzeby do potrzeby, zaś w kącie między tapczanem a przeszklonymi drzwiami wychodzącymi na parterowy mini balkonik mościł się bartóg ze starym pledem. Stamtąd pokaźne kocisko Maciej dozorowało rozpostarty za szybą trawnik przedwojennego jeszcze, robotniczo-mieszkańskiego osiedla.

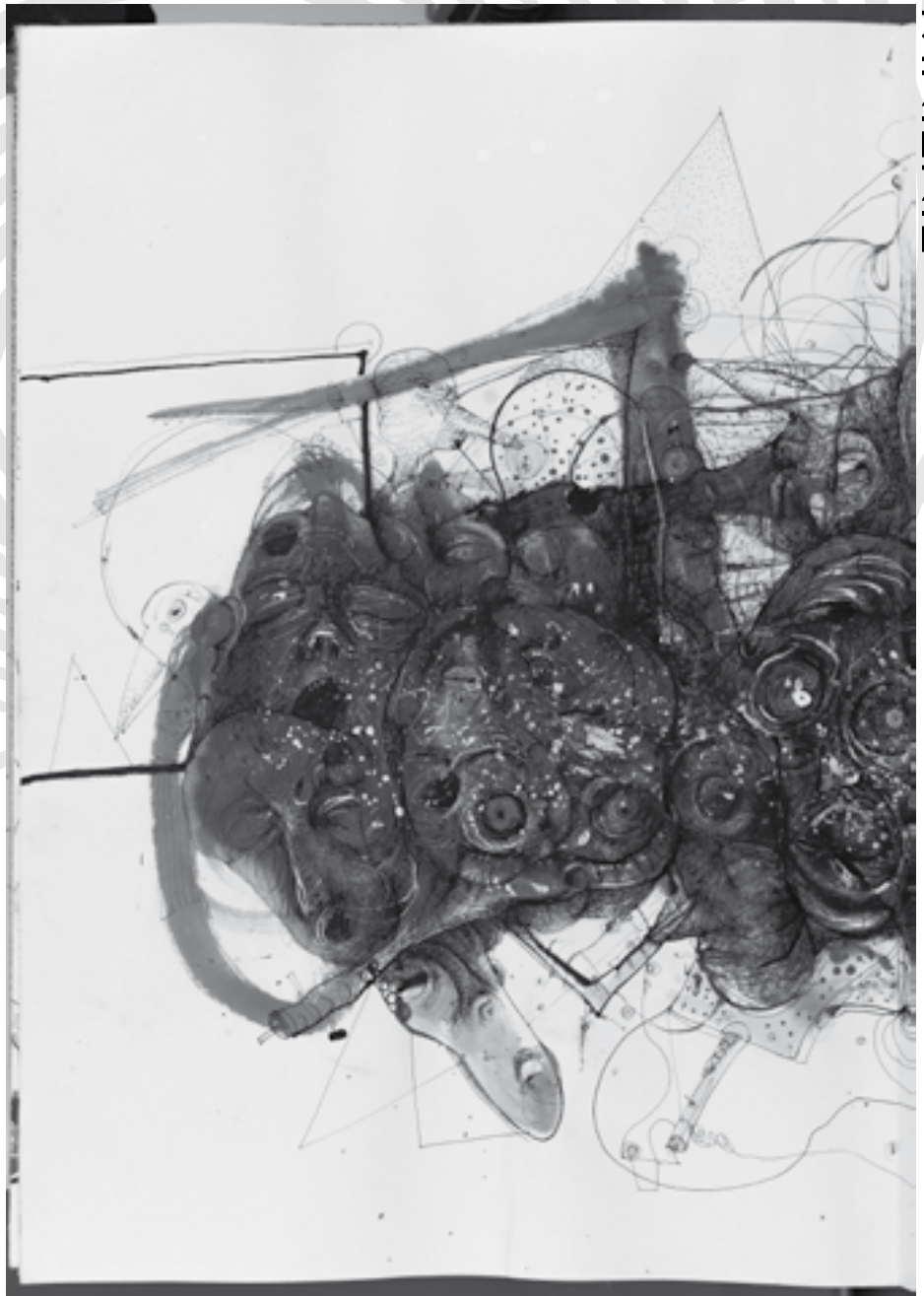
Kiedy to było i tak wyglądało? Kim był gospodarz mieszkania?

Już odpowiadam.

Kiedy? Za „średniego Gomułki” w PRL-u, w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku. A gospodarz? Otóż pułdo. Nic podobnego. Żaden „gospodarz”. Gospodyni> Gospodyni jak się patrzy, całą gębą.

Może ściany tchnęły obojętnością, może nawet źle skrywanym poczuciem wyższości, trudno, ale po pokojach, łazience i korytarzu krzątała się kobieta wciąż w wieku poborowym, często ubrana elegancko, jak na kolację czy koncert, ale żadną miarą ostentacyjnie; kobieta, która adresowała swą powierzchowność do tych, którzy cenią niedopowiedzenie; a odpycha ich dosłowność i brzydzą znaki z gruba ciosane.

Bystre niebieskie oczy, wiecznie ciekawe,



natychmiast odróżniaty ważne od nieważnego. Pani szczupła i energiczna ani myślała „wrażać się” poprzez mieszkanie, był jakże tymczasowy. W jej obecności oschłe ściany traciły znaczenie.

Na widok pani domu przychodziło tu do głowy porzekadło greckiego mędrca, szerzej znane po łacinie: *omnia mea mecum porto*. „To, co moje noszę przy sobie”. W swobodniejszym tłumaczeniu „to, co ważne” i tak dalej. W znacznie swobodniejszym: „moje ja – to ja”.

Jedni tę kobietę podziwiali, inni jej nienawidzili. Głównie muzycy. Nazywała się Wanda Obniska.

2.

Recenzentka zawsze musi się z tym liczyć, że jedni kochają, a inni nienawidzą. Czasem parę życzliwych zdań w publicznym obiegu widać artystę o całe piętra.

Za to parę akapitów nieżyczliwych może nieborakowi dopiec gorzej niż zrzuć ze schodów. A Wanda Obniska była kimś więcej niż recenzentką; była szefową redakcji muzycznej Rozgłośni Gdańskiej Polskiego Radia (dzisiejszego Radia Gdańsk<sup>1</sup>). Co sporo znaczyło.

Audycje Obniskiej poznałem wcześniej niż ich autorkę. W swoich szczenięcach latach mieszkałem w Rzeszowie, czytywałem „Ruch Muzyczny” (do którego też pisywała), a przede wszystkim słuchałem radia. Dzięki audycjom Wandy Obniskiej wbiłem sobie do głowy kilka nazwisk z nad morza, śpiewaczki Zofii Janukowicz, pianistki Krystyny Jastrzęb-

<sup>1</sup> Wówczas rozgłośnia mieściła się przy Grunwaldzkiej 18 we Wrzeszczu, w tym samym budynku co teraz, natomiast części redakcyjna i administracyjna w willi Rudolfa Patschke przy Uphagena 23, po przeciwnej stronie głównej ulicy; dziś to siedziba Gdańskiego Klubu Biznesu.

skiej, klawesynistki Cecylii Linke-Konopackiej, organisty Jana Jancy wraz z brzmieniem oliwskiego instrumentu.

Regionalne rozgłośnie radiowe tworzyły wówczas program lokalny, który nie był bez reszty lokalny. Część audycji trafiała na antenę ogólnopolskiej „dwójki”, z czasem także do „trójki”. Rozgłośnie konkurowały o ten dostęp z różnym skutkiem, niemniej muzyk czy aktor zaproszony do lokalnego studia miał szansę na odbiór w skali kraju.

Co więcej, rozgłośnie regionalne tworzyły nagrania niekoniecznie ulotne. Jako niewielkie wytwórnie – w porównaniu z radiostacją centralną – skromnie uzupełniały radiowe arcyarchiwa, co rozumiało się samo przez się, zanim medialny „rynek” radykalnie się odmienił.

Było jak było. Nagrywający w Krakowie Andrzej Kurylewicz mógł zachwycać słuchaczy i w Opolu i w Białymstoku, wrocławscy kabareciarze bawili pół Polski, natomiast duże zdjęnięte ogrzewał ciepłym głosem aktor Zdzisław Kozień z Rzeszowa. Regionalne rozgłośnie wpływały na budowanie karier. Nic dziwnego, że jedni muzycy dążyli się pokroić za szefa lokalnej redakcji muzycznej, a inni życzyli czarnej zarazy jemu oraz jego potomstwu aż do dziesiątego pokolenia. Normalna sprawa.

### 3.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Wandę Obniską na koncercie, ktoś szepnął, że to właśnie ta pani, z którą tak się liczą w środowisku. Szeptać może z podziwem, może ze złością. Nie pamiętam. Za to z pierwszego spotkania przetrwało inne wrażenie: drobna kobieta o przenikliwym spojrzeniu wydawała się bardziej stanowcza, pewna swego i gotowa do ciętej repliki niż mogłem się spodziewać po posiadaczkę miłego głosu, który wcześniej poznałem z odbiornika.

Pracowała od rana do wieczora. Na przedpołudnia przypadały kolegia, sprawy bieżące, nagrania słowne gości, a przede wszystkim montowanie taśm. Trafiaty się też całodniowe wyjazdy w najdalsze kąty województwa, gdzie nagrywała ludowe zespoły kaszubskie, kociewskie, zaborackie, borowiackie, nawet muzyczne okrucy po drobnej szlachcie z odległych Goch czy Przechlewa. Czasem chodziło o amatorskie chóry – kolejarские, nauczycielskie, parafialne – podszyte patriotyczną legendą z czasów pruskiego zaboru. Podróż twardo resorowanym wozem-studiem marki robur zносиła bez skarg. Audycja przygotowana po takiej wyprawie sporo znaczyła w zbiorach radia, może więcej niż na antenie.

Popołudniami przychodzili do studia soliści, z rzadka zespoły kameralne. Wieczorami czekały a to filharmonia, a to opera. Agendę zapełniały też oprawy muzyczne słuchowisk, programów poetyckich, a trzeba jeszcze dodać pisanie audycji, bo w radiu w tamtych czasach najwyższą transmisję sportowe bądź muzyczne szły „na żywo”, natomiast jeśli chodzi o słowo, przeważały materiały pisane i nagrywane potem w studio, co wychodziło na zdrowie zwłaszcza polszczyźnie.

Na rozgłośni nie koniec. Pani redaktor uczyła teorii w średniej szkole muzycznej. Przy okazji przyglądała się młodzieży, ciekawa jej rokowań na przyszłość. Były też, organizowane przez filharmonię, „umuzyczniające” prelekcje dla szkół ogólnokształcących. I było licho wie co jeszcze, starczyłoby tych zadań dla paru osób...

Wanda Obniska nie uważała tego za krzyż pański. Raczej za narzędzie. Lubiła wpływać na życie muzyczne. Przede wszystkim wyłuskiwać talenty. Nie na żarty

wspierała kariery i przedsięwzięcia, które – jej zdaniem – zasługiwały na wsparcie. Ślady tych poczynań można rozpoznać do dzisiaj.

### 4

Była moja pierwszą szefową. Do redakcji muzycznej trafiłem poniekąd fuksem.

Podczas studiów spotykałem ją w filharmonii. Może raz czy drugi słyszała mnie podczas koncertów uczelnianych. Popełniłem na studiach parę referatów, zresztą nie będąc teoretykiem. Maczałem palce w przygotowaniu – przez sopocka Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną i Zrzeszenie Studentów Polskich – Ogólnopolskiego Festiwalu Młodych Muzyków. Okazji do spotkań nie zabrakło, ale to były kontakty od przypadku do przypadku.

Co do pracy sprawy miały się tak. Po drugim (końcowym) występie dyplomowym zamknąłem klawisz nad klawiaturą, i to przy świadkach. Miałem dwadzieścia cztery lata i nie byłem koncertującym pianistą, Właściwa pora minęła. Nie to nie.

Potem rozgłosiłem, że idę do siebie na stację, kładę się do łóżka i czekam, aż zjawi się czyjś wystannik z porywającą ofertą. Życie jest jak tenis: do ostatniej piłki wszystko możliwe.

Kolega, który słuchał moich wynurzeń, zakręcił kółko na czole. W duchu przyznałem mu rację. Ale po trzech czy czterech dniach ten sam kolega osobiście ściągał mnie z łóżka:

– Zadzwoni do radia.

Mało tego, okazało się, że zamiast szukać budki telefonicznej, mam popędzić na uczelnię do sekretariatu, a tam już mi wszystko powiedzą. W dwa tygodnie później byłem młodszym redaktorem Rozgłośni Gdańskiej.

Sprzątaj mi zbieg okoliczności.

Leader wybrzeżowego big bandu i paru mniejszych składów, zarazem redaktor muzyczny rozgłośni, Janek Tomaszewski, zamarzył o karierze dyrygenta u boku Danuty Baduszkowej. Kandydat spadł jej jak z nieba, młody kompozytor obyty z jazzem, dobry organizator, w teatrze muzycznym jak znalazł. A po Jankowym odejściu Wanda Obniska musiała zapełnić wyrwę. Miałem szczęście, któremu może pomogły życzliwość i respekt jakimi darzyli się wzajemnie Obniska i mój niedawny profesor fortepianu.

Pierwszego dnia redaktor naczelny w asyście pani redaktor oprowadził mnie po obu budynkach rozgłośni i przedstawił we wszystkich działach. Elegancja tego prologu zaskakiwała. Zanim jednak zdążyłem się nastodzić, Wanda Obniska spojrzała na zegarek.

– Dzisiaj mam radę pedagogiczną, więc już nie wróć. Zrobisz na popołudnie dwadzieścia minut muzyki rozrywkowej, bo ci z rolniczej, rzekomo tacy odpowiedzialni!, znowu zawalił odcinek. Taśmy wybierzesz z taśmoteki, maszyny i papier masz na biurku, program oddasz na końcu korytarza po lewej.

Blisko sześć godzin przestuchiwaliśmy, o których zawartości wcześniej nie miałem pojęcia.

Tak wyglądała moja pierwsza lekcja dziennikarstwa muzycznego.

### 5

Chętnie powtarzano historyjkę o Wandzie Obniskiej i Konstantym Andrzeju Kulce. Skrzypka uczyli najpierw Ludwik Gbiorezyk, potem profesor Stefan Herman. To, co wygrał młodzieńki Kulka wybiegało poza miary szkolne czy studenckie. Rzecz jasna Wanda Obniska proponowała antenie ogólnopolskiej wczesne nagrania Kulki, lecz nie wiadomo czemu te negocjacje jakoś kulały. Jakby part-

nerzy z centrali nie dowierzali artystycznemu słuchowi koleżanki z Gdańska. Po tym jak siedemnastoletni artysta zdobył wyróżnienie na konkursie Paganiniego w Genui, też niewiele się zmieniło. W dwa lata później, w roku 1966, Obniska nadal zapewniała, że solista zjawiskowy, że nagrał nowe świetne taśmy, tymczasem rozmówcy po staremu ustawiali się trochę bokiem. Tymczasem Kulka pojechał do Monachium na prestiżowy konkurs radia bawarskiego i bezapelacyjnie ten konkurs wygrał, o czym wiadomość szybko wydostała się poza bańkę muzyczną. I co? Otóż na Okęcie pomknął służbowy samochód, w nim niecny redaktor-niedowiadek ze służbowymi kwiatami na powitanie laureata. W sumie ten redaktor miał szczęście. Gdyby w pobliżu była Wanda Obniska, publicznie pokazałaby mu język. Albo i gorzej.

Historyjka podążyła odwiecznym baśniowym tropem: spróchniałe autorytety lekceważą młodego mistrza, a on tymczasem zadziwia świat. Nie rzeź za jej prawdziwość. Ale krążyła w najlepszej.

Przez gdańskie studio przewinęli się za czasów Obniskiej artyści, którzy wyrabiali sobie nazwisko. Fascynowały ją zwłaszcza talenty w trudnym przeskoku od bezimienności do rozpoznawalności. W tej mierze korzystali ze wsparcia Obniskiej pianiści Jerzy Sulikowski, potem Ewa Pobłocka, wiolonczelista Roman Jabłoński, śpiewak Jerzy Dąbrowski (znakomity Pasterz w *Królu Rogerze*, żył krótko), śpiewaczka Zofia Janukowicz, Stefania Toczyska, Irmina Kostkiewicz (też wczesnie zmarła), Ewa Werka (przejmująca Benigna w *Czarnej masce*) i wielu innych muzyków godnych uwagi.

Jeśli trzeba, biła się też o artystów uznanych. Na wsparcie rozgłośni zawsze mógł liczyć Jerzy Katlewicz, za którego dyrekcji (1961–1968) sezony filharmoniczne oraz operowe zadziwiała poziomem i różnorodnością. Podobnie było przy powstawaniu orkiestry Zygmunta Rycherta (zaczyn obecnego zespołu filharmonicznego), a zwłaszcza orkiestry Wojciecha Rajskiego.

Wszystko co nowe – orkiestry też – miewa zagorzałych przeciwników. Wtedy wsparcie liczy się podwójnie.

Doceniała talent w każdej dziedzinie muzyki. To było widać, rzecz jasna, w repertuarze klasycznym, ale tak samo w odległej sferze tworzenia piosenek. Mało tego, cenila elektroniczne pasje Janusza Hajduna, kiedy nikt jeszcze nie śnił o syntezatorach, wiele zaś spodziewano się po awangardowej „muzyce konkretnej”. Może najmniej pociągał ją jazz, tę muzykę poważała bardziej na słowo honoru, ale zarówno w studio, jak i na antenie było jazzu pod dostatkiem. Zajmowali się nim Janusz Hajdun, Janek Tomaszewski, czasami autor tych słów, dość powiedzieć, że we wczesnych latach 70. trzecionurtowa kapela Jerzego Sapiejewskiego wystąpiła w legendarnym programie „Time for Jazz” Willisia Conovera, bo Jerzy przewiózł do Waszyngtonu, do przesławnej rozgłośni The Voice of America, studyjną taśmę nagrałą w Gdańsku przy Grunwaldzkiej 18.

### 6

Obniska była praktykiem, wierzyła w talent i wykształcenie, nie cierpiała przeciętności (co czasem dawała odczuć), program antenowy robiła śmiało, lecz bez wstrząsów, dla publiczności szerokiej, lecz nie dla każdej. Nie cierpiała na żadną doktrynę. Trudno było nie zapytać: skąd bierze się jej zawodowy wigor? Co za elektrownia go napędza?

Poczucie misji? Zapewne. Ale jakiej?

Modna była wówczas wiara, że ogół stopniowo dokształca się muzycznie. Że niby krok po kroku, że słuchacz, który dziś wielbi



piosenkę *Żegnaj, Pamelu*, jutro zachwyci się frazami *Stabat Mater* Szymanowskiego; że droga od muzyki „łatwej” do „trudnej” jest prosta, a „rozwój” delikwentów przesądzony. Ta sama wiara mogła oznaczać w innej dziedzinie, że – na przykład – zaprzysięgte czytelniczki tygodnika „Przyjaciółka” (około 3 milionów) po paru latach „rozwiną się” i zatopią w lekturze *Józefa i jego braci* Tomasa Manna. Cóż, ta pocziwa wiara – chociaż chybiona i sprzeczna z doświadczeniem – nieźle współbrzmiała z hasłem awansu społecznego, wówczas wszechobecnym; czasem wzywano ją na pomoc. Wandzie Obniskiej nie przypisywałbym jednak tych złudzeń. Nie była naiwna.

Już prędzej mogła jej dodawać zawodowego wigoru „polskość”. Ten wyśmienity wspólny mianownik ogarniał zapisywanie ludowych relikwów muzycznych, uzasadniał antenowe przywileje zapominanych polskich kompozytorów, nawet trzeciorzędnych, patronował chóróm amatorskim z ich chlubną tradycją, zapewniał poklask, a nawet przydawał się przy promowaniu awangardy, bo co nasi, to nasi.

Mało tego. „Polskość” była rozciągliwa.

Jeżeli na antenę trafiali – na przykład – dwudziestowieczni Francuzi, to przybliżanie muzyki Ravela czy Debussy’ego, Françaixa czy Milhauda też czegoś dowodziło, mianowicie otwarcia „polskości” na świat, na różnorodność i nowoczesność. A kiedy na antenę zabłąkał się fragment *Tannhäusera*, czy *Walkirii*, to o czym świadczyły owe fragmenty? Otóż świadczyły o naszej wielkoduszności wobec tego sakramentnego pangermanisty i żydożercy Wagnera, bo to był jednak kawał kompozytora, a nasza wielkoduszności wynika wprost z „polskości”, jak wszystko co dobre, prawda? Z kolei fascynacja takim Bartokiem czy Enescu – tym, co nowego ci faceci zdotali wydobyć z ludowości – rozświetlała przy okazji Szymanowskiego i temperowała sforę ciemniaków, dla których *Stabat mater* czy *Słopiewnie* to wciąż była jakaś ekstrawagancja, w przeciwieństwie do zdrowej muzyki zespołu „Mazowsze” i kapeli Dzierżanowskiego.

Jeżeli na antenę trafiali – na przykład – dwudziestowieczni Francuzi, to przybliżanie muzyki Ravela czy Debussy’ego, Françaixa czy Milhauda też czegoś dowodziło, mianowicie otwarcia „polskości” na świat, na różnorodność i nowoczesność. A kiedy na antenę zabłąkał się fragment *Tannhäusera*, czy *Walkirii*, to o czym świadczyły owe fragmenty? Otóż świadczyły o naszej wielkoduszności wobec tego sakramentnego pangermanisty i żydożercy Wagnera, bo to był jednak kawał kompozytora, a nasza wielkoduszności wynika wprost z „polskości”, jak wszystko co dobre, prawda? Z kolei fascynacja takim Bartokiem czy Enescu, tym, co nowego zdotali ci faceci wydobyć z ludowości, rozświetlała przy okazji Szymanowskiego i temperowała sforę ciemniaków, dla których *Stabat mater* czy *Słopiewnie* to wciąż była jakaś ekstrawagancja, w przeciwieństwie do zdrowej muzyki zespołu „Mazowsze” i kapeli Dzierżanowskiego.

Na dobrą sprawę „polskością” dawało się uzasadnić wszystko.

Kiedy jednak chodzi o Wandę Obniską i jej sprężyny duchowe doradzałbym ostrożność. Wspierać się „polskością” – rzecz chwalebna, lecz nietrudna. Słowo „patriotyzm” żadną miarą nie uwierało Wandy Obniskiej, nie żądliło, no skąd, chętnie go używała. Lecz gdyby ktoś przywołał w rozmowie Samuela Johnsona i jego sławny *bon mot* – że patriotyzm to ostatni szaniec szubrawców – nie wzbraniałaby się, jak sądzę, przed chwilą namystu. Bo wszystko zależy od wszystkiego.

Wychowywała córkę, opiekowała się nie-



młoda już matką, czuwała nad wchodzącym w życie wychowankiem. Jej pracowitość miała przyczynić mało tajemnicze. Była głową rodziny i ani myślała przypominać bezradnej kobietki przygniecionej sytuacją. Miała inny powód do dumy. Była kobietą, która skutecznie konkuruje z mężczyznanami jak równa z równymi. Czasy PRL teoretycznie sprzyjały emancypacji, kraj przeżywał urodzaj plakatów z traktorzystkami i operatorkami dźwigów. A ów urodzaj dedykowano społeczeństwu do cna patriarchalnemu.

Nie wiem, czy współczesne feministki wzięłyby na szandar Wandę Obniską. Nie pochłaniała jej roztrząsanie przy kawie różnych niuansów, ani tym bardziej dalsze niuansowanie. Nie miała temperamentu „trendseterki”, chociaż temperament akurat jej nie brakowało. Nie da się jednak ukryć, że na swoim poletku Obniska realnie dobierała się do skóry patriarchalnej swojskości.

## 7

Z początkiem grudnia 1970 roku Marek Okopiński przygotował w teatrze Wybrzeże prapremierę *Termopil Polskich* Micińskiego, wcześniej niewykonanego dramatu

o agonii I Rzeczypospolitej. Scenograf, Marian Kołodziej, scenę przystoił kurtyną stylizowaną na poźółtkę pergamin – szkicową mapę dogorywającej monarchii kaziły trzy tarcze strzelnicze. Biegnąca środkiem kapryśna krecha przypominała literę S.

– Cóż, Wista – z uśmiechem powiedział do mnie starszy pan siedzący obok. – Nasze pięknięcie narodowe.

Pan, który tak biegle skomentował intencje scenografa, był wówczas doktorem inżynierem, a czekała go jeszcze kariera profesorska. Za sobą miał karierę rządową. Nazywał się Mieczysław Lesz i był bratem Wandy Obniskiej.

Dla mnie przeszłość Wandy Obniskiej był to zbiór okrucichów.

Po latach od prapremiery Micińskiego przeczytałem wzmiankę w powielaczowym, dość niechlujnym wydaniu *Mojego wieku* Aleksandra Wata. Chodziło o to, że w międzywojniu Mieczysław Lesz, młodszy wówczas o trzydzieści lat, członek Komunistycznej Partii Polski, siedział na ławie oskarżonych podczas procesu działaczy Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Podobno sędzia na rozprawie iście po ojcowsku zapytał jakim cudem dwudziestoparolatek z szanowanej lwowskiej

rodziny trafia między tych tu gałganów? Myśl o solidarności z Ukraińcami nie trafiała sędziemu do przekonania.<sup>2</sup>

Z kolei w pracy współczesnego historyka, piszącego o czasach międzywojennych, czytamy: „Olga Lesz, żona chadeka i matka komunisty, która pod wpływem aresztowania syna zaangażowała się w walkę o powszechną amnestię, zaczęła czytać lewicową prasę i płać składki na Czerwoną Pomoc”.<sup>3</sup>

Najwyraźniej w domu Wandy Obniskiej nie sposób było się nudzić.

Podobno Wanda – z powodu komunizowania brata – musiała zamienić studia we Lwowie na studia krakowskie, zresztą u wybitnego muzykologa Zdzisława Jachimeckiego. Jej pierwsze małżeństwo trwało krótko, w drugim wyszła za mąż za zarządcę majątku rolnego, by wyłączyć na wsi na wschodzie, gdzie młodą kobietę – solidnie wykształconą, bo to i fortepian, i muzykologia, i filologia polska, i nawet otarcie się o sztukę śpiewu – pochłonęła inna miśja, mianowicie strzyżenie dzieciom koftuna, a to nie do końca była to metafora.

Za okupacji mąż zaciągnął się do partyzantki, a Wanda nie podnosiła się z łóżka, by chronić zagrożoną ciężę. Którą uchroniła. Mimo to sytuacja niekoniecznie wzmacniała więzi rodzinne.

Przetrwata z małym dzieckiem powstanie warszawskie.

Po wojnie mąż przebył krótką, za to treściwą drogę z partyzantki do kryminału. Zagrywki więziennej komendantury niekiedy wyglądały tak, że Wanda pół dnia jechała na wyznaczone widzenie, potem czekała na nie godzinę, po niej drugą, trzecią, czwartą, by wreszcie po ośmiu dowiedzieć się, że widzenie odwołano. A nowy termin? Pytajcie, obywatelko. Za jakies dwa tygodnie.

Jeszcze przed nastaniem „odwilży” mąż wyszedł z pudła cało. Dopisało mu szczęście. Happy endu jednak zabrakło. Od Wandy usłyszałem, że mąż, żadną miarą lewicowiec, jakoby zerwał z polityką i ruszył budować Nową Hutę. Podobno tak się rozstali. Czy Nowa Huta była skrótem myślowym? We współczesnych wzmiankach ów mąż figuruje jako postać wątpliwa. Wierzyć? Nie wierzyć?

Trudno potążyć takie okruczności prostą kreślą. Mój kontakt z Wandą Obniską, z biegiem lat niemal rodzinny, trwał ponad trzy dekady, do jej śmierci w 1998 roku. Mimo to nigdy nie odważyłem się wypytwać o przeszłość, o zamierzczłe szczegóły, nie sprawdzałem czy napomknienia, często zasłyszane z różnych ust, odtwarzają przeszłość, czy też są czymś swobodnym dopiskiem, tworem wyobraźni, manipulacją. Diabli wiedzą.

To było podejście typowe dla moich roczników, skutek wojennego i powojennego trzęsienia ziemi oraz wędrówki ludów, tej gigantycznej przeprowadzki na ziemię poniemieckie. A także następstwo powszechnego trzymania za twarz.

W sferze publicznej dominowała propaganda: bezlik przemilczeń, przeinaczeń, kłamstw oraz fałszywe mitologie. W domach zaś, gdzie przycupnęły przepłoszone prawdy bądź odmienne, źle widziane mitologie, nie o wszystkim mówito się przy dzieciach, bo jeszcze wypapła, lub dowiedzą się czegoś, o czym lepiej, żeby nie wiedziały. W efekcie dla owych dzieci, jeśli interesowały się przeszłością, stawała się ona krainą tajemnic, mylnych tropów, mroku i niedopowiedzeń. Innymi słowy, moim rocznikom przeszłość przy-



pominata zmitologizowany Meksyk z powieści Raymonda Chandlera: mroczną, nieobliczalną krainę w której wszystko jest inne niż się wydaje, w której wszystko może się zdarzyć, i w której nie obowiązują stare dobre porządki z czytanek; krainę, z której nie wiadomo kiedy wychynie upiór.

Jako młoda kobieta Wanda Obniska musiała przepleść porządne przedwojenne wykształcenie – solidne, przewidywalne reguły mieszczańskie – paroma latami doświadczeń krańcowych, które z mieszczańską solidnością ani przewidywalnością nie miały nic wspólnego. Potem nastąpiła kolacja „demokracja ludowa”, z jej trudno pojmowalnymi katalogami dobra i zła, z pokrętną siatką jej „za” i „przeciw”. Pokolenie Obniskiej – która urodziła się we Lwowie w 1912 roku – zobaczyło o wiele za dużo, żeby zapamiętane obrazy oprawić w zgrabną ramkę.

Stan ducha inteligencji z jej pokolenia przeobraził się po wojnie w hurtownię sprzeczności. Jeszcze wierzone w romantyzm, jeszcze wierzone w pozytywizm, w sumie ni to, ni sio, a tu tymczasem komuniści z żywą Wandą Wasilewską, obok zaś przenajświętszej tradycja z księdzem Piotrem od Mickiewicza; tu postępek, a obok endemiczny analfabetyzm; tu artystyczna awangarda, a tam w Lublinie zalewa się Izami Matka Boska. Do tego jedni zza Buga, inni sprzed Buga, tu narodowcy, tam Ukraińcy (jedni spolszczeni drudzy wręcz przeciwnie), dalej Ślązacy, „leśni”, nieleśni, i wreszcie Żydzi: garsika żywych, bezlik umarłych i to ich wyzbyte właścicieli mienie...

Wspólny wydawał się tylko jeden wątek – żal, że gdzieś przepadła, gdzieś się podziata tamta Polska, dobra czy zła, sprawiedliwa czy nie, ale przynajmniej autentyczna. Tymczasem Ruscy znów górą.

## 8

Wanda Obniska skomponowała swój zespół wyłącznie z młodych ludzi. Redakcja mieściła się – jako jedyna – w budynku przy Grunwaldzkiej, sąsiadując ze studiami, taśmofeką, techniką, łącznością, nadawaniem, natomiast z dala od biur zalogowanych przy Uphagena. Panował luz, bywało wesoło, po naszej stronie ulicy słabła moc regulaminów. Pierwszy z dwóch średniej wielkości pokoi redakcyjnych zajmowały magnetofon montażowy, szafa głośnikowa i steinway, model M. Kiedy Wanda Obniska ściągnęła do redakcji utalentowanego młodego człowieka, który miał jeszcze przed sobą recitale dyplomowe na uczelni, to ów redakcyjny fortepian stał w przestrzeni korytarza *Etiudy transcendentalne* Liszta, o najdziwniejszych porach. Kiedy indziej rozspiewywała się przy tym steinway'u Irena Jarocka, czasem pogrywała coś sobie Jurek Lisewski, ówczesna odkrycie jazzu. Na montażowym magnetofonie, zwanym po prostu „montażem”, dokonywano cudów w dziedzinie cięcia i sklejania taśmy, do tego stopnia, że w archiwalnym nagraniu pewnego dłuższego fortepianowego kawałka Ravela udało się przez pomyłkę wyciąć bez śladu pół strony utworu, i nikt się nie potapał, aż do próby

<sup>2</sup> W egzemplarzu *Mojego wieku* w wydaniu Biblioteki Narodowej z 2024 roku nie udało mi się odnaleźć tego fragmentu. Tymczasem solidnie zacytany egzemplarz powielaczowy z lat 80. dokonał już żywota; zaginał w trybie niezliczonych pożyczek.

<sup>3</sup> *Lukasz Bertram* *Walka klas na pół etatu*, „Przegląd Historyczny” tom 114 zeszyt 3, str.386, 2023. Polska Akademia Nauk, Instytut Studiów Politycznych.

telewizyjnej, w której owa taśma służyła za playback przy nagrywaniu wizji. Odkrycie zwalito z nóg wykonawcę i redaktorów, za to technicy zachwycili się wtopą. Co jeszcze? Pani redaktor Wanda Obniska z upodobaniem opatrywała radami przeróżne romanse swojej młodzieży, aż po rozterki przedmażeńskie, ale też młodzież redakcyjna zwierzała się jej, a jakże, chociaż w poradach sercowych Wandy, która jak nikt uczyła cieszyć się życiem, górowały sugestie radykalne, wszystko jedno czy na „tak”, czy na „nie”, byle nie hamletyzować. Jeżeli chodzi o psyoty rozgłoszyskało imieninowe obdarowanie pewnego nazbyt zasadniczego matadora muzycznego parą żywych papug, przy czym należy dodać, że w domu ów matador hodował kota, papugi zaś dostarczone no słabo ufortyfikowanym bambusowym „dzwonie”.

Poza tym w radiu pracowało się w piątek czy świątek, bywało, że do rana, co nie było pozbawione zapaszku przygody. Dodajmy, w redakcji śmiano się z niektórymi dowcipów bądź pasjonowano pewnymi dość egzotycznymi historyjkami zrozumiałymi tylko dla wtajemniczonych, co polegało na tym, że starsza pani i trójka smarkaterii wywodzili się z Galicji, coraz bardziej odległej w czasie i przestrzeni. Suma? Poczucie, że w redakcji raczej bywa słonecznie, niż mrocznie. I wyobrażenie, że zawsze tak będzie.

Oczywiście, nie było.

Tuż po miesiącu, w którym skończyła 60 lat (tak przynajmniej głosiły papiery) Wanda Obniska została wyekspediowana na emeryturę. Nie żyła w zbytniej zgodzie z ówczesnym naczelnym, nie raz i niejednemu data odczuć, że niewrażliwość na muzykę klasyczną cechuje barbarzyńców. Dodajmy, niechętnie owijają cokolwiek w bawełnę, a język miała cięty. Uzbierałoby się. Z drugiej strony liczył się jej dorobek, liczył kompetencja, pozycja. Ale brat nie był już ministrem, a „tylko” profesorem. Niezachwianie należała do partii, z tym, że jakoś tak jedną nogą, na dystans. W sprawie tej punktualnej emerytury chyba zaważyła jednak niechęć naczelnego – rzetelnie odwzajemniana – który tak długo czekał, aż się doczekał i ani myślał marnować okazji.

Niemal zaraz potem Obniska została recenzentką muzyczną „Głosu Wybrzeża” i wytrwała w tej roli dwadzieścia pięć lat, przeżyła zmianę ustroju oraz korowód wydawców oraz naczelnych. Pisała do tego dziennika do śmierci. Nadal cieszyła się pozycją, ale już ograniczoną do Pomorza. Co nie przeszkodziło jej w znacznej medialnej pomocy kolejnym utalentowanym muzykom; niejedno mógłby o tym powiedzieć Wojciech Rajski, na którego bardzo stawiała i nie zawiodła się.

Skutki odcięcia od pełni pracy radiowej zabolowały. Ciężki zawal na dzień dobry, skądinąd nic zaskakującego u namiętnej palaczki (ale niemal stuprocentowej abstynentki). Szpital przestał wydawać się obszarem egzotycznym, w którym pobyt trudno już było uznać za smętną sytuację, dotykającą tylko pechowców. Za to w zmienionych okolicznościach zawiązała nowe przyjaźnie. Umiała wejść w głębszy kontakt z lekarzami, którzy odsunęli od niej najgorsze. Może by to nie zakrawało na osobliwość, może by u-tonęło w powszedniości, gdyby nie ubiegłowieczne lata osiemdziesiąte. Jej ulubiony kardiolog, lekarz wciąż jeszcze młody, zdecydował się na emigrację. Mimo to kontakt u nie zaprzestał przez lata, dyrygując telefonicznie – ze Szwecji! wówczas! – kuracjami, interpretacją wyników, lekami, by w zamian zwierzać się i wypłakiwać na dolę emigranta, owszem, dobrowolnego, ale wiadomo, wychodźstwo to nie miód.

Tak czy inaczej Wanda Obniska nadal wysiadywała najważniejszy w okolicy hotel recenzentki muzycznej, kibicowała powstawaniu

dwóch nowych orkiestr, samodzielnej orkiestry filharmonicznej którą dyrygował Zygmunt Rychert (praojcem był zaś skrzypek Henryk Keszowski), a potem „filharmonii kameralnej” Wojciecha Rajskiego, która z czasem i po wielu perypetiach została Polską Filharonią Kameralną Sopot, z własną nową i ujmującą siedzibą wzniesioną na terenie Opery Leśnej. Pisała jak zawsze od razu na czysto z nielicznymi poprawkami, odręcznie, kaligraficznym pismem, którego to zwyczaju nie zmieniły komputery ani coraz bardziej zadziwiająco nowinki wprowadzane właśnie no wydawnictw i drukarni. Wanda nigdy nie używała maszyny do pisania, nie miała jej, i jakby trochę gardziła tym wynalazkiem, który sam w sobie nic nie wnosi do treści. Tym bardziej nie było więc mowy o *windows* czy *wordzie*. Póki żyła, maszynistki w redakcjach wciąż jeszcze wyteżały wzrok nad kartkami pokreślonych rękopisów.

## 9

Chyba z początkiem lat dziewięćdziesiątych Wanda Obniska przeniosła się z gdańskich Siedlec na oliwskie „stare” Osiedle Młodych (dziś VII Dwór). Jej domowników ubyło. Wpiew pochowała matkę, z czasem córka stała się cenioną propagatorką muzyki dawniej w warszawskiej radiowej „dwójce”, wychowanek utknął z koleją u swej życiowej partnerki w starej Oliwie. A kocur Maciek wybrał się już na łowy do Wielkiego Kota.

Oliwska maszyna do mieszkania – miała kojarzyć się z Le Corbusierem, a kojarzyła z Gomułką – nie uwierała tak, jak wcześniejsze mieszkanie na Siedlcach, gdzie historia wściubiła nos do wszystkiego; raz po raz wciniała się w codzienność i w wyobraźnię nawet za sprawą kaloryferowego pokrętła. Oliwska maszyna do mieszkania była po prostu nijaka.

Bohater grywanej w tamtych czasach sztuki Różewicza *Wyszedł z domu* trafia w jakimś różkowcu przez pomyłkę do obcego mieszkania i nawet tego nie dostrzega, nie zauważa, bo jest ono kubek w kubek jak jego własne, nawet w tym samym miejscu stoi tak samo butelka „Płiski”...

Tym co naprawdę nadawało wnętrzu jakiś rys byli mieszkańcy.

Zacznijmy od zwierząt. Rolę kocura Macieka przejęła najpierw wybitnie wielorasowa, bardzo inteligentna, wręcz błyskotliwa suka Pucek, wyratowana z kaszubskiego Chmielna, gdzie podczas kilku lat bezdomności pomieszkiwała to pod schodami do sklepu, to w krzakach. Potem – bo psy i koty żyją krótko – pojawił się niejaki Bysio, odstąpiony bezgotówkowo przez dozorcę peryferyjnego parkingu. Drobny, wielkości dwóch do trzech yorków, może półtora jamnika, nosił pod sierścią serce lwa. Im większy pies wchodził mu w drogę, tym bardziej piorunujący i zjadły był atak. Bysio także nie gardził napaściami na ludzi, zazwyczaj mierząc w tydki. Skutki walk z psami bywały dla Bysia dotkliwie, napaści na ludzi bywały dotkliwie dla jego pani. Znosiła to bez mrugnięcia okiem, bo przyjaźń wymaga ofiar.

Jeżeli chodzi o ludzi, to odejście z radia i zameldowanie w krainie „trzeciego wieku” mogło spowodować, że bujne kontakty Wandy Obniskiej z dziesiątkami osób skurczą się, przywiezną, ustaną. Kiedy zamieszkała na tym „Osiedlu Młodych” przy Rodakowskiego, pisała tylko dla słabnącego już „Głosu Wybrzeża”, wyjątkownie recenzje muzyczne. A jednak przez jej kawalerkę wciąż przewijały się tłumek ciekawych postaci, w różnym wieku. Zawal zawałem, trzeba po nim uważać, ba, rozstać z papierosami, niemniej Wanda – na przekór drobniejszej sylwetce i siwym włosom, które ostentacyjnie przestała farbować – pozostawała sobą, kobietą nowoczesną i wyzwoloną. I w gruncie rzeczy młodą. Owszem, nadal

obce jej było prowadzenie auta, nadal gardziła znajomością maszynopisania, nie mówiąc już o obsłudze komputera, ale w jej rozumieniu nie na tym polegała nowoczesność. Ważniejszy – jak zawsze – jest dystans wobec pustych konwenansów (nie mylić z dobrym wychowaniem), ważniejsze są drwiny z patriarchalnego zabobonu, tandetnej swojszczyzny i krytycyzm wobec zmiennych mód.

Mało tego, wciąż cieszyła się powodzeniem jej nieformalna poradnia sercowa, ów radykalny konfesjonat miłośny kobiet, mężczyzn, a także osób niezupełnie binarnych. Ani myślała upadać jej „biuro karier” dla utalentowanych pianistów, śpiewaków czy dyrygentów, których diabeł wodzi na rozstaje. Nadal utrzymywała kontakt z pokoleniem powojennych gdańskich „ojców założycieli”. Do jej przyjaciół zaliczali się do końca Janina Jarzynówna-Sobczak, Henryk Jabłoński i – już na odległość – Kazimierz Witkomirski, z czasem Danuta Baduszkowa. Nieczęste domowe uroczystości, obchodzone na poziomie placka z truskawkami i bitą śmietaną, nigdy nie były drętwe, wręcz skrzyły się.

Z czasem słabła, wydłużyły się szpitalne interludia, wracała po nich jeszcze drobniejsza, krucha, chyba najmniej ucierpiaty jej śmiech i uśmiech. Z drugiej strony ten okres okazał się dla niej wcale taskawy. Dzięki digitalizacji archiwów jej teksty drukowane przez lata w „Głosie Wybrzeża” odżywiają dziś w Internecie. Cyfaty trafiają do fachowych opracowań. W 1993 roku doczekała się innej frajdy, bo gdańska Stella Maris wydała znakomitą monografię pióra jej córki<sup>4</sup>, pierwszą na taki temat w polskim piśmiennictwie, a czasy były wtedy mało taskawe dla przedsięwzięciu wytworzył się tańczuszek pomocy, przy czym jednym z ogniw była Danuta Wałęsowa, z którą Wanda Obniska – tak się złożyło – zasiadała w jakiejś prezacnej radzie przy szkole baletowej.

Kiedy w ćwierć wieku po jej śmierci wyszukuje w pamięci pogodnie sceny z jej udziałem, miewam przed oczami te spotkania z późnych lat, gwarne, przeżytkane dowcipami, desery na stoliku, a spod stolika powarkiwanie Bysia zapatrzonego w gąszcz tydek.

## 10.

Ludzi na pogrzebie nie zabrakło. O Wandzie Obniskiej pamiętali nie tylko rodzina i przyjaciele, ale i wspierane kiedyś chóry, zespoły, szkoly, instytucje. Kondukt prowadził zaś ksiądz katolicki, ku zdumieniu wielu żałobników. Chowano nie tylko siostrę autentycznego komunisty, partyjną i szczerze zdystansowaną wobec duchownych. W gruncie rzeczy chowano luterankę, która młodzieńczy rozwód i nowy ślub okupiła konwersją, zgodnie z przedwojenną receptą. Trudno powiedzieć skąd się wziął ten ksiądz, który zresztą nie był ozdobą swojej instytucji. Dla części żałobników stanowił sensację. Zapewne dla jakiejś innej części nie. Owszem, krząły płotki. Podobno już w szpitalu, podczas ostatniego pobytu, chciała się pogapić na przechodzącą w pobliżu procesję Bożego Ciąta. Podobno podsuwano jej bliskim mgliste sugestie, że jeśli zechce, może liczyć na piękną ceremonię, ba, nawet w katedrze, wiośniano-różaną jak pierwsza komunია, da się załatwić, to się zrobi. Byle chcieć. Podobno komuś zależało, podobno to, podobno tamto.

Na pewno było jak było.

Każdy ma swoje tajemnice.

WOJŚLAW BRYDAK

<sup>4</sup> Ewa Obniska Claudio Monteverdi, Gdańsk 1993, Stella Maris, wyd. I

Urszula M. Benka

\*\*\*

Gwiazdo znaku zbawienia  
Dojść do ciebie najdłuższym sznurem pokoleń  
Próbujemy milionami lat  
Babka po prababce córka po matce za rękę wstecz aż do Małpy protoplastki  
Wody wypatrujące wody klucza do życia  
spalonego wodoru spalonego klucza do istnienia  
jakby życie było ze spalenia istnienia  
na istnienia pogorzeliśku  
Gwiazdo która rozumiesz  
To, freudowskie TO  
I świętość poza życiem  
Albo też  
Świętość poza istnieniem?

\*\*\*

Gwiazdo stara przycupnięta gdzieś na obrzeżu  
Dziury do której wszyscy tłocznie popędzili jak brukowaną drogą do piekła  
Stara gwiazdo modliły się do ciebie moje pra pra babki o niskim czole  
Długorękie przykucnięte na gałęziach  
Wiedzące że ziolo inny ma smak przy księżycu a inny przy supernowej  
A jeszcze inny jak kometa  
I tak samo smakuje krew inaczej  
Gdy nów gdy mróz  
A jeszcze inaczej w pieczarze malowideł łowieckich  
Gdzie przez szczelinę wnika światłość nocy  
Zasysana w czarne dziury

\*\*\*

Kometo wariatko  
Gdy przecinasz mleczną drogę sobą jak nożem  
Mleczną pustkę rozcinasz na ochłapy  
Pamiętasz pra mnie  
Moje pra namiętności  
Moje pra zło i praobjawienie  
I podobnych mi w innych zakątkach  
W innych czasach wielkiej pustki

\*\*\*

Gwiazdo  
Myję się w spalenisku wodoru w spalenisku źródła  
Czysta już  
Umyte oczy podnoszę  
Wlepiam w ciebie  
Czyste ręce wznoszę  
Ty odbijasz się w mojej ślinie  
W paznokciach

Urszula M. Benka

wnętrze poezji jest nieruchome puste  
(...) bez wyjścia.<sup>1</sup>

**B**iel... Bieli ponoć są 43 rodzaje. Każda bez wyjścia, chyba, że poprzez jakąś plamę. Aczkolwiek każda barwna plamka to kolor, i tak czy owak należy do *summy* plam, do bieli. Im więcej splamień, tym pustka przeczystsza.

A ile jest labiryntów? Tyle, ile poezji, ile psychik.

Technika nadaje nowatorskie funkcje oraz struktury materii i energiiom, także relacjom ze środowiskiem i najintymniejszym relacjom międzyludzkim: wszystkie one stosują się do wymogów techniki. W minojskim miocie o labiryntalności technika nadała nowe struktury i energie chaosowi, i w następstwie tego również i ekstazie.

Pewnego więc razu inżynier Dedal umożliwił królowej Pazyfae, żonie Minosa, uprawniając seks z bykiem – w tym celu wykonał makietę krowy, w jakiej schowana Pazyfae dała się pokryć bez uszczerbku dla zdrowia. Kolejnym wynalazkiem nałożył Dedal granicę wyrodniałemu owocowi tej zachcianki, lecz uczynił granicę labiryntem.

Dwa dokonania inżynierskie, dwa ogniwa w tańcu labiryntalności. Pierwsze z nich wprowadzało w błąd, kierując namiętność na powierzchniowe podobieństwo. Łagodziło impet tego, co rzeczywiste. Drugie z dokonań wręczca istną matnię uporządkowania chaosu, iluzję Chaosu. Razem złożyły się na coś, co groźne rozprzestrzeniło „transkontynentalnie”, bo aż z Aten zwożono ofiary potworowi. Jego zabójcę ocalała królowa Ariadna nicią skrzęconą – to trzecie dzieło – przez Dedala. Gdy więc Minos dowiedział się o zdradzie, wpadł w gniew i do Labiryntu wtrącił teraz Dedala niczym kolejną bestię, błąkającą się w cielsku potwora osobiście wynalezionego, własnoręcznie zrealizowanego. Właśnie tam, na którymś z urwanych na niebo kaskadowych tarasów Inżynier zmontował skrzydła.

Inicjuje on bowiem **sztuczne ciała**. Dla Pazyfae. Dla Minotaura. Dla siebie z synem. Zauważmy, że dla Minotaura gmach był – otulając go sobą – na nowo niejako matczynym łonem. Pazyfae ukryta w udającej ciało, miedzianej blasze albo drewnianych deskach makiety natartej krowim śluzem pochwowym, oraz zakamieniona w mnóstwo dzian, zatrząskuje każde z „dzieci” w „jadrze dezorientacji”. Minotaura, który jawnie odstawał od normy, przy czym jawną była jego geneza, dało się usunąć jakby tylko po to, aby zwolnić miejsce dla Dedala, bestii już dwoistej (Ikar to jego drugie ja), ta zaś jest już szanowanym obywatelom. Skromnym, pracowitym, kreatywnym. Trudno przecenić jego wkład w świetność cywilizacji i nie współczuć mu. Mił zarazem oznajmia, że zabiwszy rozpoznane zło, tkwimy w konstrukcjach, z których każda przedstawia techniczną perfekcję. Arbitralną jednak. Sztuczna cielesność „skrzydła” przy nadmiernym uniesieniu rozpada się na wirujące śmieci, przy niskim zaś zlepią w ciężką kluchę. Nie jest narzędziem, nie uczestniczy we właściwej żywym organizmom znuansowanej informacyjnej osmozie – ona z nią koliduje. Skrzydło pojawia się, powtórzę, w jądze **dezorientacji**. Innymi słowy, mił wytuszczył tu, iż posiłkując się wzlotem sakropodobnym, bez kontaktu z ja, ignorując świat,

1 T. Różewicz, *Na obrzeżach poezji*.

# CIEN IOŚWIATŁOŚCI I KOTLETACH Z TYŁKA TEZEUSZA

tak lub inaczej uśmiercamy swoje „dziecko” uznawszy je za jakieś koszarne zagrożenie albo rozpaczliwą naiwność.

Niż to anty-labirynt. Labirynt umarł, kiedy nić wniknęła węń i przeszła go na wskroś, od wejścia aż po cios w Minotaura. Też powstała z najlepszą intencją niesienia ratunku.

Pozbawiony nici (prosiutkiej instrukcji jak w labiryntcie funkcjonować), opustoszały gmach odzyskał więź z tym, co niebiańskie. Dedal przywrócił ją cudem technicznym. Zaoferował, śpiewając aoidowie, łot ani napędzany mocą ducha własnego, ani wniebowzięcie – bo w przypadku Ikar nastąpiło, jeśli tak wolno się wyrazić, wzięmiowzięcie. Łot nie wniósł nic do wiedzy sprzed startu. Odjął doświadczeniu ekstazy „fakt religijny” jako *fakt religijny* – a nie na przykład *spółeczny* czy *psychiczny*<sup>2</sup>; tym, co Dedal odjął, była sama przez się świętość wyjścia poza horyzont rozumu. W swoim aspekcie Ikar pomylił urąganie rozumowi z uwolnieniem odeń. Katastrofę powoduje zlekceważenie bogini fizyki, Physis – ta dla orfików była Macierzą, nadto bliźniaczką (żeńskim ja) Fanesa.

Gdyż Ikar jest parodią Fanesa: powoduje nim właśnie „fakt psychiczny”, niezgody natomiast na labiryntalność, w jakiej finalnie się **odnalazł**, a jaką w swoim aspekcie *Dedala* powołał do istnienia, po czym użył potwornościom (dopomógł im zaistnieć: bez pomysłowej „krowy” nie byłoby Minotaura).

W mitach porzucanie miejsca oznacza albo podróż duchową, albo rozpad ze znamionami narcyzmu, schizofrenii i hipokryzji, które szacownym jednostkom pozwalają na nikczemność z czystym sumieniem<sup>3</sup>; dopiero po osobistym doznaniu *labiryntu* nachodzi je pomysł, aby uciec. Uciec gdzieś hen – wtedy udają ptaka. Fanes natomiast, który sam wyklął się z jaja Kosmosu, był ojcem rzeczywistych ptaków. Dedal z synem obrażili jednak Physis wcale nie występkiem poza kordon fizyczny. Ikar sięgnął w najzupełniej obcą metafizyce, skierowaną na konkretny cel, *ezoterykę na sprzedaż*<sup>4</sup>. Podczas lotu ścigał jakąś cudną zjawę, która wywabiała go poza bezpieczne parametry. Ten szczegół jednak odstania wątek godów, w jakich oblubienica zmienia się w zabójczynię. Ikar-oblubieniec zamiast „godowej szaty” (Trzeciego Oka otwartego ku zmysłowości a zatem współczuciu) ma skrzydła mechaniczne, protezy.

Czytelnik pamięta o Godowej Szacie [Mt

2 Por. M. Eliade, *Szamanizm i archaiczne techniki ekstazy*.

3 Mit dotyka okoliczności przybycia Dedala na Kretę. Otrzymał on azyl, gdyż w rodzinnej Atyce był ścigany za morderstwo. Jak wielu zbiegłych zbrodniarzy, na nowym miejscu staje się aż nadgorliwie „szanym poddanym”, używanym przez władzę do tajnych poruczeń.

4 Wspomniane morderstwo miało uwolnić Dedala od zdolniejszego konkurenta na rynku inżynierii, a miało się usprawiedliwić oburzeniem na lubieżne życie ofiary. Ten sam więc moralista umożliwił Pazyfae odrażający stosunek z bykiem.

5 Odwołuję się do pracy Agnieszki Kowalczewskiej pod tym tytułem; autorka bada zjawisko urynkowania ezoteryki w obecnej pop kulturze.

22, 1-14]: pewien król wystąpił sługi, aby zaprosić kogo popadnie na wesele, wszak jeden z gości zjawił się ubrany w coś, co zupełnie nie licowało z misterium, jakim bogostawi się ekstatyczne doznania ciała i spłodzenie nowego życia. Ów więc weselnik został związany i wyrzucony za drzwi, w *ciemność*. Pewien otóż nadal szeroko znany weselnik obyczaj uczuła na dwuznaczność i samego incydentu, i strącenia. Chodzi o wymyślne przeszkody, tzw. bramy, stawiane na drodze pana młodego do panny młodej, a później młodej pary do kościoła i na przyjęcie; im więcej takich przymusowych postojów, tym lepsza wróżba. Skandal na ewangelicznej uczcie ma znamiona próby dla inicjowanych, bramy więc. O nowożeńcach w przypowieści ani słowa, natomiast nieodpowiedni, odmienny, zdumiewający strój stawia Niegodnego w środku uwagi nadając mu rolę celebryta rytuału przejścia do jasności przez ciemności. Plamy na jego ubraniu to znaki wyjścia z matni asemantycznej bieli świeckiej poprawności. Dom weselnik okazuje się sanktuarium, gdzie najciemniejsza komora kryje łożnicę jako podziemny ołtarz, gdzie brzmi echem: „i na złe!” oraz „do śmierci!”<sup>5</sup>. W progu nowożeńcy wypijają duszkiem z kieliszka, który muszą natychmiast odrzucić, aby rozitkował się w drobny mak<sup>6</sup>. Jak kryształ niepokalaną panną młodą. Jak Ikar.

Ikar wzięmiowstał niczym w tonie oblubieńcy, spadł rozprysnięty w narkotyczne nasiona, na podobieństwo genitaliów Kronosa, z których narodziła się Afrodyta. To oczywiście romantyka Ikar, przy którym Dedal okaże się nie tyle chthoniczny, co przyziemny a wręcz „zręcznie wykonany”, „zręcznie wykuty” (zauważmy stronę bierną czasownika w imieniu *Daidalos*) zleceniobiorca, ba – coś w rodzaju robota, stosowanego – czytamy w XXXI pieśni „Przemian” Owidiusza – do *poprawiania natury* a w konsekwencji instalowania technosfery również sakralnej. U Owidiusza oklaskuje Dedala *ptak wcześniej nieznan* – kuropatwa. Oklaskuje skrzydłami istoty, która lata, owszem, ale nisko, ciężko, niedaleko, po prostych odcinkach i z hałaśliwym trzepotem. Skoro jednak o micie mowa, o rozpoznaniach natrafianych także w trakcie snu, warto, myślę, brać pod uwagę perspektywę wniesioną przez Gustava Karla Junga. Przypisanie technice mocy *poprawiania natury*, swoistego leczenia natury, wiąże się z faktem, iż *rozumienie może przybierać nader jednostronne formy, jeśli to lekarz rozumie [schorzenie – UMB], nie zaś pacjent*<sup>7</sup>. Lekarz myli się z chwilą **przejęcia prerogatywy „rozumienia”**. Antycypując rozwój pacjenta, powstrzymuje proces jego rozwoju.

Kulturę Zachodu (minojski u jej zarania

5 Same pokładziny i nawet akt „spełnienia małżeństwa” na średniowiecznych dworach stanowiły rytuał, do jakiego dopuszczano świadków, a w tym wysokie duchowieństwo.

6 Niepęknięty kieliszek na zaślubinach Maryny Mniszchówny z Dymitrem w Soborze Uspienskim patriarcha natychmiast sam rozdeptał.

7 Karl Gustav Jung, *O istocie snów*. Przeł. Robert Reszke, Wydawnictwo KR – Wydawnictwo Sen, Warszawa 1993, s. 39. W kulturze Zachodu technika została lekarzem, a reszta populacji oraz środowisko pacjentem.

mit nie pozostawia złudzeń: jest ona technozoi-kiem) cechuje produkowanie sugestii na poziomie zdrowia, religii, erosa, nauki, mowy, sztuki, zabawy i wojny, nadające wyższość moralną, wręcz metafizyczną ich nadawcom, adresatom zaś niższość, skalanie, zatwardziałość i nieokrzesianie: przy współudziale całego społeczeństwa jest naruszana autonomia charakteru adresata. Zawsze standaryzowanego i zmuszanego wykupić sobie prawa do bycia w jakimkolwiek sensie inną wersją. Cały świat składa się tylko z pacjentów – wykrzykiwał profesor psychiatrii w „Karnawale” Petera Gehrischa. Przeniesienie kapitalistycznych mechanizmów na inne obszary poza konsumpcją sprawia też, że do adresatów sugestii podchodzi się jak do produktów w sklepie z tą różnicą, że przy takiej strategii selekcji z kulturowego mechanizmu elementów, jakie odstają od przyjętej albo zakładanej jednostki chorobowej, każdy adresat staje się zleceniobiorcą, toteż swoich z kolei adresatów chciałby pozbawić owej samodzielności, przynajmniej na jakiś czas<sup>8</sup> tyle, że w asymilacji tego co autonomiczne nie chodzi o jakieś albo-albo, lecz o albo i albo.<sup>9</sup>

Idea uskrzydlenia techniki niszczy cudze wytwory umysłowe i duchowe jako chorobotwórcze zarazki. Ich opór z kolei ściągają na półrzeczyste piętra, gdzie spodziewamy się ataku i próbujemy go ubiec, choćby tylko zamarciem nieruchomości za którąś ze ścian. Podobnie konkludował teoretyk komunikacji społecznej, Neil Postman w pracy „Technopol. Triumf techniki nad kulturą”: technika unicestwia duchowe i logiczne instrumenty diagnozowania spraw, wypacza ogląd, zatrąfa źródła człowieczeństwa w obsesji tworzenia sztucznych odpowiedników dla niewidzialnych procesów w obrębie ludzkiego umysłu. W istocie, konstrukt ożył. Niczym magiczna lalka, ożył w łono karmiące Minotaura, Dedala, Ikarą. Konstruktu można użyć do zabawy, seksu, medycyny, do wojny jako społecznej medycyny, produkować „lalki” w nas zakochane lub w miłości oraz mistyce nas wyręczające, jako źródła uświęcającej taski.

Spełniony dzięki *techné*, ekstazyfikacyjny akt Pazyfae (imię znaczy wszystko oprómiennająca; promieniowanie umie zabijać), to projekt zwierzęcości powstałej przez manipulację estrogenem a więc mimo użycia do makiety nieorganicznego tworzywa, genetyczną – w ryzach technosfery, choć Pazyfae zdaje się szczerze wołać: „Byk to uznaje i odwzajemnia moje instynkty”.

Akt dokonał się na ustronnej plaży. Królowa podkasała tunikę do wysokości brzucha i przeszła tam w bród przez płytką lagunę. Głazy, różowy piasek ze skruszonych muszelek i koralu, lekko świecący. Najeżone gwiazdami niebo. Dotykała granicy tego, co wodne, i tego, co ziemiste. Poczuła dreszcz i wsunęła się w makietę, uniosła uda, oparta je na zmyślnych pótczkach, przycisnęła się jeszcze sromem do otworu, przez chwilę jakaś gwiazda, może konstelacja, odbiła się w zwilgoceniu jak w lustrze. A w następnej już dopadł jakiś cień, odepchnął niebiosą jednym ruchem gorącego tyłka.

Motywy labiryntu przetwarzano aż po jego prostą postać, mianowicie meandra czyli ciskania się na boki między dwiema asymptotami; chrześcijanie labiryntalność kojarzyli z wilgocią, kobiecością i pokusą<sup>10</sup>, z karą tedy. Choć i z krzyżem, ale o tym

za chwilę. Widzieli w Ariadnie wybawicielkę pożyteczną tylko na określonym etapie – niczym jedna z sal labiryntu: trzeba ją opuścić, bo inaczej zamieni się w grób. Ponoć na Naksos, gdzie zawiñęła z powodu gęstej mgły, dziewczyna zasnęła, a po chwili już Tezeusz nie potrafił wypatrzeć jej pośród bloków kamieniołomu marmuru, bał się też, że została porwana – na wyspie coraz to natykano się na ślady Neandertalczyka i wcześniejszych hominidów, do złudzenia wszak przypominających odziany w skóry zwierzęce orszak Dionizosa. Tezeusz odtańczył więc z niedoszłymi ofiarami Minotaura taniec „polegający na wielce skomplikowanym krążeniu, wyobrażającym pokrętną ścieżkę Labiryntu”<sup>11</sup>, po czym w miejscu jej snu wznosił świątynię; z budynku pozostała do dzisiaj jeno brama, sanktuarium zamieniło się w bramę, w wejście lub w wyjście. Minojski mit powiada jednak, iż Tezeusz świadomie pozbył się Ariadny jako pragnącej jedni z Dionizosem. Analogicznie konstruktor pozbył się ekstazyka, jego archetypowy Ikar bowiem ujawnia rozsypkę atrapy uskrzydlenia. Dedal kształtuje atrapy po to, by „fakty archetypowe”, sakralne, znikły pod naporem faktów społecznych, atrap rzeczywistości, w imię których oducza się każdego z nas zachowań spontanicznych. Sam Platon odkrywszy idee, obudował je co prędzej konstrukcjami formy doskonałej praw, mówienia, obcowania z muzyką, wreszcie funkcjonowania szkolnictwa (kultury obcowania z informacją oraz niewiadomością), a wreszcie sztuki i wojny. W Platonieśkim państwie eros ma na celu przysparzanie podatników a miłośność ich sprawność.

Ten upadek w inżynierię społeczną przypadł na czas tuż po wojnie, która przez 27 lat dewastowała całą Grecję, Azję Mniejszą i Sycylię, sięgnęła Tracji, Macedonii, Epiru i na Półwysp Apeniński. Platon rósł pośród łęków, pośród traum, które zawsze deformują *sensus sacralis* w imię jakiegoś – możliwie ścisłego – reżymu. Ujrzał tedy idee będąc w stanie podobnym do urwanego lotu mistyka. Zainicjował ujmowanie świata w siatkę założeń, w labirynt filarów, podstaw i tunelowych przejść z punktu do punktu, by w sercu dezorientacji wlatywać na skrzydłach kleonnych z idei jako prawdziwych przeciwieństw piór. Technosfera sprawia, iż wszystko, co jeszcze naturalne, zdaje się metafizyczne.

Rozpad atrap rzeczywistości to gody w powietrzu.<sup>12</sup> Rozpad jest weselny, ekstazyfikacyjny. Po pierwsze, przywraca kosmosowi rzeczywistość. A po drugie, bo **dramat upadku i rozbicia też był samoobronną konstrukcją** Dedala, który romantyką Ikarą przykrył podróżowanie w niebo, gdzie wcale mu nie chodzi o Niebo. Ariadna jednak uosobiła sferę snu. We śnie wszystko jest krańcem a zarazem przekroczeniem, wykroczeniem, przestępstwem, granicę zaś ozywają – może gibkie węże minojskiej bogini to jakieś wędrowne stada granic? Ściany labiryntu zrzucające skóry albo maski, rozłazące się czasem wolno, czasem w drgawkach jak robaki na mięsie, na czole królów zaczajone w diadem tak, aby brano je za Trzecie Oko?

Zapytam więc, czy Dedal w ogóle był w stanie dać początek fenomenowi labiryntu? Jeśli bowiem źródłem labiryntu był Dionizos – bóg tego, co żywe, nieokietznane, a według Nietzschego – tego, co prawdzi-

we, a co apolliński duch próbuje wyprzeć, rozjaśnić i wyjaśnić, sprowadzić do kunsztownej zagadki, do technologii zagadki, to Dedal wykonał dla Minosa **atrapę Labiryntu**, tak jak wcześniej krowy dla Pazyfae. Ariadna się budzi, odkrywa, iż zupełnie jak we śnie albo w literach zapisu widać jaskrawą różnicę tego, co jest, od tego, czego nie ma. Odżywa pośród dionizyjskiego brudu, przy kamieniołomie. Dionizyjskie zbawienie świata ma w sobie coś z recyklingu.

Możliwe, że właśnie dlatego Dionizos „przybył do Aten” dopiero całe wieki po Minończykach, ponieważ archaiczny i pratechniczny widnokrąg sakralny był Dionizosem a tym samym Kosmosem, choć może zresztą czymś jeszcze starszym. Czymś, co streszcza się w idei pisma czyli sypniętych hojną garścią właściwości wszystkiego, co istnieje, a zatem znaków, a zatem plam niczym litery – i wyjść z Labiryntu, jakkolwiek zarazem i wejść w labiryntalność.

Wyłącznie śniący i czytający widzą treści snu lub zapisu.<sup>13</sup> Czytać, to znaczy tropić oczyma obecność niewidzialnego. Wyraz „książka” w starożytnej Italii był imieniem boga fascynacji, ukazywanego jako fallos tryskający, któremu oddała się Ariadna, aby ją przeniknąć, a jej nic ma w sobie coś z węży muskającego brzuchem wnętrza Labiryntu, te wszystkie jego waginy-schowki pulsujące jak znak zapytania. W erotyce identycznie: *ten, kto kocha*, powtórzę za Quignardem, *namiętnie, zagląda ukochanej głęboko w oczy. Ten, kto zagląda ukochanej głęboko w oczy, odkrywa w nich obraz samego siebie, i zaczyna się bać*. Labirynt w micie ujrzał Nić i w tym samym momencie stał się pustym. Ujrzał Nić, granicę w postaci ciągu punktów bez wymiaru, ciąg niewymierności. Tyle, że Nić i Ariadna to twarz i odbicie z lustrze.

Labirynty starożytne wyrażano figurą węży; wąż zmienia skórę niczym maskę, co czyni ze świata (obsesji granic) *teatrum mundi*. Wieki później, na posadzkach kościołów labirynty miały formę krzyża – nazywano takowe węzłami Salomona, w przeczuciu, iż krzyż jest labiryntem po prostu. Miał być wynoszony ponad. Jak Bóg wzechobecnny, bez początku ni końca, bez przyczyny. Ogniskuje poziom i pion, i wabi w przejścia do coraz dalszych pomieszczeń, a więc nieciągłości w litej dotąd „ścianie tego, co oczywiste”. Oznacza to dostępowanie przerw, luk. Ujrzenie struktury jest ujrzeniem pustki oddzielającej – niczym mur – segmenty konstrukcji.

Oto Ariadna spojona miłośnie z Tezeuszem wyjawiała mu tajemnicę Labiryntu i nie było na ten moment między nimi tajemnic – po czym ich ciała się rozsunęły, zaspokojone, ich jaźnie też się rozsunęły. A im bardziej się od siebie oddalali, tym więcej w luce między nimi przybywało Dionizosa. Stawało się go tak pełno, że najpierw to było bolesne, upokarzające, łkające, a następnie coraz bardziej dotykające, muzyczne, cielesne, pieszczotliwe, rozkoszne, ponadto coraz bardziej złożone, bo okazało się jednocześnie i Dionizosem, i orszakiem osłów z bukłakami wina na grzbiecie, i oślicą, na jakiej kiwał się posypany kwiatkami Sylen, i osobno gromadą menad strojnych w świeżo zdarte skóry jeleni, gromadą satyrów, wymachiwaniem kielichami, kręceniem ogonami do rytmu dzikich pieśni, wywijaniem tyrsami owiniętymi latoroślą; tyrs przywodzi na myśl węże w garści. Węże zresztą żywe pętały po kielichach, bo bachantka nie chce atrap. Dionizos dosiadał tygrysa, nosił opończę ze skóry tygrysa: topoce mu

<sup>13</sup> Pascal Quignard, *Liber*, w: *Seks i trwoga*. Przeł. Krzysztof Rutkowski, Czytelnik, Warszawa 2002.

<sup>8</sup> Tamże, s.39-40.

<sup>9</sup> Tamże, s. 51.

<sup>10</sup> Władysław Kopaliniński w *Słowniku symboli pieczolowicze wymienia: spółkowanie, vulwę, grzech, podziemną krainę zmarłych, piekło, ból*.

<sup>11</sup> Pierre Grimal, *Słownik mitologii greckiej i rzymskiej*. Ossolineum 1987.

<sup>12</sup> Cytat z poematu George’a Byrona *Ziemia i niebo*. W: Karl Gustav Jung, *Symboly przemiany. Analiza preludium do schizofrenii*. Przeł. Robert Reszke, WROTA, Warszawa 1998, s.155.



ona u ramion, to oczywiście płynna granica tożsamości – takim ukazał go Michał Anioł na posągu, i nie inaczej pokazał apostołamęczennika Bartłomieja, który z kolei trzyma w rękę własną, obdartą zeń skórę. Niczym granicę ludzkiego ja oddzieloną od cielesnego ja tak, aby oznajmić, że pomiędzy rzeczywistością pochwytą a granicą samą w sobie rozpościera się pusta przestrzeń, a nadto, że granica to jeszcze i linia jak nić, i płaszczyna topocząca, na jakiej proste równoległe przecinają się. Sam Dionizos Michała Anioła to, znowu, nie żadna kreacja, lecz prastworzenie. Buonarrotti notował w sonecie: *nie ma takiego pojęcia / Co by w marmuru tonie już nie tkwiło; Byle wiedziona dłoń myślącą siłą / Umiąta głazom zadać trafne cięcia*.

Opisuję po prostu Dionizosa narastanie między Tezeuszem i Ariadną. Z perspektywy Tezeusza narastało aż po wędrówki na Argo, po spotkanie Medei bratobójczyni jak Ariadna, której imię wszak znaczy Święta Oczwistość. On sam zginie roztrzaskując się gdzieś w pustkowiu gór na Skyros. Nikt tego nie zauważył, zaznaczy Grimal. Jak śmierci Ikara na obrazie Bruegla.

Przelewają się te granice jak linie ciat chwytne w kontrapoście, jak obte ich zarzysy, bo zwłaszcza zestarzały i otyły Dionizos upodabnia się do kobiety, istnej Wenus z Willendorfu.

Na posągu jest muzyką, on i jego hałaśliwe, wulgarne, zlepione ze sprzeczności halo: satyrowie to pół ludzie, pół kozły, przywodzą

na myśl pół człowieka, pół byka, które to istoty rozpoznajemy na nocnym firmamencie. Nocą kosmiczna pustka potrafi się zarozić od skorpionów, lwów, raków, panien, ryb, węży, smoków, baranów, koziorożców, syjamskich bliźniąt, wodników, strzelców, psów, wychlipnieć mleka z piersi bogini. Trafne cięcia zadane niebu ponadawały Kosmosowi każdy z tych hieroglifów. Mamy więc zatoczone wielkie koto, labiryntalne, bo i sam Dionizos również „dzielił się”, dwoił i troił. Na dzieciątko rozkawałkowane i gotowane w kotle, na młodzieńca o długich lokach z fresków Krety. Koziołkuje w salto mortale, łapie oburącz wołtyżerkę, napawa się wonią fiołków, konwalii, ligustru, mięty i czystka. A na szyćchu Hansa Baldunga legł goły, wsparty o satyrzątka pulchne jak amorki, jeden nawet susia mu na zamroczonej głowinie; struga siuszków tworzy oś dzieła. Inny malarz oddał go okrakiem na koźle, z gotymi pośladekami satyrów na pierwszym planie. Jednak przeistoczenie wody-macierzy w wino a koniec końców w odchody to misterium.

Labirynt minojski! Przewiewne kolumnady o zwężonych bazach, muzyczne schody z piętra na piętro, malowidła, z których żadne nie przedstawiało scen wojny ani postaci hegemonów; wyjątkiem był topór o podwójnym ostrzu, rzeźbiony też na ścianach, cokotach i słupach. Zamiast militariów i regaliów, ukazywała się bogini życia o talii osy, strojna w falbanianą krynolinę i stanik odstaniający piersi, z wężem w każ-

dej z uniesionych tańcem dłoni. Kwiecie wydawało się pachnieć, dudki, przepiórki, gołębie śpiewać. Sale dzieliły delikatne alabastrowe progi a ezoteryczne posadzki, powtórze, zonglowały plamami, ideaq splamienia: każdy pigment, każda figura, każda konfiguracja i każde tworzywo jak kryształ górski, lazuryt, serpentynit, miedź, złoto, były nasycone znaczeniami tak, że idąc labiryntem wpływało się, niczym w dym albo mgłę, w jakowyś tekst, wpisany we wszystko. Cofając się, napotykało się ów tekst wspan, podobny do modlitwy chłopów i wiedzów chrześcijaństwa, albo do raków, renesansowego gatunku wiersza nęcącego dowcipem, autoironią, przekorą, sowizdrzalstwem. Co oczywiście kłóciłoby się ze stereotypem labiryntu jako beznadziei. Możliwe też, że ów tekst-mgła zawierał twarde, unieruchomione palindromy, jak choćby zakaz albo oko. Labiryntalny tekst więc poznawany całym sobą, wchtaniamy pełnią zmysłów. Aż po eksplozję. Bo, **skoro labirynt był wszędzie, to i wyjście zeń, choćby tylko jedno jedyne, było wszędzie**.

Zarazem nie istniało – mijamy zbawcze drzwi jak niewidzialne, ponieważ nie umiemy ustalić etiologii swojego problemu. Nić Ariadny wyzwalała tym, że naprowadzała na punkt wyjścia, ku przyczynie – punkt wyjścia potoczył Tezeusza na powrót z jego punktem dojścia: był nim, jak usilnie podkreślał Plutarch, okręt. Ktokolwiek ujrzał te czarne żagle, popełniał samobójstwo – skacząc z symbolicznego samoobronnego muru miasta, co jak czarna dziura, ściąga produkty materialne i intelektualne z najdalszych zakątków globu oraz niebios, gdyż nawet i bogowie instalują w nim swoje wynalazki, udzielają objawień.

Tezeusz pozostawił Labirynt nie naruszywszy ani stropów, ani ścian. Nie sprzątnąwszy nawet wielkich kup kału z przetrawionych najpiękniejszych dziewczyn i młodzieńców – cisnął czerwono zabarwiony kłębek lnu przez reling do morza. Jako on i nie on, bo w dniu podjęcia wyprawy (gdyby to podliczyć) jeszcze się nie narodził lub był dzieckiem. Przemierza krainy, jak gdyby poszukiwane punkty wyjścia mnożyły mu się, rozbiegały na boki. Każda z jego wypraw to kolejny korytarz uwiecznany ścianą pełną drzwi. Każdej z tych ścian, każdemu wejściu szepce głosem rzymskiej arystokratki z „Przemian” Apulejusza – do Osta: Tylko ciebie pragnę, bez ciebie żyć nie mogę. Oto odwiedzając się Pejritoosowi za wyświadczoną kiedyś pomoc, zszedł z nim do piekiet, by pomóc mu w uwiedzeniu Persefony. Gdy Hades dowiedział się o ich zamiarach, zostali skuci „węzowymi splotami” i posadzeni na Krześle Zapomnienia. Było ono z rozpalonego metalu. Tezeusz zerwał się na równe nogi, oddarł mu się jednak zesmażone pośladki. Jakiś fragment jego granicy fizycznej spłynął lub opadł popiołem, drobinek wianych wiatrem. Labirynt uczuła, że wszelki nadmiar jest ubytkiem. Ramy dla zła po to, aby było bezpieczniejsze, to ingerencja w strukturę, przejaw nadmiaru, dodawania złu niewymiernych punktów tworzących limes.

To ingerencja w pustkę zatem. Według IX-wiecznego filozofa, Jana Szkota Eriugeny, pojęcie natury obejmuje „to, co jest i co nie jest”, czyli byt i niebyt: bytem jest to, co jest poznawalne zmysłami bądź intelektem, niebytem zaś to, co wymyka się temu poznaniu. Dodam: a ponieważ wszystko w swej istocie wymyka się poznaniu, zmysłami jest zaś jedynie odczuwane, to wszystko jest niebytem. Tak, jakby Bóg Onego czasu rzekł: niechaj stanie się niebyt.

URSZULA M. BENKA

## Cezary Łukasz Żarna

## \*\*\* (Mój syn na kilkadziesiąt lat)

Mój syn  
na kilkadziesiąt lat przed śmiercią,  
biega po osiedlu, jeździ na hulajnodze,  
gra z kumplami na telefonie,  
ogląda tiktoki.

A potem przychodzi i mówi –  
– kocham Cię, tato.

Boże  
miłosierny! A ja muszę mu powiedzieć,  
po co się urodził –

## Nieubrane słowa

Nieubrane w słowa  
myśli  
stają się zbyt lekkie, odfruwają.

Poubierane  
uginają się pod ciężarem.

Wiersz drży. Bo był  
we mnie.

Bo był mną.

## Bez wyjścia

Jak dobrze,  
że nie będę musiał tego powtarzać.  
Do życia  
przychodzi się  
bez wyjścia.

Jeden raz  
w zupełności wystarczy.

## Wskazówki

Patrzę na zegarek  
– potem  
jeszcze kilka razy.

Coś krąży pod skórą,  
– coś  
chce być napisane,  
coś chce się napisać.

Chyba  
straciłem rachubę czasu.

Łapię się wskazówek,  
żeby się nie zgubić.

– Zawracają.  
Wszystko już było.

## Jedna trzecia

Próbuję wejść  
na nowo w swoją historię,

zapadam się  
przy każdym, nie swoim spojrzeniu,  
dalej odgrywam życiowe role,  
dalej prezentuje aktorstwo  
z najwyższej półki,

dla niektórych nadal  
jestem chamem,  
żebrakiem,

jedyne, co czuję,  
to najbardziej dotkliwy

głód.

Nie jest tak źle - powiesz,  
w końcu

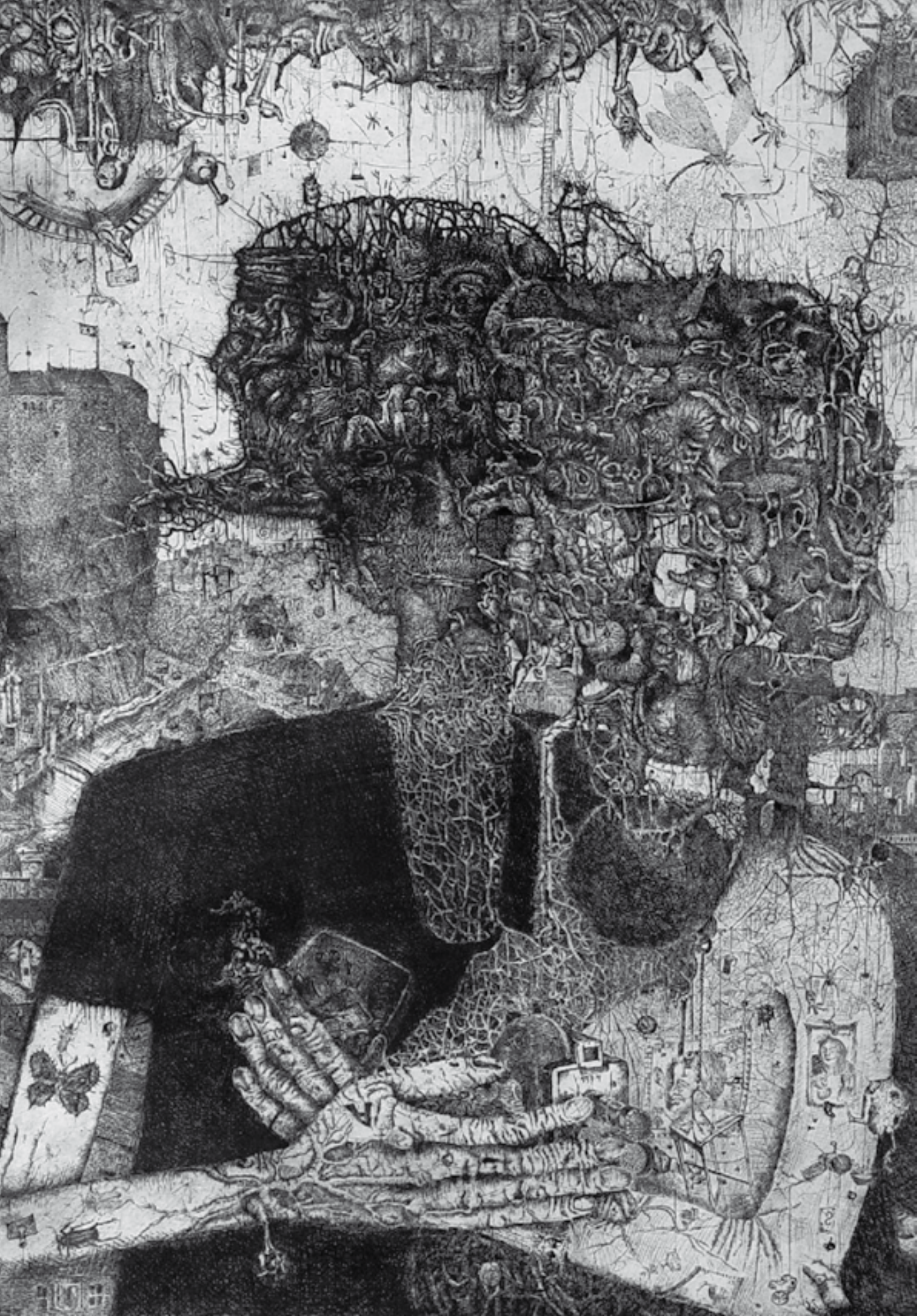
jedną trzecią życia  
się przesypia.

Wiersza.

**Cezary Łukasz Żarna**, urodził się 30 grudnia 1982 r. w Nowym Dworze Mazowieckim. Od urodzenia mieszka w Legionowie i tamże ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej.

Debiutował jako poeta wierszem „Na Stacji” opublikowanym w miesięczniku „Cogito” w 2002 roku. Po kilkunastoletnim okresie przerwy w tworzeniu w 2022 roku wrócił aktywnie do pisania. W listopadzie 2023 roku, za pomocą wrocławskiego wydawnictwa Liberum Verbum wydał książkę poetycką „Miłość. Piękna Pomyłka”. Na chwilę obecną będzie brał udział w antologii poetyckiej „Wwierszowzięci Intymnie” Fundacji Poetariat, która ukaże się latem tego roku.





Maria Jolanta  
Fraszewska

# TOŻSAMOŚĆ I TRADYCJA, A NA DODATEK KLIKA KULTURY

Tożsamość i tradycja, a na  
dodatek klika kultury - esej  
Maria Jolanta Fraszewska

Twoje królestwo — to są niepokoje  
z gwiazd narodzone, z ciemniących dróg,  
które prowadzą w nieznane przestrzenie,  
tam, gdzie się dzieją śmierć i narodzenie,  
gdzie myśl się budzi, wyzwolona z trwóg,  
choć widzi, że przemienie ze  
swym pokoleniem.<sup>1</sup>

Wobec hasła definiującego pojęcie tożsamości płynie dużo wody, jak to wokół każdej wyspy. O jej skalne brzegi odbijają się wysokie fale, których powrót może zabić uciekiniera z wyspy, pochłoniąc swą siłą ciągnącą w głąb kipieli. Miesza się w niej i chęć odejścia i pozostania i powrotu i zachłanności przestrzennej. Prawo do nieśmiertelności dyktuje wewnętrzny kosmos. Czynniki skraplają się w domysłach i zatykają otwarte usta kolejną parą. Leci nowa woda, a pod przysznice zbierają się chmury. Motywacją do ucieczki jest ciekawość, bo ona zawsze jest winna pokonywaniu tego co dalej i dalej, a przecież tak blisko...

Wyspa zmęczonym kojarzy się ze spokojem i wypoczynkiem, a tym, którzy zbyt długo na niej przebywają, z więzieniem i izolacją. Stali mieszkańcy wyspy czyli tacy, którzy są obcy w jej inności, tajemniczością, historią, odmiennością, jednostkowością, po prostu z własnym codziennym mozołem życiowym, nie spostrzegają jej terytorium w kontekście zamknięcia, a dostrzegają urok i walory odseparowania. Wydobywają z niej swoje życie. Wyspa jest gruntem i warunkiem, możliwością i koniecznością. Zwracają uwagę na granice, które rozciągają się bogactwem, zatopionym w przestrzeni morskiej czy oceanicznej.

Morzem pamięci płynę, mgłą,  
mijając wyspy snu i jawy,  
nieznana wkoło kipi głąb  
i niezbadany cel wyprawy.<sup>2</sup>

Mają poczucie, że jest tak jak być powinno, nie definiując dylematu z moralnego punktu widzenia. Powinno tak być, bo zawsze tak było. A skoro było, a ja, wyspiarz, wciąż jestem, to znaczy, że wszystko jest jak być powinno. I zamyka się w klamrze słowa podstawowego. Bo czymże jest słowo, jeśli nie magia? I czy wyspa skłonna jest do zbudowania nowego systemu organizacyjnego niż dyrektywny, ustawodawczy dla wszystkich, totalitarny, demokratyczny, komunistyczny czy obywatelsko jednostkowo wolnościowy? Niektórym wystarczy wolność w obrębie własnego ciała, a innym w obrębie wyspy. Jedni na wolnym polu sądzą ziemniaki, aby było się czym posiłnić i poczęstować sąsiadów, a inni sądzą, że posadzić należy miny przeciwparncerne, co

spowolni ruchy napierającego, ale po co tyle roboty? Ponieważ przestrzeganie reguł nie jest obowiązkowe, choć może być obowiązkujące na danym terenie.

A z dna pamięci, z głębi wód,  
z płynnych obszarów oceanu,  
powstaje strach, i mord, i głód,  
widma potwornych lewiatanów.<sup>3</sup>

Mała paczuska w obrębie oceanu. Leżąca i należąca. Klika rąbka kultury, którą tworzy wzajemna sympatia zamieszkującej wspólnoty zależnej od siebie w większej mocy niż sądy innych. Poczucie związku staje się wieczną domeną moralną członków społeczeństwa wytwarzającego specyfikę, która staje się ukonstytuowaną naturą, a przecież zrodzoną ze spontanicznego bytu. Jeden daje to, drugi tamto, a potem wspólnie konsumują własne wytwory, bawiąc się i śmiejąc. Początkiem współpracy i pracy była i nadal jest - zabawa. Na jej polu rozpoczyna się dziejowość poznawcza naszych relacji. Tu możemy poprobować czy jest tak, a może inaczej. Dajemy zaledwie początek trybiku zachowania, bo czy rozwinię się w działanie uwiecznione sensem, to przyszłość pokaże. Jednak w każdym działaniu jest wskazanie do podjęcia odwzajemnienia. Zrozumienie tegoż uzależnione jest od przybyścia, od zaproszonego do wspólnej zabawy. Czyżbym wskazała tym samym na możliwość powstania konfliktu? Tak. Załączki są istotne.

Jesteśmy gnojem, mój bracie,  
Mierzwą potu i krwi,  
Mroźne niebo sinieje nad nami.  
Płyną obłoki — i dni.

Jesteśmy mierzwą potu i krwi —  
— I strugą źródlanej wody —  
Złocisty księżyc z nas drwi,  
Z nas — i z naszej swobody. 4

Wyspa, przewrotnie czytam w Wikipedii, „zaliczana jest do kresomózgowia parzystego, a ściślej do płaszczu”. Tam gdzie kres mózgu, wyspy pływającej w obrębie ciała ludzkiego, tacha piachu niczyjego wbija się czasem przyplwy i odpływy w przestrzeń oceanu i mój małeńki teren osobistego terytorium psychologicznego. Gdy poczuję chłód sięgnę do przepastnej szafy i przywdzieję płaszcz, wykorzystam jego walor, aby ogrzać siebie albo może, aby na dłużej pozostać we własnym cieple. Ostonić siebie przed utratą osobistego ciepła.

Płaszcz jako katalizator, jak negocjator, rozjemca, pośrednik w sporze o granice mnie, ciebie, terenu, przestrzeni, czasu, Ziemi i Kosmosu. Tożsamość. Kim jestem?

Układ brzeżny jak na tratwie uwieszony szybuje w życie linek limbicznych, aż napotyka zwierzynę usytuowaną w głębi

cu du centralnego. Serce mózgu. Konik morski, hipokamp, wierzga odnogami nie do opanowania, tak by się zdawało. Emocje sąleją, a język? Cóż język? Obejmuje cały ten ład i nieład w „polu wyrzowym”<sup>5</sup>. Czy nadając nazwę tej szczególnej części mózgu: „hipokamp” w skojarzeniu z konikiem morskim, wiedziano, że samiec konika morskiego rodzi młode? W brzuchu samca znajduje się worek lęgowy, do którego samica składa jajka, a samiec je zaptadnia i rodzi. I że swoją pionową pozycję zawdzięcza środowisku życia, ponieważ żyjąc wśród traw konik morski wytworzył ewolucyjnie esofloresową postawę ciała. Pozycja wertykalna umożliwiła większą manewrowalność. Czubek języka zawsze gotowy jest do skoku jak kobra. Kamuflaż innego rodzaju niż u kameleonów, jednak to środowisko życia powoduje zmiany w organizmie, gdzie istotą życia jest wartość zachowania życia. Trzeba umieć dobrze się maskować, aby nie paść tupem drapieżnika.

Dopłynęłam.

Dopłynęłam łódką języka i łódką natury, spletanymi genami, których wydobywanie się maskowane jest dziejami.

Kiedy wyzwolenie staje się niewolnictwem? Myślę, że wtedy, gdy zawieramy intencjom bez zapoznania się z możliwymi skutkami. Nie jednym skutkiem, lecz wieloma. Bowiemy wystąpienie jednego - właśnie jest niewolnictwem, podporządkowaniem się idei. Wolność jednostki jest odgórnie skazana na podporządkowanie się z tzw „własnej woli”.

Co kryje w sobie powyższy sposób myślenia? Wybór: życie lub śmierć. Decyzja obejmuje całą rodzinę. Ginie nie tylko osoba, w stosunku do której zastosowano szantaż, ale cały ród. Do jakich czasów nawiązuję?

Wydaje się, że obecnie ludzie rozumieją tę paranoję decyzyjną. Jednak czy wystarczy powierzchownie przyjąć fakt do wiadomości i zgodzić się z nim, bez głębszej refleksji?

I wołam: — Ojczy nasz, którego nie ma,  
Wywiedzionego z otchłani kuszenia  
Niechaj cię noc obrośnie potężna i niema,  
I gwiazdzistym milczeniem  
zbawi od istnienia. 6

Dedecius, biografia korzenna człowieka

W „Granice państw” dzieci się bawią, pamiętam tę zabawę, rzucano się patykami, liczyli kroki i zataczali kręgi. A potem, gdy dzieci dorosną... ludzie o granice się biją. Innych zabijają, innych..., bo nagle wynajdują jakiś wyznacznik podziału. Mówią przy tym, taka jest „historia”, takie są dzieje. Wymyślne słowo: historia, i nagle... po wszelkiej odpowiedzialności. Człowiek, z braku czasu na głębsze zastanowienie, zgarnia „tę historię” do jednego wora. Znika gdzieś śmierć, choć niejedno ma imię, znika

1 W. Sebyla, „Ojczy nasz”, w: „Poezje zebrane”, PIW 1981

2 Tamże

3 Tamże

4 W. Sebyla, „Jesteśmy gnojem, mój bracie...”, w: „Poezje zebrane”, PIW 1981

5 Słownik terminów literackich, Ossolineum, 1989, s. 375

6 W. Sebyla, „Ojczy nasz”, w: „Poezje zebrane”, PIW 1981

gdzieś ból i cierpienie pomnożonego pojedynczego człowieka. Historii nic nie boli, jest nieczuła na organizm człowieka. Wytycza linie, wyjawia plany przeszłości, uwidacznia posunięcia, przesunięcia, dosunięcia, usunięcia, nasunięcia, idzie śladem, śledzi i twierdzi, że celem jej jest, aby potomni wiedzieli i ustrzegli się przed tym co ona sama sobą zawiera i reprezentuje. Na co nam taka historia? Jeszcze jedno opowiadanie, bajka, baśń, a może legenda, bajanie? Człowiek lubi „gadać”, nie ma co robić – gada. O tym samym w kółko, ale gada. I mija. Gada następnym. Umiera. Powstają nowi i znowu gadają. Puste to słowa, ale gadają i przemijają. Człowiek rozwija ośrodki mowy, myślenia, rozwija procesy poznawcze, buduje nowe połączenia neuronów komórkowych. I stoi w przestrzeni wieków nieporuszony w jednym i tym samym miejscu. W jaskini. Strzela słowami i z procy, którą wciąż unowocześnia stojąc w progu jej wejścia. Broni dościcia. Broni granic obszaru dookoła siebie.

Duchu, więjacy nad wodami,  
nie słyszę świstu twoich piór,  
a znam ten głos, przedwieczny chór,  
to śpiewa krew oceanami. 7

Kiedy w dziejach świata, Ziemi powstały granice terenów, obszarów, państw i z jakiego powodu? Czy powód ów jest nadal aktualny? Takie pytanie powstało w mojej głowie czytając esej Krystiana Medarda Mantuffella zamieszczony w Migotaniach nr 2 (79) 2023 pt.: „Pochtonie nas historia”. Od razu zajrzałam do Wikipedii: „właściwie Krystian Medard Czerwiński, polski poeta i pisarz, żyjący od 1988r w Niemczech.”

Czytając wzruszyłam się ogromnie, choć przede wszystkim esej dostarczył mi wiedzy. Bo przecież nie wszystko się wie, a każde życie dostarcza dodatkowych wątków. I zaczęłam klócić się ze sobą: bardziej wiedzy czy emocji? I czy to ma jakieś znaczenie? Co było powodem mego poruszenia, a może faktem utożsamiania się z problemem ukrytym pod powierzchnią treściwych zdań? Których zdań i jakich znaczeń? Losy ludzkie nawet w czasie tzw „pokoju” zawierają w sobie wojny. Dedecius, Polak czy Niemiec i jakąż problematykę wnosi dla obecnie żyjących? Patriota. Kolejne słowo zagadka. Człowiek Kochający życie, sens i podmiot losu. Tłumacz zastużony dla kultury polskiej.

W 2008 roku została wydana biografia Dedeciusa: Karl Dedecius Europejczyk z Łodzi. *Wspomnienia*. Wydawnictwo Literackie. We wstępie czytamy: „Łódź ... Miasto matki i ojca, ich ojczyzna z wyboru, miasto mojego urodzenia, miasto mojej *education sentimentale*.” I dalej: „Korzenie. Skąd bierze się, co jest. W tym momencie dziennik Musila wypada mi z rąk. Duszą i ciałem jestem teraz przy swoim życiu. Przy rodzicach, którzy pobrali się w 1912 roku, tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, w niewielkiej miejscowości Żelów, osadzie czesko-niemieckich kolonistów, a potem przeprowadzili się do tajemniczego, nęcącego ich miasta w pobliżu: do Łodzi. (...) Wyruszyli z manatkami do „ziemi obiecanej”, do polskiego Klondike, do obiecującego każdemu człowiekowi szczęście i dobrobyt „Eldorado Wschodu”. (...) Setki, tysiące ludzi nie posiadających ziemi ani pracy, znęconych i gnanych „gorączką tekstylną” ciągnęły wówczas z daleka i bliska, ze wsi i osad do Łodzi.”

Rodzice Dedeciusa uczęszczali do szkół

rosyjskich, a on z niemieckich wybrał... polską, wielojęzyczne gimnazjum humanistyczne. Po maturze w 1939 roku, z wakacji na Helu, trafił do ochotniczego hufca pracy pod Łomżą, z zadaniem budowania bunkrów na granicy Polski z Prusami wschodnimi. Uciekając przed czołgami niemieckimi dotarł do Łwowa. Tam byli już Rosjanie. Powrót do Łodzi trwał kilka morderczych miesięcy. „Jego rodzina z pruskiego, potem rosyjskiego, stała się nagle „volksdeutschami” Trzeciej Rzeszy. Wybrali to, bo „reichsdeutsche” wierzą w Rzeszę Niemiecką, a „volksdeutsche” w naród niemiecki”.<sup>8</sup> Tak tłumaczył mu ojciec. Dedecius otrzymał powołanie do wojska. Walczył po stronie Niemiec w północnych okopach Stalingradu. Kolumna jeniecka i obóz rosyjski, długotrwała gorączka, dyzenteria, lazaret. Lekarka z Kijowa przywiozła wiersze Lermontowa i nagle lekarstwo – tłumaczenie. Potem Jesienin. „Wiersze stały się moim dziennikiem jenieckim. Stanowią odzwierciedlenie doświadczeń w Rosji ekstremów: hardości reżimu i czułości oraz ciepła ludzi.”<sup>9</sup> Potem obóz pracy w Michajłowcach. Polacy mogli opuścić obóz jako pierwsi i przekonywali Dedeciusa, że skoro urodził się w Polsce, to jest obywatelem polskim. Jednak Dedecius nie chciał: „Probowałem im wyjaśnić, że można zmienić obywatelstwo, ale niepodobna wyrzec się rodziców, przynależności narodowej, wychowania ani wiary. Zamierzałem ze wszystkimi konsekwencjami wziąć na swoje barki przeznaczenie nałożone mi przez wojnę. Tak jak wszyscy inni Niemcy”.<sup>10</sup> Programem rekonwalescencyjnym stała się umiejętność tłumaczenia i zamiętanie do języka rosyjskiego. Dlatego nawiązał znajomość z kulturoznawcą i w ten sposób stał się instruktorem kulturalnym. Stworzyli zespół muzyczny z wokalistą, co pomogło w zapomnieniu w jakim miejscu się znajdują. Potem wspólnie stworzyli kursy językowe, grupę śpiewaczą, kółko literackie. W 1945 trafił do kolejnego łagru. Do Iwanowa do pracy w kombinacie włókienniczym. W 1947 powrót, ale nie do Łodzi do Weimaru, Frankfurtu. I ucieczka ze wschodu na zachód. W epilogu podsumowuje: „Właściwie wszyscy przez całe życie pracujemy nad naszą autobiografią, świadomie lub nieświadomie. (...) Nasze życie się kończy, ale jego sens, dzieła trwają, jeśli to, co pozostawiamy, stanowi jego kontynuację. Dlatego też płodzimy dzieci, budujemy domy, w których mieszkają nasi potomkowie, i drogi, po których się poruszają. Karty nie zawsze są sprawiedliwie rozdane i potasowane zgodnie z osobistymi pragnieniami. Zyski lądują nagle w niewłaściwych rękach, poświęcenie przynosi destrukcję, albo jeszcze inaczej: katastrofa okazuje się prawdziwym błogosławieństwem, gorąca wojna wyzwoleniem, zimny pokój niewolą. Zamiar przestaje być decydujący, o wszystkim przesadzają konsekwencje, których nie da się z góry przewidzieć, a co dopiero uwzględnić.”

I wtedy pomyślałam, że losy ludzkie są bardzo do siebie podobne, te większego i te mniejszego kalibru. Te zwykłych zjadaczy chleba i tych, którzy potrafią ten chleb zasuszyć na „zaś”.

Zaś robi różnice

Na „zaś”, tego słowa często używała moja prababcia. Prawdziwa Kaszubka. Choć niewiele wiedziałam o jej przodkach do czasu tegorocznych wakacji i mojej osobistej „podróży korzennej” na tereny kaszub-

skie i graniczne z kociewskimi. Nareszcie dowiedziałam się, uzupełniłam luki, po to, aby zrozumieć własne losy, te współczesne.

Pochyliłam się nad jej, prababci i pradziadka grobem na ziemi kościarskiej. Na ziemi cmentarnej prababca pozostała notką na krzyżu. Polka, Niemka, czy Prusaczka? Kaszubka. Skończyła cztery, a może pięć klas szkoły podstawowej. Mówiła gwarą, niektórych słów nie rozumiała. A robiąc na drutach dla mnie swetek, gdy byłam dzieckiem w wieku przedszkolnym, w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, wciąż liczyła przerabiane oczka po niemiecku. Jak mantrę, jak modlitwę. Zapytana o tę swoistość, odpowiedziała, że tak ją nauczyli w szkole i tak jej wygodniej. A mowy polskiej nauczyli ją w domu, bo tam mówiło się po polsku czyli kaszubsku. Tyle zapamiętałam. Nikt tej historii nie spisał. Jej historii życia codziennego. Wydawała się nieważna. Jej życie i jej matki, mojej prababki. Dotarłam do zapisów rodzinnych w księgach parafialnych. Okazało się, że prababcia miała rodzeństwo. Zachował się grób prapradziadka. Życie to po prostu walka o byt i przetrwanie. Wielki trud pomieszany z łękiem o byt, ciężka praca w majątku ziemskim, życie w czworakach, które przetrwały do dziś, oczywiście w odremontowanej formie. Mieszka w nich sołtys z żoną, współcześnie zrobiliśmy sobie „selfi”, na pamiątkę zmienności czasów. Drobne domki stały i stoją wzdłuż krótkiej drogi prowadzącej tylko w jedną stronę, do majątku, do pracy, a potem powrót, aby wczesnym rankiem drogę tę powtórzyć. I tak przez kolejny rok i kolejny. Wybawieniem wówczas dla kobiety było „dobre” zamążpójście. Dawało możliwość zmiany własnego położenia, choćby miało to być maleńki kroczek, nawet taki na długość pół stopy. Ze wsi, która liczyła kilkanaście chałup do wsi, która liczyła ich kilkadziesiąt, do niewielkiej miejscowości, małego miasteczka. Wciąż bliżej i bliżej tego większego.

Moja mama urodziła się w Sopocie w roku 1939. Jeszcze przed wybuchem wojny. Została ochrzczona w charakterystycznym dziejowo kościele: „Gwiazda Morza”. Jedynym kościele, w którym księża głosili kazania w języku polskim, jak i niemieckim. Fakt ten dużo mówi o historii rodzinnej. Po śmierci ojca pod Stalingradem w 1943r, wraz z jej mamą przeprowadziły się do Gdyni. Gdy byłam dzieckiem często wracając z wakacji przejeżdżaliśmy przez Gdynię. Mama wtedy pokazywała palcem: gdzieś tam mieszkaliśmy, gdy byłam takim dzieckiem jak ty... W zawieruchach wojennych i powojennych wszystko przepadło. Czyżbym była pokoleniem rodziny z uchodźstwa? Czy powinienam czuć się jak oni? Ci współcześni uchodźcy wykluczeni przez gadanie naznaczające, stygmatyzujące uprzedzeniami? Pradziadowie, pozbawieni domów i rodzin, zaplątanych w historię i okoliczności. Nie wiem co było przedtem, nie znam ani wcześniejszych ani późniejszych losów części mojej kaszubskiej rodziny. Czasami coś się we mnie tli i cni i wtedy szukam śladów przeszłości rodzinnej w internecie wpisując nazwisko prababci. I nagle do mnie dotarło, przecież nie znam nazwiska panieńskiego mojej prababci. Zapytałam mamę, ona nawet o tym nie pomyślała, zawsze prababcia funkcjonowała w jej głowie jako to jedno nazwisko. A jest tych charakterystycznych nazwisk na Kaszubach kilka tysięcy. Czuję się osamotniona w genetycznie ziemskiej tożsamości. Ograbiona z przeszłości. Jednak świadomość kaszubskich genów głęboko we mnie tkwi. Zapewne też dlatego, że urodziłam się i mieszkałam dość długo na Pomorzu, na terenach Kaszub Zachodnich. →

8 K. Dedecius, *Europejczyk z Łodzi. Wspomnienia*. Wydawnictwo Literackie, 2008

9 Tamże

10 Tamże, s. 150.

Młodość nabiera wartości z dystansu wielu lat. Wiele lat bieżącego życia musi upłynąć, aby całość zaczęła nabierać wartości istnienia.

Gdy słyszałam w publicznych mediach pogardliwe wyzywania grupy polityków, od dziadków niemieckich obecnego premiera, to odczuwałam ból i jego i swój. Jak można nie znać do tego stopnia historii społecznej ludu polskiego? Jak można Polakom ubliżać publicznie, bo przecież jestem Polką i moja rodzina również i wiele innych rodzin również. Ziemię centralne oderwane od ziem utraczonych i odczyszczonych. Mazowsze, płaskie i rozległe. Spod Czarnolasu pochodzi mój ojciec. Jan Kochanowski w potężeniu z Kaszubami, ot i dylemat. Ale ojciec poślubił Łąki, lasy i jeziora kaszubskie. Rozzalenie, rozgorczenie, smutek wszechogarnięcy? A moje obecne miejsce zamieszkania, Środkowego Nadodrza, ziem kulturowo wymieszanych, czymże jest w świadomości obywatelstwa polskiego? Podczas literackich spotkań w piwnicach winiarskich Zielonej Góry, na zaproszenie poety i pisarza Krzysztofa Fedorowicza, autora *Zaświatów. Opowieści o nieprzemijaniu*, książki nominowanej do Nagrody Nike 2021, gościł Ireneusz Grin. W książce *Ze złości*<sup>11</sup> podejmuje tematykę tożsamościową. Maks jest Żydem, a chce zostać Polakiem, a Franek, Polak, postanowił zostać Żydem. Na pytanie, czy sensownym jest w dzisiejszych czasach zastanawiać się nad własną tożsamością, pisarz odpowiedział wprost: „bez sensu, bo i po co?” Faktem jest, że wojny powstają na bazie lepszego-gorszego. Więc po co? Ale dla celów osobistych przecież można.

Tożsamość według *Słownika Socjologicznego* to: „okazywanie innym jednostkom i samemu sobie identyfikacji z jakimiś elementami rzeczywistości społecznej, także umożliwienie innym zidentyfikowania, zdefiniowania i rozpoznania danego obiektu przez pewne cechy charakterystyczne dla danego obiektu”.

A pod hasłem „tożsamość kulturowa” przeczytamy uzupełnienie: „tożsamość społeczna zbiorowości, ujmowana w kategoriach „inności” czy „swojskości” danej kultury w stosunku do innych kultur. Przejawia się w kulturowo zdefiniowanym sposobie działania, w materialnych i niematerialnych wytworach powstałych w obrębie danego obszaru kulturowego, w tym także dziedzicznych po przodkach”.

Wygłądając przez okno

Kiedy i co powoduje, że człowiek zaczyna poszukiwać swojej tożsamości i do czego jest mu ona potrzebna? Przecież jego życie jest i trwa, jego życie się toczy, być może bez większych zawruchów. Po co więc jest mu potrzebna jego przeszłość? Przecież odejście wraz z nią...

Wizualnie wyjaśniam sobie ten problem wyglądając przez okno. Widzę wysokie drzewa, które rosły wraz ze mną i przerosły mnie. Rosną na niewielkim paletku trawnikowym przed moim blokiem i czasami upadają pod wpływem olbrzymich wicher. Tak właśnie się stało z wysokim świerkiem. Został wyrwany z korzeniami podczas rozszalałego wiatru. Korzenie były niktę w stosunku do długości drzewa. Bardzo mizerne i płytkie. System korzeniowy nie rozbudował się na tyle mocno w lichej ziemi, aby utrzymać całość przy życiu i nie oparła się ona przeciwnościom pogodowym.

Podobnie dzieje się z tożsamością. Nasze życie się wydłuża i aby przetrwać i stać się mocniejszym na słabnące lata, szukamy oparcia w naszej przeszłości, tej, której już

11 I. Grin, *Ze złości*, Prószyński i Ska, 2003

nie ma, ale trwa w pamięci czasów minionych.

To trochę też tak, jakby nagle odkryć tajemnicę uśmiechu *Damy z łasiczką* Leonarda da Vinci. Wnikamy w twarz Cecylii nieświadomie zapominając o pyszczku białego gronostaja.

Może warto by było częściej spoglądać we własne oblicze pojawiające się w blasku lustra?

Więzi mnie wola ciała, wszystkiego stworzenia  
Strachy i nędze w żyłach moich krzyczą,  
I na ziemi i w niebie czyhają cierpienia  
I poją chleb powszedni bezsilną goryczą.<sup>12</sup>

I kilka cytatów, które są chwilowym rantem, bo naukę w ten sposób traktuję, jak uzdrawiającą tabletkę, i zaproszeniem do głębszych refleksji. „Ja” – czytam, jednak czy - „oni”, też czytają? „Ja” poszukuję odpowiedzi na wiele pojawiających się pytań, a czy „oni” biorą „mnie” pod uwagę? Czy „oni” należą do mojej grupy współplemieńców? I czy nie wystarczy uśmiechnąć się do mijanego na ulicy sąsiada? Przecież żyjemy pod wspólnym dachem.

„Memy są to pewne jednostki informacji lub ich zespoły (takie jak ideologie), przekazywane w trakcie uczenia się, nie zaś dziedziczenia jak geny. Ważnym narzędziem w transmisji memów jest język, który wyewoluował, żeby móc wskazywać m.in. na to, co nie jest „tu i teraz”, np. przeszłość i przyszłość czy odległe miejsca”.<sup>13</sup>

„Tożsamość kulturowa jest wynikiem zachowania dziedzictwa przodków, kultywowania podstawowych wartości. Tożsamość kulturowa to względnie trwała identyfikacja indywidualna lub grupy ludzi z określonymi wartościami kulturowymi (idee, przekonania, poglądy, postawy, itp.)”<sup>14</sup>

„Tożsamość – wizja własnej osoby, jaką człowiek ma: właściwości wyglądu, psychiki i zachowania się z punktu widzenia ich odrębności i niepowtarzalności u innych ludzi.”<sup>15</sup>

Profesor filozofii, zajmujący się świądomością i umysłem, Daniel C. Dennett<sup>16</sup>: „Często mawiałem, że gdybym miał dać nagrodę za najlepszy pomysł w historii, dostałby ją Darwin. Przed Newtonem, Einsteinem i całą resztą. Darwinowska koncepcja selekcji naturalnej jednoczy świat. Jednoczy świat przyczyny, materii, fizyki, ze światem znaczenia, celu, świadomości. Całe spektrum życia zależy od połączenia ożywionego z nieożywionym, znaczącego z pozbawionym znaczenia, celowego z zaledwie mechanicznym i zaledwie fizycznym. Koncepcja Darwina jest spoiwem tego wszystkiego.” (...) „Teatr Kartezjański”, spektakl, który odgrywa się w naszych głowach, a my jesteśmy jego pupilnością. Nasz umysł opierając się na intuicji wybiera fakty, które są zbiłką zjawisk, pozorów i odwzorowań.” (...) „Żadne zwierzę oprócz człowieka nie jest wyposażone w umysł, który pozwala mu na postrzeganie rzeczy w kategoriach odpowiedzialności.”

„Sami tworzymy własne arcydzieło, nasz własny mózg”<sup>17</sup>, tak mówi profesorka ana-

12 W. Sebyła, „Ojciec nasz”, w: „Poezje zebrane”, PIW 1981

13 <https://naukawpolsce.pl/aktualnosci/news%2C101735%2Czmarl-wybitny-filozof-amerykanski-daniel-dennett.html>

14 Prof. AJP dr hab. B.A. Orłowska, *Tożsamość kulturowa człowieka*, ODM Gorzów Wlkp

15 Za: Wikiedia.pl

16 [www.youtube.com/watch?v=WVeh0S2Xv4Y](http://www.youtube.com/watch?v=WVeh0S2Xv4Y) Pioneers: Daniel C. Dennett. *Do Lobsters Have Free Will?*, autor filmu Karol Jalochowski

17 „Dr Diamond. *Mózg moja miłość*”, USA, reż

tomii Marian Diamond, która jako pierwsza odkryła, że mózg jest zdeterminowany środowiskiem, dając podstawy nowej nauce jaką jest neurobiologia. I jako jedyna zbadała mózg Einsteina odkrywając jego odmienność, polegającą na wzbogaconych komórkach glejowych. Neuroplastyczność mózgu wciąż jest niedoceniana w kontekście zniszczeń powstałych w obliczu przeżyć skutków wojennych.

O, matko! Ty przebaczysz,  
ty jedna przebaczysz,  
Niepopelnione winy, —  
powszedni chleb grzechów,  
I żab, uwięzłych w błocie, pogardliwy rechot,  
Wszystko, czego nie było — i to, co być może,  
I marnotrawstwo krwi, z żył  
złotym wypruwanej nożem,  
I kłamstwo niepotrzebnych uśmiechów.

O, matko! Ty zrozumiesz — ty  
przecież zrozumiesz,  
Że modłę się do Boga, w którego nie wierzę,  
Że krzyżem w miłkim piachu oślepiony leżę;  
Tak jak do Ciebie płacząc, zagubiony w tłumie.  
Choć wiem, że cię już niema.  
— ...I nigdy czołem w kolana  
twoje nie uderzę...<sup>18</sup>

W dziale historii literatury, poezje Włodzimierza Sebyły, należącego do grupy poetyckiej „Kwadryga” sytuowano z wyrażonym zaznaczeniem, że choć członkowie nie wypracowali odrębnej poetyki, to ugruntowała się we wrażliwości społecznej. Bardzo wcześniej Sebyła stracił matkę, potem ojca, potem siostry. I w tym fakcie upatruje się jego wieczną tęsknotę za niezrealizowaną miłością. Jego poezja nasycona jest metafizyczną katastrofą.<sup>19</sup>

Cytowane w eseju wiersze można różnie interpretować. Na przykład dopasowywać do wydarzeń, które nastąpiły, a o których poeta wówczas nie wiedział, a tylko przewidywał. My znamy już wydarzenia, które potwierdziła historia. Żaden historyk nie oddałby tak rzetelnie i wiernie przeżyć i sytuacji panującej w tamtym czasie.

Według mojego odczucia „matka” to Ojczyzna, choć równocześnie jest matką, do której pragnie się wtulić biedny, przestraszony chłopiec. Bo zadaniem matki jest ochrona dziecka. Ojczyzna, utrata państwowości i narodowości polskiej pod zaborem rosyjskiego pseudoprzyjacielskiego komunizmu. Sebyła miał prawo wiedzieć, jako walczący żołnierz Armii Krajowej, że walka jest marnowaniem krwi, wzlotem samorodkiem. „Kłamstwo niepotrzebnych uśmiechów” czyli obłuda, obłuda... i „pogardliwy rechot” tych, którzy manipulują dla własnych korzyści z nienasyconą chciwością posiadania siłowej, fizycznej, okrutnej w skutkach władzy nad innymi. Bohaterska walka w obronie godności i honoru kiedyś zostanie nagrodzona, jednak nie teraz. Pozostaje wiara, nie w Boga, bo jego nie ma, a w Państwo Polskie, w Ojczyznę, w tożsamość polską kształtowaną latami. Tę prawdziwą, uczciwą i szczerą, bezpośrednią, zwyczajną, serdeczną. Dziecko składa swoją głowę w kolanach Matki, aby ona go pobłogosławiła. Żołnierz w obronie Ojczyzny klęka

G. Weimberg, C. Ryan, 2016, *Planete*

18 W. Sebyła, „O matko Ty uwierzysz”, w: „Poezje zebrane”, PIW 1981

19 E. Cichła-Czarniawska, *Władysław Sebyła. Życie i twórczość*, Lublin 2000

przed Sztandarem składając przysięgę. Bo Ojczyzna jest Matką, chroni, ale też ma wymagania i ją również należy chronić.

Ludzie potrzebują układu odniesienia, czegoś co jest postawione nad nimi, do czego można się odwoływać. Erich Fromm twierdzi, że: „Ludzie przypuszczalnie nie poddawaliby się tak łatwo wpływowi, gdyby potrzeba posiadania spójnych ram nie była tak niezbędna.”<sup>20</sup>

Jak opisać przeszłość, gdy nie uczestniczyliśmy w niej, bo żyjemy teraz. Otacza nas inna rzeczywistość. Jednak pewne elementy powtarzają się. PTSD to określenie pojawiło się dużo później. A i falowość dziejowa została naukowo poświadczona.

Do wierszy Sebyły należy i trzeba dorosnąć.<sup>21</sup> A dorasta się z doświadczaniem współczesności, stąpając śladami historii i odkrywając rewery jej kart, i obserwując na ile tylko starczy umiejętności spostrzegania, zawartych w przygotowaniu i wyuczeniu metodologicznym nie tylko naukowym, a przede wszystkim osobistym.

Istnieją pewne zasady, które warto przyjmując jako podstawowe i pogodzić się z ich wartością. Nigdy nie będziemy wiedzieć wszystkiego. Tak brzmi pierwsza i każda następna. A jednak warto oprzeć się kostur własnego osądu.

W eseju K.M.Manteuffela jak i w książce biograficznej Dedeciusa, znamieny jest fragment, gdy Karl Dedecius podczas Międzynarodowej Konferencji Tłumaczy w Warszawie w latach 60-tych XX wieku zaprezentował i swoją biografie i pracę odczytując wiersz W.Sebyły „Pogrzebany”. „I wtedy na scenę weszła zapłakana kobieta, objęła mnie, podziękowała i powiedziała: Po raz pierwszy po 1945 roku są w Polsce czytane wiersze mojego męża. I to przez kogo? Przez Niemca, po niemiecku. (...) Wzruszenie żony poety zamordowanego Katyniu musiało być ogromne. O Katyniu w tym czasie nikt nie mógł w Polsce wspominać.”

Puenta jest bolesna, jak cała historia. Ale też, gdyby nie zapis w wierszu, będący realnym stwierdzeniem, zawierający przeżycia i historię, czy wciąż zaprzeczalibyśmy wartości poezji społecznej? Warto więc cenić i czytać poezje niezależnie od podziałów.

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA

20 E.Fromm, „Anatomia ludzkiej destrukcyjności”, s. 257, Rebis, 1999

21 M.Calbecki, „Czarna kropla nieskończoności”. Fenomen lęku w poezji Jerzego Lieberta, Władysława Sebyły i Aleksandra Rymkiewiczza”, Ossolineum, 2008

Cezary Sikorski

z cyklu: Hotel Mariański

hotel mariański 179.

dziś rano  
w lustrze  
dostrzegłem ikara

tafla zwierciadła  
była klarowna i czysta  
a on leciał spokojnie  
wysoko ponad  
hotelem

gdy mrugnąłem  
już go nie było  
nie wiem czy spadł  
czy poleciał dalej

w odbiciu tylko ja  
orałem twarz

hotel mariański 181.

niekiedy  
błąkając się  
po wysokich piętrach  
odczuwam pokusę redukcji

bo niby dlaczego myślenie  
miałoby mnie wyróżniać  
w hierarchii bytów?

...

gdybym był kotem  
mógłbym wejść  
wyżej

gdybym był ptakiem  
to bym odleciał

lub jak krzta pajęczyny  
spadałbym na dno  
powoli i bezboleśnie

hotel mariański 191.

w ostatnim pokoju  
na najwyższym piętrze  
spotkałem matkę

była mniejsza ode mnie  
zatrzymała się na krótko  
w podróży na koniec zbioru  
zdarzeń najpierwszych

chciałem spytać o coś więcej  
wyjaśnić że nie chciałem

lecz ona zbyła mnie  
w pośpiechu

taka młoda  
że mogłaby mnie  
nawet nie urodzić

i mała jak iskierka  
co trwa przez chwilę  
na sierpniowym niebie

hotel mariański 193.

za magazynem z brudną pościelą  
z dala od windy i głównych schodów  
jest pokój do którego  
nie mam dostępu

wynająć go można jedynie  
na dłużej niż sto lat

matko  
mamo  
mamusiu

zostawiłaś w nim okulary

poczekaj

przyniosę ci je  
niedługo  
zobaczysz

## hotel mariański 197.

hotel jest

pełen ludzi i zdarzeń  
choć wydaje się pusty

trudno dostrzec tych co są  
a ci którzy odjeżdżają  
nie zostawiają śladów

nawet pokrewni rezydenci  
są niewidzialni  
gdy już nie mieszkają

dyskretny personel  
szybko wymienia po nich zamki  
zaślepia okna i korytarze

niesforne artefakty  
upycha w zakamarkach piwnic  
dokąd nie trafię

nawet przez przypadek

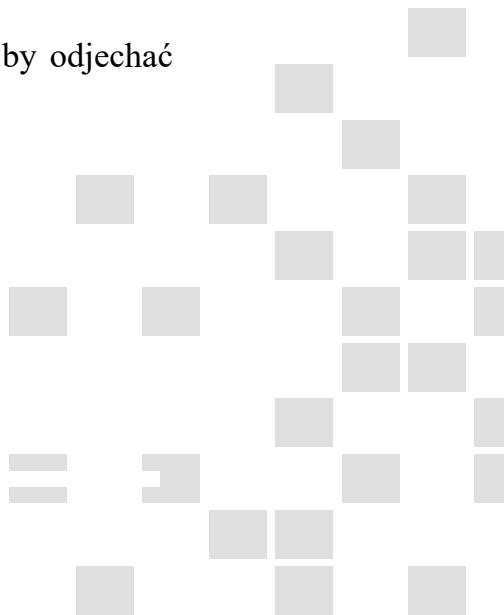
## hotel mariański 199.

hotel jest

a ja nie

przyjechałem  
tu tylko

by odjechać



Dariusz Pawlicki

# O DROGACH PRAWIE ZAPOMNIANYCH

„Pamiętaj o mnie”  
szepcze kurz.

PETER HUCHEL

Interesują mnie drogi, przyciągają moją uwagę. Lecz nie dzieje się tak dlatego, że jestem kierowcą, bo nim nie jestem. Na dodatek to moje zainteresowanie nie dotyczy każdej drogi. Mało tego, zdecydowanej większości spośród nich, nie obdarzam uwagą. Na dodatek ubolewam, że coraz więcej ziemi jest pokrywanej tłuczniem, betonem, asfaltem.

Spośród dróg interesują mnie te, z których mało kto korzysta. Takie drogi, oczywiście, nie zawsze były zapomnianymi. Na to, że straciły na atrakcyjności wpływ miały rozmaite czynniki. Mogły bowiem powstać szlaki konkurencyjne dla nich ze względu np. na lepszą nawierzchnię, oszczędność czasu. Lecz często jest i tak, że nie prowadzą one już tam, gdzie wielu ludzi miałoby coś do załatwienia. Choćby dlatego, że zdecydowanie zmniejszyła się liczba mieszkańców jakieś miejscowości. Wyeksploatowanie, dajmy na to, żwirowni czy kamieniołomu, też może sprawić, że jakaś droga zacznie z wolna zarastać różnymi roślinami chcącymi jakby ją zamaskować, skryć przed niepowołanymi oczami. Może też, z różnych przyczyn, przestać istnieć most nad rzeką bądź wiadukt nad linią kolejową, przez które prowadziła droga.

Przyciągające moją uwagę drogi najczęściej są gruntowe, znacznie rzadziej utwardzone tłuczniem, wyjątkowo wybrukowane kocimi łbami. Rodzaj nawierzchni stanowi istotną informację o stopniu ich zapomnienia. Jest też swoistą gwarancją, że przynajmniej przez pewien czas pozostaną mało uczęszczanymi.

Stan tych dróg, praktycznie niezmienny od czas ich powstania, ułatwia ujrzanie oczami wyobraźni poruszających się po nich karet, dylżansów, chłopskich furmanek zaprzęgniętych najpierw w woły, a potem w konie; jak też wędrowców czy też jeźdźców. Mając na uwadze tych, którzy kiedyś z dróg tych korzystali, możemy wyobrazić sobie, iż to właśnie ich oczami przyglądamy się jakimś szczególnie atrakcyjnym widokom. I to zarówno wtedy, gdy szli lub jechali (nie ważne czym albo na czym) bądź też odpoczywali na poboczu. Taki odpoczynek zastęgiwał na szczególne traktowanie, gdyż piesi, a tych kiedyś było o wiele więcej niż obecnie, często się zatrzymywali. Nie tylko jednak dla nabrania sił, lecz także dla pokontemplowania otoczenia (mniejsza dostępność czasomierzy powodowała, że kiedyś ludzie tak się nie śpieszyli). Tym bardziej, co ważne było w gorące dni, iż wzdłuż dróg rosły drzewa; zawsze rosły. Stanowiły ich uzupełnienie, zdradzały też z daleka ich



Fot. Dariusz Pawlicki

obecność. Były także ważnym elementem krajobrazu. Specjalnie więc je sadzono, uzupełniano uschnięte bądź potamane. I tym drogom, które przyciągają moją uwagę, drzewa wciąż towarzyszą, co najwyżej jest ich mniej, niż było pierwotnie; nie brakuje pośród nich okazów okaleczonych bądź martwych. W przypadku zaś dróg, które ledwie muskam wzrokiem, drzewa są najczęściej elementem ledwie tolerowanym, a często w ogóle nieobecnym. Niekiedy tylko zastępują je żywopłoty. Liczą się przecież samochody. I nic ponadto.

Drogi, na które chcę zwrócić uwagę, często niezaznaczone na mapach i planach, nie stanowią celu wycieczek (gdyby było inaczej, kartografowie by je nanieśli). Natomiast często umożliwiają dotarcie do jakichś zabytków, oczywiście, nie tych popularnych, okrzyczanych, uznanych za kolejne cuda świata. W takie miejsca prowadzą autostrady i szerokie deptaki.

Drogi, którymi jestem zainteresowany, nawet jeśli wytyczono je w XVIII wieku, za zabytki nie są uznawane. Gdyby tak było, przynajmniej od czasu do czasu, by



je dostrzegano. Ale status zabytków mają niektóre stare aleje. Dzieje tak się jednak wyłącznie ze względu na drzewa. Same zaś drogi, choć są częściami alei, pozostają „niezauważane”.

Prostota wspomnianych dróg, jak również ich wtopienie się w krajobraz, jest tym, co sprawia, że zawsze interesują się nimi. Jestem jednak w tym moim upodobaniu raczej osamotniony. Zupełnie inaczej jest z drogami rzymskimi będącymi całkowitym przeciwieństwem, dlatego o nich wspominać, dróg, którym poświęcam uwagę. I to zarówno pod względem skali zainteresowania jakie wzbudzają, jak i każdym innym. Choćby dlatego, że Rzymianie zaczęli je budować już kilka wieków przed Chrystusem (przykładem może być pochodząca z 313 r. p.n.e. słynna *via Appia*). Ale wiek tych rzymskich szlaków, to jedno, bo w grę wchodzi też ogromny wysiłek, jaki został włożony w zbudowanie dziesiątków tysięcy kilometrów znakomitych dróg. I to zarówno ten w postaci pracy ludzi i zwierząt pociągowych, jak też finansowy poniesiony na zakup materiałów i opłacenie budowniczych. A koszty te były znaczne, gdy weźmie się pod uwagę np. to, że niejednokrotnie szerokość tych szlaków wynosiła nawet 10 metrów. Były one nieco wypukłe, aby spowodować ściekanie deszczówki na boki. Jej odprowadzaniu służyły dwa ocembrowane rowy.

Budując owe drogi starano się, o ile było to możliwe, dokopać do litej skały. Dopiero na niej kładziono kolejno 4 warstwy, na które składał się rozmaity materiał. Ich łączna grubość, w zależności od warunków terenowych, wynosiła od 1 do 1,5 metra. Pierwszą warstwę, czyli *statumen*, tworzyły płaskie kamienie spojone najczęściej gliną; drugą - *rudus*, *runderatio* - cienka warstwa kamyków, połączonych cogiet i kamieni; trzecią - *nucleus* - ubity drobny żwir lub piasek; czwartą - *summun dorsum* - warstwa drobnego żwiru lub szerokie płyty kamienne stanowiące nawierzchnię. Już sam fakt nadania powyższych nazw jest jednoznacznym dowodem na to, jaką wagę przywiązywano w państwie rzymskim do budowy dróg. Nie wspominając już o tym, że poszczególne szlaki miały swoje nazwy (*via Appia* nie była wyjątkiem).

Jakże silnym bodźcem do oddania się fantazjowaniu może być, choćby zachowany w złym stanie, fragment drogi rzymskiej. Możliwe jest dzięki niemu „zobaczenie” np. legionistów budujących ją w czasie pokoju (właśnie tym często wówczas się zajmowali) bądź maszerujących po niej w zwartych oddziałach w czasie wojny. Może nawet wyda się komuś, że słyszy ich miarowe kroki.

Zdecydowanie inaczej jest w przypadku dróg polnych wijących się np. pomiędzy jeziorami i pagórkami, a niekiedy wspinających się na wzniesienia. Jeśli chodzi o nie, to najczęściej nie sposób określić czasu ich powstania. Możliwe jest jedynie snucie przypuszczeń, kiedy wydeptane wcześniej ścieżki przestały nimi być, gdy pojawiły się na nich pojazdy konne. Drogi polne mają też to do siebie, że często trudno jest w ogóle mówić o tym, że zostały wytyczone.

Faktem jest też, że historia pisana przez „H” rzadko, a może nawet bardzo rzadko korzystała z takich dróg. Zdecydowanie wolała szerokie trakty, nawet jeśli były piaszczyste. Odegrały one istotną rolę, chociażby, w marszu na Moskwę Wielkiej Armii. Jak również w jej odwrócenie stamtąd. Z tym, że wówczas pokrywał je już śnieg i lód.

Wielu ludziom wydaje się, iż droga polna, zwłaszcza taka zapomniana przez Boga i ludzi, nie skrywa w sobie żadnej dramaturgii. Zwłaszcza, gdy porówna się

ją z drogą rzymską. Nie mówiąc już o jakiejś średniowiecznej warowni. I to nawet takiej znajdującej się w kompletnej ruinie. Otóż jest to pozorny brak wynikający z niechęci do wysilenia wyobraźni. To fakt, że trudno jest w tym wypadku o swoiste podpowiedzi, jakimi są sceny zapamiętane z lektur książek, a obecnie częściej z oglądniętych filmów, których akcja rozgrywa się np. w epoce wypraw krzyżowych. Drogi stanowią w nich mało istotny element.

Zdarzenia rozgrywające się z dala od zamków, pośród pól, niewątpliwie były mniej spektakularne. Pozornie nic na nich się nie działo! Ale tylko pozornie, na pierwszy rzut oka... Trzeba bowiem puścić wodze fantazji.

Rzeczą niezmiernie interesującą, według mnie, jest to, iż na owych drogach zapomnianych można obserwować... wolno płynący czas. I można to czynić zarówno wtedy, kiedy widać poruszającego się nią człowieka bądź zwierzę, jak też wtedy, gdy dostrzeże się wędrowca siedzącego na przydrożnym kamieniu, a znacznie dalej sarnę skubiącą trawę na poboczu.

Czas gwałtownie przyspiesza, gwałtownie w porównaniu ze stanem początkowym, kiedy ów człowiek powstanie i zacznie otrząpywać fragment spodni, na którym siedział. Widok zaś wyprostowanej sylwetki ludzkiej spowoduje nieśpieszne oddalenie się sarny.

\*

Przykładem drogi, o której mowa jest w tytule, może być ta prowadząca od Pokrowska, przysiółka wsi Karolin, w głąb Bobrowego Bagna (najczęściej zwanego, po prostu, Bobrami). Na prawie całej swej długości jest ona żwirowo-piaskowa. Na początku jej szerokość jest taka, iż mogą minąć się - przy zachowaniu dużej ostrożności - dwa wozy konne, albo samochody osobowe. Potem zwęża się jednak zdecydo-

wanie. Początkowy odcinek jest porośnięty niewieloma roślinami. Następnie pojawia się coraz więcej traw. Kiedy droga wkracza na teren podmokły, trawy ustępują miejsca kobiercowi mchów torfowców. Dotąd jej przebieg wyznaczały dwie koleiny odcisnięte w gruncie. Odtąd zaś - także koleiny, ale już ledwie widoczne w grubej warstwie torfowców.

Ta droga, i jest to coś bardzo szczególnego, urywa się nagle. Jakby pojazdy dotarły do konkretnego miejsca wracały po własnych śladach, albo... zapadały się, nikięły w bagnie. Droga zaś nie biegnie dalej, gdyż jest to środek Bobrów. To dlatego przy naciśnięciu warstwy mchów np. rozwartą dłonią, utworzone w ten sposób wklęsłości, natychmiast wypełnia się wodą. Wobec powyższego, z końcowego odcinka tej drogi korzysta wyjątkowo niewiele ludzi: myśliwych, grzybiarzy, a przede wszystkim zbieraczy żurawin. Jeszcze mniej porusza się nią pojazdów, zarówno jedno-, jak i dwuśladowych.

Dla przykładu wspomnę jeszcze o drodze biegnącej przez zachodni fragment Wzgórz Strzelińskich. A na pewnym odcinku - skrajem porastającego go lasu. Tak, że ktoś idący od południa, po prawej stronie będzie miał grabowo-sosnowo-dębowy las, a po lewej - widok na Kotlinę Henrykowską. Z tym, że ten widok, skądinąd piękny, będzie nieco ograniczony przez stare kasztanowce zwyczajne. Obecność tych drzew, jakby nie było ozdobnych, jest znamienista. To, iż rosną one właśnie tam, jak i równe odstępy między nimi, wskazują jednoznacznie na celowe działanie; na chęć odróżnienia tej drogi od innych, jak również jej ozdobienia.

Sama zaś droga jest kamienista. I poza nielicznymi piechurami i rowerzystami, praktycznie nikt więcej z niej obecnie nie korzysta. No może jeszcze, ale rzadko, używa się jej do wywózki drewna.

DARIUSZ PAWLICKI  
WROCLAW, WIOSNA 2010



Dorota Czerwińska

## płec

gdybyś zrobiła mnie chłopcem pewnie  
musiałabym umieć się bić i nie płakać  
nad rozlanym mlekiem

a przecież mleko rozwodnione jest mniej kaloryczne  
bicie piany poszerza  
horyzonty

mąci i rozdmuchuje  
oczywistość

## hasior

i zapłonęły ptaki  
albowiem artysta  
lubi flirtować z ogniem  
a ogień z wyrazem

energetycznym slangiem

pozajmował miasta

## kreacje

śniła mi się prababka miała pelerynę  
a na tej pelerynie Jezus przy ognisku  
przypiekał sobie nogi

z krzyża zaś biały szatan z miną pokerzysty  
spoglądał w dół na graczy i spluwał ku talii  
a białka wywrócone miał i chyba ścięte  
głowy spadały z drzewa wiśni lub jabłoni

a ja tak sobie śniłam i tak sen mnie bujał  
że przekładałam jaśka do góry rogami

## na grobek

popularyzator sztuki  
przetrwania  
urodził się

i

nie przetrwał

ale

zostały po nim  
wypalone ogniska

z ideą

## kulminacja

na spotkaniu autorskim  
niczym na pogrzebie  
zebrali się wszyscy i po raz pierwszy  
szwagier odkrył brata  
poeta malarza  
a dewotka spod piątki  
żegnała się z prawdziwym

objawieniem

pijak podpierał bramę  
a i tak przepuścił  
cyklistów akwarystów krwiopijców  
i mężów gorliwie  
szukających w wersach  
elementów pożycia  
mało żeńskiego

tylko koty zawodziły  
mrużąc pogardliwie  
czystą prozą

Christian Medard  
Manteuffel

# ELSE LASKER-SCHÜLER

ESEJ

## - SPALONA POETKA MIŁOŚCI

„Tylko człowiek miłości z martwych powstać może...”

„Ty wiesz przecież jak ja pojmuję miłość, gdyby to była chorągiew, byłaby ją zdobyta lub padła.” – pisała Else w liście do Waldena.

Esaj ten nie jest przeznaczony dla filologów; dobrze, jeśli stanie się on przyczynkiem dla pełnego zrozumienia tragedii jaka wydarzyła się w Niemczech w maju 1933 roku. Bowiem Else Lasker-Schüler, żydowska poetka niemieckiego modernizmu, której wiersze płonęły na stosach, wyarta została z historii i pamięci przez faszystów niemieckich tak skutecznie, że z trudem tylko udaje się dziś odtworzyć jej twórczość i jej osobisty dramat przed miłośnikami literatury w samych Niemczech. Słowa z jednego z jej wierszy: „tylko człowiek miłości z martwych powstać może” stały dziś myślą przewodnią młodych ludzi w Niemczech, którzy z popiołów, przywracając do życia „Spalonych Poetów”.

Przez krytyków i historyków literatury niemieckiej Else Lasker-Schüler nazywana jest „poetką miłości niemieckiego ekspresjonizmu”. Na temat jej życia i twórczości pisałem w kilku publikacjach. Tutaj chciałbym się ograniczyć do jej liryki miłosnej. I od razu nasuwa mi się refleksja, co właściwie z jej liryki nie zasługuje na miano „liryki miłosnej”.

Jesienią 2003 roku mój przyjaciel, przewodniczący stowarzyszenia Else-Lasker-Schüler-Gesellschaft e.V., Hajo Jahn, zaprosił mnie do udziału w wyjazdowym forum naszego stowarzyszenia we Wrocławiu, gdzie również na dziedzińcu uniwersytetu w maju 1933 roku płonęły książki. Forum przewodniczył profesor Władysław Bartoszewski, a wśród gości obecni byli najwybitniejsi przedstawiciele literatury i sztuki z Niemiec i Polski. Moja obecność w tym zrzeczeniu literackim nie była przypadkowa i nie tylko dlatego, że na emigracji w Niemczech dokuczają mi próżnia po burzliwych latach osiemdziesiątych w kraju. Już wtedy pasjonowałem się dziejami modernizmu niemieckiego, tak bardzo poprzez postać Stanisława Przybyszewskiego powiązanego w naturalny sposób z historią literatury polskiej. A właśnie dramat spalonych poetów zbliżył mnie do ludzi z ELS-Gesellschaft e.V. Z tą samą pasją też zająłem się przekładami wierszy patronki stowarzyszenia na język polski.

### 1. Jej pierwsza wieczność

#### MOJA PIEŚŃ TANECZNA (Mein Tanzlied)

Do tańca muzyka dziś ze mnie się niesie  
Rozrywa mą duszę w kawałków tysiące!  
Nieszczęście moje bies zabrał i niesie  
By je wcisnął w me serce żarzące.

Z mych włosów róże jak ptaki fruwały  
I życie tak ze mnie szumi zewsząd,  
Tak tańczę od lat tysiąca, przez całą  
Pierwszą moją wieczność.

Jej **pierwsza wieczność** rozpoczęła się w roku 1869 w Elberfeld, na przedmieściu Wuppertalu. W Elberfeld, wśród róż kwitnących w ogrodzie drobnego bankiera Aarona Schülera i jego żony Jeanette (z domu Kissing). Odgłosy życia cyganerii młodoniemieckiej docierały do Wuppertalu. Elisabeth zdradzała zamiętanie do poezji od dzieciństwa. Nawet jeśli tylko jako wymyśloną bajkę przyjmujemy jej własną informację, że już jako dwuletnie dziecko zdradzała w swym szczeniocię skłonność do rymowania, a mając pięć lat, tworzyła swoje pierwsze wiersze. Tak musieliśmy przyjąć, gdyby jej akt urodzenia nie zaprzeczył roku urodzenia 1879, podanemu przez nią w drugim wydaniu „Utworów zebranych”. Niewątpliwy jednak wpływ na ukształtowanie jej talentu poetyckiego miał jej wyjazd do stolicy akurat wtedy, gdy cyganeria berlińska przeżywała swoje apogeum. Wyjechała jako młodzianka żona lekarza, doktora Bertholda Laskera. Już w roku 1902 ukazuje się jej pierwszy zbiór wierszy „Styx”.

#### NIEŚMIERTELNY (Athanatoi)

Ty, jakże miłość ma dla Ciebie płonie!  
Ponad kochanie wszelkie i całą nienawiść!  
Chciałabym tak, jak drogi kamień  
W promienie duszy mojej cię oprawić.  
Złóż swe marzenia w moim łonie,  
Ja murem złotym każe je otoczyć  
I słodkie greckie wino będę łała na nie,  
I w różanych olejkach będę je rosic.

Och, jak ptak polecę za tobą,  
Poprzez wichry i przez morskie szkwały,  
W purpurze moich dni słonecznych,  
W gwiazdach mych nocy będę Cię szukała.  
Ty! Ty musisz zebrać wszystkie siły z sobą,  
Abyśmy poprzez jesienię mogli przeniknąć,  
Śmierć zielenią na wieczność otoczyć  
I życiu przywrócić.

To jeszcze nie całkiem poezja ekspresjonistyczna, ale zbiór zauważony został natychmiast przez wpływowych krytyków. Bezpośrednio pod wrażeniem tej pierwszej publikacji książkowej Else Lasker-Schüler, wybitny niemiecki krytyk literacki tamtych czasów, Samuel Lublinski, pisał w swoim piśmie krytycznoliterackim „Die Bilanz der Moderne”: *Prawie jak jakaś idealistyczna młodzieńcza natura wyczuwa ona trwożny wybór między szczęśliwością zmysłu a radością duszy i boi się zmysłowości, która objawia jej się jak niepojęty baśniowy zwierz, przed którym ucieka i któremu ulega. To obrasta uczuciem strachu i bezsilności wobec tej nieskończoności do pewnej jedności, i nie zawsze udaje jej się ten wzburzony chaos wprowadzić w formę. Jej szczególną nutę osiąga ona, gdy przez chwilę odsuwa od siebie cały*

ten strach i jej tęsknotę, i spełnienie tej tęsknoty wyraża w nadsensownie delikatnej sennie wizji i ją antycypuje. W takich momentach stworzyła ona kilka wierszy, które w szczególnie sposób wzbogacają lirykę modernizmu.

Zatrzymajmy się jeszcze przy zbiorze „Styks”.

#### NERVUS ERITIS

Wśród tych do żaru rozpalonych dni  
Wszystkie noce należą do nas...  
Pąsowe róże barwią się od mojej krwi,  
W kielichach ich ofnista cerwień lśni!

Powiedz mi, czy także Twoja dusza krzyczy,  
Z trwożnego snu już wyzwolona,  
Jak dzikie ptaństwo pośród nocnej ciszy.

Ten cały świat wydaje się czerwony,  
Jakby krwawiły wszystkie światła dusze.  
Serce me jęczy, jakby w miłości wygłodzone,  
Widzę czerwone oczy śmierci wytrzeszczone!

Powiedz, czy także Twoja dusza skarży się  
Nocą, gdy zapach róż tak myśli gęszy,  
I w barwach snu tak strasznie  
gryzie Cię ten nerw.

#### POTEM (Dann)

...A potem noc przyniosła sen  
O Tobie w gwiazd promieniach.  
Przemijał dzień śmiejąc się obok mnie,  
A dzikie róże zadziwiły się.

Teraz widzę siebie wśród majowych marzeń,  
Z miłością Twoją pogodzoną.  
Chciałabym płonąć na Twych ustach  
Przez czas wyśniony w nieskończoność.

#### WIECZÓR (Abend)

Wyrwał się ze mnie śmiech,  
Mój śmiech z oczyma dziecka,  
Mój młody, rozbawiony śmiech  
I śpiewa dzień tej ciemnej  
nocy u Twych drzwi.

Przenika ze mnie w Ciebie  
By radość w smutku Twym rozniecić -  
Lecz śmieję się już starym śmiechem  
Cierpiąc młodości niedostatek.  
Mój piękny, mój swawolnej wiosny śmiech  
O śmierci śni.

## → ESEJ 2. „Czarna łabędzica”

Jej następny zbiór poezji *Der siebente Tag*, ukazał się trzy lata później (1905), ale zawarte tam wiersze zostały już przyjęte jako utwory ekspresjonistyczne.

### O, ME BOLAĆCE PORZĄDANIE... (O, meine schmerzliche Lust...)

Marzenie me jest jedną młodą, dziką  
tąką  
I umiera od suszy.  
Jak suknie pływające za dnia...  
Pola prężą się.

Mam ciębie wabić pieśnią skowronka,  
Czy jak ptak polny przywołać?  
Tuu! Tuu!

Jak te srebrne kłosa  
Kipią u mych stóp - -  
O, me bolące pożądanie  
Płacze jak dziecko.

Co wydarzyło się zatem w życiu młodej poetki w Berlinie przed rokiem 1902? Dużo! W Berlinie trafiła Else do środowiska poetów trubadurów, gdzie związała się krótkotrwałą, lecz pozostawiającą ślad na całe jej życie, przyjaźnią z Peterem Hille. To on nadał jej imię „czarnej łabędzicy” i zaniósł jej pierwsze wiersze do redakcji czasopisma „Die Gesellschaft”. Urodziła też syna, który nie był dzieckiem jej męża.

### KONIEC ŚWIATA (Weltende) dla Herwartha Waldena (H.W. Wilhelm von Kevlaar dla wspomnienia wielu lat)

Jest taki płacz na całym świecie,  
Jakby nasz drogi Bóg już zmarł,  
I ciężki cień na ziemię zeszedł,  
Legł jak grobowy głaz.

Przyjdź, znajdziemy gdzieś kryjówkę wspólną...  
Życie we wszystkich sercach leży  
Już jak w trumnach.

Chodź, będziemy kochać się objęci –  
Tęsknota kołata dziś do świata,  
Która przywiedzie nas do śmierci.

W liście do Richarda Dehmela (9. 11. 1903; Briefe, cz. I, 10) pisze: „(...) poślubiłam prostego Cygana, który dniem i nocą grał w zadymionej kawiarni”. Fantazja Else stworzyła Alkibiadesa de Rouan. Rzeczywistego nazwiska ojca swego dziecka nie zdradziła nigdy.

Synowi dała imię swojego najukochańszego brata, Paul. Mieszkała z dzieckiem w piwnicach. Matczyna miłość Else była bezgraniczna. Szczęśliwa matka pisze: „Jest jak lalka! Wszystko jest w nim zachwycające. Jak tato i Paul. Blond. Usteczka i nosecek lalki”. Przy pomocy, która wpięrow nadeszła ze strony Patery Hille, potem od Herwartha Waldena, Else Lasker-Schüler troszczyła się o rozwój jego malarskiego talentu. Paul został współpracownikiem czasopisma „Simplificissimus”. Franz Marc protegował go. Jego obrazy były wystawiane na wystawach. Else Lasker-Schüler była związana z synem wielką miłością i pisała wiele o nim w swoich książkach. Była tą, która odnosiła jego miłosne listy do jego dziewcząt. W latach dwudziestych był on dla Else Lasker-Schüler

jedynym celem jej wielkiej miłości. Zachorował na gruźlicę, został przewieziony do sanatorium w Szwajcarii, a matka pozostała w Lugano, aby być w pobliżu. Nie było już jednak dla niego ratunku; zmarł w Berlinie w roku 1927.

### MOJA PIEŚŃ MIŁOSNA (Mein Liebeslied)

Jakby niebiańskie źródło  
Szmerze ma krew,  
Wciąż o nas, o na s wciąż.

Pod zataczającym się księżycem  
Tańczą moje nagie, zabłąkane sny,  
Nocą wędrujące dzieci,  
Cicho nad gniazdami w mroku.

O, jak słoneczne są twe usta...  
Jaki upojny jest ich zapach...  
I z srebrzystej kwiatów aureoli  
Śmiejesz się ty... ty, ty.

Ciągle ta lepiała mżawka  
Na mej skórze  
Obejmuje na wskroś me ramiona -  
Nad słuchuję ...

Jak tajemne źródło  
Szmerze ma krew.

Warto przytoczyć znów fragment rozprawy Samuela Lublińskiego na temat wierszy Else w czasopiśmie „Ost und West. Illustrierte Monatsschrift für modernes Judentum” (rocznik 1, zeszyt 12 z grudnia 1901 roku, s. 931f): *W przeciwieństwie do hellenizmu, starożydowskie opisy natury w Biblii nie uprzywilejowują jasnych, optywowych i epicznie oderwanych obrazów i alegorii, lecz przeciwnie, wyszukują przestronną i nieskończoną naturę kosmiczną: poranki i zmierzchy, wichry i pustynie, toczące się bez końca chmury, sztormy i burze albo też szmerzące zefiry. Dokładnie tak dostrzega i odczuwa Else Lasker-Schüler. W tym dzikim wierszu „Moja sztormowa pieśń” jest ona pływającym wszechświatem, usychającą ziemią w pełni lata, i pragnie wchłonąć w siebie strumienie, a jej kochanek miałby nadejść jak pieśń sztormowa, jak burza, i powinien z grzmiących mas chmur spuścić na nią roszące strumienie. Jest tak, jakby pustynia i burza przemieiliły się ze sobą, jak niegdyś Synaj, a jednocześnie jest to przecież intymna, Osobista, modernistyczna pieśń miłosna.*

### TWOJA SZTORMOWA PIEŚŃ

Brzmij swą sztormową pieśnią!  
Przez moją miłość,  
Przez mój pływający świat.  
Pustosząc, pożądając,  
Grzmiąc rozbrzmiewaj  
Jak odgłos burzy!

Brzmij swą sztormową pieśnią!  
I ugaś mój ognisty popęd,  
Bo duszę się w tym żarze ognia.  
Mężu z Zeusa spiżowymi oczyma,

Gniewny szturmie,  
Rozładuj chmury we mnie.  
A ja, jak ziemi w pełni słońca  
Będę w mym  
Pragnieniu  
Twe strumienie we mnie wchłaniać,  
Brzmij sztormową swoją pieśnią!

Else rozwiódła się z doktorem Laskerem i poślubiła Herwartha Waldena. *(To nazwisko jest tworem fantazji poetki, ale Walden je zaakceptował, żył pod tym nazwiskiem, umarł i jako Herwarth Walden przeszedł do encyklopedii literatury światowej – sic!)*

Pewien obraz atmosfery panującej w kawiarniach cyganerii berlińskiej: *Café des Westens* czy też potem w *Romanischen Café*, maluje nam sławna aktorka teatralna owych czasów i stała bywalczynią tych kawiarni, Tilla Durieux:

„W „Café des Westens”, tym stałym miejscu spotkań utalentowanej i nieutalentowanej bohemy, można było obserwować warte zapamiętania obrazy. Mężczyźni z długimi włosami i dziewczyny w osobliwych ubiorach siedzieli tutaj godzinami przy filiżance czarnej kawy. Między nimi widać było rzucającą się w oczy Else Lasker-Schüler. Była ona niezaprzeczalnie wielkim talentem i ilustrowała swoje opowieści i wiersze w niezwykły sposób... Else była mała i wysmukła, z chłopięcą postacją, z krótko podciętymi włosami, co wówczas wpadało w oczy. Jej mąż nosił natomiast długie kręcone włosy. Else, wiecznie zakochana, pisała swoje godne uwagi wiersze, w których wynosiła do boskości swoich kolejnych wybranków i malowała im różę lub gwiazdę na bardzo podobnie narysowanych główkach”.

„Ty wiesz przecież, jak ja pojmuję miłość. Gdyby to była chorągiew, byłabym ją zdobyła lub padła” („Du weißt doch, was ich von der Liebe halte, wäre sie eine Fahne, ich würde sie erobern oder fallen.”) – pisała Else w liście do Waldena. Miłość była dla Else Lasker-Schüler cudem danym przez samego Boga, *göttliches Wunder der Liebe*. Ale jest to wszak duch samego ekspresjonizmu. Jej wiersze, gdy były drukowane w czasopiśmie, jeszcze przed ukazaniem się tego pierwszego tomu, były wpisywane do miłosnych karnetów i wywoływały rumieniec na twarzach młodych dziewcząt.

### NERVUS EROTIS

Wśród tych do żaru rozpalonych dni  
Wszystkie noce należą do nas...  
Pąsowe róże barwią się od mojej krwi,  
W kielichach ich ognista czerwień lśni!

Powiedz mi, czy także twoja dusza krzyczy  
Z trwożnego snu już wyzwolona,  
Jak dzikie ptaństwo pośród nocnej ciszy.

Ten cały świat wydaje się czerwony,  
Jakby krwawiły wszystkie świata dusze..  
Serce ma jęczy jakby w miłości wygłodzone,  
Widzę czerwone oczy śmierci wytrzeszczone!

Powiedz, czy także twoja dusza skarży się,  
Gdy zapach róż pąsowych myśli głuży,  
I w barwach snu tak strasznie  
gryzie cię ten nerw.

W roku 1912 Else rozwiódła się z Wal-

Góry wypiętrzą w niebiosiężny masyw  
 Wraz z nami i wzniosą nas ku nieba dali!  
 Że serce nieba przyjmie serca nasze  
 I ciepłym tchnieniem swoim nas ocali  
 i opromieni nas na wieczne czasy!  
 W świąteczny dzień, złączeni znów  
 w zadumie,  
 Mając za sobą drogę trudną,  
 Jak dwa strumienie ze skłaistych szczelin  
 Tryskające, które tę samą pieśnią szumią  
 Spłyniemy w dół w srebrzystej tej kipieli  
 Już nierozłączni w dzikie górskie źródło!

Po rozwodzie z Waldenem straciła nie tylko człowieka, który ponad dziesięć lat stał przy niej, ale także materialne podstawy życia. Jednakże pozostała wierna miłości w takim pojęciu, w jakim ona ją wyznawała. Gottfried Benn miał 26 lat, gdy zakochał się w roku 1912 w 43 letniej Else Lasker-Schüler i opublikował akurat swój pierwszy tomik *Morgue*. Benn był z wykształcenia lekarzem. Tak rozgorzała następna wielka miłość Else. Znanych jest 17 wierszy, które poświęciła Gottfriedowi Bennowi. To była gorzka miłość. Miłość, która była bardzo znaczącą bólem, a potem położył na niej swój ciemny cień niemiecki faszyzm.

Na wstępie posłużyłem się fragmentem wiersza Nelly Sachs z przekładu Ryszarda Krynickiego (ZL, 68/1999). Zachowałem też zawartą tam metaforę kamienia i róży do konstrukcji niniejszej opowieści o poetce miłości niemieckiego ekspresjonizmu, który kończył się właśnie wtedy, gdy Nelly Sachs rozpoczynała swoje publikacje. Ktoś powiedział, że nie można pisać wierszy po Oświęcimiu. Myślę, że można i trzeba. Ale w brunatnej mgle faszyzmu nie było już miejsca dla ducha „Młodych Niemiec”.

Już w latach dwudziestych mrok wokół poetki zagęścił się. Jednocześnie rośnie jej uznanie w kręgach literackich. W roku 1932 poetka otrzymała Nagrodę Kleista, ale rozjuszyło to jedynie brunatnych podpalaczy, którzy już za rok wrzucac będą jej książki w płomienie.

Else Lasker-Schüler została pobita przez nazistów w Berlinie żelazną sztangą i bezpośrednio potem, oszołomiona i zastraszona, dotarła do dworca i uciekła do Szwajcarii.

„Do Zurychu przybyłam pobita i krwawiąca. Leżałam sześć nocy ukryta nad jeziorem, ponieważ nie było w tym momencie w Zurychu nikogo, kogo znałam przed wojną. Jednak teraz mogłam żyć, naturalnie bardzo skromnie, ponieważ było tam tak wielu emigrantów.”

Z listu Else Lasker-Schüler do Ines Ascher z 22.8.1938)

Upagnionego bezpieczeństwa nie znalazła jednak Lasker-Schüler już nigdy. Obca w codziennym świecie, który jej nie tolerował, nie była też zdolna znosić tej marności jej czasu. Tęskniła za mityczną przeszłością i biblijną scenerią. Ten paradoks urzeczywistnił się, gdy na końcu swego błądzenia przez świat osiągnęła cel swego wygnania i ucieczki, miejsce jej tęsknoty, Jerozolimę... Tutaj składa swój ostatni zbiór wierszy **Mein blaues Klavier**. Wszystkie wiersze tego zbioru należałoby tutaj przytoczyć. Zatrzymam się dłużej przy wierszu **Die Verscheuchte**, wzbudzającym szczególnie poruszenie u miłośników poezji.

#### DIE VERSCHEUCHTE

Es ist der Tag im Nebel völlig eingehüllt,  
 Entseelt begegnen alle Welten sich -

denem. Oszukał ją. Nie znalazła już nigdy więcej normalnego domu, żyła w wynajmowanych pokojach. Jednakże, jeszcze tego samego roku, pisze do swego zaufanego przyjaciela, wielkiego malarza, Franza Marca:

„Ty niebieski jeźdźcu, chciałam Ci jeszcze prywatnie coś opowiedzieć, ale nie mów tego nikomu więcej, także Mareien nie. Ja się rzeczywiście znów zakochałam. Gdybym była tysiącokroć zakochana, jest dla mnie nowym cudem ta stara natura w tej sprawie – gdy się ktoś inny zakocha. Ty, on miał wczoraj urodziny. Postąpił mu pudło pełne prezentów. On ma na imię Giselher. On jest z Nibelungów. Moje miasto Teby nie jest zbudowane dla niego. Moje miasto Teby jest islamskim kaptanem. Moje miasto Teby jest moim pradiadkiem. Moje miasto Teby czatuje na mnie na każdym kroku. Moje miasto Teby jest obrzydliwym. Ja wystąpiłam temu niewiernemu rycerzowi hałaśliwe zabawki, jakby był moim braciśkiem, ponieważ on ma czerwone dziecięce serce, ponieważ on jest Barbarem, ponieważ on chciałby mieć własny pokój zabaw: żołnierza Graala z drewna, czekoladową trąbkę, chorągiew mojego miasta Teby, jeden kubek, srebrną obsadkę do

pióra, dwie jedwabne chusteczki, jedną pieczętkę z agatu i wiele, wiele laku do pieczętowania. Napisałam do tego: Kochany Królu Giselher, ja chciałam, abyś Ty był z kryształu, wtedy chciałam być Twoją jaszczurką albo Twoim koralem, albo Twoim mięsożernym kwiatem”.

#### VIVA!

Marzenia moje burzą się w mej krwi  
 Jak dzikie wino, które lśni wśród ognia płatów.  
 Ja pragnę, Ty i ja, by stać się jedną siłą,  
 Z tej samej życia krwi  
 Jednym uczuciem jedną dzielić miłość,  
 I pieśń tę samą śpiewać światu!  
 Ja pragnę, Ty i ja, na zawsze być we dwoje,  
 Gdy oszalały w słońcu dzień się w słotę  
 zmieni  
 I niebo chmurny dzień przysłoni!  
 I życie moje będzie życiem Twoim;  
 Wyrwiemy śmierć z jej ciemnej toni  
 By się radować na przekór jej milczeniu!  
 Ja wierzę, że się z przepaści naszej

Kaum hingezeichnet wie auf  
einem Shatenbild.

Wie lange war kein Herz zu meinem mild...  
Die Welt erkaltete, der Mensch verblich.  
Komm bete mit mir – den Gott tröstet mich.

Wo weit den Odem, der aus  
meinem Leben wich?  
Ich streife heimatlos zusammen mit dem Wind  
Durch bleiche Zeiten träumend  
– ja ich liebte dich...

Wo soll ich hin, wenn kalt  
der Nordstrum brüllt?  
Die scheuen Tiere aus der  
Landschaft wagen sich  
Und ich vor deine Tür; ein Bündel Wegerich.

Bald haben Tränen alle Himmel weggespült,  
An deren Kelchen Dichter ihren Durst gestillt -  
Auch du und ich.

#### ODSTRASZONA

Ten dzień się cały w mgłę owinał,  
Bezduszne światy spotykają się –  
Tak nierealne jak w teatrze cieniów.

Jak dawno żadne z serce nie  
było bliskie memu...  
Chłód objął świat i wypłowiwały dnie.  
Pomódlmy się – Pan Bóg pocieszy mnie.

Gdzie jest me tchnienie, co opuściło mnie?  
Jak dziki zwierz bez kraju i bez domu  
Śnię tego czasu cień – w którym  
kochałam cię...

Dokąd mam iść, gdzie szukać  
mam schronienia?  
Nawet zwierzyzna dziś do siebie łągnie,  
A ja, jak polny kwiat, u progów twoich drzę.

Niebawem niebo skryły łez strumienie,  
Ich kielichami gasili poeci pragnienie –  
I my raczyliśmy się.

„Eine Verscheuchte” (scheuchen = wy-  
płoszyć) to nie wypędzona („Vertriebene”),  
ani tym bardziej nie zesłana („Verbannte”).  
Pojęcia te, znane dobrze w dziejach ludz-  
kości są odciskiem szatana na historii końca  
dwudziestolecia czasów nowożytnych. Ich  
znaczenie poznało społeczeństwo niemiec-  
kie nie mniej od innych narodów. A Else  
Lasker-Schüler wybrała dla siebie „die Ver-  
scheuchte”; odpędzona, raczej wypłoszo-  
na, odstraszona. Dlaczego!?

Wiersz ten ma za sobą szczególnie  
przejścia tatuowane ciągłymi zmianami  
w tekście; to szczególna pamiętka frustra-  
cji poetki w statusie, w jakim się znalazła.  
Przedstawiony przeze mnie oryginał jest  
rzeczywiście ostatnią formą tego wiersza  
i pochodzi z ostatniego przed jej śmiercią  
w Jerozolimie w roku 1943 wydanego tomiku  
**Mój niebieski fortepian**.

W Niemieckim Archiwum Literackim  
 („Deutsche Literaturarchiv Marbach”) znaj-

duje się manuskrypt tego wiersza pod in-  
nym zupełnie tytułem – **Pieśń emigrantki**  
(**Das Lied der Emigrantin**) –, a jego ostatnia  
strofa składa się z pełnych trzech wersów,  
ten ostatni brzmi: „Und alles starb was ich  
für dich gefühlt.” („I zmarło wszystko, co  
ja dla ciebie czułam.”) Dzieje tego wiersza  
mówią więcej o rozterce wypędzonej  
poetki, niż jakkolwiek opis jej stanu ducho-  
wego w tym okresie. Ukazał się on po raz  
pierwszy w roku 1934 w wydawanym przez  
Klausa Manna czasopiśmie emigracyjnym  
„Die Sammlung”.

Gdy w roku 1935 Heinz Witek skompleto-  
wał w Karlsbad Antologię niemieckiej poezji  
emigracyjnej *Verse der Emigration*, która  
była jednocześnie pierwszym numerem serii:  
„Brunatne Niemcy. Obrazy z trzeciej Rzeszy.”  
 („Braunes Deutschland. Bilder aus dem drit-  
ten Reich.”) wiersz ten reprezentował Else  
Lasker-Schüler w tym almanachu. W roku  
1938 z okazji trzydziestiej rocznicy istnienia  
„Schutzverband deutscher Schriftsteller”  
ukazało się w Paryżu wydanie specjalne  
czasopisma „Der deutsche Schriftsteller”,  
w którym obok tego wiersza znalazły się:  
*Herbst, Ich weiß, Mein blaues Klavier i Er-  
graut kommt seine kleine Welt zurück*. 4  
stycznia 1934 roku pisze Else Lasker-Schüler  
list do Klausa Manna z prośbą: „Proszę  
Pana o skreślenie ostatniego rzędu końco-  
wej strofy – czyli 6-tego wersu. Ta ostatnia  
strofa powinna mieć tylko 2 rzędy. Liczę  
na to, że skreśli Pan ten 3-ci, czyli ten  
ostatni: I wasze słowa nienawistnie odpe-  
dzają mnie!” Rzeczywiście, słów tych nie  
znajdujemy już w żadnej z kolejnych wersji  
tego wiersza. Spłoszyła poetkę wymowa  
własnych słów? Wołała zawiesić swój sta-  
tus odpędzonej, odsuniętej, odepchniętej  
tylko w metaforze? Wszak określa ten wyraz  
„verscheuchte” z tekstu wiersza, choć jest  
on zamknięty w pięknej, lirycznej metaforze  
stanu faktycznego. Pozwalam sobie tutaj  
na te spekulacje, bowiem poetka szamoce  
się faktycznie w tym emigracyjnym casusie.  
Ten wiersz nie ma jeszcze w tym momencie  
swojego ostatecznego tytułu. To tylko „Pieśń  
emigrantki”. Gdy czyta swój wiersz musi jak  
nikt inny styścić jego szydercze wyzwisko:  
„VERSCHEUCHTE!”. Miesiąc później pisze po-  
nownie do Klausa Manna: „Ich möchte das  
Gedicht: „Die Verscheuchte” nennen. Ja?  
Und wie ich schreib die letzte Reihe letzter  
Vers weg.” („Ja bym chciała ten wiersz  
zatytułować „Spłoszona”. I, jak pisałam,  
ostatnią liniijkę skreślić. Dobrze?”) I jeszcze  
na tym nie koniec! Rana się nie goi! A może  
poetka polewa ją octem?... W spuściźnie  
poetki w jerozolimskiej Bibliotece Narodowej  
znajduje się inna jeszcze wersja końcowej  
strofy: „Doch deine Lippe, der [!] der meinen  
glich / Ist wie ein Pfeil gespitzt, auf mich  
gezielt. / So einsam ist die Dichterin wohl  
ewiglich.”, która musiała powstać już po  
ostatnim liście do Klausa Manna, ponieważ  
nosi już tytuł: **Die Verscheuchte**.

Krytycy, badacze spuścizny Else Lasker-  
Schüler, obchodzą delikatnie kwestię wy-  
gnania poetki z Niemiec głównie dlatego,  
że poetka nie czuje się dobrze w szwajcar-  
skim środowisku emigracyjnym. Dlaczego!?  
Wszak nigdy nie zasymilowała się z tym  
środowiskiem. Środowisko to, to Niemiec  
zaangażowani antyfaszyści, zaangażowani  
politycznie, to wrogowie Hitlera, gotowi jak  
nasz Krzysztof Baczyński walczyć z bronią  
w rękę przeciwko niemu, lecz nie zgadzają-  
cy się na czynienie z nich morderców. Else  
Lasker-Schüler to poetka otwarta na miłość,  
która natknęła się na brunatny mur, za któ-  
rym uczucia regulowane są przynależnością  
do określonej, wywyższonej rasy. Else odmó-  
wiono tego prawa, pozbawiono ją nawet  
prawa należenia do tego społeczeństwa,

wśród  
k t ó -  
rego  
uro-  
dziła  
się;  
za -

bra-  
no jej oby-  
watelstwo. To  
fakt, że siedł za tym za-  
kaz publikacji, że zbliżał się  
cień obozu koncentracyjnego,  
ale poetka ta nigdy nie potrafiła zmienić  
straty swego tuku Amora w strażę niosącą  
śmierć tyranowi. W okresie zastrzonej walki  
politycznej w Polsce lat siedemdziesiątych  
i osiemdziesiątych, gdy politycznie aktywni  
intelektualiści Polscy wracali do kraju, inni  
opuszczali Polskę pozbawieni szans na le-  
galną działalność literacką. Wielu z nich  
znalazło się w Niemczech, gdzie czuli się  
jednak obco, a często karmieni przez lata  
jadem nienawiści do narodu niemieckiego  
– czuli się wręcz, jak wśród wrogów. Else  
Lasker-Schüler chce tworzyć i na emigracji,  
ale tutaj rządzą już surowe prawa poezji  
walczącej. (Piszę o tym szerzej w eseju „To  
była tylko przygrywka...”) Jeszcze podczas  
pobytu w Szwajcarii, lat jeszcze zmienia  
poetka treść tej ostatniej strofy: „Die Kühne  
Lippe, die der meinen glich, / Ist wie ein  
giftiger Pfeil/Auf mich gezielt./Bald haben  
Tränen alle Himmel weggespült,/An deren  
Kelchen ihren Durst gestillt/ Auch du und  
ich.” Poetka przerabia więc na różne spo-  
soby swój wiersz, aby walczyć, ale zamienia  
go jedynie w otwarty kielich, do którego  
zbiera gorycz panującej nad nią niepogody.  
W 1941 władze szwajcarskie przesiedlają  
ostatecznie poetkę do Palestyny. Gdy  
**Die Verscheuchte** ukazuje się w jej ostat-  
nim zbiorze na niespełna dwa lata przed  
jej śmiercią, w wydanym już w Jerozolimie  
tomie **Mein blaues Klavier** z ostatniej strofy  
pozostają tylko słowa: *Auch du und ich...*  
Jak haust goryczy z przechylonego kielicha,  
który jednak poetka miłośni wypija razem  
z tym, którego kocha aż do śmierci. Jeszcze  
tylko w wierszu jest z nim...

Redaktorzy Antologii **Menora**, Schalom  
Ben-Chorin i Gehrsohn Stern włączają do  
tego zbioru dwa jej wiersze: **Mein blaues  
Klavier** i **Herbst**. W obliczu wygnania i zbliz-  
niającej się śmierci poetka pozostaje wierna  
swemu powołaniu, miłości...

### 3. „Tylko człowiek miłości z martwych powstać może!”

Ostatnia stacja życiowa Elsy Lasker-  
Schüler w Jerozolimie: ma 71 lat i kocha  
pochodzącego z Berlina młodszego od niej  
o 30 lat wykładowcę wyższej uczelni - Ernsta  
Simona. Po wieczornych wykładach pod-  
suwa mu kartkę ze słowami:

„I love you. I kiss you always day and  
night..” Przesyła mu listy: „Nie można myśleć  
małostkowo. Chciałam szybko ucałować  
Twoje palce, ale nie zdążyłam ich uchwycić  
i przestałam Ci pocałunek z mojej dłoni.  
Nikt tego nie dostrzegł. Dla mnie są te ko-  
biety i mężczyźni obojętni, ale dla Ciebie  
nie. Całuję Ciebie zawsze... Całuję ciagle  
Twoje dłonie, Twoje barki, Twe ramiona,  
Twoje łędwie, Twój korpus, Twoje nogi,  
Twoje stopy, leżę nocą na Twojej twarzy,  
która mi wszystko objawia. Słyszę czasami  
Ciebie tającą mnie, nie szkodzą...”

## WIECZOREM (Abends)

Nagle zapagnęłam śpiewać –  
Choć nie wiedziałam czemu?  
- Wieczorem gorzkie łyzy i łkanie.

Ze wszystkich rzeczy schodzi  
Ból, me ciało obejmuje niemo  
- I kładzie się na nie.

„MEIN BLAUES KLAVIER“

Czy powinno się, czy wolno publikować takie listy? Tak, powinno się i wolno. Nawet nie dlatego, aby pokazać za jaką cenę przechodzi się do legendy. W legendzie tej poetki to liryczne „Ja” wygasilo to „simple live”. Tam jest pięknie o cierpieniu i ból. Ciągłe młody, nie starzejący się, przechodzi stworzony przez imaginację poetki Jussuf, książkę Teb, przez legendę Lasker-Schüler. To, co części jej legendy wydobywają, zastęga w znaną fotografię, na której gra na flecie, ubrana w białe trzewiki, w jedwabisty atłas, bufiaste spodnie, kufajkę ze sztyletem u boku.

„Mocno stać na ziemi, rozumiem przez to myśleć realnie móc myśleć, może tylko człowiek z niebem nad sobą” pisała do Ernsta Simona i życzyła sobie: „Chciałabym umieć mówić nieba.” Ona ją znała. „Przyjdź do mnie nocą – będziemy spali spleceni ciasno”, pisze w swoim wierszu. W innym miejscu: „I wzgardziłeś mym sercem - / Wzniosłoby się do nieba...” I tryumfująco: „Ja Kocham cię! / Ja Kocham cię! / Ja Kocham cię! / Niech się rozchylą usta! / Świat jest głuchy, / Świat jest ślepy / Także chmury / I te liście - / -Tylko my, ten złoty pył, / Z którego stworzeni jesteśmy: / Jesteśmy!”

## TAK DAWNO TEMU...

(So lange ist es hier...)

Ja marzę tak daleko od ziemi,  
Jakbym umarła już dawno  
I miałabym nie powrócić w me ciało.

W marmurze twojej postaci  
Odtwarza się blisko me życie,  
Lecz nie znajduję mej drogi.

Teraz otula mnie gęsto ta sfera  
W błyszczącej diamentowej szacie.  
Lecz, gdzie ja sięgam, jest pustka.

Else Lasker-Schüler wprawia Ernsta Simona w zakłopotanie swoją bezpośredniością, więc pisze:

„Ja nie mam żadnych zamiarów. Jestem poetką, a prawdziwa miłość może mieszkać tylko w snach. Pan jest w moich snach rozległą tąką wodnej rzęsy i nie można jej zabrać z mojego serca...”

Ernst Simon apeluje:

„Pani stosunek do mnie jest dla mnie moją zatajoną dumą. On nie pojawi się oczom tego świata...”

Jednak Lasker-Schüler jest absolutnie poza tym światem. Pisze do niego aż do ostatnich dni swojego życia. Else Lasker-Schüler umie czekać:

„Wieczne życie temu, kto miłość zna i może mówić o niej. / Tylko człowiek miłości może zmartwych powstać! / Usuwa nienawiść! Jak wysoko może bić płomień tej pochodni.”

Ernst Simon osiągnął po drugiej wojnie światowej uznanie naukowe. Nieśmiertelnym jednakże uczyniła go Else Lasker-Schüler w roku 1943 swoim ostatnim tomikiem wierszy „Niebieski fortepian”. Chciał jednak uniknąć tego, aby nazwisko jego pojawiło się w tej książce, jak chciała poetka. Więc umieściła przed jej wierszami miłosnymi jedynie słowo: „An lhn...” („Do Niego...”)

## PIEŚŃ MIŁOSNA (Ein Liebeslied)

Przyjdź do mnie nocą – niech nas w siebie schowa.  
Zmęczona jestem od samotnych mych obudzeń.  
O brzasku obcy ptak śpiewa swą pieśń bez słowa,  
Jakby mój sen się ze mną wciąż mocował.

Otworzą kwiaty się na wszystkich klombach wokół  
I będą miały barwę twoich oczu....

Przyjdź do mnie nocą po śladach pod gwiazdami  
I utul miłość pod namiotu mego dachem.  
Z zakurzonej skrzyni nieba księżycy wzejdą ponad nami.

Jak dwa zwierzęta rzadkie miłości się oddamy w wysokiej trzcinie poza naszym światem.

## JA KOCHAM CIĘ (Ich liebe Dich)

Ja Kocham cię  
I znajduję cię  
Także, gdy po dniu już nie będzie rana.

Przez życia ciąg  
I ciągle znów  
Ja szukam ciebie zbłąkana.

Ja Kocham cię!  
Ja Kocham cię!  
Ja Kocham cię!

Niech się rozchylą usta twe...  
Świat jest głuchy,  
Świat jest ślepy

I obłoki,  
I te liście,  
- Tylko my, ten pył złocisty  
połączeni by dla siebie:  
- Istnieć!

## NADCHODZI WIECZÓR

Nadchodzi wieczór i cała w gwiazdach tonę,  
By drogi nie zapomnieć ku ojczyntym moim stronom  
Gdzie kraj mój biedny pokryty ciemną mgłą.

Lecz serca nasze tak do siebie lgną,  
Jak migdałowe ziarna dwa:  
W lupinę swą wtulone.

...Ja wiem, jak dawniej trzymasz rękę mą  
Zaczarowaną w przestrzeń tak już oddaloną...  
Ach, jak szumiała dusza ma,  
gdy usta twe wyznały to.

## ME ZMĘCZONE SERCE ODPOCZYWA (Mein Herz ruht müde)

Spoczywa moje serce  
Na nocy aksamicie

I gwiazdy kładą się na mych powiekach...  
Płynę w etiudy srebrnych tonach –  
I nie ma mnie i jestem znów utysiąkrotniona.

I ponad naszą ziemią głoszą: pokój.  
Końcowy akord mego życia się dokonał –  
Niepokój w sobie mam –  
i z woli Boga wołam:  
Zbawienia psalm – aby go świat powtarzał wokół.

Jürgen Serke w swojej książce „Die verbrannten Dichter” przytacza następujące wspomnienie sąsiadki Else Lasker-Schüler z ostatniego okresu jej życia w Jeruzolimie:

„To było w styczniu 1945 roku w Jeruzolimie. Avital Ben Horn, sąsiadka Else Lasker-Schüler otrzymała od niej po jakiejś sprzeczce na przeprosiny czerwioną różę. Nie zapomniała tego podarunku do dziś: Dziwiałam się wówczas, że ta róża trzyma się tak długo. Poetka zachorowała, ten kwiat kwitł i kwitł. Poetka poszła do szpitala, ten kwiat nie wiadł. Zwiadł dopiero w dniu, w którym Else Lasker-Schüler zmarła”.

10 maja 1933 roku Niemcy Adolfa Hitlera wykreśliły ze świadomości swojego narodu całą generację pisarzy. W akcji przeciw „nieniemieckiemu duchowi” zostały przekazane płomieniom książki prawie wszystkich niemieckojęzycznych autorów, mających rangę i nazwisko. Płonęły stopy wszędzie, gdzie były uniwersytety i wyższe szkoły. Profesorowie uświęcili to wydarzenie uroczystymi mowami. Studenci wrzucali książki do ognia. W Berlinie płonął stos z 20.000 książek. Na liście zakazanych autorów wymienionych było w momencie rozpoczęcia palenia książek 200 nazwisk. Liczba ta wzrosła. Do „szkodliwego i niepożądanego piśmiennictwa” włączonych zostało w roku 1935 3.601 tytułów 524 dzieł zbiorowych.

Płonęły wiersze poetki miłości Else Lasker-Schüler. Miłość jest niebezpieczna dla wszystkich dyktatur.

CHRISTIAN MEDARD MANTEUFFEL  
NIEMCY, LENNINGER TAL, 2007

Joanna Wyrzykowska

## Lot z Norwegii o zachodzie o słońca

krajobraz jest żyrandolem o tysiącu świec  
każda z nich to jezioro zatoczka fiord  
rozjarzone i mieniające się  
tańczącymi w nich jak płomienie obłokami  
i wydaje się że wciąż czuć jeszcze  
oddech sztormu  
który wzburzył skały  
spiętrzył je wierzchołkami do nieba  
świat jest taki czysty  
że kiedy jak słońce przez płatki róż  
księżyc przebija się przez pianę  
chmur i gór bałwanami sięgających nieba  
taki aż ciężki niemal nadnaturalnie ogromny  
wydaje ci się  
że jego lśniące czułe spojrzenie  
i w tobie oddycha obmywając cię od środka  
spoglądasz na jego grę gdy pojawia się  
i znika w kryształach wody  
i spokojny  
wydajesz się być jednym z tą wodą  
czekającą aż z kolejnym oddechem  
albo naturalnym niewymuszonym przebudzeniem  
znów przyjdzie  
aksamitne czyste jak brylantowa łza światło  
od którego śniegi rumienia się życiem  
jak w brzoskwiniowych ogrodach  
a woda srebrzy jak rtęć

## Sen

nie potrafisz zapamiętać  
jaki kolor oczu ma Tytania  
pełen życia jak rozświetlony las  
słodko miękki jak miód  
głęboki jak noc  
i kojący jak morze  
cichy jak śnieg  
jej usta to purpurowy księżyc na niebie  
a uśmiech to zaćmienie  
jaśnieje w nim jak ognista korona słońca  
muzyka wiatru szeleści w jej włosach  
opadających na ziemię jak wiosenny deszcz  
i niby dziewczyna zasypiająca w ogrodzie  
z głową w jaśminach  
księżyc kładzie się w atlasowe morze  
lśniący na falach  
jak budzący się brzask nocy  
i pięknie musi śpiewać srebrny świt  
w ogrodach koralu

## Ziemia

ziemia  
ręce ma ciemne jak ametyst i miód  
gdy tańczy pod moimi stopami  
jak powietrze pod skrzydłami motyla  
czasem senna jest wśród śniegów  
przeciągając się jak kot  
i lubi inhalować wonne mgły  
którymi potem tchnie jej skóra jak rosą  
rzucona we wszechświat  
kropla ognia  
po wierzchu czasem zimna

tak ulotna  
jak wszystko to co najbardziej niezwykłe  
niezapomniane  
choć zmieniasz się cały w trakcie życia  
skóra mięśnie wnętrzości  
twój oddech co jak rzeka płynie  
wciąż pozostaje

jej rzęsy szumią lasem  
a włosy morzem  
i tylko ten  
kto badał jej oczy z bliska  
aż po koronkę wzoru na tęczę  
aż nachylając się czuł powiew od jej źrenic  
jak od jeziora  
zobaczy w nich nieskończoność



## Roman Warszawski

Siedzi przed oknem. Siedzi przed oknem wychodzącym na ogród. Siedzi przed oknem wychodzącym na ogród i pisze.

Jest stary. Ma siwą brodę. I okulary na nosie, które co jakiś czas zachodzą mgłą, a może parą. Dlaczego?

Broda zastępuje mu włosy na głowie. Jest pomarszczony mimo stosowania różnych wyśmyślonych kremów i prawie całkiem tysy. Niekiedy, jak dzieci widzą go na ulicy, wołają: „O, idzie tysa pała!”

Zdarza się to jednak coraz rzadziej, wszak najczęściej wychodzi. Bo po co? Siedzi przy biurku, klawiaturę komputera odsunął na bezpieczną odległość, pisze ręką:

„Masz dziś trzynaście lat, mój Kochany Brzdącu” – słowa opornie spływają na kartkę papieru, bo wydają mu się dość ważne. „Rzecz w tym, że wcale już nie jesteś Brzdącem, jesteś coraz większym chłopcem – masz dziś całe trzynaście lat!” Obok leży koperta, do której trafi to, co napisze i którą później zaklei. „To piękny i ważny wiek. Pamiętam, że jak ja miałem tyle lat, co Ty dzisiaj, właśnie zaczynałem interesować się, jak naprawdę wygląda świat. Dlatego dziś do Ciebie piszę”.

Za oknem jest trawnik. Może nie jest zbyt równo przystrzyżony, ale mnóstwo w nim życia. Tak właśnie ma być. Pełno tu dmuchawców, rumianku, koniczyny. Na tym trawniku, w słońcu, biega – jak szybko, jak radośnie! – ten, do którego on, stary, pisze ten list. Brzdąc, Trzynastolatek, Wnuczek.

Chłopak płąsa na trawie, goni pasikoniki, biedronki i muchy, a on pisze dalej:

„Może dobrze, że sam już nie mogę cofnąć się do tego wieku. Bo wszystko w życiu musi mieć pewien porządek. Początek, środek, no i oczywiście koniec. Właśnie o tym chcę Ci dziś opowiedzieć. Usiądź na chwilę, posłuchaj.”

Myśli: Bo nie sztuka coś mu kupić na trzynaste urodziny. On przecież ma wszystko, o czym może zamaryć w tym wieku. Lepiej jak mu napiszę tych kilka linijek. Jeśli kopertę po pierwszej lekturze schowa (co mu delikatnie doradzę), słowa te będzie mógł co jakiś czas odczytywać na nowo. I za każdym razem, jestem przekonany, odnajdzie w nich coś innego.

„Dlaczego trzynaście lat uznają za szczególny wiek? Bo to mniej więcej w pół drogi między siedmioma laty, a osiemnastką. Ważna, wdzięczna chwila. Osiemnaście lat to dziś, gdy wszystko w zawrotnym tempie pędzi przed siebie, bardzo późno. Z kolei siedem lat – wiek dawnych postrzyżyn (choć Ty, mając siedem lat, umiałeś już czytać) to, według mnie, jednak za wcześnie. Stąd wybór padł na dziś. Na Twoją trzynastkę.”

Siedzi przy biurku. Siedzi przy biurku przed dużym oknem bez szprosów. Siedzi przy biurku przed oknem bez szprosów wychodzącym na ogród i pisze dalej:

„Co chcę Ci w tym dniu powiedzieć? Przede wszystkim to, że w życiu wszystko bez przerwy się zmienia; iż to jedyna stała rzecz, że nie ma nic niezmiennego. Ale przemianie ulegać będzie nie tylko świat – Ty też bez przerwy będziesz się zmieniał. I to jeszcze jak! Ręka, którą będziesz władał jednego dnia, następnego dnia będzie już inna! Nogi tak samo. Twarz. Ramiona. No i serce. Serce raz będzie większe, kiedy indziej malutkie. Będzie raz mieć cały

łtun ludzi i spraw, kiedy indziej znów będzie prawie puste. Taka jest kolej rzeczy. Nie ma na to rady. Trzeba to zaakceptować. Może tylko oczy przez całe życie pozostają takie same lub bardzo podobne. Jednak to, co je otacza, co pozwala im patrzeć i rozglądać się dookoła, też będzie raz mała, raz rosta – będzie pulsowało bez przerwy.”

Znał to wszystko bardzo dobrze, mówi się „z autopsji”, ale to raczej brzydkie słowo, bo kojarzy się jakoś z prosektorium. Jemu też kiedyś wydawało się, że jest wielkim siłaczem, bohaterem, herosem. Że jest stworzony do jakiejś nowej mitologii, do przesuwania wielkich gór i wypijania jednym haustem całych oceanów (raz wody, kiedy indziej czegoś innego). Sądził, a nawet był pewny, że ma nie tylko dwie ręce – że ma ich albo trzy albo nawet cztery. I cieszył się, że gdzieś, kiedyś (chyba

## TRZYNASTKA

w jakimś wierszu) przeczytał, iż istnieje facet, który też miał trzy ręce, a nawet dwie wielkie głowy. Zyskał pewność, że jemu nic się nie wydaje i że to, co myśli, nie jest złudzeniem, że jest szczerą prawdą.

„Głowa. Głowa, mój Drogi, to podstawa. Tak jak serce, o którym już wspominałem. Bez głowy ani rusz. Nawet nie próbuj. Głowa jest co najmniej tak ważna... jak muzyka Beethovena, jak kantylena Mozarta!”

Zamyślił się, ach ta muzyka!, rozmarzył się, ale tylko na chwilę.

„Jeśli głowy są dwie – tym lepiej” – pisał dalej. „Staraj się zawsze mieć kilka głów na podporządku. Niech Ci wyrastają – miej ich zawsze co najmniej tyle samo, co rąk i ramion. A w każdej z głów niech będzie co najmniej po troje oczu. Jak u indyjskiego jogina, albo u cyklopa. Żeby nic nigdy nie uszło Twojej uwadze. Byś wszystko widział na czas i dużo szybciej niż Twoi przyjaciele (bo to też ważne) i (co oczywiste) adwersarze.

Miej też świadomość, że ten piękny wielogłowy stan, nie będzie trwał wiecznie. Głowy, z biegiem lat, bo po pewnym czasie, same będą Ci odpadać. Będzie ich ubywać. Nieuchronnie. Taka jest kolej rzeczy. Coraz trudniej będzie Ci nimi obsłużyć wielość rąk i ramion. Może dlatego ręce też z czasem pogubisz. Najpierw gdzieś zopodzieje się jednak głowa, potem druga. Trzecia, czwarta, piąta – bo na pewno będziesz miał ich tyle. W końcu pozostaniesz z jedną, ale i z tego powinienes być zadowolony. Bo niektórym nawet i tyle nie będzie dane. Pilnuj jej jak... oka w głowie!”

Siedzi przed oknem. Siedzi przed oknem z widokiem na ogród. Siedzi przed oknem z widokiem na ogród i pisze, i widzi jak trzynastolatek wciąż radośnie płąsa na trawniku. Mały jubilat czeka na gości, którzy zaraz mają się zjawić. Niecierpliw się. „Jakie prezenty mi przyniosą?” Patrzy w szybę okna, tam gdzie powinien siedzieć dziadek i zastanawia się: „Co on tam jeszcze robi? Dlaczego nie przychodzi? Dlaczego nie przyjdzie pomóc postawić stoły dla gości i rozstawić przeciwstyczne parasole?”

„Jest jeszcze coś, o czym muszę Ci powiedzieć” – pisze dalej ten zza szyby. „To, że najpierw będziesz miał kilkoro rąk i ramion i że będziesz wszechmocny, a potem, po latach pozostanie Ci co najwyżej jedna mocno zwiotczała i zreumatyzowana ręka – to jeszcze nic takiego. Do wiwatu (czy to

na pewno właściwe słowo?) da Ci dopiero to, że wszystko wokół Ciebie będzie dokonywać się dużo szybciej niż dotychczas, a Ty – pozbawiony już wszelkiego nadliczbowego „osprzętu” (tych rąk, tych głów, oczu, uszu) – będziesz musiał jakoś wszystkiemu sprostać i za tym nadążyć. Świat będzie pędził jak oszalały. Fale zdarzeń będą przyspieszać i bezlitośnie zbierać. To, co kiedyś zajmowało dzień lub dwa, teraz będzie się dokonywać w ciągu godziny, kwadransa. A Ciebie i Twych sił będzie coraz mniej i mniej. To, niestety, nieuniknione. Jak w takiej sytuacji nie dać się zmieść falom z pokładu?”

To też gdzieś już kiedyś czytał. Czy może u tego samego poety, o którym już wspominał? Z radością schwył się tych słów, bo znów mógł się przekonać, że to, o czym pisze, to nie jego wymysł i subiektywne odczucie, lecz że tak rzeczywiście jest i że nikt nie może w to wątpić. Ten facet – poeta?, tak, na pewno poeta, bo kto inny mógłby to tak dobrze pokazać? – który gdzieś kiedyś pisał, że z biegiem czasu, lat, odebrano mu dodatkowe głowy, twarze, ramiona, oczy (a nawet uszy), donośnie też wołał, iż przyszedł taki czas, kiedy woda – woda zdarzeń – zalewała go bez przerwy, a na dodatek nie wiadomo skąd, nadleciały jeszcze wraże samoloty...

Siedzi (wiadomo gdzie) i wiadomo co robi dalej:

„Dlatego w życiu tak ważna jest sztuka pływania. Sztuka utrzymywania się na powierzchni, zwłaszcza w chwilach wielkiego zagrożenia. Wtedy jedynym programem musi być przetrwać, przeżyć. Bo gdy chwile grozy miną (a miną, bo nie mogą trwać wiecznie), znów wyjdzie słońce, choć na kilka chwil, a wtedy warto żyć i warto pamiętać, co było wcześniej, bo ci, którzy nie przeżyli (dali się zmyć z pokładu), już tego nikomu nie opowiedzą.

Siedzi (wiadomo...) i dalej pisze (musi koniecznie jeszcze dopisać, że pływanie to jest trochę tak jak latanie), a właściwie już tylko chce pisać. Bo oto słyszy w sieni tup tup tup. Do domu wpada rozpedzony Trzynastolatek.

– Dziadku, chodź wreszcie do ogrodu!  
Chłopak staje w drzwiach pokoju.  
– Chodź, chodź zaraz przyjdą goście!  
Urwis rozgląda się wokół. Po słońcu ogrodu, teraz w półmroku prawie nic nie widzi.  
– Co to? – pokazuje na długi przedmiot, który stoi w kącie obok sięgających sufitu półek z książkami.

Stary, a właściwie dziadek, obraca się na fotelu. Widzi młodziaka i przed oczami od razu pojawia się ta mgła – znów nie wie dlaczego. Wie, że już w tej chwili nic więcej nie napisze. Skończy wieczorem, jak pójść goście, a list w kopercie chłopcu wręczy jutro.

– To kule – odpowiada.  
– Kule? Jakież dziwne.  
– Dlaczego?  
– Bo... mało kuliste.  
„Acha” myśli stary i zaraz tłumaczy:  
– To kule, ale takie, które – jak trzeba – zastępują ci nogę. Takie do podpierania... Miałem to jeszcze dopisać w tym liście, który piszę do Ciebie, bo to też należy do tematu.  
– Piszesz do mnie?  
– Tak, na urodziny, dostaniesz to jutro.

ROMAN WARSZEWSKI

Opowiadanie zostało zainspirowane wierszem Zbigniewa Joachimiaka pt. Wieloramienny ojciec, pochodzącym z tomu córka/daughter wydanego w roku 2021 przez Fundację Światła Literatury i nominowanego w roku następnym do Pomorskiej Nagrody Literackiej Wiatr od Morza.

# MEANDRUJĄC PO ANTOLOGIACH

(POZNAŃSKIE I INNE ANTOLOGIE POETYCKIE PO ROKU 1945, DO WSPÓŁCZESNOŚCI)

Należy założyć, iż zdecydowana większość osób parających się systematycznie literaturą zna takie oto pojęcia: Chrestomatia, Almanach, Antologia – i wie, co one w swej treści znaczą. Pozostali mogą w tej sprawie skorzystać ze Słownika Terminów Literackich pod red. Janusza Stawińskiego, Ossolineum 1998. Ponieważ jednak dzisiaj nie jest już polonistycznym grzechem poszukiwanie informacji w Internecie, zobaczymy, co na ten temat mówi polska Wikipedia: Antologia (gr. ἀνθολογία) – pojedyncza publikacja albo seria wydawnicza wydana drukiem lub cykl audycji radiowych bądź kolekcja nagrań płytowych itp. – będąca wyborem dzieł lub ich fragmentów, jednego lub wielu autorów, powiązanych określoną tematyką, dokonana według określonych zasad, opatrzona tytułem. Pojęcie to wywodzi się ze starożytnej Grecji. Greckie anthos oznacza „kwiat”, a lego „zbieram”, czyli dosłownie „zbiór kwiatów”. Tak Grecy nazywali zbiór drobnych utworów poetyckich, przede wszystkim epigramatów. Pierwszą antologię epigramatów stworzył około 60-70 lat p.n.e. Meleager z Gadary, nadając jej tytuł Wieniec. Zawarł w niej, oprócz swojej twórczości, wybrane epigramaty czterdziestu ośmiu innych greckich poetów i poetek. Do najważniejszych antologii w dziejach, zdaniem Wikipedii, należą: grecka Antologia palatyńska, łacińska Carmina burana, portugalska Cancioneiro Geral Garcii de Resende, angielska Tottel's Miscellany, chińska Księga Pieśni oraz japońska Księga dziesięciu tysięcy liści.

Mam pod ręką jeszcze jedno źródło, które może pomóc zrozumieć fascynację antologiami i antologizacją jako zjawiskiem z pogranicza archiwistyki, popularyzatorstwa, dokumentowania nazwisk i zjawisk, mającej też w sobie potencjał literackiej służebności. Sięgam więc po Słownik gatunków literackich Marka Bernackiego i Marty Pawlus (ze wstępem prof. Stanisława Jaworskiego), ponieważ w rozdziale „Literatura XX wieku”, na stronie 503, znajduje się hasło, które przytaczam tutaj prawie w całości:

Antologia (almanach, chrestomatia, wypisy) (gr. anthologia = zbieranie kwiatów) – dzieło będące wyborem utworów (bądź fragmentów utworów) jednego lub więcej autorów, uporządkowanych według przyjętego kryterium, np. tematycznego, alfabetycznego, historycznego itp. W Abecadle Miłosza w hasle Antologie autor stawia następującą tezę: (...) Antologię wolno uważać za odrębny gatunek literacki, tak jak wypisy myśli mojego autorstwa, czyli zbiory cytał. Wobec ciągle przybywającej ilości antologii pomagają przebić się poszczególnym głosom przez zbiorowy zgietek. (...) Z takiego rzucania nasion na wiatr zawsze może coś zostać.

A teraz, skoro jesteśmy przy antologii literackiej, zwłaszcza poetyckiej, bo ta nas w tym miejscu szczególnie interesuje, skoro mówimy o antologii jako bardzo popularnym zjawisku redakcyjno-wydawniczym, zajrzyjmy do swoich domowych bibliotek, gdzie niemal na pewno znajdzie się jedna chociaż antologia tego typu. U mnie, w samej tylko serii książek Biblioteki Narodowej, których wydawcą jest Ossolineum, mogliście Państwo wziąć do ręki następujące

pozycje: Tatry i Górale w literaturze polskiej, Antologia; Polski esej literacki, Antologia; Żagary, Antologia poezji; Oda w polskiej poezji, Antologia; Antologia bajki polskiej; Antologia literatury sowizdrzałskiej; Antologia poezji dziecięcej; Antologia polskiej poezji rewolucyjnej 1918-1939. Zakładając, że właściciel tej biblioteki jest równocześnie praktykującym poetą, związanym miejscem zamieszkania, miejscem pracy i środowiskiem w Wielkopolską lub ściślej z Poznaniem, to możecie Państwo trafić tam na antologie poetyckie, tak zwane ogólnopolskie, w których sęsiaduje nasz poeta z innymi poetami Poznania lub Wielkopolski, np. Świadectwo obecności (Ostrów Wlkp. 1996); Droga do Ashramu, Antologia poezji kontrkulturowej (Bydgoszcz 1998); Krzycki 2010, Antologia (Gniezno 2011) oraz polsko-angielska antologia poezji Free Over Blood (Londyn 2011). Z dużą dozą prawdopodobieństwa można więc założyć, iż prawie każdy, kto para się literaturą, już trafił (niekiedy kilka razy) albo za chwilę trafi do jakiejś antologii poetyckiej lub szerzej rzecz ujmując – literackiej. Dlaczego? Ponieważ, jak Polska długa i szeroka, każde niemal miasto – od stolicy i miast wojewódzkich, przez miasta średniej wielkości (czyli np. dawne miasta wojewódzkie), na miastach powiatowych skończywszy – gdzie tli się jakiekolwiek (nawet czysto amatorskie) życie literackie, wszędzie tam prędzej czy później powstają jakieś antologie konkursowe lub antologie wierszy o... np. o Kępnie i Kłodzku, o Gnieźnie i Słupsku, o Bielsku-Białej i Poznaniu, wreszcie o Warszawie, Gdańsku czy Krakowie. A wszędzie tam, gdzie istnieją różnego rodzaju Kluby Literackie z wieloletnią tradycją i bogatym dorobkiem, zwłaszcza zaś tam, gdzie istnieją oddziały Związku Literatów Polskich oraz oddziały Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, wszędzie tam rodzą się inicjatywy (oddolne lub odgórne, ale zawsze niemal skuteczne), w efekcie których organizuje się lokalne lub ogólnopolskie festiwale literackie i przygotowuje towarzyszące im antologie, zazwyczaj poetyckie. W przypadku Poznania rok 2023 przyniósł dwie takie imprezy: tradycyjny, organizowany od lat Poznański Międzynarodowy Listopad Poetycki (ZLP) i nową zupełnie inicjatywę, festiwal pod nazwą Literatura do Poznania (SPP). Obie imprezy – rzecz jasna – zmanifestowały swoje kilkudniowe istnienie odpowiednią antologią: Mimo wszystko, Almanach poetycki 46, Międzynarodowego Listopada Poetyckiego (ZLP) oraz polsko-ukraińska antologia Kto wam pozwolił tak pięknie żyć.... (SPP). O ile ta pierwsza niczym się nie wyróżnia na tle wcześniejszych tego typu publikacji, o tyle z tą drugą mam pewien kłopot. W czym rzecz?

Ponieważ SPP-owska, wydana w Poznaniu, antologia z roku 2023 nie zawiera wprowadzenia, wstępu czy postawia, to – biorąc ją do ręki w miejscu oddalonym od pierwszorzędnej źródła informacji, jakim są jej redaktorzy – niewiele możemy powie-

dzieć o powodach, dla których ta książka powstała, o doborze i tematyce wierszy ją wypełniających, o doborze autorów i autorerek, wreszcie o metodzie, o strategii, a nawet o kluczu i celach artystycznych, według których to narzędzi metodologicznych owa dwujęzyczna publikacja została pomyślana, zaplanowana, ułożona, wydrukowana i oddana czytelnikom w obszarze kulturowym języka polskiego i ukraińskiego. Z tego też powodu zadanie to – zadanie objaśnienia nam tych kwestii, które zazwyczaj wyklada się we wstępie lub wprowadzeniu – spada w tej chwili na wydawcę i redaktorów, którzy w tym konkretnym przypadku wykazali się zwykłym brakiem profesjonalizmu.

Autorzy poznańskiej antologii nadali jej tytuł Kto wam pozwolił tak pięknie żyć.... Przyjrzyjmy mu się bliżej. Odnalazłem w Sieci zdjęcie oryginalnego napisu (wiele wskazuje na to, że powstał on w okupowanej przez Rosjan Buczy), pozostawionego przez odchodzących okupantów na ścianie jakiegoś, kompletnie zrujnowanego, obiektu użyteczności publicznej, może estakady lub podziemnego przejścia. Slogan ten, będący kwintesencją putinowskiej propagandy, najpierw przez kogoś sfotografowany, a potem rozpowszechniony przez media na całym niemal świecie, stał się pewnego rodzaju symbolem, najkrócej charakteryzującym złowieszczą filozofię wojenną Rosji Putina. Dlaczego jednak redaktorzy antologii nie wprowadzili tego motywu do kilkudziesięciu chociaż wstępu czy blurb na czwartej stronie okładki – pozostaje dla mnie zagadką. Przejdźmy jednak od szczegółu (przypadku jednostkowego) do zjawiska uogólniającego, jakim są antologie poetyckie – od tych pomnikowych, po całkiem skromne, zatrzymujące niekiedy lokalną historię literatury na poziomie gminnej efemerydy.

Oczywiście poznańskie, poetyckie antologie środowiskowe, pokoleniowe czy sytuacyjne nie są patentem wyłącznie wielkopolskim. I nigdy zapewne takim nie były. Można łatwo odwołać się w tej kwestii do licznych antologii wiersza polskiego, z najważniejszymi włącznie, które zazwyczaj (choć w czasach PRL-u bywało z tym różnie) obejmowały reprezentatywną i wartościową większość dorobku poetyckiego, jaki powstawał w obrębie polszczyzny literackiej na przestrzeni dziejów lub w okresach objętych ramą czasową konkretnego projektu wydawniczego. A te najważniejsze, moim skromnym zdaniem, to: Wacław Borowy, Od Kochanowskiego do Staffa, Antologia liryki polskiej, wydanie pierwsze – Lwów 1930, wydanie drugie, zmienione i rozszerzone (Londyn 1954), z papierów pośmiertnych W. Borowego przygotowała Zofia Niesiołowska-Rothertowa, wydanie trzecie – PIW 1958, nakład 5253 egz.; Adam Galiński, Poezja Polski Odrodzonej 1918-1930, Obraz twórczości poetyckiej doby współczesnej,

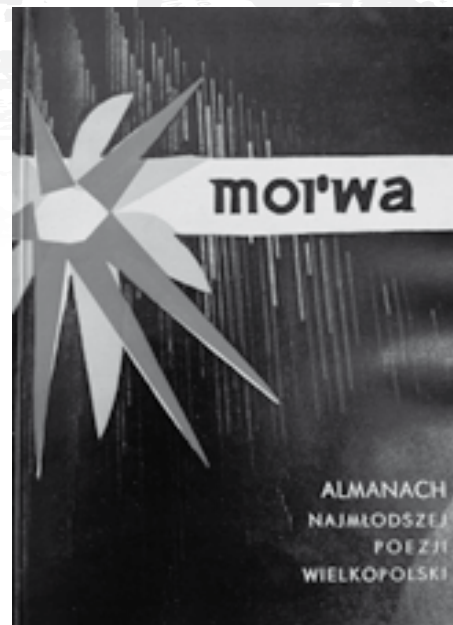
Nakładem Księgarni K. Neumillera, Łódź 1931; Ludwik Fryde i Antoni Andrzejewski, Antologia współczesnej poezji polskiej 1918-1938, Nasza Księgarnia, Warszawa 1939; Barbara Biernacka, Wierszu, rodzona moja mowo... Wybór poezji współczesnej, Czytelnik, Warszawa 1956 [jest to pierwsza po okresie stalinizmu „niestalinowska” już, ale jeszcze z pozostałościami socrealizmu, antologia poezji polskiej, udająca, co wynika ze słowa Od Redakcji, że nic złego się przez minione dziesięć lat w Polsce nie stało, i że nie istnieje nic takiego, jak sowietyzacja kultury polskiej]; Ryszard Matuszewski i Seweryn Pollak, Poezja polska 1918-1939, Czytelnik, Warszawa 1966 (pierwsze wydanie 1962); Poezja polska. Antologia w układzie Stanisława Grochowiaka i Janusza Maciejewskiego, tom 1 i 2, PIW, Warszawa 1973; Andrzej Lam, Kolumbowie i współcześni. Antologia poezji polskiej po roku 1939, Czytelnik, Warszawa 1972, wydanie II, zmienione – 1976, seria Biblioteka Literatury XXX-lecia; Nowy transport posągów. Wiersze młodych poetów gdańskich, wybór tekstów: Zbigniew Joachimiak, Kazimierz Nowosielski, Stanisław Rosiek, Wydawnictwo Gdańskie, Gdańsk 1977; Andrzej Lam, Ze struny na strunę. Wiersze poetów Polski Odrodzonej 1918-1978, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980; Poezja stanu wojennego. Antologia, PULS, Londyn 1982; miesięcznik „Poezja” 11/12 1982, Antologia na 202! Od lłty do Wojaczka, wstęp Jan Witan, nota Bohdan Drozdowski, postowie Krzysztof Gąsiorowski; Stanisław Barańczak (wybór i wstęp), Poeta pamięta. Antologia poezji świadectwa i sprzeciwu 1944-1984, Puls 1984; Maciej Chrzanowski, Zbigniew Jerzyna, Jerzy Koperski, Poeta jest jak dziecko. Nowe roczniki. Antologia, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987; Michał Głowiński i Janusz Stawiński, Poezja Polska okresu międzywojennego. Antologia, część 1 i 2, Biblioteka Narodowa Ossolineum, Wrocław 1987; Tomasz Jodełka-Burzecki, Poezja legionowa. Antologia, LSW, Warszawa 1989; Dariusz Pawelec, Powiedz prawdę. Antologia poezji Pokolenia '68 (1968-1981), Niezależne Wydawnictwo WOKÓŁ NAS, Gliwice 1990 (Barańczak, Bierezin, Dymarski, Jaskuła, Jaworski, Karasek, Kelus, Kornhauser, Kronhold, Krynicki, Lipska, Markiewicz, Moczulski, Piątkowski, Polkowski, Stabro, Sułkowski, Szaruga, Zagajewski); Kamil Ratyniecki, Po Wojaczku. Antologia poezji polskiej 1971-1991, Fundacja Polonia, Warszawa 1991; Bohdan Drozdowski i Bohdan Urbankowski, Od Stafa do Wojaczka. Poezja polska 1939-1988. Antologia, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1991; Tadeusz Nyczek, Określona epoka. Nowa Fala 1968-1993. Antologia poezji, Oficyna Literacka, Kraków 1994; Antologia polskiej poezji miłosnej od Kochanowskiego do Barańczaka, tom 1 i 2, Wydawnictwo Sponsor, Kraków 1995; Barbara Ołtwinowska, Przeciwno złu. Wiersze i piosenki więzienne 1944-1956, Wydawnictwo AKCES, Warszawa 1995; Piotr Matywiecki, Od początku. Antologia poezji polskiej od średniowiecza do wieku XX, tom 1 i 2, Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1997; Bohdan Urbankowski, Czerwoną msza. Czyli uśmiech Stalina, tom 1 i 2, wydanie II, poprawione i rozszerzone, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1998; Jerzy Leszin Koperski, Zjawia realna. Antologia poezji lat sześćdziesiątych, S.W. ANAGRAM, Warszawa 1999; Jan Marx, Legendami i tragiczni. Eseje o polskich poetach przekłetych, cz. 1 (Bursa, Poświętowska, Wojaczek, Grochowiak, Stachura, Ratoń) Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1993, cz. 2 (Ośniatowski, Swen Czachorowski, Czyż, Milczewski-Bruno, Babiński, Szymanowicz, Rybowicz) Wydawnictwo Alfa, Warszawa 2002; Robert Honet i Mariusz Czyżewski, Antologia nowej poezji

polskiej 1990-1999, wydanie II, poprawione i rozszerzone, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2001.

A przecież są jeszcze inne, pomniejsze, żeby je wymienić już tylko z nazwy: Od Kochanowskiego do Symborskiej. Antologia poezji polskiej; kilka wersji antologii Od średniowiecza do współczesności; Antologia polskiej poezji śpiewanej; Morze i żagle w poezji polskiej. Antologia; Rzeki ogniste. Antologia polskiej poezji katastroficznej (XIX-XX wiek); Anioł w poezji polskiej. Antologia; Antologia poezji polskiej o miłości rodzinnej; Antologia poezji polskiej o św. Franciszku; Poezja odzyskana. Antologia polskiej poezji 1939-1989; Klejnoty poezji polskiej. Od Mickiewicza do Herberta; Antologia poezji lekarzy weterynarii.

Na koniec tego przeglądu warto spojrzeć na kilka zbiorów „osobnych”, ale na pewno interesujących i wartościowych. Kontynuując układ chronologiczny, zacznijmy od pięknie edytorsko wydanej antologii, najogólniej mówiąc, pokonkursowej – Pierścień, Pióro, Peleryna, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1968. Zawiera ona poetyckie nagrody (Pierścienia, Peleryny i Pióra) z lat 1959-1966 przyznawane pod egidą Zrzeszenia Studentów Polskich i Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”. W słowie Od Wydawcy czytamy: Wśród laureatów widzimy poetów z całej Polski: z Warszawy, Krakowa, Poznania, Wrocławia, Szczecina, Rzeszowa, Olsztyna, Tamobrzeżu. Wielu z nich – jak świadczą załączone noty biograficzne – ma już za sobą bardzo poważny dorobek, nazwiska ich należą do czołówki polskiej poezji, są szeroko znane w kraju, twórczość ich przekładana jest za granicą, stanowi temat analiz krytycznoliterackich. Wyboru tekstów do tej antologii dokonał Artur Międzyrzeczki. A oto nazwiska nagrodzonych poetek i poetów: Miron Białoszewski, Ernest Bryll, Wojciech Burtowy, Roman Drahan, Stanisław Grochowiak, Jerzy Harasymowicz, Zbigniew Herbert, Ireneusz Iredyński, Wiesław Koszela, Anka Kowalska, Urszula Kozioł, Erwin Kruk, Bogustawa Łatawiec, Bogdan Loebel, Ewa Najwer, Tadeusz Nowak, Helena Raszka, Józef Ratajczak, Teresa Socha-Lisowska, Roman Śliwonik, Tadeusz Zasady, Anna Zelenay. Lista nazwisk jurorów, którzy wtedy, w poszczególnych latach, owe nagrody przyznawali, może jedynie budzić uznanie piszącego te słowa, gdyż była to ówczesna, poetycka i krytyczno-literacka, I liga.

Z innego powodu, ale równie ważnego dla oglądu dziejów literatury polskiej, na uwagę zasługuje publikacja Znów minie wiek... Antologia literatury nadolziańskiej, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 2001. W autorskim Wstępie Leona Miętkiny (wybór i opracowanie tekstów oraz redakcja tomu) czytamy: Wejście w wiek XXI skłania do dokonywania rozmaitych podsumowań, m.in. także w zakresie kultury duchowej ziemi cieszyńskiej. Stąd wyrasta próba ogarnięcia w formie antologii utworów i autorów, którzy w wybitniejszy sposób zaznaczyli się w minionych stuleciach w literaturze Śląska Cieszyńskiego. Antologia ta obejmuje zarówno [polskojęzycznych – K. Sz.] twórców żyjących dawniej, jak i współcześnie po obu stronach Olzy. (...) Pod względem terytorialnym autorzy uwzględnieni w antologii związani są często pochodzeniem z różnymi wioskami i miasteczkami Zaolzia, którego wkład w powstawanie literatury nadolziańskiej jest duży, a także z Cieszyнем, Istebną, Strumieniem, Bielskiem i wieloma innymi miejscowościami położonymi po obu stronach Olzy. Wyłania się stąd obraz jedności kulturowej Śląska Cie-



szynskiego w jego historycznych granicach. Ze znanych nie tylko na Śląsku Cieszyńskim, czyli – mówiąc kolokwialnie – ogólnopolskich poetów i prozaików, których pomieściła antologia Leona Miękińki, warto wymienić następujące nazwiska: Maria Konopnicka, Kazimierz Tetmajer, Władysław Orkan, Emil Zegadłowicz, Zofia Kossak, Gustaw Morcinek, Julian Przyboś, Jan Szczępański, Kornel Filipowicz, Stanisław Hadyna, Helmut Kajzar, Jerzy Kronhold, Jerzy Pilch, Zbigniew Machaj i Renata Putzlacher.

Niemal na pewno najbardziej „osobna” jest w tym zestawieniu antologia *O nich tutaj (książka o języku i przekładzie)*, wybrał i opracował Piotr Sommer, Instytut Książki – Literatura na Świecie, Kraków – Warszawa 2016. Żeby najkrócej przywołać ideę przyświecającą tej publikacji, należy po prostu zacytować blurb Piotra Sommera z czwartej strony okładki. Oto jego fragmenty: *Antologia „O nich tutaj”, złożona z najwyższych szkiców o przekładzie i języku drukowanych w „Literaturze na Świecie”, przynosi dobrą nowinę – że są przekłady lepsze i gorsze. I trochę wieści o tym, dlaczego jeden przekład jest lepszy albo bardziej nośny od drugiego. I jakimi to sposobami można owej różnicy doświadczyć, czy wręcz dociec – i co z tego wynika. (...) Wybór uwzględnia różnicowane intonacyjnie świadectwa myślenia o transferze językowym oraz zarysowuje swego rodzaju filozofię-i-praktykę przekładową, jaka od lat formowała się w zespole „Literatury na Świecie”. Ta swista encyklopedia przygód języka zawiera 40 szkiców pióra 25 autorek i autorów. (...) Aha, zapomniałbym: takiej książki po polsku jeszcze nie było.*

Z przyczyn poniekąd osobistych chciałbym w tym miejscu wyróżnić jeszcze jedną antologię, a właściwie – wspomniany już wcześniej – almanach *Nowy transport posągów*, czyli wiersze dwudziestu czterech młodych poetów gdańskich, o których w obszernym, analitycznym szkicu, datowanym na październik 1976, pisze Stanisław Rosiek [„Być (szkic o gdańskim środowisku literackim młodych w jego okresie bohaterskim)“]. Książka ta, zaopatrzona w ów szkic, w bibliografię środowiska, a także w kronikę, była w roku 1977, oraz w latach następnych, szczególnie dla mnie ważna, ponieważ dokładnie w tym samym czasie (lata 1977-1981) próbowałem zaistnieć ze swoją poezją na rozległych obszarach pozauniwersyteckiej i rozamedialnej prowincji Gniezna, Bydgoszczy i Poznania. Szukałem, jak każdy początkujący twórca, nie tylko klucza dla własnych fascynacji, ale także odpowiedzi na trudne pytania dotyczące uprawiania literatury i myślenia o niej. Dlatego almanach *Nowy transport posągów* był wówczas dla mnie objawieniem (także w wymiarze edytorsko-graficznym) i wskazówką, ku jakim celom intelektualnym, artystycznym i wydawniczym skierować ewentualnie swoje niepewne, na poły jeszcze amatorskie kroki gnieźnieńskiego poety. Poety, który po spóźnionym o prawie 10 lat debiucie zaczął jako tako orientować się w tym, czym zajmowali się w latach 1972-1976 jego gdańscy rówieśnicy, mocno już osadzeni w poezji, w działaniach krytyczno-literackich, a także w działaniach wydawniczych, organizacyjnych i w polonistycznym namyśle nad pokoleniową oraz środowiskową tożsamością – światopoglądową i artystyczną. Dzisiaj, po ponownym zapoznaniu się z zawartością almanachu *Nowy transport posągów*, po zapoznaniu się z dwoma omówieniami tamtego zdarzenia (patrz: Grzegorz Gazda, *Słownik europejskich kierunków i grup literackich XX wieku*, PWN 2009 oraz Ewa Głębińska, *Grupy literackie w Polsce 1945-1989*, Wiedza

Powszechna 2000, wyd. II poszerzone), mogę skonstatować, że była to Nowa Prywatność – pokoleniowo-środowiskowa formacja poetycka z drugiej połowy lat 70. i początku lat 80 (nazwę tę wymyśliła Maria Janion), którą nazywano też Nowymi Rocznikami. Przedstawicielami owej formacji byli m.in. Anna Czekanowicz, Zbigniew Joachimiak, Władysław Zawistowski, Waldemar Ziemiński, Grzegorz Musiał, Jan Krzysztof Adamkiewicz, Urszula Małgorzata Benka, Anna Janko, Roman Chojnacki – czyli, mówiąc krótko, współautorzy wystąpienia-manifestu za jaki można by uznać *Nowy transport posągów*. Dzięki lekturze tej książki spróbowałem wreszcie umiejscowić na mapie poetyckiej prowincji także swoje istnienie, myślenie i pisanie. Wtedy, pod koniec lat 70., ważne były dla mnie informacje, że – zdaniem członków formacji – poezja w Polsce zatraciła walory artystyczne, że kultura masowa przejęła funkcje komunikacyjne, więc w tej sytuacji sztuka ma szansę nabrać głębi, uwalniając się od zobowiązań obywatelskich i zewnętrznych. Zrozumiałem, że twórcy z kręgu Nowej Prywatności (skupieni w dwóch konstelacjach – „Muzea Samowiedzy” i „Wspólność”) zrywali z zaangażowaniem społecznym poezji Nowej Fali, że głosili autentyczność literatury i twórcy, potrzebę odświeżania życia prywatnego, a także problemów i niepokojów z tym związanych.

\*

Inny zupełnie regał (w tym wypadku ideologiczny) zajmują polskie antologie poezji okresu stalinizmu-socrealizmu, których układanie i wydawanie rozpoczęło się pod koniec roku 1939 w sowieckim już Lwowie, a nowo rozpoczęło się w Lublinie w roku 1944 (pod czujnym okiem sowieckich nadzorców), a skończyło wraz z końcem manifestacyjnego sowietyzowania kultury i literatury polskiej w latach 1956 (?), 1968 (?), 1981 (?), a prawie na pewno po 4 czerwca 1989, zwłaszcza zaś po opuszczeniu terenu Polski przez wojska sowieckie w roku 1993. Przypomnijmy więc tylko, że realna, sowiecka okupacja Polski, trwająca nieprzerwanie od lipca 1944, zakończyła się 17 września 1993 r., czyli w dniu, kiedy domknięto trzydnią operację wycofywania z terenu Polski radzieckiej Północnej Grupy Wojsk. Wyjechało wtedy z naszego kraju 56 tys. żołnierzy, setki czołgów, transporterów, dział i moździerzy, a także ponad 200 samolotów i śmigłowców. Nie ma więc powodu, aby udawać, że tamta epoka jest rodzajem literackiej (poetyckiej) białej plamy! Zawartość tych polskojęzycznych, sowieckich z ducha, antologii – oraz okoliczności ich powstawania – precyzyjnie opisuje (ilustrując ten fascynujący historyczną rzetelnością wykład wieloma przykładami konkretnych nazwisk i porażających swą treścią utworów) Bohdan Urbankowski w zniechęcającej przez postkomunistów (oraz przez „resortowe dzieci”) dwutomowej opowieści o tamtej epoce *Czerwona msza. Czyli uśmiech Stalina*. Dla ścisłości tylko przypomnijmy, że określenie „resortowe” jest związane z komunistycznymi, okresu stalinowskiego, działaniami administracji rządowej, w których rodzice (rodziny) „resortowych dzieci” pełnili (ły) służbę, oczywiście z pełną świadomością i zgodą na sowietyzację polskiej kultury, historii, literatury, sztuki, polityki, edukacji i gospodarki PRL.

W *Słowniku Realizmu Socjalistycznego*, Kraków 2004 (red. Zdzisław Łapiński i Wojciech Tomasiak), na stronie 14 znajdujemy hasło autorstwa Jerzego Smulskiego „Antologie, Almanachy”, w którym można przeczytać m.in. – cytując cały ów fragment biorąc go dla jasności w podwójny nawias kwadratowy:

[[Antologia i almanach należały do form wydawniczych preferowanych w polskim (i nie tylko polskim) piśmiennictwie socrealistycznym; zdaniem niektórych badaczy (np. W. Tomasiak) były to formy wypowiedzi najbardziej typowe dla realizmu socjalistycznego. Decydowały o tym trzy czynniki. Po pierwsze, rocznicowy charakter antologii i almanachów (wiele z nich publikowano w związku z ważnymi rocznicami, przede wszystkim o charakterze politycznym). Po drugie, możliwość swobodnego dobierania i komponowania przedrukowywanych fragmentów (zwłaszcza zaś – pomijania fragmentów „nieślusznnych ideowo”), służąca manipulowaniu treścią utworów i dowolnemu budowaniu tradycji pozytywnej. Po trzecie, charakterystyczny dla kultury stalinowskiej kolektywny charakter publikacji: w wielu przypadkach w tytułaturze książki nie odnajdujemy informacji, kto antologię zaplanował i zredagował (tak dzieje się np. w antologiach *Strofy o Stalinie* [1949], *Wiersze o Bolesławie Bierucie* [1952], *O Leninie*. W 30-tą rocznicę śmierci [1954].

W Polsce w latach 1949-1955 opublikowano ponad 300 antologii i almanachów, zawierających albo wyłącznie utwory pisarzy polskich, albo utwory pisarzy polskich i przekłady utworów pisarzy obcych, albo wyłącznie przekłady utworów pisarzy obcych. Wiele z tych publikacji miało charakter rocznicowy i wiązało się z rocznicami urodzin lub śmierci osób należących do ówczesnego panteonu (np. *Strofy o Stalinie* ogłoszono w 70. rocznicę urodzin Stalina, *Wiersze o Bolesławie Bierucie* – w 60. rocznicę urodzin Bieruta, antologię zaś *Wieczny płomień. Wybór wierszy poetów polskich i radzieckich o Feliksie Dzierżyńskim* [1951] – w 25. rocznicę śmierci Dzierżyńskiego), lub z rocznicami ważnych wydarzeń historycznych (np. antologia 1905 w *literaturze polskiej* [1955], ogłoszona w 50. rocznicę wybuchu rewolucji 1905 roku). Inne antologie dotyczyły tematów uznanych wówczas za ważne z ideologicznego punktu widzenia, np. „zjednoczenia ruchu robotniczego” (*Zjednoczenie ruchu robotniczego* [1948]), pokoju (np. *O pokój. Wiersze poetów polskich* [1950], *Sztafeta pokoju. Antologia poezji walczącej o pokój* [1950], *Pod sztandarami pokoju* [1952]), przyjaźni ze Związkiem Radzieckim (np. *Słowo o wielkim braterstwie* [1950], *Wśród przyjaciół. Wspomnienia pisarzy z pobytu w ZSRR* [1953], *O armii, która nas wyzwoliła* [1954]) itp. Liczne były antologie zawierające utwory satyryczne, piętnujące zjawiska wartościowane negatywnie, a więc służące walce z tzw. wrogiem klasowym (np. *Zgrzebłem po kołtunie* [1950], *Lokaje Wall Street* [1951], *Przeciw ciemnogrodowi. Pisarze polscy o klerkalizmie* [1949]). W antologiach ogłaszano zarówno teksty napisane specjalnie na użytek konkretnego tomu (np. utwory publikowane we wspomnianych już książkach *Strofy o Stalinie* i *Wiersze o Bolesławie Bierucie*), jak i odpowiednio dobrane teksty klasyków literatury polskiej.]

Z kolei na stronie 362 drugiego tomu *Czerwonej mszy* (wydanie z roku 1998) Bohdan Urbankowski pisze o polskich poetach, którzy ochoczo włączyli się w proces sowietyzacji polskiej kultury: *Ogromna rola poetów sowieckich w Polsce polegała na tym, że nawet o rzeczach podłych potrafili mówić wzniośle – jak Ważyk o Bierucie, jak Wygodzki o sierpniowych uchwałach – lirycznie, patetycznie, zamieniając serwilizm w cnotę, a tchórzostwo w odwagę. Jeśli teksty Marksa i Lenina porównać do Biblii (tak samo były częściej cytowane niż cytane) – to antologie pełniły funkcje oficjalnych modlitewników i śpiewników, były gotowymi scenariuszami nabożeństw. Albo raczej tego, co w kulturze sowieckiej miało nabożeństwo imitować. Przypomnijmy więc,*

że te „najważniejsze” (z formy polsko-socrealistyczne, a z ducha sowieckie) antologie tamtej epoki, do których udało mi się dotrzeć drogą kwerendy bibliograficznej (a niekiedy także drogą zakupów antykwarycznych), zawierają niejednokrotnie zbiory utworów poetyckich, które w swej treści nijak się miały do rzeczywistych realiów, do prawdy historycznej, do przerażających i porażających faktów z sowieckimi bagnetami, więzieniami i eksterminacją polskich elit w tle. Są w tym zestawie – oprócz wymienionych powyżej – takie oto curiosa: *Wiersze i pieśni poświęcone pracownikom Bezpieczeństwa*, Warszawa 1954; *Pieśń ujdzie cało*, Warszawa 1947; *Bój to jest nasz ostatni*, Warszawa 1953; *Antologia satyry polskiej 1944-1955*, Warszawa 1955; *Wiersze i pieśni Armii Ludowej*, Warszawa 1945; *Wiersze o braterstwie*, Warszawa 1951; *Lenino*, Warszawa 1951; itd., itp. Wśród pewnego rodzaju pomnikowych „ciekawostek” z tego okresu na uwagę zasługują: Jan Szczawiej, *Antologia polskiej poezji podziemnej 1939-1945*, ZBOWiD, Biblioteka Ruchu Oporu, Warszawa 1957; Jan Kott i Adam Ważyk, *Wiersze które lubimy. Antologia*, Czytelnik 1951 (jest to, najogólniej rzecz ujmując, przeglądowy wybór wierszy polskich od średniowiecza do Leopolda Staffa, których zbiorowym bohaterem jest uciemniony i rewolucyjnie zorientowany lud polski); Ryszard Matuszewski i Seweryn Pollak, *Poezja Polski Ludowej. Antologia*, Czytelnik 1955. Dla jasności – są w niej nazwiska i utwory wszystkich polskich poetów i poetek aktywnie związanych z twórczością z pierwszych dziesięcioleciem ówczesnej Polski, a więc i z okresem stalinowskim, łącznie 121 nazwisk, wśród których znajdziecie Ginczanę, Międzyrzeckiego, Różewicza, Ważyka, Jastruna i Szymborską – rzecz precyzyjnie wyjaśnia się w Przedmowie, która jednak milczy (musi milczeć, bo cenzura i tak by tego nie puściła) o tym, czym faktycznie było dla polskości, Polaków i polskiej poezji owo minione, pierwsze dziesięciolecie Polski Ludowej, zbudowane na krwi, zbrodni, kłamstwie, zniewoleniu i zdradzie, dziesięciolecie w pełni kontrolowane przez sowieckich nadzorców – działających zazwyczaj w polskich mundurach generałów, pułkowników i majorów.

I właśnie dlatego m.in. nie da się ukryć, że w nurcie stalinowskiej poezjo-propagandy włączyło się – oprócz socrealistycznie uwznioślonych grafomanów i neofitów komunizmu – także wielu najważniejszych (po 1956 roku) i najzdolniejszych polskich twórców, w tym poeci, prozaicy, krytycy, tłumacze (płci obojga), o których wspomina (przywołując także ich twórczość poetycką z tamtej epoki, skrzętnie i wstydliwie później przez autorów/ autorki lekceważoną i pomijaną) Bohdan Urbankowski w *Czerwonej mszy*. Dobrym źródłem informacji w tej materii jest także książka Marty Fik *Kultura polska po Jalcie. Kronika lat 1944-1981*.

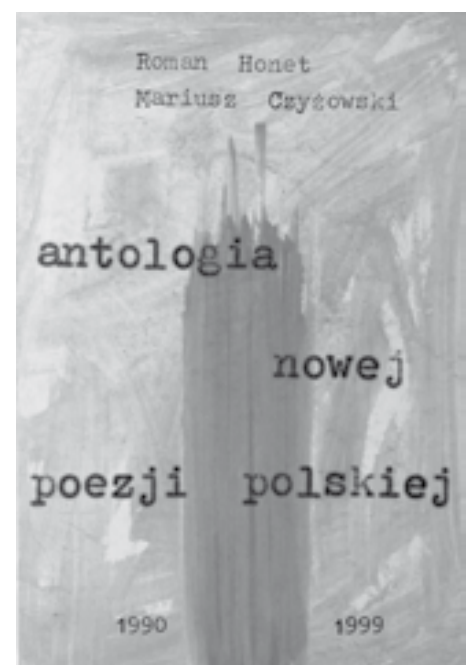
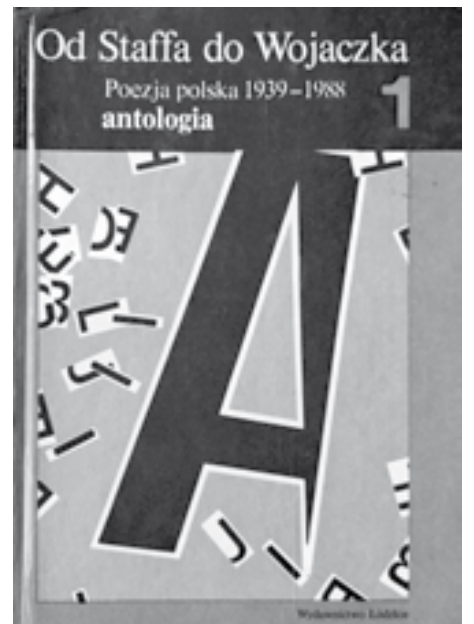
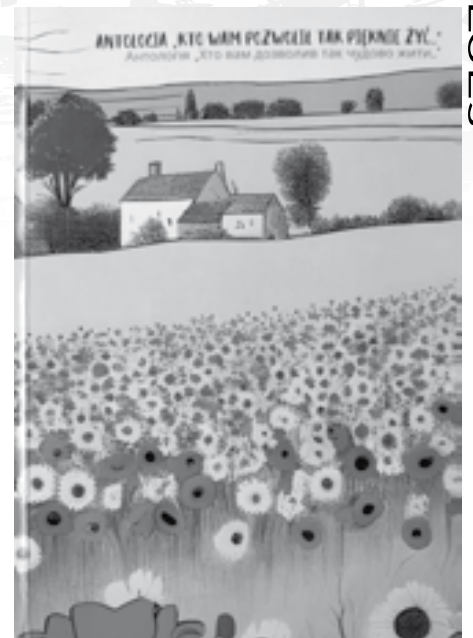
\*

Żeby jednak dobrze zrozumieć poznański fenomen redakcyjno-wydawniczy, zwany antologią wierszy, warto spojrzeć za siebie, by dowiedzieć się, kto i dlaczego wcześniej, przed nami – a raczej przed Wami, Szanowni Redaktorzy, którzy działacie dzisiaj w obrębie poetyckiej antologistyki – utrwał dowody swojego istnienia w postaci książek ze sporą niekiedy liczbą autorek i autorów. Zazwyczaj działo się to za sprawą określonej zbiorowości, konkretnego środowiska, wiodącego pokolenia, zadanego tematu lub ważnej rocznicy, czy wreszcie za sprawą zbliżającego się festiwalu poetyckiego albo innej dużej imprezy literackiej – cyklicznej lub jednorazowej.

Przygotowując się do realizacji podję-

tego zadania, przeprowadziłem kwerendę źródeł (zapewne niekompletną), czyli podjąłem próbę odnalezienia wcześniejszych publikacji zwanych antologiami, które ukazały się w Poznaniu na przestrzeni minionych prawie 70-ciu lat. Mogłem oczywiście udać się z tym problemem do Biblioteki Uniwersyteckiej UAM, wybrałem jednak trudniejszą drogę, by przekonać się, czy są inne miejsca gromadzenia takich publikacji. I tak, spośród wszystkich wymienionych w tym tekście antologii (poznańskich i ogólnokrajowych) siedem znalazłem u siebie w domu, cztery nabyłem drogą kupna w sklepie Wydawnictwa WBPI-CAK, przy ul. Prusa w Poznaniu, kilkanaście najważniejszych dla Poznania i Wielkopolski antologii odnalazłem w prywatnej bibliotece wrzesińskiego poety i bibliofila – Krzysztofa Grzechowiaka, natomiast sześć pozostałych, tak się składa, że najwcześniejszych i tym samym bardzo cennych, odnalazłem dzięki życzliwości dr Alicji Przybyszewskiej w zbiorach poznańskiego Domu Literatury, przy ul. Wronieckiej 14. Razem mamy więc ponad trzydzieści publikacji będących swego rodzaju głosem z przeszłości, choć nie są to zapewne wszystkie były wydawnicze tego typu, do jakich należałoby dotrzeć w przypadku pisania na ten temat książki, czy innej, równie solidnej monografii. W każdym razie te, przeze mnie odnalezione fakty literacko-edytorskie, mają w paru przypadkach sporą siłę rażenia, głównie ze względu na autorów, teksty i okoliczności powstania. Wszystkie natomiast są zapewne dowodem ciągłości poetyckich dokonań szeroko rozumianego środowiska Poznania i Wielkopolski, są wreszcie namacalnym świadectwem wymiany pokoleń, wymiany, która jest dziejową koniecznością, ale i warunkiem przetrwania na literackiej mapie kraju. A zatem, przywołam teraz pokrótce owe antologie z dalszej i bliższej przeszłości w kolejności od najstarszej do najmłodszej. Oto one...

**Liść człowieka. Poezja miłosna**, Wierzbak, Poznańska Grupa Poetycka, słowo wstępne: Kazimiera Iłakowiczówna, Wydawnictwo Poznańskie 1957; **Morwa. Almanach najmłodszej poezji Wielkopolski**, wybór i redakcja: Bolesław Kogut, Wydawnictwo Poznańskie 1964, almanach powstał w wyniku konkursu pod nazwą „Droga do debiutu”, zorganizowanego przez Wydawnictwo Poznańskie, redakcję „Głosu Wielkopolskiego” i Klub Literacki przy Poznańskim Oddziale Związku Literatów Polskich; **AKCENTY. Almanach Poetycki Poznańskiego Klubu Literackiego Młodych**, pod redakcją: Wojciecha Burtowego, przedmowę napisał: Edward Balcerzan, Wydawnictwo Poznańskie 1968; **Lata Siedemdziesiąte. Almanach najmłodszej poezji Wielkopolski**, wybrał wiersze i napisał przedmowę – Edward Balcerzan, Wydawnictwo Poznańskie 1973; **Którzy pamiętali słońce... Almanach młodej poezji wielkopolskiej**, wybór, przedmowa i notki o autorach – Ewa Najwer, Wydawnictwo Poznańskie 1981; **Pieśni i pejzaże. Wiersze o Poznaniu i Wielkopolsce**, wybór i przedmowa: Józef Ratajczak, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1981; **Przedpole. Almanach młodej poezji wielkopolskiej**, wybór i przedmowa – Ryszard Danecki, Wydawnictwo Poznańskie 1986; **Między pustymi imionami. Wybór poezji**, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Poznań 1992, wybór i układ wierszy – Danuta Muszyńska; **Antologie/Almanachy Klubu Literackiego** działającego przy Centrum Kultury Zamek w Poznaniu (w latach 1970-1995) ukazujące się pod redakcją Jerzego Grupińskiego, żeby wymienić tylko trzy tytuły: **Nie w moim imieniu** (1991), **Krąg spotkań** (1995), **Arka** (2005); **ZEP-PELIN. Antologia młodej poezji**, Wydawnictwo OBSERWATOR, Poznań 1996, Biblioteka „Czasu Kultury”, tom 14, redakcja: Rafał Grupiński, Jan



→ Kasper, Marek K. Wasilewski, Jakub Żmudziński; **Rzeczywiste. Antologia pięciu**, Biblioteka Telgte, Poznań 2003, autorzy – Roman Bąk, Jan Kasper, Andrzej Ogrodowczyk, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Tadeusz Żukowski; **Czarny szwartzek. Wiersze o Poznańskim Czerwcu '56**, wybór i wstęp – Stefan Drajewski, Wydawnictwo – WBPICAK Poznań, 2006; **Niechby ta jedna nić... 25 lat nagrody Iłkowiezówny 1983-2007**, nagrody za najlepszy książkowy debiut poetycki, książkę zredagował Włodzimir Braniński, wydawca: Poznańska Galeria NOVA; **ŚLŹNINI I ŚWIETNI. Antologia poetów Wielkopolski debiutujących w latach 1989-2007**, pod redakcją Macieja Gierszewskiego i Szczepana Kopyta, Wydawnictwo WBPICAK, Poznań 2008; **Poznań poetów 1989 – 2010**, wydawca WBPICAK, Poznań 2011, redaktor tomu i słowo wprowadzające – Piotr Śliwiński; **Poeci czasu niedokonanego. Antologia**, redakcja: Dorota Jędraszak, autor pomysłu: Marek Ślomiak, Wydawnictwo Literackie ATENA, Poznań 2019; **Daję słowo. Antologia 50-lecia Poznańskiego Klubu Literackiego 1970-2020**, redakcja: Łucja Dudzińska, Jerzy Grupiński, Pałac Kultury, Centrum Kultury Zamek, Piątkowskie Centrum Kultury PSM „Dąbrówka”, Poznań 2020, patronat – SPP; **Sięgnąć po boski ogień**, redakcja: Nikos Chadzinikolau, wiersze poetów, uczestników XXIII Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, Poeticon ZLP, Poznań 2000.

Ale to nadal nie wszystko, co można powiedzieć o poznańskich antologistach. Oto na stronie <https://archiwumslamu.pl/publikacje/>, gdzie działa Wirtualne Archiwum Slamu Poetyckiego, można otworzyć (a potem z niej pobrać) co prawda „tylko” pdf-y, ale jednak kompletnych w kształcie edytorstwa antologii poezji slamerskiej. Służę przykładami: **Slam poetycki w Polsce**. Antologia wierszy i tekstów krytycznych pod redakcją Dagmary Świerkowskiej-Kobus, Poznań 2023; **SLAM. Antologia poezji slamerskiej**, Poznań 2022, przedmowa Wojciech Kobus; **Języki Jeżyc**, Wydawca – Fundacja KulturAkcja, Poznań 2022; **Języki Jeżyc 2**, Wydawca – Fundacja KulturAkcja, Poznań 2023.

Inny nurt publikacji zwanych antologiami poetyckimi, które w przeszłości, ale także ostatnio ukazały się w Poznaniu, tworzą antologie prezentujące bądź inne środowiska literackie [np. bydgoskie – **Wiatraki** (1961) i **Wiatraki II** (1968), Almanach Bydgoskiej Grupy Poetyckiej, Wydawnictwo Poznańskie; lubuskie – **Moment wejścia**, Almanach młodej poezji lubuskiej, redakcja i wstęp Andrzej K. Waśkiewicz, Wydawnictwo Poznańskie 1976; nadnoteckie – **Na ustach ziemi**, Nadnotecki almanach poezji, wiersze wybrał Tadeusz Wyrrwa-Krzyżński, przedmowę napisał Feliks Fornalczyk, Wydawnictwo Poznańskie 1980], bądź wiersze autorów i autorek zebranych pod wspólną okładką z innego powodu niż prezentacja konkretnego środowiska. I tu warto przywołać trzy tego typu publikacje: Piotr Śliwiński, **Wolny wybór. Stulecie wierszy 1918-2018**, Wydawnictwo WBPICAK, Poznań 2018; Jakub Kornhauser (red.), **Żeby ten wiersz był pudełkiem zapatek. 97 wierszy. Obiektywizm w poezji polskiej**, Wydawnictwo WBPICAK, Poznań 2023 (tytułowa fraza tej antologii – *żeby ten wiersz był pudełkiem zapatek* – pochodzi z wiersza Juliana Kornhausera „Traktat poetycki”); Barbara Klicka i Agnieszka Waligóra, **Przyszli zobaczą poetkę. Antologia poezji po 1972 roku**, Wydawnictwo WBPICAK, Poznań 2023.

Liczba przywołanych tytułów może prowokować pytanie o sens i celowość redagowania tego typu zbiorów tekstów poetyckich zwanych antologiami poezji, które dosyć szybko się dezaktualizują, a z pewno-

ścią spychane są w czytelniczy niebyt przez następne antologie domagające się swoich piętnastu minut sławy, swojego sukcesu, swoich czytelników i recenzentów. Cóż, nikt już chyba dzisiaj (poza pasjonatami, zawodowymi recenzentami, redaktorami czasopism literackich i uniwersyteckimi historykami literatury współczesnej, z podziałem na prozę i poezję) nie jest w stanie ogarnąć wzrokiem, a zwłaszcza przeczytać i ocenić (podać krytycznej analizie) stale rosnącej produkcji tomików poetyckich. Antologie są więc jakimś wyjściem, aby chociaż przybliżyć czytającej publiczności listę autorek i autorów, zwłaszcza tych, którzy/które ze swoimi tomikami starają się o członkostwo w ZLP lub SPP.

W tym miejscu można już zajrzeć do kilku przynajmniej najważniejszych ogólnopolskich antologii poetyckich (z utworami tworzących w PRL-u poetów i poetek), które ukazały się po roku 1956, ale przed 1990, by sprawdzić, jak reprezentowane jest w nich środowisko poznańskie (a także wielkopolskie). I tak, w najstarszej antologii (pokonkursowej) *Pierścień, Peleryna, Pióro* (1968) trafiamy na teksty Stanisława Grochowiaka, Ewy Najwer, Józefa Ratajczaka, Bogusławy Łatawiec i Wojciecha Burtowego. W zbiorze miesięcznika „Poezja” *Antologia na 202!* (nr 11-12/1982) pojawiają się: Kazimiera Iłkowiezówna, Andrzej Babiński, Edmund Pietryk i Ryszard Krynicki. W antologii *Od Staffa do Wojaczka* pojawiają się: Stanisław Grochowiak, Marian Grzeźczak, Ryszard Krynicki, Stanisław Barańczak. W antologii *Kolumbowie i współcześni* pojawiają się: Stanisław Grochowiak, Marian Grzeźczak, Edward Balcerzan i Stanisław Barańczak. W antologii *Poeza jest jak dziecko. Nowe roczniki* znajdujemy poetów: Jan Krzysztof Adamkiewicz, Roman Chojnacki, Wojciech Gawłowski, Andrzej Sikorski i Sergiusz Sterna-Wachowiak (na marginesie dodajmy tylko, że w tej samej antologii znaleźli się wszyscy najważniejsi autorzy z gdańskich almanachów *Nowy transport pasażerów*). Najliczniej, jeżeli chodzi o roczniki PRL-owskie, środowisko poznańsko-wielkopolskie odnotowuje antologia *Zjawia realna. Antologia poezji lat sześćdziesiątych*. To w niej właśnie pojawili się: Andrzej Babiński, Wojciech Burtowy, Jerzy Grupiński, Bogusława Łatawiec, Krystyna Miłobędzka, Stanisław Neumert, Edmund Pietryk, Wincenty Różański i Jerzy Szatkowski. Należy się domyślać, że nazwiska te będą przywoływane coraz rzadziej, a już niemal na pewno nie przez literacką/poetycką młodzież, która – jak uczy doświadczenie – niezbyt chętnie ogląda się za siebie.

Czy coś z tego wynika? Tylko chyba to, że wymiana pokoleń, także w poezji, jest oczywista i nieunikniona, a po zmianie ustroju (likwidacja cenzury, komercjalizacja rynku wydawniczego, rozluźnienie rygorów tzw. progno drukowalności), czyli po roku 1989 także antologie poezji (zwłaszcza tej najnowszej – cokolwiek to znaczy) nie muszą już powstawać w wielkomięjskich centrach decyzyjnych, pod okiem ideologicznych nadzorców, w oczekiwaniu na przydział papieru i finansową przychylność sekretarza partii. Powstają tam, gdzie istnieje realny potencjał finansowy i redakcyjny, a także wsparcie medialne i krytyczno-literackie, gdzie środowisko poetyckie nie tylko manifestuje swoją obecność, ale także potrafi stworzyć sieć powiązań wydawniczo-medialnych, krytyczną masę artystyczną (tomiki poetyckie, konkursy, festiwale, imprezy cykliczne), przede wszystkim zaś wsparcie promocyjne i klimat przyzwolenia ze strony lokalnego samorządu (dotacje, stypendia, konkursy, nagrody) – miejskiego lub wojewódzkiego. Przykład Poznania i tego, co dzisiaj się tam dzieje, także (a może przede wszystkim) za sprawą wydawnictwa, działającego pręż-

nie przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej i Centrum Animacji Kultury, jest potwierdzeniem faktu, że PRL-owskie mechanizmy promocyjno-wydawnicze nieodwołanie odeszły do lamusa, a mechanizmy nowe, przejmujące rynek publikacji poetyckich (nadal dotowanych lub współfinansowanych przez autorów i autorki) całkowicie odmieniły ideę i strukturę debiutu, awansu, promocji, a w efekcie stworzyły nowy mechanizm wiązania (kojarzenia) poetów i poetek z określonym środowiskiem – np. miejskim, medialnym, artystycznym, czasopiśmienniczym, uniwersyteckim, związkowym (ZLP, SPP), czy ideowym i światopoglądowym, a nawet (nihil novi sub sole) politycznym.

\*

Jedno jest pewne, przynajmniej w moim przypadku, to mianowicie, że dzięki wszystkim przywołanym tu antologiom jestem w stanie pojąć ogrom polskojęzycznej „produkcji” poetyckiej od średniowiecza po czasy najnowsze. Choć, jako zawodowy polonista, nigdy nie skazałem się na przesiadywanie latami w bibliotekach uniwersyteckich, by – epoka po epoce – prześledzić większość z tego, co wartościowe w obrębie polskiej poezji, to jednak przez długie lata odczuwałem potrzebę takiej kwerendy (i takiej wiedzy), ale – o zgrozo – zniechęcał mnie do tego wysiłku rodzaj bezradności wobec ogromu materii do przekopania, przeczytania i przemyślenia. Dzięki antologiom – tym przekrojowym, środowiskowym oraz tematycznym, obejmującym krótsze odcinki historyczno-literackie, mini epoki lub określone tematy i problemy, potrafię (mimo braku już studenckiego zapatu) w miarę gruntownie przyswoić setki nazwisk, tysiące tekstów, dziesiątki technik, estetyk i pomysłów na odświeżenie języka polskiej poezji. I tak właśnie – dzięki antologiom – wyglądam mój prywatny sukces, sukces czytelnika. Jest ponadto w antologiach, zwłaszcza tych, redagowanych i układanych przez profesjonalistów, znawców materii – antologiach, które posiadam, które znam i które miałem w rękach – coś jeszcze, co czyni z nich odcyfrowaną, rozkodowaną z pierwotnego szyfru pojedynczych tekstów uogólnioną wykładnię wiedzy, mądrości i praktyki literackiej. Oóż tym czymś służyły merytoryczne wstępy, wprowadzenia i postłowania antologistów, dzięki którym nie tylko rozumiem tkankę metodologiczną każdej z tych publikacji, ale także potrafię posłużyć się ofiarowanym mi przez tychże antologistów kluczem historyczno-literackim, krytyczno-literackim, estetycznym, a nawet filozoficznym. Przyznaję, że niejednokrotnie wstępny do posiadanych przeze mnie antologii okazywały się bardziej zajmujące niż powolna lektura tekstów składających się na dany zbiór. Bywało i tak, że po lekturze owego wstępu, postłowania czy wstępu do książki analitycznego szkicu lub eseju (niejednokrotnie obszernego i problemowo fascynującego) czułem się jak uczestnik świetnego wykładu na uniwersyteckim seminarium magisterskim lub doktoranckim. Za tego typu radości intelektualne należy się wybitnym antologistom nie tylko słowo uznania, ale i wdzięczność roczników wchodzących w świat poezji z własnymi pomysłami na własny sukces – jeżeli oczywiście zechcą, ci młodzi, piękni, świetni i zdolni, pochylić się czasem nad antologiami z zamierzonej (jak dla nich) epoki.

Przy okazji. Nie należy zapominać, że wszystkie przywołane w tym tekście antologie i almanachy rozdziela cezura roku 1989. To zatem (od roku 1944), co powstało przed rokiem 1989, podlegało opresywnym zapisom komunistycznej cenzury, a wszystko, co zdarzyło się w tej materii po roku 1989, było i jest wolne od cenzury państwowej, ideologicznej,

choć oczywiście nadal podlega cenzurze wewnętrznej i obyczajowej (np. wydawnictwa, czasopisma lub gazety), autocenzurze, cenzurze wynikającej z zapisów konstytucyjnych, a przede wszystkim odpowiedzialności prawnej – z punktu widzenia kodeksu cywilnego, kodeksu karnego lub prawa autorskiego i prawa prasowego. Mówiąc krótko – dzisiaj można powiedzieć, napisać i wydrukować prawie wszystko (włącznie z tym, co przed rokiem 1989 było objęte zakazem druku), ale autor i/lub wydawca nadal musi liczyć się z konsekwencjami za publikowane treści. Dotyczy to także poezji (wiersze), krytyki literackiej (recenzje) oraz almanachów i antologii (np. merytoryczne albo historyczno-literackie wstępy lub postawia).

Teraz można już chyba pokusić się o małe podsumowanie. **Po pierwsze:** skończyły się, jak mi się wydaje, czasy, gdy oddział SPP lub ZLP funkcjonujący w Poznaniu skupiał w swoich szeregach głównie osoby związane właśnie z Poznaniem i Wielkopolską. Dzisiaj członkowie tych oddziałów mieszkają w wielu różnych miastach poza Wielkopolską – jest więc to np. Szczecin, Kołobrzeg, Koszalin, Słupsk, Bielsko-Biała, Kłodzko, Londyn. Na usta ciśnie się pytanie, co spowodowało, że owi rozproszeni po kraju/świecie literaci wiążą się z danym środowiskiem Oddział Wielkopolskiego SPP lub ZLP? Chwilowo niech będzie to pytanie retoryczne, choć w gruncie rzeczy sprawa jest prosta – decyduje o tym m.in. łatwość komunikowania się przy pomocy nowych mediów. **Po drugie:** każde środowisko literackie, a poetyckie zwłaszcza, które wchodzi na rynek wydawniczy ze swoimi propozycjami ideowymi oraz artystycznymi, stara się o wsparcie krytyczno-literackie i recenzje profesjonalistów z miejscowych zazwyczaj, ale zawsze uniwersyteckich, środowisk polonistycznych. I tak, przykładowo, krąg literacki dwumiesięcznika TOPOS ma sprawnie działających na tym polu profesorów Glenia, Kudybę, Nowaczewskiego i Dakowicza. Poeci poznańscy lat 60., 70. i 80. Mieli wsparcie w piórach oraz intelekcie Józefa Ratajczaka i profesora Edwarda Balcerzana. Autorki i autorzy związani w Poznaniu z kręgiem wydawniczym WBPICAK, którym kieruje Mariusz Grzebalski, mają wsparcie krytyczne w osobie profesora Piotra Śliwińskiego. A kto wspiera krytycznie i recenzentcko, także w mediach opiniotwórczych – mam na myśli wsparcie profesjonalne, naukowe, akademickie – krąg twórczego (po organizacyjnej zapaści) niemal od nowa poznańskiego środowiska SPP, czy meandrującego w starych koleinach środowiska ZLP? Póki co nie widzę takich osób. A może po prostu w kręgach mediów społecznościowych zwyczajnie oceniania i wartościowania na tyle odmieniony pole działań krytycznych, że takie osoby nie są już potrzebne? Jeżeli nawet tak się dzieje, to jedna rzecz nie zmieniła się z całą pewnością – historię literatury ciągle jeszcze piszą nie impresyjni recenzenci na fb, oraz życzliwie nam (niekiedy jednak egzaltowane) recenzentki na portalach internetowych i w niszowych czasopismach, ale profesjonalnie podchodzący do materii wiersza filolodzy na Uniwersytetach. I na koniec, **po trzecie:** jeżeli spojrzymy na najważniejsze antologie poetyckie, które ukazały się w Poznaniu, a które pozwoliłem sobie tu dzisiaj przywołać, to co się okazuje? Z każdej z nich przetrwało w świadomości uważnych czytelników kilka nazwisk, czasem jedno, w sumie, po dziesięcioleciach, jest to kilkoro autorek i autorów, którzy osiągnęli poziom ponadprzeciętny, zgromadzili dorobek oraz zbudowali biografie literacką, które sprawiają, że pamięć o nich nie rozmyła się we mgłę odchodzących w niepamięć sezonów literackich, że ich wiersze są czytane i ciągle mogą być wzorcem

dla kolejnych roczników doskonalących się w sztuce poetyckiego rzemiosła. A reszta? Co z nimi?

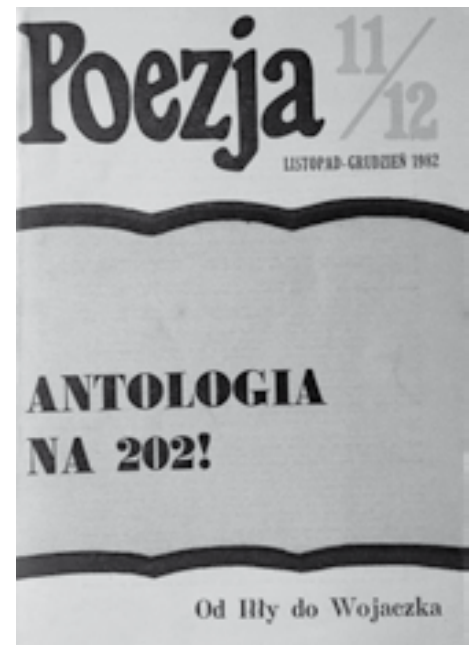
Zanim spróbuję odpowiedzieć na to pytanie, wpięprz przyczę fragment pierwszego akapitu ze wstępu do gdańskiego almanachu *Nowy transport posągów* z roku 1977, wstępu autorstwa Kazimierza Nowosielskiego: *Sądzę, że wytworzyła się nawet pewna konwencja wydawania i czytania almanachów. Umieszcza się tam najczęściej autorów, którzy, obnosząc swe teksty po redakcyjnych pokojach, nie mieli dość szczęścia, żeby je wydać w książce, autorów zbywanych obietnicą druku, dla których ta publikacja właśnie ma być częściowym ujściem ich ambicji oraz swoją nagrodą „za wytrwałość”. Tak zaczynają funkcjonować w lokalnej świadomości czytelniczej autorzy, których zna się jedynie z tego rodzaju publikacji, prawie raz na zawsze z nimi skajarzeni, w pewien więc nie najlepszy sposób rozpoznani i sklasyfikowani. Wspomniatem o „lokalnej świadomości czytelniczej”, gdyż zasięg tych wydawnictw bywa najczęściej ograniczony. Czytają je zazwyczaj przyjaciele autora, bądź przyjaciele przyjaciół, czasami wprowadzający młodzież dojrzalszy wiekiem i stanowiskiem krytyk redakcyjny pobieżnie omówi zaistnienie książki „będącej wyrazem ambicji środowiska”. Od początku do końca towarzyszy jej niepokojąca anonimowość.*

Biorę teraz do ręki pierwszą, drugą lub trzecią z brzegu najnowszą antologię współczesnej poezji polskiej i zastanawiam się, kto z was (Autorki i Autorzy) przetrwa, czyje wiersze się obronią, o ilu z was upomną się przyszłe prace licencjackie, magisterskie i doktoraty polonistyczne? Nie porzucamy jednak nadziei, bo – jak napisał w przedmowie do antologii „Akcenty” (w roku 1967) Edward Balcerzan – *Czas debiutu jest czasem przyszłym. Czas przedstawiony w wierszach oddała się w przeszłość, aby wracać jako czas odwieczny, mityczny, „kolisty”.* Tak, czas każdej papierowej Antologii (która odnotowuje najnowszą wspólnotę wiersza) jest już czasem przeszłym. Przemijamy niezauważalnie wraz z nią, z antologią, która jeszcze pachnie farbą drukarską, ale wasze wiersze, które do niej trafiły, jeżeli są wystarczająco dobre, jeżeli ukryliście w nich poezję, jak szmaragdy w szarej skale, te wiersze mogą was ochronić przed pasmem straconych złudzeń, przed groteskową magmą lansu, z którego niewiele poza żenadą wynika. Te wiersze mogą ocalić wasze biografie przed smutkiem bibliotek, w których tomiki poetyckie, antologie i almanachy – nieczytane, okryte cieniem muzealnej ciszy – po latach, po dziesięcioleciach, okazują się niekiedy jedynym, a nawet ostatnim dowodem waszego istnienia.

Moim skromnym zdaniem, dla tych spośród poetek i poetów, którzy wchodzi do układanych właśnie w Poznaniu (i nie tylko w Poznaniu) kolejnych antologii czy almanachów, którzy chcieliby zaistnieć w Literaturze (a nie tylko na fb), którym marzy się świat poetyckich realizacji na miarę diagnozy i słów Edwarda Balcerzana z roku 1967: *Chcą być inni. Nieanonimowi. Oporni wobec sezonowych mód* – dla tych wszystkich punktem odniesienia mogłyby być (jeśli dobra wola i zapał pozwolą) gdański almanach *Nowy transport posągów* z roku 1977, poznańska publikacja z roku 2003 *Rzeczywiste. Antologia pięciu* oraz – najstarsza z tej trójcy – poznańska antologia z roku 1968, pt. *Akcenty*, bo to z niej wyszli Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki i Wincenty Różański. A wyszli na niełatwy wtedy szlak prawdy, szczerości i wartości, wiodący za horyzont landszaftu, jakim bywa niekiedy słodka lokalność małej ojczyzny i złuda drobnych

sukcesów. Pozwolę więc sobie zakończyć to wystąpienie sugestią, że prawdziwą ojczyzną Poezji jest świat języka, w którym powstała lub na który ją przełożono. Antologia zaś to rodzaj wozu drabiniastego, którym wiersze, te snopy dojrzałego zboża, zwozi się do stodoły, by doschło i nabrało mocy, a po jesiennej młócce stało się albo mąką na chleb, albo materiałem siewnym na przyszłe zbiory.

KRZYSZTOF SZYMONIAK



Marek Sołtysik

# Z PRAGNIENIA DO OBRZYDZENIA

Maks umrze wskutek następstw nie w porę zdiagnozowanego zapalenia ołtucnej. Spekulowano później, że początków choroby nabawił się jeszcze w Powstaniu. Ostra zima, biwakowanie pod gołym niebem, zdradliwe słońce wczesnej wiosny. Możliwe, ale niekoniecznie. Maks był wyjątkowo dbały o ciało, sam nieraz strofował Olesia, że ten się garbi. Sam tryskał zdrowiem – aż do momentu olbrzymiego tryumfu... i to gdzie? na angielskich Salonach. Tam jego realistyczny *Pochód ułanów* zrobił furorę, stawa dotarła na kontynent jeszcze wcześniej, niż tam powrócił artysta. Na razie malarstwem się bawił. Słońce wczesnego popołudnia pełgające na korze brzoź, wnikające w gęstwę liści leśnych ostępów, zatrzymujące się na moment na karych, gniazdach i białych zadach końskich, wzmagające siłę cynobrowej czerwieni surdutów wytwornych panów – o, to właśnie, co malował po powrocie do Monachium, podobało się do tego stopnia, że z powodu potęgującej się ilości zamówień multimilionerów na podobne obrazy Maksowi robota paliła się w rękach, przeto zaczął się zaniedbywać, niedosypiał, zrezygnował z gimnastyki... Na szczęście dla sztuki polskiej zbliżył się wtedy właśnie z Adamem Chmielowskim, z którego intuicją artystyczną i wyrobioną świadomością twórczą liczyli się polscy „monachijczycy”. I to Chmielowski – weteran Powstania 1863 – w niekończących się sporach w kwestiach moralno-estetycznych zdołał przekonać byłego współpowstańca, że koniec żartów: przyszedł czas na pokazanie polskiej rzeczywistości, Stimmungu nie dla burżujów, lecz dla pochwały Boga, od którego pochodzi nie tylko wszystko, co widzialne, lecz także najwyższy stopień tęsknoty – nostalgia. Niech Maks, jako malarz o znakomitym warsztacie, pokaże nasze tam pejzaże i naszą tutaj nostalgię! Maks Gieryski zastanowił się, obliczył, że już może sobie żyć z procentów bankowych, przestał bywać, zamknięty w pracowni, nie reagował na pukanie Kunsthandlerów. Otoczony już tylko estetycznym tchnieniem, tworzył zupełnie nowe malarstwo. Postępując się czystymi środkami plastycznymi, bez żadnych sztuczek i tricków, na płótnie uzyskał to, co niepowtarzalne w polskim pejzażu, a co ongi Adam Mickiewicz przedkładał nad powszechnie uznane za godne zwiedzenia kulturowe miejsca – czyli nie ruiny antycznych kolumn, lecz rzeczywistość bliską życiu, jakieś ślady ludzkich wysiłków gwoźli przeżycia dnia, swojski nieporządek pod karczmą, w blasku zwykłego dnia. Nikomu nie zaświatała myśl o ewentualnych sukcesach tych tak czystych, ale ubogich obrazów. A jednak już jesienią 1872 przyszło świętować medal zdobyty w Berlinie za *Wiosnę w małym miasteczku* – sądząc z aury i architektury, w zaborze rosyjskim: coś jakby Mława, Grójec, a może Grodzisk Mazowiecki... Medal w Berlinie, taka okazja! Szpanem, siedemnastu, niebawem dwudziestu sześciu znajomych. Jesienny wieczór szybko przedzierzgnął się w noc. Maks siedział przy półotwartym oknie naprzeciw wciąż otwieranych drzwi. Radość z nagrody, gorące serce, już złżejsza głowa – i mamy skutki przeciągu. Przeziębiony, w grudniu pojechał w Poznańskie na patriotyczny pogrzeb Seweryna Mielżyńskiego, społecznika i mecenasa artystów. Po drodze często zatrzymywał powóz, żeby oglądać pejzaż,

szkicować... Przejmujący wicher, pierwszy śnieg, nazajutrz roztopi, zgnilizna. Potem już tylko choroba.

leż to musiał naużerać się z Olesiem, zanim brat przywłókł mu do wspólnego atelier w Rzymie duże, podługowate, świetnie zagruntowane płótno. Przedtem nie i nie – nie będziesz malował, bo choroba wróci!

Jakże ma wrócić, kiedy powietrze ciepłe, nie ma wilgoci, choroba bierze się przecież ze spleenu i z fatalnego klimatu. Pożyję jeszcze parę lat, jeśli się nie zaziębię, może parę miesięcy. Szkoda Olesia, siedzi tu przy mnie i traci czas, może nabawić się melancholii. Nie ma śladu moich marzeń, mojego jasnowiedzenia przyszłości. Wy-maza-ne. „Jeden wiatr zimny, co mi się dostał pod prawe skrzydło ptucz, wywiał wszystko, wydmuchał. Czy uwierzysz, co mówią: że mnie praca zbyt gorączkowa i ciągła do tego choroby głównie usposobiła! Niech diabli wezmą! z próżniactwa – spleen; z pracy – choroba piersi; nie wiem dalibóg, co lepsze”.

Malował po cztery godziny dziennie, siedząc w fotelu. *Polowanie par force na jelenia* powstawało w zdumiewająco szybkim tempie. Oczywiście, gdy jeden z braci malował, drugi malować nie mógł, bo po pierwsze wyglądałoby to śmiesznie. Po drugie – praca twórcza to jednak czynność wstydliva; nie po to wyzwalamy się na mistrzów, żeby potem pracować wspólnie, jak studenci. Poza tym Oleś opiekował się bratem, gonił za lekarzami (Maks, po wizycie specjalisty, zazwyczaj przypominał sobie po minucie, o co jeszcze miał go zapytać, a wtedy brat pędził po dwa stopnie, żeby dogonił doktora. – To kto w tym domu w końcu cierpi na zadyszkę? – próbował zażartować jowialny konsyliarz, rodem z Podola, od ćwierćwiecza obywatel Rzymu, lecz powstrzymał go od weseloty stalowe spojrzenie Olesia.

Oleś pomagał Maksowi wstać z fotela, prowadził go do łóżka, niekiedy Maks zatrzymywał się w pół drogi, kierował się w prawo, podtrzymywany przez brata, i z dystansu oglądał powstający obraz. Oleś się nie odzywał, uważał, że Maks jest zbyt słaby na taki wysiłek, a ponadto uważał, że skórka nie warta wyprawki, że konwencjonalny temat i naśladowanie tagodnej aury prowadzą do trwonienia talentu. Owszem, sam wciąż tylko wyjątkowo znajdujący amatorów na swoje i tak nieliczne obrazy, rozumiał, że brat w ten sposób zarabia bardzo duże pieniądze, że potrafi spekulować, składając nie bardzo wiadomo, na co, ale gdy się dowiedział, że w połowie malowania tych konych panów w zopfach potrzebuje następnego podobrazia, zbliżonego, jak to, do formatu 65 x 118 cm, ale że to musi być nie płótno, lecz deska z twardego drewna, nie posiadał się z oburzenia. – Jak to? To ty im będziesz jeszcze malował repliki własnych obrazów?

– Niekoniecznie repliki – odparł Maks z flegmą. – Widzisz, na tym obrazie wśród jeźdźców są brzozy, a na tym nowym będą

wiązy. No, umaszczenie koni nieco inne... Wiesz, skoro się podoba i skoro kolekcjonerzy nie mają nic przeciwko temu... – podprowadź mnie do łóżka – ... ja ci coś powiem: ty także będziesz malował po kilka wersji obrazów.

– Coś podobnego! No, kładź się; pantofle zrzucić, do ust wkładaj termometr, nie ołówek... A niby dlaczego tak miałbym robić? To niewolnictwo?

– Nie, Oleś, to zapobiegliwość. Ktoś kupi obraz, zamknie go w swoim prywatnym muzeum i już go więcej w życiu nie zobaczysz. A gdy namalujesz replikę, będziesz miał pewność, że ten drugi kupiec nie postąpi jak pierwszy, bo to by był przypadek nieprawdopodobny. Jesteś nerwowo, a malowanie kopii, zwłaszcza własnych obrazów, uspokaja. Co do mnie – chyba jestem malarzem z prawdziwego zdarzenia, ponieważ malowanie mnie wciąga. Bez względu co, dla kogo i który raz maluje. Jeżeli chcesz od mnie rady...

– Mam swoje malowanie – westchnął Oleś, sprawdził, czy bratu nie wystają stopy spod koca, nalał mu wody z karafki do szklanki, chwycił pałto, narzucił je sobie na ramiona, pozamykał drzwi i ruszył schodami w dół na ulicę Rzymu, gdzie w ulubionej austerii przy dwóch, trzech szklaneczkach wina będzie obserwował młodych ludzi, w knajpie oddalonych od trosk, żyjących tutaj miłością, muzyką, tańcem i marzeniami. Na kamiennym blacie stolika rozłożył, jak co dzień, papeterię, odwrócił uwagę gości jako nudziarz piszący listy, tymczasem wykreślił kompozycję przyszłego obrazu, zadba o szczegóły, rysując sylwetki i charakterystyczne twarze. Modelki i modele to później, później... Kiedy później? Przecież obraz mam już w głowie. Robotę powinienem zacząć już teraz!

Wspólne mieszkanie braci – dobrze. Ale choć na tym samym piętrze, z osobnych wejściami, jest także przestronna pracownia z dobrym światłem – malować w niej może tylko jeden. I był problem. Teraz, gdy w tym domu wynajęli jeszcze jedna pracownię, gdy przyszły duże pieniądze za przyjęty obraz Maksa, Oleś nie może z tej pracowni korzystać.

Maks ma chroniczny katar kiszek. Gdy nie maluje, nie wstaje. Leży w pościeli. Po przebytych zapalenia ołtucnej i otrzewnej (przy zaawansowanej gruźlicy, o czym myśli umiejętnie odganiał), wierzył lekarzowi, że nie od razu dochodzi się do siebie; cierpliwości i jeszcze raz cierpliwości. – Przecież pana już nic nie boli, prawda? – Nie boli, nie boli, ale sił brak. Muskuły jednak bolą. – Pan się dziwi? Po tylu przejściach? – Takie rozmowy w kółko.

Więcej korespondował z ojcem, wciąż odwodził go od chęci przyjazdu. Staruszek mógłby go nie poznać, przeżyć wstrząs. Próbował go zająć czymś innym, namawiał do rozstania się z służbą Moskałom, przejścia w stan spoczynku, wynajęcia mieszkania w mieście. Ojciec uparcie zwlekał i to także odsuwało odeń chęć natychmiastowego przyjazdu do syna. No i szczegóły: „Ból



w biodrach i mięśniach brzusznych ustąpił też w znacznej części od czasu, jak opasują się powijakiem, który podtrzymuje brzuch, chroni od fatygowania zbolatych mięśniów”

Dorosty syn w powijakach. Ojciec to przeczyta. Trudno. I dalej: „Gospodarzy mamy grzecznych, uprzejmich, wszystkie nasze żądania starają się zaspokoić”.

Coraz trudniej utrzymać pędzel w rękach. Plus 32 stopnie Celsjusza, poty, utrata apetytu. Nie może patrzeć na gotowane, odwraca się od smażonego befsztyku, milknie na pół dnia, tak go zirytowała ogromna brzęcząca mucha, której nikt nie może ani złapać, ani przepędzić. Pił chętnie i pomału wodę z cytryną, dostał rozwolnienia, czego nie można było opanować. W oczekiwaniu na Olesia, który z powodu jego stanu zdrowia nie może pracować, a teraz załatwia mu konsylium, na które będą musieli jechać znów do Monachium, sięga po swoje zapiski robione w ubiegłym roku w Tyrolu, w Alpach, gdzie jest niby dobre powietrze, w Bolzano, w Marling nad Adyga...

„Wczoraj wieczorem kaszel i smak krwi w ustach, i te czerwone żyłki w ślinie (...). Rano też kaszel, choć nieduży, i flegma gęsta. Zaziębitem się widać. Czy ja nie jestem źle tu leczony? Co znaczy ten ból koło wątroby?...”

„Myśl, że mam stąd wyjechać, pociesza mnie – z jakąż radością pozbędę się widoku tych miejsc, tych gór przeklętych, co zdają się tak samolubnie niewzruszone, jak Niemcy, ich wielbiciele, tak te okazy, które widzę co dzień przy stole!...”

„Jednak ja straciłem wiele (...). Z serca naprzód wywierzają miłość, której zapachem krótko i z daleka się upajałem. Obrazy domowego szczęścia i domowych rodzinnych kłopotów, zaledwie pomyślane, niby z lekką węglem naszkicowane, przyszła zła choroba i starła; został ślad, żal, że było coś – że nie ma”.

Zdołał ukończyć kolejną wersję *Wyjazdu na polowanie*. Duży obraz, robotą, dzień w dzień, trwała kilka tygodni, coraz częściej musiał zawczasu odkładać pędzle, bo ręce same się opuszczały na kolana i Maks trwał w beznadziejnej pozycji w fotelu. Nie zasypiał i to go jeszcze bardziej męczyło. Bez fotela już się nie mógł poruszać w taki upał. Wniesiono go do przedziału. Z Olesiem ruszyli pociągami na północ, gdzie spodziewał się, że będzie chłodniej. Co z tego, po nocy w podróży był rozgrzany, dziwne, jakies dreszcze. Po konsultacjach u sław lekarskich w Monachium bracia zrozumieli, że trudno o nadzieję; teraz ważne, by Maks mniej cierpiał. Więc znowu Alpy. Tym razem Reichenhall. Znowu chinina. Uważał, że dobrze działa jako środek wzmacniający. Przyjechał Adam Chmielowski. Zamieszkał w pobliżu, był na zawołanie. Zjawiał się akurat w dniach, kiedy Oleś oficjalnie musiał wyjechać, a w rzeczywistości znajdował się u kresu wytrzymałości psychicznej. Cierpienie drugiego człowieka wywoływało w nim fizyczny ból.

– Dużo zostawiasz – powiedział Adam Chmielowski.

– Zdaje się, że człowiek powinien raczej po sobie posprzątać – warknął Maks. Adam wyczuł, że chory znów ma go dość.

– Sprząta się śmieci, a ty, przeciwnie...

– Dobra, dobra, ależ z ciebie jezuita, ty szelmo! Zresztą doktor mnie znów pocieszył, sprawdziłem – istotnie; udało mi się zejść do Kurhausu, zobaczyłem jasno ubrane, młode damy, też trochę chore, nawet odzyskałem apetyt. Jeśli nawet wrócę do świata, w którym ludzie żyją normalnie, a ja według szpitalnych reguł, to muszę się pożegnać

z marzeniami. One nie wrócą. Powiedzmy, że pojedę do Włoch, zacznę już żyć jakimś życiem. Jakim – sam nie wiem. Tylko nie będzie okna z doniczkami kwiatów, niedużego ogródka z krzakami róż i jaśminów, nie będzie Jej...

– Ale to było, i to już jest dobrze – powiedział Adam Chmielowski.

– Po co ja to mówię, może próbuję się usprawiedliwić tutaj, teraz, przed tobą, wyznać ci ostatecznie coś, co wyznaje się chyba tylko duchownemu. Jestem dziwnym człowiekiem. Nie żyję światem, który dotykałem ręką, lecz przypomnieniem, imitacją tego świata, schowaną w mojej wyobraźni. Kiedyś, nie chodząc do filharmonii, po którejś tam próbie wybrania się, powiedziałem, i było to śmieszne: „cóż, co dzień na koncert?”. – Cóż, co rok się żenić? – mógłbym powiedzieć. Już się kochałem i nawet dość silnie; znam kłopoty zaręczyn, wesel, znam rozkosze poślubne, wiem, jak wyglądał przedział pierwszej klasy w wagonie do Wiednia, jak wyglądał pokój w którym spędziłem pierwszą noc małżeńską. Jak ten cały dzień, co ja dzielił od nocy weselnej, był dla mnie i przykry, przyjemny, więcej jednak niemiły, mówiąc szczerze.

– Niewielka strata.

– No właśnie. Wiem, Adamie, co śmierć, znam te strachy przedśmierne. Trzy, a nawet cztery razy miałem swoją przedostatnią noc. Kiedy przyjdzie rzeczywista, ja będę już wprawiony.

Wychodził na korytarz ponurego pensjonatu, niemniej bogatego jak i inne, które wznosiły się i bogaciły właściciela w sąsiedztwie, lecz najbrzydszego, bo jakby celowo pobawionego charakteru przez spółkę przedsiębiorców, działających pod hasłem, oddaj nam swoje pieniądze, damy ci nadzieję z nadatkami, którym jest brak złudzeń. Dlatego okna będą mniej ozdobne, dachy funkcjonalne, bez esów floresów, bez szczytujących maszcików. W parę chwil opuszczał i ten korytarz, bo przecie wiodły zeń drzwi do pokoju, gdzie coraz niebezpieczniej się wyostrzały rysy twarzy zmarłego przed chwilą brata, leżącego, jakby wcale nie umarł, w cywilnej, rzec by można, pozie, pod kocem z wielbłądziej wełny; w pokoju zostawił zwłoki Maksymiliana pod opieką Adama Chmielowskiego, wyszedł z papierosem, zrozpaczony Meranem, znękany tym ostatecznym Bad Reichenhall, widokami, tymi skalistymi Alpami, przystaniącymi widoczność. – Jak ściana – warknął – ściana głupiej warszawskiej kamienicy!

Pomyślał może absurdalnie, a na pewno bez złości, że właściwie Maks miał swoją rację, gdy mu zwracał uwagę. Maks tylko nie brął pod uwagę pewnego drobniaczka, mianowicie faktu, że jego młodszy brat, ten, co jeszcze niczego poza trącącym o doskonałość *Kupcu weneckim* nie dokonał, nie jest facetem z krwi i kości, trochę gruboskornym jak polscy koledzy z monachijskiej kolonii, lecz jest cudelkiem porcelanowym. I że on, starszy brat, to cudelko wziął za uszko zbyt energicznie, jak cham, i wyszczerbił.

Aleksander zapalał nowego papierosa i nie miał wątpliwości, że większość z rzeczy doczesnych, które go dotyczyły, przeżywał wspólnie z Maksem, starszym bratem, człowiekiem, który te rzeczy wspólne przeżył wcześniej sam. Był Maks doświadczany – ale doświadczaniem indywidualnym. Oleś przejmował po nim – bez doświadczenia inwentarza – wyłącznie efekt doświadczeń. Otrzymywał kalkę. W Warszawie, nad Wisłą, na Rybakach, na Solcu, on sam właściwie nie rysował, przyglądał się, jak to robi starszy brat. Ale nie podpatry-

wał warsztatu. Oczywiście mu od emocji: oto dostępuje wtajemniczenia, uczestniczy w ceremonii towarzyszącej powstawaniu dzieła. Dzieło to coś, co nie musi, ale może szczęśliwie zaistnieć – niezależnie od domu, od dziwnego ojca, służbisty carskiego, potwora domowego, a przy tym melomana.

Potwór ten bowiem – intendent Szpitala Ujazdowskiego, potrafił wyciągać malutkiego Maksa z łóżka, gdy trzeba było przed północą skompletować kwintet podczas jednego z licznych przyjęć muzykujących. Rodzina Gierymskich mieszkała na terenach szpitala, należących do Koszar Mirowskich. Ulica, przy której się urodził, to Zatyłki. Wystarczy, żeby stracić nawet wrodzoną pewność siebie.

Właśnie, wyciągnął z łóżka Maksymiliana, nie Aleksandra. Maks grał, uczono go gry. Maks miał być inżynierem. Pojechał studiować w nowo otwartym Instytucie Politechnicznym w Puławach. Nie tak dawno, bo po klęsce powstania listopadowego, władza imperatorska skonfiskowała miasta i zmieniła jego nazwę na Nowa Aleksandria. Czwierć wieku później Maks, syn umundurowanego urzędnika wojskowego w służbie zaborcy, przeszedł bez wahań z Instytutu do nowego powstania, dwa miesiące po rozpoczęciu semestru; większość kolegów studentów pod płaszczykiem dodatkowych zajęć, ćwiczeń fizycznych doskonalących młde ciało, przygotowywała się do czynu zbrojnego. Tylko czekali na znak. Maks w powstaniu styczniowym. A on, młodszy brat, zawsze był na coś za maty, był Olesiem, nigdy nie uczestnikiem, zawsze postacią drugiego planu, przystępną „dymem pożarów”, zawsze, zawsze w ciepłe domowych kobierców.

A Maks tam w chłodzie, przy męskich zajęciach. Aleksander, nie wiadomo dlaczego, nawet na fortepianie nie musiał ćwiczyć tak regularnie jak on. Nie mówiąc o intensywności ćwiczeń. Czy był zaniedbany? Nooo, zapewne w rodzinie wystarczył jeden wirtuoz. Jak było z malowaniem? Hm, skoro Maks, jedenastoletni, tak starannie wykończył portret ojca w mundurze, po co miałby to jeszcze robić ktoś inny. Aleksander był tym „kimś innym”, człowiekiem bez przydziału.

Maks uciekł z domu – to znaczy nie wrócił do domu, tylko z grupą dobrze przygotowanych, tak jak on, wywieszonych „buntowuszczyków” z Instytutu poszedł do powstania, strach, strach, w jakieś świętokrzyskie lasy, i niemal przez rok wszyscy w domu się zamartwiali o niego, Oleś tkwił, niemal zamarty, w swoich szkolnych zeszytach i podręcznikach, może nawet o czymś marzył, ale jego marzeń nikt nie był ciekaw. Wszyscy natomiast rzucili się w ramiona Maksa, który zmęźniały, bardzo szczuły, ale bynajmniej nie wychudzony, wrócił, pojawił się niespodzianie, jak gdyby nigdy nic. Gdzieś się wtoczył po upadku powstania, no, o tym przezornie milczał. Stał się oczywistym kłopotem w domu – ale takim kłopotem, któremu wszyscy na wypróżki usiłovali zaradzić. Ileż ten biedny a straszliwy ojciec musiał się natupać, ile razy w antyszambrah niebezpiecznie czerniewiał mu kark, żeby ocalić od represji syna, buntownika, przestępcę politycznego, chłopca nadrabiającego miną, ale z nadwerżonym zdrowiem, z nadzarniętą psychiką, z niejasnym postanowieniem przekierowania ideałów, w których imię poszedł unfie gdzieś w podkieleckie lasy, a potem dalej, dalej, w skałki pod Mełchowem, gdzieś wśród ostańców na piachach Lelowa.

Od powrotu Maksa zaczęły się dziać dziwne rzeczy, których młodszy brat do tego stopnia nie mógł zrozumieć, że kłębiące się pod czaszką rozważania o skutkach,

przyczynach i o braku jakichkolwiek represji systematycznie w sobie wyciszał. Ojciec, któremu jako przecież odpowiedzialnemu za Maksą nie spadł włos z głowy, przeciwnie, on sam nieznanie awansował, milczał o tych sprawach, na spotkania muzyczne nie przestali przybywać tacy jak on Polacy w służbie rosyjskiej, wśród nich pracownicy Teatrów Rządowych.

Dziwne to wszystko, niezwykajne warunki dorastania panien i kawalerów Gierymskich. Zamknięte, tu ogrodzone, ówczasie omurowane tereny ujazdowskich budowli wojskowych i szpitalnych rozciągły się na tak szerokim obszarze, że musiała tam kursować kolejka. Od południa na wzgórzu był ogród warzywny, na potrzeby mieszkańców tej enklawy, personelu oraz pacjentów, z okazałą, malowniczą oranżerią. Promenada wysadzana bukami, jesionami i kasztanowcami przecinała ten teren i biegła aż do skarpy z ogrodem tarasowym na głównej osi pałacu. Starannie ukształtowany układ serpentynowy ożywił to smutnawe miejsce.

Gierymscy żyli więc, a ich młode dorastały, w enklawie, gdzie cierpienie ocierało się o śmierć i śmierć często odnosiła tryumfy, gdzie pacjenci zjawiali się i znikali, gdzie musztra zabijała myślenie, a wrzaski kapraleskie peszyły ptactwo; gdzie nie było zwykłych sobie przechodniów, dostawców, listonoszy, kurierów, katarzyniarzy, uczniów, studentów, panierek, wózków dziecięcych, domokrążców, żebraków, psów i kotów. Poruszać się natomiast mniej więcej o tych samych porach pracownicy koszar i personel szpitalny, wreszcie odpoczywający w pogodnie dni chorzy bliscy ozdrowienia, ranni, okaleczeni, po operacjach; tu prawie nikt nie wracał popołudniami do domu, do swoich, nikt nie oddychał pełną piersią, nawet niebo wydawało się oddzielone przez żółty murem. Na tym terenie nawet to, co piękne, przeistaczało się w pospolite i groźne. Muzyka dobiegająca często z mieszkania w skrzydle, w którym mieszkali Gierymscy, prawdopodobnie łagodzą obyczaje, ale nie przewietrzała zastoin grozy, kłębiących się między schodkami wiodącymi do mieszkania a murem.

Były uczestnik potyczek z Moskalami, Maks, już, o dziwo, w Warszawie, student to prawa, to medycyny, do końca nie wiadomo, mówią, że matematyki, pobladły, coraz bardziej wysubtelniony, ale nie cherlawy, trzymający się prosto, zachwycał wszystkich interpretacją Beethovena, przemycał Chopina ku radości pań, pachnących po francusku żon szorstkich umundurowanych urzędników. Zażywał wolności, podczas gdy jego kolezdy, bardziej lub mniej poturbowani, gnili za życia na Pawiaku albo nabawiali się gruźlicy podczas etapów zesańczej katorgi. Mniej pechowi utknęli w błotach jakiegoś Borysoglebska, szczęśliwi w Charkowie, bo tylko tam, a nie w Królestwie Polskim, wolno im było studiować, udzielać korepekcji i przyzwyczajając się do klątki.

Czy Aleksander poszedłby w ślady Maksą, gdyby Maks cierpiał niedostatek w tym zadziwiająco przychylnym dla polskich malarzy Monachium? Mógłby przecież Maks powiększyć grono wyrobników sztuki, takich jak choćby ułomny Franciszek Streitt, który jak maszynka wypuszczał z pracowni dobre rodzajowe obrazy, właściwie obrazki, techniczne sentymentalną strunkę mieszczan, liczne wersje *Pogrzebu ubogiego*, śliczną, ale ubogą *Szwaczkę*; mógłby, tak jak Ludwik Kurella, który do końca pobytu w Monachium, czyli przez całe dojrzałe życie aż do czasu, gdy dopiero na dwa lata przed śmiercią

powrócił do Warszawy, nie nauczyć się ani jednego słowa po niemiecku i przez niemal półwiecze malować i sprzedawać niedrogo, jak dziesiątki polskich malarzy, w tym właśnie Streitt i jego opiekun, weteran powstania styczniowego Antoni Kozakiewicz. Maks tak nie musiał. Odkąd rozpoczął w Monachium żywot samodzielnego artysty, był otoczony mirem, został zaliczony do Sztabu w polskiej kolonii artystycznej.

Zaliczany, w Sztabie, choć młody, jeden z najwyższych rangą – ale nie korzystał ani z uprawnień przysługujących „generałowi malarstwa”, ani z patriotycznych, powiedzmy, przywilejów. Mocne, nie zalecające się do widza, płótna doskonałe kompozycyjnie, oszczędne kolorystycznie, ale świetliste, malowane z nerwem, który postawia na obrazie i w jego głębi taką tajemnicę, która sprawia, że płótno musi pójść do zahipnotyzowanego widza, wprawdzie nierzaz umawiał się z Kunsthändlerami na fifty–fifty (50 procent dla autora, 50 dla nich), ale kwota!

Za jeden nastrojowy pejzaż Maks Gierymski brał trzydzieści razy więcej niż jego kolezdy o dłuższym stażu za wielopostaciowe kompozycje! Jego obrazy dorównywały cenowo kompozycjom najwyższych rangą sztabowców, żyjących jak książęta albo lepsi spekulanci, niektórzy z tych malarzy i z uwielbiających sztukę księciem regentem na ty, no, może niemal na ty, Wierusza-Kowalskiego, Brandta, Grocholskiego, Czachórskiego. Albo Władysława Aleksandra Maleckiego, krótko rozbystej gwiazdy. Żeby tam świecić, nad Iżarą, nie wolno było ujawniać śladu smutku.

Ci ludzie, którzy oprócz talentu i znakomitego warsztatu mieli na podorzędziu niezły humor, dysponowali wspaniałymi pracownikami, żyli właściwie jak zamożni rodowici Bawarczycy, obarczeni zamówieniami, dawali część roboty młodszym albo ubogim kolegom, sami w ciągu jednego posiedzenia wykańczali to, nad czym śleczeli ci urządzieni mniej fortunnie, nadawali szlif maestrii podmalowanym obrazom. Józef Brandt na wakacje wyjeżdżał do kraju, jak szanujący się burżuazy. Maks, który nie dość, że uniknął represji, to jeszcze po krótkotrwałym studiowaniu w warszawskiej Klasie Rysunkowej pod okiem Wojciecha Gersona, uzyskał stypendium na studia w Królewskiej Akademii w Monachium... stypendium od samego hrabiego Berga, namiestnika w Warszawie, zachwyconego podarowaną mu kompozycją Maksą. Żył w Monachium bez jakiegoś cienia z powodu zakradania się w łaski ciemiężcy.

Czyżby w środowisku uznano, że sobie radził? Że dla artysty wszystkie środki – byle nie krzywdzić innych – są dopuszczalne?

Inna rzecz, że szkoda byłoby wielkiego talentu na poniewierkę. Bo ten talent... O!

Więcej niż pewne: gdyby Maks w Monachium biedował, Oleś znalazłby sobie inne zajęcia, choćby jako inżynier w prężnie się rozwijającym kolejniactwie. Pracował tam we warsztatach naprawczych, i bardzo sobie to chwalił, Prosper Dziekoński, zresztą brat Piusa, wziętego architekta. Tymczasem Maks, nie dość, że wręcz błyskawicznie stawni, zasiał dom rodzinny w Warszawie nielichym groszem. Wiadomo było, że w banku zgromadził majątek. Z malarstwa. Znaczący, z talentu.

Warszawa, sześciopiętrowa kamienica u zbiegu Chmielnej, Brackiej i Szpitalnej. Kręte schody, od oficyny tej owszem, na ludzki wymiar wypucowanej, drogiej kamienicy. Po kuchennych schodach, za dnia z powysztawianymi baliami, rondlami, ożywionych okrzykami służących, mdlących od oparów

z gotujących się potraw, nocami, gdy się wraca, ziejących wrogą pustką, wchodziło się na szóste piętro. Pracownia i mieszkanie w jednym. „Ludzie wysokich pięter” – powiedział ktoś o malarzach (na pewno wcześniej autor książki przy innej okazji), może zresztą tu, nad Iżarą, a może w Warszawie, gdzie zresztą wtedy istniała wiara w to, że artysta w mansardzie, a choćby nawet na strychu, przynosi szczęście domowi. Kamienicznik nie śmiałby zbyt natrętnie przypominać malarzowi o zaległościach czynszowych. Tak było do niedawna, ale już nie jest. Galopujący kapitalizm zabija w ludziach duszę, przyciąsza fantazję.

Przyjaciele Maksą, i ci z powstania, i ci z salonów monachijskich, wiedeńskich, paryskich, niewielką gromadką zamieszkiwali najpiękniejszy wówczas i największy w Warszawie Hotel Europejski. Ścisłej – jego strych. Wnętrze nie było przystosowane do potrzeb mieszkalnych, było zimno, bez wody, z jakimś zlewem z kranem na korytarzu, lecz to pomieszczenie wielkie jak sala balowa miało oszlony dach. Dach co nieco przeciekał, ale dawał światło rozproszone, właściwe dla malarzy. Prawie wszyscy młodzi panowie zamieszkujący ten strych kochali się w Helenie Modrzejewskiej. Stanisław Witkiewicz, w kurtce koloru indygo, takiej, jaką noszą robotnicy portowi za oceanem, prekursor, można by rzec, dzinsowego szyku (ogłoszonego sto lat później) pędził jak oszalały za dorożką, która Modrzejewską wiozła z teatru do domu. Adam Chmielowski, drugi obok Witkiewicza intelektualista, a przy tym wybitnie utalentowany kolorystycznie, z protezą w miejscu podudzia utraczonego w potyczce powstańczej pod Mełchowem, przyglądał się Modrzejewskiej platonicznym wejściem, uodporniony na romantyczne miłosne uniesienia czarną polewką daną mu niedawno przez Lucjana Siemieńskiego, koryfeusza krytyki plastycznej; nie oddałby romantykowi Luci, córki; on sam, który się przejechał na powstaniu listopadowym i stracił syna w powstaniu styczniowym, i do dziś czuł w kościach mdłący ból represji. Następny bywalec – bo z wypadami do Paryża po tryumfy – Józef Chełmoński, obserwujący malowany obraz przez duposkop, to znaczy stanowiący doń tyłem i z głową między nogami, badał harmonię i siłę kompozycji – i zarówno sposób, jak i nomenklatura były jego patentem.

Maks bywał u nich na strychu w tygodniach, kiedy odwiedzał na Zatyłkach rodziców i siostry. Nie bardzo pasował do towarzysystwa cyganerii z Europejskiego. Oni rzadko się myli, mieli podarte buty albo parę porządną na dwóch, na zmianę, zrudziałe ubrania, celowo posługiwali się wolańskim podmiejskiej gwary, żargonu i sobie tylko wiadomym szyfrów – on wyświeżony, możliwie, że wprost od fryzjera, wyprostowany, gibki dzięki ćwiczeniom fizycznym, nie przypominał artysty; wyglądałby na fabrykanta, rentiera lub bankiera, gdyby nie twarz, spojrzenie, łagodność, rodzaj nienachalnej bystrości i jasne, niebieskie, świetliste oczy. Czystość, jakaś autentyczność, by tak rzec, inteligencja. W twarzy okolonej miękkim zarostem, wypiełgnowanej, może ze śladami oficjalnego chłodu, one zdradzały czułą otwartość na drugiego człowieka.

Oczy braci sprawiły, że różnił się oni. Aleksander, o trzy lata i dwa miesiące młodszy od Maksą, początkowo robił wiele, aby się upodobnić do brata (ale jak to uczynić, kiedy się nie ćwiczy, nie fechtuje i nie jeździ konno?), był zgoła odeń różny, nawet wtedy, gdy zganiony przez brata za niechlujstwo, kupił sobie nowy, taki sam jak Maks nosi, szapoklak. Innym czyniły go oczy: ciemne, osadzone blisko siebie, głęboko,

ale o spojrzeniu chmurnych źrenic, jak gdyby przepalających tę część twarzy. Niby natarczywie wnikliwych, a przecież gorących tak, że czuło się bijący od nich efekt przepalania żywym ogniem – jak od pieca. Ale też nie, piec przecież daje dobre ciepło, a niebezpieczeństwo zamknięte jest w jego wnętrzu. A oczy Ola były niebezpieczne. Nie ciepło. „Gorąc” – którego należy unikać.

W dwóch pokojach na czwartym piętrze kamienicy w Monachium bracia mieli pianino, sterę nut, samowar, komplet szklanek talerzy, poza tym dwie, niekiedy trzy sztalugi, trochę książek i gazet, utensylia malarskie – farby olejne w tubach w niewielkim wyborze. Z tego, ktoś by pomyślał, niedostatku, potrafili wydobywać zdumiewająco barwne zestawienia. Tej sztuki uczył Olesia Maks – niby mimochodem.

Dlaczego Aleksander nie pozostawał w rodzinnej Warszawie dłużej niż kilka tygodni? Nie tylko dlatego, że był artystą, uważał się za wolnego człowieka i uwielbiał przekraczać granice, ale z tego samego powodu, dla którego przed opuszczeniem nory w Hotelu Europejskim z widokiem na niebo i osiedleniem się w Zakopanem, tak mówił ubrany w błękitne dreluchy Stanisław Witkiewicz (niebawem ojciec Witkacego, którego rodzicami chrzestnymi będą Helena Modrzejewska i Sabata, ale dopiero po latach, kiedy Helena, niezagojona miłośką Witkiewicza, zajadzie do kraju z Ameryki):

„– Właściciele olbrzymich fortun będą się długo zastanawiali nad kupieniem jakiejś rzeźby lub obrazu i ani na chwilę nie zważają się nad wydaniem balu, sprawienie zbytłownych strojów, które w jeden wieczór pochłoną sumy mogące pokryć koszty wytworzenia niejednego dzieła sztuki, którego wartość nie tylko nie maleje, lecz zwiększa się z przebiegiem wieków i staje się wprost bezcenna”.

„Przebieg wieków” nie obchodził filistrów. Aleksander, dla którego Francuzi byli „narodem trudnym do zrozumienia”, ale twierdził, że mają bogate natury, przy których, jak utrzymywał, my, Polacy, jesteśmy kmiotkami, wolał żyć w Paryżu niż „między Niemcami, już nie mówię o naszej kochanej ojczyźnie W a r s z a w i e”!

Kiedy się rozpoczęła jego wędrówka? Nie wtedy, kiedy jeździł w ślad za bratem lub z nim. Wtedy bowiem on wydawał się Maksymilianowi bagażem, a jemu Maksymilian balastem. Później, zaraz po śmierci Maksa, nigdy nie były to podróże sentymentalne, a choć we Włoszech szukał polskich pamiątek, nie było w tym patriotycznej idei, tylko pomysł, robił to bowiem na prośbę, trudno orzec, czy polecenie wydawcy, pana Lewentala, który mu dawał robotę – więc robił Aleksander te drobniaczko rysowane, niekiedy z fotograficzną dokładnością, motywy polskie – na klockach przeznaczonych do rytowania przez drzeworytników i reprodukcji w *Kłosach*, potem i gdzie indziej. Było trochę śmiechu, bo to, co w druku miało się pojawić po prawej stronie, trzeba było rysować na tym klocku po lewej. I podpis w lustrzanym odbiciu, jak na kauczukowej pieczęcie.

Te podróże to odzwierciedlenie neurozy mizantropa, który, utrzymując, że „nie pasuje do jakichkolwiek ludzi na świecie – tak samo i w Warszawie”, pisał:

„Głupio jest żyć z wymaganiami trochę lepszymi, kiedy się jest starszym, a żyło się dotąd w świecie, którego się chciało, pragnęło, żeby być, przyzwyczaiło się do niego, jak gdyby był, jeżeli nie tam, gdzie my jesteśmy, to gdzie indziej. Gdzie, nie wiadomo – ale się go nie znajdzie!”.

Szukał drogich okrucich tego świata

w obrazach, które powstawały i które miały powstać. Których wreszcie – podobnie jak w sytuacji Adama Chmielowskiego – nie było. Artyści, chandrycząc się o należne pieniądze, z których wyptacaniem przyzwyczajano się zwlekać, schorowani, o twarzach posiniątych od niedospanych nocy, od alkoholu, od zimna, nosili w sobie i wokół siebie wizje. Wizje nie umykały, narzucały się nieraz, drażniły – trzeba było tylko usiąść. Ale w takim zgiełku?

Stanisław Witkiewicz, sam znakomity, niedoceniony malarz realista, bliski hiperrealizmowi do tego stopnia, że można by go zaliczyć do prekursorów kierunku, napisze po latach, w związku z rzuconą przez się tezą „kryształizacji psychicznej”:

„Między członkami s z t a b u znajdował się człowiek, który na całą prawie grupę wywierał wpływ szczególny, którego umysł głęboki i logiczny wcześniej niż czykolwiek dotarł do najstosowniejszych pojęć o sztuce i jej stosunku do ludzkiej duszy, to Adam Chmielowski, dzisiejszy Brat Albert [od niedawna święty] III zakonu św. Franciszka. Maks

Gieryski w swoich pamiętnikach stwierdza rozstrzygający wpływ Chmielowskiego na rozwój i ustalenie się kierunku swego talentu. Był to wpływ uświadamiający indywidualne cechy i wyswabdzający duszę z pęt szkolnictwa i utartych komunatów. Jednocześnie Chmielowski będąc słabym rysownikiem, posiadał nadzwyczajny talent kolorystyczny i matematycznie wierne poczucie tonu”.

Podkreślając, że zdanie Chmielowskiego było rozstrzygające, a rady udzielane kolegom słuszne i skuteczne, zauważał coś, co na sto procent nie uszło uwagi młodego Aleksandra, że mianowicie na „podstawach głębokiego umysłu i wielkiego artyzmu opierała się jego powaga i znaczenie, nie na zewnętrznych oznakach powodzenia, którego nie miał gdyż nigdy nie był «verkäuflich»”.

Aleksander brzydził się powodzeniem i powodzenia pragnął!

MAREK SOLTYSIK

Fragment powieści *Zazdrośny talent. Bracia Gieryscy*. Książka ukaże się w r. 2025 nakładem Wydawnictwa Lira.



Maciej Froński

## W Kasince

Przyszli pod mój dom pasterze  
Porozmawiać ze mną szczerze –  
Pragną wiedzieć, jak to robię,  
Że nie myśląc o chudobie  
Cały dzień się wbijam w leżak  
I że mi tak życia nie żal,  
Być kowalem swego losu  
Nie chcę w taki prosty sposób.

Zrazu milczę, na bok zerkam,  
Lecz mi dają krążek serka,  
A że, wiecie, czas nie zając,  
Jeszcze jeden zaraz dają,  
Odpowiedzią zatem służę,  
Klucz - powiadam - tkwi w lekturze.

W jakiej? Skoro już ktoś pyta,  
To polecam Teokryta,  
Kogo ten zaś nie przekona,  
Może sięgnąć po Villona,  
A kto chęci ma najszczerze,  
Moje niechaj czyta wiersze!

Patrzą się po sobie chłopcy,  
Jestem swój, a jednak obcy,  
Kwestia zaś jest dość ciekawa –  
Dać mi w mordę czy nie dawać?  
Znać na twarzach ból rozterki,  
Szybko zjadam oba serki.

*MIKOŁÓW, 24 KWIETNIA 2024 ROKU*

## Canale Grande

Agnieszce Pudlis

W czeluściach nocy toń Canale Grande  
Nabiera barwy rozświetlonej czerni,  
Na balkon wtedy wychodzę na handel,  
A razem ze mną Tomasz niewierni.

Dam skrzypce temu, kto zachowa ciszę,  
Gdy i powagę, to dołożę maskę...  
Kręcą głowami moi towarzysze,  
Jeden się tylko wrywa z oklaskiem.

*5 STYCZNIA 2023 ROKU*

## Goczałkowice

No, to rozłożył się nam wygodnie  
Na ławce w parku, jak w norze zwierzę,  
Listopad - chociaż jeszcze przechodnie  
Głów nie próbują chować w kołnierze.

Sygnal pociągu niby dźwięk trąbki  
- Ani z daleka to, ani z bliska -  
Słychać i ostrzy sobie deszcz zębki  
Na tych, co zwiódł ich czar uzdrowiska.

Cóż, do wnętrza wilgoć już nie przenika -  
Mogłaby stamtąd sączyć się prawie,  
Lecz Frida z Sanką grają w remika  
W Starej Pijalni przy mocnej kawie.

*GOCZAŁKOWICE, 2 LISTOPADA 2019 ROKU*

## Dwustuzłotowy banknot

Tej nocy, której wydany został  
Dwustuzłotowy banknot,  
Pan miał gest pański jak sukna postaw,  
Lecz w sercu było manko.

Dama, co banknot przyjęła w dani,  
Wsadziła go za stanik,  
Ale to było wszystko, kochani,  
Co pan miał dla tej pani.

*BIELSKO-BIAŁA, 19 LISTOPADA 2020 ROKU*

## Wiosna

Na szczytach gór już nie ma śniegu  
I są na drzewach młode liście...  
Widok z balkonu, oczywiście,  
Balkon się sypie – taki szczegół.

Śpiewają ptaki, patrzę na nie,  
Proszę, już zakwitł kasztanowiec,  
Mnie jednak całkiem nie to w głowie,  
Znaleźć sens życia – to zadanie.

Zaznaczyć swoje miejsce w świecie...  
Chcę wyjść na spacer, lecz się miotam,  
Bo przecież w domu jest robota,  
Bo są godziny pracy przecież.

Mógłbym całować wiosnę w usta,  
Czarowi poddać się poranka,  
Lecz jestem z tych, dla których szklanka  
Jest zawsze do połowy pusta.

*BIELSKO-BIAŁA, 12-13 MAJA 2021 ROKU*

## W pociągu

Patrzę, wsiada ta piękność, co wysiada w Pszczynie.  
Przyjemność jej poznania pewnie mnie ominie,  
Bo to, jak się ubiera, maluje i rusza,  
Każe mi wąpić, czy to moja bratnia dusza.

Teraz Kobiór, wnet Piasek, wyłączam Cohena.  
Znów chcę pisać wiersz o tym, że nie sprzyja wena,  
Lecz jak wydobyć z siebie, co we mnie nie siedzi?  
Będę próbował chociaż do Czechowic-Dziedzic.

*W POCIĄGU NA TRASIE TYCHY - BIELSKO-BIAŁA LIPNIK, 17-18 SIERPNI 2021 ROKU*

## Co strzelę gafę, pękam z dumy ...

Co strzelę gafę, pękam z dumy,  
Co się odezwę, zawsze zgrzyt;  
Nie w smak mi salonowe fumi,  
Obcy mi robociarski sznyt.

Skądkolwiek przyjdę, jestem niczyj,  
Gdzie się obróćę, jestem sam,  
Ten mi zarzuca, żem paniczyk,  
Tamten zaś, żem ostatni cham,

Lecz to mój cel - od stąd uciekać,  
Trzymać się stada mam za błąd,  
Więc mnie unosi życia rzeka  
Daleko, oj, daleko stąd.

*MIKOŁÓW - BIELSKO-BIAŁA - KATOWICE, 9-10 WRZEŚNIA 2021 ROKU*

## W kawiarni

Przyjemny i kojący jest kawiarniany gwar,  
Przyglądać się rodakom pozwala z błogą miną.  
Po prawdzie jeszcze ranek, więc nie ma wielu par,  
Szarlotkę z gałką lodów pijam cappuccino.

Wyciągam książkę, ale coś ona mi nie w smak,  
Tak bywa, gdy się biorę za powieść, którą chwala.  
To może „Polityka”? Lecz „Polityki” brak.  
Internet? Tak śpi pletwał błękitny. Nie, kaszalot!

Tą dekadencją pozą przywołać chciałbym spleen,  
Gdzieś życie mi uciekło, więc myślę, że tak trzeba,  
Z głośnika w rogu sali sący się evergreen,  
Nie będę się wysilał na lepszy rym, niż „- nieba”.

Przechodnie na ulicy do swoich biegną spraw,  
Lecz żebym i ja pobiegł, już takie proste nie jest.  
„Niczego nie żałuję” – śpiewała Édith Piaf.  
Cóż, ja się z nią nie zgadzam. Żałuję, że łysieję.

*BIELSKO-BIAŁA, 15 WRZEŚNIA 2021 ROKU*

## Ewa Nowosławska

Sprawa dotyczy przepisu na sos o smaku grzybowym. Czasy, kiedy gospodynie trudziły się by przyrządzać sosy minęły. W handlu łatwo dostępne są mikstury o różnych smakach. Wystarczy, postępując wg przepisu na opakowaniu by w kilka minut uzyskać pożądany efekt. I tu, się czasem, zaczynają schody. Otóż nabyłam taki sos (grzybowy) znanej od lat na rynku firmy produkującej środki spożywcze. Na opakowaniu kolorowe zdjęcie grzybów zachęcało do posiłku z sosem. Mnóstwo nadruków o treści: Szlachetne smaki, Po prostu DOBRE, Z DUŻYMI KAWAŁKAMI GRZYBÓW, Z NATURALNYMI SKŁADNIKAMI!!!, Widniało na całej powierzchni opakowania. Poezja składników zaczyna się na odwrocie opakowania w pozycji Składniki: skrobia kukurydziana i ziemniaczana mąka, sól, suszone grzyby oraz warzywa, tłuszcz palmowy, aromaty, cukier, suszony boczek wędzony, wędzony tłuszcz wieprzowy, ekstrakt drożdży, zioła, przyprawy, aromat dymu wędzarniczego – dla mnie bomba. Ale to nie koniec, ponieważ jest jeszcze uwaga, że masa może dodatkowo zawierać jaja, soję mleko, seler oraz gorczycę.

Sposób przyrządzenia: rozprowadzić w zimnej wodzie. Gotować ok. 3 minuty.

Postępując zgodnie z przepisem, zachowując reżim czasowy, sos z wyglądu przypominał zdjęcie na opakowaniu. Zniknął dziwny zapach, który był wyczuwalny z mikstury w proszku, a który nie zachęcał do konsumpcji. Na wszelki wypadek moje danie mięsne konsumowałam bez wątpliwej okrasy.

Mój partner skusił się, ale po minie widziałam, że nie była to najlepsza alternatywa dla sosu gotowanego przez ze mnie z suszonych grzybów osobiście zbieranych.

Po kilka dniach, z otwartego opakowania sosu, nadal dało się wyczuć intensywne aromaty zapachowe z wiodącym dymem wędzarniczym (oryginalna nazwa z forebki). Zachodzę po rozum do głowy, dlaczego ten przepis jest taki skomplikowany. Przecież tradycyjny wydaje się prosty. Grzyby, jako podstawa, do tego jarzyny, przyprawy, sól, jakiś tłuszcz, bulion (wywar) lub rosół oraz śmietana lub jogurt do zabielenia.

Gdyby nie nazwa na opakowaniu, na podstawie wskazanych na odwrocie składników (oprócz grzybów), nie wpadłabym na pomysł, że należy dodać tyle przeróżnych składników (chemii) by sos z grzybowy nabrał smaku grzybów.

Wydaje mi się, że do jego przyrządzenia nie trzeba wielkich umiejętności ani znajomości zawansowanych technologii w zakresie żywności oraz żywienia. Wystarczą chęci i troska gotującego o zdrowe odżywianie, nie tylko domowników, ale i konsumentów w lokalu.

...

Każda mężatka czy żonkoś, miał, ma lub będzie miał, teściową. Ja też.

Moja, była dostojną, zadbaną panią. Muszę przyznać, że bardzo dobrze gotowała a jeszcze lepiej piekła. Jej tort orzechowy to szandarowy wypiek niedający porównać się do wyrobu z żadnej cukierni. Po ślubie starałam się być dobrą żoną i gotować mężowi.

W pamięci utkwił mi incydent z barszczem z czerwonych buraków.

Teściowa ciekawa była, co tam mieszam w garach, ponieważ jej syn od czasu do czasu zachwalał potrawy mojego autorstwa.

Na początku małżeństwa mieszkaliśmy z teściami w nadmorskiej miejscowości. W willi z tarasem. Gdy obiad był na tzw. gazie siadałam na leżaku i się opalałam. Od czasu do czasu wpadałam do kuchni i kontrolowałam gotowanie.

Pewnego razu, gdy zażywałam kąpiele słonecznej, moja teściowa postanowiła sprawdzić jak gotuję. Traf paść na tradycyjny barszcz z czerwonych buraków. Nic skomplikowanego. Leżąc na spodku dużą łyżką spróbowała zupę. Po czym odłożyła ją i cichaczem wyszła z kuchni. Na łyżce, oprócz śladu barszczu pozostała szminka do ust.

Muszę dodać, że teściowa dbała o siebie. Nawet w domu codziennie miała zrobiony makijaż. Przynajmniej usta miała obowiązkowo pomalowane. Kosmetyki, których używała miały intensywny zapach. Po tym incydencie wiem, że smak również.

Gdy pod koniec gotowania spróbowałam zupę zaskoczył mnie jej dziwny smak. Zorientowałam się, że to smak szminki do ust na łyżce. Pomyślałam- miej się na baczności.

Gdy mój mąż wrócił z pracy nic mu nie powiedziałam o niemitym dla mnie incydencie.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć teściowej o czym wiem. Nie zrobiłam tego.

I tak zostało.

Gdy ktoś zachwalał potrawę z mojej kuchni, spoglądałam tylko na teściową i milczałam. Gdy po wielu latach, byłemu mężowi, opowiedziałam incydent sprzed laty, sprawę skwitował słowami no tak, cała moja rodzicielka.

Prawda jest taka, że jakoś nikogo nie strułam przygotowywanymi przez siebie posiłkami. Niektóre znalazły nawet uznanie. Niestety nie w ocenie teściowej. Widocznie tak już musi być, że żadnej teściowej trudno dogodzić. Na pocieszenie pozostaje, prawie zawsze, zadowolony teść. Dobre i to.

...

Dla kontynuacji dylematu teściowej czy jej synowa potrafi gotować przytoczę sytuację, jaka miała miejsce na początku mojego związku małżeńskiego. W ramach rewanżu za możliwość zamieszkania z teściami do czasu uzyskania własnego mieszkania przygotowałam uroczysty obiad. Przygotowałam się do niego pieczołowicie. Był czas komuny, kiedy o wszystko było trudno. Ale co się nie robi dla kochanej teściowej-pomyślałam.

Pamiętam, że numerem popisowym miało być drugie danie zrazy (tradycyjne z wołowiny). Z domu rodzinnego pamiętałam, postawą jest odpowiednia sztuka mięsa. Nie może być ani za chuda ani za tłusta. Dla młodej mężatki, która, powiedzmy, robiła karierę w dużej firmie projektowej, czy na zrazy ma być jakaś ligawa (mięso w części krzyżowej) czy udziec czy rostbef (idealny na steki), to były fakty jak z kosmosu. W tej sytuacji zdałam się na panią sklepową w mięsnyim wtajemniczając ją w mój szarlataniński plan. Ta wykazała zrozumienie. Z większego kawałka wołowiny, z jakiego nie miałam pojęcia, wycięta najładniejszy fragment i, kładąc na wagę, skomentowała wyszło idealnie. Reszta zależy od twojej kreatywności w kuchni, młoda kobieto. Do końca nie wiedziałam co to miało znaczyć. Z tą kreatywnością za bardzo nie zaszalałam. Wręcz przeciwnie. Postawiłam na smak znany mi z domu rodzinnego.

Bardzo starałam się by to, co miało znaleźć się na stole, było dogotowane o odpowiednim smaku i ciepłocie. Tak byłam przejęta zrazami, że co była na pierwsze danie oraz na deser, dzisiaj, nie pamiętam. Z miny teściowej wyciągnęłam wniosek, że zdałam egzamin. Na pytanie jak przygotowywane było mięso, że rozpyła się w ustach, prawdę mówiąc nie miałam jakiejś rewelacji. Robiłam tajemniczą minę i zastaniałam się tajemniczą pani domu.

Jak się okazało teściową dręczyła sprawa zrazów. Podpytywała syna jak ja to gotowałam. Czy według jakiegoś specjalnego przepisu. A ten stwierdził, że w tym temacie nie ma nic do powiedzenia, ponieważ nie zna się na gotowaniu.

W duchu miałam satysfakcję, że udało mi się ją zaskoczyć, ponieważ smakiem jej kuchni nie można było nic zarzucić.

Z tego co pamiętam, udało mi się zaistnieć jeszcze jednym daniem. Była to sałatka jarzynowa. Na temat jej delikatnego smaku, w moim wykonaniu, teściowa, nie mogła słuchać. A to nie było nic nadzwyczajnego. Bo co tu wymyślać jarzyny, majonez/jogurt, przyprawy i trochę dobrej energii, żeby wszystkim smakowało.

...

Od najmłodszych lat Ameryka kojarzyła mi się z westernem - kowbojami, Indianami oraz z paczkami od ciotki. Tyle wiedziałam jak byłam mała. Potem nie było lepiej. Pierwsze zetknięcie z Ameryką nastąpiło podczas wizyty u rodziny, która od lat mieszka w USA. Ameryka zrobiła na mnie ogromne wrażenie już przy lądowaniu na międzynarodowym lotnisku LGA (La Guardia), w New Yorku. Czekając mnie jeszcze jeden etap podróży, lot do Denver, u podnóża Gór Skalistych, w stanie Colorado, dokąd się udawałam. W czasie kilkugodzinnego oczekiwania na lot miałam okazję na pierwsze obserwacje jak tętni życiem Ameryka. Prawdę mówiąc czułam się jak mrówka w ogromnym lesie. Na szczęście, wbrew obawom, dalsza podróż odbyła się bez problemów. Gdy już się rozgościłam na dobre, rodzina chciała mi pokazać ciekawe miejsca, zwyczaje oraz lokalne specjały.

Góry oglądałam z mojej sypialni, nie powiem, że godzinami, ale często. Ciekawsze były wypadki w czasie weekendu. Jeden zapamiętałam na długo. Wybraliśmy się na lunch do lokalu, na peryferie. Był to bar kowbojski, który serwuje oryginalne lokalne potrawy. Specjalnością było danie o nazwie ostrzygi z Gór Skalistych. Nazwa nie sugerowała niespodzianki. Potrawa wyglądała jak frytki. W smaku przypominała delikatne mięso z drobiu. W czasie degustacji wszyscy dziwnie mi się przyglądali i ciągle zadawali pytanie czy mi smakuje. Potakiwałam głową, na tak. Po ostatnim łyku prawda wyszła na jaw. Otóż owe ostrzygi to smażone bycze genitalia, przysmak Amerykanów, znane też w Wietnamie jako afrodyzjak.

Po tej informacji poprosiłam o dodatkowy łyk piwa. Ta informa-

cja wyjaśniła obecność w pobliżu stada byków, które przebywało za masywnym ogrodzeniem.

Jak się później okazało, lokal jest znany w okolicy z serwowania swojskich potraw na bazie wołowych pod różnymi postaciami? Ale Oysters są specjalnością. Potrawa została stworzona przez farmerów z regionu Gór Skalistych celem zaspokojenia popytu na niedrogie, kaloryczne pożywienie, a jednocześnie zapobieżeniu marnotrawstwu mięsa. Są one atrakcją festiwali kulinarnych. Na ten rarytas przyjeżdżają specjalnie smakosze nawet z daleka. Albo tacy nieświadomi jak ja. Gdy ktoś pojawia się pierwszy raz, poleca mu się specjalność lokalu bez komentarza, co się kryje pod nazwą potrawy. Dopiero po degustacji, następują wyjaśnienia i konsternacja. Tak też podobno było w przypadku amerykańskiego komika i aktora filmowego Chevy Chase, który zjadł się potrawą a dopiero po konsumpcji poinformowano go, co zjadł. Lokal z zewnątrz wygląda jak stodoła, która lata świetności ma za sobą. Wewnątrz panuje półmrok. Leci muzyka country. Pod sufitem podwieszony zdezelowany, zakurzony dyłżans. Nad barem zestaw szkielec do napojów niekoniecznie od kompletu. Wokół stoły i ławy, które niejedno widziały. W środku wolna przestrzeń, z nadzarpniętą wiekiem drewnianą podłogą.

Obsługa, wyglądająca na groźnych typów. Jednak po usłyszeniu obcego języka, uśmiecha się i jest uczynna jak kelnerzy w wytwornym lokalu. W menu duży wachlarz potraw o tajemniczych nazwach. Ceny raczej z górnej półki.

Po tym, muszę przyznać, oryginalnym lunchu, przestało mnie dziwić wiele rzeczy. Szybko dotarło do mnie to, że nie jestem tylko w innym kraju, a nawet na innym kontynencie i wszystko ma prawo być inne. I wtedy zaczęło mi podobać, chociaż każdy dzień przynosił nowe niespodzianki. O yes!

...

W czasie kolejnego pobytu w USA poznałam rodowitą Amerykankę. Była dietetykiem. Bardzo nalegała by pokazać mi co jedzą rodacy. Na początku wzdragalam się przed tym, ale w końcu uległam. Datam się zaprosić na lunch, który ona przyrządziła.

Jako dietetyczka zachwalała walory proponowanego jedzenia. Były to czasy komuny, kiedy w kraju nikomu nawet się nie śniły takie frykasy. Chodziło o sea food. A konkretnie o danie składające się z krewetek (shrimps) oraz małży (scallops).

Zapach surowych produktów nie był zbyt zachęcający. Mycie pod bieżącą wodą nie pomagało. Dopiero po gotowaniu z mieszanką ziół, przykry zapach, na szczęście, ustąpił. Do tego serwowany był sos-mix ketchupu i chrzanu.

Następnie należało pokroić na 4 części pieczarki i usmażyć na maśle. Małże były przygotowywane, gdy wszystko inne było gotowe. Pokrojone na małe dzwonka były krótko smażone i dodane do pieczarek. Całość, dla smaku, należało podlać wytrawnym sherry.

Do tego podaje się białe pieczywo-butkę paryską pokrojoną na kromki zanurzoną w rozpuszczonym na patelni maśle z czosnkiem. Całość zawija się w folie i umieszcza w nagrzanym piekarniku. Do tego bardzo dobrze smakuje schłodzone białe wino.

Tak przygotowane danie wszystkim smakowało. Jedynie nazajutrz, ja czułam się jak napompowany balon. Nie czułam głodu. Wręcz przeciwnie. W związku z tym, nie posłam na zaplanowany aerobic. Zro-

biłam też sobie jednodniową głodówkę. Z materiałów źródłowych wyczytałam, że ze względów zdrowotnych przy posiłkach sea food należy zachować rozwagę. Częste spożywanie może wpędzić nas w choroby (nadciśnienie, problemy ze stawami, alergie itp.). Należy podkreślić, że nie jest to jedzenie tanie.

Ale to nie koniec moich przygód z lunchem. Otóż moja znajoma postanowiła pokazać mi laboratorium, w którym prowadzi eksperymenty żywieniowe. Nie powiedziała, a może nie zrozumiałam, że te badania prowadzi na zwierzętach. Jest to specjalnie hodowany gatunek białych szczurów do badań.

Gdy znalazłam się w laboratorium moim oczom ukazały się małe gryzonie. Było ich mnóstwo. Najgorszy widok miał dopiero nastąpić. Były to badania na żywym otwartym organizmie. Mój organizm zareagował zdecydowanie. Nieporadnie tłumaczyłam, że jest mi coś nie halo i muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. W tej sytuacji dietetyczka zaproponowała mi wspólny lunch. Nie był to najbardziej wyczekiwany przez ze mnie posiłek. Zmusiałam się jedynie do wypicia Pepsi. To uczucie towarzyszyło mi do końca dnia.

Po powrocie do kraju, gdy u i nas, owoce morza stały się dostępne w normalnej sprzedaży, nie zdecydowałam się na przygotowanie dania amerykańskiej dietetyczki. Z drugiej strony, jak słyszę, że ktoś ze znajomych był w renomowanej restauracji na sea food, i dla przeżycia, jak to mówi mój znajomy kolega, bywalec tego typu przybytków, należało się napić. Przypomina mi się moja degustacja tego typu jedzenia, a potem katz. Nie wiem tylko co było tego powodem, sea food czy białe wino.

...

Co znaczy żyć jak pies z kotem wszyscy wiedzą. Ale jak to jest żyć jak jeź z kotem to już nie. Nigdy specjalnie nie lubiłam kotów. Nie chyba to wyczuwały. Czasem nawet syczały na mnie. Ale je podziwiałam. Będąc na urlopie miałam okazję poznać trochę ich naturę. Urlop spędzałam w leśniczówce. Oprócz gospodarzy były tam dwa koty. Jeden piękny w tygrysie cętki a drugi wyliniały dachowiec. Koty jak to koty, chodziły swoimi drogami. Czasem coś upolowały i przytargały w pysku do domu. Gospodyni z obrzydzeniem, ale się cieszyła z ich zdobyczy. Najczęściej były to polne myszy. One dostawały domowe żarcie w chatupie oraz wystawiany w metalowych pojemnikach na dworze, suchy koci pokarm. Właścicielka dbała, żeby pojemniki były zawsze pełne. Jak gdzieś wyjeżdżała, prosiła żeby pod wieczór wyspać po miarce karmy. Tak też się działo. Prawdę mówiąc nigdy nie widziałam żeby koty cokolwiek żarły z pojemników. Widziałam natomiast, że karma z nich znika. Działo się to codziennie, mniej więcej o tej samej porze, gdy zapadał zmrok. Towarzyszył temu donośny tomot. To mały jeź szamotał się z wysokim nacyniem aż wyspał żarcie na ziemię. Po czym przystępował do konsumpcji i znikał. Z zoologii w szkole, pamiętałam, że jest on owadożerny. Nie gardzi ślimakiem, pajakiem, chrząszczem, małym gryzoniem, larwą czy żabą. W jego diecie są też warzywa i owoce. W międzyczasie dowiedziałam się, że dopuszcza się dokarmianie go karmą dla kota lub psa. Powinna być ona mokra na bazie mięsa. Najlepiej drobiu. Posiada on supermoc. Jest jedynym ssakiem odpornym na jad ropuchy. Czy karma spełniała powyższe wymogi nie wiem? Ale skoro jeź codziennie wpadał na wyzerkę i wszystko zjadał, posiłek musiał mu

smakować. Koty też były zadowolone. Siedząc na starej studni, z daleka, obserwowały jak znika ich żarcie z paczki. Codziennie, o zmroku, byłam obserwatorem kotów i jeża. Była to czysta natura w naturze. Widok tak rzadki, że warty uwiecznienia, chociaż tym krótkim tekstem.

...

Ta myszka, to nie mały szkodnik a gumka do ścierania ołówka. Odkryta w XVIII wieku, jako kauczuk, który ścierał grafitowy pył nie uszkadzając papieru. Opatentowana w XIX wieku do dnia dzisiejszego święci swoje zastosowanie. Szczególnie przydaje się dzieciom w początkowej fazie nauki pisanie/rysowanie. Podstawowe składniki do jej produkcji to: kauczuk, olej, środki wulkanizujące (szkodliwe dla ludzi), plastyfikatory, pigmenty oraz materiały ściernie. Był czas kiedy na rynku pojawiły się gumki z importu w bajecznych kolorach. Niektóre pachniały jak wyszukane aromaty. Każde dziecko pragnęło mieć w piórniku, chociaż jedną taką myszkę. A kilka, to było marzeniem. No i tu się zaczyna cała historia. A zaczęło się od tego, że młodziej siostrze kolegi bardzo się nudziło przy odrabianiu lekcji. Z nudów odłożyła długopis oraz kredki i bliżej zainteresowała się kolorową gumką. Postanowiła też ją posmakować. Wzięta do buzi. I stało się. Połknęła ją. Przestraszona nikomu o tym nie powiedziała. Dopiero wieczorem, gdy zaczęła odczuwać bóle brzucha przynęta się, co się stało. Nie było na co czekać. Natychmiast pojechała do szpitala. Tam, lekarz dyżurny podjął szybką decyzję o konieczności usunięcia przedmiotu z żołądka. Wszystko dalej poszło w piorunującym tempie. Z żołądka małej smakoszki chirurg, wyjął w nienaruszonym stanie, dorodny kolorowy przedmiot. Po przygodzie mała ma bliźnię na brzuchu. Jest ona przypomnieniem, że niewinna gumka-myszka może być bardziej niebezpieczna niż żywa mysz, którą się dzieci straszy. A mała, teraz już dorosła, zastania ciała jednoczęściowym kostiumem kąpielowym. Bo co by miała powiedzieć, gdy ktoś zapyta po czym ta bliźna. Przecież jak powie, że to za sprawą gumki myszki to i tak nikt nie uwierzy. A co niektórzy, mogą nie wiedzieć o czym jest mowa. Wprawdzie pozostają one w użyciu, jako jedne z podstawowych akcesoriów szkolnych wraz z ołówkiem, który jest pierwszym z przyrządów za pomocą którego dziecko uczy się pisać. Oczywiście nie można zapominać o artystach wykorzystujących ołówki jako narzędzie pracy. Ale to nie jest nagminne. Wiodący głos mają, niestety, wszechwładne... KOMPUTERY.

...

Mieszkam w apartamentowcu, w którym moje lokum jest tak urządzone, że tylko w jednym pokoju jest telewizor. Stosunkowo dużo czasu spędzam przy komputerze w innym pomieszczeniu. Mam tam na okrągło włączone radio ustawione na tę samą stację, na której nadają dużo spokojnej muzyki, mała polityki oraz zwięzłe wiadomości. Jej program traktuję jak muzykę w tle nadawaną w shopping mall'ach. Prawdę mówiąc, zaabsorbowana swoimi sprawami, czasem wcale jej nie słyszę. Chyba, że coś ciekawego zaprzątnie moją uwagę. A wtedy staram się przypomnieć o czym to było. Ostatnio usłyszałam następujący tekst: lekko nieświeży facet wpada do okolicznej knajpy ze słowami kochanieńka setę proszę. Robi się P. St... I dalej, a może coś na ząb – pyta barmanka. Gościu spogląda na wystawione w szafie chłodniczej żąkowski i prosi

**PROZA** → o galaretę z zimnych nówek. Zadowolona barmanka realizuje zamówienie. Na ladzie stawia trzęsącą się zakąskę. Wtedy gościu prosi następną setkę. Rzuci okiem na galaretę i kieruje w jej kierunku następujące słowa: nie trzęś się, przecież i tak cię nie zjem. Nie widzisz, jak się trzęsę? Ten tekst wywołuje u mnie konsternację. Zaczynam się zastanawiać czy coś wspólnego może mieć trzęsąca się galareta z podchmionym facetem. W końcu mam, delirium (trzęsawka).

Trzeba stwierdzić, że bohater scenki, mimo zamroczenia, wykazał jasność umysłu, można by rzec, stynną pomocność jasną. Mnie, żeby rozwikłać o co chodzi, zajęło trochę czasu. Sięgnęłam nawet do źródeł by poczytać o wspomnianych objawach. Przy okazji dowiedziałam się o co chodzi w stwierdzeniu o secie i galarecie. Jako osoba niepijąca (w lokalach) nie miałam pojęcia, że za czasów PRL-u przy serwowaniu trunków, istniał obowiązek serwowania przekąski służącej do zagryzania wódki. Jedną z nich była właśnie galareta z zimnych nówek. Władzy podobno chodziło o to by naród nie pił na tzw. pusty żołądek. A jak już chce pić, to niech to go kosztuje. Liczyli też na to, że jak obywatel więcej wyda, na sprzedaż wiążaną, mniej pijany opuści lokal. Żeby tego było mało, ostatnio w ulubionej stacji, w trakcie rozmowy ze znanym artystą estrady ponownie padł tekst z setą i galaretą. Gość opowiadał o Janie Himilsbachu - niezawodowym aktorze nazywanym księciem naturšczyków, który święcił sukcesy w czasach PRL-u. Często zdarzało mu się zaglądać do kieliszka. Jego anegdoty znane były w warszawskim półświatku oraz cytowane w kultowych filmach (Rejs, Brunet wieczorową porą...). Oba teksty miały identyczny początek, z trzęsącą się galaretą. Pierwszy, dodatkowo, miał wstawkę o trzęsącym się gościu. Na tym kończę

mój research, rozpoczęty z muzyką w tle, na temat związku sety i zakąski oraz podchmionego gościa gadającego do galarety. I lepiej o tym milczą nawet gazety.

...

Był taki okres w moim życiu, że długo i poważnie chorowałam. Do tego, mój organizm był taki kapryśny, że kompletnie nie tolerował szpitalnego jedzenia. A wiadomo jeść trzeba. Gdy ten stan przeszedł w permanentny, postanowiłam sprawę wziąć w swoje ręce. Podpytałam ordynatora oddziału, co wg niego jest powodem takiej sytuacji. Patrząc mi prosto w oczy odpowiedział: jedzenie. Po tym stwierdzeniu nie miałam więcej pytań. Zaczęłam myśleć, co z tym zrobić. Uczynne panie pielęgniarki radziły jak powinno wyglądać moje menu. Odbiegało ono daleko od codziennego w szpitalu. Prawdę mówiąc nie miałam nikogo, kto mógłby ugotować mi np. marchwiankę z ryżem, kleik, pulpeciki drobiowe czy zupkę z grysikiem, jaką karmi się maluchy przy problemach żołądkowych. Ale wydarzyło się coś, co diametralnie zmieniło sytuację. Odwiedziła mnie koleżanka ze studiów (razem pisałyśmy dyplom). Gdy się dowiedziła, w czym problem, zaoferowała, że może podjąć się gotowania na moje potrzeby, ponieważ ma w domu dwoje maluchów, którym codziennie przyrządza posiłki. Więc nie widzi problemu. Byłam przeszczęśliwa. Sprawy potoczyły się idealnie. Moje zdrowie uległo znacznej poprawie. Codziennie wyczekiwałam na gęstą zupę domowej roboty. Jej zapach rozchodził się po sali, w której leżałam. Zdarzyło się, że sam ordynator zwrócił uwagę, że coś ładnie pachnie. Nic nie mówiąc wskazałam na puste naczynie. Po minie widać było, że kuma. Wydawało się że teraz to już może być tylko lepiej. Ale tak nie było. Codziennie

przy wydawaniu obiadu, osobom leżącym przynoszono do łóżka, a taką byłam, na moje stwierdzenie dziękuję nie będą jadła, padała odpowiedź: no tak, komuś coś się tu nie podoba. Czasem, pomimo tego zostawiano mi obiad na parapecie. Dopiero interwencja pielęgniarki zmuszała obsługę do zabrania talerzy z nietkniętym posiłkiem. Obsługa zmieniała się często, a ja za każdym razem powtarzałam swoją regułkę: dziękuję .... W końcu dotarło do nich, że jedna a z pacjentek nie konsumuje szpitalnego jedzenia. I wtedy stałam się księżniczką. Tak mnie między sobą nazywali. Ja się tym nie przejmowałam. Pewnego dnia jeden z obsługi ściszym tonem powiedział: nie dziwię się, że pani tego nie je. Tym sposobem zdobyłam bratnią duszę. Przy kolejnym wydawaniu posiłków nie było komentarzy tylko porozumiewawcze spojrzenia.

Do mojego zdrowienia przyczynili się również właściciele baru rybnego przy plaży o sympatycznej nazwie Gruba Ryba. Gdy załoga dowiedziła się, że w szpitalu, po sąsiedzku, jest osoba, której organizm nie toleruje, tamtejszego jedzenia, zaoferowała pomoc.

Co drugi dzień, w styropianowym pudełku, czekał pożywny posiłek na bazie ryb z zieloną. Oceniając na oko, jego gramatura znacznie przekraczała podaną w menu. A może, ja byłam tak wygłodzona, że odnosiłam takie wrażenie. Za każdym razem posiłek zniknął w moich ustach w oka mgnieniu, pozostawiając zapach po czymś smakowitym. Do dzisiaj pamiętam ten smak i zapach. Dzięki tej całej sytuacji miałam szansę posmakować jedzenie, jakie przygotowują współczesne mamy swoim maluchom oraz jak może smakować danie z lokalu ze specjalnym przeznaczeniem. Wróciłam do zdrowia. I to jest najważniejsze.

EWA NOWOSŁAWSKA





## W pensjonacie w Lanckoronie (Na hotelu v Olomouci)

W pensjonacie w Lanckoronie  
Mrok gęstnieje, stycznia koniec.  
Kim pan jest? Już się podniecam...  
Mastroiannim? To ci heca!  
Jednak on nie żyje, odeń  
Pewnie w grobie bije chłodem,  
A pan to ma ciepłe dłonie  
W pensjonacie w Lanckoronie.

Teraz ręką gram mordercę,  
Panu szybciej bije serce.  
Pański wiek? Nie wnoszę skargi,  
Choć spękały panu wargi...  
Morze smutku smak ma soli,  
Obejmijmy się powoli,  
Jestem tratwą, gdy ktoś tonie  
W pensjonacie w Lanckoronie.

Złapał mnie pan w sidła, ładnie,  
Kim zaś jestem? Niech pan zgadnie!  
Psuć zabawy panu nie chcę,  
Mieć pan będzie, kogo zechce –  
Zimną sukę, głupią laskę,  
Szarą myszkę lub swym wrzaskiem  
Wprawię w drżenie szkła w salonie  
W pensjonacie w Lanckoronie.

Śpisz już. Wyszło z ciebie zwierzę.  
Ledwo żyję. Jeszcze leżę,  
Na paluszkach wyjdę zaraz,  
Lecz nim zniknę niby mara,  
Pocałuję. Dozwolony  
Taki buziak, bo od żony –  
Wprowadziłam drobną zmianę...  
A za tydzień – Zakopane!

*PRZEŁOŻYL MACIEJ FROŃSKI*

Miroslaw G. Majewski

## O ISTNIENIU I JEGO POCHODNYCH

Z PIOTREM AUGUSTYNIAKIEM ROZMAWIA MIROSLAW G. MAJEWSKI

**Miroslaw Majewski:** Pytanie które nurtuje mnie po przeczytaniu twojej książki „Jezus Niechrystus”, kim jest dla ciebie Piotr Augustyniak?

Piotr Augustyniak: „Piotr Augustyniak” to pewna forma życia, która chwilowo jest, z czego się cieszę, bo póki ona jest, mogę żyć, myśleć, doświadczać, kochać. Ale też nadmiernie bym go nie absolutyzował, nie przywiązywał się do niego. Powiedzmy, że jestem z nim związany, używam go i korzystam z niego. Ale niestety i on używa mnie. Jesteśmy więc na siebie skazani. Dlatego też martwię się czasami o niego i staram się o niego troszczyć. Szczęśliwie jednak jestem też kimś więcej, nie sprowadzam się do niego. Kiedy siedzę – jak teraz – na tarasie z widokiem na morze i góry, nie pamiętam ani tego imienia, ani tego nazwiska. Słucham porannego śpiewu sów i po prostu jestem. Jestem jednym z owym „jest”, które mnie otacza – z istnieniem vel życiem. To dla mnie znacznie więcej znaczy niż jakiś społecznie uplasowany, skonstruowany i konstruujący samego siebie „Piotr Augustyniak”.

**M.M.:** Nieco enigmatycznie piszesz o „królestwie bożym w nas”, czy mógłbyś rozwinąć tą myśl, tak, aby zachęcić czytelnika do lektury „Jezusa Niechrystusa” ?

P.A.: Enigmatycznie? Wydawało mi się, że piszę o tym bardzo jasno. Tak jasno, jak to możliwe. Jak wiesz, jest to myśl pewnego dobrze znanego starożytnego mędrca i zarazem ekscentrycznego proroka, którą zaczerpnął z tradycji judaizmu, ale też twórczo przekształcił. Jego myśl – tak jak ją przekazano i jak zwykło się ją interpretować w obszarze religii chrześcijańskiej – pozostaje wieloznaczna. Staratem się ją filozoficznie doprecyzować i wyłożyć. I albo mi się to nie udało, jak sugerujesz, albo po prostu nie jesteś tym, co napisałem, usatysfakcjonowany. Nie wiem dlaczego? Może dlatego, że to nie jest w mojej wykładni kategoria eschatologiczna? Nie mówić nic o to, co będzie na „końcu świata”. „Królestwo” w języku Jezusa jest bowiem stanem umysłu, w którym człowiek jest wolny od iluzji własnego „ja” i tu i teraz jest przeźroczysty na przepływy istnienia vel życia, które było dla niego boskie.

**M.M.:** Rozumiem, że „królestwo boże” nie ma nic wspólnego z tym co dzieje się wokół nas, na zewnątrz. Przez kilka lat korzystając z książek o buddyzmie Zen, próbowałem, rzecz jasna z marnym skutkiem, znaleźć to „Królestwo” w tym, co nazywam świadomością. Czy twoim zdaniem synkretyzm chrześcijaństwa z buddyzmem, tak jak to rozumiał chociażby Thomas Merton nie jest religijnym mezaliansem?

P.A.: Czytałem w młodości Mertona z wypiekami na twarzy. Nie umiałem pogodzić się z oskarżeniami o nieortodoksyjność,

które go spotykały. Dziś myślę, że były one jednak nieuchronne. Nie żebym się z nimi empatyzował. Chodzi o to, że Merton tużił się odnośnie chrześcijaństwa, że może być religią wolności wewnętrznej i oświecenia. Tymczasem jest i zawsze będzie religią sekiarską, zamkniętą na to, co inne, pełną resentymentu i wrogą doświadczeniu istnienia, o którym wspominałem przed chwilą. To że Jezus o takim doświadczeniu cały czas mówił, nie oznacza, że chrześcijaństwo jest na nie otwarte. Buddyizm Zen wydaje mi się pod tym względem o wiele bardziej obiecujący. Choć ja wolę tradycję przedchrześcijańskiego myślenia europejskiego. Greckiego przede wszystkim.

**M.M.:** Byłeś w zakonie Dominikanów, jest to zakon kaznodziejski, nie mający dobrej prasy w protestantyzmie, które nota bene jest mi bliższe od katolicyzmu. Co było przyczyną, że dojrzałeś do opuszczenia tego zakonu?

P.A.: Wiele spraw i wiele doświadczeń. W moim przypadku był to młodzieńczy epizod. Owszem, dość intensywny i nie taki znów krótki (5 lat). Tyle potrzebowałem, żeby przebudzić się do własnego życia i zdać sobie sprawę, że zakon jest raczej ucieczką od niego. Cieszę się jednak, że jako młody chłopak, katolicko zindoktrynowany i zdecydowany, aby Kościołowi poświęcić swoje życie – trafiłem właśnie do dominikanów. Bo jest to zakon pod względem intelektualny elitarny. Mogłem dzięki temu wewnętrznie się rozwinąć i odnaleźć dalszą drogę. Wszedłem stamtąd pokiereszowany i stramiatyzowany, ale też zainspirowany filozoficznie i z apetytem na życie i wolność.

**M.M.:** Twój przyjaciel Tadeusz Bartoś napisał fascynującą quasi biograficzną powieść „Mnich”, czy w jakiejś mierze utożsamiasz się z jej bohaterem Benedyktem?

P.A.: Do pewnego stopnia na pewno, choć jest w tej postaci – jak sądzę – wiele z Tadeusza, czego ja nie mam. Nie bardzo chcę o tym mówić, bo zrobiłoby się z tego jakieś psychologizowanie na temat różnic pomiędzy osobowością moją i mojego przyjaciela. Czytając tę powieść zdałem sobie sprawę, jak różne bywają motywacje ludzi, którzy wkraczają na taką drogę. Natomiast to, z czym się utożsamiam to przemyslenia Benedykta/Bartosia na temat natury życia zakonnego, jego pułapek i osaczających fikcji.

**M.M.:** Czy zechciałbyś powiedzieć coś więcej o życiu zakonnym?

P.A.: Wolałbym nie. Jestem od ponad 20 lat szczęśliwie zupełnie gdzie indziej i żyję czym innym. Przyznaję, że śni mi się zakon czasami. I nie są to przyjemne reminiscencje. Głównie dotyczą tego, że coś zawałitem. Np. spóźniam się na liturgię, bo jest wielki

post i trzeba na habit założyć taką czarną pelerynę, nazywaną kapą, a ja nie mogę jej znaleźć. Albo że mam w danym tygodniu zmywać naczynia po obiedzie, ale zapominał i koleżdy robią to za mnie. Nic się więc nie dzieje, ale mam potworne poczucie winy. Najtrudniejsze są te sny, w których już zdecydowałem o odejściu, ale coś mnie paraliżuje i nie jestem w stanie tego zrobić, a potem jest już za późno (sam nie wiem dlaczego „za późno”, ale moja nieświadomość pewnie wie, skoro tak we mnie śni). Generalnie są to sny infantylne i lękowe. I taki też w dużym stopniu jest zakon. Choć nie we wszystkim i nie do końca, o czym już wspominałem. Ale dajmy już spokój z tym zakonem. To był naprawdę tylko epizod w moim życiu.

**M.M.:** Powiało trochę Jungiem. Napisałeś kilka książek, muszę przyznać, że przeczytałem „Jezusa Niechrystusa” dwa razy, a aktualnie czytam „Istnienie jest Bogiem, ja jest grzechem”. Czy jest w twoich książkach jakiś wspólny mianownik, czy każda z nich mówi zupełnie o czymś innym?

P.A.: Tak. Utożsamiałbym to z doświadczeniem i rozumieniem filozofii jako drogi człowieka do przebudzenia umysłu, polegającego na wejściu w nurt życia. I że wymaga to problematyzacji i przekroczenia codziennego, dyktowanego przez zdrowy rozsądek obrazu świata. Mam wrażenie, że w kolejnych książkach zbliżam się do tego samego fenomenu, różnie rozkładając akcenty, modyfikując stopniowo formę i styl wypowiedzi. Ale zdecydowanie należę do filozofów jednej myśli. Z tej jedności wyłamują się tylko dwie książki poświęcone polskiej tożsamości. Stanowią swoisty kontrapunkt w mojej twórczości i sam się zastanawiam, jak mają się one do książek dotyczących tej zasadniczej, „prześladującej” mnie kwestii.

**M.M.:** W jednym z wywiadów przyznałeś, że najbardziej cenisz sobie Fryderyka Nietzschego. Swego czasu widziałem chrześcijański billboard o mniej więcej takiej treści: Bóg umarł. Rzekł Nietzsche, ale Bóg żyje. Nietzsche umarł, rzekł Bóg, i Nietzsche umarł. Widzisz w tym jakąś logikę, czy jedynie chrześcijański sarkazm?

P.A.: W przeciwieństwie do Boga, na którego złośliwie i z pozoru błyskotliwie ktoś się tu powołuje, Nietzsche istniał naprawdę. To kończy kwestię. Logiki żadnej w tym nie wiedz. Jeśli coś jest naprawdę głupiego i odstręczającego, to właśnie tego typu stwierdzenia formułowane przez religijnych nadgorliwców. Notabene Nietzsche nie mówi, że Bóg umarł (ist gestorben), ale że Bóg jest martwy (ist tot). To istotna różnica. Chodzi o to, że idea vel figura Boga kiedyś była żywa w kulturze, bo była stałym, decydującym punktem odniesienia, kształtującym zachowania ludzi i formę życia społecznego. Tymczasem dzisiaj ten „Bóg”

nie ma już nic do powiedzenia odnośnie tego, jak wygląda świat i jakie kierują nim mechanizmy oraz trendy. To jest właśnie świat śmierci Boga. W takim stwierdzeniu nie ma nic wartościującego. To opis status quo, z którego zdaniem Nietzschego warto zdać sobie sprawę i wyciągnąć wnioski.

**M.M.:** Jakbyś odpowiedział na pytanie – czy jest pan wierzący?

P.A.: Nie jestem wierzący. I bardzo cieszę się z tego. To nie znaczy jednak, że jestem ateistą. Mam spory dystans do ateizmu jako pewnego rodzaju ideologii, która przypomina religię bez Boga. Nie jestem wierzący, bo uważam, że kategoria „wiary” nie wnosi nic istotnego, jeśli chodzi o rozumienie człowieka, świata i tego co boskie w nim. To jest kategoria rodem z myślenia teologicznego. Daliśmy ją sobie narzucić. Uprawiając dyskurs „wiary” i „niewiary” jesteśmy cały czas we wstępnym narracji Kościoła. Odrzucam zatem i wiarę, i niewiarę. Obywam się bez nich. Dzięki temu mogę czuć się nie-chrześcijaninem i rzeczywiście nim być. Jako ateista byłbym wciąż zakładnikiem chrześcijaństwa a więc w pewnym sensie jego uczestnikiem.

**M.M.:** Zadałem to pytanie w związku z tym, co powiedział Tadeusz Bartoś w rozmowie z Agatą Bielik-Robson. Cytuję: „Pytają mnie, czy jestem wierzący? Co mam odpowiedzieć? Zastanawiam się, jak rozumieją tą wiarę ci, którzy o nią pytają, i boję się, że nie tak, jak ja chciałbym ją rozumieć. Szukałem w chrześcijaństwie i szukam nadal języka , który by odpowiadał jakiemuś mojemu doświadczeniu i często nie znajduję.” Czy masz podobne dylematy?

P.A.: To w sumie coś podobnego do tego, co powiedziałem przed chwilą. Jestem poszukiwaczem boskości, która jest istotnym rysem istnienia, w którym uczestniczymy, jesteśmy jego „częścią”, jego „przejawem”. Nie szukam Boga ponad istnieniem. To absurd, z którym dawno się rozstałem. Taki Bóg jest bowiem bluźnierstwem przeciwko istnieniu i jego boskości.

**MM.:** W „Jezusie Niechrystusie” odnosi się do dwóch definicji czasu w języku greckim. Chronos i Kairos. Twoja wykładnia Kairosa wciągnęła mnie niczym wir, jakbym dopiero teraz zrozumiał symbol rozrywającej się zastony od góry. Takie duchowe eureka! Wyłóż to jak najprościej, nie robimy wywiadu na periodyku filozoficznego, tylko dla literackiego.

P.A.: Kairos to jest to, co się wydarza, rozcinając przyczynowo-skutkowy łańcuch codzienności, który sobie pleciemy, aby przy jego pomocy okiełznać życie, które nas przekracza i jako takie kwestionuje. Ale życie „ma w nosie” te nasze starania, aby spętać je łańcuchem, i z wielką swobodą zrywa się z niego. I to jest właśnie kairos. Czas wydarzeniowy, bez „przed” i „po”, bez „dlaczego” i „dlatego”. Niekiedy upojny, niekiedy przerażający. Zawsze niesamowity. Czas, w którym życie bierze nas w posiadanie, a raczej daje nam odczuć, że ma nas w nim nieustannie.

**M.M.:** Zatrzymajmy się na chwilę przy Hermanie Melville, i tytułowym bohaterze kopięcie Bartlebym, którego przywołujesz jako analogię do Jezusa, który twoim zdaniem jest typem outsidera. Bartleby popada w jakiś dziwny stan związany z kariosem powtarzając – wolałbym nie. O ile rozumie postać Achaba, to w ogóle nie

jestem w stanie pojąć twojego zachwyty nad Bartlebym.

P.A.: Bartleby jest z jednej strony dosadną egzemplifikacją tego, co robi z nami bezduszny świat kapitalizmu: jest eksploatowanym (wyzyskiwanym) przez niego ludzkim zasobem. Zarazem jednak – w swoim ewidentnym szaleństwie – jest kimś, kto wydobyla się z alienacji poprzez dostęp do sfery prymarnej, którą Deleuze w komentarz do noweli Melville'a nazywa pierwotną naturą, a ja w tej rozmowie nazywam życiem vel istnieniem. Bartleby pogrążony w psychozie dotyka tej sfery i to go czyni wolnym wobec systemu, który próbuje za wszelką cenę zawładnąć naszym życiem. „Wolałbym nie” – to być może jedyna skuteczna forma sprzeciwienia się temu. Tylko tu bowiem obecna jest prawdziwa wewnętrzna wolność. Nie ma jej w kategoriowym „absolutnie nie”, „nigdy”, „za żadną cenę”, które napędza czysta negacja, niezakorzona najczęściej w żadnym pozytywnym doświadczeniu. A z czymś takim system radzi sobie bez problemu. Tymczasem Bartleby ma pozytywne (to znaczy bezpośrednio i stymulujące) doświadczenie życia.

**M.M.:** Dotarło do mnie, mam to! Myślę, że zrozumiałem twój zachwyty nad Bartlebym. A być może wolałbym nie zrozumieć. Szukasz różnych odniesień do swojej teorii Kairosa w literackich dziełach z najwyższej światowej półki. Jak się mają do Kairosa bohaterowie powieści „Mistrz i Małgorzata”?

P.A.: Postawiłbym ich w jednym rzędzie z Bartlebym. Oboje – i Małgorzata, i Mistrz – są freakami, dotkniętymi przez to, co niesamowite, które w sobie nawzajem odnajdują. I tu jest walka z systemem, ale nie poprzez rewolucyjny zryw, ale swego rodzaju „wolałbym nie”, motywowane zwłaszcza u Mistrza ekscesywną myślą o Jezusie. Ta myśl prowokuje epifanię tego, co rozrywa system. Czegoś, czego on nie jest w stanie spacyfikować. Ciekawe jest to, że owym elementem ekscesywnym jest Woland, czyli Lucyfer. Zainspirowało mnie to do tego, aby inaczej niż w doktrynie chrześcijańskiej spojrzeć na relację pomiędzy nim a Jezusem. Jezus jako postać kairotyczna jest nieuchronnie lucyferyczny. Niesie w sobie światło, jakim jest bezpośrednie obcowanie z istnieniem, i wolność, która się wtedy pojawia.

**M.M.:** Przytaczasz też najprawdopodobniej najbardziej znany wiersz Kawafisa „Czekając na barbarzyńców”. Co tym razem chcielibyś przekazać?

P.A.: Znowu chodzi o kairos i tęsknotę za nim, choćby miał on przybrać formę zjawienia się tytułowych barbarzyńców. Ci jednak nie nadchodzą. Wiersz mówi o sytuacji, gdy cywilizacja jest tak doskonale działającym i szczerzym mechanizmem, że to co jest nieprzewidywalnym nurtem życia nie wkracza w jej obszar. Jest bardzo bezpiecznie, komfortowo wręcz. A jednak ludzi dopada poczucie miakkości i braku sensu, zniechęcenie, brak energii, depresja. Barbarzyńcy, którzy mogliby zburzyć ten porządek i pozwolić na wtargnięcie życia, wydają się wtedy „jakimś rozwiązaniem”. Skrycie tęskni się więc za wojną, katastrofą, zniszczeniem. Wszystko, byle nie ta ciągła nuda cywilizowanego życia bez żadnych istotnych wyzwań i problemów.

**M.M.:** No i barbarzyńcy nas zawiedli. Czy uważasz, że gdyby nie było mistyki nadreńskiej, Mistrza Eckharta, wolnych duchów to mogłoby nie dojść do reformacji. A co za

tym idzie, żylibyśmy dzisiaj w innym świecie, w innej rzeczywistości?

P.A.: Sprawa jest nieco bardziej złożona. Myślę, że nie byłoby reformacji, gdyby w świecie feudalizmu nie pojawił się ruch emancypacyjny społecznej, związany z rozwojem życia miejskiego. Nie byłoby jej też, gdyby owa potrzeba emancypacyjna nie skierowała się w stronę przeżycia religijnego. Feudalny katolicyzm nie był dla tej grupy społecznej atrakcyjny. Jej emancypacja nie polegała jednak zrazu na porzuceniu religii, ale na próbie jej modyfikacji. Zaczęło się to wraz z mistyką nadreńską, a kontynuacją była reformacja. Dziś jednak nie ma to już większego znaczenia. Chrześcijaństwo, czy reformowane czy nie, nie jest w stanie odpowiedzieć na pogłębiającą się nieustannie potrzebę emancypacyjną. W każdej swej formie pozostaje więc wsteczne i anachroniczne. Jego czas szczęśliwie dobiega końca. Co skądinąd nie znaczy, że emancypacja w formie konsumpcji i samorealizacji jest dla świata perspektywiczna. Wręcz przeciwnie.

**M.M.:** Hrabia Lew Tołstoj w „Spowiedzi” po dogłębnym studiowaniu Nietzschego i Schopenhauera doszedł do wniosku, że „czystą” wiarę można znaleźć jedynie u chłopów. Czy twoim zdaniem wiara w Boga jest tak skonstruowana, że właściwymi jej adresatami są prości ludzie, co też potwierdza apostoł Paweł pisząc do Koryntian „Wniwecz obróć mądrość mądrych, a roztropność roztropnych odrzuć.” Nie boisz się, że ma zbyt wysokie IQ aby po prostu wierzyć mniej filozoficznie?

P.A.: Chłopotomania jak widać była nie tylko obsesją młodej polski. A na poważnie – to stwierdzenie Pawła jest dowodem jawnego resentymentu, co, jak zauważa Nietzsche, było niestety jednym z głównych rysów umysłowości tego niewątpliwie wybitnego człowieka. Co do meritum pytania, myślę, że wiele ksiąg Biblii jest rzeczywiście skonstruowana tak, aby uwodzić ludzi o mniejszej świadomości i mniejszym kapitale kulturowym, i sprawować nad nimi skuteczną kontrolę. Cate to straszenie gniewem i sądem bożym, karami i plagami, ma właśnie taki charakter. Da się jednak znaleźć wyjątki. Należą do nich fragmenty ewangelii. Te zwłaszcza, które są zapisem autentycznych słów Jezusa.

**M.M.:** Czy nie sądzisz, że znów sięgnę do Pawła, „...żeby nikt nie miał o sobie wyższego mniemania niż należy, lecz niech sądzi o sobie trzeźwo – według miary, jaką Bóg każdemu w wierze wyznaczył.” Innymi słowy, może wbrew twojej wykładni Jezus jednak jest Chrystusem?

P.A.: Idea „Chrystusa” jest ideą mitologiczną. Jak można żywić przekonanie, że jakiś konkretny człowiek był, jest, będzie mesjaszem, który zbawi świat, usuwając z niego zło, cierpienie, śmierć, etc.? To przecież jawny absurd, nonsens. Nikt taki nigdy nie istniał i nigdy nie zaistnieje. Oczekiwanie na mesjasza ma dlatego nie sens dosłowny, ale metaforyczny. Rządzi się logiką mitu. Rozumie to w jakimś stopniu refleksja żydowska i to czyni ją intrygującą. Jeśli więc chodzi o Jezusa z całą pewnością nie był Chrystusem, a nawet prawdopodobnie się za niego nie uważał. Był natomiast wyjątkowo inspirującym, oryginalnie myślącym i odczuwającym świat człowiekiem.

**M.M.:** No dobrze. Odchodząc nieco od tematu, chciałbym zadać bardzo często

zadawane w przeróżnych wywiadach pytanie, a mianowicie, gdybyś znalazł się na bezludnej wyspie i miał do wyboru tylko jedną książkę, jaka to by była książka?

**P.A.:** Miałbym z tym spory problem. Do niedawna powiedziałbym zapewne, że byłby to Zaratustra Nietzschego. To książka, którą czytam od dwudziestu kilku lat i wciąż czerpię z niej inspirację. Ale znam ją tak dobrze, że może lepiej byłoby pomyśleć o innej lekturze. Ale co wybrać? Zakładając, że z tej bezludnej wyspy jednak bym wrócił za jakiś czas, wziąłbym chyba to, co mnie w ostatnich miesiącach najbardziej inspirowało i pochłania, czyli słabo znaną w Polsce poezję greckiego poety drugiej połowy XX wieku, Jannisa Ritsosa. Właśnie kończę pracę nad przekładem jego tomu Yperoon.

**M.M.:** W swojej książce „Jezus Niechrystus” przyznałeś, że przełomowym momentem w podjęciu decyzji o opuszczeniu zakonu była piosenka Johna Lennona, która narobiła tyle zamieszania w trakcie ceremonii otwarcia Olimpiady w Paryżu, Imagine. Co dla jednego z polskich sprawodawców było pochwałą marksizmu, a dla ciebie wręcz wyzwoleniem. Czy mógłbyś to bardziej rozwinąć. Od siebie dodam, że doskonale to (jako były hippis) rozumiem.

**P.A.:** Doprecyzujmy. Nie była to inspiracja do opuszczenia zakonu, ale do napisania Jezusa Niechrystusa. Jakiś czas wcześniej w ramach cyklu, który prowadzę w Teatrze Słowackiego w Krakowie, rozmawiałem z Krystianem Lupą. Było dla mnie wielkim zaskoczeniem, że przywołał Imagine jako hymn pokolenia swojej młodości, wierzący wizję świata bez hierarchiczno-przemocowej struktury społecznej. Hymn pokolenia, które wyrosło z doświadczenia wojny i z pragnienia, aby ona nigdy już nie wróciła. Lupa dużo mówił o fiasku tego pokoleniowego dążenia i ogromnym rozczarowaniu z tym związanym. Dość przypadkowo Imagine połączyło mi się potem z osobą Jezusa (o okolicznościach piszę więcej w książce). Zdałem sobie sprawę, że miał on w gruncie rzeczy podobne marzenie co Lennon. Jeśli królestwo boże jest w każdym bez wyjątku, to każdy jest bezwarunkowo przyjęty, zaafirmowany przez istnienie. Wszyscy jesteśmy więc równi, jesteśmy braćmi... Przemoc, wysiłek, pogarda. Na to wszystko nie ma już miejsca, jeśli dostrzeże się ten prymarny fakt złączenia nas wszystkich w istnieniu i równości wobec niego. Wielka idea i wielka sprawa. A że komuś myli się Lennon z Leninem, no cóż – widzę tu elementarne braki w wykształceniu.

**M.M.:** W swojej książce odnosisz się do wielu znanych postaci, od Nietzschego, poprzez Mistrza Eckharta, Schopenhauera, Szekspira, na Kawafisie kończąc, tak, jakbyś chciał znaleźć się w dobrej drużynie, zamiast wybrać rolę Atlasa dźwigającego samodzielnie ciężar swoich kontrowersyjnych (dla wielu) poglądów?

**P.A.:** „Stoimy na barkach gigantów” – jak określił to jeden ze średniowiecznych mistrzów. Za moje poglądy biorę oczywiście odpowiedzialność sam. Natomiast nie mam powodu, aby ukrywać tropy, które mnie do nich doprowadziły. W gruncie rzeczy nie chodzi tu o postaci, których autorytetem chciałbym się podeprzeć. Raczej o teksty, słowa, myśli, które są dla mnie przestrzenią doświadczenia tego, co w przestrzeni codzienności i zdrowego rozsądku się nie przejawia. Jeśli moja droga do doświadczenia źródłowego biegła przez czytanie

Nietzschego i Eckharta, dlaczego się tym nie podzielić, dlaczego to ukrywać? W imię „ja”? Że to „ja sam” wymyśliłem, odkryłem itp.? Nie, moje „ja” znika w tym doświadczeniu. Dzieje się samo doświadczenie, jego odstanianie się w myśleniu. Augustyniak, Eckhart, Kawafis to tylko epizody tego myślenia, jego chwilowe rozbliski.

Jedne bardziej spektakularne, inne mniej. Te już zapisane, oddziaływać na przyszłość. Może i moje, gdy je zapiszę, będą oddziaływać? Żyć dalej. Liczę na to, choć być może się przeliczę.

**M.M.:** Mam nadzieję, że się jednak nie przeliczysz. Ok. Skoro wspomnieliśmy Kawafisa, Peloponez, proszę powiedzieć nam nieco więcej o miejscowości Monemwasia. Moim zdaniem to najpiękniejszy fragment „Jezusa Niechrystusa”. Od siebie dodam, że jeżeli chodzi o Grecję, to dotarłem jedynie do kanału Korynckiego. Mam nadzieję, że jak, nomen omen, Bóg pozwoli, dotrę na Peloponez zachwycony twoim opisem.

**P.A.:** Musisz koniecznie pojechać dalej! Dla mnie za Kanałem otwiera się studnia bez dna greckiego ducha! Monemwasia to miasto o bardzo długiej historii. Jako Akra Minoa było minojskim portem. Rozkwitło w czasach bizantyjskich. Zlokalizowane na wyspie blisko lakońskiego brzegu Peloponezu, powstałej ponoć na skutek trzęsienia ziemi, które oderwało ją od lądu. Monemwasia przemówiła do mnie w trakcie pisania Jezusa Niechrystusa, przynosząc intuicję na temat sekretnej powinowactwa greckiego chrześcijaństwa z jego doświadczeniem życia z jednej strony i starogreckim odczuciem boskości z drugiej. Już po napisaniu książki dowiedziałem się, że z Monemwasi pochodził Jannis Ritsos. W kolejnej książce opowiem więcej o mojej Grecji, Peloponezie, również trochę o tej przedziwnej wyspie-skale. Jeśli to co pisałem o tym miejscu, podobało ci się, pewnie chętnie sięgniesz po nią. Ukaże się za kilka miesięcy. Na razie nie mogę więcej powiedzieć na ten temat.

**M.M.:** A więc czekam z niecierpliwością. Przed tym wywiadem przeczytałem książkę – rozmowę wspomnianego już Tadeusza Bartosia z Agatą Bielik-Robson. Powiem wprost, była to ciężka lektura dla czytelnika funkcjonującego poza granicami filozofii i jej niuansów. Czytając kolejne rozmowy gdzieś z tyłu czaszki wybrzmiewała mi sentencja Sandora Marai – Nie ma na ziemi większej tajemnicy niż ludzka tęsknota za Bogiem; nie ma pragnienia smutniejszego i bardziej pozbawionego nadziei. Czy w jakiejś mierze zgadzasz się z tą myślą?

**P.A.:** Tęsknota za Bogiem nie wydaje mi się aż tak tajemnicza. Jest w niej wiele ludzkiego oportunizmu, narcyzmu, niedojrzałości, lęku przed własnym niebyciem, itp. Wybacz, ale mnie tęsknota za Bogiem w żaden sposób nie przekonuje do człowieka i jego „niezwykłości”. Tylko jeśli Marai zgodziłby się, że „pozbawione nadziei” to też „beznadziejne”, byłbym w stanie przyznać mu rację. Z kwestią Boga jest tak, że albo się go doświadcza, oddycha się nim jak powietrzem, obcuje się z nim i nim staje, albo nie. Wszystkie te „tęsknoty”, „wzdychania”, „noce ciemne” itp., są fałszywe i bardzo egocentryczne. Aha, powiedziałem „go”, ale mam na myśli „ich”. Bogów, którzy są obliczami istnienia, wielorakimi kryptonimami jedynej, transosobowej boskości.

**M.M.:** Znając biografie świętych Augustyna, Franciszka, Ignacego Loyoli, czy mniej

świętych jak choćby Thomas Merton nie jesteś w jakimś stopniu ich antytezą?

**P.A.:** Ależ tak, jestem nią! Bardzo trafnie to ująłeś.

**M.M.:** Nie mam zamiaru ukrywać, że z wielką przyjemnością przeczytałem „Jezusa Niechrystusa”, który momentami przypominał mi klimat „Spowiedzi” Lwa Tołstoja, a nawet jego biografii autorstwa Pawła Basińskiego „Lew Tołstoj. Ucieczka z raj” czy „Lew kontra święty”, ale zapamiętałem jedno zdanie Anny Bielik – Robson: „problem raczej w tym, że człowiek istnieje, ale nie bardzo wie, co z tym istnieniem począć. To jest prawdziwy dramat egzystencjalny.” Wyłuszczyłem to zdanie, ponieważ utożsamiam się w dużej mierze z tym dramatem. Więc zapytam na koniec naszej rozmowy – Czy wiesz, tak bez cienia wątpliwości, co ze swoim istnieniem począć?

**P.A.:** Nie zawsze i nie do końca wiem. Ale myślę sobie, że to jest jednak niesamowite: „istnieć”. Ale żeby doświadczyć tego z całą mocą, trzeba umieć się wznieść ponad siebie, zapomnieć się (w istnieniu), nadczłowieczyć się, jak mawiał mój przyjaciel Cezary Wodziński, czyli przewycięzać siebie. Naszym wrogiem jest obsesyjne wręcz pragnienie sensu, poczucia słuszności tego, co robimy, dobrze wybranej drogi, która daje wrażenie spełnienia. To wszystko egzystencjalny egotyzm. Dać się nieść życiu, płynąć nim, „mając gdzieś” ten cały sens życia – to moja odpowiedź. Naprawdę bez sensu jest to, że istniejemy. Ale jakże niesamowicie to bezsens!

**M.M.:** Mimo bagażu lat i nękających mnie chorób z chęcią zostanę twoim uczniem.

**P.A.:** Bycie nauczycielem to wielka pokusa. Trochę wiesz mnie więc na pokuszenie. Wystarczy mi, jeśli byłem w stanie cię zainspirować w myśleniu o życiu. Dziękuję za bardzo miłą i inspirującą rozmowę.

**M.M.:** Ja również dziękuję.

**MIROSLAW G. MAJEWSKI**

**Piotr Augustyniak** ur. 1977 w Gdańsku – polski filozof, doktor habilitowany nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki, profesor uczelni w Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie.

Wybrane publikacje: 1. Inna boskość. Mistrz Eckhart. Zaratustra i przewyciężanie metafizyki. (2009). 2. Istnienie jest bogiem, ja jest grzechem. Rozprawa o teologii niemieckiej, Mistrzu Eckharcie, Lutrze, wolnych duchach i boskiej woli (2013). 3. Homo polacus. Eseje o polskiej duszy (2015). 4. Aporetyczna nieśmiertelność. Esej o Fedonie, śmierci i nowoczesnym podmiocie (2016). 5. Trans. Filozofia Cezarego Wodzińskiego (2017). 6. Wypiański. Burzenie polskiego kościoła (2019). 7. Jezus Niechrystus (2021).

Jest członkiem redakcji czasopism „Przeгляд Polityczny” i „Liberté!”. W 2021 roku odszedł z Kościoła katolickiego. Mieszka w Krakowie.

Roberto Bolaño

# AMBERES

## (FRAGMENT POWIEŚCI)

PROZA

Przełożył z j. hiszpańskiego Grzegorz BAZYLAK

[1]. FASADA. Najpierw motto: *Po filmowaniu życie tutaj się kończy. To jest prawie symboliczny Hollywood. Tara nie ma w środku żadnego salonu i korytarzy. To była tylko fasada.* David O. Selznick (1902-1965). Mężczyzna, jak niesforne dziecko, zmierza w stronę domu. Idzie aleją wysokich modrzewi. W swoich wspomnieniach wciąż zbiera spod nich szyszki i strzela nimi z procy. Jajowate szyszki, pokryte kroplami lśniącej żywicy. Wyglądały jak naszyjniki ukryte wśród bujnej zieleni. Miłość jest mieszaniną sentymentu i seksu (William S. Burroughs (1914-1997)). Ten dom, jak niegdyś Tara, filmowa rezydencja Scarlett O'Hary, to tylko fasada. Zawsze gotowa do rozbiórki, po to, aby w 1959 roku, gdzieś w Atlancie, znowu ją odtworzyć. Każda jej część wyglądała na zużytą. Nie ma w tym nic zaskakującego. Wokół nas wszystko już dawno stało się ruiną. Nawet Latynosi naśladują sposób mówienia Rhetta Butlera, tego tajdaka i oszusta. Słychać w nim południowoamerykański śpiewny rytm, który przycicha, a potem milknie w alejach palmowych drzew. Przez okna w biurówkach korporacji znudzeni ekolodzy przyglądają się ulewie. Scarlett, kochanie, wciąż ten sam zły śpiewak gra na twoich uczuciach. Gdziekolwiek jesteś i tak jest za późno, aby zapomnieć o geście, który nigdy nie nadszedł. „To była tylko fasada”. A jednak krnąbrny dzieciak wciąż idzie w kierunku tego domu.

[2]. WICHURA. Jak co wieczór skrzyżowanie bliźniaczo podobnych autostrad pustoszaje, dokładniej wtedy – bo wszystko na to wskazuje – gdy pamięć i subtelniejsze uczucia stają się martwe, niczym turysta w wynajętym samochodzie, który nieświadomie zapuszcza się w strefy działań wojennych i nigdy z nich nie wraca, a przynajmniej nie tym samym samochodem. Martwe, jak mężczyzna pędzący po autostradach ciągnących się bez końca, którym rozum uparcie odmawia akceptacji, tak samo, jak zaprzecza istnieniu bariery dźwięku, nagłej śmierci znikającego punktu lub zagładzie kryształowego smoka. W ten sam sposób nie przyjmuję do wiadomości samobójstwa Sophie Podolski w Belgii, tej zakręconej dziewczyny z Centrum Badawczego Montfaucon, w którym niektóre zapachy absolutnie nie przyjały kobietom. Nagle spękane usta mężczyzny coś mówią: „Widzę kelnerów, wynajętych na lato, spacerujących po opustoszałej plaży o ósmej wieczorem”... „Ich powolne ruchy, prawdziwe lub nierealne, nie wiem”... „Widzę grupę ludzi przysypaną piaskiem”... „I nagle pulchna jedenastoletnia dziewczynka wyskakuje z publicznego basenu”... „Czy to Colan Yar jest tam razem z tobą?”... „Czy autostrada staje się czarnym pasem na szczycie preri?”... Mężczyzna usiadł w kawiarni, w całkowitym odosobnieniu. Gryzmoli coś na pocztówkach, a każdy odgłos odrywa go od słów, które chciałby napisać. To znaczy: prawdziwie wolnych słów, nie objętych cenzurą i za które nie trzeba później płacić. W jego oczach widać nagie ciała, powoli wychodzące z morza. Pozostaje po nich tylko pustka. „Kelnerzy spacerujący wzdłuż plaży”... „Wieczne światła, które rozpraszają orzeźwiający powiew wiatru” ...

[3]. ZIELONE, CZERWONE I BIAŁE PASKI. Teraz on, albo tylko jego lepsza potowa, unosi się na fali marzeń. A ta fala jest biała, porywa go z prądem, aby przekroczył własne ograniczenia. Wsiadł do pociągu jadącego w złym kierunku. Jest jedynym pasażerem w środku przedziału, zastony są rozsunięte i zmierzch przylega do brudnego szkła. Pociąg, pełen ciemności, rozpędził się, intensywnie kolory rozwijają się na czarnej skórze siedzeń. Stworzyły mu cichą przestrzeń, więc może tutaj pracować. Zapala papierosa. Pudełko zapatek ma kolor sepia. Na etykiecie znajduje się rysunek sześciokąta utworzonego z dwunastu zapatek. Jest tak, że napis „Ostrożnie z zapatkami” oraz, jak wskazuje cyfra 2 na polu w lewym górnym rogu, że to jest druga część rozgrywanej partii. Ta gra nazywa się „Ucieczka z piramid”. Teraz on z uwagą skupia się na tym banalnym przedmiocie. Po chwili zdaje sobie sprawę, że jest tam kwadrat, który zaczyna się rozpadać. To, co początkowo sobie wyobrażał, było jak ekran, który staje się białą falą, bladymi słowami, błyskami na szybach, których przezroczystość wchłania tę oślepiającą i niezniszczalną jasność. Nagły zgrzyt przykuwa jego uwagę. Krótki dźwięk jest jak jednolity kolor przecięty przez nagłe pęknięcie. Ale co to był za kolor? Komunikat: „Pociąg zatrzymuje się na północnym peronie” odwraca jego uwagę od zmiany odcieni na pustym siedzeniu. Zakrywa swoją twarz palcami, ale rozłożonymi na tyle szeroko, że może dostrzec każdy zbliżający się do niego przedmiot. Szuka papierosów w kieszeniach kurtki. Przychodzi mu do głowy, przy pierwszym zaciągnięciu, że monogamia jest jak monotonna jazda w pociągu. Chmura opalizującego dymu okrywa jego twarz. Przychodzi mu na myśl, że słowo „twarz” ma w sobie obce niebieskie oczy. Ktoś krzyczy. A on patrzy na swoje stopy rozstawione na podłodze, bo przecież słowo „buty” nigdy nie będzie w stanie lewitować. Wzdycha odwracając twarz do okna. Wydaje mu się, że wieczorne światła przyrosły do ziemi. Jak światło w mojej głowie, myśli. Pociąg przejeżdża skrajem lasu. W niektórych miejscach, widoczne są czarne plamy, ślady niedawnych pożarów. Nie ma nic dziwnego w tym, że nie zauważył nikogo w lesie. A właśnie tutaj, tuż przy ścieżce rowerowej, znikającej kilka metrów dalej, jest niewielki zagajnik, w którym żyje kartowaty garbus, szary jak wieloryb, pomarszczony jak humbak. Powiedziałem mu, że sporo o tym słyszałem. Są tu króliki i szczury, które wyglądają jak wiewiórki. Ten las graniczy z ulicą wiodącą do autostrady na zachodzie i torrem kolejowym na wschodzie. W pobliżu znajdują się ogrody i pola uprawne, blisko miasta płynie zanieczyszczona rzeka, a jej brzegi zajęte są przez składy złomu i cygańskie obozowiska. Dopiero za tym wszystkim jest morze. Garbus, ten wieloryb, a może humbak, otwiera jakąś puszkę konserw, opiera się plecami o niską, spróchniałą sosnę. Ktoś krzyknął do niego z drugiego wagonu, prawdopodobnie kobieta, więc on, mówiąc coś do siebie, zgasił papierosa podeszwą buta. Długo

rękawy jego bawelnianej koszuli pokrywa deseń w zielone, czerwone i białe paski. Garbus, ten humbak, trzyma puszkę sardynek w sosie pomidorowym w lewej ręce. Jedząc wpatruje się w liście na drzewach. Słyszy przejeżdżający pociąg.

[4]. JESTEM WŁASNYM ZŁUDZENIEM. Duchy z Plaza Real gromadzą się na schodach. Hotelowe koce nakrywają mnie aż po uszy. Bez ruchu leżę w łóżku, pocąc się i powtarzając sobie bezsensowne słowa. Słyszę, jak się poruszają, włączają i wyłączają światła, wspinając się na dach z powolnością nie do zniesienia. Jestem jak księżyc, który zapuszcza się w nieznane. Ale kiedyś byłem w gangu, miałem Mohameda na celowniku i pociągnąłem za spust w najgorszym momencie. Wąskie uliczki w sercu Piątej Dzielnicy, w których nie było sposobu, żeby uciec lub zmienić swój los, który wciąż ześlizgiwał się jak kaptur dżelaby z moich przepocornych włosów. Słowa, które oddalały się od siebie. Miejskie zabawy rozgrywane od niepamiętnych czasów... „Frankfurt”. . . „Blond dziewczyna w największym oknie pensjonatu”. . . „Nic nie mogę teraz zrobić”. . . Jestem tylko własnym złudzeniem. Moje ręce poruszają się po muralu, na którym ktoś wyższy o ode mnie o dwadzieścia centymetrów, stoi w cieniu z rękami w kieszeniach marynarki, przygotowując się na śmierć i na swoje ostateczne zniknięcie. Język innych jest dla mnie niezrozumiały. „Czuję się zmęczony, jestem na nogach od kilku dni”. . . „Blondynka idzie schodami w dół”. . . „Nazywam się Roberto Bolaño”. . . „Otworzyłem ramiona”. . .

[5]. SMUTEK. Teren kempingu w jakiejś gminie w Kalabrii. Według sensorycznego artykułu w El Periódico PEN przyjezdni turyści wciąż byli tam nękani przez miejscowych, bo w środku obozowicze, jak apostołowie wolnej miłości i zdrowego seksu, chodzili nago. Sześcioro dzieci w okolicy nie żyje. „Byli zaćpanymi tającami”. . . „To znaczy byli nie stąd, z pewnością”. . . Kilka miesięcy wcześniej na kempingu odwiedziła ich Brygada Antyterrorystyczna. „Oni wymknęli się spod kontroli, to znaczy, pieprzyli się wszyscy w tym miejscu, pieprzyli się grupowo i wszędzie tam, gdzie im się podobało”. . . „Najpierw trzymali się razem, robili to tylko na kempingu, ale w tym roku urządzali orgie na plaży i tuż pod miastem”. . . Policja przesłuchuje miejscowych: „Ja tego nie zrobiłem”, mówi jeden, „gdyby ktoś podpalił to miejsce, to moglibyście nawet mnie obwinąć, bo nie raz o tym myślałem, ale nie miałbym serca, żeby zastrzelić szóstkę dzieci”. . . Może to zrobić lokalna mafia: 'ndranghetta. A może popełnili samobójstwo. Może to wszystko było snem. Wiatr w skałach. Śródziemnomorski. Lazurowy. Niebiański.

[6]. ROZSAŃNI I BEZMYŚLNI LUDZIE. „Od początku mnie podejrzewali”. . . „Wymizowani lokalsi mogli widzieć coś poza tym, co ukrywał ten widok”. . . „Pole namiotowe, las, kort tenisowy, ujeżdżalnia koni - każda

droga zaprowadzi cię daleko, jeśli tylko chcesz odejść jak najdalej". . . „Podejrzewali, że jestem pieprzonym podglądaczem, a może jakiegoś rodzaju szpiclem". . . „Rozsądni ludzie kontra ludzie bezmyślni". . . „Ten facet, biegający tutaj dookoła, nie istnieje". . . „On jest prawdziwym przewodnikiem tego wszystkiego". . . „Ale ja też marzyłem o dziewczynach". . . „To byli ludzie, których znałmy, to były te same twarze, co zeszłego lata". . . „Byli samą życzliwością". . . „Teraz czas wymazał to wszystko". . . „Idealna dziewczyna, właśnie ta, która podejrzewała mnie od samego początku". . . „Coś sobie zmyśliłem". . . „Nie było żadnego szpiegowania, ani nic podobnego do tego gówna". . . „To było tak oczywiste, a oni nie chcieli w to uwierzyć". . .

**[7]. RZĘKA NIL.** Do diabła, który wciąż nadchodzi. . . Sophie Podolski popełniła samobójstwo już sześć lat temu. Teraz miałaby dwadzieścia siedem lat, jak ja teraz. Egipskie wzory na suficie, powoli nadchodzą sezonowi robotnicy, wokół są pola pełne kurzu, jest koniec kwietnia i płacą im heroiną. Włączyłem radio, bezosobowy głos podaje liczbę aresztowanych dzisiaj w każdym mieście. „Północ, nic nie zgłoszono". Dziewczyna, która przeżywała koszmary w jakimś zakątku Brukseli, ma już tego wszystkiego dość, kurwa. „Ach, jak wziąć szturmem te karabiny, pistolety, stare granaty". Jestem sam, a całe to literackie gówno wylewa się bez końca z wyrzuconych na śmietnik poetyckich czasopism, limitowanych edycji specjalnych, cały ten ponury żart, który mam już za sobą. Drzwi otworzyły się przy pierwszym kopnięciu i facet wcisnął mi pistolet pod brodę. Opuśczone budynki w Barcelonie są jak zaproszenie, abys spokojnie mógł się w nich zabić. Słońce nad Nilem za kurtyną pyłu o zachodzie słońca. Sześć płaci im heroiną i sezonowi robotnicy rolni, parszkając, wciągają ją do nosa, z usypanych równo, jak linijki wiersza, rowków i kresiek, wśród zmarniałych palm, które ktoś tutaj kiedyś posadził. Belgijska dziewczyna, która pisała wiersze olśniewające jak gwiazdy. "Miałaby teraz dwadzieścia siedem lat, jak ja"...

**[8]. CZYSZCZENIE GARÓW.** Wieczna chwała autostradom i tym chwilom. Porzucone przez włóczęgów parasole leżą na parkingach centrów handlowych, które zbudowano na dwóch przeciwnych krańcach wśród innych białych supermarketów. Jest lato i policjanci piją na tyłach baru. Obok szafy grającej jakaś dziewczyna słucha najnowszych hitów. Mniej więcej w tym samym czasie ktoś idzie, daleko stąd, jak najdalej stąd, nie planując powrotu. Czy to nagi chłopiec siedzi przed swoim namiotem wśród drzew? Jakaś dziewczyna wpada do łazienki i zaczyna wymiotować. Kiedy się nad tym zastanowić, nie dano nam tutaj na Ziemi zbyt wiele czasu, aby coś dla siebie w życiu zrobić: to znaczy, żeby uciąć coś razem, wziąć ślub, doczekać śmierci. Jej oczy w lustrze, jak litery rozłożone w ciemnym pokoju; skulony oddychający kształt zagrzebał się razem z nią w łóżku. Mężczyźni rozmawiają o zabitych, drobnych oszustach, cenach domów na wybrzeżu, nieplanowanych wydatkach. Pewnego dnia umrą na raka. Narzędzia do zmywania i zamiatania zaczynają lewitować w jej głowie. Mówi: mogłabym też wirować i wymiatać. Dzieciak, którym jest każdy mężczyzna, wszedł do pokoju i wziął ją w ramiona. Oboje płakali, jak postacie wyświetlane z różnych filmów na ten sam ekran. Na czerwonej scenie obracają się ciała w gazowych płomieniach. Koścista, ale piękna, ręka przekręciła gazowy kurek.

Wybierz tylko jedno ze zdań: „Uniknąłem tortur"... „Nieznany hotel"... „Nigdy więcej dróg"...

**[9]. MAŁPA.** Nazywać znaczący aprobować, powiedziała dziewczyna (osiemnaście lat, poetka, długie włosy). Parkowanie ambulansu w alejce zajęło godzinę. Medyk zgasił butem papierosa, a potem ocleźla, jak niedźwiedz, ruszył naprzód. Życze tym nieszczęśliwym ludziom w oknach, aby pogasili światła i poszli wreszcie spać. Kim był pierwszy człowiek, który wyrzucił przez okno? (Owacyjnie oklaski.) Ludzie są zmęczeni, nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś dnia przywitani nas gradem kul. Czuję się jak mała. Nie mogę połączyć dwóch słów. Nie mogę mówić zrozumiale lub napisać tego, czego chcę. Chyba powinienem rzucić to wszystko i odejść, czyż nie tak postąpiła święta Teresa z Avili? (Brawa i śmiech.) Mała wygląda przez brudne okno, obserwuje znikanie dziennego światła. Medyk podszedł tam, gdzie sierżant palił papierosa. Skinęli do siebie głowami, nie patrząc sobie w oczy. Od razu widać było, że on nie umarł na zawal serca. Leżał twarzą w dół, a w brązowym swetrze na jego plecach widać było dziury po kulach. Opróżnili karabin maszynowy prosto w niego, powiedział krasnolud, który stał na lewo od sierżanta i któregoś medyk nie widział. W oddali usłyszeli stłumione odgłosy protestu. Maszerujący tłum. Lepiej chodzić zanim zablokują ulice, powiedział krasnolud. Sierżant jakby go nie słyszał, zatopiony w kontemplacji ciemnych okien, za którymi jacyś ludzie oglądali ten spektakl. Pośpieszmy się. Ale gdzie idziemy? Nigdzie nie ma posterunku policji. Nazywać znaczący akceptować, powiedziała dziewczyna, śmiejąc się, jakby jakaś pasja doprowadziła ją do ostateczności. Samochody zatrzymują się na wybojach, między kubłami na śmieci. Z nieznanego powodu ich drzwi się otwierają, a potem zamykają. Wyją silniki, zapalają się latarnie uliczne, ambulans cofa się. Zmarnowana godzina dogorywa. Miałę, że to była mała na szczycie drzewa.

**[10]. NIC NIE BYŁO.** Nie ma posterunków policji ani szpitali. Niczego. Przynajmniej nie ma nic, czego nie dałoby się kupić za pieniądze. „Działamy pod wpływem chwilowych impulsów"... „To jest ten rodzaj rzeczy, które niszczyły instynktownie, a potem niech nas powieszą"... „Pamiętacie ten żart o torreadorze, który wchodzi na arenę na której nie ma byka, barier i balustrad, żadnych trybun, ani widzów?"... Policjanci rajcuje witalność anarchii. Ktoś zaczął owacyjnie klaskać.

**[11]. WŚRÓD KONI.** Śniła mi się kobieta bez ust, mówi mężczyzna leżąc w łóżku. I nie może powstrzymać się od śmiechu. Z wysiłkiem odsuwa od siebie ten powracający obraz. Mówi do niej: znam całkiem inną historię, która jest tak samo smutna. Mężczyzna jest pisarzem, który mieszka na peryferiach miasta. Zarabia na życie pracując w ujeżdżalni koni. Nigdy nie prosi o zbyt wiele, chciałby mieć tylko jakiś pokój dla siebie i czas na czytanie. Ale pewnego dnia poznaje dziewczynę, która mieszka w innym mieście i zakochuje się w niej. Oboje decydują się wziąć ślub, a wtedy dziewczyna z nim zamieszka. Pojawia się pierwszy problem: znalezienie odpowiedniego miejsca dla nich dwojga. Drugi problem polega na tym, skąd wziąć na to pieniądze. A potem jeden problem wiąże się z drugim: praca ze stałym dochodem (w stajni pracuje na prowizji plus opłacona kwatery, żywienia i niewielkie miesięczne kieszonkowe), zdobywanie dokumentów do

rejestracji w urzędach, pomocy społecznej, polisy ubezpieczeniowej itp. Ale w tej chwili potrzebuje pieniędzy, aby dostać się do miasta, w którym mieszka jego narzeczona. Przyjaciel doradza mu pisanie reportaży do gazet. Przepyszcza, że honoraria za pierwsze cztery teksty mogłyby wystarczyć na bilety autobusem w obie strony oraz kilka dni pobytu w tanim hotelu. Więc mężczyzna pisze list do swojej dziewczyny, żeby jej powiedzieć, że wkrótce przyjeżdża. Ale nie może skończyć ani jednego artykułu. Spędza wieczory siedząc na świeżym powietrzu w barze obok ujeżdżalni, w której pracuje, próbując pisać, ale nie może nawet zacząć. Nic mu z tego nie wychodzi, jak to się mówi potocznie. Mężczyzna zdaje sobie sprawę, że jest skończony. Wszystko, co jest w stanie napisać, to krótkie historie kryminalne. Podróż oddala się od niego w nieokreślonej przyszłości, czuje, że jest stracony, staje się apatyczny, bezwładny, zachowuje się jak automat, gdy pracuje wśród koni.

**[12]. INSTRUKCJE.** Opuściłem miasto z instrukcjami w kopercie. Do celu nie było zbyt daleko, nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia kilometrów na południe, wzdłuż nadmorskiej autostrady. Miałem rozpocząć śledztwo na obrzeżach miejscowości turystycznej, z której stopniowo znikali ludzie, podejmując pracę gdzieś indziej. Niektórzy faktycznie pracowali w mieście. Inni niestety nie. Miejsca, które miałem odwiedzić były całkiem zwykłe: kilka hoteli, kemping, posterunek policji, restauracja, stacja benzynowa. Później zamierzałem odwiedzić także inne posesje. Słońce biło prosto w szyby samochodu, nietypowo jak na październik. Ale powietrze było zimne i autostrada była prawie pusta. Przejechałem obok pierwszego ciągu fabryk. Potem były koszary artylerii, w których, przez otwartą bramę, widziałem grupę rekrutów palących papierosa, a w głębi resztę wojska. Dziesięć kilometrów dalej dostatem się do czegoś w rodzaju lasu poprzecinanego willami i mieszkalnymi blokami. Zaparkowałem samochód za kempingiem i przez chwilę spacerowałem, dopóki nie skończyłem papierosa, niepewny, co mam robić. Dwieście metrów dalej, tuż przede mną, pojawił się pociąg. To był niebieski pociąg, maksymalnie cztery wagony. Był prawie pusty, odwróciłem się. Zatrąbiłem kilka razy, ale nikt nie przyszedł podnieść szlabanu. Podjazd, w cieniu wysokich sosen, był pokryty żwirem; po obu stronach stały namioty i kampery zamaskowane przez roślinność. Pamiętam, że wyglądało to jak dżungla, chociaż ja nigdy nie byłem w dżungli. Na końcu drogi, tam gdzie skręcała, coś poruszało się, a wtedy w polu widzenia pojawił się starzec, który pchał przed sobą kubeł na śmieci. Pomachałem ręką do niego. Z początku wydawało się, że mnie nie widzi. Ale w końcu podszedł, patrząc z rezygnacją i ciągnąc za sobą ten kubeł. Jestem z policji, powiedziałem. Przesięgam, że nigdy nie widział tej osoby, której szukam. Jesteś pewny? Zapytałem, wręczając mu papierosa. Powiedział, że jest absolutnie pewny. Była to mniej więcej ta sama odpowiedź, którą otrzymywałem od wszystkich. Zmierzech zastał mnie w samochodzie zaparkowanym na Paseo Marítimo. Wyjąłem instrukcje z koperty. Opisywały jakieś koszty ogólne, ale światło w samochodzie nie działało, więc musiałem zapalić papierosa, aby łatwiej je było czytać. Kilka arkuszy z odręcznymi poprawkami. Nigdzie nie było napisane, co właściwie powinienem tam robić. Na niektórych stronach było trochę czarno-białych zdjęć. Przystudiowałem je uważnie: pokazywały odcinek Paseo Marítimo, gdzie właśnie teraz byłem, a może wcześniej w ciągu



jednego. Tak naprawdę, to szukał kogoś innego, przypuszczał, że w ten sposób uzyska jakieś informacje. Dziewczyna patrzyła zachód słońca, opierając się o ogrodzenie stajni. Sierżant odszedł ścieżką przez trawnik, miał szerokie ramiona i granatową kurtkę. Powoli zaczynało padać. Zamknięta oczy, wtedy ktoś powiedział do niej, że śnił mu się korytarz pełen kobiet bez ust. Więc poszła w stronę lasu. Jakiś pracownik, zmęczony starzec, gasił światła w stajni. Rękawem przecierał szyby w okiennicach. Policjant odszedł bez pożegnania. Zdjęta legińska w ciemnej sypialni. Przeszła w kątek pokoju, włosy opadały wokół jej ramion i przez chwilę stała tam bez ruchu. Dziewczyna została już kiedyś zgwałcona i sierżant zakładał, że mogłaby znowu służyć jako świadek. Naprawdę myślał o czymś innym. Postawił wszystko na jedną kartę. Dokładnie ukrył się w ciemnościach. Gotowy do skoku stał w krzewach na klombie. Przez brudne okna widać było gwiazdy. Pamiętam, że była zimna, bezchmurna noc. Z miejsca, gdzie stał, policjant wdział dokładnie ujeżdżalnię, stajnie, prawie zawsze zamknięty bar, pokoje gości. Dziewczyna wyglądała przez okno i uśmiechała się. Ustąpiła kroki na schodach. Sierżant zapewnił ją, że nie musi o tym mówić, jeśli nie chce. „Moja wiara w Boga prawie nie istnieje, z mojego punktu widzenia”... „Szukam kogoś, kto mieszkał tu kilka sezonów temu, mam dowody na to, że go znałaś”... „Niemożliwe, zapomnij o kimś, kto tak wyglądał...” „Nie chcę cię skrzywdzić”... „Wzdłuż wybrzeża znaleźli bujne ogrody i apartamenty, które stały opuszczone aż do następnego lata”... „Raj”... „Rudowłosa dziewczyna patrzyła na ognisty zachód słońca nad stajnią”...

[15]. PRZEŚCIERADŁO. Anglik powiedział, że to nic nie jest warte. Od dawna zastanawiam się, co właściwie oznacza bycie Anglikiem. Przed nim cień człowieka przemknął przez las. Upadł na kolana, ale nie próbował wstać. Jakiś mężczyzna wyskoczył zza krzaka. Na jego przedramieniu wisiła płachta białego prześcieradła, niczym starannie złożona zapaska, czy może ściereczka, jak u eleganckiego kelnera, który każdego wieczora obsługuje swego pierwszego klienta. Jego ruchy były trochę niezdarne, a jednak kiedy szedł, promieniował swobodą i pewnością siebie. Garbus, ten humbak, wieloryb, przypuszczał, że to był mężczyzna, którego widział. Za pomocą żółtego sznurka mężczyzna przywiązał wysoko jeden z rogów prześcieradła do sosny, a drugi róg do gałęzi innego drzewa. Powtórzył operację z dolnymi rogami, przy czym garbus widział tylko jego nogi, bo reszta ciała była ukryta za tym białym ekranem. Garbus słyszał, jak mężczyzna zakaszłał. Potem przeszedł na drugą stronę i sprawdzał węzły, które mocowały prześcieradło do drzew. Niezłe, niezłe, powiedział garbus, ale mężczyzna całkiem go zignorował. Sięgnął lewą ręką do lewego górnego rogu ekranu i przesunął po nim dłonią, aby wygładzić tkaninę na środku. Kiedy to zrobił, cofnął rękę i uderzył w prześcieradło kilka razy palcem wskazującym, aby sprawdzić czy jest dobrze napięte. Odwrócił się twarzą do garbusa i westchnął z zadowoleniem. Następnie mlasnął językiem. Jego włosy, mokre od potu, opadały mu na twarz. Miał długi czerwony nos. Faktycznie, niezłe wyszło, powiedział. Mam zamiar pokazać film. Uśmiechnął się przeproszająco. Zanim odszedł, popatrzył na ciemniejące wierzchołki drzew.

[16]. MOJA JEDYNA MIŁOŚĆ. Ktoś opisał na ścianie moją jedyną prawdziwą miłość. →

dnia. „Nasze historie są smutne, sierżancie, nie ma sensu próbować ich zrozumieć”... „Nigdy nie nikogo skrzywdziłem”... Nie ma sensu próbować ich zrozumieć”... „Morze”... Zwinąłem papiery i wyrzuciłem przez okno. Wydawało mi się, że widzę lusterko wstecznym, jak wiatr porwa je ze sobą. Włączyłem radio, muzyka, wiadomości z miasta. Wyłączyłem to. Zapaliłem papierosa. Zamknąłem okno, wciąż patrząc przed siebie, obserwując pustą ulicę i zabite deskami okna w domach. I wpadłem na pomysł zamieszkania w jednym z nich w okresie zimowym. Muszą być tanie, powiedziałem, nie mogąc powstrzymać dreszczy.

[13]. BAR. Obrazy przesuwają się wzdłuż drogi, ale niczego nie oznaczają, po prostu przepadają, to jest takie beznadziejne, mówi jakiś głos, więc garbus, ten pomarszczony humbak, ten szary wieloryb, dopytuje się: beznadziejne ale dla kogo? Naszym przeznaczeniem są rzymskie mosty, myśli autor, gdy obrazy wciąż pojawiają się, niezbyt odległe, jak kolejne miasta, które mijają samochodem, pozostawiając je za sobą. (W tym momencie mężczyzna znieruchomiał.) „Zastanawiam się, ilu z nich się poszczęściło, a ilu całkiem potraciło głowy”...

„Zdecydowanie więcej jest tych z odciętej głową”... „Chociaż w wieczności trudno będzie ich odróżnić”... Żydówce, dziewczynie mojego przyjaciela, powiedziałem przy barze, że szkoda wstuchiwać godzinami takich parszywych historii. Nikt nie próbował zmienić tematu. Ociekające gównem zdania wypowiedziane na wysokości moich piersi, w taki sposób, że nie mogłem usiedzieć na miejscu, wyszedłem z baru. Historie o policjantach ścigających imigrantów. Naprawdę nic szokującego, gnębieni ludzie, pozbawieni pracy itp. To są smutne historie, które musisz ci opowiedzieć.

[14.] ONA MIAŁA RUDE WŁOSY. Pamiętam, że ta dziewczyna przenosiła się z miejsca na miejsce, nie zatrzymując się nigdzie zbyt długo. Miała rude włosy i zielone oczy. Sierżant podszedł do niej i poprosił o dokumenty. Odwróciła się, żeby spojrzeć na wzgórze, gdzie padał deszcz. Za wiele mu nie powiedziała, najczęściej po prostu przysłuchiwała się rozmowom, jakie prowadzili jeźdźcy z pobliskich stajni, budowlańcy i kelnerzy z restauracji przy autostradzie. Sierżant unikał jej wzroku, myślę, że napomknął coś o deszczu na równinie, potem wyciągnął paczkę papierosów i zaferował jej

Dziewczyna trzymała papierosa w ustach i czekała, aż mężczyzna poda jej ogień. Była blada, piegowata i miała włosy w kolorze mahoni. Ktoś otworzył tylne drzwi samochodu, więc cicho wsiadła. Pędzili pustymi ulicami na osiedle mieszkaniowe. To była ta pora roku, kiedy większość domów była pusta. Mężczyzna zaparkował na wąskiej uliczce, pełnej parterowych domów z identycznymi podjazdami Poszta do łazienki, a on robił kawę. Ściany kuchni pokrywały arabeski i wzorzyste brązowe kafelki, co nadawało jej wygląd sali gimnastycznej. Odsunęła zastony, nie było światła w żadnym z domów po drugiej stronie ulicy. Zdjęła satynową sukienkę, a mężczyzna przypalił jej następnego papierosa. Zanim ściągnęła majtki, mężczyzna ułożył ją na czworaka, z wypiętym tyłkiem i głową w dół, na miękkim białym dywanie. Słyszała, jak szukał czegoś w czerwonej szafie wbudowanej w ścianę. Poprzez swoje roztawione nogi widziała jego odwróconą postać. Mężczyzna uśmiechał się do niej. Ktoś przechodził ulicą, pełną samochodów ustawionych na podjazdach do garaży. Na końcu ulicy, w oświetlonym miejscu, jak wisielnik huśtał się szyld dawno zamkniętej, najlepszej w tej okolicy, restauracji. Jakies kroki oddalały się w dół ulicy. Z daleka błyskały reflektory. Dziewczyna powiedziała: nie, nie. Wstuchiwała się. Jest chyba ktoś na zewnątrz. Mężczyzna podszedł do okna, po czym nago skierował się do łóżka. Była piegowata i czasami udawała, że śpi. Mężczyzna patrzył na nią, odczuwając pewien rodzaj stodyczy. Zapadła cisza, jakby stworzona tylko dla nich. Przycisnął twarz do jej twarzy, aż zabolota i wszedł w nią jednym pchnięciem. Może trochę krzyczała. Z ulicy nic nie było słychać. Zasnęli nie odsuwając się od siebie. Ktoś jednak wtedy przechodzi. Widać tylko jego plecy, brudne spodnie i buty na obcasie. Wchodzi do baru i siada w kącie, czując mrowienie na całym ciele. Jego ruchy wywołują niejasne, niepokojące doznania u innych pijących. Czy jestem w Barcelonie? - pyta. W nocy wszystkie posiadłości wyglądają podobnie, za dnia wrażenia są inne, jakby rządziły nimi rosnące tam rośliny, klomby oraz pnącza winorośli. „Dobrze dbają o swoje samochody i podwórka”... „Ktoś specjalnie uciszył to wszystko dla nas”... „Najpierw wszedł i wszedł, a potem ruchem okrężnym”... „Jej pośladki były podrapane”... „Księżyc skrył się za jedynym wysokim budynkiem w okolicy”... „Czy to Barcelona?”...

[17]. CICHĄ PRZERWA. Popatrz na te zdjęcia, powiedział sierżant. Mężczyzna siedzący przy biurku odwrócił się i spojrzał na zdjęcia obojętnie. Jak myślisz, co tu jest? Sierżant zamrugnął z szekspirowskim animuszem. Zostały wykonane jakiś czas temu, powiedział, prawdopodobnie starym radzieckim Zenitem. Czy nie widzisz na nich czegoś dziwnego? Porucznik przytknął oczy, zapalił papierosa. Nie wiem, o czym mówisz. Spójrz, powiedział głośno... „Pusta działka o zmierzchu”... „Długa rozmyta plaża”... „Czasem można pomyśleć, że nigdy wcześniej nie używał tego aparatu”... „Rozpadające się mury, brudny taras, zwirowa ścieżka, widać, że pracuje Biuro Recepcji”... „Worki cementu na poboczu drogi”... „Okna restauracji, ale nieostre”... Nie wiem, co on, do cholery, próbował tutaj sfotografować. W tych oknach sierżant dostrzegł przejeżdżający pociąg. Był tak zatłoczony, że pasażerowie obsiedli nawet dach. Jednak powiedział, że nie ma w nim ludzi. Zamknął drzwi. Policjant idzie długim, słabo oświetlonym korytarzem. Mija innego gliniarza z aktami w ręku. Lekko skinęli do siebie głowami. Policjant otwiera drzwi ciemnego pokoju. Widzi mężczy-

znej, który stoi nieruchomo, oparty plecami o metalowe szafy. Popatrz na te zdjęcia, poruczniku. To nie ma żadnego znaczenia. Popatrz, no popatrz! Skoro nic się już nie liczy, to wracaj do swojego biura. „Znalazł się w martwym punkcie.”... Wszystko, czego chcę, to zezwolenie na powrót do miejsca, w którym ktoś zrobił te zdjęcia. Daj mi chociaż ustne upoważnienie. Te worki cementowe być może służyły do budowy linii energetycznej, tam gdzie instalują bezpieczniki. Mogę znaleźć hurtownię, z której zostały dostarczone. To nie jest Barcelona, mówi głos. W zamglonym oknie zauważył przejeżdżający pociąg pełen ludzi. Pod światło widać zarys lasu, nawet przez wpół przykrynięte oczy można to zobaczyć. „Miałem koszmarny sen i obudziłem się, kiedy wypadłem z łóżka, a potem śmiałem się z siebie przez prawie dziesięć minut.”... Znalazłem dwóch innych gliniarzy, którzy rozpoznaliby tutaj garb, ale teraz są nieobecni, wykonują zadania specjalne, co za pech. To i tak nie ma większego znaczenia. Na tym niewielkim czarno-białym zdjęciu, jak każdy z nas, możesz najwyżej zobaczyć plażę i skrawek morza. I to dość niewyraźnie. Tam jest coś napisane na piasku. Może to jakieś imię, a może nie, być może to są po prostu ślady fotografa.

[18]. ROZMAWIAJĄ ALE BEZ SŁÓW. To absurd, żeby widzieć w każdej przechodzącej dziewczynie zakłąkę księżniczkę. Czy naprawdę myślisz, że jesteś pięknym trubadurem? Chudy nastolatek gwizdnął z podziwem. Stał się nad brzegiem stawu, a niebo było niezwykle błękitne. W oddali widać było ponad drzewami i dym z kominą unosił się ponad drzewami. Świeże drewno jest najlepsze do palenia czarownic, powiedział starzec, a jego usta ledwo się poruszały. Chodzi o to, że prawie wszystkie ładniejsze dziewczyny i tak lądują w łóżku z jakimś technokratą lub menadżerem. Pięć metrów ode mnie skoczył pstrąg. Zgasilem papierosa i zamknąłem oczy. Pod powiekami widziałem zajęętą czytaniem meksykańską dziewczynę. Jest blondynką, ma długi nos i wąskie usta. Podnosi wzrok, odwraca się i śmieje w stronę kamery, ulice są wilgotne po deszczu. W mieście Meksyk sierpień i wrzesień już dawno minął. Idzie w dół ulicy w białym płaszczu i butach. Palcem wskazującym naciska guzik do windy. Przyjeżdża winda, ona otwiera drzwi, wybiera piętro i zerka na siebie w lustrze. Tylko przez chwilę. A trzydziestoletni mężczyzna, który siedzi w czerwonym fotelu, patrzy, jak wchodzi do środka. Ma ciemne włosy i uśmiecha się do niej. Mówię do siebie słowami, które nie zapisały się na ścieżce dźwiękowej. W każdym razie, muszą mówić takie rzeczy: jak minął dzień, jestem zmęczony, weź kanapkę z awokado, leży w kuchni, dzięki, dzięki, piwo z lodówki. Na zewnątrz pada deszcz. Pokój jest przytulny, z meksykańskimi meblami i dywanikami. Oboje leżą w łóżku. Widać krótkie, jaskrawe światła błyskawic. Spleceni i nieruchomi, wyglądają jak wyczerpane dzieci. Chociaż nie mają powodu do zmartwienia. Odjazd kamery. Właściwe informacje i tak pójdą w świat. Niebieski pasek dzieli obiektyw na dwie części. Jak szaro-niebieski garbus? On jest draniem, ale umie udawać czułość. To drań, ale delikatnie ją obejmuje. Widać jej twarz schowaną pomiędzy poduszkę i szyję kochanka. Zbliżenie kamery: nieruchome twarze, które jakoś tak, bez powodu, odsuwają się od siebie. W długim ujęciu widać gipsową maskę, następnie zakrytą twarz, która pograża się w ciemności. Absurdalna myśl, że tylko tutaj są ładne dziewczyny. Obrazy przesuwają się jeden po drugim, staw i drzewa, chata z ogniem w kominu,

kochanek w czerwonej koszuli, dziewczyna, która odwraca się i uśmiecha do ciebie. Nie ma nic diabolicznego w tym wszystkim. Wiatr kołysze drzewa, które rosną w tym miejscu. Czy to szaro-niebieski garbus pojawia się po drugiej stronie lustra? Nie wiem. Dziewczyna jadąca motocyklem, patrzy przed siebie, na koniec bulwaru. Jeśli pojedzie w tym kierunku, może dotrzeć do morza. Wkrótce dojechała do morza.

[19]. ROMANTYCZNA OPOWIEŚĆ. Milczałem przez chwilę, a potem zapytałem, o czym naprawdę myślał Roberto Bolaño. Czy pomagał garbusowi tylko dlatego, że od lat był zakochany w meksykańskiej dziewczynie, a garbus też był Meksykaninem. Tak, to brzmi jak tani romans, ale nie wiem, jak inaczej to wytłumaczyć, powiedział gitarzysta, to znaczy w tamtych czasach solidarność lub desperacja, te dwa wystarczająco dobre powody by pomagać Meksykaninowi, nie przepętniała już Bolaño. Ale z drugiej strony, nostalgia...

[20]. POWIEŚĆ. Streszczenie. Garbus w pobliskim lesie, pole namiotowe i korty tenisowe oraz szkoła jeździecka. W Barcelonie, w południe, Amerykanin umiera w cuchnącym pokoju. Policjanta pajęczyna. Gliniarze, którzy bzykają bezimienne dziewczyny, anonimowe dziwki. Angielski pisarz rozmawia z garbusiem w lesie. Tchnienie śmierci i dupek z Ameryki Południowej są gdzieś w drodze. Pięciu lub sześciu kelnerów wraca do hotelu wzdłuż opustoszałej plaży. Początek jesieni. Wiatr podrywa i unosi z wydm ziarna piasku.

[21]. KIEDY BYŁEM CHŁOPCEM. Koniec przypadkowych scen, długowłose dzieciaki znów są na plaży, ale być może tym razem to ja śnię – jakieś drzewa, wilgotne powietrze, broszurowe czytadła, lśniące zjeżdżalnie, przy których kręci się mała dziewczynka, ktoś znajomy albo czarny samochód. Powiedziałem, poczekaj, aż ruch tych ciał, włosów, wytatuowanych ramion, pozwól ci wybrać - pobyt w więzieniu lub operację plastyczną. Powiedziałem, nie czekaj na mnie. Garbus, ten humbak, wierzolary, wycinał coś, co wyglądało jak miniaturowy afisz i uśmiechał się do nas spod sosnowych gałęzi. Stał pod drzewem, od jak dawna tam był, nie wiem. „Nie mogę skupić się na tym, co się dzieje, są zbyt wysoko”... „Dziewczyna jest nieruchoma, a mimo to kręci się, jakby była przywiązana do łóżka na stałe wmontowanego w parkiet. Kiedy byłem chłopcem, śniłem coś takiego: Co to za rysunek? ... Linia prosta to spokojne morze, falista linia to morze pofalowane, a postzępiona linia to morze wzburzone”... „Chyba nie mam poczucia piękna” ... „nnnnnnn” ... „Mała łódka”... „nnnnnnn”... „nnnnnnn”...

[22]. MORZE. Zdjęcia plaży w Castelldefels... Fotografie z kempingu... Zanieczyszczone morze ... Śródziemnomorski klimat, październik w Katalonii... Samotny... Obiektyw Zenitha... Oni kolejno się pojawiali. Linia prosta sprawiła, że się opanowałem. Co to za rysunek? Czuję, że falista linia mnie niepokoi i oznacza niebezpieczeństwo, ale podobobała mi się ta jej płynność: w górę i w dół, chyba nawijają to do słów „Tu es la vague, moi l'île nue” („Jesteś falą, a ja nagą wyspą”) z piosenki „Je t'aime... moi non plus” Serge Guinsburga i Jane Birkin z 1969 roku. Ostatni fragment tej falistej linii był jak pobudzenie. Czuję ból w penisie, boli mnie brzuch...

[23]. DOSKONAŁOŚĆ. Hamlet i La Vita Nuova, obydwa dzieła przepętnia młodzieńczy duch. Sama niewinność, mówi Anglik,



a raczej niedojrzałość. Z ekranu słychać tylko śmiech, cichy śmiech, który zaskakuje widzów, jakby oni sami wstuchiwali się w swoje ostatnie tchnienie. „Każdy może umrzeć” oznacza jednak coś innego niż „Każdy i tak umrze”. Naiwny młodzian, który w każdym oddechu dostrzega cuda, zabawę, perwersję, czystość. „Słowa są puste”... „Jeśli odłożysz tę broń, możemy zacząć negocjować”... Autor, śpiąc średnio trzy godziny na dobę, zapisuje te złowrogie zdania obok basenu na początku października. Niewinność, prawie jak na obrazie Loli Muriel, który chciałby zniszczyć. (Ale nie może zniszczyć tego, czego nie posiada). Pożądanie potączone z załamaniem nerwowym doznany w tanych pokojach popycha poezję ku czemuś, co detektywi nazywają perfekcją. W ślepy zautek. [Nawiązanie do słów „L'amour physique est sans issue” („Miłość fizyczna to ślepy zautek”) z piosenki „Je t'aime... moi non plus” Serge Guinsburga i Jane Birkin z 1969 roku]. Do lochu, który wypełnia się absolutną stagnacją. A jednak, ktoś inny znalazłby się tutaj, jak nie La Vita Nuova i Hamlet. „Piszę przy basenie, na polu namiotowym, jest październik i coraz więcej much dookoła, a coraz mniej ludzi. W połowie miesiąca, a więc dotąd, dopóki tu zostaniemy, nie będzie już nikogo i sprzątaczką przestanie przychodzić. Może do końca miesiąca wyniosą się także muchy”.

**ROBERTO BOLAÑO**

Grzegorz BAZYLAK

# ROBERTO BOLAÑO (1953 - 2003): MEDIUM MISTERNYCH SPLOTÓW

„**AMBERES**” była pierwszą powieścią **Roberto Bolaño**, którą napisał w 1980 roku w Hiszpanii. Na jej publikację zdecydował się dopiero po upływie dwudziestu dwóch lat, w roku 2002, gdy zyskał już międzynarodowe uznanie i artystyczny prestiż, na kilka miesięcy przed swoim nagłym zgonem w lipcu 2003 roku. W tej skromnej mikropowieści autor nawiązuje do autentycznych wydarzeń ze swojego życia, zagubionego chilijsko-meksykańskiego imigranta, który w latach 1976-1980 na terenie Francji, Belgii i Hiszpanii utknął w pułapce demokratycznego państwa. Zawarta w 56 epizodach akcja powieści toczy się wokół dziwnego śledztwa i tajemniczej zbrodni, w topografii obskurnych hoteli i pustych kempingów, pośród jesiennej sceny wybrzeża Costa Brava. Wypętłona jest nieszczęśliwymi dziewczynami, włóczęgami, poetami i policjantami. Wątek sensacyjny przeplata się z przypadkowymi dźwiękami, rozmowami przechodniów, głosami z sennych koszmarów, wspomnieniami lektur, analizami fotografii i rozmyślaniami wszechwiedzącego narratora, jakim jest sam autor.

W tej z pozoru chaotycznej powieści kryminalnej zastosował **Roberto Bolaño**, chociaż jeszcze w szczątkowej postaci i ograniczonym zakresie, wyrafinowane rozwiązania literackie, które poprzednio spotykane były w równie innowacyjnej kombinacji tylko w twórczości Jorge Luisa Borgesa (1899-1986), m.in. sugerowany dokumentaryzm, maskująca demistyfikacja, etyczne przesłanie, ironiczne przerysowanie, estetyczne deformacje oraz intensywną metatekstualność. W takiej wielowątkowej, często zagmatwanej, narracji, równocześnie absurdalnej, współbieżnej, urwanej i aluzyjnej, gdzie retrospekcja przenika się na każdym etapie z introspekcją, jakiegokolwiek powiązanie zjawisk, ich następstwo i natężenie, zostaje przedstawione w dowolnej kolejności, jako coś zaledwie prawdopodobnego, pozbawionego pewności, co stanie się wkrótce znakiem firmowym kolejnych powieści **Roberto Bolaño** wydawanych w latach 1993-2003. Pisanie, a właściwie czytanie-jakopisanie, stało się dla **Roberto Bolaño** sposobem na ukazanie płynności historii oraz pokonanie tyranii semiotycznej przemocy, bo wtedy, jako uwolniony od własnej tożsamości podmiot, mógł podjąć swobodną grę z zakorzenionym w tradycji językiem, który raczej konstruuje rzeczywistość niż ją rejestruje, odtwarza czy utrwala.

Zagadkowy tytuł powieści „**AMBERES**”, pomimo ściśle geograficznego i nieco ironicznego sensu tego słowa w języku hiszpańskim (miasto Antwerpia, stolica belgijskiej Flandrii, która była w czasach Rubensa prowincją Hiszpanii), może również z premedytacją nawiązywać do jego znaczenia w języku hindi, w którym słowo „amberes” oznacza „bursztyn”, czyli kamienią, wydobywaną z dna morza, żywicę roślinną, będącą cennym materiałem jubilerskim. Bursztyn zwany jest złotem

północy, dodaje ludziom siły, mądrości i pewności siebie.

Ale słowo „amberes” kojarzy się także ze słowem „ambra”, które oznacza wydzielinę z jelit kaszalota, jaka unosi się sporadycznie na powierzchni morza, nabierając jego rybiego zapachu i słonego smaku. Niektórzy mówią, że to wymiociny lub produkty defekacji, menstruacji albo polucji. Ambra oznacza zatem coś rzadkiego i cennego. W 2020 roku producenci perfum płacili 115 tys. złotych za jeden kilogram zbrzydlonej ambry. Ponadto, szumiące w tej powieści morze, wraz powtarzającymi się opisami przemocy, wielokrotnie staje się dla **Roberto Bolaño** marnym punktem, który wywołuje wstrzymanie narracji, jak w filmie „Szalony Piotruś” („Pierrot le fou”, 1965) Jean-Luc Goddarda (1931-2022).

Zatem „amberes” to dystopijna synegdocha otaczającego nas wybrakowanego globalnego świata, który tonie w apokaliptycznym morzu wszelkiego rodzaju wybrakowanych miejsc, istot i rzeczy, wśród odpadów, ścinków, śmieci, ścieków, fragmentów i odłamków, wciskanych miliardom ludzi na siłę, całodobowo i bez ograniczeń, gdzie tylko nieliczni, jak te „faktualistyczne świny, mugwumpowie lub aligatory wśród puszek i butelek” z cenionej przez **Roberto Bolaño** powieści „Nagi lunch” („Naked lunch”, 1959) Williama G. Burroughsa (1914-1997) oraz jej filmowej adaptacji z 1991 roku w reżyserii Davida Cronenberga (1943-), widzą na mulistym dnie błysk złota, labirynty literatury lub nieodstąpnalnego specyficznego piękno, które pozostaje wierne sobie dopóki jest zastosowane.

Wieloryb pojawia się także na kartach powieści „**AMBERES**”, co być może wskazuje na to, że **Roberto Bolaño**, jako biedny imigrant i bezdomny nomada, czuł się w latach 80. w Barcelonie, dokładnie tak samo, jak zdezorientowane i zagubione wieloryby, które często pojawiają się w pobliżu brzegów Katalonii lub jak ten wyjątkowy wieloryb wyrzucony z morza na plażę 2 lipca 1577 r. w Antwerpii, w której mieszkał kiedyś przez kilka dni. Nota bene, posługujący się także językiem hindi wyznawcy dżinizmu (ang. *jainism*), przejeźli w Antwerpii po 2005 roku od potomków Abrahama niemal w całości przemysł obróbki i centra handlu diamentami, z których to miasto słynęło przez kilkadziesiąt lat, a ponadto wybudowali w 2010 r. w tym mieście, w dzielnicy Wilrijk, jedyną w Europie świątynię dżinizmu – Jain Temple i Jain Cultural Centre Antwerp Vzw, którą skonstruowano w całości z oryginalnych elementów,

ROBERTO BOLAÑO

*Amberes*

ANAGRAMA  
Narrativas hispánicas

Okladka pierwszego wydania powieści „Amberes”, Barcelona 2002.

kolumn, kopu i posągów dostarczonych na plac budowy prosto ze świętego miasta Digambarów w stanie Karnataka w Indiach. Dziwnym trafem, pod koniec omawianej powieści **Roberto Bolaño** pojawiają się w niej Nagowie, hinduskie bóstwa węzowe, nieustannie krążące między niebem a ziemią, m.in. dawcy płodności, zdrowia, bogactw, szczęścia i strażnicy podziemnych skarbów.

Warto także odnotować, że prestiżowe MHKA Museum of Contemporary Art w Antwerpii przy ulicy Leuvenstraat 32 zorganizowało okresie od 7 czerwca do 15 września 2019 roku ogromną wystawę malarstwa, asamblaży, fotografów, rzeźb oraz instalacji, które zostały zainspirowane treścią omawianej powieści „**AMBERES**”. Zaprezentowano prace 51 wybitnych artystów z całego świata, m.in. Marlene Dumas z RPA czy Nicolasa Uriburu z Argentyny, a powieść oferowano w przekładzie na język flamandzki (Lebowski Publishers, Antwerpen 2014). Krótką relację o tym wydarzeniu można obejrzeć na stronach YouTube [https://www.youtube.com/watch?v=cO270bW1\\_Kw](https://www.youtube.com/watch?v=cO270bW1_Kw).

Po raz pierwszy powieść „**AMBERES**” została opublikowana w dniu 1 września 2002 roku w Barcelonie przez wydawnic-

two Anagrama. W 2010 roku ukazało się tłumaczenie tej powieści na język angielski zatytułowane „Antwerp”, którego dla wydawnictwa New Directions Books, New York, USA dokonała Natasha Wimmer (1973-), absolwentka Harvard University (Cambridge, MA, USA), laureatka wielu amerykańskich nagród translatorskich, m.in. najbardziej prestiżowej PEN Translation Prize (2009). W tym samym tłumaczeniu omawiana powieść **Roberto Bolaño**, została wydana w 2011 roku w Wielkiej Brytanii przez oficynę Picador, która należy do wydawnictwa Pan Macmillan w Londynie. Dotychczas nie ukazało się wydanie w j. polskim, nie było także nigdy publikacji fragmentów tej powieści „AMBERES” w polskiej prasie literackiej.

**Roberto Bolaño**, chilijski pisarz, poeta i prozaik, urodził się 28 kwietnia 1953 r. w Santiago de Chile, stolicy Republiki Chile. Jako dziecko wraz z rodzicami i młodszą siostrą mieszkał w kilku różnych miastach tego kraju. Jako piętnastolatek osiadł w Mexico City, stolicy Meksyku, gdzie zakończył szkolną edukację, pracował jako reporter i poświęcał czas lekturom, a w 1972 roku założył z miejscowymi poetami Ruch Infra-realistyczny, który był mieszaniną dadaizmu i surrealizmu. W 1973 roku wrócił do Chile tuż przed ludobójczym puczem gen. Augusto Pinocheta (5 tys. zabitych cywilów w tygodnie, 11-18.09.1973, dalsze 50 tys. zabitych do 1990 roku). Gdy próbował opuścić Chile, został zatrzymany na granicy pod zarzutem terroryzmu i trafił na osiem dni do więzienia, skąd uciekł, dzięki pomocy więziennej klawiatury. Następnie w 1974 roku przedostał się do Salwadoru i znów do Meksyku, a potem do Francji (1977) i Hiszpanii (1978), gdzie był m.in. kierowcą śmieciarki, nocnym stróżem, robotnikiem portowym i akwizytorem. Na początku lat 80. zamieszkał w Geronie (Gironie w j. katalońskim), a następnie, aż

do śmierci, w nadmorskim Blanes (60 km od Barcelony), gdzie otworzył sklep z pamiątkami i sprzedawał m. in. grafiki i ceramikę Jeana Miró (1893-1983).

Od szóstego roku życia **Roberto Bolaño** ciągle pisał wiersze i poematy (wydane w 2000 roku w tomie pt. „Los perros románticos”, ale na początku lat 90., gdy się ożenił i urodziły się jego syn i córka, postanawia zarabiać i żyć z pisania prozy. Pierwsze jego powieści „Lodowisko” (1993) i „Literatura nazistowska w Ameryce” (1996) zostały opublikowane w słynnej barcelońskiej oficynie wydawniczej Seix Barra. Kolejną powieść „Gwiazda daleka” (1996) publikuje znany kataloński wydawca Jorge Herralde, który mówi o nim „to jest romantyczny pies, wściekły pies, zbity pies”. Przełom w karierze literackiej Roberto Bolaño nastąpił po entuzjastycznym przyjęciu powieści „Dzicy detektywi” (1998), za którą został uhonorowany nagrodą Herralde Prize. W tym samym roku za powieść „Rozmowy telefoniczne” (1998) uzyskuje najbardziej prestiżową nagrodę dla pisarzy chilijskich **Municipal Prize for Literature Santiago de Chile**. W 1999 roku dostał za tę powieść Premio Rómulo Gallegos - wybitnie prestiżową nagrodę literacką dla pisarzy Ameryki Łacińskiej. Jego powieść „Chilijski nokturn” (2000) została wpisana przez panel recenzentów i krytyków z „The Los Angeles Times Book Review” na listę dziesięciu najważniejszych książek wydanych na świecie w 2003 roku (The Ten Best Books of 2003).

**Roberto Bolaño**, znany z tego, że nigdy nie gryzł się język, już od początku lat 90. wiedział, że jest bardzo poważnie chory na wirusowe zapalenie wątroby. Oczekując na przeszczep, **Roberto Bolaño** umiera nagle 15 lipca 2003 roku w szpitalu w Barcelonie, na kilka dni przed planowaną operacją, z którą ciągle zwlekał, chcąc dokończyć ostatnią

monumentalną powieść pt. „2666” (2004). Wielowątkowa, paradokumentalna powieść „2666” o szalonej eskapadzie poetów, terrorku mafijnej władzy i bestialskiej masakrze kobiet na pograniczu Meksyku i USA, przyniosła Roberto Bolaño pośmiertnie największą sławę i międzynarodowe uznanie oraz status jednego z najwybitniejszych pisarzy latyno-amerykańskich, o talencie porównywalnym z takimi arcy mistrzami prozy i konwencji literackich jak Jorge Luis Borges (1899-1986), Gabriel Garcia Márquez (1927-2014), Julio Cortázar (1914-1984) czy Mario Vargas Llosa (1936-). W każdym z pięciu rozdziałów tej powieści „2666” zastosował Roberto Bolaño całkiem inne, oryginalnie rozwinięte, środki stylistyczno-fabularne, które nawiązują do formy powieści kampusowej, surrealistycznej, bitnikowskiej, szkatułkowej oraz dydaktycznej, co spowodowało, że powieść „2666” została wyróżniona m.in. nagrodą **Ciudad de Barcelona Prize**, nagrodą **Salambó Award**, nagrodą pisarzy hiszpańskich, nagrodą pisarzy chilijskich **Altazor Award** oraz ponownie **Municipal Prize for Literature Santiago de Chile**.

W Polsce ukazało się dotychczas jedno tłumaczenie powieści **Roberto Bolaño** (por. portal czytelniczy [lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)), które tłumaczyli na j. polski m.in. Carlos Marrodán Casas, Tomasz Pindel, Nina Pluta, Anna Topczewska, Katarzyna Okrasko, Jan W. Rajter, Marta Szafranska-Brandt oraz liczne opracowania krytyczno-literackie poświęcone jego twórczości w postaci artykułów m.in. prof. Arkadiusza Żychlińskiego, dr Zofii Grzesiak, doktoratów m.in. dr Arkadiusza Trojanowskiego (2020), czy też obszernych monografií naukowych, m.in. „Katedra Bolaño: szkice krytyczne”, Wojciech Charchalis, Arkadiusz Żychliński (red.), Wyd. UAM, Poznań 2015, ss. 192.

GRZEGORZ BAZYŁAK



Janusz Taranienko

## artefakty

a ta woda te słowa cóż mogą cóż mogą  
Z. Herbert, *Tren Fortynbrasa*

to był bardzo pracowity dzień  
owocny  
szereg określeń zastąpionych innymi  
kilka usuniętych wersów w niektórych  
miejscach zmieniona kolejność  
słów i zdań  
teraz  
jest lepiej  
czyściej mniej dosłowności  
powtórek bardziej metaforycznie  
z wyraźnie czytelną wieloznacznością i delikatnie  
pulsującymi emocjami wyzbytymi nadmiernego  
patosu  
wreszcie wszystko jest zapisane jak należy  
tak  
to był bardzo pracowity dzień

po powrocie z pracy pytasz jak minął  
czy powieszzone  
pranie odkurzone mieszkanie  
i co z zakupami

praktycznie nie wydarzyło się nic  
zmiana materii zaszła jedynie w śladach  
po długopisie (albo w układach  
bitów generujących znaki alt-kodu)

17-23 CZERWCA 2023

## wiarygodnie

*Maćkowi*

nie mam pojęcia  
co miałoby to być takiego  
co mógłbym zbudować ci  
dać  
żeby wiarygodnie  
powtórzyć słowa ojca  
*będzie służyć tobie*  
*twoim dzieciom i wnukom*

może po prostu obecność  
może pamięć

GRUDZIEŃ 2023 / STYCZEŃ – LIPIEC 2024

## Michał Skrętek

„Jakież to chłopiec piękny i młody. Jaka „J” to obok dziewczica...” – powiada Adam Mickiewicz w pierwszych wersach „Świtezianki”. Związek George Sand i Fryderyka Chopina był relacją zaiste romantyczną, ale i przepętną pragmatycznym dążeniem do osobistego zaspokojenia obojga kochanków.

Ambiwalencja owego romansu wynikała z charakterów pisarki i kompozytora. George Sand – na pozór uosobienie XIX wiecznego feminizmu, jednakowoż z dwójką dzieci na wychowaniu, musiała być, w moim przekonaniu, pragmatycznie romantyczna. Fryderyk zaś, pochłonięty zapisywaniem kolejnych partytur, był hipochondrykiem oraz zapatrzonym w siebie młodym człowiekiem pewnym swego talentu. Nieco światła na postać kompozytora rzuca trzynomowe dzieło autorstwa Janiny Siwkowskiej. Książka „Nokturnum czyli rodzina Fryderyka Chopina i Warszawa w latach 1832-1881” ukazuje autora „Etiudy Rewolucyjnej”, nie tylko jako bywalca salonów artystycznych, ale także człowieka, wokół którego nie brakuje osób chcących mu pomóc w jego chorobie. Zwłaszcza, że z każdym rokiem coraz bardziej doskwiera mu gruźlica, na którą w końcu umiera w 1849 roku, przeżywszy niespełna 39 lat.

„Geniusz Chopina jest najgłębszy i najbogatszy w uczucia i wzruszenia ze wszystkich jakie istnieją – pisała George Sand we wspomnieniach – Masy nie znają go i nie znają nadal. Chopin czuł swoją potęgę i swoją słabość. Jego słabość leżała właśnie w nadmiarze tej potęgi, której nie potrafił ujarzmić. Natura nie obdarzyła Chopina wyjątkowością w afektach. Uznawał wyjątkowość tylko w uczuciu, którego żądał”. Potrzebując wciąż nowych natchnień Chopin szybko się nudził, dążąc ciągle do zaspokajania chwilowych kaprysów. Związek z Sand dawał mu poczucie wewnętrznej harmonii, wyciszając nękającą go gonitwę myśli oraz chwilowe popędy.

Z kolei George Sand występuje w książce Janiny Siwkowskiej epizodycznie. Niejako na marginesie ukrywa się za wymianą listów, nie tylko z Chopinem, ale i jego matką – Justyną. Rzucająca przelotne spojrzenia w kuluarach salonów niezmiennie skupia na sobie uwagę prezentujących się tam artystów. „Na kilku lekcjach – powiada Mieczysław Jastrun opisując kursy literatury słowiańskiej Adama Mickiewicza – zainteresowanie powszechne wzbudziła pani George Sand. Na jednej stała przez cały czas, gdyż się spóźniła. Słuchacze mogli się jej przyrzeć dokładnie. Miała krótko ścięte włosy, twarz owalną i nieco wypukłe oczy...”<sup>1</sup>. Tego rodzaju spotkania były formą rozrywki ówczesnej doby, z której korzystało wiele wpływowych osób nie tylko z Paryża, ale całej Europy.

Życie George Sand upłynęło w epoce, w której nadal, wzorem wieków wcześniejszych, kobiety można było posądzić

o wszystko, ale nie o ambicje, zwłaszcza intelektualne.

„W początkowym okresie twórczości pisała liryczne powieści poruszające głównie problemy emancypacji kobiet, m.in. „Indiana” (1832)”<sup>2</sup>. Wszystkie jej miłosne powieści wpisano na indeks ksiąg zakazanych, dlatego też tym ciekawsza jest twórczość eseistyczna pisarki. Analiza dzieł: Mickiewicza, Byrona czy Goethego (każdego z nich Sand mała by okazję poznać osobiście) dają nam – dzisiejszym odbiorcom jej prozy – wyobrażenie o niezwyklej dociekliwości Aurory Dupin, która, pod pseudonimem artystycznym George Sand, przeszła do historii literatury, jako najbardziej znana muza polskiego wirtuoza fortepianu.

Urodzony w 1749 roku Johann Wolfgang von Goethe mogący, z powodzeniem, być dziadkiem George Sand, był klasycznym przykładem romantyka, którego życie przypadło także na okres bratobójczej walki „młodych” ze „starymi”. Spośród tych grup ostatnia miała, zapewne, świadomość upływającego czasu oraz tego, że nie uda się jej długo utrzymać na powierzchni ideałów przemijającego kresu oświecenia. W czasach Sand, Mickiewicza i Chopina, Goethe był już człowiekiem starym, a jego wpływ na młodszych kolegów po piórze nie ograniczał się jedynie do wspomnianego „Fausta”, którego historyczny pierwowzór był lekarzem, alchemikiem okresu średniowiecza.

Goethe zdobył sławę dzięki opublikowanemu, po raz pierwszy w 1774 roku, „Cierpieniom młodego Wertera”, które niczym „Romantyczność” Mickiewicza, stały się klasycznym przykładem manifestu epoki, zanim jeszcze metafizyka wzruszeń na dobre zagościła w świadomości społecznej na kontynencie europejskim. Samo pojęcie „romantyzmu” związane jest z okresem „Burzy i naporu” w Niemczech, a początku epoki należy upatrywać na przełomie XVII i XIX stulecia. Natomiast w literaturze nadwiślańskiej romantyzm rozpoczął się w 1822 roku, od opublikowania „Ballad i romansów” – tomu poetyckiego, dzięki któremu Adam Mickiewicz zyskał sławę prekursora tej epoki w Polsce.

Johann Wolfgang von Goethe zbudował swój literacki wizerunek na prostej historii o nieszczęśliwej miłości, jednocześnie stając się, z czasem, ofiarą własnego sukcesu. „Jakże często przeklinałem te durne strony/ na których ukazałem masom swoje młodzińcze cierpienia...”<sup>3</sup>. Tak Goethe opisywał sytuację, jaka nastąpiła krótko po ukazaniu się „Cierpień młodego Wertera”. Wiele osób pragnęło bowiem poznać najbardziej intymne szczegóły związane z powstaniem powieści, zadając przy tym ciągle te same, irytujące autora, pytania. W swojej refleksji na temat Goethego, zawartej w „Późnych esejach”, wspomina o tym J. M. Coetzee.

George Sand była, na modłę romantyczną, bardziej rozmiłowana w „geniuszu”, a niżeli w śmiertelnej powłoce skrywającej talent, zarówno Adama Mickiewicza, jak i Fryderyka Chopina. „W moich rozmowach z umarłymi – pisze Sand –, w moim oczekiwaniu na lepszy świat, gdzie wszyscy mamy się odnaleźć w świetle jaśniejszym i bardziej boskim niż światło tej ziemi również mi błogo spotkać inną jeszcze duszę, niemniej w swej istocie piękną i czystą, niemniej w tym świecie chorą i niespokojną”<sup>4</sup>. Nieprzemijające

<sup>3</sup> „Mały słownik pisarzy świata”, red. K. Hanulak, H. Olszewski, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972, s. 432.  
<sup>4</sup> J.M. Coetzee, „Późne eseje”, Karakter, Kraków 2020, s. 73.

<sup>5</sup> G. Sand, Op. cit., s. 327.

jest, w moim przekonaniu, to co wypetnia tę śmiertelną powłokę człowieka, sprawiając, że jest on w stanie wykorzystać swoje ręce i głowę do stworzenia rzeczy daleko trwalszych od jego powierzchowności.

U Sand, w relacji zarówno z Mickiewiczem, jak i Chopinem, do głosu doszło, według mnie, dążenie do niecielesnego zespolenia się dusz, z którego czerpała zarówno Aurora, jak i jej platoniczni i kapryśni kochankowie. „Spośród tych, z którymi znajomość tyleż zawierała szacunek, lecz mniej zależności, wymienię Mickiewicza... wymieniłam Mickiewicza, geniusza równego Byronowi, duszę, którą gorącą miłość ojczyzny i świętość obyczajów zawiodła na zawrotne wyżyny ekstazy”<sup>5</sup>. Natomiast mickiewiczowska, korespondująca z chopinowską, ekstaza w uczuciach wyrażała się następująco:

„Gdy Cię nie widzę, nie  
wzdycham, nie płaczę,  
Nie tracę zmysłów,  
kiedy cię zobaczę,  
Jednak, gdy Cię długo  
nie oglądam,  
Czegoś mi braknie, kogoś  
wizdecie żądam...”<sup>7</sup>

Ambiwalencja, nieszczęście, wieczna tragedia, rejtanowskie rozdzielanie szat – jeśli założymy, że wszystko to jest immanentną cechą osobowości romantycznej, to zarówno Chopin, jak i Mickiewicz, doskonale wpisywali się we wzorce osobowe epoki. Krążąca wokół nich, niczym wolny elektron, Aurora była zarówno doskonałym tłem dla uwidocznienia cech obydwu artystów, jak i swego rodzaju buforem bezpieczeństwa ratującym ich przed charakterystycznym dla romantyków obtędem.

Na jakiś czas pozostawmy obyczajową, skądinąd niewzruszającą, stronę życia George Sand i, skupiając się

<sup>6</sup> G. Sand, Op. cit., s. 340-341. Uczucia Mickiewicza były bowiem podzielone pomiędzy ojczyznę a kobiety, czego dowodem były nie tylko liczne romanse wieszczą, ale także niezwykle poważne podejście do zagadnień społeczno-politycznych. Zob. M. Janion, „Niesamowita słowiańszczyzna”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017, s. 189. Por.

A. W. Pawluczuk, „Rozbiory. Eseje o literaturze”, Znak, Kraków 1983, s. 19. Zob. J. Maślanka, „Literatura a dzieje bajeczne”, PWN, Warszawa 1984, s. 193. Obszernie na temat zaangażowania społeczno-politycznego Mickiewicza zob. „Wybór pism filomatów. Konspiracje studenckie w Wilnie 1817-1823”, red. A. Witkowska, Ossolineum, Wrocław-Kraków 1959. Zob. A. Mickiewicz, „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego, Pisma polityczne z lat 1832-1835” [w:] „Pisma proza”, Człi, Czytelnik, Warszawa 1950, s. 92.

<sup>7</sup> A. Mickiewicz, „Niepewność”, [w:] „Wizycje literackie”, Czytelnik, Warszawa 1955, s. 47.

<sup>1</sup> G. Sand, „Dzieje mojego życia”, PIW, Warszawa 1968, s. 332, 345. Na temat życia i twórczości Fryderyka Chopina zob.: J. Siwkowska, „Nokturnum czyli rodzina Fryderyka Chopina i Warszawa w latach 1832-1881”, t. I-III, Książka i Wiedza, Warszawa 1986-1996. Por. T. Łopalewski, „Fryderyk”, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1986.

<sup>2</sup> M. Jastrun, „Mickiewicz”, PIW, Warszawa 1952, s. 344.

na jej twórczości eseistycznej, rozważmy wkład pisarki w rozwój tego niezwykle wymagającego gatunku. W tym kontekście nie sposób nie wspomnieć, iż esej nie był dotąd popularną formą wyrazu literackiego w wydaniu kobiecym. Rozprawy o tej swoistej rewolucji należy odwołać się do klasyków tego gatunku i, przywoławszy Michela de Montaign'a (1533-1592) oraz Francisca Bacona (1561-1626), cieszyć się różnorodnością podejść do zagadnienia eseju, jakie wyklarowały się od czasów obydwo pisarzy.

Od chwili, gdy w roku 1580 opublikowano „Próby” (fr. *Essais*) pierwszego z wymienionych literatów, esej, w swojej treści i formie, nie tylko się rozwinął, ale i zdemokratyzował. „Przed Montaign'em nikt tak pięknie nie pisał o swoich ulubionych książkach i własnej bibliotece zgromadzonej w zamkowej wieży”<sup>8</sup>. Urodzony 28 lat po Montaignie, Francis Bacon przeszedł na grunt Wysp Brytyjskich francuski pierwowzór gatunku, publikując eseje o tematyce etyczno-moralnej, a pierwsze dziesięć tekstów ukazało się drukiem już w 1597 roku.

Godnymi następczyniami Aurory Dupin (1804-1876), w literackiej sztafecie na gruncie eseju, były, m.in.: Virginia Woolf (1882-1941) oraz Karen Blixen (1885-1962), a w Polsce Stefania Zahorska (1890-1961). „Na początku XIX wieku powieści kobiet były w znacznej mierze autobiograficzne. – pisała Woolf w jednym z esejów – Motywację do ich powstania stanowiło między innymi pragnienie, by dać wyraz własnemu cierpieniu, przedstawić swoją sprawę”<sup>9</sup>. George Sand, jako samotna matka dwójki dorastających dzieci musiała być w swym życiu pragmatyczna. Była także jednak nieodrodną córką swej epoki, co doskonale widać w jej twórczości eseistycznej.

Mówiąc o romantycznym zainteresowaniu transcendencją, jakie przejawiała Aurora, nie sposób pominąć tego zjawiska w twórczości licznych grona pokrewnych dusz, jakimi dla George Sand byli literaci doby romantycznej. Goethe stworzył „Fausta”, Byron „Giaurą”, Chopin zaś liczne ballady, a inspiracją do tych dzieł, popartych niewątpliwym talentem, należy szukać we wspomnianej już romantycznej transcendencji. Natchnieniem Mickiewicza, z pewnością, była nie tylko George Sand, a jego liczne romanse, w tym m.in. z Marylą Wereszczakówną i Marią Putkammer, były inspiracją poety oraz powodem wielu plotek na europejskich salonach. Do tej ostatniej Mickiewicz pisał: „Mario, ja ciebie szanuję i ubóstwiam jak niebiankę. Miłość moja tak jest niewinna i boską, jak jej przedmiot”<sup>10</sup>.

Powróćmy do analizy dzieł wspomnianych poetów, jaką Aurora zawarła w „Esejach”, odkrywamy, że pisarka okazuje się wytrawnym i docieklwym krytykiem. Ciekawostką jest, iż zbiór esejów, opublikowany w Polsce 1958 roku, nakładem PIW w Warszawie, opatrzony jest dwiema przedmowami – datowanymi na 1842 i 1851 rok. W pierwszej Sand występuje jako mężczyzna. Wybór męskoosobowej formy na określenie siebie samej mógłby wynikać z czystego pragmatyzmu. Wiek XIX był nadal stuleciem patriarchy, czego liczne przykłady dawały tłumione protesty sufrażystek. Nie wdając się jednak

zanadto w szczegóły owej idei porządku społecznego, nadmienię jedynie, że takie określenie autora, z większą dozą pewności, dało Aurorze Dupin możliwość literackiego zaistnienia. Męskoosobowej formy przy formułowaniu myśli Sand użyła także w „Szkicach o dramacie fantastycznym”, będących częścią wspomnianego zbioru esejów.

Bohaterami tej krytyczno-literackiej refleksji są: Goethe, Byron i Mickiewicz, jego osią zaś relacja między pisarzami, dla których współistnienie było także formą literackiej rywalizacji. Generalnie jednak, Sand pragnęła rozpowszechnić dzieła wspomnianych artystów, jako że dotychczas uchodziły one za zbyt mało znane we Francji.

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko” – to programowe zawołanie romantyzmu rzutuje na całą tę epokę. Dziady, guślarze i mary miały za zadanie wyrwać ówczesnego człowieka z ciasnych kajdan rozumu oraz przesyconej naukowością atmosfery oświecenia. Jak pisze George Sand w „Szkicach...”: „Ten obraz świata wewnętrznego, walka samego ze sobą, z dziełem świata zewnętrznego udratyzowanym w kształtach widzialnych, wywołuje wrażenie niezwyklej pomysłowości i nowości”<sup>11</sup>.

Spirytyzm i motywy religijne to rzecz równie charakterystyczna dla epoki romantyzmu, jak fantazja zaklęta w postaciach wszechobecných duchów. „Szyderczy szatan Goethego – to Francuz woltarianin. Posępny demon Byrona – to romantyczny duch XIX wieku. Belzebub Mickiewicza – to brutalny despot, to patron cara...”<sup>12</sup>. Także Faust Goethego czy Konrad Mickiewicza to postaci uosabiające ludzkie dążenia do zespolenia się z nadprzyrodzoną, postacią wieczystego Absolutu.

„Widziałem, jak ustawicznie go krzywdzono, i jako pisarza, i jako człowieka, a nigdy nie styszałem, żeby on o kimś powiedział coś złego”<sup>13</sup>. – tak o bohaterze swego tekstu, zawartego w omawianym przeze mnie zbiorze esejów, Honoriuszu de Balzacu, pisała George Sand, w 1853 roku. Autor „Straconych złudzeń”, był pisarzem na wskroś obyczajowym. „Powieść – pisała Sand – była dla Balzaca jedynie ramą i pretekstem do prawie uniwersalnego studium idei, uczuć, zawodów... tego wszystkiego wreszcie, co stanowiło życie jego współczesnych”<sup>14</sup>. Główny bohater, mieszkaniec francuskiej prowincji – Lucjan Chardona de Rubempre, postanawia spróbować swoich sił, jako dziennikarz w Paryżu, gdzie od razu musi radzić sobie z twardymi zasadami, rządzącymi życiem w wielkim mieście.

W Balzacu nie od razu dostrzeżono literacki geniusz, jego pierwsze próby oceniano marnie, a samego autora posądzano o brak talentu. „Jeden z moich przyjaciół – pisała Sand o Balzacu – a jego kolega z ławy szkolnej opowiadał, że był to chłopiec stale czymś pochłonięty, na pozór niezbyt lotny, któremu nieszczęśliwie sła nauka literatury starożytnej i który uchodził za tępego w opinii nauczycieli... mając siedem lat wstąpił do kolegium w Vendome i tam napisał traktat o woli, który został spalony przez jakiegoś wychowawcę”<sup>15</sup>.

Chociaż George Sand, w swej refleksji o Balzacu, nie wspomina słowem o „Straconych złudzeniach”, to fakt, iż

ta powieść jest jedną z cyklu „Komedia ludzka”, o której to Sad pisze, nie sposób pominąć tego dzieła. W moim przekonaniu, stawia ono Balzaca w jednym szeregu z takimi autorami powieści obyczajowych, jak: Tomasz Mann, James Joyce, Henry James, czy polski literat – Aleksander Głowacki. Ten ostatni, bardziej znany, jako Bolesław Prus, zapisał się złotymi zgłoskami w historii nadwiślańskiej literatury doby pozytywizmu. Wspominam o nim, ponieważ zwłaszcza „Lalka”, z mistrzowsko przedstawioną postacią romantyka, starego subiekta, Ignacego Rzeckiego, jest dla mnie, przykładem literackiego kunsztu Prusa na gruncie powieści obyczajowej.

Na obecność w „Lalce” motywów romantycznych zwróciła uwagę, m.in. Olga Tokarczuk. Polska noblistka, w dziedzinie literatury, z 2018 roku w eseju „Lalka i perła” dokonała porównania głównych postaci utworu Prusa, stwierdzając, m.in.: „Rzecki to schillerowski człowiek naiwny, który większym szacunkiem darzy otaczającą go rzeczywistość, niż siebie samego; to człowiek oddany historii... upatrujący swego indywidualnego zbawienia w Napoleonie, człowiek wzruszający”<sup>16</sup>.

Tak, jak Bolesław Prus uczynił z fabuły „Lalki” tło dla przemian społeczno-politycznych w Polsce, po okresie powstań narodowych 1830 i 1863 roku, tak Balzac – jak powiada Tadeusz Boy-Zeleński – „Komedię ludzką” uczynił żywą geografii Francji. Nie mówiąc o Paryżu, z którego stworzył cały poemat”<sup>17</sup>. Dla George Sand Honoriusz de Balzac był, niezrozumianym przez siebie współczesnym, genialnym kronikarzem rzeczywistości, który z niezwykłą przenikliwością dążył do zgłębienia wielowymiarowej natury człowieka.

W moim przekonaniu, Honoriusz de Balzac zbudował na powieści obyczajowej swoją wielkość i legendę, czyniąc z tego gatunku własny oręż do walki ze światem zewnętrznym, tym samym, który do końca go rozumiął. Z Balzakiem, który tak upodobał sobie powieści obyczajowe, zgodziłby się, zapewne, autor „Cierpień młodego Wertera”, bowiem „Człowiek interesuje się człowiekiem; właściwym przedmiotem badań człowieka jest człowiek, jak powiada Goethe”<sup>18</sup>. Cykl „Komedia ludzka” stanowi monumentalne studium postaw, idei, uczuć i charakterów. Wnikliwość w ich obserwacji dała autorowi „Kobiety trzydziestoletniej” podziw ze strony licznych grona sympatyków tej literackiej konwencji, do których zaliczają się także, bez wątplenia, Aurora Dupin.

Uważam, iż dzieło sztuki: literackiej, muzycznej, malarskiej... jest oczywiście emanacją ludzkich dążeń do tego, jak powinien być zorganizowany świat, w którym żyjemy. W tym sensie dzieło sztuki pokazuje nam pewien ideał rzeczywistości, ale także z tej rzeczywistości wynika. Rzeczywistość Fryderyka Chopina, George Sand, Adama Mickiewicza, a także Goethego, Byrona i Balzaca to, nade wszystko, niespełnione miłości, obyczajowe skandale, rozgrywane się w świetle spojrzeń bywalców salonów. To także pragnienie wzniosłości uczuć, które tylko z wysoka mogą ukazać swój przedmiot w odpowiednim świetle.

MICHAŁ SKRĘTEK

8 „Polski esej literacki. Antologia”, red. A. Broczkowska-Nguyen, Ossolineum, Wrocław 2017, s. VIII.

9 V. Woolf, „Kobiety i proza literacka”, [w:] „Eseje wybrane”, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2018, s. 291.

10 A. Mickiewicz, „Do Marii Putkammerowej”, *Konno, dnia 17* [129 października 1822], „Liszy”, cz. I od roku 1817 do roku 1831, [w:] „Dziela”, t. XIV, Kraków 1953, s. 186.

11 G. Sand, „Eseje”, PIW, Warszawa 1958, s. 53.

12 G. Sand, Op. cit., s. 111.

13 G. Sand, Op. cit., s. 173.

14 G. Sand, Op. cit., s. 174.

15 G. Sand, Op. cit., s. 181.

16 O. Tokarczuk, „Lalka i perła”, *Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019*, s. 44.

17 T. Boy-Zeleński, „O Balzacu”, *Czytelnik, Kraków 1950*, s. 64-65.

18 M. Janion, „Humanistyka: poznanie i terapia”, PIW, Warszawa 1982, s. 213.

Lucja Dudzińska

## transformacja

przeprowadzka – jestem wyjęta ze snu  
to dzieje się na jawie a ja próbuję nadal śnić

transport mebli kufrów walizek paczek i worków  
dociera do Poznania (na miejsce)  
miało być jak najdalej stąd (już stamtąd)

poznaję siebie – jestem inna  
poznaję rówieśników którzy  
inaczej myślą  
inaczej się ubierają  
nawet jedzą coś innego

wspólnie obrywamy alfabet  
literka po literce z analfabetyzmu  
sylaba po sylabie ze zdania zadania

obudzę się i to zniknie – akysz!  
– nie zniknęło

rano nie będę słuchać świergotu jaskółek  
– dlaczego ich tutaj nie ma?  
błękitne oko nieba patrzy tak samo  
– nieuchronnie

teraz będę oddychać powietrzem spalin  
i oparów z miękkiego asfaltu pobliskiej szosy  
wśród hałasu przejeżdżających śmieciarek  
oraz wojskowych transportów do Biedruska  
wyjątkowo przejedzie limuzyna  
z melodyjnym klaksonem

## słucham deszczu

wieczorem  
kołysanka z dzieciństwa wypełnia moje oczy  
zbiera się w środku przełykam ślinę  
język milczy zajęty dziurą po wyrwanym zębie  
– pewnie mam głupią minę...  
powinnam się schować  
ukryć myśli zaszyć głęboko w sobie  
czuję się bezradna –  
tak jakbym miała dziurę w mózgu pełną wody

pływają tutaj papierowe statki  
złożone z zapisanych kartek  
– czytam wyrazy na burcie  
muszę wsiąść do któregoś  
odpłynąć

*entliczek pentliczek bęc!*



POEZJA

## Skarga

długo myślałam  
że ze słów lepiej bryłę  
co kiedyś stoczy się z góry  
i znów będę pchała przed sobą  
jak przysłowiowy żuk gnojak

(*Scarabaeus* brzmiałoby zbyt dumnie)  
okazało się że potrafię

zszyć patchwork który nas ogrzeje  
w zimne samotne noce  
i ozdobi szerokie łóżko

skleję telegram z dobrą i złą nowiną  
(zawsze ta dobra nowina  
może być złą dla kogoś innego)

zrobię ze słów witraż  
może zachwyci  
wzorem pomysłem obrazem  
po to  
aby wysłać do losu i ludzi  
donos na cudownie inne życie

(teraz to takie modne – donosić)

Jakub Ciećkiewicz

**Od autora:**

Czym jest ta książka?

Najbezpieczniej przyjąć, że powieścią, choć została przełamana reportażem i gromadzi moje doświadczenia z różnych wólczeń po Afryce, w trakcie których poznawałem niezwykłych ludzi i brałem udział w zaskakujących wydarzeniach. Jednak, jeżeli nawet część bohaterów nosi swoje własne imiona, to nigdy ich słów nie autoryzowałem. Sporo zdarzeń zmyśliłem, trochę opowieści ukradłem. (Spróbujcie ustalić które!).

Naprawdę to nie ważne, gdzie rozgrywa się akcja. W Krakowie, Pekinie, Marrakeszu, Nuuk, Limie czy Harare. W powieści szukam prawdy o sobie, a także o zbuntowanych artystach, expatriantach, migrantach, nomadach, wólczykijach, hipisach i ich wyborach życiowych. Bo to oni wytyczają dzisiaj szlak ucieczki dając osiadłym w bankach i korporacjach, niepewną nadzieję.

Jako ja, Jakub Ciećkiewicz, podczas pisania zmagam się z problemami typowymi dla osób „niepotrzebnych”, których stale przybywa na świecie. Alienacją, samotnością, pustką, depresją, żeby nie wspominać o reifikacji, pierdykacji itd. (Zażywałem inhibitorów zwrotnego wychwytu serotoniny, a więc pochodne prozacu i piłem alkohol.) Ze zdumieniem stwierdziłem, że podobne doświadczenie doprowadziło Jana Potockiego do samobójstwa, w podobnym do mojego wieku.... A Potocki, to przecież patron wólczegów. Hipis. Pisarz. Uczony. Do tego pierwszy Polak na Zachodzie Orientu, gdzie utkwiliśmy na kilka miesięcy.

Jeśli to wszystko wrzucić do jednego kotła i zamieszać, powstanie zupa, jaką dla was gotowałem przez kilkanaście lat. Jedzcie, mam nadzieję, że się nie otrujecie. Smacznego!

**A teraz - voila: arabskie Ars Amandi!**

\*Sztuka miłości

Przed willą, w której poselstwo obozowało w cieniu figowca, czekała młoda mauretańska dziewczyna z arabskim opiekunem - dar od kaida dla posta z Polski, na czas jego krótkiego pobytu w Tangerze. Hrabia z entuzjazmem i nieskrywaną radością zaprowadził ją do sypialni, gdzie po raz pierwszy mógł sobie wyrobić pojęcie o stroju, jaki tutejsze kobiety noszą pod sukniami.

- Jest on dostosowany do klimatu, ale przedstawia się niezbyt twarzowo - zapisał rozczarowany. - Przeważają kolory biały i czerwony.

Jan Potocki był doświadczonym kochankiem. Początkował, jak mówią plotki, jeszcze w domu rodzinnym, z piękną matką Anną Teresą z Ossolińskich i własną siostrą Anną Marią, które na zmianę posiadali z bratem. Potem doskonalił wiedzę miłosną na dworach: rakuskim, wersalskim, warszawskim i madryckim...

Jego żona - Julia Teresa Lubomirska - uchodziła za najpiękniejszą kobietę Europy i miała wielu kochanków, co tylko podnosiło wartość tej niezwykłej urody. Miała także fantazję. Potrafiła się zakraść, wraz z dwiema niewiastami, do sypialni Księcia Józefa, aby wybrać sobie jedną z nich na kochankę. (Było to zresztą przyczyną konfuzji, bo Poniatowski wrócił do domu w towarzystwie damy...)

# KSIĄŻKA ROKU (TOM II)

## UCIECZKA DO MARRAKESZU

### POWIEŚĆ DROGI

#### CZYLI: TRZYDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ\*

\*Tom pierwszy zostanie wydany oddzielnie, jako osobna powieść, pod tytułem „Trójkąt Masłowa i inne opowiadania.” Jego akcja rozgrywa się 30 lat wcześniej w Niemczech

Hrabia najchętniej uprawiał ars amandi z teściową Izabelą, która była kobietą doświadczoną i potrafiła dać mu pełnię rozkoszy. Tak przynajmniej sądził. Wszystkie bowiem sztuki, jakie poznał - miłość francuską, hiszpańską, zbiorowe orgie, także akty lesbijskie, nie wspominając o kulcie Ganimedda, nie mogły się równać ze sztuką Fatimy, nałożnicy kaida Sidi Tahera Finnisa, wyedukowanej w arabskiej szkole namiętności.

Gdy ogarnęło go szaleństwo, gdy niemal tracił rozum, który zawsze pozwalał mu wyciągać krytyczne wnioski, Fatima rozpałała fajkę haszyszu. Pociągnął dym i uniósł się w powietrze na skrzydłach Amora, jak niegdyś w Warszawie podczas lotu balonem. Dziewczyna przez cały czas delikatnie drażniła jego członek językiem, dokonała też wielu tarć i dotknęła zgrabnymi palcami wypielęgnowanych dłoni. Dzięki temu posiadał ją przez całe popołudnie, co wcześniej nigdy mu się nie zdarzało. Pomyślał, że albo Mauretanka wyspała jakiś proszek do pucharu z winem, albo ów potok miłosnego żaru wybuchł pod palącym powiewem miejscowego klimatu. Zaprawdę. W Maroku strumień chuci występuje z brzegów i zmienia łożysko stając się rzeką, a nawet oceanem.

W przerwach pomiędzy miłosnymi zbliżeniami, kobieta opowiadała o obyczajach na marokańskim dworze, które wydawały się okrutne i rozpasane. Cesarz Mulaj Jezid był panem życia i śmierci, chętnie też osobiście wykonywał wyroki, zabijając oskarżonych pchnięciem wólczni, ciosem szabli lub kulą z broni palnej. A balkon willi, w której właśnie zażywali rozkoszy, do niedawna ozdabiały głowy trzech najznamienitszych osobistości Tangeru.

Na dworze panowała rozpusta. Cesarz miał wiele żon. W czasie pobytu w Fezie poślubił wszystkie dziewczęta uchodzące za ładne. W każdej komnacie seraju przebywało po kilka prawych małżonek, ale nie zawsze miały z czego żyć i często oddawane były w podarunku, jak niewolnice.

- Ulubienicą Jezida jest ta, która najlepiej umie pić, obecnie pewna szeryfka z pokolenia Proroka. W seraju odbywają się dzikie orgie - mówiła zgorzonna Fatima.

Istotnie. Rozpusta dworu psuła obyczaje. W Fezie i Meknesie pełno było kobiet lekkiego prowadzenia, a ponieważ żołnierze nie dostawali żołdu, niemal wszystkie ich żony oddawały się również tej profesji.

Hrabia Jan spojrzał na doskonale kształty Fatimy, jej mały biust i długie nogi, na białą płeć, krwistoczerwone usta, na wielkie czarne oczy. Po chwili wahania postanowił kupić ją od Kaida, albo wymienić za jakiś cenny towar. Miał bowiem wiele sztuk brokatu, adamaszku, muślinu, sukna, płótna, nie

wspominając o cukrze i herbacie.

Teraz opowiem Wam o arabskim feminizmie, który doprowadził do wygnania z pałacu księcia Jamala.

A także o marokańskiej orgii

Poranek wsącza do pokoju wilgotny aromat ogrodu. Bukiet kwitnących fig, bananowców, aloesów, kalanchoe, wilczomleczy, bugenwilli, hibiskusów i róż, które rozchylają płatki na widok pierwszych promieni wschodzącego słońca. Jeszcze panuje cisza. Miasto wraca do życia z sennej podróży do przeszłości, kiedy po medynie wólczyli się Argonauci z pijanym Heraklesem na czele, na targ przyplływali Atlantydzi, a Tariq ibn Ziyad wyruszał na podbój imperium El Andaluz. Tanger jest punktem, w którym splatają się wszystkie czasy, wszystkie obrazy i wszystkie historie. Kiedyś, przez odrapany głośnik minaretu, siódmy kalif ogłosił koniec świata.

Przez chwilę słysząc głośnie walenie do bramy. Na zewnątrz stoi Noe Bonet. Mały, blade, zdenerwowany i bezradny. Czy go pamiętacie? To ten francuski dziennikarz i przyjaciel domu, który pisuje do paryskich gazet.

- Przyszedłem po pomoc - mówi zdyszany. - Żona... żona... żona.... - zaciął się.

- Może szklankę wody?

- Chyba wykisły?

- Jasne, oczywiście, już nalewam. Tylko się uspokój. Usiądź może.

Noe rzuca się w fotel i pije drobnymi łydkami.

- Możesz zbudzić Tomka? - wysapuje.

- Wyjechał do Grecji, ale chętnie pomogę. Powiedz tylko, o co chodzi?

- Żona emira Jamala, Lalla Fatima, zwiariowała.

- A, to nie ma sprawy. Ja sobie radzę w takich sytuacjach.

- Chodź - sapnął. Odstawił szkalneczkę i ruszył w stronę drzwi.

Naprawdę musieli się stać coś niezwykłego, skoro postanowił ściągnąć na pomoc artystę. Chłop niby wielki, silny, ale czy wypada mu się mieszać w arabskie awantury? Zwłaszcza arystokratyczne?

Ruszamy w stronę osiedla. Noe opowiada krótkimi urywanymi zdaniem łykając powietrze jak astmatyk.

Dopiero co wrócili z księciem z nocnego bankietu. Wjechali przez bramę i... przeżyli szok. Księżna Lalla Fatima wyrzuciła przez okna rzeczy męża. Garnitury od londyńskich krawców, buty z Paryża, kaszmirowe koszule, najdroższe dżelabije, wytworne szaliki - Wszystko jeszcze teraz wisi na drzewach!

- Ale dlaczego?

- Naogłądała się sztuk Dario Fo, na fe-



stiwalu teatrów – dyszy Noe. – I przeszła na feminizm.

Idziemy przez ciężkie od czerwieni ogrody, przez pachnący ożywczo gaj gęstych od soku pomarańcz, przez kręte ścieżki otaczające pałace i posiadłości arystokracji.

Aby lepiej zarysować kontekst bezprecedensowego wydarzenia, mały Francuz przez dalszą drogę opowiada historię swego małżeństwa z Jasmin, która najpierw była niewinnym kwiatuszkiem a potem okazała się marokańską kurwą.

- Była tak piękna – zipsał – śniada, smukła, o ciele jędrnym jak owoc mango. Przez pół roku spotykaliśmy się po kryjomu...

- A musisz wiedzieć – zatrzymał się żeby złapać oddech – że seks z Marokanką jest doświadczeniem niezwykłym. Na ich sztukę miłosną składają się wieki wyrafinowanych praktyk. Już jako dziewczynki studiują średnio-wieczny traktat Szajcha An-Nafzawiego „Ogród rozkoszy”, który jest ilustrowanym podręcznikiem ten tego, a jego główne przesłanie wyraża myśl, że ciało to zachwycające dzieło Boga i zostało podarowane człowiekowi aby szczęśliwie uprawiać miłość. Jednym słowem – seks jest tu błogosławieństwem! A nie jak w świecie katolików przekleństwem.

- Więc pewnie nerwice nie występują?

- Może? Skoro każda kobieta da ci to, o czym nawet nie marzyłeś, że marzysz... No i faceci nie rywalizują ze sobą, bo wykazują się na innych polach.

- Dlaczego nazwałeś żonę kurwą?

- Przez pół roku spotykaliśmy się po kryjomu. Potem powiedziała... Złożyła usta w ciup i zaczęła udawać kobietę, co wyglądało komicznie. – Widzisz, ile dla ciebie ryzykuje? Sądziła na mnie donoszą, władze uznają mnie za prostytutkę, pójdę do więzienia!!! Najlepiej ożeń się, kochany. Czy ci źle? Tylko powiedz!

- W Maroku obcokrajowcowi trudno nabyć mieszkanie, zarejestrować samochód, dlatego wszystko kupowałem na Jasmin – ciągnął Noe. - Datem się nawet zaprowadzić do chirurga, który obciął mi skórę z kutasa, bo przeszedłem na islam! Przetarł spocone czoło.

- Czy dostrzegasz ogrom poświęcenia?

Dostrzegałem

- Zaraz po ślubie miałem dziennikarski strzał. Znalazłem córkę marokańskiego generała, która uciekała z sekretnego więzienia, gdzie przebywała dożywotnio z rodziną. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. O generale mówiono, że popełnił samobójstwo... a może został zabity, bo oddał do siebie dziewczęć strażaków. Reszta gdzieś wyparowała, a tam były przecież matki dzieci.

Kiwnąłem głową.

- Jedną dziewczynką, Malika Ufkir, uciekała z aresztu. Zrobiłem z nią wywiad dla radia France Internationale. I trafił chciat, że prezydent Mitterand leciał akurat do Rabatu. I z pokładu samolotu zagroził, że nie wylądjuje, jeśli coś się stanie tej rodzinie. Zostali uwolnieni, a ja pojechałem odebrać nagrodę do Paryża. Kiedy wróciłem Jasmin już nie było. Nie było samochodu, mebli, lodówki... zostawiła mnie, arabska dziwka. Wiesz jakie miałem kłopoty żeby się z nią rozwieść?

- Może to była zemsta króla? Może ją porwano? – spytałem.

- Nie, ale widzę, że jesteś romantyczny – uśmiechnął się. - Ta dziwka wszystko zaplanowała.

- Ale jak to się ma do księżnej?

- No, wiesz, Marokanki, po nich się

można spodziewać wszystkiego. Niebo, albo piekło.

Brama wjazdowa do pałacu stała otworem. Na trawnikach, krzewach i drzewach leżały i wisiały kolorowe części garderoby, które służące zdejmowały długimi tyczkami i pakowały do walizek. Wyglądało to jak spektakl teatralny.

Z piętra dochodził krzyk wściekłej kobiety. Książę pojawił się nagle. Czerwony ze złości i wstydu. Otworzył garaż pilotem, podał mi kluczyki, a potem wrócił do budynku.

Wprowadziłem luksusowego dwunastocylindrowego mercedesa S W21 z bajerami. Służba pakowała rzeczy. Po chwili krzyk ustał. Usłyszeliśmy huk wystrzału. Zapadła cisza. Jamal stał w drzwiach z pistoletem w dłoni. Był to piętnastostrzałowy SIG-Sauer P226, szwajcarska spluwa doskonale zabezpieczona przed przypadkowym strzałem.

- Chyba jej nie zabiłeś? – spytał Noe?

- Powiniennem – sarknął, ale jest kuzynką króla. Walnąłem tylko w sufit, żeby zamknąć rozwścieczony ryj. Czy pomożecie mi w przeprowadzce?

Skinieliśmy głowami.

Siadłem za kierownicą. Wzburzony Jamal dzwonił po drodze do prawnika i wykrzykiwał coś po arabsku. W przerwach rzucił francuskie przekleństwa, z pośród których najczęściej pojawiała się słowo putain. Noe dodawał okazjonalne komentarze:

- Marokanki, dziwki, obedną cię do skóry... Weź sobie modelkę z Białorusi, albo berberską dziewczę z Atlasu, a starą ześliz na Saharę...

Książę zapalił papierosa.

- Kiedy król Hassan II wychodził na dworską plażę – powiedział po dłuższym milczeniu – jakby trochę od rzeczy – wszystkie kobiety wokół musiały być nagie. Tak samo w tażni. I nie chodziło o to, że z nimi spółkował. Nie. Tak nakazywały dawne obyczaje. Król miał dwie piękne żony i 40 nałożnic – rozmarzył się. - Każda mieszkała w osobnym domku z basenem. Kiedy którąś odwiedził, jej rodzina pękła z dumy. Nałożnice o to zabiegały. Kusily. Świntuszyły, gotowały marokańskie specjały. Konfitury z haszyszem, ciasteczka z ziołami na potencję. I to było wspaniałe. Bo to był element naszej kultury. A my, wykształceni w Paryżu, światowi, zarzuciliśmy stare tradycje i podeptaliśmy obyczaje...

Wjechałem do kurortu Asilach. Śnieżnobiałe miasto, oblانة błękitnym morzem, było zakotwiczone w średniowieczu. Tylko mury domów pokrywały szaleńcze mura- le.

- Dwadzieścia lat temu była tu bieda z nędzą – wyjaśnił Noe. – Jednak Jamal namówił artystów, żeby zorganizowali coroczny letni festiwal sztuki i poezji. Od tej pory, podczas wakacji, plastycy malują na murach. Ludzie zaczęli zarabiać, miasto odżyło i rozkwita.

Nasz samochód jest dobrze znany mieszkańcom. Przechodnie się kłaniają. A kiedy stajemy na świątkach biją brawo. Co by się stało, gdyby Jamal zabił żonę? Naraziłby się na złość króla. Wściekłość dworu. Ale do więzienia by na pewno nie poszedł. Wychował się na dworze w Rabacie, uczył razem z Mahomedem VI, przeżył razem z nim młodościę przegody. Skazanie emira jest tu niewyobrażalne.

Letnia rezydencja Suissich ośniewała architekturą i kwiatami. Pawilony były piętrowe, przeszklone. Na małym lądowisku stał czerwony helikopter. Przed wejściem czekał Faris i grupa służących. Chłopiec

pocałował ojca w policzek. Weszliśmy do środka i usiedli w salonie. Służące wniósły kawę, likier i małe, słodkie ciastka

- Wieczorem zapraszam was na zabawę – uśmiechnął się książę. - W Asilach są piękne dziewczyny. Pracują w bankach, korporacjach, ale oddają się bez ceregieli.

- Abdullah! - klasnął w dłonie. - Zamów na wieczór kapelę i kilka najlepszych panienek. Po tym wszystkim należy nam się nieco rozrywki.

Noe promieniał. – No, wkrótce zrozumiesz, na czym polega wielka kultura Arabów.

Nagle uświadomiłem sobie, że od dawna nie zażywałem erekcję. Mogłem już chyba osiągnąć erekcję? Może nawet spełnienie? Ta sprawa jest w życiu mężczyzny fundamentalna. Zwłoki faraona, podczas mumifikacji preparowano tak, żeby wchodził do niego ze szytywnym kutasem. To archetyp, symbol, który żyje w podświadomości kolektywnej. Nie można być przeciwieństwem mężczyzny i sprawować władzy z miękką kułką.

Po raz pierwszy poczułem słabość koła czterdziestki. Nagle, w trakcie stosunku z redaktorką działu „Zdrowie i uroda”. Byłem skonsternowany. Poszedłem do lekarza. Zapisał mi witaminę E. Nadaremnie. Poszedłem do drugiego, dostałem zastrzyki z hormonów. Bez rezultatu. Poszedłem do trzeciego przepisał viagrę. Zażyłem i czekałem przez godzinę. Poczułem straszny ból głowy, ale penis nie drgnął o milimetr. Koniec. Kurwa, koniec. Mój ojciec też skończył młodo, mieli z matką dwa osobne łóżka. Poszedłem do lekarza czwartego, piątego i szóstego – pułko. Poddałem się psychoterapii. – Ani z oziębłą żoną, ani ze starą kochanką raczej panu nie wyjdzie – powiedział psychiatra - trzeba poderwać jakąś młódkę. Poderwałem, wynająłem hotel, młódka mnie wyśmiała. Poszedłem do siódmego: urologa - chirurga.

- Może mi pan zrobi przeszczep kutasa – zaproponowałem, albo zamontuje nowe jądra? Żyjemy przecież w XX wieku...

- Dawniej mieliśmy takie zastrzyki – coś sobie przypominam. - Walilo się w członek i od razu stawał. Potem pacjent leciał do domu żeby pojechał dożyć.

- I co z tymi zastrzykami?

- Zastąpiono je tabletkami. Zaraz, zaraz... Może Cialis? Spróbujemy Cialis.

Kupiłem lek, zażyłem maksymalną dawkę, po chwili zdziła stała jak maszt na żaglowcu, ale redaktorkę od zdrowia i urody rozboleła głowa. Straciłem 70 złotych! Potem wpadłem w depresję, zapisało mi prozac i o seksie mogłem na dobre zapomnieć. Czy książę ma Cialis? A może jego prostytutkę?

Wieczorem do pałacu przybyła trzyosobowa kapela. Śpiewaczka Aisza miała 15 lat i była prześlizną rifeńską dziewczynką. Jej czarne włosy spadały do kolan, oczy jak smoła, wąskie, czerwone usta, a na długiej szyi mnóstwo naszyjników. Przywdziała luźną suknię w złote i amarantowe pasy.

Luźniarki Mona i Nabila wyglądały na dawne kurtyzany, na które nikt już nie ma apetytu. Jednak ich żarty i swoboda w rozmowie z księciem, dowodziły, że się dobrze znają.

Abdullah przywiózł 5 dziewczyn. Wszystkie w mini spódniczkach, z dekoltami, obisypane złotem, wyglądały jak top modelki. Szczupłe, zgrabne, o pięknych, egzotycznych twarzach, małych piersiach i wypięlonych dłoniach.

Piliśmy herbatę, palili marihuanę, rozmawiali o atrakcjach dworu w Rabacie. →

Piliśmy herbatę, palili marihuanę, rozmawiali o atrakcjach dworu w Rabacie. Jamal wspominał, jak król Hassan II sprowadził krawców z Paryża i jubilerów z Amsterdamu. Mieli przygotować specjalną linię sukni i biżuterii dla dam dworu. Osobną dla żon, osobną dla konkubin oraz innych kobiet. A potem władca, dla żartu, sprowadził rowery z czterema siodełkami i dziewczyny, jeżdżąc po ogrodach, miały wielką frajdę.

Kapela zagrała. Noe wziął jedną z modelek do tańca. Świetnie sobie radził, wyraźnie jednak na coś czekał. Po chwili księżę wyszedł na korytarz z zielonooką pięknością i zabawa zaczęła się na całego. Wziętem za rękę studentkę ekonomii, Karimę. Była miła, chętna, sama znalazła wolny pokój. Może już była w pałacu? Rozebrała się jednym ruchem. – Chcę cię uszczęśliwić. Lekko musnęła dłonią węża, który był jej od tej pory posłuszny.

Gdy oderwałem się od ziemi i wstąpiłem na wyższe piętra abstrakcji i uogólnienia, do komnaty weszła śpiewaczka z płonącą fajką. Pociągnąłem raz, drugi. Cafe ciało stało się lekkie. Zawisto w przestrzeni w spazmach szczęścia. Usta dziewcząt dokonywały cudów, a ciała dowodziły znajomości wyrafinowanej sztuki. Uniesienia trwały dobrych kilka godzin.

Rano zbudziłem się odprężony. Otwarłem oczy i... nie, nie zobaczyłem szubienicy z dwoma wisielcami, jak Alfons von Worden, kapitan gwardii walońskiej po spędzeniu nocy z Eminą i Zibeldą w oberży Venta Quemada\*.

(\*Aby zrozumieć to zdanie trzeba zerknąć do powieści Potockiego.)

Wilhelm Reich, twórca orgazmotronu, powiedziałby nawet, że pokonałem kompleksy i stłumienia. Może to prawda? Bo nigdy nie sięgnąłem już po psychotropy, ani cialis. Ale rozumiałem jedno. Marokańczycy nie jedzą hamburgerów, nie myją się w ciągu minuty, nie uprawiają seksu w bramie i nie modlą się zdawkowo. Ich życie spowija blask istnienia. Jest w nim miejsce na zachwyty, rozkosz, namysł, relaks, odprężenie oraz wzlot podniebny, który symbolizują latające dywany. Oni żyją. My tylko biegniemy.

Wszedłem w gościnnym szlafroku do salonu. Księżę Jamal siedział z Farisem przy kawie. – No jak? – spytał z uśmiechem.

- To było doznanie... unikalne – powiedziałem.

- Miałeś okoliczność ze śpiewaczką? – spytał z porozumiewawczym uśmiechem. – Była doskonała.

- Tak, niesamowita – zauważył Faris.

- Teraz już wiesz, jak powinny się zachowywać arabskie kobiety – rzucił Jamal. – Uległość w zamian za opiekę. A nie jakiś chory, europejski feminizm. Konkubiny Hassana II dożywają swoich dni na dworze w Meknesie. Mają po 80 lat i... trudno.

Zadzwoił telefon. Księżę zagłębił się w rozmowie.

- To od filmowców. Nie mogę się już doczekać, kiedy wrócę na plan w Ouarzazate. Amerykanie zaczynają kręcić serial z Benem Kingsleyem, ojciec załatwił mi posadę asystenta reżyserki. Nasza rodzina ma studio na Saharze – opowiadał podekscytowany Faris.

- Mógłbyś mnie wkręcić do statystowania?

- Jasne.

- Ale czy z grania można wyżyć?

- Pewnie, to właśnie coś dla ciebie. Jeżeli będziesz robił tłum, dostaniesz 60 euro dziennie. Jeżeli ci każą krzyknąć Yalla – stówę, a jakaś mała rólka to już dwa tysiące. Cała Sahara żyje z kina. Koniecznie jedź do Ouarzazate. A teraz zostań w gościnie i poznaj okolicę, jest bardzo malownicza. Służba przyniesie ci ubrania. Samochody stoją w garażu.

Byłem w arabskim kraju, w rajju, w seraju. Bajju, sraju.

JAKUB CIEŹKIEWICZ

Małgorzata Bobak-  
Kończowa

## Złamana

Możesz być mało kłopotliwa, zapewniać że wyleczysz się  
na własny rachunek, ale jedną ręką szmaty nie wykręcisz.

Możesz być cierpliwa, dzielna, pokorna do szczytu marzeń.  
Schować pod poduszkę wszystkie piekące warstwy  
i zaciśnięte usta, ale wtedy nikt nie domyśli się,  
żeby umyć ci włosy i skrócić paznokcie.

Pociesz się, że jesteś singlem.  
Bez wyrzutów wyj po nocach i sikaj z bólu.  
Masz ten komfort, więc zluźnij.

Dobrze zaliczyć morfologię i rezonans. Zdać celująco  
i mieć poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Na początek.

## Z gabinetu

Przyszłam do pani,  
bo zabrakło szerszej perspektywy  
a teraz czuję jakbym otwierała  
zardzewiałą kłódkę żdźbłem trawy.  
Tak, przemawiają do mnie mądrości dalekiego wschodu,  
tyle w nich czułości i przestrzeni.  
Jeśli kilka osób mówi, że trzeba udać się lekarza,  
to wypada zdobyć się na refleksję;  
usunąć migdałki, ząb mądrości,  
stanać przed lustrem i powiedzieć  
coś modnego o miłości.  
Czuje się pani zagubiona?  
Proszę nie wkręcać żarówki w mysią norę,  
tylko usiąść na wygodnej kanapie.  
Sama ją pani wybrała.  
Kolor przyjemny, neutralny.  
Materiał miły w dotyku.  
Może przestanie pani mówić,  
że spotkania ze mną są inspirujące, ale nieetyczne.  
Bo takie pajacowanie to strata czasu  
dla obu stron  
i nie można brać za to pieniędzy.  
Proszę się wygadać.

## Przecinek

Niedługo mam wizytę, ale wolałabym uniknąć.  
Usiądę, z pewnością się rozplączę,  
a doktorka będzie patrzeć.  
Tyle już widziała i nie dojrzy człowieka.  
Wiesz, jak się ma taką intuicję,  
to można samemu,  
raczej nie ma pomyłek.  
Zaczynasz nosić informację w oczach.  
Dokładnie opisujesz co czujesz.  
Nikt kurwa nie rozumie.  
Otrzymujesz współczucie i chcesz je upchnąć  
na lepszą okazję.  
Przećwiczę kwestie.  
Wszystkie miejsca mam już odkryte.  
Układam się do dialogu.

Do nowej więzi.

## KSIĄŻKA



Pora rozpocząć tę historię. I tak za dłu- go już uganiał się za naszym bohaterem, który zapierał się rękami i nogami i nie chciał pojawić się w opowieści. Również w tej chwili stoi na uboczu, typie na mnie spode łba i zarzeka się, że ani razu nie otworzy ust w całej historii.

Przyznaję, że wcielił się go siłą do książki, lecz nie było innego wyjścia. Zaraz poproszę, żeby coś do Państwa powiedział. Może da się przekonać. Aha, jeszcze chwila. Zapomniałem powiedzieć, że bohatera nazwałem Staś.

- Powiedz coś Stasiu.
- 
- No, powiedz coś Stasiu.
- 

Jak Państwo widzą, bohater nasz to twarda sztuka i bardzo uparty osobnik. Dam mu na razie spokój. Wierzę, że niebawem się odezwie. Muszą jednak Państwo wziąć pod uwagę, że bohater naszej opowieści czasem sobie na chwilę z niej wyjdzie. Stanie z boku, zapali papierosa, czasem zbuntuje się, trzaśnie drzwiami i krzyknie, że już nigdy nie wróci. Tak podobno jest z tego typu osobnikami, że pojawia się wiele nieprzewidywanych problemów. Prawdę mówiąc wiem to tylko ze słyszenia, bo nigdy jeszcze nie napisałem żadnej książki.

Więc właściwie co by tu tego...wobec milczenia bohatera... Trudno jakoś popychać akcję do przodu bez niego... Jakoś tak głupio teraz... Odszedłbym gdzieś na bok napić się kawy i poczytać jakąś książkę, ale nie wypada mi Państwa, to znaczy moich gości, tak zostawiać samych w salonie.

- Stasiu, zlituj się, powiedz coś.
- Spadaj niegodziwcze!
- Stasiu, jak ty się wyrażasz? Ty mi taki wstyd przynosisz. Przecież ty miałeś prowadzić tę historię, ty miałeś działać!
- Działać? W imię czego?
- W imię Historii Stasiu, w imię Historii. Potrzebujesz czynu jak Kordian Stasiu.

*Pojawia się Kordian (to mówię ja, drugi narrator):*

- Mnie w to nie mieszajcie. Jakem Kordian.

*Kordian znika.*

- Dasz sobie radę bez niego Stasiu. To gbur. Tylko zacznij działać. Może na początek podskocz albo kiwnij palcem.
- Na początek to ja muszę pomyśleć.

*Stasio naciska na uszy czapkę i wychodzi z powieści.*

- A ja muszę poczytać konspekt tej historii. Wydaje mi się, że miała ona wyglądać zupełnie inaczej.
- Co poczytać? Co poczytać? (Dochodzi z oddali głos Stasia). Wszystkie litery wyczytasz i co wtedy zostanie? Białe kartki!

Więc drodzy Państwo, strasznie mi głupio, że Stasio jest taki krąqbny. Może z braku innych możliwości stworzę teraz dla Państwa jakiś opis. Skromny landszafcik, który będzie jedynie przyjemnym przerywnikiem w oczekiwaniu na bohatera. Niewinną melodyjką brzmącą w telefonie, kiedy dzwonimy do kogoś. Przyjemnym wypętniaczem, który działa niczym plomba

w zębie. Neee, zaraz...co ja gadam. Nie, przepraszam. Ostatniego zdania nie powinno być, ostatnie zdanie sobie Państwo skreślcie.

Zatem proszę, oto landszafcik, pejzażyk ode mnie dla Państwa w oczekiwaniu na bohatera:

Była noc. Albo nie. Był dzień. Tak, był dzień. I było pole, nad którym ze świergotem przelatwały sms-y, maile, fale radiowe i telewizyjne. Na polu pracował kombajn, którym galopował kombajnista Jeremi.

- Nie pisz, że galopował tylko jechał.
- Przepraszam, kto to mówi?
- To ja chochlik drukarski. Wprowadzicie pracuję tu w trochę innej roli, ale jak napiszesz galopował, to potem wszystko będzie na mnie. Widziałem już wielu was, pisarzy. Chcecie być awangardą, chcecie cwałować w przedniej straży polskiej literatury, dlatego uduziwniacie, a ludzie tego wcale nie chcą. Ludzie chcą prostoty. Chcą żeby słonko było słonkiem, trawka trawką, a imponderabilia imponderabiliami.
- Może i ma pan rację. Napiszę, że jechał, ale niech już pan sobie idzie.
- Należy się dwa pięćdziesiąt.
- Za co?
- Za poradę.
- Dobrze. Proszę. Do widzenia.
- Do widzenia.

Uff...Więc był dzień. I było pole. Zaraz... Może już bohater wrócił.

- Wrócił, wrócił. Stefan Poprawniak mnie znalazł!
- Stefan Poprawniak?
- Żart taki, a nawet skecz. To ja twój bohater! Wróciłem!
- Stasiu, bez żartów, bo znowu każę zakneblować i związać.
- Tak? Już się ciebie nie boję. Zaknebluj i zwiąż, tylko nie dźw się, że akcja tej twojej pożałowania godnej książki nie posuwa się ani na milimetr do przodu!
- Stasiu! Proszę Stasia! Ja bardzo proszę przestać!
- Całuj wuja z dubeltówki taki synu!

*Tu pada strzał. Bohater leży martwy. Narrator próbuje go jeszcze reanimować, a wraz z nim całą książkę. W tym celu podłącza ją do kroplówki.*

I co ja teraz zrobię. Zabili mi bohatera proszę Państwa. Staś był jedynym w swoim rodzaju autsajderem, nie da się go zastąpić. Ale postanowiłem tak tego nie zostawiać, muszę znaleźć mordercę mojego bohatera i go ukarać.

- Halo, detektyw Rutkowska?
- Przy telefonie.
- Poleciał mi panią znajomy. Podobno potrafi pani odnaleźć każdego mordercę, nawet gdyby zaszył się gdzieś na końcu świata, na przykład w Pernambuko.
- W Pernambuko to nie, ale poza nim (Pernambuko) rzeczywicie każdego.
- Dobrze, biorę panią. Musi pani odnaleźć mordercę bohatera mojej powieści.
- OK, wchodzę w to.
- Detektyw Rutkowska (zwana przez niektórych Karolcią) zagłębiła się w otchłań słów tej książki, mając głębokie przekonanie, że to jest jedyna właściwa metoda na znalezienie mordercy. Przesłuchała wszystkie słowa w obecności Narratora i zaczęła właśnie

przesłuchiwać pierwszy znak interpunkcyjny, gdy on pisnął:

- To Narrator zabił bohatera.
- To przecinki mówią? (Zdziwił się Narrator).
- Oczywiście, jak wszystkie znaki.
- I co ty mi w ogóle zarzucasz parszywcze? Że zabiłem swojego bohatera?
- Zabiłeś.
- Tak, wyście zabili Narratorze Narratorowiczu, wyście zabili. Wiedziałam to już dawno. Potęczyłam wszystkie fakty – powiedziała detektyw Rutkowska – Długo nad wszystkim myślałam i teraz wiem nawet dlaczego.
- Dlaczego?
- Żeby uratować powieść. Żeby coś zaczęło się dziać. Gdyby nie to, byłaby kompletna klapa.
- No co ty Karolciu. Zabiłem go, to prawda, ale z innego powodu. Z miłości do ciebie. Chciałem wydać świetną książkę, za którą dostalibyśmy kupę pieniędzy. Polecilibyśmy na Bachamy, tam dwóch niewolników wachlowałoby cię po całych dniach, a ty pławiłabyś się w słońcu i kapata w szampanie.
- Narratorze? Naprawdę mnie kochasz?
- Tylko ciebie. Tylko ciebie.
- To takie ekscytujące Narratorze. Opisz to wszystko i wydaj tę opowieść.
- Tak zrobimy Karolciu. Ty też jesteś częścią tej niezwykłej historii.

*Narrator dotrzymał słowa. Wziął Karolcią za rękę i udali się do Wydawcy, który po przejrzaniu maszynopisu zgłosił pierwszą uwagę:*

- Ale to głupie co pan napisał. Albo co najmniej dziwne. Nie mógł Pan napisać na przykład tak? (Tu Wydawca zastanowił się chwilę.) Na przykład tak: Ogary poszły w las.
- To już ktoś wymyślił.
- Poważnie? Myślałem, że to ja właśnie przed chwilą wymyśliłem.

*W tym momencie wszedł do pokoju jakiś tajemniczy mężczyzna:*

- Ta cała książka to plagiat! Pan ukradł mój tekst!
- Ja pana tekst? Chodzi panu o tę historię?
- Tak.
- Chyba pan żartuje. To ja jestem jedynym autorem tej książki a zarazem jej narratorem. Nazywam się Hubert Czarnocki.
- Pan się nazywa Hubert Czarnocki? To ja się nazywam Hubert Czarnocki!
- Akurat. Ja się nazywam Hubert Czarnocki, ty fałszywa wydumuszko!

*Narrator wyjął z tylnej kieszeni szpilkę i przebił uzurpatora, który pękł jak balon.*

- Jesteś tu gdzieś Karolciu?
- Jestem, ale ze strachu schowałam się na stronie 293.
- Skocz do mnie.
- Gdzie teraz pojedziemy Narratorze?
- W stronę zachodzącego słońca. Jedynego kierunku, w którym podążają prawdziwi faceci.
- I kobiety.
- I kobiety.

p.s. Jeśli czytasz tę historię, to znaczy, że została opublikowana.

Grzegorz Borowiec

## Zaczynamy

Pierwszy dzień nowego  
po drodze wizyty u lekarzy  
(możliwe uszkodzenia narządów)  
garść nowej ziemi pod stary grunt  
i zajęcia żeby nie wrócić  
do starych zajęć

O tonięciu w morzu nie chcę słyszeć  
sporty walki tylko w warunkach bezkwasowych  
bez łamania mebli i tworzenia wymiotów

Szorowanie mycie się codziennie  
wejdzie w nawyk  
więcej energii  
wejdzie w nawyk

Na koniec  
tylko jednego  
pożegnalnego  
(nigdy nie kończę na jednym)

\* \* \*

Młoda skóra leży  
wkłada swój zapach do pościeli  
razem z włosami i słońcem  
po cichu zostawiam to wszystko  
zostawiam jej oddech  
wychodzę po dym

Przy otwartym oknie życie i śmierć  
toczy się po chodnikach po dziurach  
w sposób nierealny nieprawdziwy  
bo beze mnie  
mam szczęście

Za chwilę papieros się skończy  
skończy się kontakt bo na dłuższą metę  
jestem nie do wytrzymania  
przyjdzie praca i rozkaże mi  
do siebie chodzić

Za chwilę tytoń skręcony w rękę  
wejdzie na stałe do płuc  
wstrzymuję ogień w zapalniczce  
jeszcze na moment

## Badania

Pozytywne wyniki próby wątrobowej  
uczciłem trzema piwami i kilkoma kolejkami  
tabletki grają na moją korzyść  
do null do pustki do końca portfela  
trzymam się jeszcze prosto ścian

Pytania lecą jak grad nic nowego  
po co się zabijasz po co Ci głowa  
nie chcesz spokoju kurwa  
toć ja to wszystko wiem  
za chwilę  
zaraz to sobie ogarnę  
tylko jeszcze dzisiaj jutro jak okazja  
dajcie mi spokój do chuja

Szkoło błyszczy ja błyszcze  
a do sprawy wrócę naprawdę  
tylko jeszcze dzisiaj jutro jak okazja  
pozytywne wyniki badania zatapiam

## Ptaki przedwiośnia

„Wody! Wody! Wody!”  
krzyczy stara kobieta dwie sale od mojej  
średnio co jakieś piętnaście minut  
na pewno ma już swoje na karku  
a mimo to słyszę przy zamkniętych drzwiach  
ile ma siły w płucach

Czytam piszę odpoczywam  
chwilowo nie rozrywa mnie ból  
nie denerwują mnie wrzaski  
bo doskonale ją rozumiem

Gaszę światło ściągam żaluzje  
i oglądam piękną brudną ciemność  
rozkoszuję się sekundami  
przed powrotem na brzask

\* \* \*

Kota nie ma bo poszedł spać  
bluza w kratę dziurawe dresy  
nienaprawione  
bo ciepło jeszcze nie morduje  
atakuję klawiaturę  
chyba jestem trzeźwy (nareszcie)  
chyba nie boli

Pokój oświetlony zagracony  
sprzyjający krążeniu  
sok czerwony  
na stole w słoiku  
(brak czystych naczyń)

Walka w toku  
paczka papierosów  
w połowie pusta  
w czasie przeszłym  
przyszłym  
i teraźniejszym

Małgorzata Dorna  
(Wendrychowska)

## CZAS I PAMIĘĆ JAKO MOTYWY POWRACAJĄCE W WYBRANYCH PRACACH MALARSKICH MACIEJA ŚWIESZEWSKIEGO

Zdarzeń przeszłych już nie ma, więc nie „Zistnieją; zdarzeń przyszłych jeszcze nie ma, więc nie istnieją; gdyby zdarzenie teraźniejsze nie przestało istnieć, byłoby wiecznością, więc istnieje o tyle, o ile nie przestanie istnieć; więc świat, którego doświadczamy nie istnieje.” (Tok rozumowania nazywany na gruncie filozofii kultury paradoksem Św. Augustyna)<sup>1</sup>

„Nie zależy nam na tworcach o długim oddechu, na istotach na daleką metę. Nasze kreatury nie będą bohaterami romanów w wielu tomach. Ich role będą krótkie, lapidarne, ich charaktery - bez dalszych planów. Często dla jednego gestu, dla jednego słowa podejmujemy się trudu powołania ich do życia na tę jedną chwilę.”<sup>2</sup> (Bruno Schultz)

„Wszystko, co tworzyłem dotychczas, miało zawsze cechę wyznania. Wyznania stawały się coraz bardziej osobiste. Wyznania, aby ocalić przed zapomnieniem. Wyznania swoich nostalgii, tęsknoty za powrotem do lat dzieciństwa, aby ocalić ten szczęśliwy czas klasy szkolnej.”<sup>3</sup> (Tadeusz Kantor)

Oto kompozycja zatytułowana „Klatka” (1997) - wielkoformatowa praca olejna, malowana laserunkami oraz cienkimi warstwami farby (jak można się domyślać) wciernianej umiejętnie w podłoże i w efekcie na matowej powierzchni widoczne pozostają delikatne zarysowania, pęknięcia, prześwity, odkrywające specyficzną urodę, naznaczoną piętnem „dawności” i zmienności „życiowej” tkanki - materii obrazu. Praca o tyle reprezentatywna dla stylistyki wypowiedzi Macieja Świeszewskiego, że odwołująca się zarówno do tradycji europejskiego malarstwa sztalugowego, szczególnie sztuki niderlandzkiej jak i do obrazowania onirycznego, które otwiera nowe przestrzenie i budzi utajone, symboliczne, przeczuwane intuicyjnie sensory, a które to obrazowanie doceniali już prekursorzy surrealizmu, postulujący by „zwrócić klucze do korytarzy snu”<sup>4</sup>.

Zatem „Klatka” - obraz mroczny, utrzymany w zieleniach i głębokich błękitach aż po całą gamę czerni, zestawionych z intensywnymi czerwieniami i różem. Paradoksalnie klatka umieszczona wewnątrz innej „klatki”, jaką okazuje się umowna przestrzeń pokoju, przestrzeń zatrzymana, zastęgnięta w bezruchu i ciszy, statyczna, nasycona „metafizycznym”, nie mającym konkretnego źródła światłem. W tle ledwie naznaczony, powtórzony fragment pierwszego planu, su-

gerujący „zwierciadlane odbicie”, jednak bez gładkiej powierzchni zwierciadła.

Po stronie lewej - wsparta o aksamitną czerń drzwi - marioneta. Członki rzucone beztadnie, zamiast twarzy maska lalki z zapisanym śladem emocji, zastępnym grymasem strachu lub może tylko niemego zdziwienia. Jeżeli przyjąć, że owa postać (przypisana onirycznym majakom i sennym widziadłom) to rodzaj wyalienowanego obserwatora, znak obecności domniemanego mieszkańca „pokoju dziecięcego” - to jest to obserwator okaleczony i chromy, obserwator który już wcześniej zdjął był maskę plastikowej lalki, maskę potyskliwą, różową i krągłą. Obserwatorowi owemu (świadkowi nietrawności zapisanego na płótnie światła) zatem „obserwatorowi” czyli w istocie „skorupie” wypełnionej czernią nie dane jednak stanąć na scenie Theatrum Mundi. Brak tu bowiem czytelnych odniesień do obecności Wielkiego Reżysera, tego kto tchnąłby Ducha w plastikowe, potyskliwe głowy i zredukowane korpusy, brak obecności Absolutu, Demiurga i Sprawcy. Porzucone marionety, milczące, zimne i doskonale obojętne, o oczach szklanych, niewidzących, skazane na wieczną samotność - doświadczają upiornej egzystencji właściwej (niepotrzebnym, absurdalnym, oderwanym od przypisanych im pierwotnie znaczeń) przedmiotom.

Motywy klatki pojawia się też w obrazie „Manekiny” (1982) i trzeba tu wyraźnie podkreślić, że termin „manekin” na gruncie kultury europejskiej posiada wyjątkowe znaczenie. Nieprzypadkowo też w swym słynnym „Traktacie o manekinach” Bruno Schultz przedstawia ojca jako artystę, którego celem staje się stworzenie po raz wtóry człowieka, tym razem na obraz i podobieństwo manekina. Zamierzenia Jakuba wydają się parodią boskiej kreacji, gdyż jak przypomina pisarz - człowiek nie posiada takich słów i recept, dzięki którym mógłby powołać do życia samoistnie odnawiający się świat, pozostaje mu zatem nadawanie materii nowych kształtów i nowych sensów.<sup>5</sup>

W wyniku owego aktu twórczego powstają istoty z pogranicza ducha i materii, uwięzione na granicy dwóch światów, zawieszane „pomiędzy”: lalki, manekiny, kukły, pałuby. Podobnie mogą być postrzegane kukły i manekiny w „teatrze śmierci” (jak nazywała krytyka „Umarłą Klasę”) Tadeusza Kantora, który w swych wypowiedziach na temat tajemnicy procesu tworzenia wyznawał, że „Wśród składników spektaklu zajmują manekin pozycję niejako graniczną - pomiędzy przedmiotem a aktorem - jest przedmiotem, ale wygląda jak aktor i wywołuje u widza zupełnie inne skojarzenia niż jakiś sprzęt czy maszyna. (...) Manekiny ucieleśniają metafizyczną stronę teatru.”<sup>6</sup>

5 Maria Ołędzka, Traktat o manekinach czyli Bruno Schultz wykładu o sztuce (w) Slavica Literaria, 21/ 2018/2, s. 103

6 <https://culture.pl/pl/artykul/swiat-wedlug-kantora> (dostęp: 1 sierpnia 2024)

Równocześnie to właśnie manekinom, zarówno w pracach malarskich Świeszewskiego jak i w dziełach Kantora (dalekim od sentymentalnych, idealistycznych wyobrażeń) przypisana została enigmatyczna „pamięć dzieciństwa”. Dramaturg mówi o tym wprost, demaskując sposób egzystencji aktorów i manekinów w „Umarłej Klasie” - „Trupki dzieci, które oni noszą na sobie - to oni sami, ich larwy, w których złożona jest pamięć dzieciństwa.”<sup>7</sup>

W pracy Macieja Świeszewskiego „Manekiny”, w kompozycji utrzymanej w odmiennej, niż „Klatka” kolorystyce - wielość i intensywność barw została skonstrastowana z tematyką dzieła i można przyjąć, że uzyskany efekt, oparty na dramatycznym kontrapunkcie, na spięciu między formą i treścią - prowadzi interpretatorów w kierunku groteski. Wrażenie to potęguje ostre światło, podkreślające umowność przedstawienia, spektaklu rozgrywającego się na scenie, przywodzącej na myśl skojarzenia z rekwizytornią, rupieciarnią lub lamusem, pozostawionym po zapadnięciu kurtyny.

Wygląda to trochę tak, jakby spektakl już się zakończył, ucichły brawa i zgasty reflektory, a tam, poza kurtyną rozpoczynają swe drugie życie mieszkańcy swoistego pannotium, gabinetu osobliwości, jakim staje się opustoszała scena. Rekwizytami okazują się tu nie tylko drabiny i klatki, długie tyczki i marionety, ale także odtwórcy głównych ról „aktorzy” - lalki przebrane w kostium Pierrota, pajaca lub błazna. Centralnie umieszczona postać, odziana w potyskliwą czerń, z twarzą ukrytą pod maską naznaczoną rozbieloną, świetlistą zielenią - wydaje się górować nad tym surrealistycznym światem, światem wielostopniowego, wielopoziomowego zniewolenia.

Widzowi oswojenemu z symboliką współczesnego teatru - owa postać w kostiumie z ebonitowej czerni może przywoływać wizerunek „starszego prokurenta Kafki”, bohatera dramatu Różewicza.

Jakby metaforyka zniewolenia wymagała jeszcze wzmocnienia - jeden z manekinów trzyma zniechęcony z głową zamkniętą w czerwonej klatce, podczas gdy inny, pokazany w dalszym planie siedzi (opieczony czarnym sznurem) na czymś, co przypomina trapez, zawieszony pod niewidzialną kopułą namiotu cyrkowego lub może płaskiego, pozbawionego iluzji gwiazd, obecności Boga i światła - nieba. Antropomorficzna forma, korpus i członki manekina okazują się kolejną pułapką, podobną do tej, o jakiej mówił Tadeusz Różewicz, odwołując się do listów i dzienników Franza Kafki, w pamiętnej scenie, w której „starszy prokurent” stwierdza: „To ja jestem pułapką, moje ciało jest pułapką, w którą wpadłem po urodzeniu.”<sup>8</sup>

7 <https://culture.pl/pl/artykul/swiat-wedlug-kantora> (dostęp: 1 sierpnia 2024)

8 Małgorzata Dorna, *Od malarskich, polifonicznych wizji ku sztuce minimalistycznej*, Rozważania na marginesie

1 Za: Mirosław M. Sadowski, Pamięć w aspekcie kulturowym, psychologicznym i literackim, file:///D:/A.A.%20Maciej%20Świeszewski/19\_M.M.Sadowski.Pamiec.w.aspekcie.psychologicznym.kulturowym.i.literackim%20(2).pdf (dostęp 27 lipca 2024)

2 Bruno Schultz, Traktat o manekinach (w) Sklepy cynamonowe, Fundacja Wolne Lektury, s. 16

3 <https://culture.pl/pl/artykul/swiat-wedlug-kantora> (dostęp: 1 sierpnia 2024)

4 Za: Maria Janion, Romantyzm, rewolucja, marksizm, Colloquia gdańskie, Wyd. morskie, Gdańsk 1972, s.390



Twórca przywołanego tutaj malarstwa nie tylko odwołuje się do symbolizmu i surrealizmu, ale także, do funkcjonującego w sferze „wyobraźni zbiorowej” przekonania, że przedmiot jako motyw i temat (nie wyłącznie literacki archetyp) posiada dwa dopełniające się wzajem oblicza: należy zarówno do kręgu bytów poznawanych zmysłowo, materialnych, jak również do „istot metafizycznych” obdarzonych (jak wierzyli zwolennicy estetyki romantycznej) utajonym życiem duchowym. W tej sytuacji zadaniem malarza staje się pokazywanie tego, co „niewidoczne dla oczu”, utajone, nieoczywiste, ukryte.

Dlatego właśnie tak interesujące okazuje się uważne spoglądanie w głąb „pustej” sceny, już po zapadnięciu kurtyny lub penetrowanie zakurzonych magazynów teatralnych, rekwizytorni, lamusów. Co prawda klatka w obrazie „Manekiny” okazuje się formą tylko zasugerowaną, formą znacznie bardziej umowną i „otwartą”, niż owa klatka przedstawiona w kompozycji wcześniejszej. Manekiny nie mieszczą się w jej wnętrzu, ich korpusy pokazane w różnych pozycjach i konfiguracjach mogą sugerować potrzebę opuszczenia miejsca i czasu, ale potrzeba ta pozostaje tylko intencją, sennym marzeniem, naznaczonym piętrem makabrycznej iluzji, piętrem strachu, smutku i niespełnienia. W pamięci widza zapisują się zatem konwencjonalne gesty i pozy, zastygłe maski, które można odczytać jak bolesne *memento*: *Eccē Homo*, oto człowiek wykreowany (czy jak pragnął tego Bruno Schultz „wymajaczony”) z boskiej tkanki Materii i Ducha.

Do konwencji „teatru w teatrze” odwołuje się także utrzymana w charakterystycznych zieleniach i błękitach, otulona mrokiem - kompozycja zatytułowana „Czas” (2004) przywołująca na myśl znowu skojarzenia ze sceną teatralną, nie tyle podświetloną ostrym światłem od strony widowni, co nasyconą światłem rozproszonym, przenikającym skądś z głębi, jakby z drugiego planu. Artysta celowo rezygnuje tu z linearnej prowadzonej narracji, czas bowiem okazuje się bytem tyleż umownym, co niezależnym, wymykającym się wszelkim definicjom i formułom, a przede wszystkim - strukturą zagęszczoną, wielogłosową, polifoniczną i symultaniczną zarazem, konstruktem tworzącym (za sprawą owej równoczesności, scenicznego „dziania się”) bogaty i bardzo kruchy, ulotny, metaforyczny obraz. W strukturze tej pojawiają się wyraźne pęknięcia i szczeliny, przesunięcia, wskazujące na miejsce obserwatora, usytuowanego poza, patrzącego z boku i z oddalenia, tak jakby on sam nie należał do przemyślnie zbudowanego systemu owych zagęszczeń, pęknięć i zatamów zapisanych na powierzchni obrazu.

Zatem scena zostaje zabudowana parawanami, takimi jakie rozstawia się w teatrze lalek, parawanami wyznaczającymi pionowe podziały przestrzeni, kojarzącymi się z fragmentami murów lub macew, naznaczonych inskrypcją kamieni nagrobnych. Na każdym z nich zapisano płaskie wizerunki postaci, instrumentów muzycznych, cienie, niezidentyfikowane ślady obecności, wizerunki owadów, roślin, kwiatów, fragmenty obrazów dokumentujących proces rozpadu, samounicestwienia, przemijania.

Po stronie lewej, pozostawiona obok kunsztownego konstruktów złożonego z parawanów i szczelin - bezcielesna postać, czarny szkielec z różową, plastikową lalką, przypominający o uniwersalnym przesłaniu

Danse Macabre. Znacznie wyżej, po stronie prawej utrwalona została tarcza sporego zegara, na którą ręka trzymająca pędzel nanosi płaskie sylwety i profile, co czyni za sprawą spokojnego, celnego i pewnego ruchu. Doniosłość uroczystego aktu tworzenia wzmocniona zostaje równie uroczystym ubiorem, kostiumem żałobnika, grabarza czy też samego Absolutu, który docenia wagę artystycznego gestu. W głębi poza systemem parawanów i szczelin kłębi się tłum istot, tworzących magiczny krąg lub może korowód, istot o ewidentnie „literackiej” proweniencji i takich odniesieniach. Widać tu także upiory i cienie, puste czerepy czaszek i precyzyjnie odwzorowane szkielety, manekiny i lalki naznaczone piętrem rozpadu, postacie przychodzące w czas Apokalipsy (jak pisał z ironią współczesny poeta) „z kronik, bajek i żywotów świętych” by doświadczyć ostatecznego podziału na „zgrzytających zębami i śpiewających psalmy”<sup>9</sup>. W planie pierwszym, na wysokości wzroku odbiorcy pojawia się jednak coś jeszcze: oto odwzorowanie pryzmatu w rozszczepionym promieniu. Kierunek, w jakim przebiega proces zatamania i rozszczepienia światła jest tutaj przeciwny do tego, występującego w Naturze.

Rozszczepiony, tęczyowy promień zdaje się dźwierzć Kostucha, a właściwie alegoryczna jej postać przeniesiona ze średniowiecznego Danse Macabre, podczas gdy promień „biały”, nie poddany jeszcze procesom i eksperymentom optycznym - wydaje się trwać, zawieszony lub wsparty o postać kobiety-lalki, o oczach przerażonych i potyskliwych, jakby ze szkła. Nieprzypadkowo też w filozofii i teorii poznania metaforyka światła (lub jej braku) kojarzona bywa tradycyjnie z wiedzą, także z wiedzą niedostępną człowiekowi, tajemną oraz z wielością jej konkretyzacji, chociażby poprzez symbole alchemiczne, mistyczne, poprzez doświadczenie kolejnych inkarnacji i bytów. Owo nastawienie ujawnia frazeologicznie, język sugerujący by spojrzeć na coś szczególnie wnikliwie przez pryzmat: doświadczeń, pamięci, archetypów, metafor i symboli. Spojrzeć „przez pryzmat” znaczy nie tylko dokonać reinterpretacji, ale także podjąć się eksperymentu, dokonać transgresji, przekroczenia. Motyw pryzmatu rozbijającego wiązkę światła na tęczę pojawia się w kulturze europejskiej, a nade wszystko światowej - znacznie wcześniej, bo w latach siedemdziesiątych XX-tego stulecia i zostaje zapisany w pamięci kolejnych pokoleń. Oto okładka płyty zespołu Pink Floyd z wizerunkiem pryzmatu na czarnym tle, symbolizującym czystość dźwięku i kompozycji, z wizerunkiem który stał się ikoną tak zwanego „rock progressive”, umożliwiającego nową interpretację wybranych tematów i motywów muzyki klasycznej.<sup>10</sup>

W dziele Macieja Świeszewskiego „Czas” spojrzenie przez odwrócony pryzmat wymaga tym bardziej wnikliwości i odwagi właściwej tym wszystkim, którzy decydują się na odrzucenie stereotypów, kanonów, „oczywistych”, jednoznacznych, powierzchownych i płytkich odczytań.

Motyw czasu i chwilowego, momentalnego trwania, zawieszenia w nim okazuje się także tematem wiodącym obrazu „Umarta klasa” (1989) w którym dominują różne odcienie czerni i chłodnych, przetamanych turkusową zielenią błękitów, aż po przyciemnione lub ostro świecące biele. Pulpity ławek porządkują przestrzeń, zabudowa-

na, zagęszczoną wielością symbolicznych obrazów podczas, gdy po stronie lewej i prawej ustawione zostały ramy okienne, pozbawione jednak szyby lub tafli zwierciadła, naznaczone piętrem „dawności” z wyraźną utrwalonym rysunkiem sęków i słojów, z charakterystycznymi okuciami, przetarciami, ramy pełniące funkcje ekranów „projekcji podświadomych”, ekranów z przypiętymi, być może wydartymi z zeszytu, zmiętymi kartkami, naznaczonymi emblematem, rysunkiem, inskrypcją.

Można by zaryzykować stwierdzenie, że to właśnie na tych ekranach, ustawionych od strony lewej i prawej kulisy - zostały zapisane sceny z życia przykutych do ławek lub zakutych w dyby postaci. Nie pozostaje bez znaczenia fakt, że badaczowi teatru ławki mogą kojarzyć się w tym kontekście z rodzajem „machin scenicznych”, narzędzi tortur (wszak istotą średniowiecznego obrzędu kata była teatralność) podczas gdy lalki - z koncepcją nadmarionety, występującej w spektaklach Edwarda Gordona Craiga.

Zatem w obrazie „Umarta klasa” po stronie prawej, w oddaleniu umieszczona zostaje sztaluga z naniesionym fragmentem kompozycji malarskiej, a odwrócona tyłem do widowni postać przy owej sztaludze, nosi w odczuciu widza tajemne piętno alter ego autora. Zgodnie z ideą polifonicznego, zagęszczonego obrazu czasu, to do czego odnosi się zapis na sztaludze symbolizuje umowność Losu, eksponuje to, co nieuchronne, konieczne, co staje się faktem, poddawany wnikliwej wiwisekcji i obserwacji. W tym właśnie znaczeniu zarówno obrazowanie spektaklu Kantora jak i malarskie wizje Świeszewskiego - prowadzą ku nobilitacji przedmiotów jako świadków i mimowolnych „sprawców” wydarzeń, rozgrywających się nie tylko na scenie, ale także w podświadomości. Co więcej zarówno przedmioty jak i zapisane w pamięci, momentalne wrażenia, doznania - prowadzą nas (widzów i uczestników obrzędu) do zjednoczenia z uniwersalnym Wszechbytem, Kosmicznym Absolutem, którego ziarno lub zaczyn - każdy powinien odnaleźć w sobie.

Na blacie pierwszej ławki niby na stole prosektorium spoczywa lalka, martwa postać o głowie zwróconej ku widowni, o oczach szklanych, niewidzących, z których jedno wydaje się ukryte za okularem, monoklem lub może zasnutę bielmem, podczas gdy bezębna czeluść ust otwiera się w konwulsyjnym skurczu. Wizerunki pozostałych lalek, wielokrotnionych, zgromadzonych za pulpitemi ławek wydają się dziwnie znajome, tak jakby rysunki (których tworzenie jest warunkiem zaistnienia kompozycji olejnych) oraz dzieła malarskie prowadziły między sobą utajony dyskurs, tworząc nowe przesłanie interpretacyjne, ewokując coraz to inne obszary konfliktu, sporu lub porozumienia, obszary już rozpoznane i oswojone lub oswajane w procesie kreacji. Odczytuje się zatem twarze i maski, na podobnej zasadzie, na jakiej przywoływało się symbol pryzmatu w kompozycji „Czas”. Pamięć wydaje się bowiem posiadać strukturę palimpsestu, czyli takiego sposobu zapisu, zgodnie z którym kolejne warstwy nakładanych na siebie obrazów kryją obrazy wcześniejsze. Każda następna warstwa zakrywa poprzednią i pragnąc odstąpić warstwy najstarsze (poszukując „prawdy”, praźródła) należy zniszczyć to, co na powierzchni.

Uważa się także, że spod ostatnich, najbliższych czasowo warstw mogą prześwitywać warstwy poprzednie, pojawiać się w odłupanym tynku, czy podmalowce i w takim przypadku cały proces nabiera

scenograficznych interpretacji „Pułapki” Tadeusza Różewicza, <https://www.aict.art.pl/2017/04/21/od-malarskich-polifonicznych-wizji-ku-sztuce-minimalistycznej/> (dostęp: 1 sierpnia 2024)

<sup>9</sup> Zbigniew Herbert, „U wrót doliny” (w) <https://fundacjaherberta.com/biblioteka-herberta/wiersze/u-wrot-doliny/> (dostęp: 5 sierpnia 2024)

<sup>10</sup> <http://okladki.net/okladki/show/5-pink-floyd-dark-side-of-the-moon> (dostęp: 7 sierpnia 2024)



charakteru pewnej przypadkowości, igrania z czasem i materią, z żywą tkanką dzieła. „Zdarza się, że na tej samej powierzchni występuje kilka dobrze zachowanych, kolejnych interesujących wymalowań pochodzących z różnych epok.”- pisze Ewa Świącka (archeolog, historyk sztuki) i dodaje, że cały proces okazuje się nader ryzykowny, gdyż „Odsłanianie malowideł starszych wiąże się z niszczeniem późniejszych. Tymczasem każda z zachowanych dekoracji stanowi dokument swoich czasów i jest też niejednokrotnie dziełem artystycznym.”<sup>11</sup> Tak, więc „Umarła klasa” Macieja Świąszewskiego może zostać potraktowana na prawach palimpsestu pamięci, odniesień do czasu Holocaustu, co byłoby także zgodne z obsesjami i przerażającymi wizjami, zapisanymi w spektaklach Tadeusza Kantora. Obaj artyści nie pozostawiają nam odrobiny nadziei, na wszystkim, czego dotkniemy kładzie się cień śmierci, zagłady, samotności, cierpienia, rozpadu. Odbiorcom pozostaje do spełnienia rola lalek, ukrywających pod maską spokoju ślady uczuć i ponurych przemyśleń, dalekich obrazów z dzieciństwa, których ulotnego znaczenia nie dane im jednak pojąć.

W malarstwie Macieja Świąszewskiego człowiek nie został pokazany w sposób holistyczny i statyczny zarazem, jego osobowość okazuje się zatowizowana, rozbita, rozczłonkowana na wielość równorzędnych scen i zdarzeń, na wielość wcieleń i bytów, a on sam poddawany zostaje niekończącej się metamorfozie, przemianie. Stawiając fundamentalne pytania o cel i sens istnienia, o naszą przynależność do żywiołu ziemi i gwiazd, wreszcie do świata pulsującej życiem Natury – artysta podejmuje dyskurs, w którym najważniejsza okazuje się droga. Raz jest to droga mroczna i trudna, wiążąca ponad krawędzią otchłani w stronę egzystencjalnych rozważań, kiedy indziej to droga prowadząca w stronę „barokowej cudowności”, opartej na kontrastach, anityzach, droga pokazana z odcieniem autoironii, przesmiwczej, dotykającej makabry groteski.

To bardzo wyraźna spięta, owa wewnętrzna dramaturgia dzieła prowadzi nas ku estetyce i obrazowaniu epoki baroku, w której po raz pierwszy pokazano psychikę człowieka jako „teren walki”, jako przestrzeń zmagania dobra ze złem, światła z mrokiem, Boga z „Hetmanem Ciemności”. Nieprzypadkowo prekursor polskiej poezji metafizycznego baroku – Mikołaj Sęp Szarzyński opatrzył swój słynny sonet tytułem: „O wojnie naszej, którą wiedzimy z szatanem, światem i ciałem”. Zamiłowanie do długich, opartych na barokowych „konceptach” fraz, organizujących metaforykę i symbolikę tekstu – to nie jedyna, godna uwagi cecha tego nurtu literackiego, tworzonego w oparciu o odkrywanie wzajemnych relacji malarstwa i innych dziedzin sztuki. To właśnie w czasach baroku ujawnia się wewnętrzna sprzeczność ziemskiej egzystencji człowieka, sprzeczność pomiędzy „pobywaniem” okazjonalnym, chwilowym, a tym do czego dąży przekonany o swej wyjątkowości, sprzeczność między tym, co pragnąłby zobaczyć wobec tego, co dane mu widzieć. Człowiek „rozdarto wewnętrznie” wydany zostaje na pastwę niepokoju, zmagają ze sobą samym i z otaczającym go światem, szuka porządku, harmonii, ale go nie znajduje. Zadaje zatem dramatyczne pytanie, które mógłby skierować ku Bogu, ale pytanie to nie świadczy o głębokiej wierze, a raczej o bezradności i zagubieniu. „Cóż

będę czynił w tak strasliwym boju: wąty, niebaczny, rozdwojony w sobie?”<sup>12</sup>

Oto „Metafizyka współczesności” (1997) przykład malarstwa olejnego, którego kolorystyka (intensywne czerwienie i róża) została skonstruowana z filozoficznym przestaniem całości, kompozycja o której można powiedzieć, że jest przepojona „duchem baroku”, o którym tak sugestywnie, ze sporą dozą krytycyzmu pisał Katalończyk, zwolennik klasycyzmu porządku i harmonii w sztuce - Eugenio d’Ors. Paradoksalnie to właśnie jemu (zadeklarowanemu przeciwnikowi metafizycznej odmiany baroku) udało się bardzo trafnie opisać istotę „ducha barokizmów”, które powierzchownie utożsamiano z zamiłowaniem do dziwaczności, kunsztownej i zarazem „pustej” ornamentyki. Postulowano się nawet sloganem, że w efekcie stylizacji barokowej następuje „przerost formy nad treścią”, czemu z kolei przeczyła idea konceptu, pomysłu organizującego całość dzieła, w wyniku zastosowania którego powstawały struktury przemyślane aż po nadobniejszy szczegół, konsekwentnie wykorzystujące anityze, metafory i symbole, oparte na kontrastach i wyrafinowanym obrazowaniu. „Duch barokowy nie wie, czego chce. Chce on (...) zarazem ciężać i wznosić. Chce on – przypominam sobie jednego aniołka z kościoła w Salamance – zarazem wznosić i opuszczać dłoń. Poprzez formę spirali jednocześnie oddala się i przybliża. Zongluje, bawi się zasadą sprzeczności” – pisał Eugenio d’Ors.<sup>13</sup>

Zatem „Metafizyka współczesności”, dzieło oparte na isticie barokowym konceptcie wymaga głębokiego zastanowienia. Oto chmura zawieszona w przestworzach, pokazana na tle spokojnego, niemal sielskiego nieba. Spokojność niebios (mówiąc bardziej uroczyście, patetycznie) to ewidentny pozór, ale czyż w takim podniosłym tonie nie staramy zmierzyć się ze „sprawami ostatecznymi”? W chmurze motywy znane z innych prac Świąszewskiego: wizerunki upozowanych lalek, manekinów kryjących pod maską „spokojności i ciszy” zapewne kolejne maski, puste czerepy, owady i larwy owadów, motywy ukrzyżowanego (inaczej, niż w filozofii chrześcijańskiej) naznaczony już piętnem rozpadu. Wszystko otulone czymś, co może kojarzyć się z pępownią, symboliczną nicią łączącą człowieka z momentem narodzin i przyjęciem wyroków Losu. Pod krzyżem, zamiast tradycyjnego wizerunku Marii, jaki pojawia się w malarstwie i tekstach literackich epok minionych – szkielet, kostucha jako symboliczne nawiązanie do Danse Macabre. Gdzieś w bardzo odległym planie, za ową chmurą o bogatej, skomplikowanej teksturze, za plecami istot tworzących tłum – rachityczne drzewo, o bezlistnych gałęziach, drzewo zeschnięte, umarłe. Być może symbol unicestwienia przez człowieka Natury, symbol planety, tak jakbyśmy byli świadkami wielkiego kosmicznego Exsodusu.

Wpatrując się z uwagą w kompozycję autorstwa Macieja Świąszewskiego, przywołując bardzo osobiste wspomnienia, związane z jego pracami (pamiętam jeszcze te pierwsze, eksponowane w sopockiej galerii BWA za czasów organizowanych przez ówczesnego dyrektora Romualda Bukowskiego wystaw zbiorowych)

12 Mikołaj Sęp Szarzyński, sonet IV, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sonet-iv-o-wojnie-naszej-ktora-wiedzimy-z-szatanem-swiatem-i-cialem.html> (dostęp: 13 sierpnia 2024)

13 E. d’Ors, za: A. Baranowa, „Powitanie barokizmu. Wokół związków nowoczesności z tradycją” [w:] Barok i 2 barokizacja, Materiały sesji oddziału Krakowskiego Stowarzyszenia Historyków Sztuki, z. 4 – 4 / XII 2004, Kraków 2007, s. 357

proponuję zastanowić się nad znaczeniem roli, jaką pełni tutaj odkrywanie (niekiedy w nagłym błysku świadomości, kiedy indziej żmudne, mozolne) pokładów pamięci, znaczących wielowarstwową teksturę konkretnych przedmiotów. Każde dzieło, niezależnie od tego, czy jest to rysunek, obraz sztalugowy, tempera, akwarela, czy grafika spełnia jeden, podstawowy warunek: okazuje się odkryciem lub może systematycznym odkrywaniem osobowości, uważnym wglądem w głąb psychiki ich twórcy, twórcy bardzo emocjonalnego i jednocześnie powściągliwego, nieskoro do demonstrowania powierzchownych przeżyć lub czynienia publicznych „zwierzeń”. Znamienne, że w każdej ze swych prac artysta zadaje sobie fundamentalne pytanie o to kim w istocie jest człowiek, skąd przychodzi i dokąd w swej wędrówce przez życie (jakże zwodniczej i iluzorycznej, jeżeli powołać się na paradoks św. Augustyna) zmierza. Logiczną konsekwencją owych pytań okazują się rozważania na temat znaczenia pamięci, a także miejsc i związanego z nimi czasu, które to miejsca owa pamięć ewokuje.

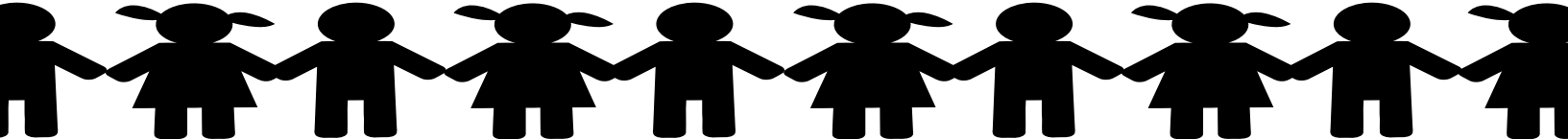
W efekcie (podobnie jak proza Marcela Prousta) dzieła sopockiego artysty należą zarówno do wartości autotelicznych (wartości z punktu widzenia aksjologii uznawanych za naczelne, centralne, zajmujące najwyższe miejsce w hierarchii) jak i do bardzo osobistych wyznań, którym można by przypisać ulotność, momentalność, kruchość oraz zawołowaną skłonność do metafizyki i mistycyzmu, wreszcie – do bardzo szeroko pojmowanej „wiedzy tajemnej”. Co więcej każda z prac jawi się jako rodzaj „autoportretu ukrytego”, autoportretu „wpisanego w dzieło”.<sup>14</sup>

Oto miejsca autobiograficzne, do których należy zarówno przestrzeń (nazwijmy ją bardzo umownie) pokoju dzieciennego lub może lamusa, w którym gromadzi się lalki, przedmioty symboliczne jak chociażby nieużywana szachownica, przedmioty bezużyteczne a jednak z jakiegoś powodu znaczące oraz przestrzeń pamięci zbiorowej, w ramach której niebagatelną rolę odgrywa wspomnienie Holocaustu, „Umarłej Klasy” Kantora, czy profetyczna wizja zagłady, nie sprowadzona wyłącznie do wizji biblijnej Apokalipsy. Podkreślić tutaj należy, że w dorobku artystycznym Macieja Świąszewskiego współczesne miejsce zajmują także prace z wyraźnie wkomponowanym autoportretem, nie tylko owym „ukrytym” oraz, że w miarę upływu czasu oba te autoportrety (ten jawny i ten ukryty) mocno związane ze sobą – tworzą w świadomości odbiorcy jeden spójny obraz, utrzymany w rozpoznawalnym, charakterystycznym dla artysty stylu. Styl ten sytuuje się na granicy surrealizmu, realizmu magicznego, lase-runkowego malarstwa epok minionych oraz dzieł symbolistów, tej miary co Jacek Malczewski. Nieprzypadkowo też niektóre kompozycje (chodzi tu raczej o rysunki i grafiki, niż o malarstwo) tworzą rozrastające się konstrukty, przywołujące na myśl tętniące życiem własnym organizmy, których istotnymi cechami okazuje się dążenie do wewnętrznej ewolucji, zmienności, modyfikacji, tak jakby wymykały się one ingerencji kreatora, który niekiedy sam może czuć się zaskoczony siłą i niezwykłością żywiołu, który powołał do istnienia.

Tę tendencję widać wyraźnie w cyklu rysunków „Bez tytułu” i gdyby szukać

14 Termin ten na gruncie polskiej teorii literatury zdefiniowała po raz pierwszy Małgorzata Czermińska w esejju „Miejsca autobiograficzne. Propozycja w ramach geoepoetyki.” (w) Teksty Drugie, 2011 z. 5, s. 183 - 200





odniesień literackich – byłyby nimi teksty Brunona Schulza, pisarza przekonanego, że „Materii dana jest nieskończona płodność, niewyczerpana moc życiowa i zarazem uwodna siła pokusy, która nas nęci do formowania.”<sup>15</sup>

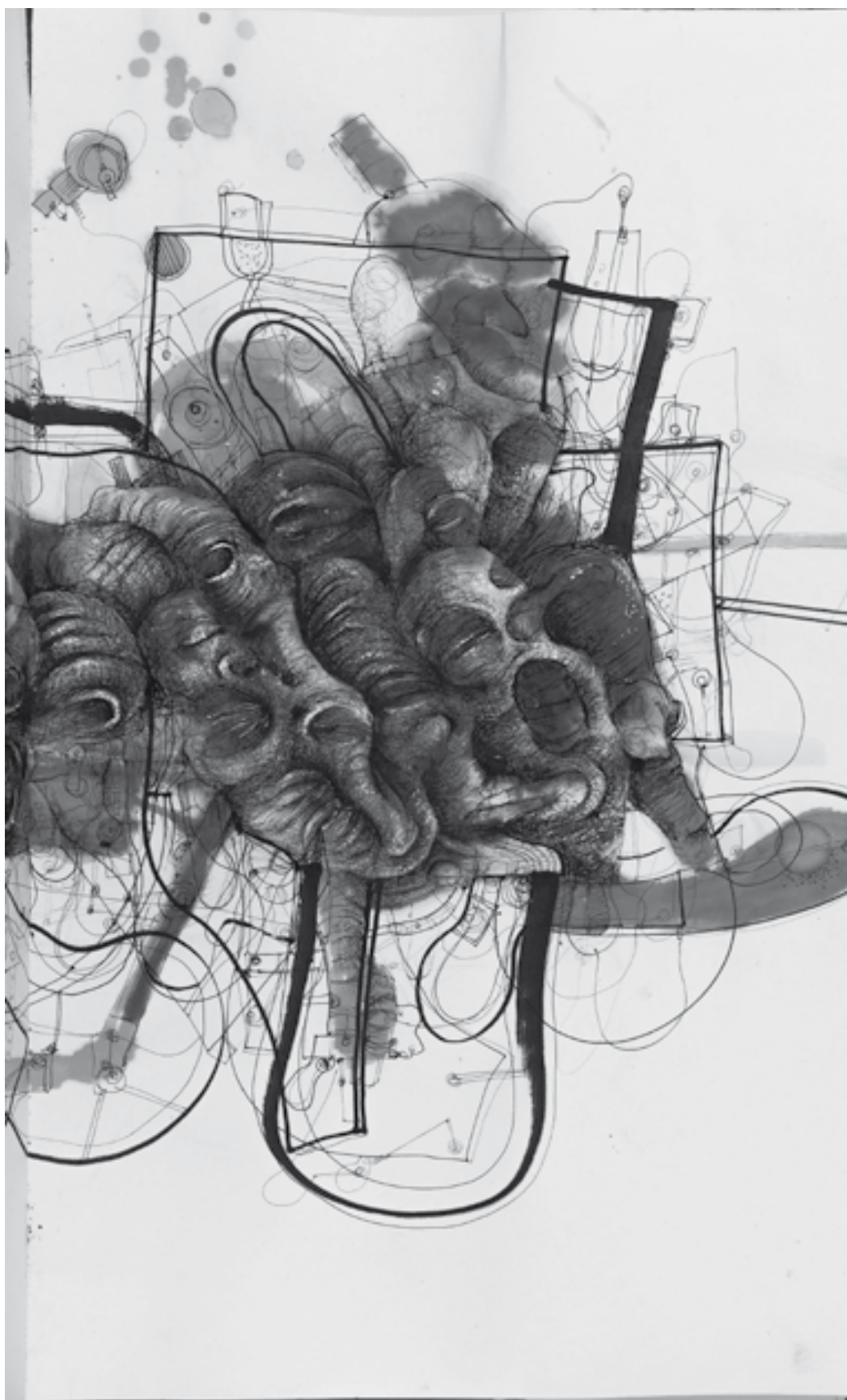
Znamienny okazuje się fakt, że żyjąc w społeczeństwie doświadczamy tak zwanej „pamięci zbiorowej” czyli subiektywnego zapisu zdarzeń, których nie dane nam było przeżyć, a o których wiemy z pewnością, że „miały miejsce”. Dlatego też nierzadko w tekście literackim lub para-dokumentalnym, niosącym znamiona autobiografii - pojawia się termin „miejsca pamięci”, ważnych nie tylko dla konkretnej zbiorowości, ale także dla tego, kto ową pamięć, owe wspomnienia dziedziczy.

Dorobek artystyczny Macieja Świeszewskiego jest bardzo różnorodny, bogaty. Poczesne miejsce zajmuje tu rysunek i grafika, zgodnie z ideą (głoszoną przez artystę w wywiadach i publikacjach książkowych) że u podstaw malarstwa i wszelkich poszukiwań twórczych znajduje się właśnie rysunek, mimo że nie pełni on roli służebnej wobec innych dyscyplin wypowiedzi artystycznej. Ta myśl wydaje się zgodna z koncepcją, że rysunek jako spontaniczna i szybka forma przekazu, mogąca być także formą notatki - stanowi „prolog do czegoś, klucz, który otwiera pewien problem artystyczny, sygnalizuje go, zapowiada w sposób skrótowy”<sup>16</sup>. Wielcy artyści posługiwali się rysunkiem jako odrębną formą ekspresji, jako samodzielną dyscypliną sztuki, dającą szansę na przekazywanie konkretnych treści w odmienny, niż malarstwo, czy grafika – sposób. I tak Albrecht Dürer rysował kredką, piórkiem lub pędzlem, czynił to precyzyjnie, stosując czytelną, wyrazistą kreskę, rozpoznawalny obrys, kontur, którego siłę łagodziła barwa błękitnego lub szarego papieru, celowo wprowadzona smuga bieli, czy miękko kładziony cień, modelunek. Nieprzypadkowo też Krajową Konferencję pt. „Obecność linii – punkt wyjścia. O rysunku, jako samodzielnej dyscyplinie artystycznej”, zorganizowaną w listopadzie 2005 roku we Wrocławiu, gdzie także odbywa się Międzynarodowe Triennale Rysunku – otwarto znamiennym stwierdzeniem: „Na początku był rysunek. (...) Dogodny, prosty zapis ekspresji i informacji.” Zapis tym bardziej wymagający i trudny, że kreska raz postawiona pozostaje, a w konsekwencji każda decyzja artysty okazuje się ostateczną, niemożliwą do modyfikacji, czy zmiany, poprawienia. Rysunek to także bezpośredni zapis emocji i wrażeń, tego co ledwie uchwytnie, chwilowe, ulotne i przez to wyjątkowe, jedyne. Rysunku nie sposób powtórzyć tak jak nie sposób odtworzyć emocji towarzyszących jego powstawaniu. Jednakże jako pełnoprawny środek artystycznej ekspresji – rysunek rządzi się swoimi prawami, wymaga doskonałości warsztatu, trafności przyjętych rozwiązań i dokonanych wyborów, pewnej ręki w prowadzeniu narzędzia, niezależnie od tego, czy jest to ołówek, piórko, pędzel, czy po prostu zaostrzony patyk.<sup>17</sup> „Rysunek to niebywale istotna dziedzina sztuki.” – mówi o swej pasji Maciej Świeszewski - „Doskonale ujął to Michał Anioł: Umiejętność rysunku jest źród-

łem i istotą samego malarstwa, rzeźby, architektury i wszelkiego przedstawiania popadającego pod zmysły. Również zarodem umiejętności. Rysownik, który stanie się panem tej umiejętności, ma w ręku skarb nieoszacowany. Potęga rysunku jest więc tak ogromna, że mistrz zdolny jest

prostu kocham rysunek i wierzę, że jego rola w sztukach plastycznych jest nieocenia- niona”.<sup>18</sup>

MALGORZATA DORNA (WENDRYCHOWSKA),  
PIŁA LIPIEC – SIERPIEŃ 2024



wszystko wymalować jeśli zna rysunek. Im jestem starszy, tym bardziej zaczynam pojmować wielkość tej dyscypliny, która zawiera w sobie wszelkie możliwości. Po

<sup>18</sup> Maciej Świeszewski, Wywiad nierzeka, Rozmowa Michaliny Domoń (w) Maciej Świeszewski, Rysunek, T.I, Centrum Sztuki Współczesnej LAZŃIA oraz ASP w Gdańsku, Gdańsk 2018 str.101

<sup>15</sup> Bruno Schultz, Traktat o manekinach (w) Sklepy cynamonowe, Fundacja Wolne Lektury, s. 16

<sup>16</sup> Małgorzata Dorna (Wendrychowska) W świecie czerni i bieli, <https://galeriabwa.pila.pl/w-swiecie-czerni-i-bieli-2/> (dostęp: 15 sierpnia 2024)

<sup>17</sup> Tamże (dostęp: 16 sierpnia 2024)



Anna Kokot-Nowak

# WERSY PRZEPLATANE MÖBIUSA WSTĘGĄ

Rozpisane w wersy mikrodrgnienia czułej duszy, budowanie wielowymiarowej, poetyckiej jaźni, nieustanny – aktywny dialog z kulturą, tym olbrzymim, bezcennym dziedzictwem ludzkości... To jednak wciąż za mało, by tworzyć lirykę, która przetrwa próbę czasu. Łucja Dudzińska w tomiku wierszy „samotność kinomana. geneza”, proponuje coś jeszcze: *Trzeba czekać, aż (...) wypadnie wstążka – nieskończona Wstęga Möbiusa (...). Wartość słów nie zbuduje się przypadkiem. Matematyka tłumaczy pojęcie owej wstęgi jako swoiście dwuwymiarowej, zwartej topologicznie rozmaitości, którą charakteryzuje nieorientowalność z brzegiem. Tyle Wikipedii profesorskie tony. Może prościej będzie nam jednak rozumieć ją w innym znaczeniu, stosowanym przez ekoprojektantów. Ów niezwykle popularny, międzynarodowy symbol wstęgi Möbiusa – z charakterystycznymi strzałkami, umieszczany na opakowaniach różnych produktów, dostępnych na rynku konsumenckim, oznacza, iż nadają się one do powtórnego przetworzenia. Słowem: recykling.*

I być może tak właśnie postrzega proces powstawania poezji autorka wspomnianego tomiku wierszy? Trzeba cierpliwie przyglądać się ekranowi życia, pojawiającym się przed naszymi oczyma telebimom doczesności i czekać, aż uchwycimy w dtonie niematerialną wstążkę poetyckiej uniwersalności oraz wiecznej prawdy, której nie będzie miał się czas. Gdy wpleciemy ją w wiersze, możemy mieć nadzieję, że w przyszłości będą mogły przetrwać. Szczególnie, gdy czytelnicy dostaną szansę, by odbierać je na swój własny sposób, uprawiając poetycki recykling tekstowy. Łucja Dudzińska nie kryje, że stara się, by i jej poezja tkana była jak najczęściej także wstęgą Möbiusa, impregnowaną na szkodliwe działanie upływającego czasu, zmieniające się epoki i literackie trendy. W tomiku „samotność kinomana. geneza”, bada „czasoodporność” wielu wierszy ze swojej przeszłości, jakby już teraz pragnęła zyskać odpowiedź na to jedno, najważniejsze, choć nieśmiało zadane pytanie: „Przetrwały, aktualne?”.

## Poetka trójjedyna

Czy da się zamknąć 26 lat życia w jednym tomiku wierszy? Czy pomiędzy ciasną przestrzenią okładki można spróbować zmagazynować bezpiecznie poetyckie makrokosmosy nastolatki, młodej dziewczyny i kobiety, która filtruje świat przez doświadczenie? Czy da się uniknąć gniewnych okrzyków, szarpania za włosy, wściekłych damskich fum i dum oraz bitewnego szcęk-broni walczących ze sobą, kolejnych generacji kobiet? Owszem, ale tylko pod warunkiem, że trzy owe rozpoetyzowane postacie stanowią finalnie poetkę trójjedyną, mieszczącą w sobie ogromy wielospójzeń twórczych. Łucja Dudzińska jest taką artystką, która mimo, że konsekwentnie buduje wciąż nową siebie, sięga z rozmysłem po to, co już ją ukształtowało. Choć wzrok ma profetyczny, skierowany ku przyszłości, ręce sięgają po to, co było i po to, co tuż obok, w zasięgu palców, pod opuszkami artystycznej wrażliwości. Zgrania ku sobie przesyte i terazniejsze swe jestestwa, pragnąc zamknąć świat oglądany w żywicy poezji jutra. W tomiku wierszy „samotność kinomana. geneza” – niczym kinomanka

siada prawie 130 razy przed ekranem doświadczonego świata i tyłoma też wierszami dzieli się z czytelnikami. *Przegląda notatki, szpargały, bruliony, dyskiety („Wspominaj, Geneza”), wydobyla z nich kruche wersy zdań, które po otrzepaniu z kurzu, wytarciu plam i usunięciu zmatowień – po wydrukowaniu na czystej kartce, nagle znów mówią silnym głosem (i to bez nakładania na nie makijażu nowych, współczesnych warstw narracyjnych). Okazuje się, że elementy budulcowe jej samoświadomości artystycznej są niezmiennie i trwałe, opierają się najwyraźniej niszczącej „czasoerozji”. Może więc poetka delikatnie, z ulgą odetchnąć?*

## Jaskółcze nawiasy czasu

Nie miejmy wątpliwości: jest w tym pewien świadomy zamysł... Łucja Dudzińska wzoruje się na jaskółkach, przecinających w locie strofy wiersza „w sercu” bierze w nawias. Od zachowania ptaków różni ją jednak materia, jaką w owym nawiasie ujmuje. Ptactwo chciałoby bowiem (...) wziąć / w nawias chmurę na niebie, a artystka – w klamrach spina wiele lat swojego wierszopisania. Nawiasem otwierającym tomik jest kilkuwierszowe wprowadzenie, zwane „apostrofa”, a nawiasem zamykającym – cykl wierszy zwany „postscriptum”. Zastanawia pewien zabieg, zastosowany przez artystkę, która swoje teksty wprowadzające, „klamrowe”, wyróżniła niejako – nazwijmy to, podwójną tytulaturą. Uważne wczytanie się w pierwsze części tytułów tekstów „apostrofy” powoduje, że oto czytelnik otrzymuje swoisty – „dekalog pięciu wezwań” świadomego twórcy: „Decyduj”, „Wspominaj”, „Czytaj”, „Czekaj”, „Żyj”.

Dojrzały artysta nie powinien mieć bożków oczekiwań cudzych przed sobą. To oto wystarczy, by w wysmakowany sposób składać gałązki strof, syntetyzować i scalać światy ruchome, te wszystkie kinowe obrazy, wyświetlane na ekranie zwanym życiem. Zupełnie inaczej czytać zaś należałoby dwutytuły wierszy z części zwanej „postscriptum”. Tutaj pięć wezwań, pod złotym berłem słowa poetki, tworzy – z dwuczłonowych tytułów, część drugą: „Działanie”, „Nadzieja”, „Wyobraźnia”, „Kiedyś”, „Masa”. Trzy pierwsze użyte słowa nie wymagają wyjaśnień i komentarzy, a dwa ostatnie mogłybyśmy czytać jako jedno, spójne zdanie (obietnicę?): „Kiedyś masa wierszy stanie się cięższa, kiedyś masa poezji dojrzejże i wyda owoce, kiedyś...”. Miłyżne „kiedyś”, nasączone mądrością ontologiczną wieku dojrzałego, widmowy krajobraz oczekiwań oraz literackich pobożnych życzeń. Trzeba pisać tak, by słowa naturalnie dojrzywały do nieśmiertelności. By w ogóle było przed wierszami jakieś „kiedyś”.

## Nadstawki strof pożyczonych

Pragnąc odkodować tropy, znaki przeszłości – przyjrzeć się trzeba „nadstawkom” wierszy poetki, czyli wszystkim mottom. Pojawiają się od czasu do czasu na kolejnych stronach tomiku poetyckiego, ogniskując na sobie uwagę czytelnika, który węższy czujnie pomiędzy linijkami przeszłości. Te motta, to rodzaj tajemniczych, poetyckich

pawlaczy artystki, z których wydobywa ważne sentencje, będące nośnikami głównych tematów faz jej ówczesnej twórczości. Ostrożnie porcuje zdania ważnych dla siebie tekstów uznanych poetów, rwie je na przyswajalne cząstki, smaki, zapachy. Najczęściej, bo czterokrotnie, korzysta z cytatów poezji Juliana Przybosa, czyli tego, który żyjąc twierdził: (...) *wydecham aż do krwi krajobraz za krajobrazem (...)*. Trzy razy pożyczca zdania od Wisławy Szymborskiej, mierzącej, ważącej i badającej słowa potoczne oraz te pochodzące ze słowników. Bierze i dla siebie linijki chronionej przez samotność Anny Świrszczyńskiej oraz *chód doświadczenia* Emily Dickinson. Bliska jest jej również poetka Julii Hartwig i z nią szuka *odświętności* – w pozorach piękna, znajdując ją także w zwyczajnej codzienności. Ze Zbigniewem Herbertem pragnie *rozdzielać (...)* światło do ciemności. Zastanawia się z Mironem Białoszewskim (...) *kto wymyślił gwiazdy głupsze?*, z Albertem Camus nie- sie w sobie *niepokonane lato*, choć wciąż *towarzyszy jej także (...)* światło umysłu, *chłodne i planetarne* Sylvii Plath. Przysiada przy wersach Anny Kamieńskiej, by razem z nią kontemlować ten fenomen ludzkiego bytu: *Czasem jest pełno ludzi po to / aby głębsza była samotność*.

Pomiędzy linijkami wersów Łucji Dudzińskiej spacerują ci, którzy uczyli ją przez lata profesji zawodowej „samotnego kinomana”, bacznie obserwującego ekran z wyświetlanym nań filmem bytu. Ale uwaga: patrzeć ≠ widzenie. Choć każdy i zawsze spoglądać można na wyświetlane przed jego oczyma mniej lub bardziej barwne obrazki ludzkiego żywota, nie każdy potrafi prawdziwie zobaczyć, a potem przetworzyć (ów obraz zapisany na siatkówce oka) - na ażurowe wersy liryki. Trzeba do tego biegłości warsztatowej, zręcznego żonglowania piłeczkami metafor, szarfami zdań, maczugami unikatowych porównań. Nie wystarczy kartka i długopis, wprawiony w literacką nadsterowność i produkujący kolejne strony wierszy, okazjonalnych impresji słownych. Nie można funkcjonować tylko w roli zapisywacza podszeptów weny, mechanicznego kronikarza codzienności.

Zamiast pisarskiej logorei – po jubileusku należy ważyć uncje złotomigoczących wersów, inkrustować w wierszach metafory z masy perłowej najprzedniejszej. Wciąż czuć, cyzelować słowa z ostrożnością, wyczuciem, namysłem. Nie pozwolić, by one przejęły nad nami kontrolę – raczej szkolić je wciąż od nowa, by karnie chodziły przy naszym boku, nie odbiegając ni w lewo, ni w prawo, by kryć się gdzieś za dzikimi, bo niedopracowanymi, niewykarzowanymi krzakami nieporadnych zwrotek.

Lepiej ująć raz słowo za dużo, niż dopisać słowo niepotrzebne. Roztropniej głodzić czytelnika, niż przekarmiać martwą tkanką języka. Mniej słów to przecież jednocześnie więcej gęstej materii w wierszu. Zatem: skreślać, niczego nie dopowiadać. Milczenie najgłośniejsze jest wówczas, gdy chce krzyknąć się najmocniej. Nigdy nie rozrzedzać: wersów, puenty, własnego sumienia. Budować ostrożnie świat w intymnym słowotwórstwie, a potem rozbijać go jednym wyrazem (zapisanym pozornie niedbałym ruchem

dłoni) – na tysiące szklanych odłamków, multiplikowanych, szczerbatych lusterek, odbijających niewidzialne dotąd, cudze kosmosy. Wykreować poezję słowoobrazów, jak w wierszu „Czekaj, Implementacja”: *Chcę, aby mój życiorys tworzył milion kulek ręki. / Obserwuję collage (...) / odłamki szklawa, szkła i luster.*

## Warsztaty z samotności

Uważność, empatia, zapis wzrokiem, tym czułym narzędziem rejestrującym – projekcja wyrazów na papierowe przestrzenie liryki. Ogląd i zapis, banalny obrazek codzienności zamieniony w kadr z wędrówki bezdrożami fantasmagorii. Patrzywanie i myślenie, wykadrowanie poetyckiej perspektywy. Przycinanie parabol i skraplanie wątków, odparowywanie znaków interpunkcyjnych. To wszystko wymaga samowytuskania się z tłumem (ludzi czy myśli). Wymaga i samotności, nawet pośród zgietku dni, lat i miesięcy – popychających się, szturchających na targowisku życia. W samotności ducha znaleźć można twórcze asocjacje, których puls nie zagłusza skowyt rzeczywistości, jadącej na energetyku kreacji i fejsbukowej reakcji kolorowych emotikonk.

Owa samotność to w poezji Łucji Dudzińskiej stan pożądany. Trzeba o nią wciąż walczyć, poszukiwać jej nieustannie, gdyż cisza bez tłumy sprzyja wewnętrznemu wzmożeniu twórczych myśli. Kontemplacja – bez wymagających interaktywności rozpraszaczy świata mass mediów, może pozwolić osobie piszącej na nadanie większej głębi intelektualnej swoim tekstom. Jak twierdzi poetka w wierszu „czytaj. samotność kinomana”: *Dużo piszę, aby znaleźć się o słowo dalej. Szukam / – niech obraz posiada ten myk – kadr intelektu. / Tę sztukę zbudowaną ze świadomości; skupiającą / roztrwonione symbole, znaki, rozsypane blizny. / Nie wystarczy zdać relację z wizji. Sugeruje bezpośrednio, że właśnie w takiej niecce samotności osoba okazjonalnie pisząca wiersze, przeobrazić się może w rasowego poeetę. Zastuchanego, zapatrzzonego...*

Trzeba i pamiętać, że samotność rozumiana jest przez nią jako stan pozytywny, możliwy do przeżywania nawet w tłumie. Twórca, chcąc dotrzeć do samego jądra znaczeń, wewnętrznej, poetyckiej maszyny samotumaczającej świat, musi osadzić się mocno w sobie. Zamknąć petzające, raczkujące, kroczące, biegające, skaczące i latające myśli w pomieszczeniu bez okien, gdzie będzie mógł po prostu z nimi posiedzieć, potowarzyszyć im w pozornie bezwładnej, kinezyjnej miotaniu. W tej myślosterze ma szansę na spotkanie także z samym sobą, przejście się w lustrze odbijającym tysiące znaków zapytania. Może jeden z nagłych blików sprawi, że pojawi się strofa wiersza?

Tak wyczekiwana samotność, jak wyjaśnia Łucja Dudzińska, okazać się może jednak pozorna. Zamieszkiwać ją mogą bowiem były wcześniej niewidzialne. Artystą jest się po to, by nauczyć się je dostrzegać i nazywać, oswajając się z nimi. Poetka już to potrafi, dzięki czemu widzi i „pełni w pustce”. Czasami mamy wrażenie, że odwraca wszystko na opak i dostrzega także, i coś o wiele bardziej niepokojącego: pustkę w pełni.

## Retrospekcje i międzywersowa kula światła

Poezja nie ma na szczęście konkretnej daty przydatności do spożycia (choć oczywiście zdarzają się i psujące się szybko liryki). Ma za to zwykle datę „produkcji”. Czasami

taką rozciągniętą w czasie, może wręcz nieodkreśloną, gdy wiersz budowany – długo wytuskiwany jest z mgły słów i nieoczywistości skojarzeń. W tomiku „samotność kinomana. geneza” Łucja Dudzińska, dzieląc się z nami swoją intymnością liryki, proponuje zabawę literacką z elementami geolokalizacji. Od nas zależy czy podejmiemy to wyzwanie i zaczniemy wędrówkę przez linijki testów, (korzystając z wszędzie gdzieś pod trzecim okiem poetyckiego nadajnika GPS), by meldować się przy kolejnych strofach wierszy. Tam zaś, pomiędzy zdania, autorka wplata odpowiedzi, które pomóc nam mają osadzić dany tekst w konkretnej dacie biografii poetki. Słowem – znaleźć datę powstania danego wiersza. Nie musimy oceniać wieku tekstów tylko po przyrostach rocznych stojów wersów, przeżyte liczbie okresów wegetacyjnych. Niektóre z nich nie wymagają korzystania z uważnego szkiełka i oka, by określić przybliżone daty ich narodzin. Domyśliamy się po zniuansowanych imponderabiliach, w jakim mniej więcej wieku mogła być tworząca je poetka. I tak na przykład z łatwością odgadniemy, że „wiersze otwierające” tomik, odwdują się silnie do sielskich krajobrazów dzieciństwa autorki, zakorzenionej silnie w naturze, a potem przeszczepionej na grunt dużej metropolii. Łazarz, Park Wilsona, kacza wyspa, rzeźba uwolnienia Andromedy przez Perseusza, ulica Głogowska z kałużami (...) gdzie wsiąka blade niebo („Żyj. W Parku Wilsona”), Umultowo o zmierniku. To czułe, poznańskie impresje, ze słowami pudrowanymi nostalgią.

Jak pisze, na okładce tomiku poetyckiego, sama autorka, towarzyszące czytelnikowi słowa (...) to wyraz rozterek i problemów codziennego życia, które ukształtowało nie tylko ją, ale i jej poetycką drogę. Artystka dopowiada: *Słowa te komentują, rozglądają się, aby formułować i badać stany. Stanowią wyraz tęsknoty, samotności, weryfikacji ideałów oraz nabywanej wiedzy. Próbują „zadomowić się wśród pięciu żywiołów”. Towarzyszą autorce wierszy już od najwcześniejszych lat, oswajają świat wokół jej wzroku – wtedy, gdy jeszcze jest dziewczynką ubraną w niebo, która buduje zamki w słonecznej piaskownicy („a tak”), gdy kotysanka z dzieciństwa wypełnia (...) oczy; język milczy zajęty dziurą po wyrwanym zębem. Czytamy – obserwujemy ją, gdy odrabia lekcje; przeprowadza się, a potem poznaje rówieśników którzy / inaczej (...) („transformacja”). Towarzyszymy jej, gdy uświadamia sobie, że jest starsza od rówieśników / o wiedzę od dziadka o wojnie / o wszystkie ludzkie tragedie / o bogactwo obrazów i sytuacji („reakcja”). Czytamy, że zaczyna fascynować ją matematyka.*

W tekstach tych wraca do siebie kilkulatniej i kilkunastoletniej, kradnie zegarom czas. W wierszu „post”, komunikuje szczerze: *moje frazy nadal rozglądają się w dzieciństwie / (...) / ten czas należał do wyjątkowych. W wierszu „Wspominaj. Geneza”, pisze otwarcie: Wracam / do początku nie tracąc końca. Nie oznacza to, / że chcę przeżyć siebie jeszcze raz. Raczej zamierzam (...) zastanowić się, / ile jest dzisiaj we wczoraj, aby móc zapragnąć jutro. Podkreśla także, iż nie chciałaby wierszotworzenia zamienić tylko w zwykłą formę autoterapii, a bycia poetką traktować jako uciążliwej (czasami) choroby, dysfunkcji przewrażliwionej, przebudźcowanej duszy.*

Wędrujemy drogami czasu z poetką, przed nami schodki karteek... Jesteśmy z Łucją Dudzińską złączeni wspólnotą odczuwania, gdy ujawnia swoje powszednie grzechy w wierszu „konfesjonat”: (...) *piszę i za dużo czytam. Czy powinniśmy przeba-*

*czyć penitentce jej (nie)winy, skoro jednocześnie deklaruje: (...) nie potrafię obiecać poprawy (...)?* O tym każdy z czytelników sam powinien zdecydować, tuż po przeczytaniu całego tomiku wierszy artystki. Czy warto było tak uciekać pomiędzy muślinowe kotary słów, bawić się w chowanego z metaforami, grać w dwa ognie emocji z higieną psychiczną, przeciążać synapsy w mózgu wierszami ulubionych poetów? Zanim jednak wybrzmiał nasz wyrok – autorka ma na swoją obronę coś jeszcze: czystość intencji, towarzyszące jej ideały twórczych zamierzeń, świadomość, że zawsze stoi w tekstach po stronie jasności: *lubię (...) wiedzieć / że świetlista kula toczy się koło domu / (...) oświetla ścieżkę / (...).* W całym tomiku artystki czytelnik wciąż spotyka wersy, będące pasmami jasności, podsyte dodatkowo jeszcze falbaną świetlistej poświaty: *do furtki prowadzi światło na niebie; światłocien; promień; jasne spojrzenie / staje się skarabeuszem / talizmanem (na szyi); płomyk nadziei; prześwity słońca; druga strona światła; kolorowe światła fajerwerki; świetlne kilometry z prędkością światła; tagodne następczenia; promienie słońca; światło księżycowe, odbite światło; światło i ciemność / (nie może istnieć jedno bez drugiego); każdy promyk słońca. To światło postrzegane bezpośrednio, a jest jeszcze w wierszach i to ukryte, metaforyczne.*

Co znamienne, właśnie o linii jasności (oraz konceptualnej metafory) w poezji polskiej XX wieku pisze na okładce książki poetki prof. Anna Nasiłowska, historyczka literatury współczesnej. Dodaje gwoli wyjaśnienia: *Później założenia estetyczne się skomplikowały. Łucja Dudzińska odwduje się do poetek i poetów tworzących w wieku minionym, ale jak zauważa literaturoznawczyni, (...) jej głos to nie zakładanie nowych światów, tylko próba szukania ścieżek wśród chaosu. Słowa są szukaniem. Powiedzmy to wyraźnie raz jeszcze, inaczej: szukaniem światła na autorskiej orbicie twórczej kreacji. Jeśli i nas podczas lektury jej wierszy właśnie toczyła się między wersami świetlista kula światoczułości, autorka będzie mogła uznać, że jej poetyka spełnia postawione przed nią zadanie.*

## Subtelność wyimków frazy, kwitnienie kamienia

Podejmując próbę rekonstrukcji wizji światów Łucji Dudzińskiej, wciąż zderzamy się z subtelnymi precjozami sztuki poetyckiej. Czytamy w wierszu o *orgiami dzieciństwa*: „Decyduj. Sztuka decyzji”: *Odwracasz kartki – zamykasz w światło / lub w ciemność; Szukasz okna w sobie do pokoju, do spokoju / obolatego od kroków tam i z powrotem. Oko poetki widzi więcej, głębiej, wzrok skanuje przestrzenie, a na co padnie, to staje się poezją: *Łza w oku sarny gdy / ktoś mierzy / i nie strzela („zółć”).* Tym samym okiem uważnym, choć ludzkim, patrzy w szpary, a potem wyjmuje z kąta ciemniejszy kąt („strach”).*

Gdy przychodzi pora na nocny wypoczynek, w „rozbiernance” buduje przed nami poetycką wizję przygotowania się do jakże znanych nam obrzędów śnienia: *zdejmuje cień z oczu / hałas z uszu / grymas z ust (...). Zanikanie, wyciszenie: *iskrzące spojrzenie / (...) / gasną pośród rżęs („nagroda”).* Po przeczytaniu wiersza „czarny kapelusz”, chyba zupełnie inaczej powinniśmy patrzeć także i na ponocne łożo: *zostawiasz swoją pościel / aby nękały ją kosmary. A zatem znów ranek, czyli stosowny czas, by naśladować poetkę i znaleźć w głębi siebie / (...) inne wcielenie („druga szansa”), czasami gubiąc się między oddechem / a wes-**

→ tchnieniem („niezależność”) – na peronie, gdzie krzyżują się spojrzenia i zakładane / z rozmachem nogi („cel”). Pamiętać jednak musimy, że wszystko zależy od perswazji wiatru („meritum”). Ten żywioł może być dla twórcy szczególnie niebezpieczny, prowadząc go do rozproszenia talentu w przesłodzonym światku popkultury: *otwieram okno / zamykam drzwi / aby przeciąg nie zmieształ mnie / ze światem („promień”)*. Trzeba więc chronić swój indywidualizm przed nadmierną unifikacją z konformizmem sztuk współczesnych. Pamiętać wciąż, iż życie / rozgląda się w kropli światła („Sen. Masa”). A kto szukałby w sobie głębokiej, pełnej studni natchnienia, może za Łucją Dudzińską przeczytać esej, artykuł Marcina Orlińskiego, tytułujący ośmielonej wyobraźni. Tekst ten najwyraźniej długo i mocno rezonował w poetce, skoro wprowadziła cień jego, tak namacalny, do wiersza „Game over. Wyobraźnia”: *Mam / przed oczami miejsce, gdzie płonie powietrze, eter, stygną / chmury. metalowa konstrukcja kopuły usiłuje przesunąć / czas.*

Serce tomiku poetyckiego bije w rytmie dziecięcej zabawy „papier, kamień, nożyce”. Uznać jednak należy, że to nie przypadek, iż autorka zapisała tytuł owej towarzyskiej rozrywki z inną kolejnością wyrazów. Data temu wyraz w wierszu „nożyce kamień papier”. Być może będzie to z mojej strony nadinterpretacja, ale sądzę, że pokazała tym samym, swoją prywatną gradację ważności tych trzech elementów. Nożyce, kamień, papier? Cóż, najważniejsze są nożyce poetyckiej zręczności, które przycinają kamień wiersza. Papier zaś to szkielet, na

którym owe wersy się osadzają. Tworzą go przeżyte przez poetkę życiowe doświadczenia. Najistotniejsza jest chirurgiczna precyzja cięcia strof, stów guzowatych ekstrakcja, odcinanie duplikatów poetyckich powidoków: *potrzeba wieków / i nie wszystko zamieni się w bursztyn / albo diament („letarg”)* – czyli poemat, który przerwa upływ czasu.

Przetrzymany w sobie zbyt długo wiersz uwiera, jest niewygodny: *cięży w środku / staje się kamieniem węgielnym („false”)*. Domaga się narodzin, inicjuje akcję porodową. Gdy zaś finalnie zjawi się w końcu na kartce przed naszymi oczyma, często zachwyca mnogością, gęstością treści. Znowu jest ów wiersz jak kamień: petno w nim odcisków (...) *dawnej historii / owa-dów i roślin a może i ludzi („rezydencja”)*. Kolekcjonuje i Łucja Dudzińska ważne dla siebie kamienie – wiersze: *zbieram kamienie jak relikwie / nie rzucę ich dalej – dźwigam / jak cząstkę ziemi z której pochodzą / rozmawiam z nimi bo jest w nich życie / poczekam aż zakwitną...* („etapy”). Tak, kwitnienie jest możliwe, bo nawet najbardziej twarde kamienie wierszy można otworzyć ciepłym czekaniem. Mogą tym samym zachowywać się jak tytułowe „lithops”, sukulenty zwane żywymi kamieniami. Pozornie twarde bryłki – pewnego dnia nagle niespodziewanie zakwitają...

Kto pragnąłby – jak poetka, tworzy nieśmiertelne liryki, ku wiecznym zapisom czasów i epok, niech pamięta i o jednym zaleceniu autorki: *nie dotykaj każdej myśli / pozwól aby stała się (...) / poezją („rozterki”)*. Poezją upuszczoną z gęstej masy – z wnętrzości tłumów („Sen. Masa”).

ANNA KOKOT-NOWAK

Łucja Dudzińska, *samotność kinomana*. geneza, FONT, Poznań 2022, str. 144

**Anna Kokot-Nowak** – eseistka,

prozaiczka, felietonistka, krytyk literacki i dziennikarka z Poznania. Autorka zbioru felietonów literackich „Ironiczne szczekanie pióra” (2022). Przez lata współpracowała z „Głosem Wielkopolskim” i „SOSNartem”, przez 10 lat stała felietonistka „Gońca Ziemi Wronieckiej”. Publikowała również w: „Akancie”, „Krytyce Literackiej”, „eleWatorze”, „Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym”, „Pro Libris”. Zasiadała wielokrotnie w jury Konkursu Literackiego dla młodzieży o „Złotą, Srebrną i Brązową Wronę”. Jej teksty znalazły się w około 80 antologiach, almanachach i e-bookach, a wiersze między innymi w „World Poetry Yearbook” 2013, 2015”, „A Dictionary of Contemporary International Poets (multilingual)”, pod redakcją Choi Lai Sheung, Zhang Zhi. Tłumaczona na język angielski, esperanto i chiński. W roku 2021 zdobywczyni stypendium dla osób związanych z poznańskim środowiskiem artystycznym. Stypendystka Marszałka Województwa Wielkopolskiego w dziedzinie kultury za rok 2022. W 2023 roku otrzymała Stypendium Twórcze Miasta Poznania na przygotowanie książki „Korepetycje z wojny”.



Zbigniew Ikona  
Kresowaty

PIÓREM MALARZA

Tomik poezji, który wpadł mi w oczy bardzo zastanawia. Tytuł **ŻYWIÓŁY** autorstwa Stanisława Szwarca poety z Poznania. Jest to zbiór tekstów wierszy bardzo refleksyjnych na jaki może sobie pozwolić poeta bardzo doświadczony, czyli bardzo dotknięty przez życie. Poeta opatrzył swoje wiersze cytatami wziętymi z twórczości innych znanych poetów klasyków: z Schopenhauera, Wyspiańskiego, Marka Twaina, S. Jerzego Lecca, Jarosława Iwaszkiewicza, Ewy Lipskiej, Wiesława Myśliwskiego, Adama Mickiewicza, etc... Są tu też cytaty, pod tytułami wierszy, poetów klasyków obcojęzycznych jak: Ivo Andrić'a, Kwintyliona, Pittakosa z Mityleny, Epikura z Samos, Romaina Rollanda, Carlosa Ruiz Zafóna, Georga Gordona Byrona, z Horacego, Blaisea Pascala, innych klasyków ... , których przytoczę w dalszej części tekstu. Znaczy to że autor pracował z literaturą klasyczną, zarówno polską, jak i obcą.

- Tomik poetycki zawiera 37 wierszy, wydany w Wydawnictwie **Kontekst** z okładką Witolda Zakrzewskiego, artysty malarza z Poznania, gdzie znajduje się abstrakcyjny portret autora w furiatywnej i żywiołowej kresce, co daje do rozumienia, że w książce jest o żywiołach czarno na białym. Portret rozedrgany, oznajmiający już na wstępie o samych dygresjach do wszelkiego żywiołu, który zawiaduje człowiekiem. „Żywioły”- tym bardziej tomik zachęca ekspresyjną nazwą. Pierwszy tekst pt. **Psalm**, gdzie w tytule jest dedykacją książki dla : „Hani”

**Psalm** (str. 5)

Czego chcesz od nas, Panie  
za Twe hojne dary?  
Trzęsienia życia,  
nieszczęścia lawiny,  
powodzie nienawiści,  
susze miłości,  
bagna rozpaczy...

Wiary możesz pragnąć,  
lecz nie zrozumienia.

- Autor mówi o pewnego rodzaju przewartości człowieka zaangażowanego, jakby wypowiada Najwyższemu ów dar „wolnej woli”.

Nasze wspólne chwile są niczym burza, niczym gwałtowna wichura i deszcz, potocznie to coś zbyt wielkiego, by tym pokierować, a zarazem zbyt silnego, by przed tym uciec. Ten inteligentny żywioł poetę porywa, szarpie za włosy, zostawia krople wody na twarzy, sprawia, że i ja czuję się wreszcie żyw. Jak w każdej burzy zdarzają się też chwile spokoju i wytchnienia, a także i takie, gdzie nasze słowa rozszczepiają wielkie błyskawice.

Nie chcę uciekać mówi poeta. Kocham cię odkąd pamiętam i zaryzykuję, aby tylko otrzymać kolejną oryginalną szansę. Nawet jeśli każda sekunda bez ciebie odbierze mi część duszy, a twój brak zaangażowania mnie zrani, chcę tego! - Wolę cierpieć, niż w ogóle nie próbować!

W tomiku Stanisława Szwarca odnajduję

# CZŁOWIEK JEST ŻYWIÓŁEM NIE DO OPANOWANIA



Autor projektu Witold Zakrzewski

cytaty, jak wspominałem, klasyków, przytaczane są nad kolejnym i każdym wierszem, żeby bardziej ukazać materię żywiołów nie tylko własnych, jak wspominałem inteligentnych i zmysłowych żywiołów, które odzwierciedlają poręczność, czytelność(?), sugerując zmagania się z rzeczywistością. Może zatem przytoczymy kilka dalszych wierszy z tego zbioru. A cytaty pomieszczone nad każdym wierszem niech będą wstępną puentą...

**Zdrada** (str. 7)

Człowiek jest jedynym zwierzęciem,  
które sprawia innym ból,  
nie mając przy tym innego celu.  
ARTHUR SCHOPENHAUER

Słowo, które przeraża brzmieniem

jak trzask dartego przecieradła.

Choć skojarzenia z łóżkiem nie da się ukryć,  
ważniejsze jest oddarcie  
było od jest.

Strzaskanie wiary,  
zrabowanie nadziei,  
rozszarpanie miłości.

Ze zrad najgorsza ta cicha.  
Wcale nie w realu, to zbyt banalne.  
W głowie i tylko w głowie,  
bo tam mieści się wyrachowanie.

## → Cóż to może być? (str. 9)

Kłamca powinien mieć dobra pamięć.  
Kwintylian

Choć nogi krótkie, szybko biega,  
bacznie pilnuje oczu, ust.  
Iluzja przecież musi trwać.

Drobne głupstewka podpowiada:

Ależ tak, wybacz, lecz nie dziś.

Chętnie bym, ale właśnie nie mam.

(...)

## Z rubryki ogłoszeń drobnych (str.14)

I głos sumienia przechodzi mutację  
Stanisław Jerzy Lec

Zgubiło się sumienie.

Było prawie czyste i mało używane.

Dobrze ułożone

szło za moim głosem.

Dopasowane,

nie uwierało ani cisnęło.

Prawie się go nie czuło,

tyl bardziej, że nic na nim nie ciążyło.

Pewnie dlatego zgubiło się niepostrzeżenie,

zwłaszcza że ginęło jakby stopniowo.

(...)

## Zdziwienie (str. 20)

Dziwne to - lecz prawdziwe; gdyż  
prawda dziwna

Jest zawsze; dziwniejsza niż zmyślenie.

George Gordon Byron

Nie stawia pytań,

od tego jest ciekawość.

Pojawia się niespodzianie tam,

gdzie ciekawość nie ma nic do roboty

i przychodzi obojętnie nad oczywistością.

Zdziwienie dziwi się cokolwiek bezradne,

nieobcy jest mu zachwyt.

Czyż nie dziwna jest bohaterka brzoza

rosnąca w rynnice,

albo gwiazdy tak dalekie od siebie,

a tak bliskie w Pasie Oriona.

Jakie to banalne, że ona i on

spotkali się i żyją szczęśliwi.

Cóż ciekawości do tego.

A oni szczęście zawdzięczają przedziwnie

Auschwitz i Kołymie.

I to już nie mieści się w głowie.

- Można powiedzieć, że to wprost Góra lodowa to wprost woda, której pragnieniem jest stać się lądem; góra, zwłaszcza himalajska, zwłaszcza Everest, to próba ziemi przeistoczenia się w niebo; to udaremniony lot, gleba przeobrażona - prawie - w powietrze i w dosłownym sensie zamieniona w wyniosłość.

## Ballada o drodze (str. 24)

Pomnij zachować umysł niezachwiany

Pośród złych przygód.

Horacy

Maćkowi

Na mijanych rozdrożach

czas ustawił szlabany.

W niepowroty już się cofnąć nie możesz.

Do nie – tak i nie-z nim,

do nie –wtedy, nie tam

do – czy lepiej by było, czy gorzej.

Z głową wstecz trudny marsz.

Tylko rusz, radę dasz.

Diabli z tym, co nie stało się kiedyś.

Jeszcze będą rozstaje.

Po to droga, by iść.

Dla tej drogi warto żyć, więc idziemy.

Wierzy poeta, bo musi wierzyć w ten żywot niepewności, że jego życie jest nie tylko sumą zdarzeń, lecz skomplikowanym spłotem sensów i fraz, które tym zdarzeniom przypisuje... Owe sensory tworzą cudowną tkaninę opowieści, pojęć, idei i można ją uznać za jeden nie jeden z żywotów - jak powietrze, ziemia, ogień i woda - które fizycznie determinują nasze istnienie i nas kształtują. Sauna to Ziemia, to dobre miejsce na poznanie innych żywotów. (...) Ogień nagrzewa kamienie, wprowadza w ich nieruchomą istotę niepokój, tęskni za wodą, która je ochładzi. Żar miłości ognia do ziemi budzi w tej drugiej pragnienie, ale może ono być zaspokojone jedynie chłodną wodą. Ciepło i wilgoć przenikają powietrze, sprawiając że staje się cięższe, bliższe ciału i bardziej porywczej naturze.

## Z wiatrem (str. 26)

Zegar niech dzwoni, noc niech nastaje,

Dni ulatują, ja pozostaję.

Guillaume Apollinaire

Czas nie ucieka i nie goni,

ani go dużo, ani mało.

Wije

pasatem równym, wietrznym.

Szczyśliwe liście z drzew i krople deszczu,

motyle, ptaki, ryby, trawy,

obłoki, skały nieświadome.

Tylko my nadto niepokorni,

pod prąd iść chcemy zadziwienie,

że nas porywa, gniew, powala,

niesie wbrew nierozsądnej woli.

Jedyni znamy przemijanie.

Nigdy nie boi się poeta ogromu, a może to być żywot, np. morza, które przecież w sobie kosmicznie wiruje. Zatem mówi jakby, nigdy nie waży się myśleć, że morze jest okrutne albo niesprawiedliwe. Ono jest po prostu tobą. Bo tacy bywają wyłącznie ludzie i inne stworzenia. Morze jest po prostu sobą.

## Jest (str. 30)

Niezrozumiałe jest, aby Bóg był

I niezrozumiałe, aby Go miało nie być.

Blaise Pascal

Zatopieni w czasie,

skupieni w przestrzeni,

skąd mamy wiedzieć, jak to jest być poza.

Ze słów zbyt ślepych, by opisać żdźbło trawy,

budować chcemy nieskończone.

Żałośnie hojnie niepojętym skarbem.

dzielimy się z Tobą tym, czego nie mamy.

Sprawiedliwością skutą w paragrafy,

dobrocią mdlącą z lekka od słodyczy,

miłosierdziem – pogardy prawie

w nim nie słychać –

miłością, która kryje w zanadru kajdany.

Jest który jest,

to najprawdziwsze, co Tobie rzekł człowiek,

choć i tak nie wie nikt co to znaczy.

- Poeta pyta o żywot osobny i czyni swoje dygresje, swoje „prawdy” filozoficzne, sięga poprzez życie abstrakcyjnie do śmierci, do jej atrybutów Otóż, czy istnieje coś bardziej bezstronnego niż śmierć? - Trzęsienie ziemi nie zwraca uwagi na kolor skóry. Tsunami ma w nosie w co wierzysz. Huraganu nie interesują twoje pieniądze. Okazuje się, że śmierć nie istnieje, jest tylko złudzeniem ku przejściu w następny brzeg z całym bagażem energii... Ale to chyba najważniejszy żywot należący do człowieka i otaczających go innych żyć i bytów, nawet tych starszych braci, czyli zwierząt.

Oczywiście o żywotach, jak je nazwałem inteligentnie spisanych przez autora można by dużo prawić i przypisywać je nie tylko chwili ale i czasowi, również czasowi poety...  
- A na koniec jeszcze wiersz tytułowy, znajdujący się na drugiej okładce tomiku:

## ŻYWIÓŁY:

Falo, która gładzisz

ślady przeszłe na piasku,

zmiłuj się nad nami

wiecznie terazniejszymi.

Ogniu, który pożerasz

listy miłosne i święte obrazy,

oszczędź dla nas

choć niedopałki tego, co było.

Trąbo powietrza, która ryczysz

i wyrzwasz domy z korzeniami,

zachowaj nam nasze korzenie

ukryte w głębi czasu.

Bez nich nie odrośniemy

po kolejnej klęsce żywiołowej.

Wiersz jakby podsumowujący zawartość merytoryczną całego zbioru w którym to wierszu poeta zwyzywał „Żywioły”, a jednocześnie uhonorował się: morza, uderzenie fali, ognia, ryk trąby żywiołowej, niczym jerychońskiej(?), etc.

**Reasumując:** może ten wiersz brzmi jak modlitwa?, a tomik poetycki Stanisława Szwarca jest nie tylko dobrą dawką poezji, ale i pewnego rodzaju rozprawą nad bezbożną Psyche. To modlitwy takie. Stanisław Szwarz pokazał słowa o żywiołach sprytnie i bezpartonowo, podając tytuł, a pod każdym przytacza powiedzenia biorąc z znanych autorów światowych, gdzie wszystkich nie wymienięm przecież, pokazuje ich prawdy i dygresje psyche życiowej. Poeta jakby odpowiada swoimi słowami na słowa wybrzmiały w różnym czasie przez innych uznanych, przytaczając swoje życiowe spostrzeżenia, a że jest każdy poeta sumieniem ludzi, to należy mu wierzyć, tym bardziej, że wyszukał w literaturze dygresje słowne i przytoczył dla swych wierszy. Zatem należy nie wątpić w jego wewnątrz żywioły i intuicję twórczą. I choć znamy te żywioły to skomponowane w sposób poetycki brzmią dygresyjnie dla nas czytelników dla każdej chwili nie obco.

ZBYSZEK IKONA - KRESOWATY

ŻYWIÓŁY, ISBN 978-83-66476-83-7, Stanisław Szwarz, Wydawnictwo Kontekst, 2024, s. 42. Projekt okładki: Artysta plastik Witold Zakrzewski. Poznań.

Elżbieta Juszcak

## MANIFEST FEMINIZMU

Sita rażenia tej poezji jest wielka, wyobraźnia świeża, a katalog osób dopuszczonych do głosu, każe myśleć o globalnej cywilizacji. Wydana w tym roku w Gdańsku książka zawierająca na 181 stronach teksty poetyckie jest tak poruszająca, że nie można przejść obok niej obojętnie. W 2024 r. Monika Hercog za tom poezji *Okres ochronny* zdobyła Nagrodę Europejski Poeta Wolności.

Jak to zrobiła dwudziestodwuletnia poetka ( bo tyle lat miała, gdy ukazał się jej tom *Lovostaj* po chorwacku)?

Przede wszystkim dlatego, że sytuacja kobiet w przeszłości i współcześnie jest dla niej podstawowym zagadnieniem. Znajdziemy w tej książce to, o czym myślimy, i co przeżywamy, przyswajając informacje z newsów medialnych, z popkultury, i co wiemy, albo możemy się dowiedzieć o najwybitniejszych naukowczyniach na świecie z dziedziny nauk ścisłych. Badaczek, które miały wpływ na rozwój współczesnej cywilizacji.

Następnie dlatego, że autorka wprowadza nas w intymny świat bohaterek wiersza, obcujemy z nimi bezpośrednio, w poczuciu bliskości, bo nie jest to medialny, lecz poetycki przekaz. No i oczywiście liczy się diagnoza współczesności, próba ustalenia światopoglądu, czy raczej jego przybliżonej wersji.

Formą konstytuującą jej świat jest przede wszystkim kobiece ciało, cielesność. Ciało jest komplementarną formą przekazu. Rejestruje, co oczywiście, fizyczne obrażenia, ale także poprzez jego opis różnorodne stany świadomości bohaterek. Niemata część książki poświęcona jest rodzicielstwu. I gwałtom ze strony mężczyzn. Mowa jest o aborcji.

Raczej ponura diagnoza naszych czasów trudna byłaby w odbiorze, gdyby nie naturalny humor autorki i błyskotliwe uwagi na marginesie, co jest zaletą wierszy.

I jeszcze dwie konieczne uwagi. Jako dziecko chorwacka poetka Monika Hercog, urodzona w 1990 r., wraz z rodzicami musiała uciekać z rodzinnego domu. Jako pełnoletnia osoba dziedziczy traumę masykry etnicznej towarzyszącej rozpadowi dawnej Jugosławii (wojna domowa 1991-1995 pomiędzy Chorwatami a Serbami). Rzezie ludności i gwałty na kobietach były wtedy codziennością. Słowo gwałt w tych wierszach jest wszechobecne, jak w wierszu *Drugorzędny ojciec*: Sześć miesięcy Zeusie, / sześć miesięcy pozwalałeś/ aby mnie rozbierali i gwałcili/ w mroku nieważkości. Z kolei w wierszu *Europa nigdy nie mówi o doznanej przemocy* padają słowa: bóg snajper, / bóg ręczny granat.

Słowo manifest, jak również zwrot manifest feministyczny niekoniecznie ma pozytywne konotacje. Wywołuje w nas opór ufundowany na domniemaniu wyjątknie publicystycznego przekazu. U tej autorki tak nie jest. Dobrym tego przykładem jest otwierający tom wiersz *Prolog dla mizoginów*. Mamy tu błyskotliwą trawestację biblijnego aktu stworzenia według Moniki Hercog: Wąż wpada do ogrodu przynosząc wiedzę/ .....Jabłko jest kwantowe, nikt tego nie rozumie/.....Newtonie, hej? /pyta Ewa z pełnymi ustami, a jej język się rozwiła/.....Urodzę ci Adamie,/ algorytm 10/10 w skali Apgar, /ciemną materię, strukturę DNA/ misję na Księżyc, energię kinetycz-

na/.....Podnieś deskę Adamie!/ .....

A co powiecie na takie słowa autorki : ...Wiesz, urodziłam nam syna tak silnego /że prześcacza się w dziewczynkę/ .....(*Ciało*)

### Wyobraźnia

To co wydaje się niezmiernie interesujące, to wyobraźnia autorki. Pozornie operuje ona użytym paradygmatem: niebo – ziemia, a jej instancją odwoławczą jest religia chrześcijańska i bogowie mitologii greckiej. Już to samo stwarza odpowiednie napięcia. W tej przestrzeni umiejscowiony jest świat nauki: matematyki, fizyki i astronomii z jego kobiecymi postaciami, odkryciami, terminologią, pojęciami, przyrządami badawczymi. I właśnie ten konglomerat stwarza wyjątkowo interesującą, dynamiczną wyobraźnię. Już same tytuły wierszy świadczą o tym: *Monolog Maryi do Wenerzy w trakcie niebiańskiej kawy*, *Monolog Maryi do poetki w trakcie ziemskiej kawy*, *Marijam Mirzachani robi kanapkę z trzech nieskończoności, sera i majonezu*, *Demeter po bezowocnych poszukiwaniach*, *Lisa Meitner rozszczepia uran, bomba atomowa gryzie ocean*, *Ana Magaś wyprowadza się do gwiazdy po zabójstwie przemocowego męża w samoobronie*, *Pokój Hery*, *Kwantowy Kopcuszek*, i tym podobne.

W pierwszym przytoczonym wierszu Maryja jest bezsilna, przytłoczona swoją niemocą zwierza się Wenerze: Wszyscy my na niebie, święci i nieświadomi/ liczby uderów wywołanych stresem/ .....jesteśmy zębatką jakiejś bezsensownej wojny/.....dusza nie miała dokąd odejść / tylko do pierwszej cechy/ wysokiego komina?

Ale wcześniej padają z ust matki boga i takie błyskotliwe stwierdzenia : Dla nikogo nic nie znaczy piękno, jeśli jest nierynkowe./ tysiąclecia zamieniły cię w lalkę Barbie/ bez kłopotliwych poglądów na politykę i sztukę/.....Nic nie znaczy twoja noga zamoczona w horyzoncie innej planety/ jeśli nie mogą cię zapylić, /jeśli nie mogą w tobie zasadzić/ żeby wyrwać, zawsze wyrwać/ za nos, za włosy, policzki/ niktące z ciebie flance.....

I dalej o Maryi: Tak zostałam zapisana w wieczności: jako sflaczała piłka/

z której wycisnęli boga w państwo i przemysł filmowy/....

Monika Hercog, jak przystało na buntowniczkę, rzeczniczkę kobiet i zagrożonej zagładą przyrody, ma swoje porachunki z bogiem; raz bóg jest gwałcicielem ( *Meduza*),raz boi się kobiet ( *Krótką przerwa na zmarłychwstanie*), raz wstydzi się oglądając nagą kobietę ( *Prolog dla mizoginów*). Ale bóg po prostu jest. Tak samo jak dusza ludzka, np. dusza Sylwii Plath.

Jeśli jednak mówimy o wyobraźni chorwackiej poetki, niech wystarczy trój- wers : Vera Rubin rymuje prędkości/ rotacji galaktyki/ z metodami wychowania dzieci (*Wiersz z dwiema niewiadomymi*).

### Postaci

Wyraźną dominantą książki jest obraz różnorodnych postaci kobiecych według jednego klucza – doznały one przemocy ze strony mężczyzn. Przemoc rozumiana jest tu zarówno jako upokorzenia doznane

na drodze kariery uniwersyteckiej, przemoc fizyczna ze strony domowego kata, zbrojnych gwałtów, dokonywania aborcji w warunkach bez opieki medycznej, lub przemoc związana z nakazami religijnymi.

W książce występuje siedem naukowiec, które wniosły podstawowy wkład w rozwój światowej nauki i które musiały pokonać dodatkowe przeszkody w dążeniu do celu, tylko dlatego że były kobietami (utrudniony dostęp do edukacji, praca na niższych stanowiskach, praca za darmo, zawłaszczanie ich dorobku przez mężczyzn, brak uznania na różnych etapach kariery naukowej).

Mamy więc ikoniczną brytyjską astrofizyczkę Jocelyn Bell, która w trakcie pracy nad doktoratem odkryła pulsary, ale Nagrodę Nobla za to odkrycie otrzymał jej promotor i jego współpracownik. Emmę Noether niemiecką matematyczkę i fizyczkę, Lisę Meitner austriacką fizyczkę jądrową, Marię Goeppert-Mayer, amerykańską fizyczkę, Verę Rubin, amerykańską astronomkę, Adę Lovelace, brytyjską matematyczkę i irańską matematyczkę Marijam Mirzachani.

Oto jeden z przykładów obcowania poetki, tym razem z Jocelyn Bell : W pępku wielkiego wybuchu/uczyli cię przyszywać guziki w koszuli,/ że wszechświat mieszka wewnątrz røndla/ a świeżo zebrane główki kalafiora/ to jedyne eksplodujące gwiazdy/..... (*Teleskopy Jocelyn Bell, przybliżają poeŃce pustkę*).

Tak poetka kwituje początkowy zakaz uczęszczania Jocelyn do klasy fizycznej w liceum. Licencja jaką autorka stosuje w stosunku do wszystkich opisywanych kobiet to bezpośrednie zwroty, również po imieniu ( Emmy, Emmi, czy żywiła cię matematyka), kameralność albo po prostu oddanie im głosu.

Wśród pozostałych postaci, znajdziemy m. in. Lisabeth Salander - fikcyjną bohaterkę cyklu powieści Millenium Stiega Larssona, prostytutkę Mary Jane Kelly- ofiarę Kubę Rozpruwacza z XIX wiecznej Anglii, seryjną morderczynię Aileen Wuornos, której dzieciństwo było pasmem doznanych krzywd.

Wśród znanych na całym świecie ofiar seksualnej przemocy, a zamieszczonych w tekście, znajduje się zgwałcona w autobusie w Delhi w 2012 roku indyjska studentka medycyny Jyoti Singh. Jyoti została wyrzucona z autobusu i zmarła. Hercog poświęca jej wiersz *Dusza Jyoti Singh pije obok mnie kawę i przestrzega przed gapiem, z którego może wyrosnąć metalowy pręt*.

Mamy w książce też wiele bezimiennych ofiar przemocy zabitych czy zgwałconych przez mężczyzn kobiet w rodzinnej dla poetki Chorwacji.

### Co może poezja?

Monika Hercog jasno stawia sobie pytania i wyznacza obowiązki. W związku z tym pyta o powinności i możliwości poezji, i jej samej jako poetki. Jeśli jest obrończynią i rzeczniczką kobiet, to również chce zdefiniować poezję, siebie samą, a nawet / wziąć się za bary z pojęciem kobiecej poezji/ ( *Silniejsza kobieta albo o toposach poetki*). Rozważania te mają szeroką amplitudę, od zakwestionowania roli poezji:/

→ Cóż może ożywić poezja/ jeśli nie dudnienie smutku,/ kobietę nieskończenie oddaloną od lądu,/ pusty parlament, obrabowane wsie,/ głośniejszą ciszę wymierania (O pierwszym spotkaniu poetki i poezji), po afirmację: /w mojej galaktyce gwiazdy rodu się jak alfabet/ i w tym samym wierszu: /Chcę umrzeć od poezji/ ( Jeszcze jeden wiersz z dwiema niewiadomymi).

Ten swoisty autotematyzm autorka rozwija w ostatniej części tomiku, ale do ostatecznych konkluzji nie dochodzi. Może i dobrze, zdefiniować poezji w stopniu ogólności się nie da, choć można ją zdefiniować na własny użytek.

Tomik *Okres ochronny* jest na pewno poetyckim świadectwem końca XX i początków XXI wieku z jego zbrodniami na ludziach i przyrodzie, z pytaniami i próbą uporządkowania statusu i sytuacji kobiet. Udało się to Monice Herceg, a jej wyostrożona wrażliwość ma podłoże między innymi w okrutnym losie kobiet w nieodległej chorwacko-serbskiej wojnie.

**Monika Herceg** - chorwacka poetka, scenarzystka, dramaturżka, redaktorka i aktywistka. Autorka tomów poetyckich: *Pocętne koordinate* (2018), *Lovostaj* (2019), *Vrijeme prije jezika* (2020), dramatów *Gdje se kupuju nježnosti* (2020), *Ubij se, tata* (2020), *Zakopana čuda* (2020). Laureatka krajowych i międzynarodowych nagród literackich. W 2024 za tom *Lovostaj – Okres ochronny* w tł. Aleksandra Wojtaszek otrzymała w Gdańsku Nagrodę Europejskiego Poety Wolności.

Urodzona w 1990 r., dorastała w wiosce Pecki niedaleko Petrinji. Studiowała fizykę na Uniwersytecie w Zagrzebiu i Rijeci. Obecnie pracuje jako redaktorka w dużym wydawnictwie i wychowuje dwoje dzieci w Zagrzebiu.

**Aleksandra Wojtaszek** (ur. 1991)- kroatystka, doktor literaturoznawstwa, asystentka w Instytucie Filologii Słowiańskiej UJ. Studiowała w Krakowie, Zagrzebiu i Belgradzie. Autorka monografii naukowej *Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i Chorwacka fantastyka gatunków*.

**ELŻBIETA JUSZCZAK**

Monika Herceg, *Okres ochronny*, tł. Aleksandra Wojtaszek, Europejski Poeta Wolności, Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2024



Mateusz Wabik

## Za i przeciw wierszom Polkowskiego

W najnowszym tomiku wierszy Jana Polkowskiego pt. „Rozmowy z Brechtem i inne wiersze”, który został wydany przez Instytut Książki i dodany do numeru „Toposu”, który ukazał się w lipcu 2024 roku nadal można było przeczytać o walce opozycji z komunizmem, czy wiersze wspomnieniowo-autobiograficzne, w których pojawiały się wątki polityczne z czego znany był poeta. Jednak Polkowski pogłębił swoje diagnozy, m.in. przez zaproszenie do dyskusji niemieckiego poety Bertolta Brechta, do którego wierszy nawiązywał w trzeciej części tomiku zatytułowanej „Rozmowy z Brechtem” przez co wiersze polskiego poety wyszły poza krąg polskich doświadczeń z totalitaryzmem, by stać się w ogóle wierszami rozliczeniowymi z polityką XX wieku.

W wierszu „Ein Deutsches Requiem” zestawiono wątki z biografii Brechta z historią Niemiec w XX wieku. Brecht wyemigrował z Niemiec kiedy faszyci doszli do władzy najpierw do Czechosłowacji, potem do Danii, następnie Stanów Zjednoczonych i ZSRR. Wiele zagranicznych teatrów grało sztuki Brechta, kiedy w Niemczech - wg Polkowskiego - wiele milionów Niemców brało udział w teatralizowanych pogańskich obrzędach i w fabrykach budowało pojazdy i sprzęt wojenny. Po klęsce hitlerowców wpływ na dalsze dzieje Niemiec miały Stany Zjednoczone („na amerykańskich czołgach przyjechała demokracja”) oraz ZSRR („a na rosyjskich mumia Lenina zżarta przez syfilis”). Brecht z emigracji nie powrócił do zachodniej części Niemiec, w której się pod koniec XIX wieku urodził, ale do wschodniej, gdzie jego dzieła doceniono. Jednak kiedy wybitny poeta umierał w polityce wschodniemieckiej pojawiały się nawiązania do faszyzmu, gdyż jak wiadomo z historii już w latach 50-tych XX wieku Niemcy zaprzestali sądzić zbrodniarzy wojennych, a służby wywiadowcze RFN-u i bezpieczeństwa NRD chętnie przyjmowały w swoje szeregi byłych hitlerowców, gdyż powoływały się na niechęć Sowietów do karania swoich zbrodniarzy.

Wiersz „Wolność i chleb” za to nawiązywał do wątku przemian społeczno-politycznych w naszym kraju. Poeta w wierszu ukazywał dojście do władzy opozycji z lat PRL-u i zestawiał jej ideowe podejście do polityki przez wpisanie przez nią do konstytucji „gwarancji wszelkich swobód i wolności” z prostymi potrzebami robotników, którzy już w wolnym kraju protestowali przeciwko „podwyżce cen żywności”. Według Polkowskiego opozycyjni politycy byli w przemianach społecznych w Polsce ważniejsi od robotników, ponieważ gotowi byli na walkę o swoje ideały, a prymitywni robotnicy tylko dbali o swoje sprawy bytowe. Polkowski w tym wierszu niechęcią ukazał mentalność polskiej klasy politycznej - opozycyjnej, która była podobna do komunistycznej - czyli wyniosłość. Na całym świecie, w krajach demokratycznych - zwykli pracownicy protestowali właśnie w sprawach podwyżek cen (we Francji np. rewolucja żółtych kamizelek) itp., co było oznaką demokracji, ale według Polkowskiego w wykonaniu polskich robotników

był to prymitywizm. Ludzie powinni nadal głodować, nie mieć co włożyć do gara pod koniec miesiąca, tylko stać w kolejkach i oglądać ocet na półkach, ale musieli być idealistami jak Rzecki z „Lalki”. Według Polkowskiego konstytucję zmieniono nie po to by można było protestować nie narażając się na pobicie, więzienie, ale po to tylko by znalazło się w niej poświęcenie ideowej walki opozycji, co było zupełnym kuriozum. Polska opozycja nie dlatego walczyła o demokrację by była w Polsce wolność wyznania, słowa, prawo do protestu, ale tylko po to by zmieniono konstytucję i żeby postawiła na swoim. Wiersz Polkowskiego wcale nie był złym tekstem, choć był zupełnie nietrafiony, dużo mówił o mentalności nie tylko polskiej opozycji, ale Polaków. Mogę sobie przypomnieć to jak zachowałem się jak ostatni prymityw, kiedy pracowałem na próbę pół dnia w jednym z marketów, zamiatając, zwoziłem wózki, a następnie oświadczyłem mi, że nie dostanę pracy, choć nie popełniłem żadnego błędu. Naskoczyłem wówczas na pracodawcę i zażądałem zapłaty za pracę, bo podejrzewałem, że codziennie ktoś pracował w tym markecie za darmo i nie dostawał pracy, a następnego dnia sprawdzano kolejnego chętnego. W Polsce po tych przemianach społeczno-politycznych może nastąpić taka wolność, że będzie się pracować dla samej idei pracy. Czytając takie wiersze jak „Wolność i chleb” można rozumieć bunt Marcina Świątlickiego i jego pokolenia wobec literackich środowisk artystyczno-literackich, którzy stawiali na sprawy egzystencjalne i realne, a nie na same idee co wyrażone zostało np. w „Etosie pracy”, czy głośnym niegdyś wierszu „Dla Jana Polkowskiego”, w których ukazywano ludzką egzystencję pozbawioną pobudek ideowych, którym ulegali naiwni niewolnicy. Także perspektywa Polkowskiego była także daleka od punktu widzenia Czesława Miłosza, który często stawał po stronie zwykłych ludzi i raczej nie godził się na ich krzywdzenie. Jeszcze raz się okazało, że poetycki mistrz opozycji był tylko promocyjnym wabikiem pewnej grupy poetów, a nie rzeczowym mistrzem.

Ale trzeba oddać sprawiedliwość Polkowskiemu, rzadko taka wyniosła atmosfera wyzierała z jego wierszy o walce z polskim komunizmem, który po wielu latach jakie upłynęły od Okrągłego Stołu oczekujących do brudzi z Kiszczakiem uznawano za jeden z brutalniejszych w Europie, a nie najłżejszych (np. w ocenie dziennikarzy „Focusa”) jak uczyły szkoły tuż po przemianach społeczno-politycznych po 1989 roku, kiedy zalecano w liceach podręcznik do historii Witold Pronobisa „Polska i świat w XX wieku”, w którym autor przekonywał, że nigdy w Polsce nie było systemu jednopartyjnego, także po 1945 roku gdyż PZPR była bardzo podzielona na wrogie sobie oboje. Z takim historykiem można by zmienić i historię Niemiec i ZSRR.

Często w takich wierszach o walce politycznej w poprzednich tomikach, panowała raczej mroczna atmosfera, znać było reporterskie zdolności autora, widoczny był

wpływ naturalizmu i sentymentalizmu np. w stosunku do swoich młodych lat, ale też towarzyszył wspomnieniom owych lat humor. W takim nieco humorystyczno-autobiograficznym stylu w tomiku „Rozmowy z Brechtem i inne wiersze” został napisany wiersz „Zalety demokracji”, który odnosił się do lat 70-tych. Polkowski (chyba ten wiersz można odczytać biograficznie?) zbierał podpisy „pod protestem przeciwko represjom” w jakimś akademiku w Krakowie i natknął się na studenta, który w imię „wolności i demokracji” nie chciał podpisać owej listy, co skłoniło poetę do refleksji nad sensem walki o wolność i demokrację. Ale też przewidywał, że ona pozwoliła na to by „tchórz cynik czy hipokryta” żyli sobie spokojnie nie narażając się na represje. Brak wolności politycznej po 1945 roku, podobnie jak powstania przeciwko okupantom i zaborcom zmuszały Polaków do bohaterских czynów, ponadprzeciętnej odwagi, a wolność i demokracja pozwalały by polski naród przekształcał się w tchórzy i cyników.

W wierszu „Praktyczny Mao” nawiązującym do wiersza Brechta „Ze wszystkiego coś zrobić” Polkowski ukazał walkę z kapitalistami i chiński pragmatyzm przez wizję pochowanych w ziemi ciałach zgłodzonych milionów Chińczyków podczas reformy rolnej przeprowadzonej, nie przez specjalistów od rolnictwa, ale samego wodza ludowych Chin Mao Zedonga (dawniej Mao Tse Tung), z których wyrosła „dorodna odmiana cebuli” oraz inne warzywa.

Niestety nie poznałem nigdy zbyt dużo wierszy Bertolta Brechta, choć zdarzyłem tekst utworu The Doors pt. „Alabama Song (Whisky Bar)”, który napisał niemiecki twórca wraz z Kurtem Weilem, dlatego nie mogłem skupić się bardziej na artystycznym dialogu Polkowskiego z Brechtem. Na szczęście Polkowski nie był poetą, w którego wierszach chodziło tylko o grę cytatów i nawiązań. Bardziej wyczuwalna była w nich atmosfera duchowa według Hegla, w której chodziło o jeden stosunek samoświadomości do drugiej. Rozmyślanie nad polską walką o demokrację, zmianami politycznymi w Niemczech, rewolucją w Chinach jakby przemieściło Polkowskiego w trochę inny punkt, z którego dotychczas pisał. Polkowski w doświadczeniach polskich odnalazł punkt zaczepienia z światową historią i przemianami na świecie. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jacyś uznani krytycy literaccy tą książkę uznali za jedną z ważniejszych w dorobku Polkowskiego. Bo to nie była taka przeciętna polska książka poetycka z kilkoma udanymi wierszami, paroma niezłymi i resztą dodaną po to by wydać kolejny tomik. Nie. Mi się wydaje, że to - mimo wszystko - jeden z najciekawszych tomów poety z Nowej Huty.

MATEUSZ WABIK

Jan Polkowski, Rozmowy z Brechtem i inne wiersze, Kraków-Gdynia 2024

Jerzy Lengauer

## „Dziurawy plecak, luminal i srebrna łyżeczka

Gwiazda Dawida na okładce (także na grzbiecie książki) jedynie dwoma z jej sześciu promieni dotyka pierwszej litery przydomka nadanego Elźbiecie Ficowskiej już w dzieciństwie. Pozostałe łączą się z przestrzenią o kolorze złamanej bieli. Owe dwa rąbki to chyba pamięć o żydowskim świecie, przynależności do niego wiecznej, splecione z Biętą, ale nie tak wyraziste jak reszta promieni, które przypominają, że Zagłada nie dokonała się ostatecznie, ocalała kultura, sztuka, przedmioty, ludzie. Ileż jednak Bieta ma z tym wszystkim wspólnego? I niewiele, i bardzo dużo. Ogromny dramat czy niewiarygodne szczęście opisuje jej historia. Jest „dzieckiem Ireny Sendlerowej”. Nie znalazła się na kartach „Ceny” Anny Bikont. Nie znajdziemy jej książkowych wspomnień, ale dużo wyjaśniają wywiady, prowadzone z nią rozmowy.

Cezary Harasimowicz napisał powieść. Powieść biograficzną. Opowieść sprzed „polskiego życia” bohaterki. Taką trochę warszawsko-singerowską, w dużej mierze zaś zamykającą się w literaturze Holocaustu.

W roku, w którym książka została wydana, 1 sierpnia, w dniu pamięci o wybuchu Powstania Warszawskiego, pojawił się w prasie artykuł, którego jednym z bohaterów jest Cezary Harasimowicz. Wspomina swoją matkę, bohaterkę Powstania, kobietę, która nie wahała się opowiadać o warszawskim dramacie, niewątpliwie dzieląc się rodzinną traumą. Być może stąd pochodzi wrażliwość Harasimowicza na historię Biety. Widać ją prawie na każdej stronie powieści. Wtedy, gdy przejmująco, prawie na wzór Księgi Rodzaju, opowiada o powstaniu rodzinnego świata, w którym pojawiła się niedługo potem Elżewka. „Dawno, dawno temu nad Warszawą pojawił się Pan Bóg. Wybrał sobie ulicę Królewską, bo była malownicza, a Pan Bóg od czasu do czasu lubił napawać się przyjemnym widokiem. (...) Następnie Pan Bóg spojrzał na swoją dłoń, na której spoczywał mały włochaty stworek i rzekł: - Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Poczekaj. (...) Dawno, dawno temu nad Warszawą pojawił się Pan Bóg. Wybrał sobie ulicę Nalewki, bo to była ulica gwarna, głośnie jak w ulu na wyroju, szeleszcząca kartkami w składach papieru, dzwoniąca kowadłami w warsztatach szewskich, turkocząca maszynami do szycia u krawców, zacykająca w tomach leżących na półkach księgarskich, tchnąca skórzanym zapachem futer w kuśnierskich manufakturach, szumiąca wesoło przesypanych koralikami w galanterijnych sklepach, rozkrzyczana różnymi głosami sprzedawców” [1].

W ten mitologiczny, baśniowy, podobny do legendy inicjującej sposób Harasimowicz wciąga czytelnika do żydowskiej Warszawy Isaaca Bashevisa Singera, gdzie niebawem przyjdzie na świat Elżbieta. Lecz gdy pojawi się pierwsza straszliwa zapowiedź Zagłady, z tego świata pozostaną jedynie fruujące w powietrzu nadpalone skrawki. Ową zapowiedź wybrał autor szczególnie przejmująco: „Pan Bóg na moment przystanął na chodniku i popatrzył na leżącego trupa, którego ktoś przykrył gazetą. Wiatr raz po raz odkrywał twarz zmarłego. Pan Bóg przycisnął kapryśny róg gazety kawałkiem cegły i poszedł dalej wzdłuż ulicy, w stronę podwórka z mirabelką. Minął wynędzniałą manufakturę strojów karnawałowych, wytwórnę szczotek i dawny sklep z marmoladą. Pan Bóg uśmiechnął się na wspomnienie słodkiego smaku i kroczył dalej. (...) Pan Bóg uniósł się nad ulicą Nalewki, gdzie rosła samotna mirabelka, nad Wałową, gdzie stała kamienica Friedmana, nad placem Muranowskim nad umysłowymi kramami, nad ulicą Stawki, nad Umschlagplatzem i zniknął w swoim niebie” [2]. Czy Bóg u Harasimowicza usuwa się na bok? Oddaje w ręce ludzi los świata, Polski, Warszawy, Biety? Nie, jest chyba tylko zadziwiony. Pojawiać się będzie znowu, żeby nie tyle

się przyglądać czy asystować, ale żeby strzec, a nawet delikatnym, niedostrzegalnym ruchem boskiej dłoni zmieniać los Biety.

W powieści będzie zatem towarzyszyć nam Bóg. Rzeczywiście, miejscami to istic singerowska historia, a być może takie fragmenty przypomną nam kilku innych klasyków żydowskiej prozy - gdzie obecność Stwórcy i rozmowy z nim, to wyjątkowe spieranie się o Los, jest na porządku dziennym - choćby Szolem Alejchemem, Mendele Sforimem i Icchokiem Perecem. Jednakże z czasem Boga jest coraz mniej. Jakby zdecydował, że Bieta poradzi sobie sama, nic jej nie grozi, a mniejsze czy większe niepowodzenia nie mają porównania z Zagładą, gettem, wojennymi pogromami, traumą... Bieta sobie po prostu radzi.

Pojawiający się w pierwszej osobie narrator nie zajmuje miejsca Boga. Choć czasami tak może się zdawać, bo Cezary Harasimowicz a to powstrzymuje Biętę, chwytając ją za ramię, innym zaś razem delikatnie, wręcz pieściotliwie ją popycha. Owe ingerencje są oczywiście bardzo ludzkie, tym bardziej, że autor potrafi się zżymać na decyzje Elźbiety, cieszyć jej wyborami. Cóż, nie sposób wówczas nie przywoływać sobie wcale nie wyimaginowanego obrazu autora i bohaterki podczas pracy nad książką - opowiadającej Elźbiety Ficowskiej i emocjonalnie reagującego Cezarego Harasimowicza. Bardzo wrażliwego i opiekuńczego, dopowiadającego historię, uzupełniającego ją dygresjami, rysującego bardzo wyraźnie tło. Chyba właśnie tymi emocjami, które zostały w jakimś sensie wypracowane w nim przez matkę. Widać w takich emocjonalnych reakcjach nie Boga Ojca, lecz ojca, brata. „Biegnę za Biętą. W dali słycać przerażający stukot kół pociągu. Dziewczyna jest coraz bliżej stacji. Bliżej torów. Przyspieszam kroku. Staram się uchwycić jej myśl. Pękają jak roztrzaskane lustro. Okruchy szkła wbijają mi się w zrenicę. Niech się wbiją. Może zobaczę rozkruszony obraz... (...) Biegnę za Biętą. Słyszę kolejny potworny trzask. Rozpryskują się do końca kryształki lustra, w którym przyglądał się jej świat. Rzeczywistość rozpadła się na oślepiające atomy. Nic nie widzę. Słyszę potworny rumor nadjeżdżającej kolejki. Wyjmuję okuch z oka. Co widzę? Tory. Koła. Słyszę stukot. Nie. Na szczęście Bieta wsiada do wagonu. Pneumatyczne drzwi zamykają się z hukiem. Żółto-niebieski pociąg odjeżdża. Dokąd? Zostają sam na peronie. Rozglądam się po pustej stacji. Pytam: gdzie jest Ten, który (udziela dziś taski istotom przez siebie stworzonym, zsyłając im nieszczęście)?” [3].

Życie Biety, niewątpliwie jak każdego z nas, dzieli się na kilka części. Z tą różnicą, że powieść o Elźbiecie Ficowskiej bardzo jej od siebie oddziela. Wydaje się, iż rzecz tkwi w polskiej historii, która nie omijała bohaterki a wciągała ją całą, po czubek głowy. A może to Elżbieta rzuciła się w wir wydarzeń, nie odpuszczając, reagowała na wszelkie zmiany polityczne i społeczne, które większość ludzi omija z daleka bądź zamyka przed nimi drzwi? Bieta żyła Polską Ludową, a potem jej upadkiem. Wychuchana dziewczynka, chyba nieco rozwydrzona, rozpieszczona na pewno, zielonooka królewna, jak nazywa ją Cezary Harasimowicz, której wszystkie życzenia są spełniane, i żeby zrekompensować uciążliwe dla niej, a wznoszone przez mamę Bussoldową mury ochrony i bezpieczeństwa. Jakby Elżunia była ciągle narażona na utratę życia. Jakby należało być nadal czujnym, bo a nuż trzeba dziewczynkę włożyć do drewnianej skrzyni razem ze srebrną łyżeczką, na której wygrawerowana jest data urodzin i przewieźć wozem do miejsca, gdzie rozpocznie nowe życie. „Kobieta kładzie przed mężczyzną w brudnym fartuchu srebrną łyżecz-

kę. Sztynnym gestem, bez słowa. (...) - Pod spodem data: piąty styczeń, tysiąc dziewięćset czterdzieści dwa. (...) - Na wierzchu, o tu, pochyltymi literami ma być wypisane: Elżunia. (...) - A nazwisko gdzie? - Nigdzie” [4]. Tak kończy się „stare” życie. Tuż po narodzinach. Jeszcze tylko dni, przerażająco długie dla żydowskiej mamy pracującej w szwalni warsztatów Többensa. To tam Elżunia, już nie Elżewka, jakby przygotowana do przejścia z piekielnych ciemności Zagłady w rajskie ramiona Stanisławy Bussoldowej, przesypana w dziurawym plecaku, który leży obok prawej stopy matki, Heni Koppel.

Wiemy, że Bieta zostanie ocalona. Będzie bohaterką spotkań autorskich. Wiele lat wcześniej stanie się współpracowniczką mini-strą Jacka Kuronia. Na razie nianowicie przynosi jej w wiadrach piasek z podwórka, żeby urządzić piaskownicę na balkonie. Dziewczyna zmienia szkoły, narzeczonych, środowiska, zainteresowania, studia, pracę. Nieznośność ruchu, prób adaptacji daje wrażenie, że Bieta jest jak iskra, ciągle się pali, na nowo rozbłyska, byszcz, skrzy się, wiruje i... chwieje. To dziecko dwóch matek, od narodzin naznaczone zmianami i pragnieniem życia wpisanym w nią przez żydowską mamę. A może winien jest luminal, który uspokajał i usypiał Elżunię, dając przetrwać jej i matce w warsztatach Többensa, potem zaś, gdy nadchodził kres żydowskiego świata stolicy, pozwolił przejechać na aryjską stronę życia za sprawą Ireny Sendlerowej.

Tamę tej żarliwości życia postawił chyba Jerzy Ficowski. Autor książki nazywa go Poetą. To jak z Bogiem, który pojawia się od pierwszej strony. Metafizyczny akcent, część dziwacznej scenografii, która może przypominać inne czasy, inny kraj, w których dwoje ludzi postanawia czy jest zmuszonych odpowiadać szaleństwem na mierność. *Mistrz i Małgorzata*, *Poeta i Bieta*. Owa zaporą budowana jest powoli. Najpierw niedostrzegalna, zmienia powoli rwący nurt, trochę przeszkadza, kwestionuje kierunek. I choć siły nie zdola okiełznać, to czyni ją przyjazną.

A gdzie jest dramat? W Biecie oczywiście. W jej żydowskim pochodzeniu i polskim wychowaniu. Jej utkanej przez innych pamięci o rodzicach. W jej dwóch matkach. W jej Warszawie - grobie rodziny. Polskim ojcu, który umarł dwa lata przed jej urodzeniem. Żydowskim dziadku w Ameryce. W ułożonym życiu, które takim przestało być i trzeba było uciekać i wracać. Wszystkim żydowskim i wszystkim polskim, kładł nie jak kraj, w którym przyszła na świat.

Opowieść o Elźbiecie Ficowskiej nie jest jednym z tomów serii wydawniczych: „Żydzki polscy”, „Żydzki Polska. Autobiografia”, „Biblioteka świadectw Zagłady”. Mało brakowało, by została częścią „Ceny” Anny Bikont, ale Stanisława Bussoldowa, Sprawiedliwa wśród Narodów Świata, zachowała się z niezwykłą jak na tamte czasy godnością i Bieta do żydowskiego dziadka w Stanach Zjednoczonych wybrała się z własnej woli wiele lat później. W każdym bądź razie pewna niezwykłość powieści Harasimowicza wynika chyba z tego, że nie mieści się gatunkowo w literaturze Zagłady i jest historią Polki żydowskiego pochodzenia, która od rodzin mieszka na stałe w Polsce i jeszcze na początku dwudziestego wieku była przewodniczącą Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu” w Polsce.

JERZY LENGAUER

[1] Cezary Harasimowicz, „Bieta”, Wydawnictwo Lira, 2024, s. 5-7.

[2] Tamże, s. 7-9.

[3] Tamże, s. 165-167.

[4] Tamże, s. 46-47.

Cezary Harasimowicz, „Bieta”, Wydawnictwo Lira, 2024

Jerzy Lengauer

## „Tyle razy”

Barczo krótką, jedynie kilkudziesięciostrońnicową powieść „Krew o świcie” autorstwa Claudii Salazar Jiménez opowiada o latach krwawego terroru Świetlistego Szlaku i równie straszliwej odpowiedzi peruwiańskiego rządu, widzianych oczami trzech kobiet z różnych klas społecznych. Już sama konstrukcja książki, w której powierza się pierwszopersonalną narrację kilku bohaterkom, pokazuje czytelnikowi, że to, co dzieło się w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych w andyjskim państwie, ogarnęło cały obszar i ludność. Wprawdzie autorka najgwałtowniejsze sceny umieszcza w przycupniętych pośród gór indiańskich wsiach, lecz początki rewolucji znajduje w miastach, jakby wskazując wprost na sprawców i ofiary, poniekąd dzieląc społeczeństwo Peru, i – jakby nie było – obarczając winą klasę wykształconą w teorii, ideach, historii. Jednakże, jak to zwykle bywa, nic nie jest do końca jednoznaczne, ponieważ rozpętana wojna domaga się o ofiary wszędzie. Wirus, który wyłagał się w jednym miejscu, szybko się rozprzestrzenił, zakaża wszystkich i zabiera do grobu, nie pytając o przynależność klasową.

Owe trzy bohaterki przedstawione są w sposób dziwny, intrygujący, a w zasadzie smutny i przygnębiający. Oprócz tego, że są ofiarami wojny, stają się zakładniczkami pci i to w sposób najgorszy z możliwych, stanowiąc cel jednej z najokrutniejszych broni współczesnych konfliktów, czyli przemocy seksualnej, tortur i gwałtów, których celem jest nie śmierć, ale najgorsze z możliwych upokorzenie, upodlenie najintymniejszej kobiecości. Dokonują tego mężczyźni z obu stron konfliktu. Czy zatem to z nimi jest ta wojna? W pewnym sensie tak. Jiménez w „Krwii o świcie” rozróżnia i oddziela role pci na tle terroru. I chociaż za nim stoją także kobiety, to zdają się być weń wciągnięte, niejako zmuszone, spowodowane, nie pozostawiają im wyboru, są bezwiednymi uczestniczkami. Bohaterki zewsząd otoczone są mężczyznami. Pragną ich, walczą z nimi, chcą się od nich uwolnić, potrzebują ich jako mężów, podziwiają jako przywódców, chcą ich zdeponizować. W końcu jednak zostają same...

Kulminacyjną sceną, która zdaje się wszystko kończyć a jednocześnie zaczynać, jest powtórzony trzykrotnie dramat, ponownie wykrzyczana, wyjęczana, wyskamlana tragedia, śmierć każdej z bohaterek i zmierzch wstanie. Jakby okrutny, bezmyślny kołowrót, ciągle wracające poniżenie, wojna niemająca końca. „Pięciu żołnierzy, teraz już nie krzycz, nie wyzywają, przychodzą, jakby mieli do załatwienia jakąś sprawę. Tyle razy. Nie krzyczysz już. Bo i po co” mówi do siebie jak do obcej osoby Modesta, „pieprzona góralka”, „zawszona Indianka”, mieszkanka górskiej wsi, gdzie ostatek się tylko zgłiszca, a w nich kobiety. Bez dzieci. Bo te zabrano: „Żołnierze zapinają rozporki i zabierają Abła do szpitala w swojej bazie. «Dzieciak nie powinien patrzeć na takie rzeczy»” [1]. Po co im zresztą dzieci. Niedługo wyrosnie w nich nowe życie. Niekochane, niewinne. „Ciosy w twarz, w brzuch, nogi rozwarte siłą do granic możliwości. «Pieprzona terrorystka». Ustawiają się w kolejce, żeby skorzystać z okazji. Żaden otwór nie uchowa się w tym krwawym tańcu. «Pierdolona bandytką»” [2]. „Ciosy w twarz, w brzuch, nogi rozwarte

siłą do granic możliwości. «Pieprzona białaska». Ustawiają się w kolejce, żeby skorzystać z okazji. Żaden otwór nie uchowa się w tym krwawym tańcu. «Dziennikarka z jakiegoś antykomunistycznego szmatławca, staniesz się przykładem dla następnych»” [3]. Tak, staje się przykładem. A zmieniają się w tych przykładach jedynie drobiazgi umundowania. Przymiotniki są te same. Prymitywne, jak gwałt. Rzeczownik nie ma znaczenia. To tylko bezwładna masa na ziemi. Jiménez naciągają okrucieństwo do granic możliwości. Najpierw je wlokąc niemitosiernie. Jakby, nie pisząc tego, kazała wyobraźni czytelnika widzieć w zwolnionym tempie każdy szczegół: ruch, czuć oddech. Od pierwszego ciosu, po szarpnięcie za włosy, rzucenie bezwładnym workiem, po obute stopy widziane z poziomu błota, prawdziwego i tego metaforycznego, z którego nie można się podnieść samej. Strony, wiele akapitów, jeszcze więcej zdań, przerywane słowa tworzą wspólne cierpienie wszystkich peruwiańskich kobiet, budują między nimi więź krzyczącą w stronę partyzantów i rządowych żołnierzy. Wydaje się widoczny w tym wszystkim bardzo jasny podział na ofiary i katów. Tyle, że rządowa dziennikarka zostaje odwieziona do szpitala: „- Poruczniku, to ta fotografka, której szukaliśmy! – Zabrać ją do bazy, szybko! – Reszta nie żyje. – Nie, tamta jeszcze dycha! (...) – Fotografka jest już w drodze do stolicy? – Tak jest, panie poruczniku, helikopter marynarki wojennej przyleciał od razu, jak tylko wezwaliśmy. (...) – Panie poruczniku, jeśli wolno, jeszcze jedna sprawa... - Co takiego? – Nasi żołnierze już od tygodnia są ciągle w marszu i boju. Zastąpili na trochę rozrywki, prawda? – Sierżancie, niech pan robi, co trzeba, żeby pańscy ludzie byli zadowoleni, a ja nie muszę o niczym wiedzieć” [4]. Pośród zgłiszcz zostają terrorystka i Indianka. W końcu wszystkie trzy wracają do początków opowieści. Modesta ze swoją córeczką: „malutka jest, podobna do świnki morskiej. Moja i kto wie czyja jeszcze. Tylu ich było” [5]. Daniela ze wspomnieniem owocu, „którego nie powinno być, który zagnieździł się w moim ciele wbrew mej woli” [6]. Marcela, pani profesor, głównodowodząca działań zbrojnych w strefie centralnej do więzienia na przesłuchania z komendantem Romero: „- Zaprowadzimy panią do tego waszego przywódcy, pani profesor. On podpisze porozumienie, jakie proponuje mu rząd. Wreszcie wróci do nas pokój” [7].

Ciągnące się, wydawałoby się, w nieskończoność wcześniejsze sceny kończą się więc. Wszystko wraca do początków opowieści. Dokąd zatem zaszedł terror i wykrzyczane przed chwyceniem za broń idee, ideały, teorie mające zamienić się w praktykę, cytaty z największych autokratów, dyktatorów, despotów tego świata? Według Claudii Salazar Jiménez do dramatów, co oczywiście jest banalne, bo przecież nikt z nas nie chce wojny, a gdy w jakiejś części świata wybucha, odwracamy oczy. Autorka nie pozwala nam tego zrobić. Trzy bohaterki wyprowadza ze światów, w których czują się pewnie i bezpiecznie. Praca, podróże, nocne kluby, dziecko na plaży, ludowe święto w rozświetlonej ogniskami wiosce pośród gór. Mimo, że upływa wiele dni, wydaje się czytelnikowi, iż mija ledwie chwila. Ten w miarę uporządkowany świat

staje się chaosem, co w książce pokazane jest fragmentami o urywanych zdaniach, z pomieszaniem stylistyki, gramatyki, składni, porzuceniem interpunkcji. Podobnie wybucha w głowie miłość, wielka emocja, bo zaczyna się i tu onomatopcją i dudni, bucha, pulsuje. Zbliża się wojna, stychać coraz głośniejsze pulsacje, tętnienie, walenie. Oddechy kochanków i otaczające je gwar i śmiech zamieniają się w inne hałasy. Od tępych po ostre, suche, zgrzytliwe. To krew o świcie, nie! przecież o każdej porze dnia i nocy. Jest jej tak dużo, że stopy ślizgają się po wilgotnej ziemi, która chrząści od...

W owym piekle znika dawny świat. Czytelnik nie jest w stanie sobie przypomnieć, jak wyglądał kilka stron wcześniej. Jiménez nałożyła nań warstwę śmierci, tortur, upodlenia, przy których więzienie dla Marceli zdaje się schronieniem, gdzie prowadzi kulturalne rozmowy z rządowym komendantem. Dlatego też pełen krwawych, ciągle huczących obrazów nowy świat przytacza czytelnika i wyrugowuje zeń także gabinetowe sceny z udziałem polityków. Rzecz jasna, mężczyźni. W szaleństwie terroru zdają się oni nie mieć znaczenia. Po trzech mężczyznach wzrok jedynie oczy przemyka, ponieważ skupiony jest na trzech kobietach. A jednak ich – polityków – rolę w powieści przypomina tłumacz Tomasz Pindel, krótko to omawiając w „Kilku uwagach dla dociekliwych Czytelniczek i Czytelników” [8].

Powieść Claudii Salazar Jiménez ma nie dawać spokoju. Przypomina o wszystkich współczesnych wojnach, które nastąpiły po tej światowej, a zaginęły w natłoku informacji medialnych, stając się jedynie urywanymi obrazkami i dźwiękami, okrajnymi tak, żeby nie urazić widzów. Autorka każe czytelnikowi każdą z nich ponownie sobie wyobrazić i dopasować do nich bohaterki powieści, które przecież ocalały i są dramatycznymi ofiarami i dowodem jakiegoś szalonego machismo, które co jakiś czas, zdecydowanie zbyt krótki, wybucha na każdym kontynencie, coraz bliżej nas, tuż za granicą, już stychać głucho dudnienie...

Jerzy Lengauer

[1] Claudia Salazar Jiménez, „Krew o świcie”, przeł. Tomasz Pindel, Wydawnictwo ArtRage, 2023, s. 79.

[2] Tamże, s. 73.

[3] Tamże, s. 70.

[4] Tamże, s. 72-74.

[5] Tamże, s. 93.

[6] Tamże, s. 90.

[7] Tamże, s. 92.

[8] Tomasz Pindel, „Kilka uwag dla dociekliwych Czytelniczek i Czytelników”, w: Claudia Salazar Jiménez, „Krew o świcie”, przeł. Tomasz Pindel, Wydawnictwo ArtRage, 2023, s. 97.

## „Szlomo”

Jesteśmy pokoleniem poszukiwaczy, my, obecni pięćdziesięcioletkowie, z których wielu miało to szczęście, że dzięki odwadze, inteligencji, talentowi swoje rodzinne eksploracje mogli spisać i za pośrednictwem literatury przekazać innym, takim, którzy mają na tyle refleksji, żeby prześledzić, choćby jedynie w głębi myśli, serca, duszy rodzinne drogi niezwykłego dwudziestego wieku. A drogi te, czasami szerokie trakty albo wąskie ścieżki przymusowej migracji ekonomicznych, ucieczek, dla nas, tych z trzeciego pokolenia, giną we mgle historii. Tak jak zacierają się imiona i nazwiska, ulegają transkrypcji języka kraju, który stał się nowym domem i kiedyś, zmienione na zawsze, zostaną wyrzeźbione na płytach nagrobnych.

Rozdroża Rewolucji Październikowej, II wojny światowej, ścieżki do piwnicznych kryjówek przed nową bolszewicką władzą i do leśnych przed umundurowanymi wyklętymi, zaryglowane bydlęce wagony do obozów koncentracyjnych i równie bydlęce Akcji „Wisła”, Umschlagplatz, place i ulice Krakowa, Kielc, Rzeszowa, Jedwabne... Na nich gubili się ci pierwsi, żeby drudzy nie mogli ich znaleźć. A może by ich uszrec, a samemu zapomnieć? Trzeci zachowują już tylko powagę, szacunek i cierpliwość. Najpierw dziecięca infantylność, która każe wierzyć, że wytatuowane cyfry na przedramieniu dziadka to trudny do zapamiętania numer telefonu. Potem nastoletnia i jeszcze młodzieńcza dezynwoltura, czasami potoczona ze świadomym odrzuceniem. W końcu namysł i wręcz wierzący, niedający spokoju przymus dociekliwości, który nie pozwala w nocy odpocząć mózgowi, bo w snach pojawia się ten jeden dziadek, niekoniecznie najukochańszy, nieznan, z synem, który mógł być stryjem, ale umarł będąc kilkulatkiem i przez to dnie pełne są strzępków informacji, wysiłku skojarzeń, tówów internetowych, przewróconych kartek bardzo smutnych książek.

Ileż pomieszania, zawitości tu w Europie, tu w Polsce! Z południowego wschodu nadsięgnęto prawosławie i katolicyzm grecki. Wszystko śpiewne, bardzo melodyjne, kolorowe, pełne wyjątkowych woni. Z tego niedobrego wschodu też prawosławie, ale jakże wyniosłe, dumne. Bardziej na północ zateizowane - ale czy na pewno? - żydostwo, chyba humanistyczne, pomieszane z Turkami, Tatarami, Karaimami. Zastanawia się zatem ów europejski trzeci, czy przypadkiem gdzieś tam na krańcach kontynentu, choćby w Archangielsku, nie zapalano świec chanukowych? A co z nieeuropejskim? Przecież wojna była światowa.

Jak podaje nota na skrzydle przedniej okładki, Eduardo Halfon urodził się w 1971 roku i jest gwatemalskim pisarzem o żydowsko-arabsko-polskich korzeniach. I ma wyjątkowe szczęście, ponieważ napisana przez niego książka zawierająca dwa opowiadania „Klasztor. Żałoba”, co ja traktuję jako składającą się z dwóch rozdziałów powieść, stała się przynajmniej dla jednego czytelnika, też tego trzeciego, potwierdzeniem, że fragmenty obrazów sprzed lat, słowa, zdarzenia, symbole, kulejące tradycje, z trudem wypowiadane imiona nie są ani niechcianym dziedzictwem, ani cierpieniem, ani przymusowym wychowaniem, ani martyrologią, czy rodzinną apoteozą, ale najciekawszą opowieścią, do której ci trzeci piszą niekoniecznie kolejne rozdziały, lecz po prostu zdania. Być

może nimi kiedyś uzupełni się słowniczek czy indeks nazwisk na końcu książki. Odrożonej, jak wszystkie inne przecież, na półki tej dziwnej biblioteki świata.

Eduardo Halfon oprócz dziadka z wytatuowanym na rękę numerem miał także matkę i ojca oraz brata i siostrę. Z jej powodu właśnie rodzina wybiera się do Tel Awiwu. „Ale Żyd?”, zapytał niemal bezczelnym tonem. Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem, że czasami. Jak to «czasami»? „Oczy mu się zwięzły, niegrzeczne pytanie, cierpki i niewyraźny głos, jakby mówił z ustami pełnymi winogron. Nie chcieli mi się wyjaśnić tego kiepskiego żartu. Zapytałem tylko, czy mogą zapalić. «Yes, good, cigarette», odpowiedział, wciąż obserwując mnie w lusterko. Został mi ostatni gwatemalski papieros. Arab?, zapytał, na co odparłem, że nie. Arabowie są źli, oświadczył tą swoją ubogą angielszczyzną, przekrzykując wiadomości i szum powietrza wpadającego przez otwarte okno. (...) Miałem mu już powiedzieć, że mój dziadek był Arabem z Bejrutu, babcia żydowską Arabką z Aleksandrii, a druga babcia żydowską Arabką z Aleppo, więc ja też jestem trochę Arabem – w sumie w trzech czwartych Arabem, a w jednej czwartej Polakiem (...). Arabowie są źli, powiedział. Bardzo źli, dodał. Pozabijać ich trzeba, powiedział, przyglądając mi się w lusterko” [1]. Jakże ważne odniesienia do sytuacji międzynarodowej, konfliktu palestyńskiego, terroryzmu na Bliskim Wschodzie, rasizmu, szowinizmu i nacjonalizmu, udarczenia wojnami i populizmem nagle umykają, gdy zdajemy sobie sprawę z nacisku, który w tym fragmencie Halfon kładzie na dwa zwroty: „czasami” i „ostatni gwatemalski papieros”. Pierwszy z nich ratuje w tej chwili bohatera od nienawiści taksówkarza, a przynajmniej bardzo niemiłego gderania tegoż, by w dalszej części „Klasztoru” doładnie oddać jego stosunek do żydostwa. Czasami Halfon będzie więc Żydem, czasami zaś nie. Gwatemalski papieros jest ostatnim, jakby rodzinny kraj przestał mieć w Tel Awiwie - a szerzej, na Bliskim Wschodzie - znaczenie wraz z wielonarodowością, bo trzeba się opowiedzieć jednoznacznie. Tyle że ani żydostwo, ani judaizm, ani Izrael nie są jednorodne. Nie tylko „czasami” jest obroną, rezerwą, dystansem. Halfonowi przemykają przez głowę myśli o babciach i dziadkach, także kolejnym, stryjecznym, woskim mafiosz z Miami. Do wymienianych stopni pokrewieństwa dołączają się kolejne kraje i miasta, ale przede wszystkim podróże do Polski śladami dziadka z wytatuowanymi na przedramieniu cyframi. Przed wzięciem udziału w ortodoksyjnie żydowskim ślubie siostry mają go uchronić opowieści o rodzinnych wielonarodowych koligacjach. Jednak dziwnie w „Klasztorze” układa się związek między głęboko judaistyczną żałobą w Gwatemali po dziadku więzionym w Auschwitzu a spotkaniem z konserwatywnie religijnym narzeczoną siostry. Jest widoczna paralela, jakaś nić, być może swego rodzaju uwiązanie. Przecież na brzegu Morza Martwego, skąd widać islamskie królestwo Jordani, Halfon wspomina, że „ojciec ochrzcił mnie hebrajskim imieniem Nissim. Czyli «cuda». Moje hebrajskie imię, Nissim, znaczy tyle co «cuda». Kiedy jednak parzyłem na swoją zacisniętą pięść, przyszło mi do głowy, że to imię, to moje drugie, imię żydowskie, które ojciec pewnego dnia

zapisał czarnym atramentem na dłoni noworodka, z czasem także się zamazało” [2]. Czyżby? Wszak opowieści Halfona brzmią jak talmudyczne agady.

„Żałoba”, wbrew pozorom, które można wynieść z poprzedniego rozdziału (opowiadania), nie dotyczy polskiego dziadka autora. O ile „Klasztor” jest głównie izraelsko-polską podróżą, to kolejna część książki pokazuje związki nie Nissima, lecz Eduarda z Gwatemalą, choć wcześniejsze wątki są nadal rozwijane. To wyprawa do dzieciństwa, w którym matemu Eduardowi mógł towarzyszyć stryj. Nad jeziorem Amatitlán, gdzie stał dom dziadków, ale także w Stanach Zjednoczonych. W tej opowieści duchy zamieniają się w żyjących ludzi. Miły przenikają się z realnymi wydarzeniami. Przyczyną jest żałoba, tajemnica, milczenie po zmarłym kilkulatek Salomónie), bracie ojca autora. Podczas kolejnych okrążeń wokół otoczonego górami jeziora Amatitlán, żydowskie hagady zamieniają się w wiejskie legendy i baśnie, opowieści przez lata obrosłe magią i czarami. Mił o Salomónie zdaje się zmieniać rzeczywistość. Im dłużej Halfon pozostaje wśród wspomnień o dzieciństwie w domu dziadków, tym bardziej świat realny owija jakąś powolność, ociężałość, fantasmagoryczność, w której niezwykle jest koń na środku drogi, chłopiec w łódce, „mały bar bez nazwy, w każdym razie nie było jej nigdzie widać” [3] czy miejscowa wiedźma, żyjąca, a jakże!, na uboczu w chatce nad jeziorem. Wydaje się, że ta wszechogarniająca fantazyjność spowodowana upałem, kurzem, jakąś czarodziejską południową sjęstą pozwala autorowi wsłuchać się we wszystko, co półśłówkami i urywanymi zdaniami docierało do niego przez lata.

W „Klasztorze” Eduardo Halfon znalazł się w innym kraju, „fizycznie odizolowanym, wyraźnie zamkniętym w sobie, otoczonym żółtymi bramami i niewidzialnymi murami (...) gdzie „w głębi, w fotelu, który wyglądał bardziej na tron” [4] siedział Rabbi Chaim Pinchas Scheinberg, wielki rabin. Tam właśnie doznajemy razem z autorem spotkania z tożsamością, w najbardziej może nie radykalnym, ale bezsprzecznie sugestywnym, jakby natrętnym wymiarze. Spotkania tego nie można było się spodziewać. Rodzinne drogi sprowadziły Halfona do tego miejsca raczej przypadkiem. Jakaż to ironia losu, bo przecież autor to Żyd tylko czasami, który się dystansuje, stawia granice, niekoniecznie chce kontynuować tradycję. Jednak śmierć dziadka Leibele, czy raczej żałoba po nim, jakże religijna, powoduje nie tylko podróże autora do Polski, ale i szereg wspomnień, którymi obie części książki są wypełnione. Cytowane dziadkowe opowieści i wspomnienia przenikają się z echem żydowskiego, judaistycznego dzieciństwa oraz współczesnymi dywagacjami o tożsamości, gdzie co rusz pojawiają się kolejni krewni. Ten drugi rozdział czy też opowiadanie „Żałoba” zdaje się być uzupełnieniem, wypetnieniem, nawet domknięciem poprzedniego. Mały Salomón jest pieczęcią na dokumencie rodzinnym potwierdzającym wielonarodowość o kilku wyznaniach, autoryzacją, oświadczeniem i w końcu błogosławieństwem tych wędrowców po drogach, losów, podróży i narodzin w ich trakcie, śmierci w przygodnych miejscach... Wszystko się zatem kończy w „Żalobie”, bo wszak to słowo symbolizuje jednocześnie nadchodzące

zakończenie, ale i całkowicie odmienne dalsze życie. Znamienne jest, że miejsce owego obrzędu dla Halfona znajduje się tam, gdzie spędził dzieciństwo, czyli kraju przesiąkniętym indiańskością, magią, baśnią, legendami z ich nieodłącznymi atrybutami. W ów nierealny kołowrót wprowadza narratora pani Ermelinda, czcicielka świętego Maximóna. „Ale drżący głos kobiety mnie uprzedził. Wczoraj śnił mi się pan właśnie tutaj” [5], nad jeziorem Amatitlán. „Smakowało jak spalona woda. Upiłem drugi tyk, który wydał mi się jeszcze mniej smaczny niż pierwszy, ale jednocześnie zaczęło mnie ogarniać dziwne uczucie lekkości, senności, jednoczesnego bycia i niebycia. Staruszka przyglądała mi się czujnie, czoło miała zmarszczone, jakby próbowała coś zrozumieć albo rozszyfrować. Pomoże panu zobaczyć pańską prawdę, odezwała się nagle ze swojego plastikowego krzesetka, jakby odpowiadając na pytania, które zadawałem w myślach. Trochę się wystraszyłem. Lekko zakręciło mi się w głowie. Poczutem, że moje powieki opadają i jakaś część mnie unosi się w powietrze. Nie prawdę chłopca, który się utopił, powiedziała staruszka. Tylko prawdę tego, co nosi pan w sobie, dodała. Pańską swoją prawdę (...)” [6]. Także prawdę o Nowym Jorku i chłopcu, którego niektórzy nazywali Maluchem, „Selim, czyli «Salomón» po arabsku, a jeszcze inni Szlomo, czyli «Salomón» po hebrajsku, tak brzmi w tym języku to imię, wywodzi się od słowa «szalom», które oznacza pokój” [7].

Eduardo Halfon w swojej krótkiej prozie podąża ścieżkami losów swojej rodziny, sięgając przy pomocy pamięci krewnych do wydarzeń, które uczyniły autora tym, kim jest obecnie. Daje czytelnikowi powód do przywołania obrazów tworzących silne poczucie więzi z ostatnimi kilkudziesięcioletnimi latami historii, której, nawet będąc na drugim końcu świata, nie jesteśmy w stanie uniknąć. Traktuje tożsamość i pamięć o niej w sposób niejednoznaczny, sugerując, że odrzucenie bądź przywiązanie do niej wynika z niezależnych od nas wydarzeń. Sama książka balansuje w wielu fragmentach między realizmem a oniryzmem, magią, fantasmagorią, co z jednej strony owo przestanie podkreśla, z drugiej zaś upodabnia tę prozę do dzieł wielkich pisarzy południowoamerykańskich.

**JERZY LENGAUER**

[

[1] „Klasztor. Żaloba”, Eduardo Halfon, Wydawnictwo Czarne, 2023, s. 23-24.

[2] Tamże, s. 110.

[3] Tamże, s. 177.

[4] Tamże, s. 41.

[5] Tamże, s. 183.

[6] Tamże, s. 190.

[7] Tamże, s. 195.

Nie pytałem, a nikt nie zamierzał mi opowiedzieć. Wędrując od Starego Miasta po kres Nowego Świata i wracając Alejami Jerozolimskimi szlakiem księgarń i antykwariatów, później zaś czyniąc swoim celem wielki warszawski Empik, nie zwracałem na nią uwagi, może wrok prześlizgiwał się jeno, gdy stałem na przystanku autobusowym. Może po prostu traktowałem ją jako jedną z pamiątek powojennych zburzonej stolicy i wspomnień odbudowanych pomnikami, tablicami wmurowanymi w chodniki i ściany domów, gdzie często leżały znicze, kwiaty, wieńce, wstęgi. Przy mozaice, której Rywka jest częścią, ich nie było. Nie potrafiła otrząsnąć się z wielkomiejskiego brudu, kurzu, hałasu. W wolnej, demokratycznej, kapitalistycznej Polsce kolorowymi kawałkami spadała na chodnik. A przecież przetrwała Marzec '68, bo władza ludowa, jak pisał autor Michał Wójcik, lubiła się przyglądać z okien domu partii równie ludowym bojownikiem. Najpierw komunistyczny sekretarz szukali z Rywką kontaktu wzrokowego, żeby podbudować wartość swojej historii. Potem Rywka patrzyła, jak u jej stóp przesuwają się kilkakrotnie agresywne marsze niepodległościowe. Cóż za przykry i smutny spektakl! Tym bardziej, że Rywka Tajtelbaum urodziła się ledwie rok przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, na niecałe dwa tygodnie przed dniem obchodzonym jako święto narodowe. „Różne relacje i opracowania zgodne są tylko co do dnia i miesiąca: 31 października. Ale już rok pozostaje nierozstrzygnięty. Raz to 1917, innym razem 1918. Tak jakby już w samej dacie jej przysięcia na świat zawarty został symboliczny dylemat. Czy narodziła się i działała pod szczyliwą gwiazdą rewolucji październikowej, czy może odzyskania przez Polskę niepodległości? Rozstrzygający powinien być akt urodzin. Ocalał. Znajduje się w Archiwum Państwowym w Łodzi. O dziwo, nie pozostawia wątpliwości: dziecię płci żeńskiej z ojca Icka Majera Teitelbauma przyszło na świat 31 października 1917 r. o godz. 7.00 rano” [1].

Czytając opowieść o Rywce, w pewnym momencie zacząłem zwracać bardziej baczną uwagę na przypisy i zerkać częściej do bibliografii. Fraza, której chciałem użyć, że dopiero książka Michała Wójcika „Rywka: Śmierć ze złotym warkoczem: Gry wojenne polskiego podziemia” odkurzyła pamięć o bohaterce, nie znajduje tak do końca uzasadnienia. Opublikowane i dostępne publicznie biografie, monografie, opracowania, wspomnienia, relacje i pamiętniki wymienione są na czernastu stronach. Często w tekście cytowane fragmenty „Lat walki” Stanisławy Sowińskiej-„Barbary” pochodzą z 1966 roku, książka kilku autorów „Kwestia charakteru. Bojowniczką z getta warszawskiego”, w której Patrycja Dołowy poświęca rozdział Niucie Tajtelbaum, ukazała się w ubiegłym roku. Trzy lata temu na „Patelni” przy stacji Metro Centrum powstał mural upamiętniający kobiety walczące w warszawskim getcie, oczywiście także Rywkę. Dziewczyna ze złotym warkoczem zatem istnieje, łączy walkę lewicowców z gettem warszawskim, miejską partyzantkę z wyzwoleniem Polski spod okupacji, szalone napady rabunkowe (czyż nie przypomina to historii sprzed odzyskania przez kraj niepodległości?) z ponurymi wyrokami śmierci na hitlerowcach i ich współpracownikach, Żydów

z Polakami w końcu. Dlaczego więc książkę Wójcika czyta się tak dobrze, jest tak niezwykle interesująca, skąd ten cień smutku, czasami dziwnej dezaprobaty oraz uczucia, że coś było ukryte, a przynajmniej niedopowiedziane? Wszystko przez jeden z podtytułów. Rzecz w tym drugim, czyli mniej znaczącym. Bo czyż można zamiast bohaterki wojennej, ofiary, legendy, bojowniczką z getta warszawskiego, zabójczyni, której bali się Niemcy, uczynić politykę najważniejszą? Nie mogę pozbyć się wrażenia, że polityka polskiego podziemia czasów okupacji i Niuta Tajtelbaum nie tyle się uzupełniają i przenikają, ile tworzą nierozdzielalną całość. Spoglądam na spis treści. Książka podzielona jest na cztery części, których tytuły odnoszą się do bohaterki, ale rozdziały to przestrzeń, w której Rywka znika lub pozostaje w cieniu, ponieważ wielka historia i polityka ją marginalizują. Ludzie, w przeważającej liczbie mężczyźni, umundurowani, z wysokimi szarżami albo w garniturach pod krawatem, o życiorysach przedwojennych i ze stażem w politycznych organizacjach, przygotowani za granicą, zrzucający ze spadochronem, niektórzy częściej siedzący przy stołach z mapami, odezwaniami, manifestami, delikatnie odsuwają Rywkę na bok, żeby za chwilę zażądać jej uczestnictwa w wydarzeniach, z których każde może być ostatnie w życiu dziewczyny. Mężczyźni od polityki decydują o każdym dniu, miejscu pobytu i celu działania. To oni tworzą plan miasta i wyznaczają ulice, którymi Rywka przechadza się wolno w eleganckim futrze bądź biegnie ku lipcowi 1943 roku.

Po wielu dniach od lektury zostają we mnie trzy obrazy, wyobrażenia na podstawie treści książki czarno-białe filmy. W jednym nie ma Rywki, Niuty Tajtelbaum o pseudonimach „Wanda” i „Wanda Witwicka”. To dokument o politykach i wojskowych. Wielu zapamiętałem na zawsze. Począwszy od szkoły podstawowej. Nie tylko z lekcji polskiego i historii, ale ze zdjęć powywieszanych na dalszą edukację, i obywatelską, i fakultatywną. A lista wydłużyła się, gdy w końcu przemogłem się, żeby historię drugiej wojny światowej, szczególnie straszliwą w Polsce, wraz z Żydami, Zagładą, gettami, obu powstaniem warszawskimi, potraktować jako rzecz ważną dla rozwoju kulturalnego, społecznego i jakiego tam jeszcze można sobie wyobrazić w kontekście dorosłości. Za kolejny obraz nie wiem, do kogo mam mieć pretensję i żal. Do Michała Wójcika? Że Wanda Witwicka wyobraża mi się w jasnym prochowym płaszczu, przewiązanym w pasie, z dłonią ukrytą po części w przydługim rękawie, po części w kieszeni, niewątpliwie zaciśniętą wokół pistoletu. I beret! Beret na jasnych włosach! Jak w filmach, od których nie można było uciec przez lata PRL-u. Wanda pojawia się za plecami faszystowskich zbrodniarzy, na chodnikach, w tramwajach, warszawskich kawiarniach, w kinach. Staje twarzą w twarz ze swoją ofiarą, gdy otwierane są drzwi mieszkań, zajętych przez Niemców, polskich i żydowskich współpracowników okupanta. Gdzie zatem jest elegancka młoda kobieta w futrze? Dziewczynka, prawie dziecko o uroczej, wzbudzającej zaufanie twarzyczce, z zarzuconym na ramię warkoczem? Obdarła, pewnie brudna, wychudzona, głodna, zdesperowana ofiara Holocaustu? Życząc sobie, żeby właśnie za

sprawą takich pozycji, jak książka Wójcika zmieniały się nasze własne, osobiste obrazy z kart ważnej i bliskiej nam historii. I ten trzeci w końcu film, w którym bierze udział dwadzieścioro ośmiu aktorów, kobiet i mężczyzn. Autor pisze o nich, przedstawiając jak w dramacie, na dwunastu stronach wstępu. Większość z nich widzimy na zdjęciach. Nieliczni przeżyją. Najczęściej datę śmierci wyznacza wojna: czterdziesty trzeci, czwarty, piąty rok... To członkowie do zadań specjalnych (likwidacja, pozyskiwanie pieniędzy i broni) SG GL – Specgrupy im. Ludwika Waryńskiego, trzech kolejnych składów. Członkinią pierwszego była Rywka Tajtelbaum. Samo to, że składów było kilka, jest przerażająco smutne. Podobnie jak brak dokładnej daty śmierci. I miejsca. To ich dzieje są kanwą opowieści Michała Wójcika. Biografie przedwojenne, rola w organizacjach, partiach, walka o życie i niepodległość. Opowieść o zemście i klin-czu pomiędzy komunistycznym podziemiem a Armią Krajową, ale i próbach współpracy i jej zrywaniu z powodu innych wizji Polski powojennej, wzajemnym szpiegowaniu i niestety donoszeniu, gdy obok trwała Zagłada, powstanie w getcie i jego likwidacja. Członkowie Specgrupy mieli rodziny. Wójcik nie unika pokazywania bojowników jako ludzi żyjących także w tym drugim świecie. Tyle że owego świata jest bardzo mało. To już tylko spopielate skrawki czegoś dawnego, kurczowe trzymanie się umykającego w cień ogniska domowego, wykonywanego zawodu... Oczywiście w grupie specjalnej byli i ludzie, którzy w Polsce Ludowej odegrali znaczącą rolę. Czasami niechlubną, może trudną w ocenie.

Najwięcej miejsca poświęca autor, rzecz jasna, tytułowej bohaterce. Znamy jej pochodzenie, dzieciństwo, młodość, relacje rodzinne. Michał Wójcik zastanawia się, dlaczego pochłonął ją komunizm. Z czego wynikała jej niezwykle zimna, agresywna postawa wobec osób, które miała zlikwidować? Także Żydów. Omawia jej kolejne krótkie losy, które zawarły się w późniejszej legendzie. Stara się zbudować wieloznaczny obraz Rywki, kobiety, która poświęciła się walce całą sobą, ale z jednej strony godziła się na podporządkowanie rozkazom, wytycznym, kierunkom, idei, polityce, z drugiej zaś potrafiła wyrzec się roli komunistycznej bojowniczką, żeby udzielać pomocy po drugiej stronie getta, wielokrotnie przekraczać jego mury, ryzykować utratą rangi legendarnej, nieugiętej, bezkompromisowej likwidatorki, przed którą drżą okupanci. Tak ważnej dla lewicowego podziemia.

Jest coś niebywale smutnego i wzruszającego, choć i w jakimś sensie budującego ze względu na nieznikającą wbrew pozorom, a wręcz trwającą pamięć, w tym, że opisywane przedwojenne losy Żydów toczą się kolejami niespecjalnie różniącymi się, poza znanymi z historii wyjątkami, od życia pozostałych obywateli Europy. Świat, w którym poznajemy ich tradycje, zwyczaje, obrzędy, stosunek do pracy, społeczeństwa, wykształcenia jest niezwykle interesujący, bez względu na to, czy owi żydowscy obywatele, w tym przypadku Polski, są zasymilowani, czy też stanowią odrębną kulturowo i religijnie grupę. A potem następują obrazy ruin, zwłok, gett, obozów zagłady. To tworzy niezwykle, uwierający ciągle dysonans, który

przekłada się na Niutę Tajtelbaum. Bogata rodzina w Łodzi i komunizm. Zabójczyni o twarzy dziecka. Łączniczka między gettem a aryjską Warszawą. Odważna i silna do granic możliwości kobieta albo popadła w depresję i marazm wycieńczona walką dziewczyna w obliczu Zagłady. Ileż przeciwności w tak młodej dziewczynie! Nie jestem w stanie znaleźć jednej Rywki. Tym bardziej, że Michał Wójcik nie ułatwia sprawy, ponieważ sam zadaje dość sporo pytań wynikających z cytowanych i opisywanych przezeń materiałów. Ale zastanawiam się, czy przemierzając ulice Warszawy w celu wykonania bojowych zadań Wanda Witwicka myślała o powrocie do getta, z którego została skierowana właśnie na aryjską stronę, Zagładzie, obozach.

Wiele stron „Rywki” przedstawia Polskę, przedwojenną i w trakcie okupacji, w której

ścierają się różne wizje dominujących partii. Czytelnik śledzi walkę polskich komunistów o zdobycie znaczenia w kraju. Nie jednorodnych w idei, ale spierających się, jednych rozpychających się, innych gaszonych ręką ze Wschodu. Po lewej stronie wrze. Michał Wójcik pokazuje najważniejsze partyjne postacie, omawia ich znaczenie i drogę, która na kilka lat zostaje zawalona gruzowiskiem wojny. Niektórzy nie dotrwają jej końca. Zostają pogrzebani gdzieś na poboczu. I nie stoją za tym okupanci. Razem z autorem zastanawiamy się, jak to się stało, że znaczenie i władzę, najpierw w partii, potem w Państwie, zdobywają niekoniecznie najsilniejsi, najzdolniejsi, najbardziej inteligentni. Na czyich plecach i popychani czymi rękoma zaszli tak daleko? Jak mogłyby wyglądać pierwsze lata powojennej Polski, gdyby wielu innych nie padło ofiarą zamachu czy donosu? Pośród wielu na-

zwisk, pseudonimów, zdarzeń z dokładnymi datami, podczas których znaczenie miały godziny i minuty, wyłania się druga wojna (autor nazywa to grammi wojennymi polskiego podziemia), prowadzona nie z okupantem, w której hitlerowcy byli traktowani jako swojego rodzaju narzędzie. W pewnym sensie Michał Wójcik przedstawia Polskę, jaką często widzą publicyści polityczni. Miejsce w środkowo-wschodniej Europie pomiędzy dwoma mocarstwami, gdzie ścierają się przeróżne interesy, wykorzystujące słabość polskich elit. Czyż przypomina to nie tylko czasy Sanacji?

JERZY LENGAUER

[1] Michał Wójcik, „Rywka: Śmierć ze złotym warkoczem: Gry wojenne polskiego podziemia”, Wielka Litera, 2024, s. 93-94.

Elżbieta Juszcak

## Lekkość i koszmar

Igor Frender okazał się świetnie zapowiadającym się dramaturgiem. Rzecz jest zabawna, ale i miejscami głęboka, napisana żywym współczesnym językiem na temat ze wszech miar interesujący – o manipulacji, ale nie tylko. Manipulują tu wszyscy, to znaczy wszystkie postaci dramatu, i czytelnik, czy słuchacz, nie wie komu wierzyć, a chciałby. Zamysłem autora jest przedstawienie Instytutu, w którym Doktor stara się stworzyć nowego człowieka i niszczy swoich gości, czy pacjentów. Czytelnik oburza się na Doktora dopóki się nie dowie, że zaproszeni goście to również oszuści i łgarze, nad którymi nie ma się co litować. Na podstawie tegoż dramatu powstało słuchowisko w Polskim Radiu Łódź z korzyścią dla tekstu.

Manipulacja drugim człowiekiem w życiu codziennym, w życiu politycznym – to temat zawsze na czasie, a dzisiaj szczególnie. Zaś zjawisko prania mózgu nie tylko w rodzinie, sekcje, w swoim mieście, czy też dotyczące całych narodów skutki ma opłakane, a politycznie niebываłe i na stulecia. Jak więc autor uporał się z nim? Okazuje się, że nie tylko w sposób prosty, ale zupełnie naturalny. Otóż prostota ma tu wielkie zalety. Przed Doktorem stawia się niejaki Kowalski – buntownik z urodzenia, który „zawsze jest przeciw”. Doktor Waldemar Cis prezentuje przed oczyma Kowalskiego cztery palce, bo kciuk ma zgięty, i żąda od niego odpowiedzi, że ten widzi pięć. Męczy rozmówcę niewyobraźalnie, zasiewając zwątpienie. W zamian za pięć palców, czyli właściwą odpowiedź, oferuje wysokie kierownicze stanowisko i niezłe pieniądze. Kowalski jest jednak nieustępliwy, dopóki nie wypije szklanki herbaty, która okazuje się być wódką w ilości jednej butelki. Potem sanitariusze wynoszą go z pokoju, do miejsca, gdzie medyczne przyrządy wypiorą mu mózg. Czytelnik-słuchacz w zależności od swoich upodobań, lektur, doświadczeń widzi w oprawcy, a to przełożonego z pracy, a to cynicznego polityka, czy nawet enkawudzystę. Na końcu zaś okazuje się, że udający buntownika Kowalski, to oportunistyczny urzędnik przyspawany do stołka.

Piekło w dramacie ma kolejne odstony. Jowialny ksiądz zainteresowany „dla dobra” swoich wiernych działalnością Instytutu, okazuje się zręcznym manipulatorem, nie tylko w stosunku do wiernych, ale i do siebie. Chce zachować czystość duszy, czy duszę w ogóle, dlatego wyrzeka się

nadmiernej liczby lektur, a wiernych trzyma krótko – ci poczciwcy nie potrzebują wolności tylko zbawienia. Zaś swoje krwiożercze instynkty wyładowuje na polowaniach.

Tematem oczywistym w tym mini-dramacie jest władza. Tutaj każdy chce ją albo zachować, albo przejąć – Ksiądz, pani Burmistrz, Komisarz, Doktor, Nowicki, czy wydawałoby się bogu ducha winna Rozalia. Rozalia ma zresztą szczególne motywacje, bo jako ofiara wypadku – po śmierci chce pomścić swoją krzywdę. Koszmar jest zupełny, tyle tylko, że utrzymany w zabawnym lekkim tonie groteski.

Igor Frender jako autor ma kapitalną dyspozycję – rozważa problemy kondycji ludzkiej sposobem skrótowym i celny, z jakąś niebываłą lekkością. Władza, mówienie prawdy, społeczeństwo konsumpcyjne, głupota. Po co się rozwodzić? Wystarczy przykład, rzecz z codziennego życia, by „złapać byka za rogi”. Filozoficzną dyskusję o istocie rzeczy zamienia w zgrabną scenkę ze sklepu

meblowego, w którym przedmioty mówią i naprawdę nas rozśmiesza.

Żeby dodać nieco dziegciu: Sceny rozmowy Doktora z pacjentami są bardzo udane – autor się nie śpieszy, powoli prowadzi dialog na argumenty, prowadzi je z psychologicznym zwinnością – manipulacja ma tu za narzędzia pochlebstwo, różne punkty widzenia, obietniczki gratyfikacji, sławy. To się udaje. Ale końcówce sceny oraz narada u pani Burmistrz poprowadzone są bardziej skrótowo, czy pośpiesznie. Szkoda. Nie jest dobry też tytuł dramatu, choć oddaje problem. Nie mam tu odpowiedzi, ale w dżungli ludzkości coś można by znaleźć, wysuptać, i rzucić, i tak przestraszonemu czytelnikowi.

ELŻBIETA JUSZCZAK

Igor Frender, Jak obalić człowieka. Drama w trzech aktach. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Wielkopolski w Poznaniu, 2023.



Elżbieta Paprocka

## Historię zacząć od jutra

Historia lubi się powtarzać, zataczać koło, a mimo to ludzie i tak rzadko wyciągają prawidłowe wnioski na przyszłość. Historia indywidualnej postaci jest kroplą w morzu losów pokolenia, a doświadczenia poszczególnych generacji stają się historią narodu, kontynentu, świata.

Zbiór indywidualnych historii młodych ludzi z zachodu i wschodu Europy przedstawia książka Romana Warszewskiego „Historię zacząć od jutra”. Miała ukazać się w roku 1981 (o czym autor szczegółowo pisze we wstępie), ale istniejąca wtedy cenzura (mimo bardzo pochlebnej recenzji wydawniczej napisanej przez samego Ryszarda Kapuścińskiego) uznała ją – jak można przypuszczać – za zbyt obrazoburczą i nie wydała zgody na jej publikację. Książka przez 40 lat przeleżała w szufladzie i ukazuje się dopiero teraz. I dobrze, że jednak ujrzata światło dzienne, bo skłania do niejednej istotnej refleksji; pokazuje m.in., jak wiele przez 40 lat wokół nas się zmieniło.

„Historię zacząć od jutra” to rzecz o młodych ludziach z Zachodu i Wschodu na początku lat 80-tych XX wieku. Utwory powstały około roku 1981, a więc w tym samym czasie, w którym toczy się ich akcja. Autor jest pośrednikiem, obserwatorem, a w kilku wypadkach nawet uczestnikiem opisywanych wydarzeń, które są pewnego rodzaju świadectwem doznań, myśli, pragnień, oczekiwań i dylematów młodego pokolenia tamtych czasów. Pokolenia, które jak wszystkie poprzednie, pragnie zmienić świat, a że dopiero od jutra, to już inna sprawa...

Rolę wprowadzenia pełni relacja ze spotkania młodych ludzi – przedstawicieli piętnastu państw, z czterech kontynentów i różnych kultur, którzy wzięli udział w międzynarodowej wymianie studenckich praktykantów, którzy w swoich rozmowach i polemikach rozważają problem przebudowy świata. **Bezimienni stąqd** spotykają się z **Bezimiennymi stamtąd**. To właśnie oni ruszają w drogę, spieszą się, by zdążyć na czas, „bo przecież już od jutra rozpoczyna się historia”.

Kolejne teksty – quasi dokumenty łączące różne formy: wywiad, reportaż, esej, opowiadanie (autor w każdej z tych form porusza się jak ryba w wodzie) – przedstawiają indywidualne historie, z których każda ma siłę przypowieści.

W części poświęconej **Bezimiennym stamtąd**, czyli z Zachodu, odnajdujemy:

- losy studenta Jose Gonzaleza, który zginął w wyniku wybuchu ładunku podłożonego na Placu Kolumba;
- dialog–protest, który w wyobraźni przeprowadzili młodzi chilijscy uchodźcy z Augusto Pinochetem, dyktatorem i ówczesnym ich panem życia i śmierci;
- zapiski 22-letniego chłopaka, będące świadectwem tego, o czym myśleli i co czuli ci, do których przywarło miano „psów wojny”;
- kartki z notatnika Baska, który poszedł za głosem serca, gdyż czuł się związany ze swą ziemią i własnym narodem;
- losy Herberta Kuhna i jego matki Ingrid pragnącej dokonać zemsty za śmierć syna;
- opowieść o trwającej dwa-

dzieścia sześć lat podróży Indianina, który dzięki łutowi szczęścia, jako jedyny z wioski, zmienił swoje życie;

W części w **Bezimiennych stąd**, czyli z Polski lat 80-tych, znajdujemy natomiast:

- historię zdolnego chłopaka–wynalazcy, któremu sfluczona obudowa mechanizmu nie pozwoliła stanąć przed telewizyjnymi kamerami, a brak matury sprawił, że prosta droga wiodąca w przyszłość nagle zawiodła go gdzieś w bok;
- postać Rogera – najmłodszego licealisty w Polce;
- a także imającego się mniej lub bardziej zgodnych z prawem zawodów młodego mężczyznę, który ostatecznie po wielu życiowych falstartach wykonuje... sekcje zwłok w prosektorium;
- młodocianego amatora–paleografa, ucznia liceum w Elblągu, któremu udało się odczytać pismo sporządzone w archaicznym języku rongo-rongo;
- przedsiębiorczego „Enzyma” wyjeżdżającego na saksy do ówczesnego NRD i pracującego w maglu;
- Słazka Sieradzana zabitego w zajęciach grudniowych w Gdyni;
- czy sprawozdanie z jednego z bardzo wielu godnych zapamiętania przypadków buntu – strajk studentów Akademii Medycznej w Gdańsku w roku 1981.

Poszczególne teksty stawiają pytania o sens życia, prawdę, uczciwość, przyszłość, wpływ na rzeczywistość, normalność. Pokazują różne koleje losu, ścieżki, o których zadecydował nieraz tuł szczęścia, a niekiedy prawdziwy wybór czy przypadek, mową o szukaniu dowodów tożsamości lub przebudzeniu świadomości. Są oparte na dramatycznych wydarzeniach, jak kwestia uzyskania autonomii kraju Basków, organizowany przez brytyjski koncern w afrykańskim państwie przewrót wojskowy, aby przejąć wydobywanie bogatych złóż mineralnych, wydarzenia Grudnia 1970 r. w Gdyni, akcja

strajkowa studentów AMG rozpoczęta 7 listopada 1980 r., czy okrucieństwa dokonywane w Chile przez Augusto Pinocheta.

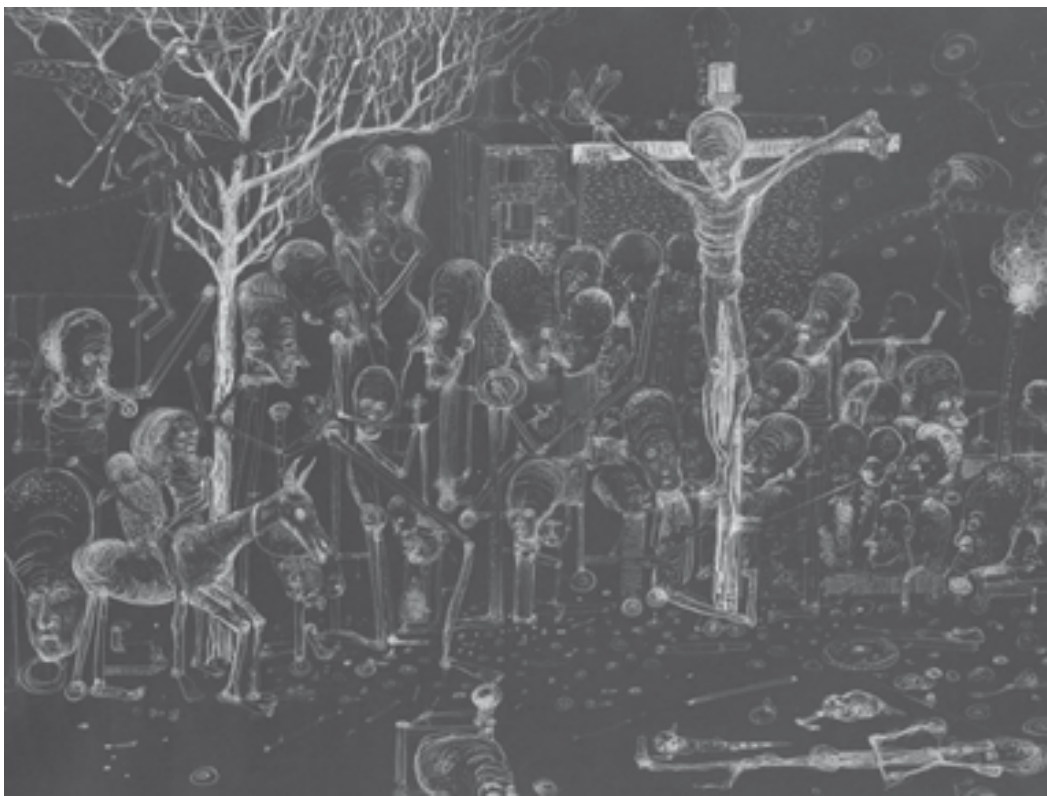
**Dlaczego w roku 1982 druk książki wstrzymała cenzura?** Co ówczesnym władzom mogło się w niej nie podobać? Odpowiedzi, jak sądzę, może być kilka. Pisze o tym w postawieniu do książki dziennikarka i publicystka Alicja Dmowska:

„(...) cenzurę mogło boleć to, że w książce Warszewskiego polska młodzież pokazana jest jako podmiotowy żywioł, a nie jako marionetka czy zabawka, jak miało to miejsce w upupiającej młodych propagandzie PRL-u. Ponadto młodzież w tej książce” – pokazywana w kolejnych odsłonach – „ewoluuje i dojrzewa – co z punktu widzenia cenzora (czy superrecenzenta), mogło wydawać się szczególnie niebezpieczne. Z pozycji różnych oryginałów, outsiderów i kolorowych ptaków młodzi dokonują mżolnej transgresji i przeradzają się w coraz bardziej politycznie świadomą grupę. (...) Brrr, coś takiego dla cenzury było prawdopodobnie nie do zniesienia.”

Dalej Dmowska pisze, że cenzora razić mogła również „ostrość spojrzenia obecna na tak wielu stronicach tej książki. Jej bezpardonowość. Jej tak-tak, nie-nie. To mogło (...) książkę dyskwalifikować. I to nie w jakiejś jej części, fragmencie – ale w całości.” Poza tym „(...) ustawienie na jednej płaszczyźnie młodzieży z Zachodu i Wschodu też nie mogło ująć uwadze Urzędu Kontroli. To – w jego oczach – był zapewne grzech pierworodny książki. Bo naszą młodzież na pewno należało ulokować wyżej i lepiej – a nie na równi z morfinistą z Angoli, czy samobójcą z RFN...”

ELŻBIETA PAPROCKA

Roman Warszewski, „Historię zacząć od jutra”, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2024





Antoni Pawlak

## Rzeczpospolita Obojga Chwinów

Wczoraj na moim biurku pojawiła się książka – „Dziennik życia we dwoje” Stefana Chwina. Rozwarła okładki jakby się chciała przywitać. W pokoju zapachniało czułością.

Chwinowie. Krystyna i Stefan. Pisarz i poetka. Eseista i wydawczyni. Na terenie Gdańska to odrębne, rządzące się własnymi prawami państwo. W dodatku państwo z widokiem na zatokę. Ten widok rozciąga się z okien ich mieszkania na gdańskiej Morenie.

W 1995 roku wyszła powieść Stefana Chwina „Hanemann”. I od razu stała się hitem. Posypały się nagrody i wydania obcojęzyczne. Któregoś dnia wpadłem do Chwinów na Amundsena.

– Stefan – zagailem przed filiżanki z parującą herbatą – masz międzynarodowy sukces literacki, a co za tym idzie, jakieś pieniądze. A w dalszym ciągu gnieździecie się w tym mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty. Nie myśleliście żeby je zmienić?

Stefan wstał od stołu i podszedł do okna.

– Podejdz – powiedział. – Coś ci pokażę...

Podszedłem. Stefan odsunął firankę.

– Spójrz...

Widok za oknem zapierał dech: panorama Gdańska, spokojne fale zatoki skąpane w zachodzącym słońcu.

– Nie oddam tego widoku za żadne skarby – uśmiechnął i wrócił do stołu.

Chwinowie są razem od kilku dziesięcioleci. A biorąc pod uwagę to, jak są od siebie różni, nie ma żadnego powodu, by tak długo ze sobą żyć. Więc skąd to bycie razem? Na przekór okolicznościom, na przekór stawianej przez życie kabale?

On milczek, najlepiej czujący się otoczony kokonem samotności. „O, piękne są chwile, gdy odgradzam się od świata zamkniętymi drzwiami mieszkania, w którym jestem tylko ja, a wszystkie włókna nerwowe, które łączą mnie z niebem i ziemią, zostają przecięte. Właśnie w samotności czuję się najlepiej, gdy rozrasta się i umacnia moje skromne ja, które niczym astralna ektoplazma wypełnia sobą wszystkie zakamarki pustych pokoi. Ustępuje dziwny ból, który ścisną serce pod mostkiem, tłumiąc moje światło wewnętrzne samą cudzą obecnością, która zawsze czegoś ode mnie chce, natarczywa nawet w uprzejmym milczeniu?”.

Ona wręcz przeciwnie – towarzyska, wciąż szukająca towarzystwa.

Chwin ma na ten temat teorię, teorię opatrzoną znakiem zapytania, ale jednak. Pisze w swej najnowszej książce: „Może wszystko bierze się stąd, że żadne z nas nie zabiło w sobie głupiego, pogodnego dziecka, które umie bawić się w dom i nie do końca poważnie traktuje życie? Bo kto umie bawić się w dom, ma szansę na mądre życie? Tylko ilu z nas – dorosłych, zużytych – umie bawić się w dom?”.

Mimo tych zasadniczych różnic uparcie są razem. W domu, w podróży. Są razem i czerpią z tego satysfakcję. No dobrze, ale „Dziennik życia we dwoje” to książka, to literatura. A więc gdzie przebiega ta cienka linia, ta granica między literaturą a życiem? Między rzeczywistością a kreacją? „Ja piszę ten dziennik, tak jakbym nas przemienił w postaci powieściowe – wyznaje autor – dając nam może jakieś lepsze życie – trochę

prawdziwe, a trochę fikcyjne...”. Jak więc wygląda prawda o tym dziwnym małżeństwie, w którym – jak zapewnia Stefan Chwin – nigdy nie było cichych dni, swarów i kłótni. Dla literatury odpowiedź na to pytanie jest nieistotna. A dla życia, życia we dwoje? Prawdę zna tylko pisarz i jego bohaterka. My, postronni, nigdy się tego nie dowiemy. Pozostaje nam tylko wierzyć lub wątpić.

A oni wciąż razem „jej obecność przy mnie. Dlaczego coś nas tak utożyło razem na mapie Ziemi jak dwa przylegające do siebie skrzydła gołębia? To, że po tylu latach lubimy być ze sobą i że wciąż chce się nam podróżować razem. Ileż tych podróży było, myślę sobie, gdy idziemy jakąś zamierzchną strasę pod chorągiewami szwajcarskich krajin, przez zacięzione przejścia z szyldami na tarczach z blachy i cieszy nas sama obecność, nic więcej, nie musimy nawet rozmawiać – patrzymy razem na świat, który upart się, by radować nas swoim widokiem.”.

A więc on przeważnie milczy i chowa się w sobie. A ona bywa. Biega po mieście, odwiedza wernisaże, wystawy, wieczory autorskie i inne wydarzenia kulturalne. Przeważnie sama. Wkracza na salę w jednym ze swoich słynnych taczków. I jest. W Gdańsku panuje dość powszechne przekonanie, że impreza,

na której nie ma Krystyny Chwin, z definicji nie może być imprezą udaną.

W roku 1999 spędziliśmy sylwestra w oliwskim Pałacu Opatów. To był huczny sylwester, taki na kilkadziesiąt par. Goście siedzieli przy czteroosobowych stolikach. My z żoną wylosowaliśmy Chwinów. Albo oni wylosowali nas – nie pamiętam.

Przez cały wieczór gadaliśmy z Krystyną, przerzucaliśmy się anegdotkami, żartami. Śmiałyśmy się. Jednym słowem – świetnie się bawiliśmy. Stefan w tym czasie milczał głęboko zanurzony w siebie, czasami tylko rzucając okiem na roztańczoną salę. Przez kilka godzin nie wypowiedział ani słowa. W pewnym momencie, na jakiś kwadrans przed wznesieniem noworocznego toastu, Krystyna spojrzała na męża.

– Stefciu, jak się bawisz? – zapytała.

– Świetnie – odpowiedział Stefan. I wygląda na to, że była to prawda.

Zawsze razem, czyli osobno. „– Ale ja – K. dotyka mojej dłoni – będę przy tobie zawsze, obojętnie, co będzie.”.

ANTONI PAWLAK

Stefan Chwin, „Dziennik życia we dwoje”, Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2024



Andrzej Walter

## Jak ważna jest ta chwila

Można ją śmiało określić najsutelniejszą poetką współczesnego Krakowa. Kilkanaście rozchwytywanych i znaczących tomów poezji świadczy samo za siebie. Danuta Perier-Berska nie zwalnia tempa. Może jedynie wokoło Niej jakby coraz ciszej, coraz delikatniej, coraz dyskretniej. Przecież bałem się użyć jak noża słowa coraz samotniej. Intymna rozmowa z duszą to głęboka miara tych wierszy. Wiersze te, jak balsam, w świecie złym, w świecie nazbyt dusznym i coraz potworniejszym a jednak nadal szukające piękna, odwiecznych zasad i form, starodawnych środków wyrazu i metafor nieco baśniowych, ale miarą współczesności. Wiersze delikatnie – powtórzmy – tkane z naszych najważniejszych i najpoważniejszych spraw, z naszych roztrzęsionych wnętrz, tęsknot, nadziei i oczekiwań. Wiersze spokojne, ciche i jakby własne, takie wiersze, które Poetka nam daje bezinteresownie i z miłością: do świata, ludzi i zachwytu.

Wierzę Jej, kiedy mówi „nie słucham wiadomości ze świata / świat jest piękniejszy bez nich”. „Poddaje się – wiem – tak oddycha życie”. Danuta Perier-Berska kurczowo trzyma się życia (jak my), ale prowadzi nas przy tym w coraz mocniej zapomnianą krainę poezji – i mam tu na myśli krainę bez brudu, akcji, szokujących sformułowań czy terapii wstrząsowej wulgarnie szargającym naszym współczesnym językiem w wydaniu młodych gniewnych czy wysterylizowanego buntu wobec świata. Perier-Berska w to nie wchodzi. Poezuje sobą i po swojemu. Tak świadoma konsekwencja wytworzyła Jej coraz obszerniejsze stałe grono odbiorczyń, ba i jak widać odbiorców. Zaczynałam bowiem od zauroczania poezją Danuty i muszę po latach potwierdzić, te wiersze są coraz lepsze, coraz śmielsze i coraz głębsze.

„Ciągłe mnie uczysz / mój Mistrzu /  
że ważna jest / ta chwila”

Wiersze szukające siły chwili, chwili,  
o której jakże często zapominamy.

Przytoczmy tu wiersz bez tytułu:

\*\*\*

z samotności zrobiłam hobby  
album pęcznieje od wklejanych  
pustych stronnic

pochylona robię zapiski na marginesie  
lubię krótkie formy

każdy dzień koduję szlaczkiem  
w szkole byłam w tym najlepsza

pani powtarzała do znużenia  
masz talent masz talent

rozglądam się po pustym pokoju od wielu lat  
i nigdzie go nie dostzegam

To wydaje się punktem wyjścia do poszukiwań poezji. Nie dostrzeganie „własnego talentu”. Jak wiemy środowisko literackie wypełnione jest po brzegi tymi, którzy z pewności własnego talentu uczynili oręż destrukcji siebie i innych. Ciężko ich przegonić sprzed mikrofonów kiedy raczą nas obficie siłą tych (wątpliwych nieco) talentów. No cóż. Zostawmy leżących (choć im

się wydaje, że stoją i rosną). Wróćmy do piękna i wersów jakże innych od wstydu tego świata.

### Samotność

mój stół  
w kuchni  
prosi o śniadanie  
zgłodziłoby po nocnym czekaniu

jego skóra nie błyszczy jak dawniej  
zawstydzony przykrywa twarz  
ceratą w słoneczniki

krzesła czekają na ciężar  
który przyniecie je do podłogi  
wtedy nie będą czuły osamotnienia

to nic że nogi wykrzywił im czas  
a oparcia wytarte plecami

starzeją się meble w moim mieszkaniu  
a z nimi ja i mój czas

Starzeją się meble, a z nimi ja i mój czas. Starzeją się chwile, pamięć, wspomnienia i miejsca, a z nimi ja i mój czas. Nie da się nas lapidarniej określić: „ja i mój czas”. Tyle, że to ja i mój czas bywa dziś często rozpięte do niemal stu lat. Więc może ja i mój wiek, moje pokolenie, nieeee, chyba lepiej ... mój Czas. Czas – kleszcze istnienia. Mój mi najbliższy. Mój, w mojej intymności, w mojej wyobraźni w moim świecie. Zamyśliłem się. Jak jest mój czas? Dwa ustroje, dwa światy, jedno życie. Przemiany, transformacje, rewolucje i nawet wojna za progiem. A ludzie wciąż tacy sami. Nic się nie zmienia, prócz tego, że chyba jest coraz brzydziej, a poetka Danuta Perier-Berska odważnie próbuje to (to, co piękne i godne zachwytu) ocalić.

„Kiedy napływa fala smutku / ratuje mnie poezja” – jaka szkoda, że ludzie o tym zapomnieli, że skreślili tę opcję z dostępnych lekarstw i terapii wraz ze wzruszeniem, zachwytem i empatią, wraz z własną wyobraźnią kształtowaną w ciszy i lekturze, w pełni własnego świata własnej wyobraźni, przechodząc na cudzą wyobraźnię wklejaną nam obrazkowo i metodycznie dzień po dniu. Jaka szkoda...

Inspirację do tego tekstu czerpię z tomu Danuty Perier-Berskiej „Między wczoraj a dziś”, Kraków 2023. To kolejny świetny tom Danuty. Uspakajacz i zamyślacz do poduchy, kiedy nikt nie widzi i nie rozliczy Cię ze wzruszeń, z rachunku sumień, z dni jak lawiny, co szumią i napawiają lękiem. Niczym „Nadmorski krajobraz”:

obiecowałam mi  
wschody i zachody słońca  
ciepło piasku pod stopami  
przyjaźń z mewami  
obiecowałam sznur bursztyńców  
wycieczkę statkiem  
kąpiel w morzu miała zmyć  
z nas wszystkie grzechy  
nasze marzenia jak morska woda  
wyciekły zostawiając ślady soli  
między wczoraj a dziś  
czy tak wygląda morze?

Ślady soli są niezbędne, aby poczuć smak.

Smak, którego nikt już dziś nie czuje. Sól wymienili bowiem na wyrafinowane substancje byle tylko nic z tradycją, byle dalej od tego co było. Między wczoraj a dziś zaczyna się dziać przepaść, w którą jakże często wpadamy my – poeci. No trudno. Sami chcieliśmy.

Nie będę przedłużał tych wywodów. Polecam te wiersze, ten tom, te chwile z poezją wartą lektury i zamyśleń. Tom Danuty Perier-Berskiej z 2023 roku „Między wczoraj a dziś” pod redakcją Danuty Sułkowskiej opatrzony świetnym grafikami Danuty Perier-Berskiej, która z równym talentem co słownym para się sztukami plastycznymi. Tylko tak bowiem najpełniej przeżywa się swoje życie. Aktywnością. Na koniec przytoczę znakomity wiersz zamykający ten tom, wart lektury kilkukrotnej, zapewniam.

### senny poemat

wślizgujesz się do ciemnego pokoju  
zegar zaczyna odmierzać czas  
kolację podajesz na srebrnej misie księżycy  
której światło chłodzi buchający płomień  
możemy spłonąć dla miłości,  
a nawet dać się ukrzyżować  
spójrz jakim łagodnym wzrokiem  
patrzy na nas mężczyzna z obrazu  
musiał przeżyć miłość jeszcze  
większą od naszej  
a jednak na jego twarzy nie widać bólu  
cisza jakby odebrano nam słuch  
północ to dobra godzina dla duchów  
przytul mnie mocno, tak jak wtedy, pamiętasz?  
zawsze się bałam...  
widzę mgłę, z której wylania się las  
drzewa zielenięją z zazdrości, że  
jest nam tak dobrze ze sobą  
płonie we mnie tamten ogień  
osacza mnie z każdej strony  
codzienności  
kolacja we dwoje zawsze wzmagą apetyt  
na księżycowej misie nie zostało już nic  
proszę zegar, aby zatrzymał wskazówki  
to tylko sekundy, ale dla mnie  
znaczące – wieczność  
wolno przechodzisz ze stanu stałego w ciekły  
kropelkami osiadasz na moich  
policzkach zamieniasz się w łzy  
twoje słowa pożegnania  
sprawiają mi dotkliwy ból  
rozsadzają moje serce na  
kawałki niszcząc nadzieję  
mimo wszystko zostawiasz mnie i odchodzisz  
do tego mężczyzny z ram obrazu  
oboje już wiemy, że to On  
darował nam te chwile  
już siódma rano budzi mnie świst jerzyków  
otwieram oczy – na śniadanie ten sam obraz  
obraz mężczyzny patrzącego na mnie  
jestem ciekawa tajemnicy Jego spojrzenia  
zaraz z nim porozmawiam o ciszy i samotności  
o śmiertelnej beznadziei która  
przylepiła się do mnie  
jak guma do zucia

ANDRZEJ WALTER

Andrzej Walter

## Pragnienia w nieba błękitnie

W duszy nieustająco  
wola pytanie:  
Co przyniesie to nowe pokolenie?  
Czy jedynie  
zakonspirowaną nadzieję,  
czy znajdzie się w niej  
legitymacja miłości,  
wyciągnięte ręce  
obejmujące bliźniego.

(...)

Warto oddać się życiu,  
Jedynemu człowieczemu darowi.  
Czas podpowie,  
dobro uspokoi  
wybraną stronę.  
Nastanie dzień  
a z nim światło.

Taką oto puentą kończy Paweł Kuszczczyński – Wielkopolski poeta i wysokich lotów intelektualista swój ostatni, jakże mądry i wyjątkowy tom zatytułowany „Mądrość dobra”.

Mądrość, którą współczesny świat zdecydowanie odrzuca przeciwstawiając jej mądrość opacznie rozumianej wolności i pozornego samostanowienia. To mądrość, nawet nie tyle odrzucona, co dziś wręcz: wyśmiewana, wyszydzana i piętnowana. Z tej mądrości dziś się kpi, tej mądrości się nie rozumie, tę mądrość wraz z dobrem spycha się na margines cnoty udając jednocześnie w paroksyzmie hipokryzji, że tak nie jest. Co przyniesie? To pokolenie i pokolenia kolejne? Wygląda na to, że nawet zakonspirowanej nadziei nam nie przyniosą, gdyż nie bardzo wiedzą co to jest ta nadzieja, po doszczętnym zdefraudowaniu... wiary i miłości.

Paweł Kuszczczyński to twórca niepowtarzalny. Niczym ostatni Mohikanin jest lojalny wobec odwiecznie wyznawanych wartości – jak genialnie ujęta to oraz Jego Osobę Mirosława Prywera „Zamiast wstępu” w wydanym w 2015 roku zbiorze esejów Autora „Wartości zauważone”:

„Autor książki występuje w roli krytyka literackiego” (...) i pokazuje nam „jak ważne jest ratowanie humanistycznej myśli i wrażliwości oraz tego, co w człowieku jest najpiękniejsze.”

I przywołajmy przy tej okazji książkę sprzed niemal dwustu już lat autorstwa amerykańskiego pisarza Jamesa Fenimore’a Coopera opublikowaną w roku 1826 „Ostatni Mohikanin”. Kto dziś jeszcze tak pisze i kto czyta tego typu książki? Książki o zdradzie, lojalności, o dobru i złu, o prostocie uczuć i wreszcie o prawdziwej miłości. Dziś wszystko uległo gigantycznej deformacji, a wynaturzeniu temu osobliwego dopełnienia nadaje fakt literatury dziś nagradzanej najwyższymi laurami i wyróżnieniami. Potęgują one obrzydzenie. Kształtują tak zwane mody i gusta, a tym samym dalej psują ten świat kierując go na równię pochyłą ku prawie pewnej katastrofie. I to właśnie usiłuje powstrzymać czy ocalić Paweł Kuszczczyński – Poznański literat – jak i wielu innych mu podobnych, choć niestety wydaje się, wobec ogromu współczesności, iż jest nas (podobnie myślących) ledwie garstka.

Dlatego właśnie, kiedy mówię i myślę – Paweł Kuszczczyński – skojarzenia prowadzą mnie ku słynnej Nagrodzie Templetona. Nagroda Templetona (ang. Templeton Prize for Progress Toward Research or Discoveries about Spiritual Realities) – ustanowiona w 1972 roku i przyznawana corocznie za „**wyjątkowy wkład w afirmację duchowego wymiaru życia poprzez spostrzeżenie, odkrycie lub prace praktyczne**”. Nagroda ma postać pieniężną. Jej wartość w roku 2015 wynosiła 1,1 mln funtów. Zwykle jest przyznawana jednej osobie, choć dwukrotnie (w 1989 i 1990) laureatów była dwójka. Nagrodę przyznaje Fundacja Templetona (nazwa pochodzi od nazwiska Johna Templetona, przedsiębiorcy i filantropa); przez wiele lat wręczał ją Filip (ksiądz Edynburga), podczas ceremonii odbywającej się w Pałacu Buckingham. Kwota nagrody została tak zdefiniowana przez głęboko religijnego fundatora, aby jej wartość finansowa zawsze przekraczała tę nagrody Nobla, która ignoruje duchowość. Wśród nagrodzonych Nagrodą Templetona znaleźli się między innymi nobliści (do 2022 roku – sześcioro):

1973: Matka Teresa z Kalkuty (nobel pokojowy 1979),

1983: Aleksandr Solżenicyn (nobel literacki 1970),

2005: Charles Townes (nobel z fizyki 1964),

2012: Tenzin Gjaco (nobel pokojowy 1989),

2013: Desmond Tutu (nobel pokojowy 1984),

2022: Frank Wilczek (nobel z fizyki 2004).

W 2008 po raz pierwszy nagrodą został uhonorowany Polak – Michał Heller.

Michał Heller to fizyk teoretyk, filozof, teolog, historyk tych dyscyplin oraz matematyki. Autor jakże fenomenalnych książek. Nie będę przybliżał sylwetki tego matematycznego i filozoficznego geniusza, ale tak poprowadziło mnie luźne skojarzenie, rzecz jasna z całym uszanowaniem w różnicach i dorobku, choćby naukowym, ale muszę przyznać, że sylwetka Pawła tak właśnie się przedstawia. To nietuzinkowy człowiek, który za wszelką cenę usiłuje ocalić to, co w człowieku najlepsze i najszlachetniejsze. Nie boi się wyzwań, aktywności, trudności i niepowodzeń. Brnie dalej w swojej dobrej twórczości dając świadectwo prawdzie, a w niej: szeroko rozumianych pojęć: wiary, nadziei i miłości, których wymiary dziś zdefraudowano i zatarto. Wystarczy przywołać żenujący spektakl, którym poczęstowano nas i cały świat na rozpoczęciu minionej niedawno Olimpiady...

Przecież pytanie Pawła w tym wierszu (przypomnijmy)

W duszy nieustająco  
wola pytanie:  
Co przyniesie to nowe pokolenie?  
Czy jedynie  
zakonspirowaną nadzieję,  
czy znajdzie się w niej  
legitymacja miłości,  
wyciągnięte ręce  
obejmujące bliźniego.

To pytanie niemal o Boga. Bo w nim jest podstawa nadziei. Podstawa pojęcia Wszechświata i rzeczywistości nas otaczającej. Wiara jest jakby odpowiedzią na tak wielkie pytania. Heller właśnie za to otrzymał w Pałacu Buckin-

gham tę nagrodę, co rzecz jasna wywołała wściekłość całego ateistycznego przemysłu pogardy. Kuszczczyński pyta podobnie, ale inaczej. Dotyka tego z czym mamy do czynienia na co dzień, tu i teraz – dokąd prowadzi szlak pokoleń? Czy wiemy jeszcze czym są: dobro i zło? Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?

Otóż prawda, piękno i dobro istnieją niezależnie i będą istnieć, i nie dadzą się wyjaśnić w żaden naukowy sposób ani zredukować do innych pojęć. Zadanie, aby je ocalić od postania na śmietnik historii to wyzwanie dla współczesnego pisarza czy poety, wyzwanie, za które nikt go nie nagrodzi, które musi realizować wbrew całemu światu i jego dziś objawom i wreszcie zadanie niemal skazane na klęskę i niepowodzenie, jeśli spojrzę na to, co się wokół dzieje. Zadanie, które jak sądzę, Paweł Kuszczczyński, moja skromna osoba i wielu, wielu innych nadal realizujemy na swoich ścieżkach. Musi nas pocieszyć fakt, że nie jesteśmy sami.

„*Jak ważne jest ratowanie humanistycznej myśli i wrażliwości oraz tego, co w człowieku jest najpiękniejsze.*”

Czy to jest ten ... wkład w afirmację duchowego wymiaru życia poprzez spostrzeżenie, odkrycie lub prace praktyczne? Zapewne w niewielkim, minimalnym stopniu tak. Piszemy tekst. Tekst przeczyta kilka osób. Być może się zamyśli, zastanowi, to już coś, to przynajmniej aktywność, próba, chęć ... nadzieja nie zakonspirowana, ale żywa. Szkoda, że świat w swym szalonym pędzie postępu chce być (być może nieświadomie) mądrzejszy od nadziei i zamiast niej podsuwa nam kuszące wizje totalnej wolności, które najpewniej prowadzą ku totalnej ... nicości.

Wiele tego typu pytań i dylematów znajduje się w twórczości Pawła Kuszczczyńskiego. Autor w czerwcu tego roku skończył 85 lat. To piękny wiek legitymizujący do pochwały „Mądrości dobra” jako utworu już esencjalnego i uprawniającego do mocnego i otwartego postawienia tych wielu jakże ważnych pytań. Skorzystajcie z możliwości lektury tomów poezji Autora i Jego esejów oraz sposobności spotykania się z Nim i konfrontacji osobistej na licznych przecież Jego spotkaniach autorskich, których Kuszczczyński nie odmawia. Zatem kończąc znowu oddajmy głos Poecie:

Nasycony przestrzenią,  
pogubiony czasem,  
jestem tutaj by być dalej  
zapisanym mieszkańcem  
dni i nocy.

W upragnionej ciszy,  
pogodzony spokojem,  
przyniesiony z Bożym  
spodziewanym darem.

Pragnieniem pozostałem  
w ukochanym nieba błękitnie.

Wiersz ten dedykowany jest pamięci Pawła Kubiaka. Niech nasze pragnienia – jakże jednorodne i tożsame przeistoczą się w **częgoś tam** wartą poezję, choćby i poezję duszy i pragnień... I pragnieniem też pozostajmy. To nas trzyma przy życiu.

ANDRZEJ WALTER

Andrzej Walter

## Poezja w wymiarze kojącym

Żyjemy w martwym świecie marionetek i pajaców. Na wskroś samotni, wokół nas coraz ciszej i ciszej. Ci, którzy znali i rozumieli nasz wymierający świat też powoli umierają i odchodząc opuszczają nas dojmująco. Tom Tomasz Jastrun zatytułowany jest tak właśnie – to „Epoka wymierania”. Czyż nie w takiej epoce przyszło nam żyć? Rzecz jasna nie w sensie dosłownym. Przecież jest jak najbardziej cool (...)

Tom Tomasz Jastrun nie jest cool, jest niemal doskonały, oryginalnie wyrzeźbiony do lektury, w najprostszy, a zarazem najbardziej wyrafinowany poetycznie sposób, bez zbędnego nadęcia, patosu i drgawek plemiennych opowiadając nam o nas samych i naszym gasnącym świecie. Jak w otwierającym tom wierszu „Pajak”

Szedłem beztrzesko spać  
Gdy na prześcieradle  
Zobaczyłem pajaka olbrzyma  
Stał nieruchomo  
Na swoich cienkich i długich nogach  
Patrzyliśmy na siebie w milczeniu  
Nie wierząc własnym oczom  
Dwie niepojęte istoty  
Na trzeciej planecie od słońca  
Samotne i nagie  
W swoim istnieniu

Tom Tomasz Jastrun na przekór współcześnie nagradzanej poezji bełko tu jest tomem czytelnym, tak samo czytelnym jak czytelnymi były refleksje: Szymborskiej, Miłosza, Herberta czy Różewicza, tak samo czytelnym jak czytelnymi są tomy wielu pomijanych wszędzie współczesnych polskich poetów, ale rzecz jasna wybija się na tym tle swoją unikalnością i jakby idealnością przekazu. Metafory trafiają w punkt. Inspirować do myślenia. Więcej od poezji nie wymagam. Ma być moja, intymna, mądra, ba, po prostu zamyślająca – pięknie zamyślająca...

Przeczytajmy dwa wiersze zamykające tom. Dwa piękne wiersze. Jakże znakomite, olśniewające, no i finalnie kojące nasze zmysły i postrzeganie tego świata

### „Pocałunki”

Nasze usta  
Rozcięte na pół  
Jak owoce

Zjadamy słodki miąższ  
Pocałunków

Za oknem czarny kot  
Ciągnie za sobą drogę  
I świeci latarniami oczu

### „Pies”

Na starych filmach  
Wszyscy bardzo się śpieszą  
Jakby zapomnieli  
Że od dawna są martwi

Tylko jakiś pies

Zabłąkany w oku kamery  
Merda ogonem  
Jakby był wieczny

Niestety odnoszę wrażenie, że i my już jesteśmy jakby martwi. Jeszcze machamy ogonami, śpieszymy się, wydaje nam się, że jesteśmy wieczni, dopóki nas nic nie boli ...

Nasze koty ciągną za sobą drogę, świecą latarniami oczu, a my komplikujemy ten świat w konkurencji jeszcze nieznannej, nowatorskiej, cyfrowej i informacyjnej szumem zabijając sens.

Tom Tomasz Jastrun ma nas ukoić, uspokoić, zamyślić i pulsować w naszych zmęczonych myślach, abyśmy wiedzieli co ważne, co istotne, za co warto ... poświęcić wszystko.

Czuję się coraz straszny. Wiem, że to dziwnie brzmi u pięćdziesięciolatka z kawalkiem, w dobie medycyny mumifikującej ludzi na żywca ponad kres życia... czuję się staro, żyję w starym świecie, staram się to wszystko ogarnąć, ale organy wysiadają, psują się, coraz więcej zniechęcenia coraz ciszej, coraz puściej. Może dlatego wstrząsnął mną wiersz „Stare małżeństwo”, ale tak się dziś mniej więcej z żoną czujemy

Spotkały się dwie dłonie  
Spotkały się cztery nogi  
Los związał im ręce  
Los związał im stopy

Wodzeni byli na pokuszenie  
Przenosili góry i rzeki

A teraz do jednej małej walizki  
Pakują swoje podwójne życie  
I szykują się na nieistnienie

Taaak. Taki zapewne tytuł powinien nosić ten felieton. **Szykując się do nieistnienia.** Tak się dziś czuję. I rozumiem, że tak się czują i inni moi przyjaciele, starsi ode mnie i zaciejsi, lepsi poetycko i myślowo, z dorobkiem, wierszami ważnymi i doniosłymi, jedni jeszcze istnieją, inni już nie, ale tak naprawdę wszyscy razem ... szykujemy się na nieistnienie.

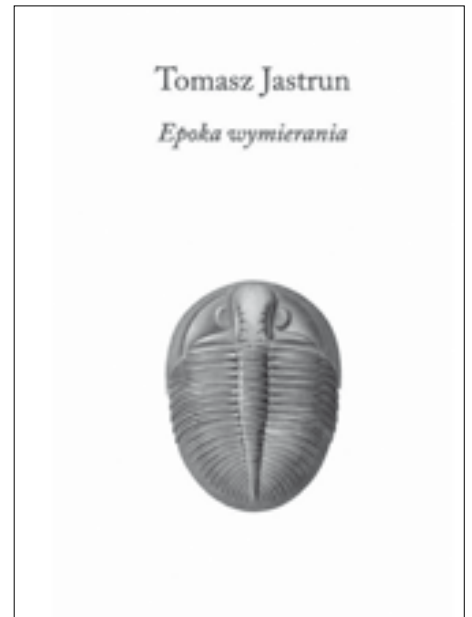
Do tego nieistnienia szykują się kościoty i cmentarze, cnoty i wartości, a nawet dobro i zło. Szatan już od dawna nie istnieje. Nieprawdaż?

Mnie jednak ta poezja koi. Uspokaja, że mogę jeszcze ją gdzieś kupić, poczytać, przeżyć... że mogę ją ze sobą zabrać do poduszki, do podróży, do nieba, że mogę się nią okryć jak warstwą ochronną, że jeszcze jestem normalny i nadal żyję szykując się na to ... nieistnienie.

Dziękuję Panu, Panie Jastrun

### „Na moich półkach”

Sędziwe tomiki wierszy  
Dawno zmarłych poetów  
Ich pochylone grzbiety



I poźółkłe dłonie  
Dedykacje  
To napisy nagrobne  
Pod krzyżami tytułów  
I szept wierszy  
Jak szmer modlitwy

### „Za szybą”

Bliscy znajomi  
I nieznanymi  
Mrą jak muchy  
Na szybie

A za szybą  
Jesień się mieni  
Przeleci ptak  
Powie coś ktoś

Bąk w grubym futrze  
Zapyla kwiaty  
Chłopak się kocha  
Z wiotką dziewczyną

Życie się toczy  
Na swoich kołach  
Nie wiadomo  
Po co i gdzie

Chciałoby się czytać i czytać. Wszystko jest tu jasne i jak nigdy smakuje poezją. Nie wiadomo po co i gdzie (...). Oł taka tam epoka wymierania w gotowości na nieistnienie, które już się wydarza (dla artystów i poetów).

ANDRZEJ WALTER

Tomasz Jastrun „Epoka wymierania”. Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2024. Stron 146. Oprawa miękka, ISBN 978-83-7866-780-3

Andrzej Wołosewicz

## Kurzawa ocala mój czas

Rynek 11" Eugeniusza Kurzawy czytałem „Rz kilku powodów przez co stał się on dla mnie – im bardziej zagłębiałem się w lekturę – lekturą symultaniczną (jeszcze do tego wróć, bo ważna cecha pisarstwa Kurzawy taki odbiór spowodowała).

Najpierw ze względu na „literacki oblig” – jak dostaję książkę, to mam poczucie obowiązku, nawet jeśli nie jest to wydawnicza próba o recenzję tylko, jak w wypadku „Rynku 11”, autorski prezent opatrzone miłą kartką z dopiskiem „Może Cię zainteresuje. Kawalek mojej młodości zapisany inaczej, tak mi się wydaje”.

Drugi powód to ten, że Gienska znam – przynam się od razu – bardziej jako Strażnika Pamięci Andrzeja Waśkiewicza niż z twórczości własnej albowiem ta pierwsza rola Eugeniusza jest, nie boję się tego napisać, pomnikowa. Oczywiście jest rodzina Andrzeja, ale gdyby nie Gienek to, tak sądzę, tej pamięci byłoby mniej i byłaby inna. Byłem więc wielce ciekaw Kurzawy jako Kurzawy.

Trzecim powodem są nasze PESELE, oba zaczynające się na 5, Gienska 54 mój 58. Cztery lata różnicy w naszym wieku to tyle co nic. Zatem czas ocalony w „Rynku 11” to także mój czas (dlatego pozwoliłem na tę „bezczeńność” w tytule). To ważne. Inaczej się czyta z doświadczeniem tego samego kontekstu.

Po czwarte, o czym będę pisał dokładniej dalej, w „Rynku 11” autor patrzy na świat z perspektywy „od dołu”. Myślę tu i o tym, że pisze z perspektywy dorastania, czyli tak jak to widzimy kiedy wszystko jest od nas i starsze i większe, np. gdy rowerem męskim (z ramą) daje się jeździć tylko pod ramą, bo z siodełka jeszcze nie sięgamy do pedałów. Być może Gienek, Ty tego nie miałeś, boś chłop postawny zapewne od chłopięctwa. I – to drugie „od dołu” – myślę o „socjologii-od-dołu” boć „Rynek 11” to świat małomiasteczkowy, więc „niżej” tylko wieś, np. Przyprostynia. A ja ze wsi (Frącki, Gulbin, Golubki, Ciemnoszyje, Radziuszki, Krasnogruda), więc oglądałem i doświadczałem dziecięcego i młodzieńczego życia z tej jeszcze niższej perspektywy i dla mnie wszystko było „ponad”. Po wszystko trzeba było sięgać „stając na palce”, choćby jechać kilka kilometrów przez las do sklepu po zwykłe zakupy, pieczywo, cukier. Taka codzienność.

I wreszcie – po piąte – czasowa wspólnota miejsc, która zawsze mnie ciekawiła, bo wiedziałem o niej, ale nie miałem okazji Gienska o nią zapytać: Suwałki, Białystok. Suwalszczyzna to dla mnie moja macierz, te wszystkie wymienione wsie właśnie tam, nad Czarną Hańczą (rzeką, nie jeziorem) albo (Ciemnoszyje) na linii między Grajewem a Mońkami w drodze na Białystok, który mam wpisany w dowodzie jako miejsce urodzenia, bo „urodzić się” z takich dziur to się jeździło. To taka pierwsza urodzinowa, a nawet przed urodzinowa podróż. A inne miejsca, już te z ziemi lubuskiej ale „moje”, to Sulęciny, Wędrzyn, Lubniewice (więc lekko na północny zachód od Zbąszynia i Przeprostyni) gdzie spędziłem swój czas w Ludowym Wojsku Polskim. (Nawet zachowałem starą książeczkę wojskową.)

Przepraszam za te prywatne recenzencje adresy nie dotyczące wszak „Rynku 11”, chociaż jednak tak, bo oddaję one te moje afiliacje symultanicznego czytania i – chyba na zasadzie rezonansu – oddają po części Kurzawowy styl a przynajmniej nastawienie: pieczołowitość szczegółu, jego swoista, bo

wszak wygrzebana z pamięci po latach, psychologia. To wyróżnia „Rynek 11” – psychologia szczegółu. Udaje się ją Gienkowi, na przestrzeni całej książki doskonale pokazać i przekazać. Jak? Spróbujmy ją odtworzyć, opisać z odbiorczego punktu widzenia, z czytelniczego odbioru.

Te szczegóły tak choćby plastycznie przedstawione jak drzwi do sieni kamienicy Rynek 11, których uderzenie, dudnienie, skrzyp aż słychać czytając, udaje się tak efektywnie autorowi przedstawicieli chyba dlatego, że nie są takie opisy w żaden sposób literacko „zafatszowane”, są po prostu szczerze, wplecione w zachowania konkretnych osób, nawet wtedy, gdy Kurzawa opatruje je zastrzeżeniami typu: „jeżeli dobrze pamiętam”, „wydaje się, że”, „mogę się mylić, ale” itp., bo przecież odtwarza je z pamięci, wydobywa z czeluści własnego ja (pamiętamy, PESEL zaczynający się na 54). Mimo takich zastrzeżeń a może właśnie dlatego, to, co jako czytelnicy dostajemy ujmuje swoją szczerością, prawdziwością. Dlatego czytelniczo po kilku ledwie stronach znalazłem się – jakby paradoksalnie to nie brzmiało – wewnątrz autorskiego czasu. Dlatego też piszę o psychologicznej prawdziwości przekazu „Rynku 11”.

Od razu, abym nie zapomniał, dodam do tego pieczołowitość dokumentacyjną. Eugeniusz jest rasowym dziennikarzem, historykiem, tropicielem dokumentacji wszelakiej i robi to udanie. (Spójrzcie, na dowód, na dwa „Aneksy” zamykające książkę.) Teraz, pisząc o tym, pomyślałem, że ta autorska precyzja być może jest pokłosiem życiowych doświadczeń np. technicznych szlifów początków edukacji. Mówiąc najkrócej, ani przyrody (moje wiejskie doświadczenia) ani techniki (doświadczenia Gienska) nie oszukasz, nie ma na tych ścieżkach drogi na skrót. Pisze o tym, bo to wszystko składa się na zapodany już efekt symultaniczności mego odbioru, którego podglebiem jest wspólnota czasu, jak wspominałem, powtórzę, jesteśmy z tej samej półki pokoleniowej: głęboki PRL, na szczęście już nie stalinowski. I ten czas wart jest dobrego wyjawienia, dobrego ujęcia, oddania mu (czyli też sobie, nam) sprawiedliwości. Kurzawa właśnie od tego zaczyna, od „usprawiedliwienia” drugiej połowy XX wieku, czasu naszego dzieciństwa, młodości, dorastania. Już w pierwszym „koraliku” – jak zgrabnie nazywa to nizanie kolejnych opowieści na fabule „Rynku 11” Barbara Nau na czwartej, ostatniej stronie okładki – zatytułowanym „Zapiski (z) pamięci” wyczytuję tę głęboką potrzebę oddania sprawiedliwości: „Siermiężność tamtego czasu była przynajmniej społecznie równa, sprawiedliwa – chciałoby się powiedzieć – zaś ludzkie marzenia skromne. I chyba właśnie z tych powodów wiele ówczesnych rzeczy i spraw cieszyło normalnych ludzi, łatwiej można było wywołać u nich uśmiech i niewielką, ale szczerą radość z życia. Będę się spierał z każdym, kto zechce mówić o szarości tamtych lat. To współczesny chwyt propagandowy. Pamiętam bowiem, że owa przeszłość bywała wielobarwna, a kolejne dni jawiły się jako ciekawe. I takie dla mnie pozostały.” (s. 10). Od razu się przyzna, że zgadzam się z autorem w tej ocenie, w tym podejściu. Zbyt łatwo teraz, dzisiaj, wielu i moich rówieśników i, o zgrozo, jeszcze starszych wali w PRL jak w bęben. Nie chcę wcale go bronić, nie zamierzam, nie warto, ale warto pokazać nasze, każdy swoje, jak to udanie nazywa Eugeniusz, „dorastanie do korzeni”.

Używanie w opisie tego dorastania „politycznego cepa” 9w wiedzą wszyscy, co to jest cep?) daje pożywkę dla politycznych hunwejbiniów i ich akolitów wybielających samych siebie i innych (vide: „piotrowicze”), zamiast rzetelnego obrazu przeszłości. Trochę tak, by użyć bliźszego przykładu, jak jednowymiarowa historia prof. Roszkowskiego napisana na polityczne zamówienie. Nie warto tumać samym sobie kręgosłupów, moralne placebo nie istnieje. Tyle „polityczności” w mojej recenzji wystarczy, Eugeniusz też nawiązuje do niej incydentalnie.

Wróćmy do tego, co jest urokiem „Rynku 11”, wróćmy do – jak je nazywa autor – „spolitych uwarunkowań codzienności”, aby przywołać świat, który odchodzi, a z nami może odszedłby w zapomnienie całkowicie, gdyby nie Gienkowe pisanie i, mam nadzieję, powstające gdzieś nieznanie nam jeszcze inne „rynki 11”: „Od dawna nie siedzieliśmy na schodkach jego kamienicy i nie pisaliśmy na kolanie do dziewczyn, w mojej sieni cisza – nikt nie zagwiżdże, nie pora na łażenie po drzewach, skończyły się wspólne wędrówki z dworca na Rynek. I wyjazdy pod namiot, gdzie piło się tanie wino nad jeziorem. Coś się naprawdę skończyło.” (s. 107) Kiedy czytałem o łażeniu po drzewach od razu przypominam coś, od czego jeszcze dziś jeżdżę mi się siwiące włosy na głowie – to, że w Golubkach potrafiliśmy bawić się w berka na... drzewach! Nadrzeczne zarośla na to pozwalały, kępy drzew tworzące labirynt i my na nich na wysokości 2-3 metrów. Dziś wnukom bym na to nie pozwolił, ale nam nikt nie musiał pozwalać, sami braliśmy tę wolność. Po prostu wychodziło się z domu po odrobionych lekcjach (albo i nie) i innych obowiązkach i już.

Jeżeli wciąż recenzując książkę Gienska wpadam w pułapkę pisania o sobie to jest to tylko i wyłącznie, Eugeniuszu, Twoja „wina”, boś to Ty też pułapkę na czytelnika zastawił. Twoje pisanie o sobie i wysoce osobiste rezonuje w taki właśnie sposób. Sam przecież piszesz: „Przedstawiam opowieść o jednej, ale i jedynej – bo przecież niepowtarzalnej – rodzinie i jej miejscu we wszechświecie: jest to jednocześnie tekst o wyjątkowości każdego bytu i jego jednorodności. Subiektywny przykład, który już się nigdy nie powtórzy. Może to również być, nie tylko dla autora tych zapisków, szansa przywrócenia utraconego czasu.”. No właśnie, to jest ten argument usprawiedliwiający recenzencje pisanie o sobie. Ciekawe, czy spodziewałeś się przywołując swój utracony czas i ocalając go, że stworzyłeś tę szansę innym? Czy taki „efekt uboczny” pojawił ci się w momencie pisania? Ja w każdym razie kłaniam Ci się za to nisko, do ziemi, do której nam coraz bliżej. Sam nie miałem (i nie mam) ani takiego zapędu, ani takich intelektualno-literackich narzędzi, aby napisać, co mi chodziło niegdyś po głowie, sagę rodzinną. Nawet miałem dla niej tytuł „Saga rodu Szewskich” z (fikcyjnym) narratorem Kubą Szewskim, taki literacki myk od panieńskiego nazwiska mamy – Kubaszewska. A miałbym co opisywać, choćby dziadka krakusa handlującego końmi, gdy zabłąkał się aż do Sejna i tu został. Czy choćby to, że jestem siostrzeńcem człowieka, którego do chrztu podawał prezydent Mościcki, może nie sam, ale był taki zwyczaj, że siódmego syna w rodzinie „chrzcili” prezydent a dziadkowie ze strony mamy mieli dziewięcioro dzieci, w tym siedmiu synów. Ale zostawmy tę dygresję i wróćmy na „Rynek 11”: „W takim miejscu na początku lat 50. zakwate- ➔

→ rowali się mama z tatą będący świeżo po ślubie. Przeżyli tu około 40 lat. Zawsze na cudzym. U kogoś. Ale przecież powstało tutaj i pozostało na zawsze coś naszego, własnego i niepowtarzalnego, co wzięliśmy ze sobą opuszczając dom i mieszkanie – pamięć i aura ego miejsca. Nikt inny nie jest w stanie określić i ogarnąć tego, co przeżyto ongiś kilka osób przypisanych do kilku ścian i sprzętów. Do skrawka czasu i niewielkiej przestrzeni. To wszystko jest nasze, więc i moje! Zatem jak to jest z tym domem rodzinnym? Czy idzie tylko o sprawy własnościowe, czy raczej o związki emocjonalne? Czy mogę powiedzieć, iż mieszkanie na Ryнку 11/1 jest moim rodzinnym domem?" (s. 146) Odpowiadam na ostatnie pytanie: możesz, powinieneś, musisz! Nie ma innej opcji. Przypomina mi się „tam dom, gdzie serce twoje”. „Udomawiamy się” co najmniej dwukrotnie, raz z rodziną, z której wyszliśmy i do której korzeni dorastamy, a drugi w tej, której sami dajemy początek. Wszystkie zasiedlane przez nas miejsca są miejscami serdecznymi, bo to w sercu zostaje, o czym Twój „Rynek 11” najlepiej zaświadcza. Innych rozwiązań nie ma. Życie alternatywne (patrz „Życie alternatywne”, s. 147) pozostaje w gestii swobodnej, może i ciekawej, ale jedynie gry intelektualnej, być może fabularyzowanej literacko, ale na pewno nie-udomowionej.

Nie mam żadnej ciekawej recenzycyjnej puenty. Chciałbym zakończyć swoją pisaninę przywołaniem wiersza - bo Gienek zamieścił 23 wiersze, które są bardzo ciepłym serdecznym autokomentarzem do niszanych „koralików”:

## Bezimienny

(z cyklu Rynek 11)

na krześle przy okrągłym stole  
którego nogę wygryzie po latach kołatek  
siedzę: pamiętam  
i nie przeczuwając historii czytam  
powieść „Szwedzi w Warszawie”  
obierając łuszczącą się skórę  
nadmiernie opalonych pleców  
krzesło w domu się chwiej (nie pomagał  
ojcowski własnoręcznie robiony klej)  
taki był PRL a ja w nim pozostałem:  
młody i szczęśliwy na ile to możliwe  
złego: nie pamiętam  
bezpieczny w zatrzymanym czasie  
nocami marzący o dorosłym życiu  
i wyniosłej dziewczynie z ul. warszawskiej  
upijający się tanim winem w czasie  
nad jeziorem niepostrzeżenie  
dojrzały i zgorzkniały  
bezimienny

„dojrzały i zgorzkniały/ bezimienny” – szanuję dojrzałość, akceptuję zgorzkniałość (choć łagodzę ją sentymentem), nie zgadzam się z **bezimiennością** - nazwałś, Gienuku, nienazwane! Byłem w potowie czytania, gdy przypomniał mi się św. Augustyn z jego dylematem, że wie, co to jest czas, gdy go nikt o to nie pyta, a zapytany nie umie nic o nim powiedzieć. A Ty pisząc „Rynek 11” właśnie to zrobiłeś, rozwiązałeś dylemat św. Augustyna. Pod Twoim piórem czas stał się doskonale definiowalny, czego „Rynek 11” pozostanie imiennym, bo mającym swojego autora, który przez to też nie będzie bezimiennym, dowodem. Pozostaje mi jeszcze

dodać, że książka jest bogato ilustrowana 39-cioma (jeśli dobrze policzyłem) fotografiami ludzi, miejsc, wydarzeń, co dodaje smakowitości czytającej wyobraźni.

Nie mam jako rzekłem puenty, ale mam podziękowanie:

## Nieodbyta rozmowa nad jeziorem w Krasnogrudzie

Gienkowi Kurzawie w podziękę za „Rynek 11”

na starej fotografii dziadek patrzył na jezioro

chciałbym go zapytać co tam widzi  
ale nie mam tej fotografii  
odgrzebuję ją jedynie w zmurszałej pamięci

wtedy było inaczej  
nie musiałem dziadka o nic pytać  
wystarczyło jedno spojrzenie

i obaj wiedzieliśmy:  
idziemy patrzeć na jezioro

każdy z nas widział co chciał  
dziadek nieudany wczorajszy połów  
i nadzieję na obfity jutrzejszy  
ja okrucy słońca gasnące w wieczornej toni  
ale mnie tamtego też już nie ma  
a zmurszała pamięć nie chce  
niczego potwierdzić

na fotografiach z najnowszego albumu  
znajduję tamto jezioro  
ale dziadka na nich nie ma  
nie mam z kim nawet pomilczeć  
nad nieodbyłą rozmową

ANDRZEJ WOŁOSEWICZ

-----  
Eugeniusz Kurzawa, „Rynek 11”, Wilkanowo - Zielona Góra 2024



## Nagroda Bursztynowego Motyla im. Arkadego Fiedlera dla książki

„Pierwsza wojna polsko-indiańska” Romana Warszewskiego

Książka Romana Warszewskiego pt. *Pierwsza wojna polsko-indiańska*, uznana w minionym roku przez *Migotania* za książkę kwartału, właśnie otrzymała prestiżową Nagrodę Bursztynowego Motyla im. Arkadego Fiedlera.

Nagroda przyznawana jest od roku 1996. Ustanowiono ją w setną rocznicę śmierci znanego pisarza i podróżnika Arkadego Fiedlera (1894–1985). Otrzymuje ją corocznie autor najlepszej książki podróżniczej o wybitnych walorach literackich.

Wręczenie nagrody odbywa się w Muzeum–Pracowni Literackiej Arkadego Fiedlera w Puszczykowie pod Poznaniem, a jej fundatorami są Marszałek Województwa Poznańskiego i Wojciech Kruk, w którego pracowni powstaje co roku inna srebrno–bursztynowa statuetka.

Wśród dotychczasowych laureatów są m.in.: Stanisław Szwarc–Bronikowski, Jerzy Kukuczka, Jacek Pałkiewicz, Marek Kamiński, Marcin Kydryński, Ryszard Kapuściński, Elżbieta Dzikowska, Wojciech Jagielski, Olgierd Budrewicz, Andrzej Stasiuk, Jacek Hugo–Bader i Natasa Goerke.

Książka Warszewskiego została wyłoniona spośród ponad 90–ciu zgłoszonych tytułów.

Laureatowi serdecznie gratulujemy!

**Redakcja**



Anna Jachim

## Poza strefą komfortu

przed stu pięćdziesięcioma osobami  
przed dwudziestoma ośmioma osobami  
przed swoim odbiciem na ekranie

dopasowuję fragmenty układanki  
niektóre z obłamanymi rąbkami  
zazębiają się o siebie z niechęcią

już nie wymiotuję  
tylko wypływam cząstki na kartkę  
i płuczę gardło czerwonym Eludrilem

nagle wyskakuję na podłogę  
łapie w zęby zielone czółenka  
skąd wziął się wilk w mojej krtani?

teraz lgnie mi do kolan  
a ja martwię się o wełniane spodnie  
które przyciągają włosy, kłaki, okruchy

dzięki Zoomowi nikt ich nie zobaczy  
jedynie sierść będzie kłula mnie w uda  
nieustannie sprowadzając na ziemię

w transie przekroczę granice strefy  
i będę sobą  
aż do granic własnej wystarczalności

## Słoik musztardy

przez trzy lata nosiła go  
w tajemnicy  
przed światem, przed sobą

pewnej nocy nie wytrzymał  
pękł w brzuchu  
a jego zawartość rozlała się  
lepką mazią po okolicznych wyżynach

kiedy dosięgnął granitowego szczytu  
na którym schronił się ostatni oddech  
nastąpił koniec

od jedenastu lat  
stronię od musztardy  
dwanaście słoików piętrzy się  
na kuchennej półce  
i przypomina o zduszonym krzyku

jeden na każdą rocznicę

## Dark tourism

dla kilku chwil adrenaliny  
potrzeby przeżywania  
a może dla czego innego  
spojrzeć śmierci w twarz

przytrzymywany pasem  
potencjalnego bezpieczeństwa  
luksus dostępny pozbawionym skrupułów  
obywatelom Zachodu

niedostępny mieszkańcom  
Afganistanu, brazylijskich faveli,  
Syrii, Iraku, Sudanu, Jemenu  
pogodzonych z losem z braku wyboru

życie już nie jest teatrem  
lecz imitacją gry komputerowej  
z kolejnymi etapami do przebycia  
do zaliczenia i odhaczenia na liście

za dreszczyk emocji  
kolorowe zdjęcia  
anegdota wśród przyjaciół  
przy lampce wina

## Na przekór

złości, zazdrości, zawiści  
na przekór burzy, nocy, chwili  
pomimo albo z  
wbrew sobie czy naturze  
bo wystarczy po prostu  
a samo zaistnieje  
kąćki ust unoszą się  
wychodzi słońce

## We czwórkę

Sine plamy na nadgarstkach  
- Mama mnie bije –  
rzucone od niechcenia  
dobija się od ściany  
i powraca przez kolejne godziny

Tulona siostra doprowadza do szału  
plące tarmoszą wiotką skórę  
tęcza nie symbolizuje nadziei

- Nie po to go rodziłam  
żeby go teraz bić

Mąż na wojnie  
Ojciec na wojnie  
Mamy tylko siebie

Bestia wciąż czuje głód  
- Chodź do mnie, wypuść ją  
Przeczekamy. Z nią albo bez.

## Oko w worku / spojrzenie z worka

Według zdjęcia Daniela Berehulaka

bezwstydnie nie napiszę  
o otwartym oku zabitego  
przeszywającym nas na wskroś  
przez otwór niezasuniętego worka

wygrawerowane na zawsze  
w neuralgicznej pamięci  
patrzy, ale już nie widzi

nie odwrócę wzroku  
przynajmniej to jestem mu winna  
za mój komfort i bezpieczeństwo  
oddalona o tysiące kilometrów



# W numerze prezentujemy prace Macieja Świeszewskiego



Migotania

gazeta literacka

**Migotania**

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 3 (84) 2024

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska**  
(Warszawa),

**Zbigniew Kresowaty** (Łądek Zdrój)

**Roman Warszawski** (Gdynia),

**Małgorzata Dorna** (Wendrychowska),  
(Piła - Sopot)

Stale współpracują:

**Anna Frajlich** (Nowy Jork),

**Grzegorz Musiał** (Bydgoszcz),

**Leszek Szaruga** (Warszawa),

**Olga Śmiechowicz** (Łódź),

**Marek Wawrzkiwicz** (Warszawa),

**Krzysztof Śmiechowicz** (Łódź),

**Aleksandra Naróg**,

**Urszula M. Benka**,

**Andrzej Walter**,

**Mateusz Wabik**,

**Jerzy Lengauer**,

**Marian Lech Bednarek**

**Andrzej Wołosewicz**

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:

**Agata Foltyn**

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

**Baltox Artur Rakowski**

Wydawca: Fundacja Światło Literatury

Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,

ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

[joa@migotania.pl](mailto:joa@migotania.pl),

[joalike@gmail.com](mailto:joalike@gmail.com)

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

**Migotania.**

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy

o kontakt mailowy na adres:

[joa@migotania.pl](mailto:joa@migotania.pl)



WOJEWÓDZTWO  
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW  
SAMORZĄDU  
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW  
MINISTRA KULTURY  
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

## Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- – Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- – autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- – autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich:
- – autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię oraz w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- – autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- – autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

## Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złoż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: [joa@migotania.pl](mailto:joa@migotania.pl)
3. Ewentualnie pocztą:  
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:  
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

WYPRASOWANIE (47)  
1(2)

„Ten z nami! Ten przeciw nam! / Kto sam, ten nasz największy wróg!”

System, w którym żyjemy skłonni jesteśmy uznawać za nieznośny, gdyż zasada się na, jak to określali marksiści, wyzysku człowieka przez człowieka. Skoro tak, należy dążyć do jego zmiany, w czym wyspecjalizowały się dwie grupy współobywateli – politycy oraz kapłani (czy to religijni, czy świeccy), a zatem ci wszyscy, którzy mają gotowe wzorce zmian. Efektem owych zmian jest zamiar zbudowania systemu, który będzie zasadał się na stworzeniu odmiennego od dotychczasowego stanu rzeczy, na wykreowaniu jego przeciwieństwa. W konsekwencji z mozołem prowadzą nas owi zbawcy do świata, w którym, zamienimy wyzysk człowieka przez człowieka w jego przeciwieństwo: wyzysk człowieka przez człowieka. Jak bowiem powiada piosenka o obalaniu murów, której polskie słowa napisał Jacek Kaczmarski: „Aż zobaczyli ich, poczuli siłę i czas/ I z pieśnią, że już blisko świt, szli ulicami miast/ Zwalali pomniki i rwali bruk - Ten z nami! Ten przeciw nam!/ Kto sam, ten nasz największy wróg! A śpiewak także był sam./ Patrzył na równy tłumów marsz/ Milczał wstuchany w kroków huk./ A mury rosły, rosły, rosły. Łańcuch kotłował się u nóg...”.

Uświadczenie sobie tego mechanizmu skłania śpiewaków i innych takich do patrzenia politykom i kapłanom na palce, zmusza do czujności i wstuchiwania się z uwagą w głosy tych naszych Prokrustów, z których wielu potrafi dobrze maskować swoje zamierzenia, choć czasem zdarza się, że niechcący coś wypapla. Jednym ze sposobów uważnego i skutecznego tropienia owych ukrytych zamiarów jest czytanie prasy. Jeden z moich bliskich znajomych, nieżyjący już od lat wybitny działacz przedwojennej ONR Falanga potem NSZ, w czasie okupacji, by wiedzieć, co robią Niemcy, sporo czasu poświęcał lekturze hitlerowskiej gazety „Das Reich”. Gazetę, jak wszystkie inne, tworzyli oczywiście redaktorzy, w zasadzie niezależni, ale praktyka życia okazuje się w większości przypadków dość prząsna: gazety na ogół prowadzone są przez Podprokrustów, którzy zresztą czasami nie mają zbyt wysokiego mniemania o szefach, ale z zasady wykonują ich polecenia czy tylko sugestie.

Tak też to wygląda w przypadku redaktora Pawła Lisickiego, który na łamach swego tygodnika „Do Rzeczy” (nr 32/2024) we wstępniaku *Demokracja w zawieszaniu* pisze: „Decyzja Państwowej Komisji Wyborczej, by przetożyć o miesiąc (...) akceptację finansowego sprawozdania PiS, to błąd. Zamiast zrobić to, co wydaje się ze wszech miar słuszne – przyjąć sprawozdanie partii Jarosława Kaczyńskiego na dokładnie takich samych zasadach, jak to robiono do tej pory w stosunku do wszystkich komitetów wyborczych – PKW postanowiła w tym jednym przypadku dalej sprawę badać. (...) Otóż cokolwiek by się sądziło na temat PiS, próba odebrania największej partii opozycyjnej 75 proc. dotacji przypomina – nie waham się powiedzieć – zamach stanu”. Cóż – nie jestem pewien tego czy redaktor Lisicki wie, co pisze i ze zrozumieniem posługuje się przywoływanymi terminami, ale, o ile mi wiadomo, trudno mówić w wypadku postępowania wobec partii opozycyjnej o zamachu stanu, rację stanu albowiem w demokracjach reprezentuje jak dotąd ekipa rządząca.

Ale palicho takie drobnostki, w końcu w wywodach tego autora nagminnie się powtarzające, a świadczące jedynie o zaburzeniach logiki. Ważniejsze wydaje się ogłoszony tu manifest protestujący przeciw temu, co przez jednego z prominentnych polityków PiS-u określone zostało jako „dyktatura praworządności”, która teraz zagraża naszemu życiu i zdrowiu społecznemu. To protest przeciw traktowaniu serio zarówno obowiązujących praw, jak też szanowaniu procedur. To zresztą ewidentny spadek po systemie komunistycznym, w którym swego czasu, w latach 60., pani prokuratorka omal nie zadławiła się ze śmiechu, gdy oskarżona powołała się na konstytucję. A wszak ni trudno dowiedzieć, że to właśnie Partii spadkobiercą jest PiS traktujący prawo czysto instrumentalnie, podobnie zresztą jak zmierzła do politycznego zinstrumentalizowania systemu wartości.

To ostatnie – właśnie instrumentalizacja wartości – zdaje się być rdzeniem programu byłego premiera Morawieckiego, który wszak ogłaszał z dumą, że przystępuje do misji „ewangelizacji Europy”, kreując się tym samym jako postać „historyczna”, a jednocześnie podnosząc równie „historyczny” wymiar powołującego go na to stanowisko prezesa PiS. Przy okazji warto przypomnieć upór, z jakim przedstawiciele polskiej prawy walczyli o wprowadzenie do preambuły nie przyjętej w końcu w referendum konstytucji europejskiej wpisu wskazującego na doniosłość źródeł chrześcijańskich w formowaniu europejskiej tożsamości. Dziś sprawa wydaje się dramatyczna, skoro swój artykuł *Odchodzący są nam potrzebni* w „Tygodniku Powszechnym” (nr 30/2024) o. Wacław Osajca JS rozpoczyna słowami: „Różnorodność wyznań – postrzegana dotychczas jako niszcząca – staje się obecnie szansą na odrodzenie. Skoro całe chrześcijaństwo jest w dołku, jedna odpowiedź z całą pewnością nie wystarczy”. I dalej: „Sedno sprawy: wolność w Kościele. Patrząc na mój Kościół, muszę powiedzieć, że przestał być „potrzebny”, skoro w ciągu ostatnich paru lat odeszło z niego ponad 6 milionów wyznawców. Podobne zjawisko zachodzi w pozostałych Kościołach”. Okrutna to prawda dla chrześcijan, a dla polskich katolików w szczególności – społeczeństwa coraz bardziej się laicyzując, zaś niewielu nawet głęboko wierzących ludzi skłonnych jest dawać postuch kapłanom, podobnie zresztą jak politykom – a wszak jedni i drudzy przypisują sobie prawo do narzucania ludziom jedynie słusznych wzorców myślenia i życia. I to ich namiestnicy – w tym także „dziennikarze” – biją na alarm, jak to czyni na kartach przywołanego numeru „Do Rzeczy” Paweł Chmielewski w artykule *Dlaczego progresiści szydzą z katolików*: „Katolicy, którzy grają w grę liberalnej lewicy i roją sobie, że będą pokojowo koegzystować ze swoimi przeciwnikami, zostaną ścięci na gilotynie – prawdziwej, jak 200 lat temu, albo medialnej i społecznej, jak dzieje się to dzisiaj. Trzeba pogodzić się z faktami: polityka „konserwatywna”, którą od kilku dziesięcioleci prowadzą chadecja i centroprawica, całkowicie zawiodła. Jej jedynym osiągnięciem stało się spowolnienie marszu nienawiści do chrześcijaństwa i niszczenia tradycyjnego porządku, ale zatrzymanie go tymi metodami jest niemożliwe. Chrześcija-

nie nie mają dziś na całym Zachodzie żadnego prawdziwego wsparcia politycznego. Niemal wszystkie państwa wyparty się Chrystusa w imię ideologii laicyzmu. (...) Potrzebne jest podjęcie pracy na rzecz restytuowania państwowości

szczerze opartej na chrześcijaństwie, to znaczy takiej, która odrzuca rewolucyjny relatywizm i republikański agnostycyzm, zamiast tego głośno i dobitnie uznając, że jest jedno tylko źródło wartości – Bóg”. Wszak nie przypadkiem, przypomnę, wykrzykiwał „genialny strateg” Kaczyński, że „podnoszenie ręki na Kościół to podnoszenie ręki na Polskę” (czy jakoś podobnie, cytuję z pamięci). A zatem: alleluja i do przodu, jasne?

Na zakończenie zatem refleksje kawalera Orderu Orła Białego, Bronisława Wildsteina, poświęcone spektaklowi otwierającym paryskie Igrzyska Olimpijskie zatytułowane *Olimpijski gwałt* i opublikowane w „Sieciach” (nr 32/2024): „Dlaczego tak ma wyglądać przedstawienie, które otwiera igrzyska sportowe? Ano dlatego, że jest to dobry moment dla brutalnej tresury wielkiej liczby ich widzów, którzy w ten sposób mają ugiąć się i podporządkować dyktatowi wpływowego marginesu. To lekcja pokory dla ogółu, który musi uznać, że panujące elity mają prawo powoływać normy i kryteria. Każdy obiektywny porządek zasad krępowałby, odrzucenie ich daje pełnię władzy. (...) A spektakl paryski demonstruje, co naprawdę „inkluzywność” dziś oznacza. Dominujące elity tworzą porządek wedle swego uznania, walcząc z tradycyjnymi fetyszami i tabu powołują swoje bardziej rygorystyczne ich wersje. (...) Kłopot nowoczesności polega na tym, że artyści przypisywać zaczęli sobie demiurgiczne kompetencje i uznawać, że są w stanie kreować dzieło w całości, a więc i samodzielnie decydować o istocie piękna. W efekcie zakwestionowana została jego idea. A ponieważ nie potrafimy bez niego żyć, elity uznały się za władne dyktować, co jest właściwe, a więc i piękne. (...) W imię inkluzywności i tolerancji [ogół] ma podporządkowywać się antycywilizacyjnej mniejszości”.

W zasadzie powinien być Wildstein swój artykuł zatytułować bardziej dobitnie, np. *Sztuka zwyrodniała*, ale wciąż jeszcze zdaje się go i jego środowisko aż taka dostojność nieco krępować. Jakby jakaś poprawność polityczna czy jak to inaczej nazwać. A przecież ciągle obowiązują wolność słowa... I jeśli już chce się coś powiedzieć, można to robić wprost, prawda? Tym bardziej, że wolałbym zamiast ideologicznej logorei przeczytać, co tak naprawdę myśli Wildstein o „obiektywnym porządku zasad” w sztuce. To byłoby interesujące, a może nawet i pouczające. Póki co jednak wciąż „nowe elity” kreowane w przestrzeni narodowej prawicy nie są skłonne wyjawiać swych recept na sztukę godną ich aspiracji. I wreszcie z kim Wildstein walczy: z „wpływowym marginesem” czy z „dominującymi elitami”? Bo nie rozumiem...

# BYŁO NAM DOBRZE DOPÓKI MAMUSIA ŻYŁA CZ.1

(...) życie przelewa się w życie i nigdy nic nie umiera bez śladu. (...)

Andrzej Strug W twardej służbie

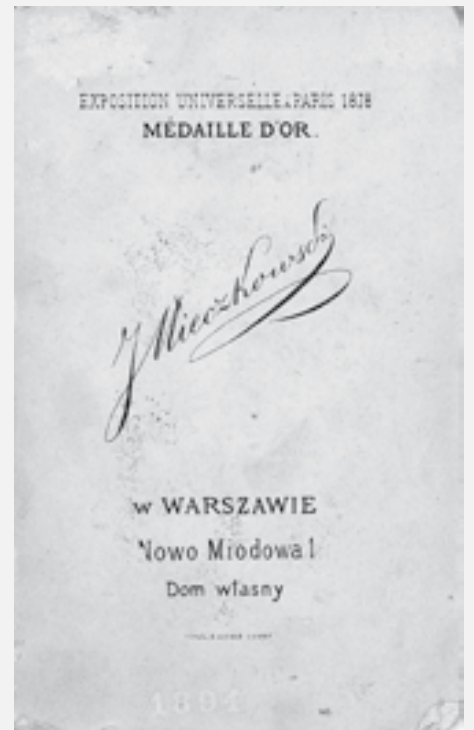
## ROZDZIAŁ PIERWSZY



Halina z Jaroszewiczów Gałązkowa, moja babcia ze strony mamy. Warszawa. 8 X 1920 rok.  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



Aleksandra, z domu Nawroczyńska, Jaroszewicz, po zawarciu związku małżeńskiego z Józefem Jaroszewiczem. Warszawa, 1894 rok.  
Fot. Jan Mieczkowski, syn  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



Roztocza. W zimowe wieczory zasiadali w salonie przy świetle lampy naftowej. Mama i tata opowiadali o losach swoich przodków. Dzieci słuchały. Patrzyły na zdjęcia, pamiątki. Uczyły się historii. Czerpały wzorce patriotyzmu.

Pośród przybyszów z różnych stron Polski i świata po drugiej wojnie światowej na Wybrzeże dotarła moja babcia, Halina z Jaroszewiczów Gałązkowa, prawnuczka Stanisława Moniuszki po kądzieli. Po Powstaniu Warszawskim, wraz z mężem, moim dziadkiem, Mieczysławem, z córkami - Hanną, moją mamą i Barbarą, zamieszkała w Sopocie. Rodzicami Haliny byli: Aleksandra, z domu Nawroczyńska i Józef Jaroszewicz. Mama Aleksandry, Elżbieta Nawroczyńska, z domu Moniuszko, rysowniczką, malarką, drzeworytniczką, była najstarszą córką Stanisława Moniuszki, twórcy polskiej opery narodowej. Józef Jaroszewicz, ojciec Aleksandry, był wnukiem Karola Druzewicza - żołnierza Wojsk Polskich w 1861 roku bibliotekarza i emisariusza księcia Adama Czartoryskiego. Halina uratowała z zawieruchy dziejów i przekazała nam zdjęcia, zapiski, relację. Zbudowałam z materiału opowieść prawdziwą. Narratorami są przodkowie ze strony mamy. Postaci, związanych z historią Polski, jest więcej. Materiał podzieliłmy na dwie części.

### ZWIERZYNEC – SZCZĘŚLIWE LATA

Aleksandra, z domu Nawroczyńska i Józef Jaroszewiczowie zawarli związek małżeński 4 grudnia 1894 roku w kościele św. Jana w Warszawie. Przeprowadzili się do Zwierzyńca. Józef był urzędnikiem w Ordynacji Zamojskiej. Urodzili się: Irena (1896), Kazimierz (1897), Stanisław (1898, zmarł w wielu niemowlęcym), Halina, (1903), Zofia (1905), Wanda (1908). Ochrzczeni zostali w zwierzyńceckim kościele na wyspie. Do dzieci przychodzili guwernerzy. Dwójka starszych wstąpiła do prywatnej szkoły średniej w Lublinie, korzystała z ordynackiego internatu i stypendium. Jaroszewiczowie skoligaceni byli z, żyjącymi obok nich - Moskalewskimi, Dorantami, Wyczółkowskimi, Jasińskimi, Tyszkiewiczami i in. Prowadzili bogate życie towarzyskie. Uczestniczyli w, organizowanych przez ordynację, koncertach, przedstawieniach teatralnych, korzystali z biblioteki ruchomej, jeździli na majówki, wycieczki. Latem obserwowali artystów malarzy tworzących w plenerach



Dom rodziny Jaroszewiczów w Zwierzyńcu nr 33.  
Z lewej na ganku, oparta o filar, Irena. Około 1909 rok  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

## SYLWANA → JAK TATA ZECHCE TAK BĘDZIE

Z Opowieści Wigilijnej 1977/1978. Irena z domu Jaroszewicz, Klimeszowa. Moim Siostrom Halinie i Zofii. Ze wstępu: (...) Tekst osnutam na tle wspomnień z okresu przed I wojną światową, a miejscem wydarzeń jest wieś Turzyniec w Roztoczu, oddalona o 6 wiorst od uroczej osady Zwierzyniec, a od Zamościa wiorst 35. (...) Jest trochę odchyłeń od prawdy, na przykład wieś Turzyniec nie miała dworu, ani czworaków, a umieściłam ją przykładowo, ułatwiło mi to kompozycję. (...)



Irena i Kazimierz Jaroszewicz, starsze rodzeństwo babci Haliny. 1902 rok  
Fot. Jan Mieczkowski, syn  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

- Ten monolog, dzisiaj zwany monodramem, dla pokrzepienia serc, wygłosiłam z pamięci przy akompaniowaniu fragmentów kolęd w wykonaniu emerytowanego rektora Akademii Muzycznej w Katowicach prof. Adama Mitschi. Scena, chóinka i nas dwoje starych ludzi w wieczorowych, czarnych strojach. Entuzjazm, kwiaty i kilkakrotnie powtórzenia dla przyjaznych gości - relacjonowała Irena, przekazując mi maszynopis.

Moja cioteczna babcia przebywała w Domu Zastępowanego Nauczyciela w Mikuszowicach koło Bielska Białej od 1966 roku. To jedno z wielu widowisk słowno - muzycznych, jakie przygotowała i zaprezentowała współtowarzyszom.

(...) W sercu Zamojszczyzny znajduje się piękne Roztocze. Ziemia tam jest rzeźbiona wąwozami - uroczyskami, tam bory pełne drzew pomnikowych i pełne zwierzyny, tam łąki rozległe, bujne i słodkie, tam kręci się między starą olszyną bystra rzeka Wieprz z jej zdradziecznymi nurtami, tam lustro stawów śródleśnych, w których widać odbicie wiekowych jodeł. Gdy z Góry Kamiennej, czy z Góry Bukowej patrzymy na ten kraj, przychodzi nam na myśl, że i Roztocze powstało z uśmiechu Boga.

Liczne wsie dwurzędówki ciągną się wzdłuż brzegów rzeki, chaty bielone pod słomianymi strzechami otoczone małymi sadami, a pod oknami ich ogródki latem pełne pachnącego ziela, zimą śniegiem zawiane aż do okienek nisko przy ziemi umieszczonych. We wsiach są dwory i dworki zamieszkałe przez dzierżawców majątków



ziemskich, należących do Ordynata hrabiego Maurycego Zamoyskiego. (...)

Halina wyjechała z rodziną ze Zwierzynca w wieku siedmiu lat. Takie obrazy utkwily w jej pamięci:

- Tata, Józef Jaroszewicz, był typowym szlachcicem, wąsy zakręcone, elegancki, bardzo wysoki, równo się trzymający. Był w domu na pierwszym miejscu. - opowiadała mi w latach 80. XX wieku babcia w swoim mieszkaniu przy ulicy Kazimierza Wielkiego w Sopocie. - Mamusia była bardzo dobra i bardzo piękna. Mówiła: „Jak tata zechce, tak będzie”. Często siadała przy fortepianie i - akompaniując sobie - śpiewała.



Józef Jaroszewicz - drugi z prawej. W ogrodzie przy kartach. Zwierzyniec. Koniec XIX wieku. Zdjęcie nie jest podpisane imieniem i nazwiskiem autora. Najprawdopodobniej wykonał je (tak, jak kilka innych, charakteryzujących się podobną estetyką widzenia, znajdujących się w naszych rodzinnych zbiorach) Sylwin Tokarzewski, miejscowy artysta fotografik. Przepuszczenie zdaje się potwierdzać - zamieszczone w „Kurierze Lubelskim” 7 lutego 2024 roku - zdjęcie analogicznej sceny w zwierzynieckim ogrodzie autorstwa Sylwina Tokarzewskiego. <https://kurierlubelski.pl/subtelne-piekno-dawnego-zwierzynca-zdjecia-wykonal->

min-sylwin-tokarzewski/ar/c5-18289741 Dziennikarz pisze, że właściciel zdjęcia, twórca prywatnego Muzeum Starej Fotografii w Zamościu, Adam Gaśianowski, nie wie, kim była piękna kobieta uwieczniona na szklanej kliszy. Otóż jest na nim moja prababcia - Aleksandra z domu Nawroczyńska i (trzeci prawej) Józef Jaroszewiczowie oraz trzej nieznanymi mi mężczyźni przy kartach w ogrodzie w Zwierzynku. Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

- Ojciec pracował jako księgowy dóbr hrabiego Maurycego Zamoyskiego w Zwierzynku - kontynuowała Halina. - Piękny pałac, na zalesionym wzgórzu, biuro miał ojciec tam. Po podwórku pawie chodziły duże, z rozpostartymi, szafirowymi, ogonami, perliczki. Kościółek na wyspie, stary, wszystkie chrzciny nasze się tam odbyły. Goście przyjeżdżali do pałacu karetami, zaprzężonymi w cztery konie.

- Mieszkaliśmy obok pałacu. Dom ogromny, jednopiętrowy, hrabiowska posiadłość. Dwanaście pokoi na dole, i dwa - na górze. Salon stylowy, meble rzeźbione, złoczone, wystlane gobelinami. Przy oknie - fortepian, zasiadała przy nim mama i akompaniując sobie, śpiewała. Pośrodku olbrzymi stół. Nad stołem lampa naftowa, podciągała się ją w górę, i opuszczano w dół, na czterech łańcuchach. Piec, od którego ciepło buchało. Oddzielne wejście prowadziło do kuchni, i pokoi dla służby, mieliśmy dwie pokojówki, niańkę, chłopaka do koni i do karmienia zwierząt, kucharkę. Dom nasz otaczał ogród - prześliczny, rosnę przeważnie róże, i sad. Za nim przydomowe gospodarstwo - łąki i pola, z falującą na wietrze dorodną pszenicą, gryką. Świnie, pięć krów, cielęta, w stajni - konie pięknie utrzymane, do wyjazdu i do roboty, kucyki dla dzieci. Ptactwo - gęsi, kaczki, kury, jeden paw dla ozdoby. Kawatek lasu na przydział. W kuchni mieliśmy wszystko własne. Przez płot widzieliśmy hrabiowski browar. Latem paniąki jeździły na spacer powozem pod opieką lokaja.

- Ojciec bardzo dobry był dla nas. Dbał o swoją pracę, był dumny, że posiada takie stanowisko. Należał do straży ogniowej, był naczelnikiem, nosił mundur ozdobiony guzikami, mieli trąbki alarmujące, bryczki i wózki z wodą do wyjazdu, sikawki.



Drużyna Ochotniczej Straży Pożarnej w Zwierzynku. Józef Jaroszewicz w środku w ciemnym mundurze. Sztandar jest zwinięty, na prawym płacie wyhaftowana była postać św. Floriana, na lewym herb rodu Zamoyskich Jelita - trzy złote kopie na czerwonym tle z kozłem na szczycie. Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

- Było nas pięcioro. Najstarsi - Irena i Kazio - uczyli się w szkole w Lublinie. Raz zabrali mnie do nich, żeby pokazać miasto. Jak wysiadłam, była stacja dla młodzieży przyjezdnej, wszystkie uczennice były się o te moje warkocze. Każda musiała coś zrobić - włosy umyć, zapleść, zawiązać kokardę. Zosia i Wanda czekały na mnie w domu.



Pierwsza od lewej Wanda, trzecia Irena, piąta Halina, siódma Zofia Jaroszewiczówny. Zwierzyniec, przed 1910 rokiem.

Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

### WYCIECZKI, ZABAWY NA LODZIE, MUYKOWANIE W DOMACH, MALARSKIE PEJZAŻE

Z listu Ireny, z domu Jaroszewicz, Klimeszowej, do Jana Zamoyskiego, syna hrabiego Maurycego Zamoyskiego. 12 października 1980 rok:

(...) Pisze do Pana Irena z Jaroszewiczów Klimeszowa, urodzona w 1896 roku w Zwierzyncu. (...) Mam lat 84. Jestem emerytowaną nauczycielką. (...) Odpoczywam po osobistym ciężkim życiu, pracy pedagogicznej i trudach żołnierza AK, bowiem służyłam w dywersyjnych batalionach <<Osa>>, <<Kosa>>, <<Parasol>> pod pseudonimem <<Bogna>>, <<Wanda>>, za co otrzymałam liczne odznaczenia wojskowe wydane przez b. Rząd w Londynie. (...) Jako człowiek stary, chętnie wracam do przeszłości, do wspomnień z dzieciństwa i młodości bezchmurnej przeżytych w uroczym Zwierzyncu. Jako kilkuletnie dziecko oglądałam w domu rodziców żałobną fotografię pięknego mężczyzny podpisaną <<hr. Tomasz Zamoyski>>, a na jej odwrocie była modlitwa za spokój Jego duszy. (...) Modlitwę powtarzaliśmy za babcią.

Darzyliśmy podziwem i szacunkiem ród Zamoyskich - wielkich mecenasów i wielkich patriotów polskich. (...) Mając lat 10 zostałam oddana do prywatnej szkoły średniej w Lublinie, gdzie Ordynat hr. Maurycy Zamoyski stworzył idealne warunki dla uczących się dzieci swych pracowników, otwierając z własnej fundacji internat przy ulicy Szpitalnej, później Powiatowej, nadając uczącym się w prywatnych polskich szkołach pełne stypendia. (...) Najlepsze wspomnienia mam z tych lat pobytu w ordynackim internacie. Ciepło niemal rodzinne tłumiło tęsknotę dzieci do rodziców, do domu w Zwierzyncu. Tak jak w Akademii Zamoyskiej znaczny procent uczniów pochodził z warstw plebejskich, tak i w naszym internacie były dzieci nadleśniczych i gajowych, wysokich urzędników i woźnych biurowych Klucza zwierzynieckiego. Miało to kolosalny wpływ na nasze pozytywne stosunki w tej młodocianej społeczności, a co zdecydowało w przyszłości o rozwoju naszej społecznej moralności.

Niezapomniane są okresowe przyjazdy plenipotenty Karola Czarnowskiego, delegowanego do nas przez Ojca Pana, z bogatymi paczkami najrozmaitszych wykwintnych łakoci. Odwiedziny te były dla nas, dzieciaków, mocnymi przeżyciami. Ileż radości i wdzięczności wywoływały u nas te wizyty posta, naszego Dobroczyńcy. (...) Wszyscy wychowankowie internatu ordynackiego,

bo tak nazywaliśmy nasz internat, pokończyli studia, zajęli poważne stanowiska, walczyli i ginęli za Ojczyznę, co może być satysfakcją dla Pana, spadkobiercy Wielkiego Kanclerza i Wychowawcy Jana Zamoyskiego i oddanego sprawie Polski i młodości Ordynata Hrabiego Maurycego Zamoyskiego. (...)



Irena z małą Wandzią Jaroszewiczówny. Okolice Lublina, 1912 rok.

Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

### W CHATACH ŚCIANY WYBIELONE. OBRAZY SERCA PANA JEZUSA. PSZCZÓŁKI, PRZCZOŁECZKI...

Z Opowieści Wigilijnej 1977/1978. Irena, z domu Jaroszewicz, Klimeszowa. Moim Siostrom Halinie i Zofii:

(...) Do Bożego Narodzenia jeszcze parę tygodni zostało, ale św. Katarzyna, św. Andrzej i św. Barbara różnie przypominają, że to już niedługo do najpiękniejszych świąt roku. (...) Św. Katarzyna adwent rozpoczyna, rozpoczyna cztery tygodnie poprzedzające Boże Narodzenie, tygodnie pełne melancholii porannych roratów (...) W dzień św. Andrzeja ojcowie szli do sadu i ucinali gałązki wiśniowe, bo tego dnia trzeba je było włożyć do wody, umieścić w ciepłej izzbie, czekać i dmuchać na nie, aby rozkwiły białym kwieciami i zdobyły stół wigilijny. (...) Św. Barbara przepowiadała, że Boże Narodzenie

będzie na lodzie albo na wodzie. (...)

Dzięki tej trójce świętych w porę zawrzeli krzątanię przedświąteczną w czworakach i chatkach, we dworach i dworach dzierżawców, a było koło czego się krzątać, bo nie było biedy na Turzyńcu. Ziemia lessowa sypała ziarnem obficie, a i czarnoziem trafił się zdatny pod buraki cukrowe, które kupowała od rolników cukrownia „Klimesów”.

Nawet w turzynieckich czworakach ludzie nie krzywdowali sobie. Jak wieś długa we wszystkich chatkach ściany świeżo wybielone, dokoła nich obrazy z odpustów nazonoszone, na święta przystrojone gałązkami jedliny i kolorowymi różami z bibułki w adwencie robionymi. Wśród tej odpustowej poświęconej galerii w jej środku tradycyjnie wisiły obrazy Serca Pana Jezusa i Serca Matki Boskiej. Przed nimi migotała lampka czerwona napełniona olejem z pływającym w nim knotkiem umieszczonym na korkowym sptawiku. Od powąty zwisały kwiaty ze stomy i bibułki, istne arcydzieła sztuki ludowej, a pośrodku na haku wbitym w powałę, gdzie co roku zawieszano się kołyskę z nowonarodzonym dzieckiem, teraz wisiata choinka. Wisiata wysoko, aby nie zawadzała i żeby dzieciska nie oberwały cukierków przed Szczepanem.

Kolęda – fortepian

>> Śliczna panienska...<<

Przyszedł dzień wigilijny, mrok już zapadał, gorączkowa krzątanią po chatkach ustawała. Już biegali to do tego okna, to do drugiego, a że szyby były zamazane, odsuwali zaszczepkę od drzwi w sieni i wyglądali...wyglądali tego znaku niebieskiego, żeby móc zasiąść do stołu wigilijnego.

Gospodarz jeszcze nie wrócił z sadu. Do pasieki poszedł. Tam, od pnia do pnia pukał palcem serdecznym, wołał >>Pszczółki, pszczołeczki. Zbieracie miód do faszczki: jedną dla Maleńkiego, drugą dla Matki Jego, a trzecią dla Łopiekuna.<< Dobrze się stało, że gospodarz nie zapomniał o pszczołach, bo bez tego zawołania miodu by nie miał.

A kiedy pierwszą gwiazdkę ujrzeli, kiedy wszyscy byli już w izbie, lampki naftowe na futrynach powiesili, rozświecili. Wtedy czysto odziani pokłękali, pomodlili się, opłatkiem potamali i do paśnika zasiadali na ławach przy długim stole nakrytym wybieloną płachtą z własnego lnu utkaną. Pod nią sianko pachnące z tąk kwiecistych zebrane. Na stole barszcz biały, to jest żur z owsa, co by z niego siłę mieli, śledzie, kapusta z grochem olejem kraszona, racuchy bielutkie w powidlany sosie maczane no i kluski z makiem miodem słodzone. Ależ to były kluski!! Takie bejwali ino aby we wsiach pod Zamościem. (...) I tak w ten święty wieczór zbożnie, zgodnie pojadali, kolędy śpiewali, na organkach przygrywali i na pasterkę czekali. (...)

### STAŁ DWOREK BIELUTKI. CIEPŁO BYŁO PACHNĄCE. BRAMY MATEUSZU NIE ZAMYKAJCIĘ

Z Opowieści Wigilijnej 1977/1978. Irena, z domu Jaroszewicz, Klimeszowa. Moim Siostrom Halinie i Zofii:

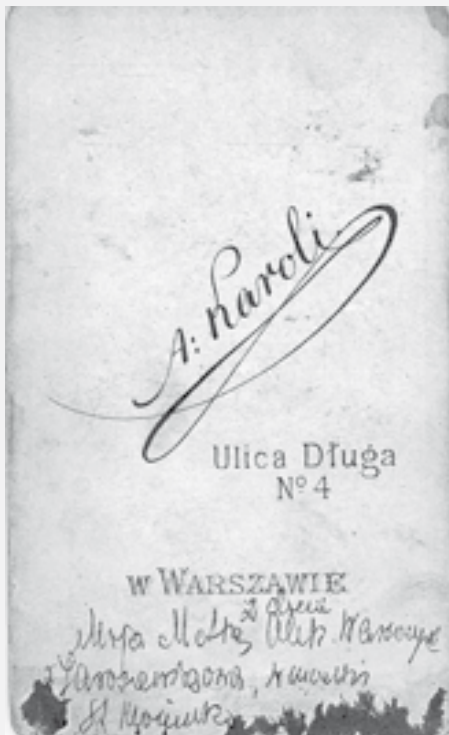
(...) Nieco za wsią, na wzgórz, pośród starych lip, otoczony żywym płotem ze świerków, stał dworek bielutki. W nim z pieców kaflowych ciepło buchało. Naręcza polan dębowych, bukowych i szcapy smolne na rozpatkę brano, leżały pod piecem. Dokładali dREW co chwilę, a one spalając się wytwarzały przemiły aromat – to ciepło było pachnące.

Na oknach wykrochmalone batystowe firanki szafrańcem ukromowane.

Miedzy podwójnymi oknami, żeby nie wiało, leżała gruba warstwa suchego piasku, na nim mech zielony, zdobiony kolorową wótczką drobniutko pociętą. A szyby? Te szyby chyba malował boski malarz przystany na ziemię i to



Aleksandra Nawroczyńska, moja prababca. Warszawa, 1875 rok.  
Fot. Aleksander Karoli  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



do Turzycza, bo ponoć takich kwiatów na szybach nigdzie nie było, tylko w Turzyczu.

Chociaż św. Barbara była po wodzie, mróz był siarczysty, aż gonty na dachu od mrozu trzaskały. Za oknami śnieg skrzył się i skrzypiał pod nogami.

Koleśda – fortepian:

>>Do szopy hej pasterze<<

(...) Ktoś zbliżał się do ganku. Psy nie szczekały, wiadomo, szedł swój. Był to stary gumieny Mateusz – kochany przez całą rodzinę i czeladź. Przyszedł wysłuchać poleceń gospodarza. Chociaż były co roku powtarzane w dzień wigilijny i zawsze te same, słuchało się ich z zapartym tchem, żeby nie uronić ani jednego słowa. Miały w sobie czas swoisty i posmak niesamowitości. A więc: Pierwsze – zwierzyńie leśnej zadać, tak jak co roku, na

podwórzu rozrzuć siano i za ogrodzenie, bo sarna przez dziurę w parkanie nie przejdzie. Drugie – koniom do obroku drugie tyle co zawsze owsa wspanać, krowom sieczkę sparzyć makuchami i do żłobów zarzucić koniczynę. Niech Janowa nie żałuje koniom pośladu. (...) Bramy, Mateuszu, nie zamykajcie, latarnię na niej powieście, i okiennic nie zamykajcie. Czeka się gościa spóźnionego, może zbłąkanego, może bezdomnego. Mateusz potakuje i ły obciera. (...)

Koleśda – fortepian:

>>Kaczka pstra<<

(...) Podczas rozmowy gospodarza z Mateuszem przygotowano pokój i stół wigilijny. W czterech rogach pokoju stały piękne dorodne snopy: żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa – wstępami krakowskimi ustrojone. Stół białym obrusem nakryty, pod nim siano. Na środku żłobek z Dzieciątkiem, obok wiśnia kwitnąca, świeczniki, a nad stołem ogromna lampa naftowa (...) Wszyscy odświętnie ubrani stoją przy swoich miejscach. Tylko za jednym krzesłem nikt nie stoi. (...) Najstarszy członek rodziny, siwowłosa dziadek w czamarze, z należytym patosem odmawia Modlitwę Pańską. Opiątek - życzenia, błogosławieństwa, ogólne wzruszenie. (...) Wciąż na stojąco dziadek częstował wszystkich struclą postną, z czarnuszką. Mówił przy tym: >>Spożywajcie we zdrowiu chleb powszedni, dziękując za to Bogu, i prosicie o urodzaj naszych pól.<< (...) Wieczera (...) dzieci mają zupę z głogu, z owoców polnych zbieranych latem na miedzach. Na wigilijnym stole nie ma kieliszków. Po całodziennym ścisłym poście wszyscy pożywają się z powagą i umiarem. Rozmowa domowników przyciszona, co stwarza specyficzny nastrój. Słychać było tylko trzask palących się polan w piecu i miarowe tykanie starego szafkowego zegara, który odmierzył już czas kilku pokoleniom. (...)

**DZWONKI, UKAZYWAŁY SIĘ KONIE. DZIECI NIE MOGŁY WIEDZIEĆ, ŻE CHOINKA JEST W DOMU**

- Na Boże Narodzenie śnieg był piękny zawsze – wspominała babcia Halina. - Kilka dni wcześniej wysłano do szkoły cztery – pięć wozów po młodzież z okolicznych domostw. Nieruchomiątam, przycisnięta do drugiej drzwi balkonu, i wyczekiwałam. Wreszcie, z daleka, słychać było dzwonki, a chwilę później ukazywały się konie. Ktoś krzyknął „Jadą!” Rodzeństwo, szczerze opatulone derką, przywoził zaufany gospodarz.

Z listu Ireny, z domu Jaroszewicz, siostry Haliny, do Jana Zamoyskiego, syna hrabiego Maurycego Zamoyskiego, 12 października 1980 rok:

(...) Podróże na święta i wakacje ze szkoły w Lublinie odbywały się na kilku drabiniastych wozach świetnie przygotowanych do podróży, które trwały dwanaście godzin. Złe drogi pełne zdradzieckich jam, wypełnionych czarnym błotem zmuszały woźniców do objazdów przez podwórza mijanych dworów dzierżawców ordynackich. Zamknięte bramy wjazdowe natychmiast otwierano, kiedy usyszano głos stawnego



Wanda Jaroszewiczówna. Lata 20. XX wieku.  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

pierwszego woźnicy Bondry: <<Otwierać! Dyc dzieci ordynata wiezę>>. Coż to były za podróże, jakąż były frajdą dla nas! (...)

- Wigilia była bardzo uroczysta – opowiadała Halina. - Kilka dni wcześniej ojciec wybierał się ze znajomymi na polowanie, miał broń, przywozili zające, dziki. Kucharka dwoiła się i troiła, przygotowując świąteczne potrawy. Dzieci nie mogły wiedzieć, że choinka jest w domu, zamknięta była na klucz w drugim salonie. Nie wytrzymywaliśmy, i - gdy dorośli nie widzieli - cichutko, grzecznie, kładliśmy się plackiem pod drzwiami, żeby przez szparę przy podłodze choć kawałtka drzewka zobaczyć.

- W wieczery uczestniczyła cała rodzina, i goście, musiał być ksiądz proboszcz, sąsiedzi, najlepsi przyjaciele – inżynier geodeta, i doktor, z rodzinami. Stawaliśmy wokół stołu, jedno nakrycie było wolne. Ojciec, w skupieniu, odmawiał modlitwę, dzielił się opłatkiem. Potem na chwilę wychodził i dzielił się opłatkiem z końmi, kórwkami i innymi zwierzętami.



Po polowaniu w zwierzyńieckich lasach. Józef Jaroszewicz w środku w kapeluszu. Przed 1910 rokiem.  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

- Siadaliśmy. Barszcz z uszkami, śledzie i najwspanialsze, olbrzymie ryby z okolicznych stawów, kapusta z grzybami, kutia z pszenicy z makiem, tradycyjna, miody pszczele, tamańce, kompoty, bakalie. Lokaj podawał do stołu. Po wieczerzy prze-



chodziliśmy do salonu z choinką. Wysoka, pod sam sufit, pachnąca, na krzyżaku ze szkła. Na czubku papierowy anioł, ubrana w cacka barwne w wydmszek, łańcuchy, koszycki, orzechy złoczone, rajskie jabłuszka czerwone, a wszystko to przygotowała, w adwencie, mama.

- Pod choinką – przestrzeń, prezenty - lalki z wózkami, konie na biegunach. Wokół choinki poustawiane podarunki od hrabie-

go – worki orzechów włoskich i laskowych, antatek ciemnego i jasnego piwa z miejscowego browaru, worek cukru w głowach i - w kolorowych opakowaniach - rafinada.

- Na nowy rok przychodzili pracownicy fizyczni i strzelali z batów, za to dostawali antańki piwa, duże szklanki, poczęstunek.

- Było nam dobrze, dopóki mamusia żyła – mawiała z nostalgią Halina.

### JUŻ JEST KTOŚ NA GANKU - WETERAN Z 1863 ROKU

Z Opowieści Wigilijnej 1977/1978. Irena, z domu Jaroszewicz, Klimeszowa. Moim Siostrom Halinie i Zofii:

(...) Gdzieś z daleka dochodzi poszczekiwanie psów wiejskich. Serdeczne ciepło, ujmująca prostota, poszanowanie tradycji narodowych, miłość rodzinna i wzajemny szacunek, stwarzają podniosły nastrój. Urok polskiej Wigilii trwa. Czarem napetnia dom rodzinny.

Kolęda – fortepian:  
>> Jezus Malusieńki<<

Ale oto Ruda szczeka, Czarny za nią, wszystkie psy szczekają, ujadają zajadle. Ktoś idzie. Ktoś obcy. Wszyscy spoglądają na tajemnicze nakrycie i miejsce co roku wolne przy stole.

Czyżby? Już ktoś jest na ganku, tupie i otrzepuje śnieg z butów. Do przedpokaju wchodzi były leśniczy, weteran z 1863 roku. Syberyjski mróz amputował mu palce u nóg. Pan Kaczorowski tłumaczy się, że zakłóca spokój, że przerywa Wigilię, ale chciał zrobić niespodziankę synowi i wyruszył w drogę, korzystając z okazji, bo akurat Żyd pachciarz jechał do Frampola, więc go podwiózł kawatek. Ale niespodziankę zrobił mu syn. Wyjechał z rodziną do Biłgoraja. Nie dojdzie na kalekich nogach z powrotem do domu.

Tłumaczenie pana Kaczorowskiego przerywają serdeczne słowa: >>Prosimy, miejsce na pana czeka. Gość w dom Bóg w dom, toż to błogostawieństwo przyniósł pan dla rodziny. Jest pan naszym gościem przez długie lata oczekiwaniem. <<

Więc przyszedł wiarus stary do was po kolędzie, witać nowe latko i śpiewać wam będzie. Zaśpiewamy tę kolędę przy choince, zaśpiewamy dzieci.

Kolęda – fortepian:  
>>Idzie wiarus stary<<\*

Idzie stary wiarus do ludzi w kolędzie,  
Witać nowe latko

i śpiewać wam będzie.

Słuchajcie, ludkowie!

Na kolędę, kolędę.

Małe dziecię Jezus w sta-

ajence się rodzi,

Wszystkich wyswobodzi,

Polskę wyswobodzi.

Jezus przybądź maty!

Woła naród cały

Na kolędę, kolędę.

Oj przyjdzie do nas niebieska dziecina

Zyska wolność Polska,

Litwa, Ukraina;

Tylko z Nim trzymajmy,

Jemu chwałę dajmy

Na kolędę, kolędę.

Ślicznie słońce bije na niebie wysokim,

Skrzy się śnieżek biały na polu szerokim.

Bądź jak śnieżek biały,

Słońce naród cały

Na kolędę, kolędę.

Ojcze, idź do pracy, dom

u pilnuj, matko,

Dzieci hyc do szkoły, pr-

zyjdzie nowe latko

Wolności, swobody,

Jedności i zgody.

Na kolędę, kolędę.

Żyje ojciec wielki, żyje ojciec w niebie,

Wie, że naród Polski w ostatniej potrzebie.

Zesze-

nam ratunek

Na ciężki frasunek

Na kolędę, kolędę.

Wtedy to dopiero przyjdzie wiarus stary

Powinszować wszystkim wolności i wiary!

Wykrzyknijmy razem

Gardłem i żelazem

Hej kolęda, kolęda.

1863 rok

[\*Irena przywołała słowa żołnierskiej kolędy patriotycznej, której autorami byli powstańcy styczniowi: poeta Mieczysław Romanowski i kompozytor Zygmunt Noskowski. Rozstrzelanie K.K.]

### WYCIECZKI, ZABAWY NA LODZIE, PRZEDSTAWIENIA TEATRALNE, MUZYKOWANIE, BIBLIOTEKA, MALARZE NA PLENERACH

Z listu Ireny, siostry Haliny, do Jana Zamoyskiego, syna hrabiego Maurycego Zamoyskiego. 12 października 1980 rok:

(...) Pozostały mi bogate wspomnienia dotyczące życia kulturalnego w Zwierzyńcu. →



Obrazek święty ofiarowany żonie Aleksandrze przez Józefa w czerwcu 1905 roku. W 1945 roku Halina dopisała na odwrocie: „Pamiętka mojej Mamy od mojego Taty”. Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



Majówka. Halina na pierwszym planie z lewej z białymi kokardami. Okolice Zwierzyńca. 1910 rok.

Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

Z perspektywy lat oceniam je bardzo wysoko, bo mieszkańcy Zwierzynca, oddaleni od miasta, byłiby pozbawieni rozrywek kulturalnych, gdyby nie ich inicjatywa i dotacje Ordynata. One sprawiły, że Zwierzyniec tętnił życiem kulturalnych rozrywek i artystycznych przeżyć. Koncerty kwartetu smyczkowego (ojciec mój był wiolonczelistą) dały początek orkiestrze symfonicznej urzędników Klucza. Drugą orkiestrę instrumentów dętych stworzyli robotnicy Fabryki Giętych Mebli w Zwierzynku, otrzymując od Ordynata instrumenty i muszlę koncertową dla licznie zebranych słuchaczy. Chór mieszany i chór dziecięcy występowały na estradzie Resursy.

Przedstawienia teatralne, reżyserowane przez Sylwina Tokarzewskiego\* i Stanisława Moskalewskiego\*\* były tak świetnie wykonane, że przez długie lata wspominaliśmy >>Łobzowian\*\*\*<< i niezrównany humor >>Majstra i czeladnika\*\*\*\*. << Zbiorowe wycieczki, zabawy na lodzie zmrożonych stawów, muzykowanie w domach posiadających fortepiany, wszystko to wzbogacało wyobraźnię młodzieży, a starszym przedłużyło radość z życia.

Czytelnictwo rozwijało się dzięki tak zwanej bibliotece ruchomej. Członkowie wpłacali miesięczne kwoty na zakup najwartościowszych lektur, a kiedy książki skończyły swój obieg, docierały już jako własność do prywatnych, członkowskich bibliotek..." (...)

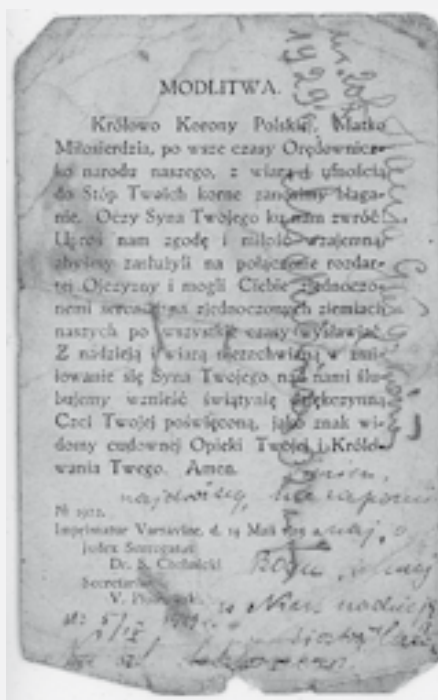
(...) Pamiętam wakacje, kiedy w lasach, na polach, na wsiach spotkać można było artystów malarzy ze sztalugami i paletami. Byli to studenci Akademii Sztuk Pięknych zaproszeni przez Ordynata na wypoczynkowe lato. Artyści, chcąc się jakoś zrewanżować ozdobili swoimi licznymi obrazami i freskami przydrożne kapliczki. Pamiętam jedną z nich na Rudce z obrazem św. Floriana. Czy ocalały te ofiary? (...)

[\*Sylwin Tokarzewski, znany zwierzyniecki artysta fotografik, jak się okazuje, zajmował się i reżyserią.]

[\*\*Z relacji dowiadujemy się, że zwierzynieckie spektakle reżyserował także Stanisław Moskalewski. W przekazanych mi zapiskach Irena odnotowała, że to nasz



Obrazek święty ofiarowany przez Halinę bratu Kazimierzowi. Dedykacja: „Kaziu najdroższy, nie zapominać o Bogu i miej w Nim nadzieję. 5 IV 1919 Halina”. Dwadzieścia lat później babcia odnotowała z prawej strony poziomo datę urodzin mojej mamy: „Hania Gałążkówna, ur. 20 X 1929 r.” Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



powinowały ze strony ich stryjecznego dziadka, Stanisława Jaroszewicza, ożenionego z Marią z Wyczółkowskich (z rodziny artysty malarza, Leona Wyczółkowskiego); ich syn, także Stanisław, po śmierci żony, Heleny, ożenił się powtórnie z Jadwigą Ciągwińską, a ich córka, Wanda, wyszła za mąż za owego Stanisława Moskalewskiego. Babcia Halina o nim i o innych powinowatych wspominała, wymieniali korespondencję. Niestety, nic z tego nie zapamiętałam, listy przepadły, powinowaci są rozproszeni po Polsce i świecie.]

[\*\*\*>>Łobzowianie<< - obrazek dramatyczny w jednym akcie ze śpiewkami Władysława Ludwika Anczyca, z muzyką Piotra Studzińskiego.]

[\*\*\*\*>>Majster i czeladnik<< - komedia Józefa Korzeniowskiego.]

### NIE PRZESZEDŁ TO PRZEZ NASZE WSIE KSIĄDZ ŚCIEGIENNY?

Z Opowieści Wigilijnej 1977/1978. Irena, z domu Jaroszewicz, Klimeszowa. Moim Siostrom Halinie i Zofii:

(...) Wszystkie zegary w chatkach i dworach przypominają, że czas zbierać się na pasterkę, bo wiele wsi ma daleką drogę do kościoła w Zwierzynku. Jednocześnie ruszają saniem ze wszystkich wsi. Sprzed chat i dworów z Soch, z Rudek, Wywłoczki, Kosobud, Bukownicy, Florianki i Panasówki. I jednocześnie baty przecięty powietrze i konie ruszyły z kopyta.

Różne sanie jadą do kościoła, ale wszystkie z pochodniami, bo to niby z lęku przed napadem głodnych wilków, ale naprawdę to chodziło o paradę. Jedne sanie były lakierowane, drugie tylko malowane, a inne z gołego drewna zrobione. W jednych nogach leżały baranice, a inne przykrywały stawuczki derki, a inne miały dużo stomy, w którą nogi kryto przed mrozem, a na siedzeniach leżały kolorowe pasyki wełniane.

Cugowe konie zdobiła paradna uprzęż tak wyczyszczona, że aż lśniła. Na sztych miały piękne janczary, a chłopskie koniki dzwoneczki przy dyszlach uwiązane. Uprząż ich zdobiły chwasty z czerwonej i zielonej włóczki.

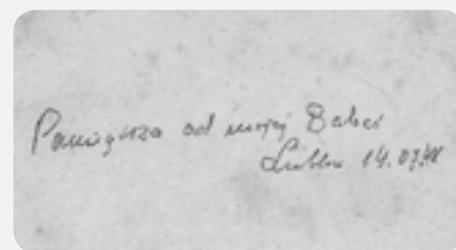
Galanto konie wyglądały! Wypoczęte, po wigilijnej porcji owsa rwały jak smoki. Coraz sanie szły w zatokę i znowu w gościniec trafiały. Ani wišta, ani hefa, ani bał nie były potrzebne – śwarno szły. Jechali, pędzili, mijali

wsie, mijali lasy, a pochodnie ze wszystkich bocznych dróg z daleka widać było. Był to obraz godny palety Kossaka i Brandta, Wodzinowskiego i Uziębły.

Wtem: Cosik konie parszają, a prawy strzyga uchami. Co? Wilki? Zaś tam wilki, ino tamuj mogiła powstańców z 1863 roku. Kurhon jej mówią. Polegli pod Panasówką, a tutaj ich pochowali, a takie jedno w tę święto noc na siwym koniu objędza mogiłę i cosik woła, nawołuje chłopów. Chłopy wiedzą o co mu się rozchodzi, wiedzą. Nie przeszedł to przez wsie nasze ksiądz Ściegienny? Nie zostawił to po sobie posiewu? Ale jeszcze nie para. Tu lekko biczykiem dotknął zadów końskich, lejce mocno ujął w garść, krócej przyciągnął, aby konie nie poniosły, bo się duchów okrutnie boją.

Kolęda – fortepian:  
>>>Przybieżeli...<<<

Przyjechali do Zwierzynca, uroczej osady powstałej w XVII wieku. W niej mieści się Klucz Ordynacji Zamoyskiej i kościółek późnobarokowy zbudowany w 1741 roku na wyspie dużego stawu porośniętej drzewami. Most drewniany prowadzi do kościoła nad zmrażniętym stawem i śniegiem pokrytym stawem. Wnętrze kościoła wypełnili parafianie ze wsi bliżej leżących, a ludzie z Turzyńca i innych oddalonych wsi zostali na moście. Stawali tam zwartą kolorową cizbą, nad nią kopuła gwiaździstego nieba – plafon, jakiego nie wymaluje artysta. Przez otwarte drzwi świątynki pada na most światło świec od ołtarza. Czekają na rozpoczęcie Mszy Świętej. Zimno, mroźno. Zdrowe piękne typy chłopskie wspaniałe modele dla Skoczylasa i Stryjeńskiej. (...)



Obrazek święty ofiarowany przez babcję Sewerynę, z domu Druziewicz, Jaroszewiczową Halinie Jaroszewiczównie. Halina w latach 80. XX wieku na odwrocie odnotowała: „Pamiętka od mojej Babcji Lublin 14 lipca 1908 rok.”

Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



## WSZYSCY LUDZIE NIEŚLI W SERCACH SPOKÓJ, NIEŚLI ŚWIĘTO W DUSZY

Z Opowieści Wigilijnej 1977/1978 Ireny, z domu Jaroszewicz, Klimeszowej. Moim Siostram Halinie i Zofii:

(...)Kościelny i poeta zwierzyński przeciska się z trudem przez próg kościoła, staje na nim i ogłasza: >>Ksiądz Dobrodziej powiadali do was, coście czapki pozdejmoowali, zasię włożyła je na głowy, taki mróz dla głów niezdrowy. Tak powiadali. <<

Popatrzeli, pomruczeli, nie wiedzieli... A gdzie Juszczak, co księdz pod baldachimem wodze? Nie widno siwej głowy Juszczaka, musi, że czapkę nasadzili. Posłuchali Dobrodzieja. W niebo popatrzeli, westchnęli, przeprosili, czapy barankowe naciągnęli na uszy, kołnierze baranie kożuchów podnieśli i słuchali jak to organista i chłopaki pięknie odgrywiają. Toć słyhać było jak pastuchy bydło poganiiali, jak z biczców trzaskali, na fujarkach grali, odzywały się piszczałki i porykiwanie bydła. Tak to organista na organach galantnie pokazywał, a chłopaki miechem dełi aż im para z gęby szła. Ale to było granie, o! Granie niezmiernie piękne było.

I śpiewali i kolędowali, radowali się z przyścia na świat Boga pod postacią Niemowlęcia.

P a u z a

Kolęda – fortepian:

>> Dzisiaj w Betlejem...<<

Donośny głos księdza oznajmia >>Ite, missa est.<<

>>Bogu niech będą dzięki<< – lud odpowiada potężnym głosem, płynącym z chłopskich serc, jakby bór zaszmiał, kiedy wiatr się do niego wedrze.

Święta ofiara spełniona.

Kolęda – fortepian:

>>Tryumfy Króla niebieskiego<<, dzwony.

W modrzewiowej starej dzwonnicy rozkołysały się dzwony, zegnaly wiernych. Głos ich szedł zaśnieżonymi polami, zawiyanymi gościńcami, szedł drogami leśnymi, prowadząc ludzi do ich gniazd rodzinnych, do izb czworacznnych, do chat, do dworów, do dworków. W s z y s c y ludzie nieśli w sercach spokój, nieśli święto w duszy.

Kolęda – fortepian

>>Gdy się Chrystus rodzi...<<

Zakończenie narratora:

Opowieść wigilijna dobiegła końca. Pragnęliśmy, aby dotarła do Waszych serc, aby wzbudziła wspomnienia oddalające się od nas, aby podniosła Was na duchu tak, jak podniosła nas, którzy tworzyliśmy ją, bo przecież jest ona >>arką między dawnymi a nowymi laty<< - jest polszczyzną – Ojcowizną naszą.

Kolęda wspólna:

>>Bóg się rodzi...<<

## ROZDZIAŁ DRUGI

Aniołek namalowanie - najstarsza pani ze strony mamy. Elżbieta, z domu żona Czesława matka kom-Talent plao dziedzipo przod-Jej pra p r a k a m i b y l i : M a - Węgier, w 1752 który tkac-nauczył się tureckiej,



wany na porce-miątka po rodzi-Autorką jest Madzarska, Moniuszki, pozytora. styczny czyta kach. p r a dziad-

Numy-giar, (zmarł roku), t w a w niewoli o s i a d ł

w Konstantynopolu i Łucja, Ormianka. Jak podaje portal Wiki. Ormianie ich syn, Owannes Madzarjanc - Jan Madzarski (urodzony w I. połowie XVIII wieku, zmarł w 1801 roku w Słucku) około 1750 roku, jak wielu Ormian, przesiedlił się do Rzeczypospolitej. Pracował w manufakturze tkackiej w Stanisławowie u Koniecpolskich, z czasem, na mocy kontraktu z Kazimierzem Michałem Radziwiłłem, objął kierownictwo manufaktury w Nieświeżu. W kontrakcie tym występował jako Jowhan Madzareantz - majster ze Stambułu, przyjął obowiązek produkcji wszelkich rodzajów materii, w szczególności makat i pasów kontuszowych. Zobowiązywał się również wykształcić ucznia. Po pewnym czasie przeniósł się do innej manufaktury radziwiłłowskiej w Słucku, specjalizującej się głównie w wyrobieniu pasów kontuszowych, słynnych p a s ó w s ł u c k i c h. Kilkakrotnie podróżował do Konstantynopola, przywożąc specjalne narzędzia tkackie, zwłaszcza magiel do tkanin, który stanowił tajemnicę zawodową tego rękodziela w Turcji. W 1779 od księcia Radziwiłła „Panie Kochanku” wydzierżawił fabrykę słucką. W tych latach, dzięki kunsztowi zawodowemu a i jego kierownictwu artystycznemu (projektował wzory, głównie z motywami wschodnimi), nastąpił rozkwit tego rękodziela. Manufaktura stała się głównym ośrodkiem w Polsce. Wyroby znakowane były znakami „SŁUCK”, również literami „F S”, były też sygnatury - JAN MADZARSKI. Jego syn, Leon Madzarski, wykształcony tkacz, w 1777 roku przejął po ojcu kierownictwo manufaktury w Słucku, następnie ją dzierżawił. W 1790 roku nobilitowany herbem Dar, w 1790 roku otrzymał tytuł szambelana królewskiego, a w rozliczeniu za pracę u Radziwiłłów otrzymał folwark w Mańkowie.

Syn Leona, Jan Madzarski, był ojcem Elżbiety Madzarskiej, która wyszła za mąż za Czesława Moniuszkę, uczestnika kampanii napoleońskiej, rysownika i pamiętnikarza. Z tego małżeństwa w Ubielu urodził się jedyny syn Stanisław Moniuszko, kompozytor.

Ze zbiorów rodzinnych Katarzyny i Tomasza Korczaków

## I: PORTRETY, DEDYKACJA, LIST, RYSUNKI

W rodzinnych archiwach mamy zdjęcia Stanisława Moniuszki i jego żony Aleksandry z Müllerów.

## RODZICE KOMPOZYTORA



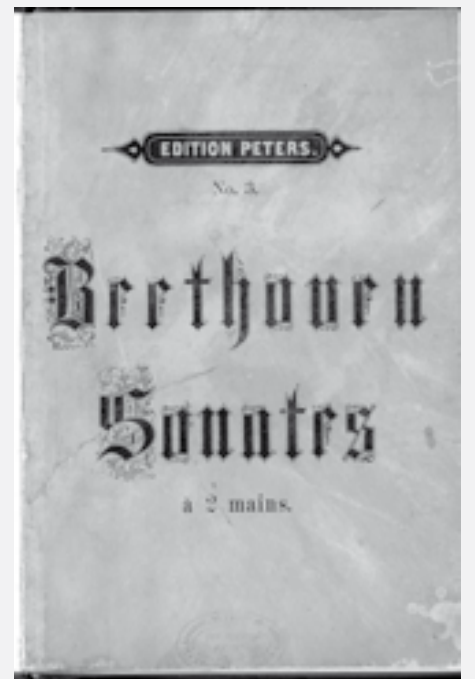
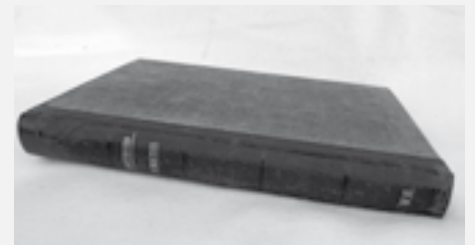
Stanisław Moniuszko. Warszawa. Około 1865 rok  
Fot. Jan Mieczkowski  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



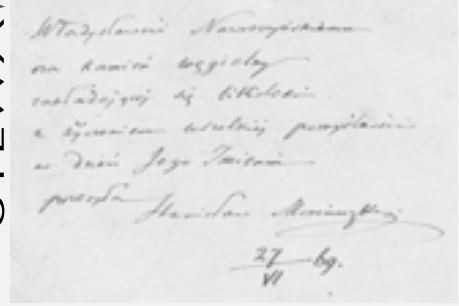
Aleksandra z Müllerów Moniuszko  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

## NA KAMIEŃ WĘGIELNY ZAKŁADAJĄCEJ SIĘ BIBLIOTEKI...

Przechowujemy zbiór sonat Ludwiga van Beethovena, z dedykacją kompozytora, ofiarowaną z okazji imienin Władysławowi Nawroczyńskiemu, mężowi jego córki, Elżbiety Moniuszko, naszej pra pra babci.



SYLWA

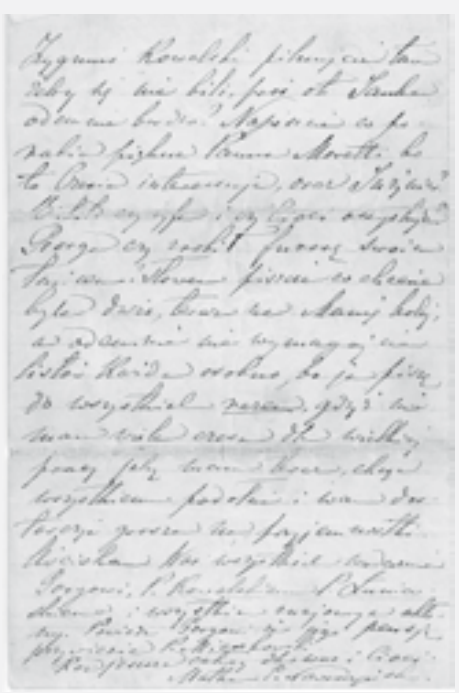
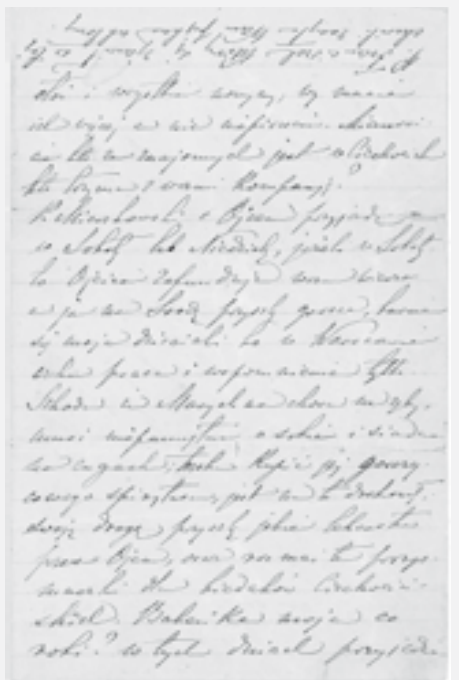
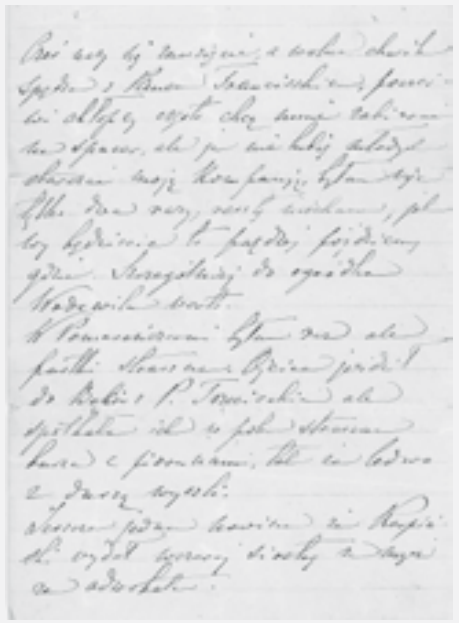


Wydanie książkowe *Sonat* Ludwiga van Beethovena. W środku dedykacja: „Władysławowi Nawroczyńskiemu na kamień węgielny zakładającej się biblioteki z życzeniami wszelkiej pomyślności w dniu Jego Imienin przesyła Stanisław Moniuszko. 27 czerwca 1869”. Nastąpiło to dwa lata po ślubie Elżbiety z Moniuszków i Władysława Nawroczyńskich, który odbył się w 1867 roku w Warszawie. W nowym warszawskim mieszkaniu ważne miejsce zajmowała biblioteka, a w niej nuty, z których korzystała Elżbieta, a następnie dorastające dzieci. Koncerty domowe, z muzyką instrumentalną i wokalną, odbywały się w - wyposażonym w fortepian - salonie. Tradycje rodzinnego muzykowania przekazywane były z pokolenia na pokolenie. Na okładce książki wytłoczona pieczęć warszawskiego księgarza i wydawcy, Ferdynanda Wilhelma Hoesicka. Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



Moja Kochana Olesiu!  
 Nie dziw się, że Ci nie odpisała trudno jest żebym ja co pracuję dzień cały, odpisywała każdemu z osobna, żeby wypadło napisać sześć listów od razu, to cokolwiek zatrudno, zwłaszcza, że wy nic nie robiąc, nie możecie zdobyć się na list chociaż jeden na tydzień. Co tu pisać cały dzień siedzę w Zakładach\* gdzie upał nad siły, kłopotów i krzyku co nie miara, w domu cicho znowu aż nadto, ale nudno do niewytrzymania, krzątamy się oboje z Ojcem żebyście porządek zastały w domu.

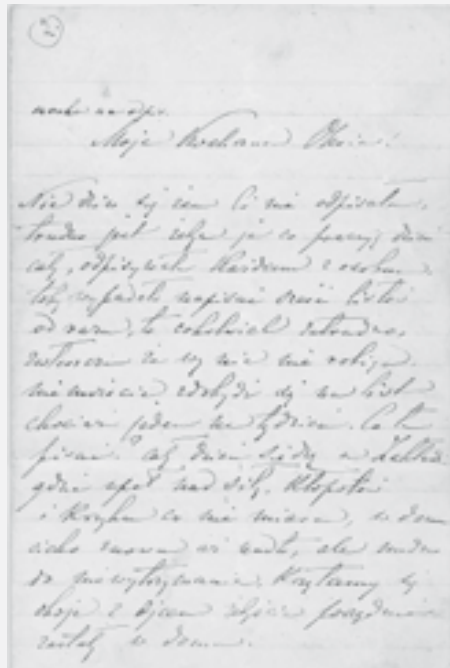
Cześć\*\* uczy się zawzięcie, a wolne chwile spędza z Panem Franciszkiem, pocziwi chłopcy często chcą mnie zabierać na spacer ale ja nie lubię młodych obarczać moją kompanią, bytam więc tylko dwa razy, resztę uciekam, jak wy będziecie to prędzej pójdziemy gdzie. Szczególniej do ogródka Wodewilu\*\* warto. W Pomarańczarni bytam raz ale pustki straszne. Ojciec jeździł do ?????? z P. Trzeci- kim, ale spotkała ich w polu straszna burza z piorunami, tak że ledwo z duszą wyszli.



**(...) MOJA KOCHANA OLESIU (...)**  
 Babcia Halina przekazała nam list Elżbiety Nawroczyńskiej, do córki Olesi, swojej przyszyj mamy. Aleksandra, z siostrą, Marią (obie były jeszcze pannami) i gronem znajomych, przebywała na wypoczynku w Ciechocinku.



Siostry Aleksandra Nawroczyńska – z lewej i Maria, z domu Nawroczyńska, Richard. Warszawa, 1894 rok. Zdjęcie wykonane rok przed ślubem Oleńki z Józefem Jaroszewiczem, cztery lata wcześniej Maria zawarła związek małżeński z Janem Richardem. Fot. Jan Mieczkowski, syn Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



List Elżbiety, z domu Moniuszko, Nawroczyńskiej, najstarszej córki Stanisława Moniuszki, naszej pra pra babci, do córki Aleksandry, napisany w Warszawie, przed 1890 rokiem. Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

Jeszcze jedna nowina, że Karpiński wydał wczoraj siostrę za mąż za adwokata.

Otóż i wszystkie nowiny, wy macie ich więcej, a nic niepiszecie. Mianowicie kto ze znajomych jest w Ciechocinku, kto trzyma z wami kompanię?

P. Mieczkowski \*\*\* z Ojcem przyjadą w Sobotę, lub Niedzielę, jeżeli w Sobotę, to Ojciec zafunduje Wam wieczór na co ja trochę przyszę grosza, bawcie się moje dzieciaki bo w Warszawie czeka praca i wspomnienia tylko.

Szkoda, że Marychna\*\*\*\* chora na zęby, może nie pamięta o sobie i siada na cugłach; trzeba kupić jej gorzycowego spirytusu jest (za to???)

Swoją drogą przyszę jakie lekarstwo przez Ojca, oraz rozmaite przysmaczki dla biedaków Ciechocińskich. Babeńka moja co robi? W tych dniach przyjedzie??

Dopisek na górze odwróconym piśmem: P. Franciszek, który się zjawił w tej chwili zaszyła Wam piękne ukłony.

Zygmunt Kowalski pilnujcie tam żeby się nie bili, prosi o to Janka odemnie bardzo?

Napiszcie co porabia piękna Panna Moretti bo to Czesia\*\* interesuje, oraz inżynier?

????? czy żyje i czy Cioci asystuje? George\*\*\*\*\* czy zrobił furorę swoim tańcem? Słowem piszcie co chcecie byle dużo teraz nie Mamy kolej, a odemnie nie wymagajcie listów każde z osobna, bo ja piszę do wszystkich razem gdyż nie mam wiele czasu (??) wielkiej pracy, jaką mam teraz, chcąc wszystkiemu podostać i Wam dostarczyć grosza na przyjemności.

Uściskam Was wszystkich serdecznie Georgowi, P. Kowalskiemu (P. Lu...??) i wszystkim znajomym ukłony.

Powiedz Georgowi, że jego pensję przywiezie P. Mieczkowski.

Rozpieszczam? Catuję od nas i Cioci.  
Matka E. Nawroczyńska

\*[Chodzi o zakład drzeworytniczy, w którym pracowała Elżbieta, wykonując drzeworyty do prasy warszawskiej]

\*\* [Czesław - najstarszy syn Elżbiety i Władysława Nawroczyńskich, brat Aleksandry i Marii]

\*\*\*[Mowa o popularnych ówczesnie teatrach ogródkowych, organizowanych przy warszawskich restauracjach]

\*\*\*\* [Jan Mieczkowski - zaprzyjaźniony w drugim pokoleniu z rodziną Moniuszków, znany warszawski artysta fotografik. Przejął zakład po ojcu, Janie Mieczkowskim, który portretował Adama Mickiewicza, Jadwigę Łuszczewską (Deotymę), Stanisława Moniuszkę i in.]

\*\*\*\*\*[Maria - córka Elżbiety i Władysława, siostra Aleksandry]

\*\*\*\*\*[George - Georg Richard, Francuz, przyszły mąż Marii Nawroczyńskiej]

### SCENKI RODZAJOWE, PORTRETY, WIDOKI

Pięć szkiców rysunkowych Elżbiety Moniuszko znajduje się w naszym posiadaniu. Autorka stworzyła je z natury. Nie wiemy: kim przedstawione postacie były, jakie to obiekty, ani gdzie się znajdowały.

Elżbieta Moniuszko była rysowniczką, drzeworytniczką, malarką. Uczyła się prywatnie u Franciszka Tegazzo i Feliksa Brzozowskiego. W Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych zdała egzamin i otrzymała patent na nauczycielkę rysunku i malarstwa. Drzeworytnictwa uczyła się u Kazimierza Krzyżanowskiego, drzeworytnika współpracującego z „Tygodnikiem



Młoda kobieta w wianku. Elżbieta Moniuszko.  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



Młoda para w pejzażu, w tle młyn wiatrowy. Elżbieta Moniuszko.  
W prawym dolnym roku podpis „E. Moniuszko”.  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

Ilustrowanym”. Jej prace publikowane były w czasopiśmie; „Tygodnik Ilustrowany”, „Opiekun Domowy”, „Kłósy”, a także ukazywały się w „osobnych odbiciach często przez skromność nie opatrywanych jej nazwiskiem” – podaje „Dziennik Warszawski” w artykule reklamującym Szkołę i Zakład Drzeworytniczy panny Moniuszkówny.

Szkołę ową, przeznaczoną dla dziewcząt, Elżbieta Moniuszko założyła, wraz z Kazimierzem Krzyżanowskim, w sierpniu 1866 roku. Siedziba mieściła się w domu Moniuszków przy ulicy Niecałej w Warszawie. Wykłady i zajęcia praktyczne prowadzili Moniuszkówna i Krzyżanowski „przy ścisłym zastosowaniu się do prawideł pedagogicznych, systematyczny plan oznacza czas na rysunek ręczny, techniczny i perspektywiczny, oraz wyłączenie na drzeworytnictwo”. Szkoła miała powodzenie, w ciągu trzech miesięcy od założenia uczęszczało się u Moniuszkówny czter-



Para dziecięca w lesie. Elżbieta Moniuszko.  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



Młyn wodny. Elżbieta Moniuszko  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



Pejzaż miejski nad rzeką. Elżbieta Moniuszko. U dołu data „3 stycznia”.  
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

naście panien. Koszt nauki był niski – 10 kopiejek, „że córki najuboższych rodziców z nowo otworzonego zakładu korzystać mogą” reklamował „Dziennik Warszawski”. Drzeworytnia Moniuszkówny współpracowała z „Tygodnikiem Ilustrowanym”, „Opiekunem Domowym”, „Kłosami” – ukazywały się tam drzeworyty zarówno właścicielki Szkoły, jak i jej uczennic: Józefy Kleczeńskiej, Julii

Werner i Józefy Czaplckiej. W lutym 1867 Elżbieta wyszła za Władysława Nawroczyńskiego. Prac swoich nigdy nie sygnowała nazwiskiem męża. (...)

Za tekstem „Elżbieta Moniuszko” z katalogu wystawy „Artystki polskie” pod redakcją naukową Agnieszki Morawińskiej, Muzeum Narodowe w Warszawie, Warszawa 1991 rok.

**KATARZYNA KORCZAK**



W chacie kowala. Rysowała i wycięła panna Elżbieta Moniuszkówna. Drzew., pap., 18,8 x 16,4. Sygn. l. d. na ryc.: EM. Muzeum Narodowe w Warszawie, Biblioteka, nr inw.: MN 3348

Za katalog wystawy „Artystki polskie” pod redakcją naukową Agnieszki Morawińskiej, Muzeum Narodowe w Warszawie, Warszawa 1991 rok.



Szkiele i typy warszawskie. Rysował F. Kostrzewski. Rachunek z kucharką, drzeworyt p. Elżbiety Moniuszkówny. Drzew., pap., 11,9 x 16,4. Sygn. na ryc. l. d.: FK, z p.: E. Moniuszko Muzeum Narodowe w Krakowie, nr inw. III ryc. 19002. Za katalog wystawy „Artystki polskie” pod redakcją naukową Agnieszki Morawińskiej, Muzeum Narodowe w Warszawie, Warszawa 1991 rok.

*Część druga tekstu ukaże się w nr 4 (85) 2024 kwartalnika.*

# Zbigniew Jankowski

## Lekcja2. Bezbrzeże

Nie ma drugiej strony.  
Nie przeskakuj rzeki,  
nie odwracaj kartki,  
nie kartkuj życia.

Oddychaj  
w jedna stronę,  
której także nie ma.

Oddychaj  
bezstronnie.

## Przydrożny ołtarz

Przywalony pniem  
starości  
choć jeszcze żywy,  
wydobywa się wiara  
gorzką i twarzą  
jak suchy oset.

Czeka na Twój  
całopalny ogień.

## Jedno pytanie

Teraz, gdy już wiem,  
co dobre, co złe,  
jakbym zemdłał i tonął  
w bezdnach zobojętnienia -  
mam tylko jedno pytania,

które woda zmywa  
z ust śniętej ryby

Sopot, lato 2002

## Cumy

Wszystko jest morzem?  
To czemu wciąż jeszcze  
poszukujesz brzegu, czemu  
wleciesz te cumy,  
splatany, wplątany  
w nie twoją już sprawę?

Wszystko jest morzem?  
Czemu się chwiejesz i topisz,  
gdy tylko zamruga  
latarnia w oddali?

Wszystko jest morzem?  
To wyrwij się wreszcie, porzuć  
swe ręce i nogi, zapomnij  
tę buchtę mózgu syczącą pod czaszka,  
zapomnij się, zacznij  
chodzić po morzu.

Sopot 15.XII.2001

# PLAKAT POETYCKI

# Maciej Świeszewski



# FUNDACJA ŚWIATŁO LITERATURY POLECA

roman warszewski  
żeby miało ręce i nogi



roman warszewski

Podróż przez spaloną ziemię  
czyli terytorium Apaczów



Roman Warszewski

HISTORIĘ ZACZAĆ OD JUTRA



JUŽ WKRÓTCE

# NEZNANÉ OPOVIADANIE JORGE LUISA BORGESA



autor portretu Francisco Bonett